

KATE GRIFFIN

NEONOWY DWÓR

CZYLI ZDRADA MATTHEW SWIFTA

The Neon Cort

Przełożył Michał Januszewski

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2011



Spis treści

Wstęp Przywołanie Matthew Swifta

*W którym wróg prosi o pomoc ostatnią osobę
której ktokolwiek by się spodziewał,
pożar prowadzi do czegoś więcej niż drobne poparzenia,
a w Sidcup wybucha wojna. / 5*

Część 1 Światła gasną

*W której wojna się szerzy, znika strefa biletowa,
a chodzący trup stanowczo odmawia
uznania własnej śmiertelności. / 40*

Pierwsze interludium Życie i czasy psychopatycznej suki

W którym w końcu przedstawia się znajomą. / 113

Część 2 Zniknięcie Cockfosters

*W której szuka się specjalistycznej porady
w nieprawdopodobnym i niemile widzianym źródle,
omawia się problem, a spotkanie kończy się
źle dla wszystkich stron. / 146*

Drugie interludium Reperkusje

*W którym w podziemiach British Library opowiada się
historię stworzenia zwanego Zaciemnieniem. / 195*

Część 3 Kompletna edukacja

*Dlatego że nie istnieje nic takiego,
jak „nie może być gorzej”. / 209*

Część 4 W szczelinie

*W której wszystko nabiera straszliwego sensu,
zaczyna się wojna, armia zostaje zniszczona,
a spisek zdemaskowany. / 265*

Epilog Tymczasowy rozejm

*W którym kończą się te wątki, które można zakończyć,
pozostałe zaś wszyscy starannie ignorują. / 338*

Że niby ja?

Nocnym Burmistrzem? obrońcą miasta?

Kto by pomyślał?

- Uwaga przypisywana M. Swiftowi,
127. Nocnemu Burmistrzowi Londynu;
prawdopodobnie apokryficzna

Coś jest na końcu zaułka

czeka na ciebie.

- Anonimowe graffiti, Soho

Wstęp

Przywołanie Matthew Swifta

*W którym wróg prosi o pomoc ostatnią osobę,
której ktokolwiek by się spodziewał,
pożar prowadzi do czegoś więcej niż
drobne poparzenia, a w Sidcup wybucha wojna.*

Nagle odniosłem wrażenie, że słyszę kroki w ciemności za sobą. Kiedy się odwróciłem, umilkły.

* * *

Byłem właśnie w samym środku zdania. Mówiłem:

- ...,„smok” to zapewne zbyt dosłownie biologiczny sposób opisu...

I wtedy ktoś zacisnął mi na gardle pięść Boga, unieruchamiając mnie, a wszechświat stanął na głowie.

W świecie była dziura, a ja nie miałem palców, by chwycić się jej brzegów.

Wpadłem do środka.

* * *

Obudził mnie dzwoniący w kieszeni telefon.

Wyciągnąłem rękę, włączyłem go i przysunąłem do ucha, nie unosząc głowy, na wypadek gdyby tylko dzięki unieruchomieniu mogła nadal pozostać przytwierdzona do ciała. Czulem suchość w gardle. Podejrzewałem, że ma to coś wspólnego z tym całym dymem.

- Słucham?

To była Penny, moja uczennica. Jej głos był zbyt spokojny i opanowany. To znaczy, że się bała.

- Zniknąłeś - powiedziała.

- He?

- No wiesz... hej, trzask, łubudu, pa, pa.

- He?

- Nie żyjesz?

- To ma być żart?

Przetoczyłem się na plecy, czując, że wszystkie żebra wpijają mi się w skórę, jakby były zapakowane próżniowo. Coś wilgotnego i lepkiego przemieściło się pode mną z dźwiękiem przypominającym odrywanie rzepa. Musnąłem to palcami. Pachniało solą i żelazem. Miało gęstość płynnego miodu.

- To, co się stało, do licha? - zapytała Penny.

Oblizalem wargi. Smakowały węglem drzewnym.

- Przywołano mnie - wychrypiałem. Dlaczego tak trudno było tu oddychać? - Jakiś skurwysyn mnie przywołał. Mnie.

Ciemnoszary dym gęstniał z każdą chwilą, napływając do środka przez szczelinę pod drzwiami. Za jego kłębam dostrzegałem niewyraźnie ściany, szare i spękane. Jedynym kolorowym elementem były napisy nabazgrane na nich tanią farbą w sprayu.

ANARKIA NA WIEKI

JG TU BYŁA

ZAKAZ ZABAWY W BOGA

Ratunku

PATRZYMY NA CIEBIE

- Zadzwoń do ciebie - zapewniłem i przerwałem połączenie, nim moja uczennica zaczęła przeklinać.

Oczy mnie piekły. W pokoju było za gorąco, światło widoczne za tumanami dymu gorzało zbyt jasno. Gdzieś za wybitym oknem padał deszcz, intensywny szum wody mącił ciszę londyńskiej nocy. Dźwignąłem się na ręce i kolana. W uszach mi dzwoniło. Coś ciepłego skapywało mi do ucha, a potem spływało w dół po szyi. Pomacałem się po głowie i wyczułem krew krzepnącą we włosach oraz guza. Popatrzyłem na podłogę i na tę samą lepka substancję na palcach. Na tle skóry wydawała się niemal czarna, ale w bladym sodowym świetle odbijającym się od podbrzusza nocnych chmur i blasku czegoś nieznanego po drugiej stronie buchającego zza drzwi dymu była niewątpliwie szkarłatna.

Z pewnością była to krew.

Ale nie moja.

To przynajmniej było miłe odkrycie, towarzyszyła mu jednak przykra świadomość, że krew nie była moja, ponieważ nic, co straciło jej tak wiele, nie mogłoby przeżyć. Cienki dywan nasiąknął nią całkowicie, rozprysła się po szczątkach kanapy, z której wypruto wyściółkę, pozostawiła również ślady dłoni na pomazanej farbą ścianie za niskim piecykiem gazowym i cementarzem potłuczonych butelek po piwie. Była świeża i wydawała się chłodna tylko dlatego, że temperatura otoczenia gwałtownie rosła.

Ktoś namalował na podłodze zanurzonym w krwi palcem parę krzyży. Jeden był mniejszy od drugiego i umieszczono go w lewym górnym kwadrancie większego brata. Gdyby przyjrzał mu się ktoś wtajemniczony, mógłby się dopatrzeć miecza, nie krzyża, choć w przypadku rysunku wykonanego krwią na dywanie to rozróżnienie miało raczej akademicki charakter. Nie było jednak wątpliwości, że to starożytny symbol londyńskiego City i nieprzypadkowo również znak, który pewien szalony skurczybyk, wydając ostatnie tchnienie, wyciął na wewnętrznej powierzchni mojej prawej dłoni. Piętno Nocnego Burmistrza.

Dotarłem do okna i podciągnąłem się w górę wsparty na łokciach, czując przy tym chrzęszczące szkło pod rękawami anoraka, i wyjrzałem na zewnątrz. Księżyc w kwadrze rozpląwał się na granicy deszczowych chmur, zabarwionych na pomarańczowo przez sodowe światło latarni palących się na dole. Na horyzoncie widniał szereg wzgórz o szczytach porośniętych drzewami i stokach nierówno poprzecinanych wstęgami autostrad. Strugi deszczu przesłaniały wszystko: prostokątne sylwetki budynków wznoszących się między sklepikami z chińszczyzną na wynos oraz przystankami autobusowymi; bladożółtego węża pociągu zmierzającego do jaskrawo oświetlonego dworca; ciemniejszy obszar publicznego wrzosowiska na niskim wzgórzu, okrążanym przez maleńkie świetliki samochodów, odbicia świateł telewizorów za zasłoniętymi oknami; wielkie kwadraty osiedli komunalnych o jaskrawoniebieskich albo czerwonych przyporach, jakby ich intensywne barwy mogły zamaskować brzydotę tego, co się na nich wspierało. Nie widziałem jednak żadnych charakterystycznych obiektów, które powiedziałyby mi coś więcej niż tylko to, że to anonimowe przedmieście, nieznana mi część miasta. Ale nadal moje miasto.

Potem spojrzałem w dół. Ziemia była daleko. Chodnik lśnił od deszczu czarnym blaskiem, jak ciemna strona Księżyca podczas zaburzeń atmosferycznych. Plac zabaw z zardzewiałymi, rozklekotanymi huśtawkami. Mały zabłocony placik porośnięty trawą, służący jako wybieg dla psów; stojak na rowery, któremu nikt się nie odważył powierzyć swojego pojazdu. Szereg garaży o drzwiach pomazanych graffiti - od mniej lub bardziej prawdziwych dzieł sztuki aż po zwyczajowe inicjały pozostawione przez szukające zabawy

dzieciaki. Niebieska furgonetka skręciła w wąską uliczkę odchodzącą od podwórka na dole i zniknęła mi z oczu. Łuna ognia tam, gdzie powinny być tylko białe światła reflektorów, a gdzieś niedaleko dźwięk alarmów przeciwpożarowych i odgłos płomieni atakujących drzwi.

Kłęby dymu przelatywały mi nad głową, podekscytowane wizją otwartej przestrzeni, czekającej na nie za wybitym oknem. Osłoniłem usta szalikiem i włożyłem na plecy tornister. Sięgnąłem do kieszeni po telefon. Okrwawione palce ślizgały się po klawiszach. Zdążyłem nacisnąć dwie pierwsze dziewiątki, nim na mojej kostce zacisnęła się czyjaś dłoń.

Podskoczyliśmy instynktownie, odkopując rękę na bok i sięgając po moc z sieci, by cisnąć nią w niewidocznego wroga. Włosy stanęły nam dęba, a serce pędziło jak silnik samochodu, który zaraz eksploduje. Spojrzałem pod nogi, spodziewając się śmierci, bólu, końca, stopu, przerażenia, czegoś bezimiennego, czego do tej chwili nie potrafiłem sobie wyobrazić. Zobaczyłem rękę. Skóra na grzbiecie dłoni była ciemna jak palone kakao, a od spodu różowa. Zbroczyła ją krew. Za dużo zbyt świeżej krwi. Ręka niknęła w długim czarnym rękawie. Głowa okryta biało-zieloną chustką, która zsunęła się w połowie, odsłaniając stare ślady po poparzeniach. Twarz. Okrągła, inteligentna i gniewna. Wykrzywione usta, oczy zacisnięte z bólu, sieć blizn na lewej stronie przypominająca mapę ruchomych piasków na pustyni. Znałem ją. Nie raz już żałowałem, że ją widzę. Noc zmierzała do punktu kulminacyjnego.

- Odo? - wycharczałem. Z oczu ciekły mi łzy, a na języku czułem smak węgla.

Oda - zawodowa morderczyni, fanatyczka, święta kobieta albo psychopatka, co kto woli - spojrzała nam w oczy.

- Pomóż mi - wyszeptała spękanyimi, spowitymi obłokami dymu ustami.

* * *

- Wiesz co, dopóki cię nie poznałam, byłeś całkiem fajny - oznajmiła Penny Ngwenya, czarnoksiężniczka (uczenica) i była strażniczka ruchu, pewnego pogodnego wieczoru, gdy wędrowaliśmy razem przez Spitalfields.

W normalnej sytuacji mógłbym jej odpowiedzieć nieuprzejmie, ale Penny, kobieta, której gniewomal nie zniszczył całego miasta, nie dbała zbyt o normalność.

- Rzecz w tym - ciągnęła nonszalancko - że jesteś miejskim czarnoksiężnikiem. Myślą naginasz światło latarń do swojej woli, czujesz smak rytmów miasta, karmisz się pyłem i tlenkiem węgla, a jeśli znajdziesz się blisko czegoś zielonego, łapie cię katar sienny. To byłoby całkiem fajne, kapujesz? A na tym jeszcze nie koniec. Jesteś martwym czarnoksiężnikiem. Gdzieś istnieje grób z napisem „Matthew Swift, zabity przez mistyczny

cień albo coś takiego”, a w nim jest pusta trumna, bo ty nie umarłeś. Wróciłeś, i to w towarzystwie niebieskich elektrycznych aniołów czy czegoś w tym rodzaju. No wiesz, jak Jezus. Jesteś też Nocnym Burmistrzem, a to piekielnie ważniacki urząd, który istnieje już chyba od dwóch tysięcy lat. Twoim obowiązkiem jest bronić miasta, ocalać je i tak dalej, jakbyś był królem Arturem i, no wiesz... jesteś naprawdę ekstra. Dopóki się nie odezwiesz.

Zastanawiałem się przez chwilę nad jej słowami.

- Jak Jezus? - zapytałem wreszcie.

- Ehe. Ale chyba lepiej zapomnij, że ci to powiedziała - odparła.

* * *

Oda, znana też jako psychopatyczna suka, leżała za szczątkami sofy, z których sterczały sprężyny, pośrodku najgłębszej, najgęstszej kałuży krwi w pokoju. Płyn wsiąknął w dywan tak głęboko, że gdy tylko kobieta się poruszyła, pojawiały się pod nią małe bąbelki, efekt działania dynamiki ciśnień. Krew pokrywała też ręce, twarz i włosy Ody, wsiąknęła w pulower i w bok nogawki. Nie było wątpliwości, że to jej krew. Twarz kobiety była tak szara, jak to tylko możliwe w przypadku kogoś o tak intensywnym kolorze skóry. Oczy miała przekrwione, różowoczerwone, zaciskała rękę na mojej kostce z nienaturalną siłą noworodka albo kogoś bliskiego śmierci. Poczuliśmy, jak wywraca się nam żołądek, ale przykucnęliśmy i spróbowaliśmy pomóc jej wstać. Złapała mnie za tył płaszcza, ściskając go w dłoni, jak żeglarz na statku ściska sztormreling podczas burzy.

- Pomóż mi - powtórzyła.

- Co tu się dzieje, do cholery? - wychrypiałem.

- Musimy stąd zniknąć - odparła, obejmując drugą ręką moją szyję, by stworzyć coś w rodzaju temblaka. - Pomóż mi!

- Co ty nie powiesz - warknąłem.

Objąłem ją w talii i spróbowałem podnieść na nogi. Wydała z siebie krzyk bólu, przenikliwy wrzask cierpiącego zwierzęcia. Zamknęła oczy. Kiedy się poruszyła, na przedzie pulowera, tuż nad jej sercem, otworzył się i zamknął wycięty nożem uśmiech. Przez chwilę odnosiliśmy wrażenie, że dostrzegamy coś innego, co uśmiecha się pod spodem. Odwróciliśmy pośpiesznie wzrok.

Udało jej się stanąć mniej więcej prosto. Uwiesiła się na mnie całym ciężarem, a jej głowa podskakiwała na moim ramieniu.

- Chodźmy stąd - wyszczała. - Musimy zwiewać.

Na wpół powlokłem ją ku drzwiom i poczułem buchający zza nich żar.

- Jesteś w stanie biec? - zapytałem.

- Nie - warknęła przez zaciśnięte zęby.

- A walczyć?

- Nie.

- Masz ognioodporny kombinezon pod tym pulowerem?

Tego pytania nie zaszczyciła odpowiedzią.

- Odetchnij głęboko - wycharczałem. Owinąłem sobie koszulę wokół palców, żeby się nie oparzyć, złapałem za gorącą klamkę i uchyliłem drzwi.

Do środka buchnęły jaskrawe żółtopomarańczowe płomienie. Otworzyłem drzwi nieco szerzej i poczułem we włosach gorący podmuch. Ogień, pokrywający już ściany i sufit, wyczuł tlen za moimi plecami i ruszył do ataku. Po obu stronach korytarza drzwi niektórych mieszkań stały otworem. Inne były zamknięte, a jeszcze inne wyrwano z framug i zabrano, kto wie w jakim celu. Były też takie, które w połowie już się zwęgliły i z mieszkań buchały kłęby dymu, noszone tu i tam po korytarzu przez szalone podmuchy. Gdzieś ogień wyżarł między zniszczonymi belkami sufitu a popękanym tynkiem małe, użyteczne dziury, przez które mógł się zakradać na wyższe piętro. Ślizgałem się, bo podeszwy moich butów zaczynały już topnieć. Czułem, że włosy na brwiach i na karku kurczą mi się pod wpływem żaru. Ledwie mogłem oddychać, każdy haust pozbawionych tlenu oparów przeszywał mnie bólem. Oprócz węgla i pieczonego wilgotnego grzyba czułem też zapach benzyny.

- Schody? - zapytałem, potrzásając Odą.

- W tamtą stronę - wymamrotała, wskazując głową koniec korytarza.

Było tam zbyt jasno, by na to patrzeć, za dużo, za gorąco. Już od zerknięcia oczy zaszczyły mi łzami.

- Odetchnij głęboko - wyszczałem do Ody, poprawiając sobie jej ciężar na ramieniu.

Zaczerpnęła tchu i ja również. To było tak, jakbym połknął rój komarów, które teraz roiły się i kipiały w moich płucach. Transmutacja nigdy nie należała do moich silnych stron, ale z drugiej strony, w obliczu zagrażającej śmierci zawsze dawałem z siebie wszystko. Dlatego, gdy płonące powietrze osiadło mi w płucach niczym przypalone mięso, które wpadło w niewłaściwą dziurkę, przymknąłem oczy, zebrałem w sobie resztki sił, których nie musiałem poświęcać na utrzymanie się na nogach, i skierowałem je do środka. Coś o obrzydliwym chemicznym smaku - pasta do zębów bez mięty, gnijące jaja i biały pył - pokryło mi język, gardło i wnętrze klatki piersiowej. Zgiąłem plecy od ataku mdłości, raz, a potem drugi, ale zdołałem powstrzymać ten odruch. Mięśnie twarzy rozbolewały mnie od zaciskania ust. Smak uparcie próbował wspiąć się z powrotem w górę. Oda wbiła palce w mój

bark, przymykając powieki pod wpływem żaru. Zwlekałem przez chwilę, aż wreszcie moje kości nie mogły już znieść nacisku, a potem zaczekałem jeszcze pół sekundy i wypuściłem powietrze z ust.

Biały obłok delikatnego proszku unoszący się w rozgrzanym powietrzu buchnął z moich ust i nosa tak szybko i gwałtownie, że głowa odskoczyła mi do tyłu, a wzdłuż pleców przebiegło drzenie, które omal nie przewróciło nas obojga. Stałem pewniej, instynktownie sięgając ku ścianie w poszukiwaniu oparcia. Zaraz jednak cofnąłem rękę przed intensywnym żarem płomieni pełgających po popękanej powierzchni. Tu również była farba i graffiti:

hokus pokus

JEDEN NARÓD POD OPIEKĄ KAMER ULICZNYCH

wypuście mnie stąd

Wszystko to pękało i spływało powoli, upodabniając się do czarnej powłoki muchy plujki.

Nie mogłem się już powstrzymać. Oddech wychodził ze mnie zbyt potężną i szybką falą - więcej oddechu, niż byłem w stanie dać. Wysysał mi kwas z żołądka i krew z nosa. Ciśnienie białego oparu było po prostu zbyt wysokie. Ogień cofnął się przed nim, umknął, zrejterował, a w jednym czy dwóch miejscach, gdzie jego panowanie było jeszcze słabe, zniknął całkowicie, jakby nigdy go tam nie było, pozostawiając po sobie tylko zwęglone blizny. Na moment ujrzałem drogę wyjścia. Gdy wydech wreszcie się skończył, popędziłem naprzód i znowu zaczerpnąłem powietrza, drząc z wysiłku. Usta wypełniała mi chemia, krew ciekła nam z nosa, jej słony smak był błogosławieństwem w porównaniu z paskudztwem wypełniającym nam gardło. Oda również ruszyła się z miejsca, trzymając się mojego płaszcza jak wodzy. Odrzucony na chwilę mieszaniną magii z pianą gaśniczą buchającą mi z gardła, ogień powracał, wyciągając ku nam macki z sufitu. Wzmocniona metalową siatką szyba w drzwiach na końcu korytarza zrobiła się żółtozielona od gorąca i pękła. Widziałem znajdującą się za nią klatkę schodową. Metalowe poręcze żarzyły się radosnym, pomarańczowo-różowym blaskiem, dym wzbijał się ku górze, jakby klatka była gigantycznym kominem. Spojrzałem w dół i niemal natychmiast odwróciłem wzrok, niemal oślepiony. Pod moimi powiekami tańczyły powidoki ognia. Oda również zaryzykowała spojrzenie, ale natychmiast odwróciła głowę jak przerażony ptak, gdy blask i żar zaatakowały jej siatkówki.

- Jest jakaś inna droga zejścia? - wycharczałem.

- Tamtędy - odparła, wskazując na korytarz za nami. - Czujesz zapach benzyny?

- Ehe.

Spojrzałem w górę. Całą klatkę schodową wypełniał czarny dym. Przez jego kłęby nie przebijało się światło, ale wszystko płynęło ku górze. Czułem, jak się przemieszcza, przyciągane zimniejszym, lepiej się nadającym do oddychania powietrzem. Zacisnąłem mocno palce, wydusiłem z obolałej piersi resztki sił, a potem otworzyłem dłoń, pozwalając, by między moimi palcami zatańczyło sodowe światło żółtopomarańczowej barwy blasku ulicznych latarni. Takie światło przywołują wszyscy dobrzy miejscy magowie, gdy potrzebują przewodnika. Wycelowałem je pod nasze stopy. Ledwie wystarczało, by oświetlić stopnie. Oboje pochyliliśmy głowy, by widzieć je wyraźniej, i ruszyliśmy w górę. Oda odruchowo sięgnęła do poręczy, ale cofnęła gwałtownie rękę. Poczulem odór przypalanej skóry. Plastikowe osłony metalowych poręczy topiły się jak smoła w upalny dzień. Na pierwszym pomoście było okno, już od dawna pęknięte i zapaskudzone. Wybiłem je torbą i dym wypłynął chciwie na zewnątrz. Zacerpnałem cudownego czystego powietrza ze świata zewnętrznego, chwilowo zimnego, a przez kontrast wręcz lodowatego. Potem znowu ruszyłem w górę. Pożar wdarł już się na następne piętro, ale dotarł tam drogą łatwiejszą niż klatka schodowa, przez szczeliny w stropie. Na wystrzępione resztki zasłon sypały się skry. Wszędzie widziałem graffiti, starą brudną farbę, popękane rury i zwisające przewody biegnące znikąd donikąd, a także pleśń i grzyb, złowrogi szary znak upływającego czasu i niedostatku miłości, wyzerający serce budynku równie niezawodnie jak pożar. Na kolejnym piętrze dym był rzadszy. Ogień nie dotarł jeszcze tak wysoko, ale czułem już, jak napiera od dołu, przyciągany przez dach i otwarte niebo. Minęliśmy zakręt i ujrzelśmy leżące na schodach ciało.

Omali się o nie nie potknęliśmy. Trup miał rozrzucone nogi i wyciągnięte ręce, jak motyl nadziany na szpilkę w gablocie. Uwalana sadzą twarz była kiedyś blada, ale ktoś wbił rozżarzoną do czerwoności igłę w każdy pieg na jego nosie i policzkach, pozostawiając obrzękłe, czerwone blizny przypominające druk drukarki igłowej. Mężczyzna miał na sobie resztki czarnej kurtki z kapturem, które zaczynały się już tlić, niebieskie dzinsy ucięte w okolicy kolan oraz szare adidas, dymiące i wypaczone od gorąca. Ktoś poderżnął mu gardło. Z rany nadal wypływała czarno-czerwona krew. Oda zacisnęła palce na moim płaszczu, ale nie odezwała się ani słowem. Ominęliśmy trupa, przeszliśmy nad jego wyciągniętą ręką i ruszyliśmy w górę, zostawiając za sobą puste szare oczy niknące w gęstniejących kłębach dymu.

Kolejne piętro. Tu prawie już dawało się oddychać, a moje małe światełko pozwalało cokolwiek zobaczyć. Całkiem nieźle, jeśli zignorować palący ból utrzymujący się w płucach,

spękane usta, pęcherze na skórze i jaskrawe żółto-niebieskie powidoki unoszące się przed oczyma. Kolejny bieg schodów, krótszy od poprzednich, wiódł do metalowych drzwi. Przerdzewiały łańcuch dawno już zerwano, a kłódkę wyłamano. Na jednej śrubie kołysała się tablica z napisem:

**WEJŚCIE NA DACH
NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.**

Popchnąłem drzwi. Zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie jak wrzeszczące banshee. Wygramoliliśmy się na płaską betonową powierzchnię, splamioną białymi śladami po wieloletniej wojnie między kałużami zbierającej się tu deszczówki i gołębimi odchodami. Deszcz był błogosławieństwem, zimny, cudowny i czysty. Zwróciliśmy ku niemu twarz. Wciągałymi chciwie powietrze, pozwalając, by woda spływała nam po twarzy i szyi. Gdzieś słyszałem syreny. Były jeszcze daleko, ale zbliżały się z każdą chwilą. Oda wyplątała się z mojego uścisku, a potem opadła na ręce i kolana w kałuży deszczówki, dysząc ciężko. Pochylała głowę, a oczy miała zamknięte. Dach pokrywał las powyginanych szczątków anten, zwyczajnych i satelitarnych. Tu i ówdzie dostrzegałem też smętne resztki puszek po piwie, łopoczące na wietrze plastikowe torebki obciążone wypełniającą je wodą oraz wilgotne pudełka po fast foodach. Wyższy ode mnie odpowietrznik był martwy i milczący. Niektóre kraty wyłamano, co pozwoliło ptakom dostać się do środka i założyć tam gniazda. Dach otaczała niska metalowa barierka. Powlokłem się ku niej, nie tylko po to, żeby się rozejrzeć, lecz również dlatego, że chciałem się na coś oprzeć. Zatrzymałem się tam, próbując chwilę odetchnąć. Z dachu rozciągał się dobry widok we wszystkich kierunkach i mogłem uzupełnić luki w obrazie, który do tej pory pozostawał dla mnie niekompletny. Canary Wharf, białe, upstrzone plamami okien monolity wyłaniające się z mroku, cień srebrzystej wody na dole; Millenium Dome, biała plama na tle głębszej ciemności w miejscu, gdzie kończy się miasto, a zaczyna ujście rzeki; Greenwich Hill, ciemne wzniesienie zwieńczone światłem obserwatorium, od którego w noc biegła wąska zielona linia, oznajmiająca, że tutaj, właśnie tutaj i nigdzie indziej, jest cienki jak igła środek świata.

Znajdowałem się gdzieś w południowym Londynie, zapewne w Sidcup albo - patrząc na to optymistycznie - w Blackheath. Na południe od rzeki odległość zmieniała znaczenie, blisko przeradzało się w daleko, a daleko zgodnie z oczekiwaniami. Czułem smak wibrującej magii tego miejsca, skupiony, pełen zakamarków i wybojów, w których odrobina mocy mogła się nagle przerodzić w ogłuszającą kaskadę, a rzeka magii wyschnąć w chwili, gdy

poczułbym, że właśnie zanurzyłem w niej palce. Byłem na południu, ale nie tak daleko, jakbym tego chciał: Znajomy srebrny smak miejskiej magii ustępował tu już powoli miejsca starszej nieuchwytej mocy terenów wiejskich, lasów, rzek i zapomnianych zwyczajów. Nie lubiliśmy tej magii. Nie rozumieliśmy jej w pełni i nie zdołaliśmy jej opanować, a to znaczyło, że jesteśmy tu słabi.

Zerknąłem w dół i zobaczyłem, że po nawierzchni u stóp wieżowca tańczą szalone odbicia płomieni, które zaczynały już wysuwać się z okien. Buchające z nich dym i para rzucały wyzwanie padającemu deszczowi. Na pobliskich ulicach widziałem niebieskie migające światła straży pożarnej. Syreny brzmiały dziwnie uspokajająco pośród nocy, mimo że samochody przybyły zdecydowanie za późno. Pożar szerzył się zbyt szybko, i to nie bez czyjejś pomocy. Wróciłem do Ody. Kobieta nadal pochylała głowę, wsparta na dłoniach. Wyginała plecy z wysiłku przy każdym oddechu.

- Wszystko z tobą w porządku?

Skinęła głową, nadal nie otwierając oczu.

- Potrafisz nas stąd wydostać? - zapytała.

- Wszystkie dolne piętra ogarnął pożar.

- Umiesz panować nad ogniem?

- Umiem z nim negocjować.

- Myślałam, że czarnoksiężnicy kochają ogień.

- Raczej w sensie przenośnym niż praktycznym. Pożar jest za wielki, bym mógł go teraz powstrzymać. I...

- I?

- Szerzy się za szybko. Potrzeba mnóstwa mocy, żeby debatować z benzyną, gdy już wpadnie na naprawdę ciekawy pomysł.

Uniosła powoli głowę i otworzyła oczy. Przez chwilę miałem wrażenie, że widzę krew zbierającą się pod jej dolnymi powiekami. Potem zamrugała i wszystko wróciło do normy.

- Jesteś Nocnym Burmistrzem. I niebieskimi elektrycznymi aniołami. Wymyśl coś.

- Odo... co tu jest grane, do licha?

Zamknęła oczy i znowu opuściła głowę, nie odzywając się ani słowem.

- Wyprowadziłem nas stamtąd, jesteś mi coś winna - dodałem, szepcząc jej do ucha. - Jesteś mi coś winna z tego powodu.

- Chcesz tu zginać?

Wykrzywiłem usta w grymasie frustracji. Teraz, gdy konieczność przetrwania pięciu następnych sekund nie miała już pierwszeństwa, wróciły inne uczucia, gorące i gwałtowne jak

szalejące na dole piekło. Słyszałem syreny, koła rozbryzgujące wodę w kałużach i głosy ludzi. Wstałem powoli i poruszyłem palcami dłoni, wypuszczając z płuc nasz gniew, a potem spojrzałem w parę liliowych oczu.

Na dachu ktoś był.

Mężczyzna był wyższy ode mnie o pół stopy. Miał na sobie czarne spodnie, przecięte po wewnętrznych stronach w ten sprytny afektowany sposób, który świadczy, że mamy do czynienia z przejawem mody, a nie ubóstwa, a także kremowy T-shirt, pięć warstw złotych łańcuchów - najdłuższy opadał aż do miejsca położonego tuż nad przeponą, a najkrótszy ścisnął jego szyję jak zazdrosna kochanka - rozpiętą, czarną kurtkę i białe rękawice motocyklisty. Miał też złote włosy pozlepiane w kolce jak u jeża miliardera i cerę białą jak śnieg, białą od farby. Ktoś zadał sobie trud, by dodać dwie długie czerwone kreski przebiegające przez powieki, nadające twarzy wygląd maski. Mężczyzna dzierżył przedmiot, który mógł nie być mieczem, ale dawno już przekroczył granicę, do której można by go nazywać nożem. Zdobną srebrną rękojeść w kształcie szyjki od butelki owinięto złotym drutem, klinga zaś miała kolor kobaltowego szkła. Z pozoru nie wyglądała na ostrą, ale łatwość, z jaką przecinała powietrze i rozpryskiwała na boki strugi deszczu, zmierzając ku mojemu gardłu, sugerowała, że jest inaczej.

Pisnąłem jak spłoszony królik, spróbowałem uskoczyć w bok, wpadłem na Ode, przewróciłem ją na dach, potknąłem się o nią i wylądowałem z pluskiem w kałuży. Kobieta leżała bez ruchu, jakby już nie żyła, i nie okazywała typowych dla siebie gwałtownych instynktów, na których nauczyłem się polegać. Mężczyzna pognał za mną, z twarzą wykrzywioną tak gwałtownie, jakby tylko jedno czknięcie dzieliło go od ataku padaczki.

- Zaczekaj... - zacząłem, ale szklane ostrze natychmiast pomknęło ku miejscu, gdzie powinno być moje serce.

Przetoczyliśmy się. Instynkt był lepszy od rozumu. Nie mieliśmy zamiaru zginąć tutaj z rąk jakiegoś wypacykowanego świra. Przetoczyliśmy się po Odzie, a potem podnieśliśmy się i przykucnęliśmy, gotowi do ataku. Rozpostarliśmy palce na boki, przywołując do nich moc. Przyciągnęliśmy do siebie deszcz spływający nam po skórze, a potem wyczuwalny w nim słaby smak kwasu, śladową chemiczną domieszkę, i wprowadziliśmy je w nasze pięści, pozwalając, by narastała, tworząc pęcherz płonącego płynu niebędącego do końca wodą, który musował i syczał, gdy deszcz padał na jego półprzezroczystą powierzchnię. Po twarzy nieznajomego przebiegło zaskoczenie, niemal komiczne w swej krótkości i intensywności. Mężczyzna uniósł oręż wysoko nad głowę, znowu wykrzywił twarz i wydał z siebie pełen śliny i furii okrzyk bojowy, który na moment zagłuszył wycie syren i huk pożaru.

- Jeśli spróbujesz, zabijemy cię - oznajmiliśmy spokojnie i zgodnie z prawdą.

Rzucił się do szarży, jak człowiek, który nie ma w życiu żadnego innego celu niż rozplatanie nam czaszki na dwoje.

Rozpostarliśmy dłonie i wypuściliśmy ukradzioną truciznę, nagromadzoną między naszymi palcami. Dwie garście płonącego płynu uderzyły go w głowę. Krzyknął, łapiąc się za twarz. Oręż wypadł mu z rąk. Jego krzyki nie milkły. Towarzyszył im syk palącego się ciała. Spomiędzy zasłaniających oczy palców wypływała krew. Ślepy, pijany własnym bólem mężczyzna nie przestawał zawodzić. Dopadły mnie mdłości. Spróbowałem go złapać za barki.

- Nie dotykaj tego - wydyszałem. - W ten sposób sobie nie pomożesz.

Zacisnął palce jeszcze mocniej. Przez chwilę wydawało mi się, że zamierza wyrwać sobie oczy z oczodołów. Potem jednak uspokoił się, drżąc z wysiłku, jaki w to wkładał, i powoli odsunął dłonie od twarzy. Nie zdejmowałem rąk z jego barków. Zauważyłem, że jego oczy przybrały kolor mokrych buraków, a skórę pokryły czarno-żółte pęcherze. Ze wstrętem odwróciłem wzrok.

Coś cięło ciachu-ciach.

Ciężar barków mężczyzny nagle stał się za duży, bym mógł go utrzymać.

Osunął się na dach. Jego twarz uderzyła o czubki moich butów. Był martwy, nim jeszcze grawitacja zdążyła mu się przyjrzeć. Oda stała za nim, trzymając w rękach szklany oręż zabitego. Deszcz splukiwał jego krew. Twarz kobiety była zupełnie pusta, jak otchłań bez dna.

- Musimy opuścić to miejsce - oznajmiła, patrząc przeze mnie na wskroś, jakby w ogóle mnie tu nie było.

Zorientowałem się, że drżą mi ręce.

- Czemu to... on mógł...

Obróciła swobodnie oręż w dłoniach, wskazując jego sztychem ku schodom.

- Ten budynek niedługo spłonie - ciągnęła. - Nie potrafimy powstrzymać ognia. Spłoniemy razem ze wszystkim. Musimy opuścić to miejsce. Znajdziesz sposób.

Obróciła głowę w bok, jak zaciekawiony gołąb. Zorientowałem się, że coś jest nie w porządku z jej oczyma. Wydało mi się, że słyszę kroki. Odwróciłem się, ale nikogo tam nie było. Kiedy znowu spojrzałem na Odę, jej twarz skurczyła się jak zmięta kartka papieru, a miecz wysunął się ze zwisających bezwładnie palców.

- Czarnoksiężniku - odezwała się głosem ledwie silniejszym od jęku. - Chyba coś jest ze mną nie tak.

- Ehe - wydyszałem. - Też odniosłem takie wrażenie.

- Zabijesz mnie?

Zgarbiła się, wbijając wzrok w ziemię. Przyszło mi na myśl, że z pewnością źle zrozumiałem jej słowa.

- Słucham?

- Zabijesz mnie?

- Hmm... muszę ci powiedzieć, że jest spora kolejka chętnych. Ledwie się łapię na szóste albo siódme miejsce.

Oklapła nagle. Złapałem ją, nim zdążyła się przewrócić, i podtrzymałem.

- Daj spokój - wyszeptałem. - Myśl jak psychopatyczna suka, dobra?

Pokiwała głową z otepiałą miną.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu drogi wyjścia.

Nie wydawało się prawdopodobne, by pożar zatrzymał się przed najwyższym piętrem. Nie potrwa długo, nim spłonimy żywcem.

Coś małego białego i miękkiego poruszyło się na deszczu, bezskutecznie próbując uciec przed zarem. Trąciłem to nogą. To były smętne pozostałości plastikowej torby z Tesco. Z jednej strony była rozdarta, a wewnątrz zgromadziła się kałuża zielonkawoszarej wody. W mojej kieszeni zadzwonił telefon. Odebraliśmy go na oślep.

- Cześć, Penny.

- Cześć - odparła. - Nadal nie zginąłeś?

- Nadal jestem raczej zajęty.

- Niedobry moment, tak? Tyle że zostawiłeś mnie z połową torby stygnącej ryby z frytkami...

- I znalazłem się w płonącym budynku pełnym martwych, konających i takich, którzy powinni nie żyć.

- No tak, faktycznie niedobry moment - przyznała. - Mogę ci w czymś pomóc? - dodała ostrożniejszym tonem.

- Zadzwoń do ciebie.

Przerwałem połączenie, schowałem telefon do kieszeni, schyliłem się i podniosłem podartą torbę koniuszkami palców. Łopotała na gorącym powiewie buchającym od zbliżających się płomieni, próbując mi uciec. Wypuściłem ją, przyglądając się, jak unosi się w powietrzu niczym nerwowo oszalały gołąb.

- Jestem gotowa, czarnoksiężniku - wychrypiała Oda.

Przerzuciłem walające się na dachu odpadki i wygrzebałem z małego stosu pustych

puszek od konserw i kartonowych pudełek kolejną torbę. Ta była cała, niebieska i brudna, cuchnęła nieokreśloną zgnilizną. Strząsałem z niej większość stęchłej wody, a potem wytarłem ją o płaszcz, zaczerpnąłem głęboko tchu, uniosłem otwartą torbę do ust i wypuściłem powietrze z płuc. Wypełniła się. Zamknąłem ją szczelnie, nim powietrze zdążyło uciec, a potem zawiązałem uchwyty. Szarpała się i wyginała na gorącym wietrze, a jednocześnie o jej powierzchnię bębniły krople deszczu. Uniosłem ją nad głowę i wypuściłem. Niemal natychmiast umknęła z szalonym wiatrem, omijając sidła martwych, powyginanych anten. Odprowadzaliśmy ją wzrokiem.

- Lepiej, żeby to był dobry plan - odezwała się stojąca obok nas Oda.

- Jak myślisz, ile czasu zostało, nim spłonimy żywcem?

- Może z piętnaście minut. Ale będzie się nam wydawało, że to mniej.

- Piętnaście minut! Szkoda, że nie przyniosłem jakiejś książki.

- Naprawdę chcesz spotkać śmierć, czytając kiepską literaturę?

Oda chwiała się na nogach. Dym wydostający się na dach tworzył wokół niej dziwne wiry. Znowu zamknęła oczy. Czyżby za długo patrzyła na ogień?

- Jeśli mam wybór między kiepską literaturą a upadającym przerażeniem, to wiem, co wolę.

Sięgnąłem ku niej instynktownie, gdy przez jej twarz przebiegł grymas bólu, ale zatrzymałem się w połowie ruchu, niepewny i niechciany. Między nami leżały zwłoki mężczyzny o liliowych oczach i pozlepianych włosach.

- Robi się gorąco - wydyszała.

W drzwiach pojawiła się luna. Metal zgrzytał pod naszymi coraz cieplejszymi stopami.

- Wszystko jest pod kontrolą - zapewniłem z westchnieniem.

- Jestem przekonana, że powinieneś już zacząć recytować inkantacje.

- Przecież nienawidzisz magii.

- Ocalimy życie.

- My?

Zawahała się. Słowa uwięzły jej w gardle. Odniosłem wrażenie, że widzę za nią i nad nią jakiś ruch. Uniosłem wzrok i dostrzegłem jakiś szybki, ciemny kształt, który przybrał na deszczu srebrno-czarny kolor.

- Czarnoksiężniku? - Resztki głosu Ody, które zdołały się wyrwać z pułapki jej ust, brzmiały słabo i cienko. - Matthew?

- Nadal tu jestem.

Płonący budynek jęczał jak olbrzym cierpiący na niestrawność albo wulkan tuż przed erupcją, zagłuszając syreny wyjące gdzieś bardzo daleko w dole.

- Coś czeka na ciebie na końcu zaułka.

- Czy to groźba, czy geograficznie niejasne stwierdzenie faktu?

- To... Nie wiem. To prawda. Tym właśnie jest. To koniec.

Coś wielkiego i czarnego załśniło odbitym blaskiem w pomarańczowym świetle latarń, zawróciło nad naszymi głowami, zwiększyło prędkość i zaczęło opadać.

- Odo, przemokłaś, jesteś poparzona, cierpisz z powodu braku tlenu i, jeśli mi wybaczysz, mam wrażenie, że pchnięto cię nożem w serce. Nie chciałbym wyciągać przedwczesnych wniosków, ale podejrzewam, że nie jesteś w pełni władz umysłowych.

Uniosła wzrok i spojrzała nam prosto w oczy. Jej twarz była pełna cierpienia, prawdziwego i głębokiego jak najmroczniejszy ocean.

- Pomożesz mi?

- Poprosiłaś mnie i zrobiłem to. Kto by pomyślał?

- Zabijesz mnie?

- Wciągnąłem to na listę. - Podałem jej rękę. Prawą. Piętno dwóch krzyży bolało mnie pod czarną rękawiczką bez palców. - Chodź.

Zawahała się.

A potem wsunęła dłoń w moją rękę.

Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek przedtem dotknął ciała psychopatycznej suki.

- Dokąd pójdziemy?

Uniosłem głowę. Podążyła za moim spojrzeniem. Coś przeleciało nad nami i przez chwilę nie padał na nas deszcz. Usłyszeliśmy stukot kropel uderzających o plastik. Przytuliłem Odę i poczułem, że deszcz znowu zaczął lać na moją zwróconą ku górze twarz, zmywając warstwę sadzy. Kobieta oddychała szybko i płytko, ale nie odsunęła się ode mnie. Usłyszałem

deszcz tłukący o skórę bębna

szelest plastiku

powietrze poruszane potężnymi skrzydłami

i zobaczyłem to, gdy blask ognia padł na jego brzuch. Sunęło ku nam po niebie, powolne, ociążałe i niepowstrzymane jak tankowiec zsuwający się z góry. Skrzydła miało utkane z bieli, oranżu i błękitu, z jego uchylonego dzioba wypadały rozwijające się wstęgi plastiku. Było większe od orła, ale mniejsze od odrzutowca, szersze niż autobus i dłuższe niż

samochód. Gdy opadało ku nam, zauważyłem, że z jego brzucha zwisają luźne plastikowe uchwyty, a skóra faluje i łopocze na wietrze. Napisano na niej:...

dla mam, które...

...każdego pensa...

...dziękujemy za zakup w...

...najwyższa jakość...

...pamiętaj o recyklingu plastikowych opakowań...

Jego skrzydła składały się z wydętych reklamówek, podobnie jak reszta ciała, zwiniętych z przodu jak płyty nośne samolotu i skierowanych do tyłu szeroko ziejącymi otworami. Ów więcej niż orzeł zbliżał się ku nam, wyciągając szpony z plastiku. Usłyszałem, że Oda zaczerpnęła głośno tchu. Wyciągnąłem rękę i poczułem, że sucha powierzchnia toreb musnęła moje palce. Złapałem za uchwyt i wsunąłem w niego nadgarstek. Oda zrobiła to samo. Uniosłem się w górę tak gwałtownie, że myślałem, że ręka wyrwie mi się ze stawu barkowego. Uderzyłem kolanami o otaczającą dach barierkę, tak mocno, że aż zakręciłem się wkoło pod wpływem impetu. Plastik wpijał mi się w skórę. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi dreszcz. Zamknąłem odruchowo oczy, ale gdy świat umknął nam spod stóp, otworzyliśmy je znowu.

Nad czarną przepaścią majtały dwie pary nóg.

Na dole migotały niebieskie światła. Wszyscy strażacy zwracali głowy w stronę ognia, nikt nas nie zauważył. Pożar ogarnął cały wieżowiec. Budynek spłonie doszczętnie. Płomienie buchały z okien jak bluzgi z ust satanisty. Dotarły już na parter i na najwyższe piętro. Gmach zaczynał się powoli przechylać, zapadać się w miejscu, gdzie zaczął się pożar, jakby był zbyt zmęczony, by walczyć. Zginie. Ogień go pochłonie, nie pozostawiając niczego oprócz czarnych kości. Widziałem, że w oknach na niższych piętrach metal żarzy się czerwonym blaskiem. Żaluzje wyginały się pod wpływem gorąca. Widziałem baraki budowlane i znaki ostrzegawcze ustawione wokół placu. Potem wzbiliśmy się wyżej, niesieni przez przywołanego przeze mnie orła z plastikowych toreb. Mknęliśmy pod prąd deszczu, unosząc się na buchającym od budynku ciepłe. Widzieliśmy rozpościerające się pod nami miasto, galaktykę światła, nieskończoność wolframowych gwiazd rozsianych na ściągniętym na dół niebie, płynące rzeki czerwonych światła hamulcowych oraz białych reflektorów, srebrne błyski sypiące się spod kół pociągu, horyzont cienia w miejscu, gdzie nocne niebo spotykało się z nocnym miastem, czystą, świetlistą magią miasta nocą, tak piękną, że moglibyśmy stanąć w płomieniach od jej mocy, i zobaczyliśmy...

Zobaczyłem na dachu jakąś postać. Plastikowy orzeł obracał się powoli w powietrzu,

jak palce harfistki poruszające się po strunach.

Płonący mężczyzna wybiegł z drzwi. Płomienie trawiły jego stary wystrzępiony wełniany kapelusz, brudny płaszcz i spodnie, podarte buty, schodzącą na szyję brodę oraz sterczące zza uszu włosy. Krzyczał i łapał się rozpaczliwie za twarz, jakby próbował zedrzeć z siebie skórę i ugasić ogień krwią. Patrzył na nas i krzyczał. Umierał za długo, a gdy śmierć w końcu nadeszła, to nie było tak, że światło po prostu zgasło. Nie przestawał walczyć, dopóki gardło nie skurczyło mu się tak bardzo, że nie był już w stanie krzyżeć. Jego ciało zważyło się w kałużę, nie przestając płonąć. Z dachu wokół niego buchała para. Sauna w kostnicy.

My również zamknęliśmy oczy.

* * *

Lądowanie byłoby stanowczo zbyt łagodnym określeniem naszego powrotu na ziemię. Nasz plastikowy zbawca obniżył lot nad szeregiem segmentów o świeżo malowanych na czarno drzwiach. W ich czystych oknach paliły się światła. Gdy dotknąłem palcami nóg trawy na pobliskich błoniach, nie trzymałem się już orła szerokiego jak ciężarówka, lecz zwykłej plastikowej torby. Zaskoczony tym, runąłem w błoto. Kiedy się przewracałem, mój cień rysował się na ziemi w pomarańczowożółtym świetle latarni padającym zza rogu. Oda spadła tuż obok mnie i nie wstała. Moja ręka była ciężka jak ołowiana dźwignia napinająca wielką katapultę. Zwisła bezwładnie, nie słuchając poleceń. Poczułem na karku coś zimnego i miękkiego. Zdjąłem to. Plastikowa torba. Kolejne torby sypały się z nieba razem z deszczem, tańczyły w niesionych wiatrem ławicach, sunęły po trawie przesuwane wiatrem. Wygrzebałem się spod gromadzącej się powoli warstwy plastiku, złapałem Odę za ramię i spróbowałem ją podnieść. Ocknęła się powoli, wpatrzona w pustkę.

- Nadal żyjesz? - zapytałem.

Gapiała się na jakiś punkt położony nad moim ramieniem. Odwróciłem się i podążyłem za jej spojrzeniem. Nad tworzącymi horyzont dachami domów niebo przybrało różowoszkarłatną barwę. Dostrzegalem szczyt wieżowca, który przerodził się w ogromny stos pogrzebowy. Na ulicach wyły syreny, ale nie zostało już nic do zrobienia poza patrzeniem, jak gmach się pali.

- Chodź - wydyszałem, ciągnąc Odę ku granicy trawy.

Zdołała wykonać coś, co u nowo narodzonej antylopy można by uznać za chód. Dotarliśmy do najbliższego przystanku autobusowego. Był tam tylko słupek, bez wiaty mogącej zapewnić ochronę przed deszczem. Oparła się o niego, dysząc ciężko. Między

bliznami na jej twarzy spływały strugi deszczu. Kursował tędy tylko jeden nocny autobus, raz na dwadzieścia pięć minut. Zdjąłem kurtkę i okryłem nią Ode. Otuliła się nią ciasniej.

- Zimno.

- Chcesz ognia, chcesz deszczu, chcesz ziemi, daj mi jakieś wskazówki - poskarżyłem się.

- Gdzie jest dziewczyna?

- Jaka dziewczyna?

- Była tam.

- Gdzie?

- Tam.

- W płonącym domu?

- Nie wiem.

- To bardzo pomocne.

Po drugiej stronie ulicy przejechała ciężarówka, zalewając nas strugami wody z zablokowanej studzienki.

Gdzieś w mroku otworzyły się głośno drzwi. Usłyszałem kobiecy głos:

- Weź i wsadź to sobie w...! - krzyczała. Drzwi zatrzęsły się z hukiem.

Deszczówka spływająca po mojej twarzy miała kolor popiołu.

Zadzwoił telefon.

Odebrałem go. To znowu była Penny.

- Tylko sprawdzam - oznajmiła z westchnieniem.

- Hej, wydostałem się z płonącego wieżowca!

- Bomba. Czy mogę... no wiesz... w czymś ci pomóc?

- Hmm. Nie jestem pewien. Posłuchaj, jeśli chodzi o dzisiejszą lekcję...

- Jasne, wiesz, że nadal trzymam dla ciebie kolację? - odparła. - Jest kurewsko zimno, a ty wzięłeś i zniknąłeś, więc pomyślałam sobie, że wyświadczę ci przysługę, ale ty teraz robisz sobie jaja, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Penny, nie prosiłem o to, by przywołano mnie do samego środka płonącego budynku...

- A teraz masz mi do powiedzenia tylko „nie jestem pewien” i „zadzwonię później”. Jesteś dupa nie mentor.

Na końcu ulicy pojawiła się para jasnych reflektorów. Usłyszałem warkot silnika, który musiał wykonywać zbyt ciężką pracę przy niedostatecznej konserwacji. Odsunąłem telefon od ucha, pozwalając Penny złorzeczyć mi przez chwilę. Oda uniosła głowę, odrywając

spojrzenie od własnych butów, i odsunęła się trwożnie od zbliżających się świateł. Sięgnąłem do kieszeni, znalazłem kartę Oyster i ponownie przysunąłem telefon do ucha.

- ...i tyle, kurwa, to totalnie...

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o twoich napadach złości?

Na drugim końcu zapadła pełna urazy cisza.

- A teraz zaczerpnij głęboko tchu...

- Wsadź sobie!

- Powtarzaj za mną: „Wdycham gniew... i wydycham miłość...”.

Uniosłem rękę, by zatrzymać autobus. Penny zaczęła płynnie recytować długą listę precyzyjnych przekleństw. To był mały czerwony jednopoziomowy pojazd, jakie kojarzyłem z drobnymi staruszkami wybierającymi się na zakupy albo z dziećmi, które jeżdżą autobusami, bo nie mają nic innego do roboty. Kierowca - mężczyzna o bliskowschodnim wyglądem, z pieprzykiem na górnej wardze - przyjrzał się nam w lusterku wstecznym i nie chciał na nas więcej patrzeć. Poza nami w autobusie było pięć osób. Czarny mężczyzna, trzymający włosy o objętości większej niż głowa w worku z włóczki, noszący odblaskową kurtkę i buty ze stalowymi czubkami. Staruszek cuchnący potem i piwem, u jego stóp turlała się puszka po tym napoju, głowę miał pochyloną, nos różowy, a oczy błędziły po drugim świecie. Trzech chłopaków w za dużych budrysówkach i spodniach zaczynających się mniej więcej na wysokości kolan. Sprawiali wrażenie, że chcą, by wszyscy ich się bali, nie wiedząc właściwie dlaczego.

Posadziłem Odę na fotelu pokrytym podartymi nowymi gazetami oraz torbami po chrupkach. Pochyliła się, opierając głowę o zimną podrapaną szybę. W bezlitosnym białym świetle jarzeniówek jej twarz wydawała się bledsza niż zwykle.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Właściwie nie wybiegałem myślą naprzód aż tak daleko.

- Czarnoksiężnicy - burknęła ze skwaszoną miną. - Nigdy tego nie robicie.

- Pamiętasz, że jesteś mi coś winna? Potrzebujesz doktora.

- Żadnych doktorów.

- Musisz pojechać do szpitala.

- Żadnych szpitali.

- Posłuchaj, te odpowiedzi brzmią dla mnie irracjonalnie.

- Muszę się gdzieś przespać.

- Jasne. To wszystko naprawi.

- Znajdź mi jakieś ciepłe miejsce i tyle.

- Odo, muszę ci zadać kilka pytań...

- Później.

- Dostyc ważnych...

- Później.

Odwróciła się ode mnie i zamknęła oczy.

* * *

Wysiedliśmy z autobusu na południe od Greenwich, w martwej strefie, gdzie przebudowany obszar otaczający białą Millenium Dome przechodzi w stare przemysłowe wysypiska z przeszłości, gdzie zawsze śmierdzi zgniłymi jajami, a sklepy monopolowe są czynne przez całą dobę. Na trójrogim skrzyżowaniu stał budynek z żółtej cegły. Nad otwartymi oszklonymi drzwiami umieszczono różowo-niebieski neon oznajmiający: WOLNE MIEJSCA HOTELOWE. Za drzwiami był cienki czerwony dywan. Oda poruszała się jak ślepy trup. Pochylała głowę i powłóczyła nogami, jakby jej stopy przerodziły się w obgryzione przez psa pantofle włożone na końcówki kończyn wykonanych z zapalek. Dalej były drugie oszklone drzwi, tym razem zamknięte. Dzwoniłem przez dłuższy czas, nim wreszcie pojawiła się młoda kobieta z ufarbowanymi na rudo włosami i srebrnym wisiorkiem na szyi opatrzonym napisem „Cheryl”. Wpuściła nas ostrożnie do środka. Pachniało tam gotowaną fasolą, a z głębi dobiegały dźwięki telewizora.

- Słucham?

- Pokój dla dwojga?

Kilka razy obejrzała nas sobie od stóp do głów.

- Muszę pójść po mamę - oznajmiła wreszcie i oddaliła się pośpiesznie.

Oparłem Odę o ścianę pod zdjęciem przedstawiającym jakąś dawno już nieżyjącą babcię, której brakowała zęba na przedzie. Kobieta uśmiechała się szeroko, trzymając w ramionach pulchne niemowlę.

Po chwili dziewczyna wróciła, prowadząc za sobą kobietę o twardo zarysowanej brodzie, odzianą w obszerny czerwony szlafrok. Ciemne, rzadziejące włosy związała sobie siatką, a na szczęcie miała ślady jakiejś szarozielonej mazi robiącej nie wiadomo co z jej skórą.

- Chcecie pokój? - zapytała, przyglądając się mnie i Odzie.

- Tak. Dla dwojga osób na jedną noc.

- Mamy komplet.

- Neon nad waszymi drzwiami twierdzi, że jest inaczej.

- Nie mówi prawdy. Mamy komplet.

- Proszę pani, moja przyjaciółka ma cukrzycę - warknąłem. - Przed chwilą miała wypadek. Przyjechała karetka i wstrzyknęli jej mnóstwo jakiegoś świństwa. Teraz ledwie trzyma się na nogach, ale mówi, że nic jej nie jest. Nie chcę na razie próbować odwozić jej do Walthamstow. Mogę zapłacić, nie jesteśmy ćpunami, alfonsem i dziwką ani niczym w tym rodzaju. Chcę tylko położyć moją przyjaciółkę do łóżka, jasne?

Mamuśka popatrzyła na Córuchnę. Córuchna zerknęła na Mamuškę. Żadna z nich nie wyglądała na zadowoloną.

- Sto pięćdziesiąt funtów za noc - oznajmiła Mamuśka.

To była absurdalna suma.

- Dobra, nie ma sprawy - zgodziłem się.

- Płatne z góry.

- Proszę bardzo.

Zauważyłem, że Córuchna wykrzywiła usta, niezadowolona, że wyszedł na jaw ich blef, ale w oczach Mamuški pojawił się radosny błysk. Podsunęto mi kawałek papieru. Podałem wymyślony adres i podpisałem się jako Dudley Sinclair. Grzebałem przez chwilę w torbie, aż wreszcie znalazłem portfel. Było w nim dwadzieścia funtów gotówką oraz rachunek za pizzę. A także karta. Na jej przedniej stronie znajdowało się zdjęcie kobiety niemającej na sobie nic poza czarnymi gwiazdkami umieszczonymi w strategicznych miejscach. Po drugiej stronie był numer telefonu oraz mnóstwo zakłęk starannie wypisanych niebieskim długopisem. Osłoniłem kartę dłonią najlepiej jak potrafiłem i wsunąłem ją do czytnika. Wyświetliła się suma 175 funtów.

- Sto siedemdziesiąt pięć? Miało być sto pięćdziesiąt - zaprotestowałem.

- Z VAT-em - odparła Mamuśka.

- Dobra.

Wpisałem przypadkowo wybrany czterocyfrowy PIN, przepraszając w myślach wszystkich bogów ekonomii, których mogłem obrazić tym szybkim nielegalnym zakłękiem. Po zastanowieniu maszyna zaakceptowała kartę.

- Najwyższe piętro - oznajmiła Mamuśka i dała mi klucz z drewnianym wisiorkiem. - Śniadanie jest od siódmej do dziewiątej.

- Macie tu windę? - zapytałem.

- Nie. - Podała mi małą plastikową torebkę. W środku była różowa szczoteczka do zębów, pełna tylko w połowie tubka pasty do zębów oraz beżowa myjka do twarzy. - Na koszt firmy - wyjaśniła.

Wyszczrzyliśmy zęby w trupim uśmiechu śmierci, która zstąpiła na ziemię, i zaprowadziłem Odę na górę.

* * *

W naszym pokoju było dwuosobowe łóżko, telewizor stojący na małym i chwiejnym stoliku, nocny stolik wielkości patelni, wystrzępiona Biblia, wystrzępiony katalog firm, grube zasłony, okno, które się nie otwierało, oraz kaloryfer nastawiony na maksymalną temperaturę. I nie było gdzie stanąć. Mówiąc krótko, był to wyłożony tapetą pokój na strychu. Spadzisty dach tylko pół centymetra dzieliło od wezglowia łóżka. Oda zwała się na nie i zwinęła w kłębek jak dziecko. Odwróciwszy się bokiem, można było wejść do łazienki. Jeśli ktoś miał krótkie ręce i nie czuł potrzeby, by nimi ruszać, w środku wystarczało miejsca dla niego, sedesu, zlewu i plastikowej kabiny prysznicowej. W lustrze, poszarzałym na brzegach od zaprawy murarskiej, dostrzegłem wyblakłego ducha o przypalonych włosach i oczach stanowczo zbyt niebieskich, by pasowały do brudnej od sadzy i mokrej od deszczu twarzy. Odwróciłem wzrok, nie chcąc spędzać zbyt wiele czasu w towarzystwie tego cienia, i nalałem do jedyne go plastikowego kubka stojącego na zlewie zimnej wody. Zniosłem ją Odzie i ukląknę przy łóżku.

- Napijesz się? - zapytałem.

Nie odpowiedziała.

Wydawało się, że zasnęła. Oczy miała zamknięte, a zaciśnięte pięści uniosła do ust, jak zamarły w bezruchu obraz krzyku. Wyjąłem myjkę z torebki, zamoczyłem ją i wytarłem twarz kobiety. Róg szmatki przybrał czerwono-czarny kolor. Zdjąłem Odzie płaszcz i cisnąłem go na dno kabiny prysznicowej. Potem odkręciłem zimną wodę, by choć częściowo zmyła krew. Przetoczyłem kobietę na plecy. Nie poruszyła się. Czując się jak lubieżny przestępca, zdjąłem jej koszulę.

Brzegi małej dziury po nożu były sztywne od zakrzepłej krwi.

Pod spodem była druga, taka sama dziura. Przebijała skórę i ciało między żebrami, prowadząc prosto do serca. Zakrzepła krew zmieniła się w czarną zatyczkę, a otaczające ranę ciało było czerwone i obrzękłe. To nie było płytkie nacięcie, lecz głęboka rana kluta piersi.

Oczyściłem ją najlepiej, jak potrafiłem, a potem nakryłem Odę kocem i poszedłem się umyć. Palce mnie swędziały, były czerwone i obolałe. Dwa krzyże na dłoni również mnie bolały. Usiadłem na skraju łóżka, podciągając kolana pod brodę, i pogrążyłem się w zamyśleniu. Nie dostrzegałem w tej sytuacji nic dobrego.

Choć nie było to moim zamiarem i podłoga z pewnością do tego nie zachęcała, w

końcu zasnąłem.

* * *

Obudził mnie telefon.

Pokój oświetlał jedynie sączący się w przerwach między zasłonami blask latarni oraz od czasu do czasu białe reflektory jadącego ulicą samochodu. Oda leżała tam, gdzie ją zostawiłem, choć w jakimś punkcie nocy szamotała się gwałtownie, naciągając sobie koc na głowę. Odebrałem telefon.

- Słucham? - zapytałem sennym tonem.

- Pan Burmistrz? - usłyszałem w odpowiedzi głos ostry i precyzyjny jak zatemperowane ołówki na biurku jego właścicielki.

- Tak.

- Dzień dobry, panie Burmistrzu. Mówi Dees, z biura.

- Która godzina?

- Piąta czterdzieści trzy. Czy panu przeszkodziłam?

- Nie potrzeba mnie dodatkowo irytować, pani Dees. I tak mam na głowie mnóstwo kłopotów.

- Obawiam się, że wydarzyło się coś bardzo ważnego.

- A ja myślałem, że dzwoni pani do mnie o tej absurdalnej godzinie w jakiejś trywialnej sprawie.

- Mogę zapytać, gdzie pan jest?

- Czy to filozoficzne pytanie?

- Chcę się dowiedzieć, jak szybko może pan dotrzeć do Sidcup.

Poderwałem się nagle jak cel na strzelnicy.

- Do Sidcup? Dlaczego akurat tam?

- Mam wrażenie, że tam właśnie może się zacząć wojna, która zniszczy nasze miasto.

Szczerze mówiąc, panie Burmistrzu, wołałabym przekazać panu szczegóły osobiście. Gdzie możemy się spotkać?

Spojrzałem na Odę. Nadal spała.

- Jestem tu trochę uwiązany.

- Czy muszę panu powtarzać tę część o wojnie, która może zniszczyć miasto? A może naprawdę przykuto pana kajdanami do muru i nie jest pan w stanie szybko się uwolnić za pomocą jednej z licznych dostępnych dla pana metod?

Uszczypnąłem się w grzbiet nosa. Ból nieco mi pomógł.

- Pani Dees - zacząłem. - Mógłbym przysiąc, że gdy zwalono mi na głowę zajęcie mistycznego obrońcy miasta, powiedziano mi, że Rajcy są po mojej stronie.

- Bo tak jest, panie Burmistrzu. Myślę, że gdyby przyjrzał się pan uważniej, również by pan to zauważył. Czy mogę pana namówić na służbową rozmowę przy śniadaniu?

* * *

Miasto spało. Deszcz przestał padać, ale czarne chodniki nadal pokrywała srebrzysta warstewka wilgoci, słychać też było *kap, kap, kap* ściekającej z drzew wody. Poszedłem na najbliższy przystanek autobusowy i zacząłem czekać.

Po chwili nadjechał prawie pusty piętnus. Na szybach wydrapano rozmaite znaki:

B n L

Sal ♥ Pete'a

☺

Zauważyłem nocnych robotników zwijających sprzęt. Beczki z dymiącą smołą ładowano na skrzynie ciężarówek, a wiadra z parującą syczącą farbą zakrywano i również chowano. Drzwi samochodów dostawczych zamykały się, zasłaniając nieliczne półki nadal zastawione świeżym mlekiem. Wielkie ciężarówki mknęły ku magazynom położonym za M25, kierowcy kiwali głowami w rytm niesłyszalnego dźwięku radia.

Podmiejskie ulice położone na wschód od Greenwich ustępowały powoli miejsca wysokim i dumnym budynkom tej dzielnicy. Widziałem już mroczny cień obserwatorium na szczycie wzgórza. Zielony promień lasera bijący z jego szczytu symbolizował miejsce, w którym wschód świata styka się z zachodem. W niskim, zbudowanym z białej cegły Greenwich Market światła były zgaszone, a żaluzje zasłaniały okna wystaw sklepów z mosiężnymi marynistycznymi antykami, powiązanych w węzły linami, mapami i kompasami dla domów, w których musiało być wszystko. Wysiadłem z autobusu przy stacji metra i ruszyłem przed siebie, mijając ciemne restauracje i słabo oświetlone wystawy sklepów odzieżowych. Czuję zapach rzeki, czysty chłód w powietrzu wypierający typowy dla miasta brud - zauważalny jedynie przez jego brak, jak silnik statku, gdy nagle przestanie pracować.

Canary Wharf było skupiskiem biało-srebrnych wieżowców. Szczyty najwyższych muskały chmury.

Skreśliłem w zaułek między kościołem z czerwonej cegły a szeregiem małych sklepów, w których sprzedawano wszystko od *Zabytkowych souvenirów* aż po **Tradycyjną**

niedzielną pieczeń za jedyne 12.99. Szedłem naprzód tak długo, aż wreszcie dotarłem do małych niebieskich drzwi. Umieszczono nad nimi szyld z napisem *Koreańska Restauracja Kima - Smak Orientu*.

Zapukałem i drzwi się otworzyły.

Opuściłem wzrok, a potem opuściłem go jeszcze trochę bardziej, spoglądając na czaszkę niemal całkowicie łąsą, poza tylko kilkoma kosmykami siwych włosów. Głowa się uniosła i ujrzałem twarz pomarszczoną jak wyschnięty na słońcu pomidor. Para warg poruszyła się z cmoknięciem, odsłaniając bezzębne dziąsła.

- Czy jest pan śmiercią? - zapytało zgrzybiałe stworzenie w zielonych pantofelkach i szlafroku ozdobionym żółtą kaczuszką.

- Hmm, nie.

- Jest pan pewien?

- Hmm, tak.

- Jest pan aniołem?

Oblizaliśmy wargi. Jeśli podczas naszego bytowania czegokolwiek się nauczyliśmy, to z pewnością tego, że nie wolno nie doceniać mocy małych staruszek.

- W pewnym sensie - przyznaliśmy.

- Przychodzi pan z rady w sprawie śmierci?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Nie mam pojęcia, proszę pani. Hmm... czy jest pan Kim?

Westchnęła i cmoknęła jeszcze kilka razy.

- Zajęty, zajęty, zajęty - poskarżyła się i wróciła do środka. Ujrzałem za nią mały korytarz z duszą mandatu za parkowanie w niedozwolonym miejscu i poczułem jakąś ostrą woń. - Proszę za mną, proszę za mną, proszę za mną! - zawołała, oglądając się na mnie.

Ruszyłem za nią korytarzem.

Srebrzyste metalowe drzwi na jego końcu prowadziły do kuchni, gdzie rondle były nieskazitelnie czyste, a podłoga trochę mniej. W powietrzu unosiła się para, buchająca z sięgającego kolan gara, w którym gotowały się dziwne zielonkawoszare rośliny. Na ścianie wisiały korzenie i zioła - potrafiłbym nazwać najwyżej połowę z nich - a na wszystkich płaskich powierzchniach leżały różowe kawały mięsa czekające na pokrojenie. Przy długim stole warsztatowym siedział mężczyzna pochylający głowę nad miską czegoś, co wymagało siorbania. Kobieta podeszła do niego.

- Mówi, że nie jest śmiercią, aniołami ani nie przychodzi z rady. Myślę, że kłamie!

Mężczyzna odwrócił się bokiem. Na jego drobnej, pyzatej koreańskiej twarzy wykwitł uprzejmy uśmiešek. Miał na sobie białą świeżo wyprasowaną koszulę i czarne świeżo wyprasowane spodnie. W jednej ręce trzymał miskę gęstej zupy, a w drugiej parę pałeczek.

- Pan Swift - zaintonował, wskazując mi stołek. - To dla nas zaszczyt. Pani Dees już jedzie.

Usiadłem na stołku i przyjrzałem się ustawionej przed Koreańczykiem tacy. Miał na niej mnóstwo małych miseczek. Poznawałem ryż i sałatkę, ale substancja o kwaśnym zapachu przypominająca stary papier pakowy oraz danie złożone z szarych prostopadłościennych bryłek, wyglądających, jakby je wydalila jakaś obmierzła machina, wykraczały poza moje możliwości.

- Śniadanie? - zapytał.

- Hmm, dziękuję, nie jestem głodny.

- Herbaty?

- Z chęcią.

- Mamo! - wrzasnął mężczyzna.

Staruszka się skrzywiła.

- Herbata - poskarżyła się. - Herbata, herbata, herbata! No wiesz, ja cię tylko urodziłam. Tylko poświęciłam dla ciebie życie, twój biedny ojciec zapracował się na śmierć, moja młodość, moja siła, to nic cię nie obchodzi, tylko herbata!

Oddaliła się z niezadowoleniem.

- Nie zwracaj uwagi na staruszkę - rzekł gospodarz. - Jej czas wkrótce nadejdzie.

Uśmiechnąłem się najładniej, jak potrafiłem.

- Przepraszam, ale powiedziano mi, że mogę tu się spotkać z kimś z Rajców - odezwałem się słabym głosem. - Czy jest pan...?

- Specjalistą od kontaktów z miejscowymi społecznościami - wyjaśnił. - Rajcy korzystają z moich usług, by kontaktować się z pewnymi mistycznymi społecznościami, które mogą nie być przyzwyczajone do myśli, że w tym mieście nie wolno rzucać klątw na firmę swego wroga bez odpowiedniego pozwolenia.

- Trzeba mieć pozwolenie, żeby przekląć wroga?

- Tylko wtedy, jeśli ktoś da się złapać. Na pewno nie da się pan namówić na coś do jedzenia? Kimchi?

Pałeczka wskazała na miseczkę substancji o kwaśnej woni.

Uśmiech zamarł mi na ustach.

- Nie jestem głodny - zapewniłem ponownie.

- Niech mi pan powie, jeśli zmieni pan zdanie.

Staruszka wróciła z tacką, na której stały dwie małe filiżanki bez uchwyty oraz piękny czajniczek z białej porcelany. Postawiła tackę przed nami i łypnęła ze złością na mnie, a potem na syna.

- Cukru? Mleka? Śmietanki? Napalmu?

- Mamo - skarcił ją mężczyzna - to by było wszystko.

- Światła wkrótce zgasną, a ty chcesz tylko herbaty!

Cmoknęła i poszła sobie.

Mężczyzna, który zapewne był panem Kimem, ponownie odsłonił w uśmiechu niewielkie białe zęby.

- Była kiedyś jasnowidząca, ale wpadła w ręce Publicznej Służby Zdrowia i teraz, no wie pan, tabletki...

Pokiwałem głową z otepiałą miną kogoś, kto wie, oczywiście, rozumie, no pewnie, i czy to nie smutne?

Rozmowa utknęła w martwym punkcie.

Kim nalał herbaty.

Piłem ją ostrożnie, łyżek po łyżku, bojąc się napalmu.

Była w porządku.

- To pana lokal? - zapytałem wreszcie.

- Tak. Wynagrodzenie dla specjalisty od kontaktów z miejscowymi społecznościami jest bardzo kiepskie. Czasy są ciężkie.

- Dobrze panu idzie?

- Nie najgorzej. Dorabiam też błogosławieniem samochodów.

- W jaki sposób to działa?

- Och, oferuję bardzo różne rodzaje błogosławieństw. Najpospolitsze to błogosławieństwo tysiąca szmaragdów. W przekładzie znaczy to, że gdy samochód nadjeżdża, wszystkie czerwone światła zmieniają się w zielone, bez względu na to, jak je zaprogramowano. Skraca czas dojazdu o połowę.

- Ile pan za to bierze?

- Osiem tysiąków za samochody osobowe, dziesięć za kombi, piętnaście za furgonetki i większe. Za pojazdy o wysokiej emisji spalin biorę więcej.

- Widzę, że dba pan o środowisko.

- Wszyscy musimy wnieść swój wkład. A pan?

- Ja?

- Z czego pan żyje?

Zastanawiałem się przez chwilę nad tym pytaniem.

- Niszczymy wrogów miasta, odpieramy niepowstrzymane ciemności i oczyszczamy noc ze stworzeń, które budzą w nas strach - odpowiedzieliśmy wreszcie. - Ale płaca jest bardzo kiepska - dodałem po chwili.

Tym razem to Kim pograżył się na chwilę w myślach.

- Dostaje się za to emeryturę? - zapytał.

- Nie sądzę, by spodziewano się, że pożyję wystarczająco długo, by się dowie...

Za nami rozległ się stukot uderzających o płytki obcasów. Poderwałem się nagle, dziwiąc się, jak bardzo jestem podenerwowany. W drzwiach stała Leslie Dees - równe pięć stóp wzrostu, czarny elegancki kostium, wystająca broda, ostry jak ołówek nos, proste myszowate włosy obcięte tuż nad poziomą linią ramion, szare oczy, piegi na twarzy i teczka w ręce.

- Dzień dobry, panie Burmistrzu. Dzień dobry, panie Kim - przywitała nas uprzejmie pozbawionym akcentu tonem z BBC. Nic w jej głosie niczego nie zdradzało.

- Cześć. - Westchnąłem. - Herbaty?

Kobieta sprawiała wrażenie, że porusza się bez używania kolan. W mgnieniu oka dotarła do pana Kima i położyła teczkę obok tacy.

- Dziękuję, przed wyjściem piłam kawę. Bardzo serdecznie panu dziękuję za współpracę podczas tych wydarzeń, panie Kim.

Nawet nieodłączny uśmiezek Koreańczyka zachwiał się w starciu z arystokratyczną nieprzeniknionością pani Dees.

- Zawsze z chęcią wam pomagam - wymamrotał mężczyzna.

- Doceniamy to.

Nie poruszyła dłonią, nie skinęła głową ani nie zatrzepotała rzęsami, ale było oczywiste, że każe mu odejść. Promieniowało to ze wszystkich schludnych linii jej ciała. Pan Kim również to zauważył i postąpił najrozsądniej, jak tylko mógł, oddalając się ze spuszczoną głową. Stygnący posiłek zostawił na ławie. Dees usiadła na opuszczonym przez niego miejscu i natychmiast zwróciła się ku mnie, otwierając teczkę.

- Sprawa jest poważna, panie Burmistrzu.

- Cześć - odparłem ze zdumieniem. - Ja też się cieszę, że panią widzę. Jak się pani dziś czuje, pani Dees? Jak dziecko?

- Panie Burmistrzu, chyba ma pan na spodniach ślady ognia - zauważyła.

Spojrzałem w dół.

Krew i sadza zaabsorbowały mnie tak całkowicie, że nie zwracałem uwagi na własne kostki.

- Wie pani co, pani Dees? Chyba ma pani rację.

- Czy mogę zapytać, skąd pochodzą?

- Pani Dees, czy przyjęto panią w poczet Rajców z uwagi na pani takt i umiejętność współpracy z ludźmi, czy raczej chodziło o umiejętność zamieniania wrogów w parę jedną myślą?

Uśmiechnęła się. Za wyciętą w papierze dziurą ukazały się na moment błyszczące jak diamenty zęby.

- Miejmy nadzieję, że nigdy nie będzie pan musiał tego sprawdzać, panie Burmistrzu.

- Niech mnie pani tak nie nazywa.

- A jaką inną formę pan woli?

- Prawie każdą. No jazda. Słucham. Co jest tak absurdalnie ważne, że musimy się spotykać o niedorzecznej porze w pokoju cuchnącym kiszoną kapustą, by odbyć na ten temat serdeczną pogawędkę?

Westchnęła i pochyliła się ku mnie, wspierając łokcie na kolanach, a brodę na dłoniach.

- Daimyo Neonowego Dworu padł ofiarą morderstwa.

Uniosłem brwi, czekając na więcej.

- Neonowy Dwór oskarża Plemię.

Nadal czekałem na dalsze rewelacje.

- Grozi wypowiedzeniem wojny. - I co mi do tego?

- Panie Bur... panie Swift, czy naprawdę chce pan, by dwa najbardziej bezlitosne magiczne klany w mieście próbowały unicestwić się nawzajem na jego ulicach?

Tym razem to ja pochyliłem się ku niej. Spojrzeliśmy jej prosto w oczy i trzeba przyznać, że nie odwróciła wzroku. Bardzo niewielu śmiertelników to potrafi.

- Pani Dees - zacząłem - wytłumaczmy to sobie z całkowitą jasnością. Neonowy Dwór, banda narcystycznych koniotrzepów, którzy jeszcze nie pogodzili się z faktem, że era Dworu Elfów minęła, serdecznie nienawidzi Plemienia, bandy samookaleczających się koniotrzepów, którzy nie pogodzili się jeszcze z faktem, że świat nie chce załatwić ich osobiście. Kogoś gdzieś zabito, co jest bardzo smutne, i teraz chcą się wymordować nawzajem. Co mi do tego?

- Pańskim zadaniem jest ochrona miasta przed nieodpowiedzialnym użyciem magicznych mocy.

- Nie uważam, żeby było takie nieodpowiedzialne. O ile mi wiadomo, ani Dwór, ani Plemię nigdy nie płaciły podatku lokalnego. Nie mam też zbyt dobrej opinii o etyce tych grup. Dwór to zarozumiałe skurwysyny zachwycone samymi sobą, a Plemię to gniewne skurwysyny nienawidzące całego świata. Dlaczego miałbym się w to mieszać?

- Dlatego że do miasta ma przybyć Lady Neon, panie Burmistrzu.

Umilkłem na dłuższą chwilę.

Zastanawiałem się.

Dees mi na to pozwoliła.

Wreszcie dotarłem do jedyne go możliwego wniosku.

- O, cholera.

* * *

Oto opowieść o Neonowym Dworze.

Właściwie krąży kilka różnych opowieści, ale tę zawsze lubiłem najbardziej i najczęściej też się ją powtarza.

Dawno temu, w czasach, gdy życie nadal było magią i skupiało się w drzewach, lasach, rzekach i wzgórzach, w dawnych czasach dzikiej magii zrodzonej ze splątane go bluszczu i kropli deszczu, nim jeszcze światła rozjarzyły się neonowym blaskiem, a zaklęcia zamigotały elektryczną furią, istniał sobie Dwór Elfów. Był piękny, zmysłowy, potężny, bogaty, dekadentcki i niebezpieczny. Jedno muśnięcie ust elfa wystarczało, by zaczarować człowieka, jeden szept ich królowej na zawsze zmieniał losy państw.

Niestety, Dwór Elfów nie szedł z duchem czasu. Nie przewidział tego, że parowe lokomotywy przeorzą krajobraz, a fabryki odbarwią niebo. Czasy się zmieniły i magia razem z nimi. Przeniosła się z ludźmi do miast, gdzie nasiąkła dymem, kamieniem i brzękiem metalu. Dwór Elfów chylił się ku upadkowi, a ci, których pobłogosławił, marnieli, aż w końcu nie zostało nic poza zakurzona dziupła wryta w sercu drzewa, rozpadająca się powoli, gdy nadchodziła pora spadania liści.

Pewnego dnia, pewnego niewyróżniającego się niczym szczególnym dnia na samym początku dwudziestego wieku, przedsiębiorcza księżniczka Dworu, jedna z ostatnich, doszła do wniosku, że zamiast siedzieć w domu i patrzeć, jak jej świat kurczy się i umiera, wyruszy na badania nowego świata. Zaczęła podróżować, odwiedziła wszystkie miasta na świecie, a po drodze zrozumiała tę nową miejską magię i nauczyła się nagiąć ją do swej woli. Gdy wreszcie zakończyła podróże, wezwała wszystkich swych ocalałych poddanych oraz przyjaciół, a potem oznajmiła im, że zakłada nowy dwór, Neonowy Dwór, którego serce

będzie leżało w sercu miast, magia będzie nową magią, a zwyczaje nowymi zwyczajami. Wkrótce w Tokio, Nowym Jorku, Londynie i Makau, w Stambule i Kuala Lumpur, w każdym mieście, gdzie światła paliły się nocą wystarczająco długo, a na końcu ulicy było słychać muzykę, Neonowy Dwór wznosił swoje pałace, by płasć w nich bez końca i zwabiać co bardziej nieostrożnych przedstawicieli rodu ludzkiego do swych legowisk, gdy już zajdzie słońce. Tak właśnie powstał daimyowie, którzy władali filiami Dworu w każdym mieście, w którym zawitał; a także wojownicy i poddani, ludzie, którzy sprzedali Dworowi swe ciało i duszę w zamian za to, co wyglądało jak zabawa ich życia. A gdy zrobili się za starzy, za brzydki albo zbyt zmęczony, by uczestniczyć w igraszkach Dworu, próbowali się uwolnić i przekonywali się, że to niemożliwe. Znaleźli się w pułapce jako zabawki potwora, który nigdy nie śpi.

Z czasem sama Lady Neon stała się niewiele więcej jak mitem, postacią widywaną tylko w cieniach rzucanych w blasku ulicznych latarni. Przemieszczała się z miasta do miasta, cały czas ścigając noc i unikając słońca. Była imprezowiczką o ustach mogących uwieść każdą istotę, której dotknęły, a jeśli wierzyć mroczniejszym opowieściom, pochodzącym z zaułków Soho, Itaewonu, Harlemu czy Galaty, potworem i morderczynią uśmiercającą wszystkich, którzy stanęli jej na drodze. Albowiem Neonowy Dwór powoli przemieszczał się do miast i mieszkało już w nich wiele innych klanów, z którymi musiał rywalizować. Biali, których magią była farba; motocykliści, których mocą była prędkość; czarownicy, oddający cześć Siedmiu Siostrze i liniom mocy wytyczonym przez metro; Plemię, nade wszystko ceniące siłę; Wieża, która łaknęła życia; Gildię; jasnowidzów; czarnoksiężników; Rajców. Było tylko kwestią czasu, kiedy Neonowy Dwór wejdzie w konflikt z jedną albo kilkoma z tych grup. Okazał się bezlitosnym uczestnikiem gry. Słowa „Strzeż się jej fioletowego pocałunku” stały się bardzo dosłownie rozumianym ostrzeżeniem, wyszeptanym przez tych, którzy mieli szczęście i przeżyli.

W końcu, w większości miast świata zawarto rozejmy, z nielicznymi wyjątkami. Nie tylko Londyn miał Nocnego Burmistrza. Każde miasto wytworzyło własne mechanizmy mające się uporać z zaburzeniami spowodowanymi pojawieniem się Neonowego Dworu. Sam Dwór jednak nie zniknął. Był jak ogień, który tli się pod pokładem, czekając na szansę przerodzenia się w kolejną pożogę. Choć na ogół pożar pozostawał pod kontrolą, jedno zawsze niezawodnie rozpałało jego furję: przybycie królowej dworu. Lady Neon.

To doprowadziło mnie z powrotem do tego samego wniosku.

* * *

- O, cholera. Naprawdę?

- Tak. Przylatuje z Bombaju za czterdzieści minut. Jej ambasador wysłał natychmiast pismo do Rajców, domagając się - a właściwie żądając - naszej pomocy przeciwko agresywnym poczynaniom Plemienia.

- Zażądała pomocy Rajców?

- Tak.

- Czy to nie naiwne z jej strony?

Pani Dees lekko odetchnęła. Mogło to być westchnienie.

- Mamy sojusz obronny z Dworem.

- Przepraszam, co mamy?

- Sojusz obronny. Podpisany w roku 1959 pakt wzajemnej pomocy. Gdy jedna ze stron zostanie zaatakowana, druga udzieli jej wsparcia.

Mój nastrój zdołał się pogorszyć jeszcze bardziej.

- A kto dokładnie go podpisał?

- Nocny Burmistrz i Lady Neon.

- Niczego nie podpisywałem! Jeszcze nie było mnie wtedy na świecie, do cholery!

- Ale jest pan Nocnym Burmistrzem. Premierów obowiązują traktaty podpisane przez ich poprzedników, nawet jeśli im się nie podobają.

Uniosłem palec w ostrzegawczym geście, wskazując prosto na ostry koniec jej nosa.

- Dobra, powiedzmy to sobie jasno. Jakiś facet nie żyje, Dwór oskarża o to Plemię, i Lady Neon spodziewa się, że będę dla niej walczył z powodu jakiegoś świstka papieru podpisanego ponad pięćdziesiąt lat temu? Jak mam to opisać w uprzejmych słowach?

- Obawiam się, że na tym jeszcze nie koniec.

Osunąłem się na blat, trącając łokciem miseczkę z chili.

- No pewnie.

- Incydent, w którym zginął daimyo, pochłoniął również życie co najmniej pięciu innych osób, być może więcej. Samego daimyo Neonowego Dworu, jednego z jego ludzi oraz dwóch osób prawdopodobnie będących członkami Plemienia, choć do tej pory tego nie potwierdzono.

- I wszyscy jednocześnie znaleźli się w tym samym miejscu?

- Mówię tylko o ciałach, które udało się zidentyfikować, ale tak to wygląda.

- Mówiła pani o pięciu ofiarach?

- Piąta dała się zaskoczyć pożarowi i zginęła. To był bezdomny, który mieszkał w wieżowcu. Ciało uległo poważnym uszkodzeniom i mamy za mało materiału do identyfikacji.

Nie śpieszyłem się z następnym pytaniem, żeby słowa przypadkiem nie ożyły własnym życiem.

- Jakemu... pożarowi?

- Spłonął opuszczony wieżowiec w Sidcup. Daimyo zginął od własnego tanto.

- Tanto?

- To krótki miecz, łatwy do ukrycia, ze zdobną gałką z kryształu.

Znieruchomiałem.

- Naprawdę?

- Tak.

- Daimyo... to ważna szycha we Dworze, zgadza się?

- Bardzo ważna. Daimyowie władają lokalnymi Dworami w miastach. Stoją tylko o szczebel niżej od Lady Neon.

- I... czy coś jeszcze było z nim nie w porządku? Poza tym, że wbito mu miecz w plecy?

- Nie mówiłam, że w plecy - odparła spokojnie. - Mówiłam, że zginął od miecza.

Wzruszyłem ramionami, stanowczo zbyt niedbale.

- Tak tylko mi się powiedziało. Jest coś jeszcze?

Musieliśmy się zmusić do tego, by nadal patrzeć jej w oczy.

- Miał twarz poparzoną kwasem.

- Kto znalazł ciała?

- Straż pożarna. Pożar udało się opanować półtorej godziny temu, ale nadal jest zbyt niebezpiecznie, by wchodzić do budynku. Nie ma wątpliwości, że to podpalenie. Ogień szerzył się za szybko i nie może być przypadkiem to, że w środku znaleźli się daimyo Neonowego Dworu oraz dwóch żołnierzy Plemienia.

- Z pewnością - zgodziłem się z westchnieniem. - I Neonowy Dwór chce wojny, tak?

- W rzeczy samej.

- A co na to Plemię?

- Plemię utrzymuje... bardzo ograniczone kontakty z Rajcami. Często też odmawiało uznania autorytetu Nocnego Burmistrza.

- Z jakiego powodu?

- Nieposłuszeństwo i lekkomyślność to właściwie wszystko, co składa się na jego filozofię.

- A może Nocny Burmistrz zawsze zachowywał się jak palant? - podsunąłem.

- Panie Burmistrzu...

- Tak tylko sobie mówię. To taka sugestia. Uważam, że należy rozważyć podobną możliwość... - Umilkliśmy na chwilę. - W porządku. Co teraz powinienem zrobić?

- Zgodnie z warunkami traktatu z Neonowym Dworem mamy dwadzieścia cztery godziny na zbadanie wszelkich nieregularności, które mogłyby się stać podstawą dla agresywnej odpowiedzi.

- A w zwykłych słowach?

- Musimy w ciągu doby sprawdzić, czy Plemię rzeczywiście zabiło daimyo, podpaliło budynek i zaczęło wojnę.

- A potem?

- Zgodnie ze słowami pewnego sławnego amerykańskiego prezydenta: kto nie jest z nami, jest przeciwko nam.

- Wie pani co, pani Dees? Myślę, że zawodowi praktykujący magowie powinni zostawić formułowanie traktatów zawodowym praktykującym dyplomatom. To tak, jakbym powiedział: „Hej, kiedyś nakleiliśmy ci plaster na łokieć! To znaczy, że potrafię rozpoznać infekcję wirusową!”.

- Gdy tylko w budynku będzie bezpiecznie, wyślemy do niego ekipy ekspertów medycyny sądowej.

- A czy Neonowy Dwór rozumie takie pojęcia, jak „medycyna sądowa”?

- Dwór i Plemię zawsze nienawidziły się nawzajem. Trwający od kilku lat pokój od początku był niepewny. Od czasu do czasu zdarzają się konflikty i ataki, rzuca się klątwy i dochodzi też do gorszych incydentów. Ale to pierwszy przypadek, by do Londynu przybyła Lady Neon.

- Ehe. Zjawiała się bardzo szybko. Dowiedzieliście się o śmierci daimyo dopiero półtorej godziny temu, prawda? A ona za czterdzieści minut ma przylecieć tu z Bombaju.

Pani Dees umilkła na chwilę.

- Tak, to rzeczywiście interesujące - zgodziła się wreszcie.

Znowu zapadła cisza.

- Pani Dees?

- Słucham, panie Burmistrzu.

- Jeśli się okaże, że to nie Plemię zabiło daimyo i podpaliło budynek, co się stanie z frajerem, który to zrobił?

- Neonowy Dwór zapewne wytropi go i zabije.

- I my na to pozwolimy?

- To było morderstwo.

- A może działał w obronie własnej? Może ten cały daimyo okazał się okropnym chamem?

- Nie warto ryzykować wojny z Neonowym Dworem dla uratowania jednego człowieka - odparła. - Takie są polityczne realia.

Skinąłem głową, westchnąłem, wstałem i się przeciągnąłem.

- Ehe. Tak sobie myślałem, że powie pani coś takiego.

- I co pan teraz zrobi?

- Pójdę się przejść. Muszę się zastanowić.

- Czy to... - Przerwała w pół zdania. - Zawiadomię pana, jeśli wydarzy się coś nowego.

- Świetnie.

- O dziewiątej mamy pilne zebranie ścisłego kierownictwa celem omówienia sytuacji.

- Oszczędźcie mi tego.

- Panie Swift? - Obejrzałem się na kobietę, zmierzając ku drzwiom. Jej twarz miała spokojny poważny wyraz. Wpatrywała się w papiery, które przekładała bez celu w teczkę. - To teraz pana odpowiedzialność, czy to się panu podoba, czy nie. To, co tu się wydarzy, będzie miało na pana wpływ, bez względu na to, jaką decyzję pan podejmie. Dlatego równie dobrze może pan ją podjąć.

- Wiemy o tym. - Westchnęliśmy. - I to nas wkurza. Jak się nazywał?

- Kto?

- Daimyo. Sługa Neonowego Dworu. Nieboszczyk z mieczem w... zabity mężczyzna o twarzy poparzonej kwasem?

- Minjae San. Był mistrzem Dworu Soho, jednym z triady.

- Przypuszczam, że czas na uprzejmą perswazję już minął?

- Pańskie przypuszczenia są trafne, panie Burmistrzu.

- Miłego dnia, pani Dees - powiedziałem i ruszyłem ku drzwiom, machając od niechcienia ręką w geście pożegnania.

- Miłego wieczoru, panie Swift - odpowiedziała, nie odrywając wzroku od papierów.

Zawahaliśmy się, usłyszawszy tę odpowiedź, a potem potrząsnęliśmy lekko głową i wyszliśmy.

Część I

Światła gasną

*W której wojna się szerzy, znika strefa biletowa,
a chodzący trup stanowczo odmawia uznania
własnej śmiertelności.*

Miałem wrażenie, że słyszę kroki w ciemności za sobą.

Przystanąłem i zajrzałem do zaułka, z którego przed chwilą wyszedłem.

Nikogo tam nie było.

Ulice Greenwich wypełniały autobusy. Za wszystkimi szybami widziałem twarze tłoczących się pasażerów. Puste oblicza ludzi gapiących się bez zrozumienia na świat zewnętrzny, ale niewidzących nic poza własnymi myślami. Mundury ludzi pracujących w mieście - garnitury i krawaty dla urzędników, dzinsy i T-shirty dla trendy „kreatywnych” pracowników, odblaskowe kamizelki dla budowlanych. Szkolne dzieci w ubiorach o szczególnym brązowym odcieniu znanym jako „skromna sraczka”, dźwigające na ramionach czarne plecaki i przyciskające do uszu telefony komórkowe. Poczulem woń czosnku bijącą z otwartych drzwi włoskiej restauracji, a także zapach świeżego chleba, sztucznie wypompowywany z supermarketu.

Musiałem dotrzeć do Ody.

Skierowałem się w stronę stacji kolejowej. W południowym Londynie obowiązują inne zasady geograficzne niż w północnym. Wszędzie jest dwa razy dalej i żeby dotrzeć na miejsce, potrzeba dwukrotnie więcej czasu. W którymś momencie wielkiej podmiejskiej ekspansji, która stworzyła miejsca o nazwach tak nieprawdopodobnych, jak Martin's Heron, Winersh Triangle i Carshalton Beeches, jakiś okrutny miejski bóg postanowił, że rozciągnięciem infrastruktury komunikacji miejskiej północnego Londynu na południową część miasta niczym gumową pajęczynę, by się przekonać, jak bardzo poszczególne nici mogą się oddalić

od siebie, nim wreszcie pękną.

Szedłem wczesnym rankiem przez ulice Greenwich i otaczała mnie mieszanka starego z nowym: schludne białe segmenty, w których przed stu laty mieszkali londyńczycy z klas wyższych, niezdolni znieść smrodów starego miasta, a jeszcze sto lat wcześniej ich służący we flocie dziadkowie; bloki komunalne z żółtej cegły, wzniesione za rzeką, gdzie spadły bomby, albo tam, gdzie rosnące zapotrzebowanie na mieszkania wzięło górę nad architektoniczną dumą; sklepy oferujące sprzęt elektroniczny z Tajwanu, gęstą śmietaną z Devon, abażury sklecone przez jakąś rękodzielniczkę w Norfolk oraz kanapki produkowane tysiącami w Sheffield. Kościół z czerwonej cegły o wielobarwnych witrażach proponował Boga w poniedziałki, środy, piątki i niedziele, dzudo we wtorki, Instytut Studiów Kobietych w czwartki, a osiedlowy teatrzyk młodzieżowy w soboty od trzynastej do piętnastej.

Zauważyłem limuzynę, nim jeszcze ruszyła za mną.

W końcu była to limuzyna, wielki czarny pojazd o szybach z matowego szkła. Z jej wnętrza dobiegał basowy pomruk zagłuszający nawet silniki śmieciarek. Szanse, że samochód mnie nie śledzi, malały z każdym krokiem, aż wreszcie, na uliczkę prowadzącej do dworca, zatrzymałem się, odwróciłem i wsparłem ręce na biodrach.

- Och, dajcie spokój - rzekłem.

Limuzyna się zatrzymała.

Tylne drzwi się otworzyły, daleko od przodu pojazdu. To nie był samochód przystosowany do poruszania się po ulicach miasta zbudowanego na piętnastowiecznym planie. Z wnętrza wysunął się skórzany but. Był zapięty na sprzączki i ciągnął się wzdłuż łydki aż po kolano. Potem przez chwilę zastanawiał się nad granicami elastyczności i ciągnął się jeszcze kawałek wyżej. Wysuwające się z niego ciało było białe prawie jak trup, obleczone w pończochę z siatki i szybko - choć nie wystarczająco szybko jak na niektóre gusty - zniknęło pod skórzaną minispódniczką, której nie zaprojektowano z myślą o osłonie przed chłodem. Nad minispódniczką znajdował się gorset. Był czarny, lecz zależnie od kąta padającego światła pojawiały się w nim nuty srebra lub fioleto. Jego również z pewnością nie zaprojektowano z myślą o pogodzie. Z tego stroju wyłaniała się para trupio białych ramion oraz szyja o biologicznie absurdalnej długości. Założono na nią jakąś dławiącą srebrną bransoletę, pozbawioną widocznego zamka. Całość wieńczyła twarz ozdobiona porażoną prądem rozdymką zastępującą włosy. Kontemplowaliśmy przez chwilę ów ostatni szczegół. Jakiś element kruchej ekosystemu planety ucierpiał tylko po to, by stworzyć włosy zdobiące tę akurat głowę. Były nieskazitelnie białe i rozchodziły się we wszystkie strony, tworząc aureolę, lwią grzywę uformowaną za pomocą elektrostatycznego odpychania oraz żelu.

Właścicielka głowy poruszyła się i włosy nawet nie opadły na wietrze. Zastanawialiśmy się, czy są prawdziwe. Zadawaliśmy sobie pytanie, przez co trzeba przejść, by osiągnąć taki efekt, jeśli nie są.

- Z pewnością jest pan Burmistrzem - odezwała się kobieta, która wysiadła z limuzyny.

Jej głos stanowił wynik zmywy między papierosami a jazzem - niski, ciepły, niewyraźny, gładki i zapewne dość trudny do uzyskania.

- Przykro mi, ale pomyliła mnie pani z kimś - odparłem i spróbowałem odejść.

Wyciągnęła rękę, by mnie powstrzymać.

Jej paznokcie wystawały na cały cal poza koniuszki palców. Były srebrne i nie chodzi mi tylko o kolor. Zatrzymałem się, nim zdołały wbić się w moje ciało, i spojrzałem w parę chłodnych liliwoniebieskich oczu.

- Pan nim jest - powtórzyła. - Tamten nie żyje.

- Tamten?

- Facet, który był przed panem. Nair. Nie żyje. Podobno zabiła go śmierć miast, cokolwiek może to znaczyć.

- W tym wyjątkowym przypadku dokładnie to, co napisano na okładce.

- A pan zajął jego miejsce.

Wyciągnąłem szyję, by zobaczyć wewnątrz limuzyny za jej plecami. Dym papierosowy, obite skórą siedzenia, basowa muzyka, słabe, niebieskawe-czerwone światło.

- A pani z pewnością jest z Neonowego Dworu - stwierdziłem. - Nie zwlekaliście zbyt długo ze skontaktowaniem się ze mną, prawda?

Uśmiechnęła się. Wyglądało to jak wschód słońca nad górą lodową.

- Chcieliśmy odbyć pośpieszną rozmowę... prywatnie, nim dojdzie do dalszej eskalacji wydarzeń. Właściwie nie jestem tym zachwycona, biorąc pod uwagę sytuację. Czy mogę pana podwieźć?

- Mama mnie ostrzegła, że bym nie wsiadał do samochodów z nieznajomymi.

- Neonowy Dwór nie życzy panu źle, panie Burmistrzu. W praktyce jesteśmy sojusznikami.

Zdołałem uśmiechnąć się głupekowato.

- Przejdę się na piechotę. Na razie.

Zastąpiła mi drogę. Usta miała umalowane fioletową szminką, tylko pośrodku, by sprawiały wrażenie zawsze wydętych.

- Panie Burmistrzu, czy wyobraża pan sobie, jak niewygodnie chodzi się w tych

butach?

Przyjrzałem się im. Sprawiały wrażenie zainspirowanych jakimiś średniowiecznymi narzędziami tortur.

- Pewnie dość niewygodnie - zgodziłem się. - Dobra, rozumiem sytuację. Jesteście wkurzeni, Plemie jest wkurzone, macie ochotę pozabijać się nawzajem i tak dalej, dojdzie do wielkiego zamieszania i ulice spłyną krwią. Hej, a gdybym was poprosił, żebyście tego nie robili, czy to spotkałoby się z dobrym przyjęciem?

O ile to możliwe, wydeła usta jeszcze bardziej.

- Coś pani powiem. Odwołajcie tę całą wendetę, to zgodzę się wsiąść do samochodu.

- Lady Neon osobiście zażądała rozmowy z panem. Osobiście.

- Nie jestem na jej zawołanie.

- Do tej pory nigdy nie wołała, a poza tym, sądząc z tego, co wiem o Nocnym Burmistrzu, jest pan.

Odsunęła się na bok, odsłaniając otwarte drzwi i wypełnione dymem papierosowym wnętrze.

- Niech pani przynajmniej otworzy okno, zgoda? - odparłem i wsiadłem do samochodu.

Obdarzyła mnie kolejnym uśmiechem. Wzdłuż mojego kręgosłupa przebiegły lekkie dreszcze.

- To chyba niemożliwe. Konstruktorzy nie przewidzieli podobnej możliwości.

Usiadła obok mnie i zamknęła za sobą drzwi.

Po raz pierwszy w naszym życiu znaleźliśmy się wewnątrz limuzyny.

Czuliśmy się z tego powodu dziwnie skrępowani, jakbyśmy zdradzili całe morze ufających nam nieznajomych. Muzyka dobiegała spod siedzenia. Dym tworzył w powietrzu maleńkie wiry. Było tu wiaderko z wodą z lodem, w którym stała butelka szampana, a także minibar z innymi trunkami. Tylko niektóre z nich potrafilimy zidentyfikować. Na co najmniej pięciu małych ekranach telewizyjnych pokazywano miks wiadomości ze świata finansów, niewytłumaczalnych cyfr i strzałek oraz wideoklipów MTV. Za oknami trudno było cokolwiek zobaczyć. Kierowcę zasłaniało czarne szkło. Milczał i był niewidoczny.

- No, wie pan, jesteśmy wdzięczni - oznajmiła dziewczyna w absurdalnych butach.

- Za co?

- Za to, że opowiedział się pan po naszej stronie.

- Nie opowiedziałem się po niczyjej stronie.

- Zrobi pan to. Mamy traktat.

- Ale nie mamy dowodów na jego złamanie.

Umilkła, być może się obraziła. Po chwili wstała, pochyliła głowę i poszła na drugi koniec limuzyny, do niskiej lodówki. Wyjęła z niej coś pomarańczowego i zamrożonego, owiniętego w plastik. Jej ręce otoczyły obłoki pary.

- Chce pan jednego?

- A co to jest?

- Lizak z wódki.

- Za wczesna pora dla mnie.

- Och, jest pan naprawdę słodki. Gdyby był pan jeszcze śliczny, mogłabym pana polubić. Ale pan jest tylko słodki.

- Zapomniałem zapytać, w jaki sposób tak szybko mnie znaleźliście.

- Śledziliśmy Rajczynię.

- A skąd wiedzieliście, że należy śledzić akurat panią Dees?

- Nie wiedzieliśmy. Obserwowaliśmy dwunastu najważniejszych Rajców. Ale to ja pana znalazłam i to ja otrzymam nagrodę.

- A co to będzie za nagroda?

- Och, mogę zażądać, czego tylko zapragnę.

Jechaliśmy przez południowy Londyn. Stare bloki mieszkalne z czerwonej cegły spoglądały ponad ruchliwą ulicą na nowe budynki powstałe na miejscu dawnych nadrzecznych magazynów. Mieszkania miały w nich balkony, podgrzewane podłogi i płytki z terakoty. Nie widziałem Jamaica Road, przynajmniej nie wyraźnie, ale wyczuwałem ją pod oponami samochodu, słyszałem odległe fałszywe dźwięki kościelnego dzwonu, czułem zapach płynu do mycia naczyń i świeżych kebabów, słyszałem syk podjeżdżających na przystanek autobusów. Gdy minęliśmy Tower Bridge, moja prawa dłoń zadrżała. Wypalone w mojej skórze blizny wypełnił ogień. To nie było do końca nieprzyjemne wrażenie. Magia rzeki przenikała nawet przez czarne szyby samochodu, wypłukując na krótką chwilę smród papierosowego dymu. Embankment było serią postojów przed czerwonymi światłami, a początek trasy A4 przedzieraniem się przez stare uliczki, za wąskie na masę wciskających się w nie samochodów. Wreszcie A4 przeszła w M4, autostradę biegnącą między ulicami o nazwach takich, jak Elm Walk czy Oak Tree Lane. Oparłem głowę o siedzenie i obserwowałem regularne pulsowanie różowawo-białych świateł ulicznych odbijających się na suficie samochodu.

Magia się zmieniała w miarę, jak zbliżaliśmy się do Heathrow. Nadal była miejska, nadal nasza, pozostawała mocą, którą potrafiliśmy czerpać, ale podczas gdy Mila

Kwadratowa była płonąca jasnością elektryczności i cieni, na autostradzie magia przypominała czarnego węża, który tańczy na patelni, zanurzony w blasku księżyca. Trudno ją było zobaczyć, trudno pochwycić, a gdy już miało się ją w palcach, nie można jej było wypuścić. Heathrow nie spało nawet gdy samoloty przestawały przez kilka godzin latać. W obie strony krążyły ciężarówki z paliwem i żywnością, a także towarami do wolnocłowych sklepów. Zapotrzebowanie było tak wielkie, że ledwie nadążały z uzupełnianiem zapasów. Słyszałem silniki nisko przelatujących samolotów. Zagłuszały niemilknącą ani na moment muzykę, wstrząsając nawet tym masywnym i dekadentym samochodem. Czułem krążącą wokół nich moc, jak wietrzyk muskający koniuszki moich palców.

- Mam nadzieję, że to nie Terminal 5 - odezwałem się, kiedy zwalnialiśmy.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

- Lady Neon jest sprytna. Zjawiła się akurat w chwili wybuchu kryzysu.

Nadal cisza.

- Ile godzin trwa lot z Bombaju? Dziesięć? A jeśli się nad tym zastanowić, jej daimyo... Minjae San? Nie żyje od ilu... od ośmiu?

- Cały ten czas siedział pan cicho i myślał o samolotach? - zapytała dziewczyna z uśmiechem lekkim i fałszywym jak szklana kula z widoczką w środku.

- Złotko, jesteś poddana - oznajmiłem z westchnieniem. - Srebrny kołnierz, który masz na szyi, zespawano na stałe. Nigdy nie będziesz mogła go zdjąć. Kazano ci wykonać zadanie i jako poddana zrobiłaś to. Ale czy ci powiedzieli, kogo masz zabrać, gdy wysłali cię po nas? Czy ci powiedzieli, dlaczego mamy takie niebieskie oczy i blizny na dłoniach? Czy powiedzieli ci, kim jesteśmy? Wątpię w to. Gdyby to zrobili, zapewne byś po nas nie pojechała. Dlatego, z całym szacunkiem, wsadź sobie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Limuzyna się zatrzymała. Dziewczyna rozchyliła usta, chcąc coś powiedzieć, ale ja nacisnąłem klamkę, otworzyłem kopniakiem drzwi i uniosłem palec w ostrzegawczym geście.

- To było moje ostatnie słowo. Miłej zabawy! I kup sobie jakieś sensowne buty.

Zatrzasnąłem drzwi, nim zaczęła krzyczeć.

Sądziłem, że zatrzymamy się pod halą przylotów.

Mylłem się. Stałem na skraju parkingu. Po jednej stronie były pasy startowe. Zza płotu z siatki dzielącego je od parkingu patrzył na mnie królik. Seria czerwonych świateł świadczyła, że ruch jest większy, niż sugerowałaby to spokojna mina zwierzątka. W oddali ciągnęły się białe światła Heathrow, z czerwonym szpicem wieży kontroli lotów pośrodku. Stwierdzić, że samoloty startowały i lądowały, byłoby niedopowiedzeniem. Jedne wzbijały się w górę, kiedy inne lądowały. A gdy tylko ich koła dotknęły nawierzchni, można było za

nimi zobaczyć następne, które zniżały już lot, nie zostawiając miejsca na błąd ani czasu na wątpliwości.

Rozejrzałem się po skąpanym w słabym żółtym świetle parkingu. W powietrzu unosił się ryk samolotowych silników, wiatr był chłodny i gdzieś w głębi mojego umysłu zrodziła się świadomość, że coś jest nie w porządku z całym tym obrazem.

- Pan Swift? - odezwał się ktoś nagle.

Obejrzałem się.

Mężczyzna miał na sobie smoking bez muszki, białe jedwabne rękawiczki oraz okulary przeciwsłoneczne, choć przecież była noc. Pojawił się znikąd.

- Pan Matthew Swift? - zapytał ponownie.

- Wygląda pan na wynajętego mięśniaka - stwierdziłem z westchnieniem. - Musiał pan przynieść własny pistolet czy wydali go panu razem z resztą wyposażenia?

- Zechce pan pójść ze mną, panie Swift?

Wzruszyłem ramionami i podążyłem za nim. W płot wstawiono furtkę. Mężczyzna otworzył ją wielkim czarnym kluczem, plosząc mojego przyjaciela, królika, a potem ruszył wyłożoną płytami chodnikowymi ścieżką ku czerwonym światłom pasa startowego. Zatrzymał się kilka metrów przed nim i spojrzał na zegarek.

- Wie pan, mam dużo roboty i muszę się też spotkać z kilkoma ludźmi - odezwałem się.

- Pani przybędzie za kilka minut, panie Swift. Ma kłopot z kontrolą lotów.

Czekaliśmy.

- Ach, zbliża się - odezwał się nagle mężczyzna, nie unosząc wzroku.

Spojrzałem w górę, spodziewając się, że zobaczę światła prywatnego odrzutowca, a co najmniej boeinga 747. Nic w tym rodzaju. Niebo było puste. To już samo w sobie było dziwne. Czubka mojej głowy dotknął cieplejszy powiew, niosący ze sobą lekki smród smaru. Wyciągnąłem szyję, patrząc pionowo w górę. Coś ciemniejszego niż podświetlone sodowym blaskiem chmury zamigotało na moment w światłach pasa startowego, a potem zniknęło mi z oczu. Usłyszałem cichutki zgrzyt metalu i poczułem między palcami ukłucie czegoś gorącego. Zaciśnąłem mocno pięści i poczułem moc płynącą w górę ku pachom, mnóstwo magii, gorącej i wilgotnej jak para w saunie. Kojarzyła się nam z dźwiękiem metalowych kół hamujących zbyt gwałtownie na torze kolejowym. Musieliśmy powstrzymać pragnienie przywołania osłon. Potem nadszedł dźwięk, świst przecinającego powietrze ogona, powiew towarzyszący szybkiemu ruchowi. Osłoniłem oczy, gdy gwałtowny wiatr wzbiał w górę obłoki pyłu. Przez szczeliny między palcami przyglądałem się czarnemu jak heban obiektowi

usianemu punkcikami białych świateł.

To nie był ptak...

...ani samolot...

...to było coś w rodzaju starożytnego chińskiego smoka, długiego robaka złożonego z metalowych segmentów, które nasuwały się na siebie na podobieństwo polerowanej czarnej zbroi. Największe z nich miały trzydzieści metrów długości i cztery szerokości. Smok miał też ogon, zakończony ostro jak zatemperowany ołówek, którym poruszał nerwowo, oraz cztery maleńkie metalowe skrzydła, niewystarczające i bezużyteczne. Nie byłyby w stanie utrzymać go w powietrzu i nawet nie próbowały nic robić w tym celu. Z czarnego gładkiego metalowego ciała sterczały kolce anten i nadajników, radarowe anteny i elektroniczne maszty, pochylające się ku jego skórze pod najdziwniejszymi kątami, jakby spłaszczono je w największej myjni samochodów na świecie. Pośrodku tułowia, czyli mniej więcej w jednej czwartej całkowitej długości, brzuch smoka się rozszerzał, a w jego skórze było widać kilka szram. Za wprawionymi w nie szybami lśniło słabe biało-niebieskie światło. Cztery nogi wyposażono w pneumatyczne pompy zamontowane w udach oraz w metalowe szpony, lśniące czerwono w blasku świateł pasa startowego, gdy kończyny wyciągały się na boki przed lądowaniem. Jego oczy były reflektorami gorejącymi białym blaskiem, a nos dwiema wirującymi turbinami silników odrzutowych. Wypadające z nich strumienie rozgrzanego powietrza można było zobaczyć za dwiema wyniosłościami, które mogły być uszami. Gdy otworzył wielką metalową paszczę, w środku pojawił się czarny jęzor taśmociągu, liżący powietrze. Był aerodynamiczną niemożliwością, piękną jak szalejący pożar i poblask pozostały po jego wygaśnięciu.

Gdy smok wylądował, ziemia się zatrzęsła. Jego ciało się wygięło, a szpony zostawiły w ziemi dwanaście dziur. Potem znieruchomiał. Ze szczelin między jego segmentami buchała para. Zwrócił na moment głowę w bok i jasne światła jego oczu padły na mnie. Nagle poczuliśmy się mali i żałośni. Postąpiliśmy ku niemu pół kroku, wyciągając rękę, by dotknąć czarnej skóry i wydać z siebie głupie uspokajające dźwięki, jakie śmiertelnicy produkują w obecności przestraszonych zwierząt stojących niżej od nich.

Smok odwrócił głowę, a wynajęty mięśniak położył rękę na moim ramieniu.

- Przepraszam - rzekł i odciągnął mnie do tyłu.

Od strony jednego ze środkowych segmentów dobiegł syk. Kawałek metalowej skóry nasunął się na sąsiedni, tworząc coś w rodzaju drzwi prowadzących do brzucha stworzenia. Dwóch ludzi - nie widziałem ich twarzy z uwagi na ciemność i obłoki unoszącej się w powietrzu pary - wysunęło ze środka rampę, a potem zeszło po niej, by umocować ją na

ziemi. Wykonawszy to zadanie, pośpiesznie zajęli miejsca po jej obu stronach i klękli na pasie. Potem dotknęli głowami zimnego betonu i wyciągnęli ręce przed siebie, bijąc pokłony u stóp tego niezwykłego zejścia. Po rampie zeszła niewielka świta dworzan, którzy następnie ustawili się w rzędy jak państwowi dygnitarze podczas oficjalnej wizyty. Sześć kobiet w białych jedwabnych kimonach, o twarzach pomalowanych na kolor świeżego śniegu, zabarwionych różem policzkach i włosach ciasno upiętych złotymi i srebrnymi obręczami; czterech mężczyzn w czarnych smokingach z pistoletami niezbyt subtelnie ukrytymi w kaburach pod pachami; dwaj chłopcy o wychudłych skwaszonych twarzach, obleczeni w czarne skórzane stroje odpowiednie dla kogoś starszego o dziesięć lat; potem grupka ośmiorga mężczyzn i kobiet odzianych bardzo skąpo. Niektórzy byli uzbrojeni, co najmniej troje miało u pasa broń, którą rozpoznałem z drżeniem jako krótkie tanto. Wspominała o nich pani Dees i niedawno miałem okazję zapoznać się z jednym z nich w nieprzyjemnych okolicznościach. Na koniec pojawiła się czwórka strażników o szerokich barach, grubych karkach i wygolonych głowach. Pod ich garniturami zaznaczały się mięśnie, a twarze zasłaniały karmazynowo-czarne maski o wykrzywionych rysach i ustach rozciągniętych w ogromnych, niemal komicznych grymasach gniewu i furii. Oczy były wąskimi szparkami, a policzki pokrywały zmarszczki. Nie byłem w stanie zauważyć, w jaki sposób przytwierdzono te maski do głów właścicieli. Czterech mężczyzn ustawiło się u stóp rampy jak prywatna ochrona, a reszta świty pochyliła głowy w pokłonie, uklękła bądź padła na twarz, zapewne w zależności od statusu społecznego.

Na szczycie rampy pojawiło się dwoje ludzi. Mężczyzna miał na sobie coś, co wyglądało jak szkarłatna suknia wieczorowa, luźno zapięta, oraz pantofle tego samego koloru. On również nosił maskę, ale była ona biała, gładka i pozbawiona wszelkich rysów. Miała tylko małe szczeliny na oczy i usta.

Stojąca obok niego kobieta..

zapach magii, takie mnóstwo magii, uważaj, żeby nie utonąć

fioletowo-szkarłatne urywki myśli na granicy pola widzenia

dotyk jedwabiu na skórze

...z całą pewnością była Numerem Jeden. Miała najwyżej pięć i pół stopy wzrostu. Z wielkiego trójrogiego nakrycia głowy opadała woalka barwy dymu. Ktoś wziął pół mili srebrnego blasku i owinał nim każdy fragment jej ciała, nie pozostawiając ani skrawka nagiej skóry poza dłońmi, z których opadały palce dłuższe i cieńsze niż wszystkie, jakie w życiu widziałem. Każdy z nich był ozdobiony srebrnym pierścieniem. Z niektórych zwisały cienkie łańcuszki znikające pod rękawami szaty, co sugerowało, że poza zasięgiem wzroku kryją się

dalsze kosztowności. Choć wszystkie fragmenty jej sylwetki były zasłonięte, nie sposób, absolutnie nie sposób było wątpić, że jest piękna. Jej uroda była nieodpartą nieokreśloną urodą kobiety, która wie, że jest najseksowniejszą istotą, jaka kiedykolwiek chodziła po Ziemi, i dzięki swej niezachwianej wierze sprawia, że jej chód, mowa i samo jej istnienie rzeczywiście czynią ją taką, bez względu na panującą aktualnie modę.

Zatrzymała się u szczytu rampy i poruszyła lekko głową na boki, jakby chciała poddać ocenie hołdy składane jej przez świętę. Potem ruszyła przed siebie kroczy pod kroczy, pozwalając, by opadającą w nadgarstku dłoń podtrzymywał jej towarzysz w czerwonej szacie, aż wreszcie zeszła na lotnisko Heathrow tak ostrożnie, jakby była krzyżowcem, który przybył do Ziemi Świętej. Dworzanie podnieśli się jak jeden mąż, pokłonili raz jeszcze i wyprostowali na pełną wysokość.

Ukryte za welonem oczy skierowały się ku mnie.

Poczuliśmy ich spojrzenie.

Przez krótką chwilę niemalże zapragnęliśmy odwrócić wzrok. Ale zdołaliśmy się powstrzymać.

- W imię naszego opartego na wzajemnym zaufaniu sojuszu, naszej świętej przyjaźni i naszego radosnego spotkania - przemówił, czy raczej zaintonował obleczony w czerwień mężczyzna - Jej Wysokość, pani nocy i najpiękniejsza na tej Ziemi, wita obrońcę tego miasta.

Uśmiechnąłem się blade i przekonałem się, że nie mam nic do powiedzenia.

Jej Wysokość pochyliła się ku mężczyźnie w czerwieni. Wyobrażam sobie, że między jej ustami a jego uchem przebiegły jakieś szepty.

Skinął lekko głową, a potem znowu uniósł wzrok.

- Jej Wysokość jest wdzięczna za pomoc obrońcy miasta w tej sprawiedliwej wojnie przeciwko mordercom wiernych sług Neonowego Dworu i wyraża pragnienie, by obrońca miasta wypił drinka z jej radą wojenną.

Mój uśmiech stał się raczej nerwowy.

- W dowód uznania Jej Wysokość przyzna obrońcy tego miasta honorowe prawo wstępu do pałaców Neonowego Dworu w tym mieście, by w wolnych chwilach mógł podziwiać rozliczne cuda Dworu.

Te słowa skwitowano uprzejmym aplauzem. Powiedziawszy, co było do powiedzenia, przybysze odwrócili się i zaczęli oddalać.

Uniosłem rękę.

- Chwileczkę.

Para się zatrzymała. Lady Neon nie odwróciła głowy, ale mężczyzna w szkarłacie

raczył na mnie zerknąć.

- Przepraszam, ale mam wrażenie, że doszło do zasadniczego nieporozumienia - dodałem. - Nie chodzi o to, że nie jestem zwolennikiem naszej wzajemnej przyjaźni i tak dalej, ale nie widziałem jeszcze dowodów świadczących, że Plemię rzeczywiście popełniło czyny, o które je oskarżacie. Nie widziałem żadnego dowodu na to, że ta sprawa nie jest, z całym szacunkiem, kolejną bijatyką dwóch frakcji, do której doszło na moich ulicach podczas mojego dyżuru. Dlatego, zważywszy wszystko razem, może lepiej na razie wstrzymajcie się z tym honorowym członkostwem, ponieważ ani słowem nie wspomniałem, że mam zamiar przyłączyć się do waszej wojny.

Zapadła cisza.

Nagle mężczyzna w czerwieni odwrócił się na pięcie.

- Jej Wysokość pragnie przypomnieć obrońcy miasta, że zgodnie z warunkami naszego obronnego traktatu...

- Muszę wam pomóc, jeśli zostaniecie zaatakowani. O ile dobrze to rozumiem, jeśli sami zaczniecie wojnę bez powodu, nie jestem zobowiązany do niczego.

- Jej Wysokość pragnie przypomnieć panu konsekwencje złamania traktatu. Bardzo nieprzyjemne konsekwencje.

Uśmiechnąłem się, spojrzałem na własne stopy, a potem na niebo.

- Jasne - zgodziłem się. - Z pewnością je rozumiem. Ale czy spojrzeliście na to z drugiej strony? Jasne, możecie w moim mieście wszcząć wojnę z Plemieniem bez mojej pomocy. Będzie paskudnie, ulicami spłynie krew. Krew obu stron. Ale jeśli zaczniecie wojnę z nami, wasza krew zamieni się w pył, nim jeszcze będzie miała okazję poplamieć dywan. To nasze miasto. Jasne, możecie urządzać dla mnie te ekscytujące pokazy siły. Możecie sobie do woli powtarzać: „Chodź tu i skacz, kiedy ci każemy”, ale jeśli przekroczycie granicę choć jednym palcem u nogi, zauważymy to i będziecie mieli wojnę, o jakiej wam się nie śniło. W tym ciebie jesteśmy tylko człowiekiem, ale jeśli je spalicie, znajdziecie pod spodem niebieski elektryczny ogień. Nie sądzimy, by Neonowy Dwór, Plemię, czy nawet pięści samego piekła dysponowały mocą potrzebną, by go zgasić. Rozumiemy się?

Zapadła cisza. Ta szczególna cisza, która nastaje wtedy, gdy uzbrojeni ludzie zastanawiają się długo i intensywnie nad tym, czy zrobić użytek ze swej broni.

Wreszcie Lady Neon i mężczyzna w czerwieni wymienili szept.

I mężczyzna się pokłonił.

Nam.

- Jej Wysokość rozumie trudną pozycję, w jakiej się pan znalazł. Doceniamy fakt, że

pragnie pan uniknąć niepotrzebnego przelewu krwi. Szanujemy pańskie współczucie. W związku z tym Jej Wysokość składa panu propozycję, która może zminimalizować liczbę ofiar tego... godnego pożałowania konfliktu.

- Drzę jak piórko na burzy.

- Jej Wysokość wyraża pragnienie, by znalazł pan dziewczynę i uwolnił ją z rąk Plemienia w ciągu dwudziestu czterech godzin. W takim przypadku można będzie zapobiec konfliktowi.

- Dziewczynę? Jaką dziewczynę?

- Wybraną, oczywiście.

- Słucham?

- Wybraną. Tę, która ma zakończyć wojnę.

- Przepraszam - wymamrotałem. - Mógłbym przysiąc, że przed chwilą usłyszałem słowo „wybrana” wypowiedziane poważnym tonem.

- Niech pan ją znajdzie i przyprowadzi do nas, a dalsza eskalacja konfliktu nie będzie konieczna.

- A od czego mam zacząć?

- Prorocy wiedzą, o kim mówimy.

- Jasne, bo prorocy nigdy nie zapominają podać mi numeru komórki oraz kodu pocztowego. A co, jeśli nie znajdę waszej „wybranej”?

- W takim przypadku Dwór nie będzie miał innego wyboru, jak całkowicie zniszczyć Plemię i wszystkich, którzy staną nam na drodze.

Wessałem powietrze przez zęby.

- Dobra, kapuję. Hmm... nie znacie przypadkiem adresu?

Lady Neon podeszła bliżej. Dostrzegłem zarys twarzy pod woalką, cień wewnątrz cienia. Kiedy przemówiła, w jej głosie usłyszałem nutę amerykańskiego akcentu, a także czegoś jeszcze. Brzmiał jak blask księżyca padający na nagie gałęzie.

- Ma pan bardzo piękne oczy - powiedziała do mnie. Potem odwróciła się i odeszła.

* * *

Delegacja Neonowego Dworu wsiadła w co najmniej siedem czarnych limuzyn i odjechała. Nie zaproponowali, że mnie podwiozą, a ja o to nie prosiłem.

Ruszyłem do metra. Kiedy się oddalałem, zjawiała się ekipa mężczyzn i kobiet w pomarańczowych kombinezonach, którzy zaczęli nacierać smokowęża smarem i olejem silnikowym. Mruczał z zadowolenia.

Zmierzając do miejsca, w którym miałem nadzieję znaleźć stację, wyjąłem komórkę i zadzwoniłem do Leslie Dees.

Odebrała rozmowę przed drugim sygnałem.

- Słucham, panie Burmistrzu.

- Niech mnie pani tak nie nazywa.

- Panie Swift - poprawiła się. - Co słychać?

- Lady Neon przyleciała do miasta - oznajmiłem radośnie.

- Mówiłam panu...

- Przed chwilą się z nią spotkałem.

- Ale nie pozwolił się pan jej dotknąć, prawda? - zapytała z nagłą nutą niepokoju.

- Nie pozwoliłem, pani Dees - uspokoiłem ją z westchnieniem. - Nie dotknąłem jej, nie pocałowałem ani nie dzieliłem z nią płynów. Pozostaję w pełni władz umysłowych i nie jestem pod jej wpływem. W gruncie rzeczy, uważam, że to mała zabawna kobietka, która nie boi się żartować sobie ze mnie, by mnie wypróbować. Aha, i mam piękne oczy.

- Nie mogę powiedzieć, bym im się kiedykolwiek przyglądała.

- Dziękuję pani za ten brak zainteresowania.

- Panie Swift, jeśli to pana pociesza, to gdybym nie była zameżną kobietą kochającą męża, z pewnością znalazłby się pan na liście moich dwóch ulubionych płci - zapewniła z westchnieniem.

- Potrafi pani schlebiać facetom.

- Uważałam, że powinien pan to usłyszeć.

- Serdecznie dziękuję - warknąłem. - Przejdźmy do rzeczy, dobrze?

- Nie potrafię wyrazić, jak długo czekałam na to, aż wypowie pan te słowa, panie Swift.

Oparłem się pokusie uderzenia telefonu w zastępstwie czegoś bardziej wrażliwego.

- Przed chwilą słyszałem, jak ktoś wypowiedział na głos słowo „wybrana” i wcale przy tym nie zachichotał.

- Rozumiem. A kto wypowiedział to mistycznie niejasne i lekko złowieszcze słowo?

- Jakiś palant w masce. Trzymał Lady Neon za rękę.

- Rozumiem. - Cokolwiek by powiedzieć o pani Dees, wiedziała wystarczająco wiele o magii, by niepokoiło ją jej nadużycie. - „Wybrana”?

- Ehe. Najwyraźniej... - sarkazm wręcz skapywał mi z języka - ...gdzieś istnieje „wybrana”, która ma zakończyć wojnę między Dworem a Plemieniem. Dano mi dobę na odnalezienie jej. Podobno to młoda dziewczyna. Tyle mi powiedzieli, ale na tym koniec. Jeśli

jej nie znajdę, Neonowy Dwór wyruszy na wojnę z Plemieniem i wszystkimi, którzy staną mu na drodze. To może oznaczać również mnie. Nie powiedzieli tego jasno, ale nigdy nic nie wiadomo.

Na drugim końcu linii zapadła brzemienne cisza.

- Rozumiem - odezwała się w końcu pani Dees, nie chcąc marnować fal eteru. - Ma pan jeszcze jakieś informacje?

- Ponoć musimy porozmawiać z prorokami.

- Którymi?

- Nie mam pojęcia. Byłem przeświadczony, że większość z nich nie żyje, bo... Bakker i... no, wie pani. Swoją drogą, wiedziała pani, że Neonowy Dwór hoduje smoka 747?

- Nie wiedziałam - odpowiedziała kobieta z irytacją w głosie. Przez chwilę wyczuwałem papierkową robotę, która nas czekała. - Z pewnością będę musiała pomyśleć o tych prorokach, ale...

- Ma pani jakieś wiadomości od Plemienia? - zapytałem. - W końcu, paru ich ludzi również zginęło. Czy pragną uwolnić piekielny ogień?

- Gdyby tak było, zapewne by nam nie powiedzieli.

- Czy Plemię jest jedną z wielu instytucji, które z radością by nas zabiły i wypily naszą krew? - zapytaliśmy. - Czy raczej mają odrobinę zdrowego rozsądku i instynktu samozachowawczego?

- Panie Burmistrzu, naprawdę nie radzę próbować nawiązywać kontaktu z Plemieniem bez podjęcia poważnych środków ostrożności.

- To właśnie ja. Poważne Środki Ostrożności Swift.

- Zdaje pan sobie sprawę, że Dwór może mieć rację? Że to może naprawdę być to, na co wygląda? Akt agresji wobec naszego sojusznika...

- Pani Dees... - zacząłem, ale nagle zmieniłem zdanie. - Ehe. Możliwe. Ale bardzo w to wątpię. Lady Neon zjawiała się za szybko. Musiała już lecieć, gdy to wszystko się wydarzyło. Poza tym, Dwór zbyt łatwo mnie znalazł. To znaczy, że zapewne mnie szukali.

- Panie Burmistrzu, zdaje pan sobie sprawę, że gdy od niechcienia skanuje pan ulice Londynu, rzuca się pan w oczy jak żyrafa na wrotkach?

- Nawet pomijając to wszystko - warknąłem - co, do licha, znaczą te bzdury o „wybranej”? Jest pani cyniczną kobietą, pani Dees.

- Uznam to za komplement - stwierdziła z westchnieniem.

- Wierzy pani w to wszystko?

Milczała przez chwilę.

- Nie - odparła wreszcie. - Ale potrzebujemy dowodów. Rajcy nie mogą ryzykować wojny na dwa fronty. Nie możemy walczyć z Dworem i z Plemieniem, a jednocześnie bronić miasta przed innymi zagrożeniami, które łomoczą do naszych murów. Nawet pan by tego nie przeżył, panie Burmistrzu.

- Niech pani spróbujcie znaleźć kogoś z Plemienia, z kim mógłbym pogadać - poprosiłem. - Najlepiej, żeby była to rozmowa nieuwzględniająca sylaby „uch”.

- Nie mogę nic obiecać.

- Rozumiem. Która godzina?

- Dziesięć po jedenastej.

Spojrzałem na czarne, usiane samolotami niebo.

- Już?

- Wszyscy byliśmy bardzo zajęci.

Coś tu było nie tak. Naprawdę bardzo nie tak.

Ale nie potrafiłem określić co.

- Gdzie jest dziewczyna? - rozległ się głos. Przez chwilę nie uświadamiałem sobie, że należał do mnie.

- Słucham, panie Burmistrzu?

- To nic. Tylko myślę na głos.

Oda.

Gdzie jest dziewczyna?

Oda z dziurą w sercu. Oda, która według wszystkich kryteriów powinna nie żyć i którą zostawiłem, nieobserwowaną i niestrzeżoną, w hotelu w Greenwich. Oda, która wbiła miecz w plecy człowiekowi będącemu lub nie (ale zapewne będącemu) Minjae Sanem, daimyo Neonowego Dworu. Zrobiła to na dachu płonącego wieżowca w Sidcup, a ja przyglądałem się temu biernie i nie próbowałem jej powstrzymać. Przywołano mnie do tego wieżowca, ktoś mnie tam wezwał. Potrzeba sporo mocy, żeby wezwać taksówkę, nie wspominając już o czarnoksiężniku, który nigdzie się nie wybiera. A Oda nienawidziła magii.

„Gdzie jest dziewczyna?” - zapytała.

A teraz do miasta przybyła Lady Neon.

I zażądała, bym znalazł dziewczynę.

Zdałem sobie sprawę, że pani Dees coś do mnie mówi.

- Niech pani posłucha - wymamrotałem. - Muszę na chwilę zniknąć. Jeśli coś się wydarzy, proszę do mnie zadzwonić.

Przerwałem połączenie i poszedłem poszukać Piccadilly Line.

* * *

Z Piccadilly Line coś było nie w porządku.

Podobnie jak z planem metra.

Stałem na stacji obsługującej terminale 1, 2 i 3 i gapiłem się na plan. Nie potrafiłem określić, co w nim budzi mój niepokój. Turyści ciągnęli wielkie bagaże na kółkach, zahaczające o kostki ludzi, którzy tłoczyli się wokół mnie, próbując znaleźć zamierzony cel podróży, a mężczyźni w eleganckich garniturach wyłączaali komórki, gotowi zjechać na dół. Podróżni, którzy nigdy nie widzieli londyńskiego metra w akcji, próbowali wtykać karty Oyster w otwory na papierowe bilety albo przesuwali papierowe bilety nad czytnikami kart Oyster. Personel, który widział już zbyt wiele dziesiątków tysięcy przybyszów, mówiących tyloma językami, że nikt nie zdołałby się ich nauczyć, przyglądał się temu obojętnie i nie próbował nikomu pomóc. Bramki były tu wyjątkowo szerokie, by zmieścić się bagaż, a na schodach ruchomych panował frustrujący chaos. Zmęczeni podróżni o zaspanych oczach nie uświadomili sobie jeszcze, że w Londynie najważniejsze jest grzeczne stanie w kolejce i zawsze trzymanie się prawej strony. Perony były szerokie, a pomarańczowe literki na tablicy głosiły:

1. Southgate - 2 min.

2. Southgate - 5 min.

3. Turnpike Lane - 8 min.

Pod spodem przesuwawała się ciągła linia tekstu. Byłem jedynym człowiekiem, który próbował go czytać. **Pamiętajcie, by zawsze mieć bagaż pod ręką. Światła gasną. O wszystkich pozostawionych bez opieki bagażach należy natychmiast informować pracowników. Czeka na ciebie.**

Pociąg był względnie nowy, w siedzeniach zachowała się jeszcze wyściółka, okna nie były przesadnie podrapane, a biała farba na zewnątrz nie poszarzała zbyt od przejazdów przez tunele. Usiadłem w małym skupisku wyczytanych darmowych gazet, wziąłem jedną z nich i przerzuciłem strony.

„Pożar w Sidcup, podejrzewa się podpalenie” - głosił nagłówek na siódmej stronie. Przeczytałem kilka słów. Wezwano straż pożarną, budynek był przeznaczony do rozbiórki, kręciły się w nim miejscowe dzieci i bezdomni, ludzie wspominają, że znaleziono ciała, radny opozycji domaga się dochodzenia w sprawie błędów itd.

Pociąg pędził przez zachodni Londyn, mijając stacje pełne bladych twarzy widocznych w peronowych światłach. Nie zwalniał na zakrętach, mknąc w stronę

Hammersmith i City. Czytałem o piłkarzach i ich grzeszkach, o ciężkiej doli emerytów i kłęsce lokalnych samorządów, o skandalu w służbie zdrowia i o tym, że Charleen wybiera się na operację powiększenia biustu, bo pragnie zmienić swoje życie. Nikt nigdy nie twierdził, że darmowe gazety są dobre.

Na stacji Hammersmith przesiadłem się na District Line. Powolny ocięzwały pociąg stał bez końca na Sloane Square i bez końca opóźniały go awarie świateł. Tłum pasażerów, którzy wsiedli na stacji Victoria, stanowił dziwną mieszaninę mężczyzn i kobiet w wyjściowych strojach, noszących teczki albo eleganckie torebki, dziewczyn w kolorowych bucikach, z opadającymi na plecy warkoczami, młodzieńców w kurtkach z kapturami, kołyszących się w rytm niesłyszalnej muzyki, facetów o byczych karkach i czerwonych twarzach, wracających z pubów, oraz wystrojonych w perły i sztywne beżowe żakiety kobiet, czytających programy teatralne wyjaśniające jakąś głęboką sztukę, którą przed chwilą obejrzały. Obok usiadła kobieta z biodrową torebką wołającą „okradnij mnie” i turystycznym aparatem fotograficznym. Marszczyła czoło, przyciskając do piersi torbę z Science Museum. Obserwowałem jej odbicie w przeciwległym oknie, a ona przez dłuższą chwilę gapiła się na moje z zasepioną miną. Wreszcie odwróciła się i spojrzała mi prosto w oczy.

- Psepraszam? - wysepleniła w łamanej angielszczyźnie.

Odpowiedziałem jej cierpliwym uśmiechem nauczonego tolerować turystów londyńczyka.

- Psepraszam - powtórzyła. - Wie pan, gdzie zniknął syn?

Mój uśmiech zwarzył się nieco.

Potrząsnęła lekko głową i odwróciła wzrok.

- Psepraszam - powtórzyła. - Psepraszam. Angielski niedobry.

Na stacji Westminster przesiadłem się na Jubilee Line. To był szykowny, nowo wybudowany odcinek, pociąg dzieliła od peronu potężna szklana bariera, w którą wstawiono drzwi. Maszynista musiał zatrzymywać pociąg bardzo precyzyjnie. Na peronie robiło się już pusto. Czulem smak zbliżającej się godziny Ostatniego Pociągu, który wiecznie jeździł po Circle Line, nie zatrzymując się ani na chwilę, ale prawie nigdy go nie widywano. Jubilee Line pozwoliła mi dotrzeć do stacji London Bridge. Niski szary budynek znajdował się tylko kilka metrów od rzeki, a perony sterczały za nim niczym ogon szopa. Zasłony były już częściowo zasunięte, a mężczyźni w niebieskich kamizelkach dawali gwizdkiem sygnał do odjazdu ostatnich pociągów.

Coś tu było nie w porządku.

Ruszyłem na przystanek autobusowy. Gdy do niego zmierzałem, minął mnie nocny

autobus. Na tylnej szybie ktoś, kto miał mnóstwo cierpliwości i jakiś ostry przedmiot, wyskrobał maleńkimi literkami

pomóż mi.

Czułem woń rzeki, a wraz z chłodnym wietrzykiem dmącym znad wody pochwyciłem w dłoń odrobinę jej magii. Wsiadłem w pierwszy autobus jadący do Greenwich i zająłem miejsce na samym końcu, opierając stopy o krawędź okna przy wyjściu awaryjnym. Prawa dłoń mnie bolała, a oczy miałem zmęczone. Jechałem z powrotem na wschód, wzdłuż Jamaica Road i Canada Water z jej matowożółtymi mauzoleami sklepów, wielkimi szarymi parkingami, błyszczącymi sklepami i eleganckimi bezdusznymi apartamentowcami zbudowanymi nad wodą. Znowu Greenwich. Dostrzegłem na murach namalowane przez Białych obrazy, przedstawiające:

pół kota, pół wiewiórkę wznoszącego niebieskie oczy ku niebu, trzymającego w jednej ręce lody i wskazującego palcem na wschód

i

dziecko o smutnej twarzy, ściskające więdnący kwiat

albo

gliniarza w policyjnej czapce, który miał zamazaną twarz, a palce jego rąk zamieniły się w połamane gałązki.

Wysiadłem w odległości kilku przecznic od hotelu i pokonałem ten krótki dystans niemal biegiem. Nie byłem pewien, dlaczego to robię, ale musiałem się powstrzymać przed przyciągnięciem płomienia do koniuszków palców.

Drzwi były zamknięte.

Neon nad nimi głośił:

WOLNE MIEJSCA HOTELOWE.

Waliłem do drzwi, dzwoniłem, stukałem w okno.

W środku było ciemno. Nie paliło się ani jedno światło, nawet w korytarzu.

Pogrzebałem w tornistrze i znalazłem zestaw kilkudziesięciu surowych kluczy najrozmaitszych rozmiarów. Wybrałem ten, który wydawał się najodpowiedniejszy, i

namówiłem go do przybrania odpowiedniego kształtu, przekonując zamek, by mi był posłuszny, aż wreszcie ustąpił z niechętnym trzaskiem.

Drzwi się otworzyły.

W środku było ciemno.

Nie słyszałem buczenia telewizora, dźwięku radia, syku żarówek ani odgłosu kroków.

Zamknąłem za sobą drzwi i pomacałem ścianę w poszukiwaniu wyłącznika. Zawadziłem nogą o coś leżące na podłodze. To była księga gości, która spadła ze stojącego przy drzwiach stolika i nikt jej nie podniósł. Wymacałem przełącznik i nacisnąłem go. Nic. Ciemność.

Postąpiłem kilka kroków do przodu i znalazłem biurko recepcjonistki. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić, ale powstrzymałem się przed tym. Wydało mi się, że słyszę za sobą kroki i odwróciłem się błyskawicznie. Do koniuszków moich palców napłynęła elektryczność, wypełniając korytarz biało-niebieskim blaskiem. Nic tam nie było. Niepokoiłem się, że mam odsłonięte plecy. Myślałem o nożach i wrogach czających się w mroku. Zakręciłem elektrycznością wokół siebie, tworząc z niej sieć pokrywającą moje barki i ramiona. Poczułem, że włosy stają mi dęba, zobaczyłem żółte iskry tworzące się w odsłoniętych gniazdkach. W niebieskim elektrycznym blasku znalazłem kolejny wyłącznik i również go nacisnąłem. Znowu nic. Stałem na krześle za biurkiem i sprawdziłem żarówkę pod sufitem. Była czarna w środku, a martwe wolframowe włókienko zwisało bezwładnie w swej szklanej trumnie. Ruszyłem do jadalni. Na stołach stały talerze z niedojedzonymi grzankami, fasolką w sosie pomidorowym, wystygłą, zestaloną jajecznicą i skurczonymi kawałkami boczku zatopionymi we własnym zakrzepłym tłuszczu. Znalazłem uchylone drzwi z napisem „prywatne”. Popchnąłem je i zobaczyłem zwróconego do mnie plecami mężczyznę. Siedział z pochyloną głową, wspierając ręce na pełnym ksiąg i papierów biurku.

- Proszę pana? - odezwałem się.

Nie odpowiedział.

- Nic panu nie jest?

Cisza.

Wycofałem na moment elektryczność ze swych palców, wyciągnąłem rękę i dotknąłem jego ramienia. Martwe zimne mięso w ludzkiej postaci. Odwróciłem krzesło, na którym siedział. Zamiast oczu miał dwie zmiażdżone czerwone kulki. Białka pełne krwi, tęczówki rozerwane i pełne krwi, twarz również czerwona od krwi wypływającej z przewodów łzowych. To nie były oczy, lecz dwa ugotowane pomidory winogronowe. Krew zbrukała mu twarz, wypłynęła z oczu, poplamiała koszulę. Wypełniała uszy i nos, gromadziła

się pod paznokciami, a także w zadrapaniach, które utworzyły się wokół oczu, gdy próbował je sobie wydrapać.

Odwróciliśmy się, dręczeni mdłościami, i zdołaliśmy dotrzeć do drzwi, nim pragnienie zwymiotowania, bez błogosławionej ulgi płynącej z samego aktu, zacisnęło na naszym żołądku suchą gorącą pięść, zmuszając nas do zatrzymania się. Zdołałem wywlec nas na korytarz i oparłem się o ścianę, wciągając w płuca głęboki haust ciepłego pachnącego stęchlizną powietrza. Spróbowałem przymknąć oczy, ale przekonałem się, że nie śmiem tego zrobić. Schody na stryszek, gdzie zostawiłem Ode, za pierwszym razem składały się tylko z kilkudziesięciu stopni, ale teraz wydawało mi się, że są ich setki, a sforsowanie każdego trwa całe życie. Mijając uchylone drzwi na pierwszym piętrze, zajrzałem do środka i zobaczyłem ciało mężczyzny. Był półnagi, głowę miał zwróconą ku mnie, zaciskał ręce na pościeli jak na linie rzuconej ze statku podczas sztormu. Krew splamiła jego twarz i dywan, barwiąc go na czarno. Oczy miał zmiażdżone. Piętro wyżej poczułem na poręczy coś lepkiego. Nie zatrzymaliśmy się, by sprawdzić, co to takiego.

Na najwyższym piętrze również było ciemno.

Ale nie czułem smrodu śmierci.

Drzwi do pokoju Ody nie były zamknięte na klucz. Otworzyłem je czubkiem stopy i spojrzałem na łóżko, na którym ją zostawiłem. Pościel była zmierzwiona, koc zmiętoszony, a na poduszce pozostał odcisk głowy, ale Ody nie było. Otworzyłem drzwi nieco szerzej, wy dobyłem z palców odrobinę ciepła, i rzuciłem je w górę pod postacią żarzącej się sodowym światłem kulki, która oświetliła pokój. Żarówka pod sufitem poczerniała, podobnie jak cała reszta, światło nie działało. Na podłodze nie było krwi, a na pościeli zostały tylko drobne ślady, zapewne pochodzące od zabrudzonych ubrań kobiety. Zajrzałem do łazienki. Lustro stłuczono, ale tam również nie znalazłem krwi. Mój płaszcz leżał pod prysznicem, tam, gdzie go wczoraj zostawiłem. Nadal był wilgotny, ale znacznie suchszy niż przedtem. Podniosłem go, przerzuciłem przez torbę i wróciłem do sypialni. Usiadłem na skraju łóżka i powąchałem poduszkę, ale nie poczułem niczego podejrzanego. Potem sprawdziłem szuflady i zobaczyłem na stoliku nocnym kartkę. Napisano na niej długopisem:

Czekamy na ciebie.

Choć jesteście bogami, nosimy śmiertelne ciało.

Uciekliśmy.

* * *

Pragnąłem jasnych światła, czystego powietrza i czegoś pewnego za plecami.

Ale gdy spoglądałem na każde mijane miejsce, przychodziły mi do głowy powody, dla których nie spełniało żadnego z tych wymagań.

Szedłem długo, aż wreszcie się zorientowałem, że nie wiem gdzie jestem. Wtedy przystanąłem i zmusiłem się do oddychania. Znajdowałem się na środku małego placyku. Wzdłuż jego brzegu przejeżdżały samochody, a między zapaskudzonymi przez gołębie ławkami stały przepełnione kosze na śmieci. Zza zamkniętej na kłódkę, zabitej deskami toalety publicznej spoglądał na mnie lis. Obracałem się wkoło, aż wreszcie dostrzegłem światła Canary Wharf widoczne nad dachami, uznałem ten kierunek za północ, dotarłem do najbliższej ławki i usiadłem. Moja głowa znalazła drogę do dłoni. Z oddali dobiegł mnie odgłos otwieranego okna. Komentator radia BBC biadolił kulturalnym głosem nad dzisiejszym upadkiem obyczajów. W mojej kieszeni zadzwonił telefon. Odebrałem go.

- Cześć, Penny.

- Nie dzwonię za późno?

Spojrzałem na niebo. Jego mrok mąciła luna ulicznych świateł oraz niesione wiatrem chmury.

- Nie mam pojęcia. Która godzina?

- Druga w nocy, do cholery.

- Już?

Nie w porządku.

Coś było nie w porządku.

Spojrzałem na zegarek. Wskazówki pokazywały dziesięć po drugiej.

- Hej, nie myśl, że mi zależy albo coś, ale wszystko z tobą w porządku? - zapytała kobieta. - Mam wrażenie, że... dostałeś po dupie albo coś w tym rodzaju.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytałem, szczypiąc się w grzbiet nosa.

- Nie wiem. Zwykle, kiedy rozmawiamy, słyszę od ciebie różne rzeczy.

- Rzeczy? Jakie rzeczy?

- No wiesz... na granicy słyszalności.

- Słucham?

- Może lepiej porozmawiajmy o tym, co ci się stało?

- Penny - jęknąłem - daj spokój, mam za sobą ciężką... noc... ciężkie chwile. Co słyszysz w telefonie?

Westchnęła, a potem zaczerpnęła głośno tchu.

- Słyszę... jeśli nazwiesz mnie idiotką, to pożałujesz... słyszę... coś w rodzaju śpiewu. Na samej granicy słyszalności. Pod wszystkimi innymi dźwiękami. Kiedy rozmawiam z tobą

przez telefon. Jakby coś... brzęczało w przewodach.

Milczeliśmy, zbyt zaskoczeni, by cokolwiek powiedzieć. Musiało to trwać dość długo, bo nagle Penny wygarnęła:

- Śmiejesz się ze mnie?

- Co? Nie, daję słowo, że nie. Nie śmiejemy się z ciebie. Nic w tym rodzaju. Hej, swoją drogą, dziękuję.

- Za co?

- Za to, że nade mną czuwasz.

- Do diabła...

- Mówię poważnie.

- Matthew - skarciła mnie - mówisz jak totalnie ześwirowany biały świr i dostaję świra, jak cię słucham. Wsadź sobie, dobra? - Przerwała na chwilę. - Jest aż tak źle?

- Och, tak. - Zachichotałem z szubieniczną wesołością. - Naprawdę aż tak źle.

- Potrzebujesz pomocy?

- Ujmijmy to tak: nie wyłączaj komórki.

- Dobra.

- I... Penny?

- Słucham?

- Jeśli usłyszysz albo poczujesz coś, co cię przestraszy, nie wygłupiaj się, tylko zwiewaj. Obiecujesz?

- Skoro prosisz mnie tak uprzejmie.

- No to na razie. Wkrótce porozmawiamy, dobra?

Schowałem telefon z powrotem do kieszeni.

Potrzebowałem planu.

Ale miałem tylko wilgotny płaszcz. Rozłożyłem go i uniosłem do oczu. Tu i ówdzie były jeszcze na nim podejrzone plamy, miejsca, w których woda nie zmyła krwi do końca. Zastanawiałem się, jak duża jej część pochodzi od Ody. Postanowiłem to sprawdzić.

* * *

We wschodnim Greenwich zaskakująco trudno jest znaleźć kościół. Nie chodzi o to, że w okolicy brakuje budynków o religijnym charakterze. Problem w tym, że wszystkie zbudowano w czasach, gdy modne były niskie wieże albo całkowity brak wież, a także uniwersalne sale i ośrodki, mogące pod nieobecność Boga gościć imprezy sportowe i świetlice dla dzieci. W końcu natrafiłem na kościół baptystów, budynek z ciemnoczerwonej

cegły, o trzech nisko usytuowanych witrażowych oknach zabezpieczonych siatką drucianą. Przeskoczyłem nad zamkniętą furtką i załomotałem do masywnych niebieskich drzwi.

Nikt mi nie odpowiedział.

W środku było ciemno.

Okrzyżłem budynek od tyłu i znalazłem przy małej przybudówce ze świeższej czerwonej cegły niewielki, wyłożony betonem parking z wielkim napisem głoszącym: TYLKO DLA NIEPEŁNOSPRAWNYCH. ZAKAZ GRY W PIŁKĘ, umieszczonym nad dwoma miejscami parkingowymi, puszkę na śmieci, resztki zniszczonej perkusji oraz schody ewakuacyjne, zbudowane przez miejscową radę, która nawet Bogu nie ufała na tyle, by wierzyć, że nie spowoduje pożaru we własnym domu. Nie potrzebowałem wiele czasu, by przekonać zamek w tylnych drzwiach do otworzenia się na mój rozkaz. Miejscowy pastor, choć czuł potrzebę zabezpieczenia okien siatką, zapomniał o zainstalowaniu alarmu włamaniowego. Poszukałem w ciemności wyłącznika i zapaliłem światło.

Znajdowałem się w maleńkiej kuchni, gdzie były dwa wystrzępione fotele, kuchenka mikrofalowa, zlew, parę szafek i mała półeczka z naznaczonymi podejrzanymi plamami kubkami do kawy stanowiącymi zagrożenie dla zdrowia publicznego. Na ścianie wisiał plan zajęć - od lekcji śpiewania muzyki gospel aż po naukę włoskiego dla osób po sześćdziesiątce. Małe oszklone drzwi prowadziły do głównej sali, a pobliski przełącznik umożliwił mi zapalenie szeregu białych jarzeniówek. Przyjrzałem się skrzyżowanym belkom z czarnego drewna podtrzymującym dach oraz witrażom przedstawiającym Jezusa grającego na gitarze akustycznej, Maryję z dzieciątkiem oraz Jana Chrzciciela siedzącego za perkusją. Na jednej ze ścian wisiały zielone tablice ogłoszeniowe, na których miejscowe dzieciaki przypinały swoje interpretacje historii Jezusa narysowane kredkami na kartkach formatu A3. Na stojącej przy drzwiach skrzynce napisano: „Prosimy o hojne ofiary”. Wiszący nad nią plakat opiewał historię siedemdziesięcioośmioletniej Maureen i jej nieustanne wysiłki w pomaganiu samotnym, starym i zagubionym mieszkańcom dzielnicy, w której żyła od czterdziestu pięciu lat. Zdjęcie przedstawiało kobietę o obwisłych policzkach opadających poniżej linii szczęki i białych kręconych włosach. Na nosie miała okulary o grubych szklach, a jej uśmiech mówił, że potrafi cierpliwie wysłuchać wszystkich i nie osądza nikogo. Wrzuciłem do skrzynki pięćdziesięciopensową monetę i usłyszałem, jak uderzyła o nagie drewno w środku.

Między szeregami krzeseł biegły przejścia. Na ich końcu stał niski stół na kozłach. Fioletowy obrus i srebrne lichtarze świadczyły o tym, że to ołtarz. Po obu stronach stołu ustawiono głośniki, a na honorowym miejscu na podwyższeniu umieszczono bardzo kochany egzemplarz Pisma Świętego, wystarczająco ciężki, by ogłuszyć nim rekina.

Zdjąłem tornister z pleców i usiadłem w pierwszym szeregu przed ołtarzem. Jezus spoglądał na mnie z pełnym smutku zrozumieniem sponad swej gitary. Nie miał twarzy faceta skłonnego chować urazę, zdjąłem więc pulower i zarzuciłem sobie płaszcz na ramiona, tak jak nosiła go Oda. Kiedy plama krwi, która wyciekła z jej piersi, znalazła się nad moim sercem, otuliłem się płaszczem i przymknąłem oczy.

A potem pomyślałem o psychopatycznej suce.

Przypomniałem sobie brzmienie jej głosu, cichego, zimnego i z reguły grożącego mi śmiercią.

Dotyk jej palców, gdy brała mnie za rękę.

Jej ciężar, gdy pomagałem jej uciec z pożaru.

Zapach jej krwi.

To, jak biegła, gdy uciekaliśmy razem przed potworami i demonami.

Szum...

...wody...

I zapach...

...benzyny...

Poczułem metaliczny smak na języku.

Otuliłem się płaszczem jeszcze ciaśniej i wetknąłem palce w krwawą plamę na piersi. Blisko, myśl o niej, jej aura, nadal blisko.

Wstałem i przez krótką chwilę dziwiłem się tym faktem, ale pozwoliłem na to, dałem się ponieść. Nogi zaprowadziły mnie do ołtarza. Kolana ugięły się pode mną. Klęknąłem. Zwiesiłem głowę. Poczułem...

...wstyd...

Usłyszałem...

...dźwięk poruszonej wody...

Poczułem smak...

...metal i soli...

A także...

...ból tutaj ból ból wyrwij go...

Zacisnąłem palce na piersi, nad sercem, i ból pod nimi przerodził się w gwałtowne pieczenie, a potem w lancę przeszywającą mi pierś na wylot. Wciągnęliśmy gwałtownie powietrze i zachwialiśmy się na nogach. Ból łomotał nam pod czaszką, pulsował pod powiekami, spróbowaliśmy uwolnić się od zaklęcia i zobaczyliśmy

krwawiące oczy

poczuliśmy
pękające bębny
zwęszyliśmy
sól i żar wypełniające nos.

- Odo! - jęknąłem.

Na chwilę, na bardzo krótką chwilę, znalazłem się w jej głowie. Patrzyłem na świat jej oczyma, a ona widziała tylko stojącą wodę, czarną stojącą wodę, sięgającą jej kolan. Szła przez czarną wodę i czuła ból w piersi, straszliwy ból, ale to jej najwyraźniej nie przeszkadzało. Nie krzyczała ani nie łapała się za ranę, tylko gapiała się na wodę i w tej wodzie było odbicie, twarz, i ta twarz nie miała oczu, czy raczej miała oczy z czarnego puddingu, oczodoły wypełnione martwym tłuczonym mięsem patrzyły na wodę i twarz była pusta i

i potem spojrzały na mnie.

Oda się uśmiechnęła.

Jej nieoczy patrzyły na mnie.

Widziały nas.

- Czarnoksiężniku - wyszeptała głosem brzmiącym jak pełen pyłu wydech w nadal nieruchomym powietrzu.

Coś w pewnym sensie przypominającego pięść Boga uderzyło nas w brzuch, niepowstrzymane jak Dzień Sądu, uniosło w powietrze i cisnęło na drugi koniec sali plecami naprzód.

* * *

Czarne charaktery mogą zemdleć.

Pomagierzy zasłabnąć.

A bohaterowie stracić przytomność po uderzeniu.

Wiedziałem, którą z tych ról wolałbym zagrać.

Zaryzykowałem otworzenie oczu.

Nadal tu byłem.

W kaplicy.

Leżałem pośród połamanych krzeseł, dobre pięć stóp od miejsca, w którym się znajdowałem w chwili poprzedzającej utratę przytomności, ale nadal tu byłem.

Nadal żyłem.

Spróbowałem się poruszyć i kolejne krzesło załamało się pode mną, przewracając

mnie - o ile to możliwe - w jeszcze bardziej haniebnym sposobie. Postanowiłem, że przez chwilę nie będę już ryzykował kolejnych ruchów. Położyłem się na plecach i zamknąłem oczy, oślepiony jaskrawym światłem jarzeńówek, a potem sprawdziłem pośpiesznie swój stan.

Chyba nic nie było złamane.

Głowa bolała mnie koszmarnie.

Z nosa lała się krew.

Ale to nie było złamanie, tylko krwawienie. Otarłem krew grzbietem dłoni, a potem wytarłem ją w wilgotny płaszcz przylepiony do mojej skóry.

Po chwili krew przestała płynąć.

Zadałem sobie pytanie, czy mogę się już poruszyć.

Zastanawiałem się nad tym przez bardzo długi czas.

Owa perspektywa nadal wydawała mi się nieatrakcyjna, ale też nieunikniona, więc po należytych rozważeniach sprawy podjąłem niezbędne ryzyko.

Przy pierwszej próbie mózg zachlupotał mi w czaszce, ale w końcu znieruchomiał we w miarę stabilnej pozycji i odważyłem się uklęknąć. Gdy leciałem od ołtarza w to miejsce, w szeregach składanych kościelnych krzeseł utworzyła się luka o moim kształcie. Doczołgałem się do ołtarza i spróbowałem wstać. Zdjąłem zakrwawiony płaszcz, wrzuciłem go do najbliższego kosza i podpaliłem za pomocą garści niebiesko-żółtego gazowego płomienia. Powiedziałem sobie, że otrzymałem cenną, choć nieprzyjemną nauczkę. Powtarzałem to sobie przez całą drogę ku drzwiom. Potem wyszedłem, nie gasząc świateł.

* * *

Wróciwszy do świata zewnętrznego, wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do Dudleya Sinclaira.

Nie śpieszył się z odebraniem. Pierwsze słowa, które wypowiedział, brzmiały jak niewyraźne mamrotanie. Udało mi się zaskoczyć go podczas snu. Nigdy bym się nie spodziewał, że taki dzień nadejdzie.

- He? Słucham?

- Pan Sinclair? - wydyszałem, jedną ręką przyciskając telefon do ucha, a drugą trzymając się za brzuch, jakbym mógł się w ten sposób powstrzymać przed wymiotowaniem do najbliższego rynsztoka.

- Kto mówi? Swift? Która godzina?

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Nadal ma pan dobre kontakty z psychopatycznymi sukinsynami z Zakonu?

- Swift? - Grubas odzyskiwał powoli przytomność, a wraz z nią pojawiało się oburzenie. - Matthew, o co chodzi?

- Pamięta pan psychopatyczną sukę Odę? - zapytałem. - Członkinię Zakonu, religijną maniaczkę pragnącą zabić wszystkich magów i tak dalej, i tak dalej?

- Tak. Przypominam też sobie, że wasza ostatnia wspólna akcja nie zakończyła się zbyt pomyślnie...

- Wpadła w poważne kłopoty i muszę ją odnaleźć.

Usłyszałem szelest poruszanej pościeli, gdy Dudley Sinclair, „zatroskany obywatel” i - ogólnie rzecz biorąc - człowiek, który ma plan, podniósł się do w przybliżeniu pionowej pozycji. Miałem wrażenie, że słyszę ciche mamrotanie kogoś innego, komu zakłócono sen, ale nie potrafiłem się zdobyć na snucie spekulacji.

- Interesuje cię los tej Ody?

- Nieszczególnie, ale biorąc pod uwagę fakt, że chodzi po świecie z dziurą w sercu, jakby wycięto ją w papierze, a kiedy spróbowałem ją odnaleźć, złamała moje zakłęcie sondujące jak pierdoloną pałeczkę serową, czuję się nieco zaniepokojony.

- Chcesz powiedzieć...

- Że chodzi po świecie z raną w sercu i czuje się świetnie. To znaczy, „świetnie” pewnie jest kwestią definicji, ale...

- Matthew, Matthew, proszę, mów wolniej - skarcił mnie Sinclair, który wrócił już do swej zwykłej autorytatywnej osobowości, zdolnej stłamsić rozmówcę nawet przez telefon. - Co dokładnie przytrafiło się tej kobiecie?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem ni czorta. Ale wkrótce wybuchnie wojna między Dworem a Plemieniem, do miasta przybyła Lady Neon, podobno istnieje jakaś wybrana, jeśli ktoś wierzy w taki syf, i tak się składa, że Oda stoi w środku tego wszystkiego. W samutkim środku. A teraz nie mogę jej znaleźć. I... - Przerwałem nagle. - I... coś jest nie w porządku z oczami.

- Z jej oczami?

- Nie wiem. Być może. Byliśmy w tym hotelu i... i coś jest bardzo nie w porządku, panie Sinclair. Nie potrafię określić, co. Ale coś jest naprawdę bardzo nie w porządku. Czuję to. To znaczy... my to czujemy. Nie wiemy, co to jest, ale... to coś znacznie gorszego niż Dwór, Plemię i cała reszta. Czai się tuż poza naszym zasięgiem i chce wbić nam nóż w plecy. To... coś na nas czeka, a my nie wiemy, co to jest.

- Matthew... - Z ust Sinclaira wyrwał się chichot, ewidentnie wymuszony i maskujący strach. - Mógłbym niemal pomyśleć, że się boisz.

- Chyba się porzygam - jęknąłem i pośpiesznie usiadłem w najbliższym rynsztoku, nim moje słowa zdążyły się przerodzić w rzeczywistość. - Jezu! Złamała moje pierdolone zakęcie, jakbym był dziesięcioletnim czarodziejem próbującym podglądać miłosne gniazdko Merlina. Złamała je i odesłała do mnie ot, tak sobie. Nie wzniosłem żadnych osłon, nie byłem przygotowany, ona... ona nie może zrobić czegoś takiego, rozumie pan? Nie jest magiem, a już z pewnością nie czarnoksiężniczką, ma w sobie tyle magii, co Marmite, ale złapała mnie i... muszę ją odnaleźć. Muszę. Nie wiem, na czym polega ten cały syf, ale ona jest w jego sercu. Nie trzeba było jej zostawiać w tym cholernym hotelu...

- Matthew, rzecz jasna, mogę spróbować ci pomóc, ale musisz pamiętać, że mam własne cele. Nie mogę pozwolić, by... siły zewnętrzne... zaszkodziły bardzo delikatnym stosunkom łączącym mnie z różnymi użytkownikami magii w tym mieście, a nawet z ich wrogami. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę.

- Muszę po prostu znaleźć Odę - jęknąłem.

- Proszę bardzo. Potrzebuję trochę czasu, by przeprowadzić... odpowiednio dyskretne dochodzenia. Powiedzmy: trzy godziny?

- Znakomicie. I... panie Sinclair?

- Słucham?

- Jeśli choć jedno słowo na ten temat dotrze do Rajców, Dworu albo Plemienia...

- Zakładam, że skoro prosisz mnie o pomoc w tej sprawie, to znaczy, że nie chcesz się zwrócić do nich - odparł z lekką urazą.

- Zgadza się.

- Czy mogę zapytać, by wyrobić sobie szersze spojrzenie na sprawę, jak głęboko wdepnąłeś w coś, nad czym nie możesz zapanować?

- Powiedzmy: po brodę? - zasugerowałem.

- To znaczy, że nadal płyniesz, nie toniesz?

- Mam taką nadzieję. Gdzie się spotkamy?

Zaczerpnął tchu.

- Jak dobrze znasz St. James's?

* * *

Trzy godziny.

Dudley Sinclair, „zatroskany obywatel”, człowiek utrzymujący kontakty ze wszystkimi. Jak się okazało, również z tymi, którzy nie mają oporów przed szkodzeniem innym.

W trzy godziny mogłem zrobić parę rzeczy.

Charcząc i kuśtykając, dowlokłem się do najbliższego przystanku autobusowego.

Na dachu wiaty leżał tylko kolczasty plastikowy przedmiot wyglądający jak zabawka dla psa.

Do niczego mi się nie przyda.

Powlokłem się do następnego przystanku.

Tym razem, pośród brudu i nieusuwalnych plam zielonkawoszarej pleśni pozostałych po wyschniętych kałużach, znalazłem zbutwiały i straszliwie wymięty egzemplarz katalogu firm.

Wdrapałem się na kosz, żeby go zdjąć, a potem usiadłem na wąskiej czerwonej ławce i zacząłem przerzucać jego strony.

Są zwyczajne katalogi firm i takie, które znajduje się na dachach wiat przystanków autobusowych. Nikt właściwie nie wie, skąd się tam biorą, i z reguły nikt o to nie pyta, ale dla wędrownego miejskiego maga te cuchnące, rozkładające się książki są nieocenioną pomocą.

Przerzuciłem wykazy magów, czarownic, czarnoksiężników, egzorcystów, pomniejszych alchemików i pełnoprawnych rozmawiających z umarłymi. Tu i ówdzie dostrzegałem ogłoszenia:

ŻADEN DUCH NIE JEST ZBYT POTĘŻNY, ŻADEN EGZORCYZM ZA TRUDNY!!

(Standardowa opłata za rozmowy wychodzące).

Albo:

Już ci jej nie staje?

Nie czujesz magii w koniuszkach palców?

Potrzebujesz Mistycznej Podniety pani Jameson.

Pani Jameson: Matka wszelkiej dobrej magii.

Przerzuciłem kartki pod literą „p”, szukając „proroków”. Nie było żadnych.

Przeszedłem do „s”, dotarłem prawie do końca i znalazłem siebie. Nikomu nie wysyłałem żadnych danych, ale to nie powstrzymało mocy katalogu firm. Tekst brzmiał:

„Swift, M. (czarnoksiężnik): pod adresem: Rajcy, 149 Aldermansbury Square, London EC2 9TU”.

Westchnąłem i cofnąłem się do „j”, gdzie znalazłem hasło „Jasnowidze - patrz też, prorocy, mistycy, wizjonerzy”.

Była tam tylko jedna pozycja, zajmująca w przybliżeniu ćwierć strony. Jej tekst brzmiał następująco:

Przyszłość nie musi przerażać!

Wywróż swoją przyszłość do 20 grudnia i weź 10 funtów zniżki dla przyjaciela!

Zapewniamy dyskrecję i wrażliwość.

Nie świadczymy usług śmiertelnie chorym, poszukiwanym zbiegom ani chodzącym trupom.

Podano też adres i numer telefonu. Zapisałem je sobie na grzbiecie dłoni, rzuciłem katalog na dach wiaty i ruszyłem na poszukiwania przyszłości.

* * *

Adres zaprowadził mnie do domu w Mile End.

Wróciłem autobusem nad rzekę i wysiadłem w miejscu, gdzie według przewodnika można było znaleźć „morską historię Greenwich”. Faktycznie sprzedawano tu mosiężne przybory wszelkiego rodzaju, a także flagi i węzły. Po prawej widziałem wsparte na kolumnach arkady starej Królewskiej Szkoły Morskiej. Stoi tam *Cutty Sark*, zaskakująco mały, jeśli go zobaczyć z bliska, pięknie odrestaurowany kliper o trzech wysokich masztach. Za dnia dzieci biegają po nim, bawiąc się w piratów, a rodzice łążą za nimi potulnie, starając się nie wyróżnić o nic głową.

Pod małą zieloną kopułą znajdowało się zejście do tunelu pieszego w Greenwich. Światła na suficie schodziły po łuku w dół, niknąc mi z oczu. Długa spirala opadała w nieznane głębiny. Kafelki na ścianach kiedyś były białe, ale z czasem pożółkły, a w szczelinach między nimi nagromadził się brud. Naprzeciwko wyjścia znajdowało się dwoje szerokich drzwi do wind. Czekałem. Rozległ się łoskot wielkich kół ciągnących windę w górę. Drzwi się otworzyły. Kabina była niemal całkowicie pusta. Pod drewnianymi ścianami ulokowano niewielkie siedzenia. Mężczyzna w granatowym pulowerze spał obok małego przenośnego magnetofonu kasetowego. Głowę wsparł o ścianę i rozdziawił szeroko usta. Wszedłem do środka. Magnetofon grał piosenkę o trampolinach i miłości, śpiewaną przy akompaniamencie łagodnych dźwięków gitary.

Pojechaliśmy na dół.

Gdy winda się zatrzymała, śpiący drgnął, poruszył zuchwą i cmoknął.

- Gdzie się podziało słońce? - wymamrotał, gdy przechodziłem obok niego.

Zawahałem się.

Mężczyzna przesunął się na stołku, nie otwierając oczu, i znowu zasnął.

Tunel zakręcał przede mną, opadał ku najniżej położonemu punktowi znajdującemu się w połowie drogi, a potem zaczynał się wznosić. Kafelki na ścianach, nagi beton pod

stopami, rozmieszczone w regularnych odstępach matowożółte lampy. Drzwi windy zamknęły się za mną, odcinając dźwięki muzyki. Ruszyłem przed siebie. Nasze kroki niosły się głośnym echem w stanowczo zbyt cichym tunelu. Czułem pustą przestrzeń za swymi plecami i gorąco pragnąłem, by osłoniła je ściana. Poza nami poruszał tu się tylko nasz cień, przemieszczający się jak szalony zegar słoneczny, w miarę jak mijaliśmy kolejne lampy pod sufitem.

Winda wróciła. Znowu usłyszałem muzykę, tym razem głośniejszą. W tekście padało pytanie, jak brzmi prawdziwa opowieść i dlaczego nikt jej nie rozumie, cokolwiek mogłoby to znaczyć.

Drzwi się zamknęły. Muzyka ucichła.

Szedłem przed siebie.

Słyszałem z tyłu kroki, ostry stukot uderzających o beton butów, głośniejszy niż łagodny dźwięk moich miękkich podeszew. Powiedziałem sobie, że to nic. Potem się zatrzymałem, czując się jak idiota. Po paru chwilach kroki umilkły. Ruszyłem. One też. Zatrzymałem się. One również. Winda wróciła, drzwi się otworzyły. Baterie w magnetofonie już się wyczerpywały. Śpiew odbijający się od twardych kafelków był słaby i zniekształcony.

Obejrzałem się za siebie. Nikogo tam nie było.

Zaryzykowałem przejście kolejnego odcinka.

Nie usłyszałem żadnych kroków poza własnymi.

- Wszechświecie, to nie jest śmieszne - odezwałem się.

Mój głos odbijał się od ścian, stopniowo przechodząc w unoszący się w powietrzu szept.

Przyśpieszyłem kroku, zmierzając w stronę wyjścia. Nie biegłem, ale również nie był to spacer. W tunelu było cicho. Słyszałem tylko własne kroki oraz oddech, nic więcej. Widziałem już windę na końcu i kręte schody prowadzące na drugi brzeg. Za mną nic nie było. Nie słyszałem kroków, oddechu ani...

Ani muzyki.

Zwolniłem.

Zatrzymałem się.

Wzniosłem osłony. Powietrze wokół mnie zgęstniało od zimnej rzecznej magii. Odwróciłem się, spoglądając w stronę, z której przyszedłem.

Dostrzegłem kogoś, czy raczej z uwagi na panującą w obniżającym się pośrodku tunelu perspektywę, ujrzałem stopy i kolana jakiejś osoby stojącej przy drugiej windzie, kilkaset stóp za mną, widoczne w padającym z otwartej windy świetle. Nagle światło w

windzie zgasło. Potem pierwsza lampa, a za nią kolejna. Usłyszałem ostry trzask, a po nim syk. Ujrzałem krótki ultrafioletowy rozbłysk. Później przyszła kolej na następne światło. Fala ciemności zmierzała ku mnie tunelem.

Odwróciłem się i tym razem zacząłem biec.

* * *

Zatrzymałem się na szczycie krętych schodów prowadzących na północny brzeg Tamizy. Nie mogłem dłużej biec, bo kolana mnie bolały, a serce biło gwałtownie. Poza tym, tu światła nadal się paliły, a powietrze było czyste. To było miejsce, w którym mogłem stanąć do walki.

Odwróciłem się i czekałem, patrząc na wyjście z tunelu.

Za moimi plecami spokojnie paliły się żółte latarnie umieszczone nad schludnymi ławkami parkowymi albo między platanami. Szum rzeki brzmiał tak, jakby ktoś siorbał gęsty jogurt przez słomkę. Spadły pierwsze chłodne krople mżawki, zapowiadające nadejście deszczu. Nikt się nie zjawił.

Stałem tam przez dobre pięć minut. Mżawka przeszła w deszczyk, deszczyk w deszcz, a deszcz w ulewę, ale nadal nikt nie nadchodził. W końcu, czując się jak skończony dureń, odwróciłem się i odszedłem, co chwila spoglądając za siebie, aż wreszcie straciłem z oczu wyjście z tunelu. Wtedy wypuściłem nagromadzoną między palcami magię i oddaliłem się pośpiesznie.

* * *

Na nocny autobus z Isle of Dogs do Mile End musiałem czekać całe dwadzieścia minut. Zaczynałem odczuwać brak płaszcza. Skuliłem się pod wiatr, oplatając się rękoma i wciskając podbródek w pierś, jakby mogło mnie to osłonić przed ulewą. Rynsztokiem spływało zbyt wiele wody, by studzienki mogły ją odprowadzić. Tworzyły się wielkie kałuże, rozbryzgiwane przez nieliczne przejeżdżające ulicą samochody. Wreszcie przyjechał autobus, niski jednopiętrowy pojazd zamieszkały przez trzy młode kobiety w strojach świadczących o tym, że wybierają się na przyjęcie. Milczały i siedziały ze spuszczonego wzrokiem. Woda rozmyła makijaż na ich bladych, poszarzałych twarzach. Autobus mknął na północ, nawet nie zwalniając przy pustych przystankach, na rogach czy w kałużach tworzących się na pokrytych świeżym asfaltem ulicach. Mijaliśmy zielone parki publiczne i słabe światła całodobowych sklepów ogólnospożywczych, agentów handlujących nieruchomościami, w oknach których nadal paliły się światła, żłobki z afiszami w radosnych czerwonych, żółtych i niebieskich barwach, zamknięte oszklone stacje kolejki DLR zbudowane na trawiastych nasypach, oraz

dwuletnie kolegium przygotowujące do egzaminu dojrzałości, które zapewniało, że dyplom z marketingu i zarządzania zmieni nasze życie.

Canary Wharf nie przestawał rosnać przed nami, aż wreszcie z autobusu nie można już było zobaczyć szczytów wieżowców. Rozsiadłem się wygodnie i przypomniałem sobie o oddychaniu, zmuszając się do regularnego wciągania powietrza w płuca. Zalała mnie magia tego miejsca - srebro, szkło, światło, ostre krawędzie, brzęczenie pod czaszką i lód, który spływał do koniuszków palców, nadając im niebieski kolor. Każda część miasta ma własną magię, a magia Canary Wharf, niekończących się ciągów wieżowców, sklepów, stali i czystej wody bieżącej, choć jeszcze młoda, pragnęła dać się odczuć. Wcisnęliśmy palce w szybę i poczuliśmy, że pod naszymi palcami tworzy się szron. Moc wypływała z nas, czy tego chcieliśmy, czy nie. Autobus zwolnił, mijając punkt graniczny. Już wcześniej niewielkie obszary widocznego nieba przerodziły się w wąziutkie pasemka między szczytami budynków, a nieliczni ludzie zniknęli całkowicie, pozostawiając tylko puste ulice i ogromne szklane drzwi, za którymi spały biurka recepcji, hole pełne brązu i srebra, palmy rosnące wewnątrz budynków oraz centra handlowe, gdzie światła nigdy nie gasły.

Gdy autobus wreszcie wytoczył się z tej okolicy i wrócił nad wodę, zmierzając w stronę Billingsgate, wypuściłem magię wraz z drżącym oddechem, który osadzał się na oknie przede mną. Na szkle pozostawała warstewka pary, tworząca kształty i regularności, w jednych miejscach cieńsze, a w innych grubsze. Odwróciłem od niej twarz i w tej samej chwili coś tam dostrzegłem. Wzór bardzo przypominał krzyż, z drugim mniejszym krzyżem, który mógł być mieczem, umieszczonym w lewym górnym rogu. Zakląłem i zorientowałem się, że moja lewa dłoń nieświadomie owija się wokół prawej, a palce wbijają się w wypalone w skórze blizny. Wsiadłem na następnym przystanku.

Byłem już blisko Mile End i szybko zmokłem tak bardzo, że przestałem się przejmować deszczem. Przerzuciłem sobie torbę przez ramię, otarłem większą część wody z oczu i ruszyłem na poszukiwania proroka.

* * *

Mile End było trudną do zdefiniowania częścią miasta.

Z jednej strony, jak sugeruje nazwa, tu właśnie kończyło się ono nieodwołalnie, ale przecież historia Londynu była dziejami niezliczonych końców, miejsc zwanych Field Lane czy Gate Road, gdzie miasto docierało do swej granicy aż do chwili, gdy z potężnym geograficznym wzruszeniem ramion postanawiało rozszerzać się dalej. Dlatego z czasem Mile End stało się nie tyle końcem miasta, ile początkiem końca, miejscem, gdzie

wewnętrzny Londyn styka się z zewnętrznym, pełnym segmentów oraz komunalnych bloków, wspaniałych parków i zachwaszczonych placyków, naziemnych linii kolejowych prowadzących do Norfolk, Essex i na wschodnie wybrzeże, a także powolnych autobusów, kończących bieg w Aldgate i na Liverpool Street. Z Mile End nie tylko teoretycznie można było dojść po prostej linii do samego serca miasta, mijając Bethnal Green po drodze na Liverpool Street. Równie łatwo można było odnaleźć koniec doliny rzeki Lee i ruszyć wzdłuż brzegu, mijając płynące barki oraz krzaczaste tereny, by wreszcie dotrzeć do miejsca, gdzie kończy się miasto i zaczynają pola. To byłby długi, ale całkiem przyjemny spacer.

Przechodziłem pod mostami kolejowymi, mijalem majestatyczne rezydencje i walące się domy bliźniaki, szedłem przez szare osiedla bloków komunalnych i ulice, przy których stały pozbawione irytujących ozdób wiktoriańskie segmenty. Moje spojrzenie zatrzymywało się na tablicach z napisami:

Ostrożnie szkoła

i

Parking osiedlowy dla strefy M - Tylko dla posiadaczy zezwoleń

a także nieco bardziej niejednoznaczne

Uwaga na dzieci

aż w końcu zatrzymałem się na skraju Roman Road, przy sklepie monopolowym oferującym sześć pint polskiego piwa za cztery funty i czerwone wino za 3,99 butelka. Sprawdziłem blaknący adres, który zapisałem długopisem na grzbiecie dłoni, wygrzebałem z torby przewodnik i sprawdziłem kierunek na planie. Nikt nie zna całego Londynu, nie w każdej chwili.

Deszcz nadal nie słabł, gdy wreszcie dotarłem na miejsce. Mały domek z czerwonym spadzistym dachem i firankami w małych kwadratowych oknach był wciśnięty między zakład szewski a polskie delikatesy. W małym ogródku przed wejściem były trzy płyty chodnikowe prowadzące do drzwi oraz skrawek trawnika. Stojący na nim krasnal ogrodowy stanowił jedyną cechę charakterystyczną domu. Krasnal wykonywał lewą ręką gest, który można było uznać za obsceniczny, ale twarz miał wesołą i dobroduszną. W jednym z okien na piętrze paliło się światło. Szyba była matowa, co sugerowało, że to łazienka. Zadzwoiłem do drzwi. Światło na górze zgasło. Zadzwoiłem znowu. Zapaliła się lampa za dwiema matowymi szybami w drzwiach wejściowych. Na chwilę pojawiła się tam jakaś postać. Zagrzechotał łańcuch i drzwi uchyliły się na kilka cali.

W szczelinie pojawiło się załzawione oko.

- Słucham? - zapytał ktoś cichym, ale energicznym głosem.

- Hmm... czy mogę porozmawiać z jasnowidzem? - wymamrotałem.

- Tylko po wcześniejszym ustaleniu terminu - odpowiedział mężczyzna i drzwi zaczęły się zamykać.

Wsunąłem stopę w szparę.

- To bardzo ważne - oznajmiłem.

- Kim pan jest? - zapytał z oburzeniem mężczyzna.

- Hmm... Nocnym Burmistrzem? - zasugerowałem.

- Bzdura. Nigdy nie wierzyłem w Nocnego Burmistrza, a już z pewnością nie uwierzę, że to pan nim jest, nawet gdyby to nie była cholerna bajka. A teraz proszę zabrać nogę z mojego progu.

Spróbowałem zamknąć drzwi, miażdżąc mi stopę. Popchnąłem je barkiem.

- Niech pan posłucha, gdyby Nocnym Burmistrzom wydawano identyfikator z nazwiskiem, to stanowisko straciłoby trochę tajemniczości, prawda?

- Wynocha!

Przez chwilę trwała pozbawiona godności przepychanka o panowanie nad drzwiami. Wreszcie zdołałem odepchnąć go do tyłu i uchylić je szerzej, aż zatrzymały się na łańcuchu. Nim mężczyzna zdołał odzyskać równowagę, wsadziłem rękę do środka, złapałem za łańcuch i zdjąłem go nim niedokrwienie dłoni przekroczyło umiarkowany stopień. Wtargnąłem do środka i znalazłem się w korytarzu przesyconym intensywnym zapachem papierosowego dymu. Ściany pomalowano na żywy słonecznikowy kolor. Wisiały na nich stare karykatury Hindusów w rozmaitych nieprawdopodobnych i budzących wątpliwości pozach. Odepchnięty przeze mnie mężczyzna przekroczył już pięćdziesiątkę. Miał proste, nierówno ostrzyżone siwe włosy rzadziejące na skroniach i niedokładnie wygolony guzowaty podbródek. Był odziany w niebieski frotowy szlafrok i sztruksowe pantofle. Zamachnął się na mnie, gdy zamknąłem za sobą drzwi.

- Proszę wyjść! Proszę wyjść! - krzyczał. - Bo wezwę policję!

Wybiegł z korytarza do pomieszczenia, które zapewne było salonem. Podążyłem za nim. Gdy sięgnął po telefon, dotknąłem jego ramienia. Odwrócił się, zaciskając pięści. W tej samej chwili złapaliśmy go za gardło naznaczoną bliznami dłonią. W naszych oczach zapłonął szafirowy ogień, poczuliśmy, że włoski jeżą się nam na karku. Światło w korytarzu zamrugało, prąd zaskwierczał w gniazdkach, po telefonie przepelzły niebieskie iskry, obraz na ekranie telewizora zamigotał i ustąpił miejsca szalonemu śnieżeniu. Mężczyzna charczał, próbując odepchnąć nasze ręce. W naszej duszy narastał elektryczny ogień. Gospodarz spojrzął nam w oczy i zaczął się bać.

- Cześć - rzuciliśmy. - Jasno powiemy, o co nam chodzi. Jesteśmy Nocnym Burmistrzem, obrońcą tego miasta. Strzeżemy jego tajemnic i dźwigamy brzemiona. Cienie patrzą na nas, gdy przechodzimy, a gołębie odwracają wzrok, szczury pierzchają nam spod nóg i drżą, słysząc nasze kroki na kamieniach. Jesteśmy też niebieskimi elektrycznymi aniołami. Telefony śpiewają, gdy rozbrzmiewa w nich nasz głos, nasza krew jest niebieskim ogniem, a nasza dusza dźwiga parę anielskich skrzydeł. Zabiliśmy Roberta Bakkerę, czarnoksiężnika i władcę Wieży, zniszczyliśmy śmierć miast i powstaliśmy z martwych. Swift i anioły, dwa umysły, które stały się jednym, dwie dusze w jednym ciele, mające jedną postać i jeden głos. My jesteśmy mną, a ja jestem nami. I czujemy się sfrustrowani.

* * *

Minęło dziesięć minut.

Siedzieliśmy na stołku w kuchni, przyglądając się, jak mężczyzna w szlafroku robi herbatę. Kuchnię pomalowano na kolor awokado, pod sufitem paliła się pojedyncza żarówka, a wszystkie blaty miały brudnożółtą barwę. Jak wszędzie, cuchnęło tu papierosami.

- Herbatniki? - zapytał.

- A jakie pan ma?

- Z kremem waniliowym.

- Chętnie.

Postawiono przede mną kubek z napisem *NIE JESTEM KUBKIEM - ZAPYTAJ MNIE O E-NAUKĘ!*, a do tego połowę paczki tanich herbatników. Maczaliśmy je w herbacie i jedliśmy.

- Zajmuję się prorokowaniem od trzydziestu lat - powiedział mężczyzna. - Zaczynałem w Enfield. To były tylko miejscowe problemy, no wie pan, sprawy uczuciowe, interesy, zaginione psy. A potem wydarzyła się ta cała sprawa z Wieżą i uprawianie magii w mieście nagle stało się niebezpieczne. Krążyły opowieści o cieniu, który wyłaniał się z chodnika i wrywał serce każdemu, kto potrafił rzucić w miarę porządne zaklęcie. Czarnoksiężnicy zginęli. Najpotężniejsi użytkownicy magii w mieście, ci, którzy czuli ją we krwi. Żaden nie ocalał. Poza Bakkerem, oczywiście. Khan... słyszał pan o nim?

- Tak, znałem Khana - potwierdziłem i siorbnąłem głośny łyk herbaty.

- Był najlepszym jasnowidzem w mieście, ale i tak zginął. Choć byłem tylko pionkiem, potrafiłem zrozumieć, że robi się za gorąco, i dlatego zniknąłem. Na kilka lat przeniosłem się do córki, do Belfastu, by zaczekać, aż kłopoty miną. Działaliśmy jako O'Rourke i spółka, jasnowidzenie, prorokowanie i szycie sukien ślubnych.

- Sukien ślubnych...?

- Moja córka - wyjaśnił pośpiesznie. - Szyje suknie ślubne, a także inne rzeczy.

- Rozumiem.

Usiadł na stolku naprzeciwko mnie, ściskając w bladych owłosionych dłoniach kubek gorącej herbaty owocowej. Brwi miał długie i białe, sterczały w górę i dół z jego poszarzałego czoła jak rzęsy słonia.

- Potem jeden znajomy zawiadomił mnie, że Robert Bakker nie żyje, cień zniknął, a Wieża upadła. Wie pan, kocham córkę, ale ona ma własną rodzinę, a ja nie zarabiałem znowu tak wiele. Dlatego... wróciłem tutaj.

- Jedyny ocalały prorok w całym Londynie - zauważyłem. - Z pewnością nie uskarża się pan na brak klientów.

Wzruszył ramionami.

- Jakoś sobie radzę, ale do miasta napływają konkurenci. Zjawiają się nowi prorocy i oczywiście są też Australijczycy.

- Australijczycy?

- Cwaniaczkowate kangury. Przyjeżdżają tu i powtarzają: „Przepowiemy ci przyszłość i przy okazji dostaniesz zmysłowy masaż za okazijną cenę”. Pieprzeni amatorzy.

- To fascynujące - stwierdziliśmy z westchnieniem. - Ale tylko pan figuruje w katalogu firm.

- No cóż, tylko ja nie potrzebuję pozwolenia na pracę - odburknął. - No, wie pan, mamy tu jeszcze prawo. - Wpatrzył się we wnętrze swojego kubka. - Jak zdołał pan przeżyć?

- Słucham?

- Jest pan czarnoksiężnikiem. Jak pan przeżył Bakkera i Wieżę?

Uśmiechnąłem się. Zorientowałem się, że kolejny herbatnik w niewytłumaczalny sposób trafił w moje palce.

- Nie przeżyłem.

Wzruszyłem ramionami. Uniósł brwi.

- To skomplikowane.

- I jest pan również Nocnym Burmistrzem?

- Ehe.

- Jak do tego doszło?

- Och, w zwyczajowy sposób. Ktoś przywołuje śmierć miast, a ta przyjmuje niezniszczalną postać fizyczną i zabija poprzedniego Burmistrza. Ten w ostatnim tchnieniu łapie za komórkę, jego sygnał trafia do nas i ta robota spada nam na kark. Musimy zniszczyć

śmierć miast i tak dalej, i tak dalej. To w sumie typowa opowieść pełna katastrofalnych błędów. Swoją drogą, mam nadzieję, że ta nowa eskapada taką się nie okaże.

- Ach, tak. - Odsunął kubek i pochylił się nad stołem z miną profesjonalisty gotowego do walki. - A na czym właściwie polega problem?

- No więc... - Ja również odsunąłem kubek i pochyliłem się ku prorokowi. - Jakiś totalny palant wziął i oznajmił Neonowemu Dworowi, że po mieście krąży wybrana. Ma pan coś do powiedzenia na ten temat?

Przez jego twarz przemknął wyraz bólu.

- Ach, więc o to panu chodzi.

- Czy przypadkiem pan to zrobił?

- Chyba powinniśmy przejść do salonu - stwierdził i, nim zdążyłem odpowiedzieć, wstał z kubkiem w ręce.

Poszedłem za nim. Pokój również pomalowano na śmiałe kolory, tym razem intensywnego różu i bladego błękitu. Pośrodku umieszczono okrągły stół, a przy nim dwa ustawione naprzeciwko siebie krzesła. Na stole stało kartonowe pudełko, utrzymywane w całości głównie dzięki taśmie klejącej. W środku znajdował się zestaw do gry w monopol. Pan O'Rourke usiadł na jednym z krzeseł i wskazał mi drugie. Postawił kubek na podłodze i zdjął pokrywkę z pudełka.

- Tak - potwierdził, rozkładając przed nami planszę, odliczając pieniądze i rozkładając karty. - Opowiedziałem Neonowemu Dworowi o wybranej. Daimyo, mężczyzna nazwiskiem Minjae San, był moim regularnym klientem. Przyszedł do mnie po odczyt i powiedziałem mu prawdę o tym, co zobaczyłem. Dziewczyna, wybrane złote dziecko, które ma moc zakończenia wojny między Dworem a Plemieniem. - Podsunął mi karty z szansami. - Przełoży pan?

Przełożyłem, nawet na nie nie spoglądając.

- A w jaki sposób to zrobi?

- Zniszczy albo Dwór, albo Plemię.

- Słucham? Tak po prostu?

- Tak. Ta strona, która będzie ją posiadała, przetrwa. Jej przeznaczenie jest niejasne, jej moc tajemnicza, ale niech mi pan wierzy, przyniesie zagładę jednemu albo drugiemu z nich. But czy łódź?

- I... jest „wybrana”? - zapytałem słabym głosem.

- But bardziej do pana pasuje - skwitował O'Rourke, kładąc mały metalowy bucik na pierwszym kwadracie planszy. - Ma pan jedną pięćsetkę, cztery dwusetki, trzy setki, dwie

pięćdziesiątki, pięć dwudziestek...

- Przepraszam - przerwałem mu, gdy rozkładał przede mną używane w grze banknoty.

- Co to do licha znaczy „wybrana”? Wybrana przez kogo? Czy jest czarnoksiężniczką, magiem, aniołem, demonem, potworem, przywołanym stworzeniem, dzieciakiem, który lubi się bawić zapalkami? O czym tu rozmawiamy, do cholery?

- Jest... po prostu wybraną - odpowiedział, kładąc na planszy między nami dwie jaskrawoczerwone kości do gry. - Jest śmiercią Dworu albo Plemienia i nikt nie może zrobić nic, by to zmienić.

- I powiedział pan to wszystko Minjae Sanowi?

- Tak. To dobry klient i nie widziałem powodu, by uciekać od prawdy. Ten, kto wyrzuci więcej oczek, zaczyna.

- Mnie przychodzi do głowy kilka powodów - warknąłem. Wziąłem w ręce kości i rzuciłem je na planszę.

- Pięć i cztery! - stwierdził pan O'Rourke, spoglądając na nie. - Obiecujący start. - Wziął w ręce kości i wyrzucił trzy i pięć. - Pan zaczyna.

Złapałem kości z zasepioną miną, rzuciłem je na planszę i przesunąłem żeton. Metalowy bucik zatrzymał się na polu z napisem Angel, Islington.

- Kupuje pan to? - zapytał pan O'Rourke, kiedy się nie poruszyłem.

- Nie - burknąłem.

Wzruszył ramionami.

- Jak pan sobie życzy.

Rzucił kości. Jego żeton zatrzymał się na Euston Road. Wziął swój plik banknotów i kupił kartę.

- A więc powiedział pan Minjae Sanowi, daimyo, że po Londynie hasa sobie wybrana, która zniszczy Dwór albo jego najgorszego wroga? I co jeszcze?

- Wspomniałem też, że widziałem padający deszcz, ogień i słyszałem samotne kroki w ciemności.

- To na pewno bardzo pomogło.

Rzuciłem kości. Mój but wylądował na elektrowni.

- Kupuje pan? - zapytał.

- Nie.

Uśmiechnął się, a potem pokiwał głową.

- Bardzo interesujące - stwierdził i rzucił. Wynik zaprowadził go na Marylebone Station, którą natychmiast kupił.

- Chcę to dokładnie wyjaśnić. Powiedział pan Minjae Sanowi o istnieniu wybranej, on wyruszył na jej poszukiwania, co doprowadziło go do śmierci... i na tym koniec?

Wzruszył ramionami.

- Nie mieszam się do polityki.

- No jasne.

Mnie następny rzut przywiódł na Bow Street.

- Tego pewnie pan również nie kupi? - odezwał się pan O'Rourke.

- Och, jest pan naprawdę niezły - warknąłem. - Czy pański brak zainteresowania polityką sięga tak daleko, że powiedział pan również Plemieniu o tej „wybranej”?

- Członkowie Plemienia nie są moimi klientami - odparł z oburzeniem. Następny rzut doprowadził go na parking. - Ich nie interesuje długoterminowe spojrzenie na sprawy.

- Myśli pan, że to Plemię zabiło daimyo?

- Nie wiem, kto go zabił.

- A co pan wie? - zapytałem, ponownie rzucając kości. Mój but zatrzymał się na szansie.

- Musi pan wziąć kartę - oznajmił z powagą pan O'Rourke. Wzięłem pierwszą z wierzchu. Napisano na niej „Wygrałeś 10 funtów w konkursie piękności”.

- Interesujące - mruknął gospodarz, wciągając powietrze przez zęby.

- Niech pan słucha, mam na głowie nadchodzącą wojnę między Neonowym Dworem a Plemieniem, ciała i płonące budynki, a do tego wybraną, i, o ile dobrze się orientuję, pan to wszystko sprowokował. Więc może zechce mi pan pomóc?

- Ale to nie wszystko, co ma pan na głowie, prawda? - zapytał, nie odrywając wzroku od planszy.

- Niech mnie pan oświeci - warknąłem.

Uniósł wzrok. Jego oczy wpatrywały się w coś odległego o tysiąc mil, a oddech przerodził się w ochryple charczenie dobiegające z głębi gardła.

- Czeka na pana - zdołał wykrztusić. - Czeka na pana. To... to...! Gdzie się podziało słońce? Gdzie się podziało słońce?

Zamknął oczy, zacisnął palce na krawędzi stołu na podobieństwo szponów i znieruchomiał. Oddychał powoli, siedząc bez ruchu przez długi czas. Zbyt długi. Pochyliłem się ku niemu.

- Hej, kolego... panie O'Rourke?

Cisza.

- Panie O'Rourke?

Coś przesunęło się wzdłuż krawędzi jego oczodołu. Było cienkie i czerwone. Potem spłynęło w dół po nosie, zatrzymało się na brzegu górnej wargi i skapnęło na stół. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem palcem barku mężczyzny.

Otworzył oczy. Były wypełnione krwią. Białka przybrały czerwony kolor, krew płynęła po policzkach jak łzy. Gapił się prosto na mnie. Odsunąłem do tyłu tak gwałtownie, że omal nie spadłem z krzesła, odtrącając na bok planszę do gry w monopol. Pan O'Rourke charczał, kostki zaciśniętych dłoni mu zbieleły, a plecy trzęsły się gwałtownie.

- Wraca z granic nocy - wychrypiał. - Czekał długo, tak bardzo długo, a teraz pragnie zemsty.

- Kto? - wyjąkałem. Zerwałem się na nogi. - Kto czekał?

- Stworzenie na końcu zaułka. Kroki słyszalne w nocy. Cień pod uliczną latarnią. To byłem ja. To byłem ja - zanucił. - Ja to zrobiłem. Byłem w oczach mężczyzny, który zdzierał z nich halki. Byłem w oddechu tego, który zbił szybę, to byłem ja, to ja je związałem, by słyszeć, jak krzyczą, to ja byłem na końcu zaułka, wcale nie twój kochanek, ale ja, to byłem ja...

Krew skapywała mu z podbródka na kolana.

- Kto? - zapytałem. Uniosłem ręce, tworząc załazek osłony. - Kto to jest? Kto wrócił?

- Za późno. - Przechylił z westchnieniem głowę. - Już jest za późno.

- Kto wrócił?

- Już tu jest. Zaciemnienie!

Światła wykonały rozkaz i zgasły.

W domu i na ulicy.

Zgasły wszędzie.

* * *

Uciekać.

Chcieliśmy uciekać.

Ale ja tego nie zrobiłem. Cofałem się powoli, aż wreszcie oparłem się plecami o ścianę. Potem uniosłem palce i przywołałem najsłabszy szept światła.

Pan O'Rourke osunął się na stół. Krew spływała mu po twarzy. Nadal oddychał.

Rzuciłem swoją kulkę światła ku drzwiom i przykucnąłem w rogu pokoju. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem telefon komórkowy. Miałem wrażenie, że słyszę na dworze gwizdanie, odległe kroki i szum deszczu. Nic więcej. Powinienem słyszeć coś więcej. Wybrałem numer Penny. Odebrała natychmiast.

- Penny? - wyszeptalem.

- Hej, dlaczego szepczesz?

- Mogę potrzebować pomocy.

- No jasne, teraz prosi o pomoc. Jakiej pomocy?

- Coś mnie ściga. Było w pieszym tunelu i w hotelu. A teraz jest tutaj.

- A co to jest?

- Nie mam pojęcia. Nie mam pojęcia, czym jest i co może zrobić. Właśnie dlatego mogę potrzebować dzielnego pomocnika. Jak szybko możesz dotrzeć do Mile End?

- Hmm... nie wiem... za czterdzieści minut?

- Przyjedź szybciej. Weź samochód ciotki. Jedź jak motocykliści, jeśli nie będzie innego sposobu. Wszystko mi jedno. Będę pozostawał w ruchu, więc rozmowa może nie być możliwa. Dasz sobie radę?

- Pewnie tak.

- Świetnie. No to na razie.

Zakończyłem rozmowę i schowałem telefon do kieszeni.

Odgłos deszczu.

Szum samochodu przejeżdżającego odległą ulicą.

Plusk wody spływającej rynsztokiem.

Kroki gdzieś w mroku nocy.

Powiększyłem nieco kulkę światła, by odepchnąć cienie czające się na korytarzu. Potem podszedłem do pana O'Rourke'a, poszukałem tętna i znalazłem je. Skierowałem się do korytarza, wziąłem torbę, przerzuciłem ją sobie przez ramię, zwróciłem się ku drzwiom wyjściowym, pozwoliłem, by elektryczność z sieci napłynęła do moich palców, poczułem wodę w rurach pod stopami, a także gaz, gotowy wybuchnąć, gdy tylko mu rozkażę.

- Dobra - powiedziałem i otworzyłem drzwi.

Na ulicy panowały ciemność i cisza.

Wszystkie latarnie zgasły, wypalone od środka żarówki poczerniały. Nic nigdzie się nie poruszało. Szedłem środkiem jezdni, unosząc nad głową kulkę światła, coraz większą i jaśniejszą. Deszczówka odbijała się od niej z sykiem, przylepiała mi włosy do czoła i skapywała z nosa. Wokół zablokowanych studzienek utworzyły się sięgające kostek kałuże, przelewające się na chodniki. Brnąłem przez nie, tak przemoknięty, że było mi już wszystko jedno. W pewnej chwili obróciłem się o trzysta sześćdziesiąt stopni, wypatrując śladów życia.

- No dobra?! - zawołałem wreszcie. - Wiem, że tu jesteś. Wiem, że tu jesteś, wystarczy tego.

Mój głos zabrzmiał słabo i głucho. Ubranie lepiło mi się do skóry od zimnej deszczówki spływającej po plecach.

- No chodź! - wrzasnąłem. Mój krzyk odbił się echem od ciemnych okien. - Wystarczy już tych pieprzonych wygłupów. Jestem tu i nie ruszę się stąd aż do wscho... - Umilkłem nagle. Zastanowiłem się nad swoimi słowami. - O, cholera - wysyczałem.

Wtem usłyszałem kroki za swoimi plecami. Odwróciłem się i odniosłem wrażenie, że one zrobiły to samo, jak dziecko bawiące się w chowanego. Kroki w ciemności, tylko jedna para nóg, ale były wszędzie, w każdym miejscu, na które nie patrzyłem. Znieruchomiałem i przymknąłem oczy.

- No chodź - wysyczałem. - No chodź.

Kroki umilkły.

Szum deszczu. Nic więcej.

Nie słyszałem szczekania psów, śmiechu dzieci, stukotu okiennic, trzasku zamykanych drzwi, pisku hamulców, odgłosu kół na asfalcie, telefonów, pociągów ani miauczenia kotów.

Otworzyłem oczy.

- Pomożesz mi? - odezwał się ktoś za moimi plecami.

Zbliżył się całkowicie bezgłośnie. Odskoczyliśmy od niego, odwróciliśmy się i unieśliśmy pełne ognia ręce. Nasze stopy ślizgały się po nawierzchni, rozpryskując spływającą ulicą wodę. Świat wypełniła niebiesko-biała elektryczność. W jej świetle ujrzeliśmy odległą o najwyżej dwa kroki twarz, pochyloną głowę i oczy wpatrzone w pustkę.

Oda.

Psychopatyczna suka.

Wdziała nowe ubranie, nieodpowiedniego rozmiaru, stylu i rodzaju. To były ciuchy nastolatki, puchata czarna kurtka i za długie dzinsy. Nie miała torby ani broni. Stała za mną, spokojnie trzymając ręce w kieszeniach. Jej szary T-shirt zdobila podobizna trzech mężczyzn o bardzo gniewnym wyglądzie i slogan głoszący: „Rock nie umarł, ale wkrótce tego pożałuje!”. Nad dziurą w piersi miała małą plamę świeżej krwi, jakby się skaleczyła, nic więcej. Choć było ciemno, nosiła słoneczne okulary, czarne lustrzanki z boczną osłoną, całkowicie ukrywające jej oczy. Miałem wrażenie, że powietrze wokół niej musuje.

- Odo? - wydyszałem, starając się odzyskać równowagę i panowanie nad sobą. Krople deszczu sypały iskrami, stykając się z nadal owiniętą wokół moich palców elektrycznością.

Uniosła głowę i po jej twarzy przebiegło mgnienie czegoś przypominającego ból, jakby jej plecy chciały być zgięte, a barki wołały się pochylać.

- Matthew? - odezwała się wysokim wysiłonym głosem.

- Odo, przeraziłaś mnie na dziesięć różnych sposobów i gdyby zostało jeszcze we mnie coś, co można przerazić, bałbym się nadal. Co ci się stało, do licha? Co wciąż się z tobą dzieje?

- Uciekaj - wydyszała.

- Słucham?

- Musisz uciekać - powtórzyła. - Jeśli tego nie zrobisz, zaraz cię zabijemy.

- A kto to jest „my”?

Przez jej twarz znowu przebiegło jakieś uczucie, które nie chciało tam być obecne.

- Powiedziałaś ci, żebyś mnie zabił - odparła. - Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Dlatego, że jestem emocjonalnie kalekim mężczyzną? - zasugerowałem.

Jej twarz pociemniała, a usta wykrzywiły się w niemal zwierzęcym grymasie.

- Czarnoksiężniku - wysyczała. - Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Uciekaj.

Uniosłem ku niej drżącą dłoń. Z palców skapywała mi woda.

- Co ci się stało w oczy, Odo? No wiesz, zauważam pewne związki, logiczne powiązania. Po co ci te okulary? Jest noc. Już od... od absurdalnie długiego czasu.

Uśmiechnęła się. To nie był jej uśmiech, lecz grymas czaszki. Wargi i zęby, ale ani śladu uczucia.

- Wreszcie zaczynasz rozumieć? - zapytała.

- Hmm... z pewnością mogę spróbować odgadnąć to i owo. No wiesz, facet, który posiada mistyczne talenty, z czasem zaczyna zauważać pewne sprawy. Na przykład... to, że chodzisz i mówisz, mimo że masz dziurę w sercu. I to, że nosisz okulary słoneczne. I że zginęli ludzie, i że mówisz „my” zamiast „ja”, a słońce nie chce wzejść. Wcale nie oszalałem. Ono naprawdę nie wschodzi. Najciekawszy jest fakt, że nikt tego nie zauważa i nikomu to nie przeszkadza. Poza być może tobą i mną. Dlaczego tak się dzieje?

- Nie rozumiesz - odparła z westchnieniem. - Gdybyś rozumiał, wyrwałbyś je sobie, żeby nie widzieć.

Uniosła rękę i zdjęła okulary.

Jej oczy były zrobione z puddingu z dodatkiem łożu.

Nie zostało w nich absolutnie nic ludzkiego. Posiekano je od środka, zamieniono w czarno-czerwone mięso, a potem usmażono w oczodołach, robiąc z nich czarny pudding, utrzymujący się wewnątrz tylko dzięki siłom tarcia i modlitwie. A mimo to widziały. Patrzyły prosto na mnie. Gapiłem się w nie. Zaniemówiłem, żaden ze zmysłów oprócz wzroku nic nie meldował mojej świadomości. Potem poczułem słabe ukłucia w kąciakach oczu. Po chwili

przeszły w swędzenie, a później w ból. Cofnąłem się instynktownie i przesunąłem palcami po twarzy. Pokryła je cienka czerwona warstewka. Płakałem krwią. Spojrzałem na Ode i ból nasilił się natychmiast. Moje pole widzenia przesłoniły szkarłatne krople, a wewnątrz nosa eksplodował nagle ogień, który szybko zmienił się w smak soli.

- Co ty wyprawiasz? - wysyczałem, odwracając głowę.

- Powiedziała ci - odparła bez ogródek. - Ostrzegalam cię. Dałam ci szansę, by to powstrzymać. Ale ty nie chciałeś tego zrobić, prawda? A teraz jest już za późno.

Uniosłem rękę, zasłaniając się dłonią przed jej widokiem, ale krew nie przestawała mi spływać po policzkach i podbródku.

- Odo!

Nagle znalazła się tuż przede mną, wypełniając resztki mojego pola widzenia. Uniosła rękę, złapała mnie za nadgarstek i pociągnęła moją kończynę w dół. Drugą zacisnęła mi na gardle. Jej palce były zimne i śliskie od deszczu, kciuk wciskał mi się w tchawicę, jakbym był pustą w środku plastikową kukłą. Uniosłem wolną rękę, znalazłem brodę kobiety i spróbowałem ją odepchnąć od siebie, ale wydawało się, że w ogóle jej to nie przeszkadza. Odciągnęła moją dłoń od oczu i ujrzałem przelotnie jej twarz. Ból wrócił natychmiast, przesywając mi czaszkę. Zamknąłem oczy.

- Przestań! Proszę, przestań! - wycharczałem.

- To nasza noc - odpowiedziała. - Tym właśnie jesteśmy.

- Przestań!

Nawierzchnia podskoczyła pod moimi stopami, pękła i rozszczepiła się, gdy wypuściłem z siebie magię, kierując ją w najbliższe otoczenie. Asfalt się zagotował, pojawiły się w nim bąble, zrobił się lepki, czarny i lśniący, uniósł się nad nawierzchnię, tworząc pięści i palce, które weszły na stopy Ody i ruszyły w górę po nogach. Ciało i tkanina zaczęły dymić, jej uścisk na chwilę zelżał. Kto inny krzyczałby z bólu, ale nie Oda, czy raczej istota, którą się stała. Płynny asfalt zmieszany z ziarenkami piasku i drobnymi kamyczkami gotował się pod naszymi stopami. Uwolniłem się, pośliznąłem na nierównej, niestabilnej powierzchni, rozbryzgując kropelki asfaltu, odwróciłem się i zacząłem uciekać.

* * *

Słyszałem za sobą kroki sunące przez ciemną noc, ale tym razem się nie oglądałem.

Latarnie uliczne zgasły, w oknach było ciemno, miasto spało. Trzymałem kulkę światła nad głową i gnałem przez deszcz. Oczy wypełniał mi ogień, nos mnie bolał, w uszach mi strzelało, a gardło zmieniło się w zmiętą plastikową torbę. Czułem poruszające się wokół

cienie; szczury ukrywające się pod ziemią odwracały głowy, gdy nad nimi przebiegałem, gołębie kuliły się na dachach, lisy czmychały do swych legowisk.

- Pobudka! - wrzeszczałem. - Wstawać, leniwe dupki!

W ciemnych oknach nie dostrzegałem jednak żadnego ruchu. Skierowałem pięści ku parkującym na ulicach samochodom i uruchomiłem ich alarmy. Żółte światła migały, syreny wypełniały noc kakofonią, ale światła w mieszkaniach się nie zapalały, nikt w nich się nie poruszał. Woda pośrodku jezdni sięgała mi już powyżej kostek. Spływała ku rzece, nie rynsztokami do kanałów. Przyciągnąłem magię do swej skóry, otoczyłem się nią szczelnie. Była powolna i ciężka, magia tego, co czai się w ciemności, na granicy postrzegania.

Brodziłem po zalanej ulicy, mijając zasunięte żaluzje śpiących sklepów i przystanki z tablicami głoszącymi:

Autobus nie kursuje.

Widziałem też stacje metra o zamkniętych bramach i przechodziłem pod kolejowymi mostami, po których biegły rdzewiejące szyny. Kroki cały czas rozlegały się za moimi plecami. Nie stawały się głośniejsze ani nie cichły. Słyszałem miarowe *tap, tap, tap* w ciemności, jakby podążającym za mną nogom nie przeszkadzał deszcz ani powódź, jakby zawsze mogły odnaleźć suchy beton. Zasłoniłem uszy, by odciąć się od tego dźwięku, ale *tap, tap, tap* uparcie przebijało się przez moje dłonie. Nie miałem pojęcia, dokąd idę, ale nie śmiałem się zatrzymać. Wybrałem trasę, która wydawała się dłuższa i po drodze było więcej sklepów. Brnąłem po chodniku, posuwając się pod prąd coraz silniejszej rzeki. W oddali widziałem wieżowce centralnego Londynu, Gherkin i National Westminster Tower jarzące się niebiesko-zielono-fioletowym blaskiem na tle nocy. Uznałem je za swój cel, mimo że oba mieściły się między kciukiem a palcem wskazującym mojej wyciągniętej dłoni.

Nagle poczułem coś tuż za sobą, zakłócenie regularności rytmu padającego deszczu. Odwróciłem się. Była tam, tylko kilka jardów za mną. Wyciągała rękę przed siebie, wykrzywiając palce jak szpony. Za moimi oczami znowu eksplodował ból. Pochyliłem się i cisnąłem sprężone powietrze, gorące i cuchnące wywietrznikami, prosto w brzuch kobiety. Podmuchił ją nad ziemię i cisnął z trzaskiem na maskę samochodu. Zasłoniłem oczy ręką, żeby jej nie widzieć, i walnąłem pięścią w dach pojazdu stojącego obok mnie. Silnik się włączył. Jego warkot niemal natychmiast rozprzestrzenił się na kolejne stojące na ulicy samochody, jeden po drugim. Rury wydechowe buchały spalinami, stukwały i łomotały. Przy akompaniamencie zgrzytu maszynierii robiącej coś, do czego jej nie zaprojektowano, w powietrze wzbily się obłoki czarno-brązowego dymu, tańczące i wirujące w strugach ulewy niczym udęczonego ducha. Brnąłem przed siebie, pozwalając, by dym owijał się wokół mnie.

Zasłaniałem sobie nos i usta końcem mokrego rękawa, mrugałem co chwila, by usunąć z oczu krew i pył. Wydało mi się, że widzę przed sobą punkcik światła, zieloną plamkę, która nagle zmieniła się w żółtą, a potem w czerwoną. Przyśpieszyłem kroku, zmierzając ku niej. Znowu usłyszałem za sobą kroki. Tym razem poruszały się szybko, biegły, rozpryskując wodę. Przede mną było skrzyżowanie, czynne uliczne światła zmieniające regularnie kolor. Wtem coś złapało mnie za włosy, omal nie przewracając, a coś innego uderzyło mnie w nerki, jakby powiedziały jakieś brzydkie słowa o babci tego czegoś. Zwalilem się na ziemię, miotając się jak ryba. Za zasłoną dymu, bólu i ciemności zdołałem wypatrzeć parę nóg oraz różową wewnętrzną powierzchnię dłoni Ody. Kobieta złapała mnie za podbródek i uniosła moją głowę. Zamknąłem oczy. Postawiła mnie na nogi łatwo, jak małego pieska.

- Spójrz na mnie - zażądała.

Potrząsnąłem głową.

- Spójrz na mnie.

- Nie zmuszaj nas, byśmy cię zabili - błagaliśmy. - Odo, nie każ nam płonąć.

- Spójrz na nas!

Jej głos i nie jej głos. Jej płuca wypełniał oddech kogoś innego.

Uniosłem ręce w ciemności i złapałem ją obiema dłońmi za nadgarstek.

- Przepraszam... - wycharczałem.

- Za późno, za późno, za późno za późno za późno za...!

Wzmocniłem uścisk, wbiłem palce w jej skórę i - nie śmiąc patrzeć, nie otwierając oczu - runąłem na nią z całym impetem. Zbiłem ją z nóg, zatoczyła się do tyłu i nie mogła się zatrzymać. Biegłem wciąż przed siebie, rozbryzgując wodę. Trzymając Odę za wyciągniętą rękę, obróciłem ją w kierunku, gdzie moim zdaniem powinien się znajdować chodnik, uchyliłem powieki i wypuściłem ją. Zauważyłem, że zachwiała się na krawężniku, stając na jego krawędzi.

- Nie przechodź! - zawołałem w tej samej chwili, unosząc rękę.

Nic się nie wydarzyło.

Zgiąłem się w pół, tuląc własny wewnętrzny ból, w nadziei, że nerki pewnego dnia mi wybaczą. Rękę miałem z ołowiu, gardło mnie paliło, a oczy trawił ogień.

Oda wyprostowała się powoli i popatrzyła na mnie. Zapomniałem, że należy natychmiast odwrócić wzrok, i znowu poczułem ból, gdy spojrzała mi w oczy. Poczułem, że mój świat zaczyna się zapadać, osunąłem się na kolana i ukryłem głowę w dłoniach, próbując wygrzebać ból z czaszki. I nagle, w zwężonym do tunelu, przesłoniętym szkarłatnym całunem polu widzenia zobaczyłem, że światła się zmieniły.

Pojawił się błysk.

Coś poruszało się w ciemności za Odą. Miało pomarańczowo-czerwoną barwę, mniej więcej pięć stóp dziewięć cali wysokości i płonęło. Ze wszystkich części ciała bił czerwony blask oświetlający ziemię wokół niego i zamazujący granicę między jego skórą a powietrzem. Twarz, jeśli można ją tak nazwać, miała niewyraźne rysy, mogące wyrażać niezmierną pełną znużenia cierpliwość godną samego Buddy. Ziemia skwierczała pod stopami tego czegoś, a światła uliczne brzęczały gdy przechodziło. Wskazałem na Odę.

- Mogą istnieć specjalne sygnały dla pieszych - zdołałem wykrztusić. - Można zacząć przechodzić przez ulicę dopiero wtedy, gdy pojawi się zielona sylwetka.

Odwróciłem głowę, wsparłem się na rękach i kolanach, a potem zdołałem się podnieść i oddaliłem się o kilka chwiejnych kroków. Usłyszałem za sobą dźwięk, który niemal można by uznać za pogardliwe prychnięcie. Usłyszałem, że Oda podążyła za mną. Czerwony człowiek zabrał się do dzieła. Płonąca pięść zacisnęła się na ramieniu idącej za mną kobiety, zmuszając ją do zatrzymania się. Szarpała się, ale druga czerwona łapa opadła na jej drugą rękę, łącząc nadgarstki. Spojrzała mu w oczy, ale on nie miał oczu, którymi mógłby ją zobaczyć. Po prostu trzymał ją na krawędzi chodnika. Spróbowała go kopnąć, ale jej noga przeniknęła przez jego goleń. Spojrzałem na światła, nakazując im, by pozostały zielone, by przywołany przeze mnie zbawca pozostał na miejscu. Chciały się zmienić, bardzo gorąco pragnęły posłuchać kierującego nimi programu i uwolnić Odę, ale zmusiłem je do posłuszeństwa.

- Myślisz, że zdołasz mnie tu zatrzymać?! - wrzeszczała za moimi plecami Oda, nie-Oda, czy odmieniona Oda. - Dzięki temu czemuś? Temu nieożywionemu przedmiotowi?!

- Jeśli zaczniecie przechodzić przez ulicę i zielona sylwetka zniknie - wykrztusiłem - powinno wam wystarczyć czasu, by dotrzeć na chodnik, ale nie możecie zwlekać. Tam, gdzie nie ma sygnałów dla pieszych, zachowajcie ostrożność i nie przechodźcie, dopóki światła nie zmienią się na czerwone i ruch się nie zatrzyma.

Wlokłem się przez skrzyżowanie, czując, że tracę kontrolę nad zaklęciem. Pojawiło się żółte światło i czerwony człowiek zaczął się rozpląwać. To powinno być łatwe zaklęcie, ale głowa nas bolała, a nasze oczy płonęły.

- Światła się zmieniają, czarnoksiężniku! - zawołała radośnie Oda. - Nie zdołasz zatrzymać ich na zawsze. Zmienia się i twój rycerz w szkarłatnej zbroi zniknie!

Wlokłem się środkiem ulicy, opierając się o samochody. Plecy i głowę wypełniał mi ogień, a moje pole widzenia zamieniło się w dwie wąskie szparki. Usłyszałem za plecami cichy trzask, usłyszałem, że Oda się uwolniła, poczułem, że światła się zmieniły. Czerwony

człowiek, mój czerwony człowiek, zniknął równie szybko, jak się pojawił, ulotnił się, wykonawszy swoje zadanie. Oda była zaledwie pięćdziesiąt jardów za mną. Uniosłem wypełnioną bólem głowę, próbując zmusić światła miasta, by zbliżyły się choć trochę. Słyszałem kroki, a gdzieś za nimi dźwięk silnika pracującego na niewłaściwym biegu.

Schowałem się za samochodem dostawczym, a gdy Oda podeszła bliżej, zasłoniłem twarz dłońmi. Plamy, ciemnobrązowe plamy w mroku. Kobieta zwolniła. Zwiesiłem głowę, pozwalając, by deszcz splukał z niej choć część żaru i strachu.

- Przepraszam - wychrypiałem, gdy zatrzymała się przede mną.

- Nigdy nie mówisz, za co - odparła. Przez chwilę jej głos brzmiał niemal jak ludzki.

- Chodzi ci o ścisłą odpowiedź? - zapytałem, gdy przed moimi oczami pojawiły się dwie szare plamy, które mogły być jej kolanami. - Za co przepraszam cię w tej chwili?

Silnik przeszedł na pełne obroty.

- Chyba za to, że moja uczennica prowadzi jak szalona.

Raczej poczułem niż zobaczyłem, że Oda się poruszyła. Skupiłem wszystkie siły i całą moc, jakie mi pozostały, splotłem dłonie, połączyłem ukradziony dźwięk deszczu, samochodu, naszych słów i mojego bijącego gwałtownie serca w jeden wąski płatek gromu między dłońmi, a potem rozpostarłem je, ciskając dźwiękiem w Odę. Impet uniósł ją nad ziemię i cisnął na drugą stronę ulicy. Wpadła na zaparkowany tam motocykl, który zwałił się na ziemię, zawodząc jak przerażone zwierzę. Na ulicy pojawiły się dwa białe światła, strumienie wody trysnęły w górę i opadły mi prosto na głowę. Usłyszałem silnik, poczułem zapach benzyny, zobaczyłem ciemniejszą plamę na tle ciemności wypełniającej mi pole widzenia, a potem usłyszałem głos, znajomy i pełen strachu.

- Ruszaj się! Szybko!

Ruszyłem na oślep przed siebie, wymacałem metalowe drzwi, poczułem ciepło silnika i wibrację samochodu, znalazłem klamkę, nacisnąłem ją, poczułem, że drzwi się otwierają, wlałem do środka, podciągnąłem kolana do piersi i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

- Cholera, jak zabrudzisz krwią samochód mojej cholernej ciotki, każę ci go wyczyścić pierdoloną szczoteczką do zębów! - warknęła moja uczennica.

- Ruszaj - jęknąłem. - Ruszaj!

Penny ruszyła.

* * *

Ślepotą.

Nie całkowita, nie stuprocentowa.

Widziałem wystarczająco wiele światła, by mnie drażniło, jak zapach boczku drażni kogoś, kto kona z głodu. Było niedostępne, niepojęte.

Nie mogliśmy...

...nie do przyjęcia...

...nie byliśmy przygotowani do tego, by być jednocześnie śmiertelnikiem i kaleką.

Zrobimy wszystko, żeby temu zapobiec.

Skuliłem się na przednim siedzeniu samochodu Penny, wpychając stopy do schowka i zaciskając dłonie na uchwycie nad drzwiami. Widziałem plamy w ciemności, brudnożółte rozbłyśki, smugi bieli, grudki różowawopomarańczowego blasku, szaroniebieskie iskierki, kleksy czerni zabarwionej czerwienią. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem, dokąd jedziemy ani ile czasu minie, zanim tam dotrzemy.

- Idzie za nami? - zapytałem.

- Nic z tyłu nie widzę - odparła Penny twardym rzeczowym głosem, stanowczo zbyt zajęta, by rozpraszać się na cokolwiek więcej niż krótkie streszczenie faktów.

- A latarnie się palą?

- Ehe. Włączyły się już na Bethnal Green. To była tylko awaria. Znalazłeś się na obszarze dotkniętym awarią.

- Myślę, że oboje wiemy, że to nieprawda.

Nie odpowiedziała.

* * *

Po pewnym czasie - gdzieś między pięcioma minutami a szybkim millenium - zwolniliśmy, zatrzymaliśmy się i zaparkowaliśmy. Penny zaciągnęła ręczny hamulec z ostrym *trzask*.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałem.

W odpowiedzi opuściła szybę.

Poczułem wpadający przez okno zapach cebuli, usłyszałem dobiegające z oddali głosy, strzelanie silnika motocyklowego, który nie chciał zapalić, stukot deszczu o markizy sklepów.

- Jesteśmy niedaleko Brick Lane - wyjaśniła. - Wyglądałeś... więc się zatrzymałam. Przyjechałam najszybciej, jak mogłam. - Słyszałem uśmiech w jej głosie, w ruchu jej warg. - Z Lewisham do Mile End w dwanaście i pół minuty. Kurwa, nieźle, co?

- Założę się, że złamałaś kilka zakazów.

- Kurwa, złamałam kilka praw rządzących czasoprzestrzenią! Szkoda, że mnie nie

widziałeś!

Umilkła nagle. Słowa uwięzły jej w gardle, nim skończyła mówić. Uśmiechnąłem się, wspierając głowę na oparciu. Bolała mnie przeraźliwie, a stopy swędziały od ciepłej deszczówki, którą nasiąkły grube skarpetki.

- Matthew?

- Słucham?

- Jesteśmy tu bezpieczni?

- Nie mam pojęcia. Jeśli palą się światła i widać ludzi, to pewnie tak. Przynajmniej na razie, dopóki ona nie wróci. Która godzina?

- Już prawie pora na kolację.

- Kolację... a co ze śniadaniem?

- A co ma być?

- Nie... - Przełknąłem ślinę i pokręciłem głową. - Mamy przesrane na dziesięć różnych sposobów, moja uczennico.

- Ehe. Wyglądasz na to. Matthew?

- Słucham?

- Widzisz coś?

- Właściwie bardzo niewiele.

- Kurwa.

- Masz rację.

- Czy... czy jest coś, co możemy... to znaczy, czy dałoby radę...

- Muszę dotrzeć do St. Bartholomew's Hospital - wycharczałem. - Nie wiem, ile mamy czasu, zanim ona wróci. Nie mogłem... Jeśli ktoś spojrzy w oczy Ody, ślepnie. Jezus, to ona ich zabiła, zabiła ludzi w hotelu. Wszystkich. Coś w nią weszło, coś jest w jej oczach. Nie powinienem był jej opuszczać, trzeba było z nią zostać. Cholera, cholera, cholera!

Walnąłem w najbliższy przedmiot, jaki znalazła moja pięść. Okazało się, że to tablica rozdzielcza.

- Hej! - Ostry głos Penny przebił się przez mój gniew. - To samochód mojej ciotki. Jeśli nie przestaniesz go rozbijać, zalewać wodą i brudzić krwią, będziesz miał z nią do czynienia!

- Przepraszam - wymamrotałem. Silnik znowu się włączył. - Czuję się... hmm... jak ugotowany. - Wymacałem uchwyt nad oknem samochodu i uczepliłem się go. Zamazane światła widoczne za czarnym dymem zasłaniającym mi oczy zaczęły się poruszać. - Hej, masz najlepszą ocenę za prowadzenie. Dziesięć na dziesięć. Złota gwiazda.

* * *

Droga z Brick Lane do St. Bartholomew's Hospital właściwie nie jest warta zużytej benzyny.

Gdy przejeżdżaliśmy przez dawną linię miejskich murów, poczułem to, jak wstrząs elektryczny w brzuchu. Tunel pod Barbicanem wyglądał dla mnie jak nieustannie migoczące białe światło nad głową. Kiedy wjechaliśmy do Smithfield, koła samochodu zaczęły znacznie częściej podskakiwać na nierównościach nawierzchni.

Z radosnym lekceważeniem przepisów Penny zaparkowała pod czymś, co zapewne było pubem, sądząc po dobiegających ze środka dźwiękach karaoke w jego całej bełkotliwej krasie. Ktoś torturował hipopotama przy akompaniamencie melodii Abby. Słyszałem stukot szkła i inne hałasy. Nieopodal przejechała ciężarówka o sfatygowanym zawieszaniu. Poczulem smród starej magii, pomieszany z odorem rozwodnionej krwi oraz trocin, płynącym z rynku mięsnego. Drzwi obok mnie otworzyły się i Penny ujęła moją rękę.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

- Do kościoła.

- Hej, nie chodzi o to, że nie mam czasu dla Jezusa i tak dalej, ale czy naprawdę sądzisz, że to odpowiednia chwila?

- Oddział wypadkowy w St. Bartholomew's Hospital zamknięto już przed laty - warknąłem. - Ale zachowano mały oddziałek w kościele.

- Świetnie - zgodziła się. - To ty jesteś bliski hysterii, ledwie widzisz i krwawisz. Ja tylko bawię się słuchaniem twojego gadania. - Wyciągnęła mnie z samochodu. - Wszyscy gapią się na nas - wyszeptała.

- Kto?

- Faceci w garniturach. Głoby z City siedzące w pubie. Gapią się.

- Cholera, co się porobiło z czasem? - burknąłem. - Dlaczego siedzą w pubie?

- Jesteś bliski hysterii, pamiętasz? Zamknij dziób.

Minęliśmy róg. Charakter dźwięków się zmienił. Stały się cichsze, jakby dobiegały zza zasłony. Wyciągnąłem przed siebie jedną rękę i moje palce musnęły ostre krzemienne krawędzie oraz stare wytarte kamienie. Czulem zapach trawy i słyszałem szum wentylatora w pobliskim przewodzie wentylacyjnym. Penny popchnęła coś przede mną i uderzyłem barkiem w drewniane drzwi. Zrobiło się cieplej, poczułem zapach wosku, rzadkiego dymu i pasty do pielęgnacji drewna. Usłyszałem dwie osoby mówiące z amerykańskim akcentem. Szepty odbijały się bezładnymi echemi w ciemności.

- No dobra, jesteśmy w kościele. I dokąd teraz? - wysyczała mi Penny do ucha.

- Do krypty.

- Tym razem przegiąłeś.

- Czy nie łączy nas związek nauczyciel-uczeń? - zapytałem. - Czy to nie znaczy, że kiedy ci coś powiem, powinnaś w to uwierzyć?

- Hmm. Posłuchaj, moja kuzynka Chenaara uczy się na pieprzonym uniwerku i ciągle jej mówią, że powinna kwestionować system i sprawdzać wszystko sama. Dlatego nie sądzę, bym musiała wierzyć w choć jedno twoje słowo.

- Powiem to inaczej. Zaprowadź mnie do krypty, Penny, nim zacznę krzyczeć tak głośno, że jelito cienkie ci się skarmelizuje!

- Kurwa, nie odpowiem na to tylko dlatego, że jesteśmy w Domu Bożym - oznajmiła z niesmakiem. Ruszyliśmy jednak naprzód, powłócząc stopami.

Poczułem pod nimi schody.

Odrobina światła, którą dotąd widziałem, zniknęła bez śladu.

Nasze kroki były jedynym dźwiękiem słyszalnym w ciemności. Czuliśmy też zapach wilgoci i nagły spadek temperatury. Zatrzymaliśmy się. Usłyszałem pukanie. Wyciągnąłem rękę i poczułem grube chłodne drewno oraz twarde zasuwy. Pukanie rozległo się znowu. Zasuwy odsunęły się z trzaskiem. Potem zaskrzypiały zawiasy, których nie mogłaby już reanimować żadna ilość oleju.

- Chce pani pochować tu zmarłych, czy co? - rozległ się czyjś radosny głos.

- Niech mnie pani nie kusi - odpowiedziała Penny.

Drzwi otworzyły się szerzej i poczułem chłodny powiew.

- Hej! Rzeczywiście chce pani pochować zmarłych!

Penny trąciła mnie łokciem w żebra.

- Mówi o tobie - wyszeptała. - Teraz pewnie żałujesz, że nie traktowałeś mnie z szacunkiem, co?

- Szukamy oddziału ratunkowego Saint Bartholomew Hospital - wyjęczałem.

- Zamknięto go przed laty - odparła kobieta, nie tracąc dobrego humoru. - Radzę się zwrócić do University College Hospital.

- Mówię o oddziale zajmującym się innym rodzajem kłopotów.

- Innym?

- W dupę z tym! - warknęła Penny. - Kurwa, chodzi nam o magiczny oddział wypadkowy!

- Wiem o tym - odparła kobieta, zachwycona własnym dowcipem. - Po prostu robię

sobie z was jaja. Lepiej wejdźcie.

Penny i nieznajoma ułożyły mnie na czymś zimnym, płaskim i twardym.

- Lepiej, żeby to nie był czyjś grobowiec, dobra? - odezwałem się.

Zapadła cisza.

- Nie - uspokoiła mnie po chwili Penny. - Tylko ci się wydaje, że to grobowiec, z uwagi na... hmm... no wiesz... cechy charakterystyczne i cały ten syf.

Dotknąłem palcami krawędzi, a potem zjechałem nimi w dół.

- To jest kamienna płyta. A pod spodem są płaskorzeźby przedstawiające ludzi - mówiłem. - Jakiś facet trzyma w ręce czaszkę.

- No dobra, to jest czyjś grobowiec. Nie słyszałeś, że publiczna służba zdrowia przeżywa kryzys?

Usłyszałem kroki w ciemności i nagle wilgotne młaśnięcie, poczułem osobliwy, przypominający gotowaną cebulę zapach środka odkażającego do rąk w żelu.

- Widzę, że... totalnie spieprzyli panu mózg - oznajmiła radosna kobieta.

- Penny, zapewnij mnie, proszę, że właścicielka tego głosu robi na tobie wrażenie wykwalifikowanej specjalistki.

Raz jeszcze zapadła długa osobliwa cisza.

- Ehe - odezwała się wreszcie Penny. - Tak właśnie dla mnie wygląda. Totalnie.

- Wie pan co? Chyba już udzielałam panu pomocy - stwierdziła kobieta. - Gdyby pana oczu całkowicie nie wypełniała krew i inny syf, powiedziałabym, że wygląda pan znajomo. Nie jest pan przypadkiem tym facetem, którego ciągle atakują niewytłumaczalne mistyczne ciemności?

- Tak, to on! - ucieszyła się Penny. - Totalnie!

- Hej!

Otrzymałem przyjazne uderzenie pięścią w bark.

- Jak leci? Pamięta mnie pan? Jestem doktor Seah. W swoim czasie podałam panu od cholery i trochę leków...

- Cześć. Uściskałbym pani dłoń, ale...

- Rozumiem. Nie ma sprawy. Wszystko u pana w porządku?

- Nie bardzo - warknąłem.

- Coś panu dokucza, he? Widzi pan to światło?

- Tak, widzę - jęknąłem, gdy przez moje pole widzenia przemknął żółtobiały blask.

- Uskarża się pan na szum w uszach, brzęczenie, hmm... rytmiczne pulsowanie?

- Chce pani usłyszeć medyczną odpowiedź czy może być osobista?

- Jak rozumiem, to znaczy „nie”. A zawroty głowy, mdłości, utrata panowania nad mięśniami, nietrzymanie stolca?

- Niech pani nie przegina.

- No cóż... - znowu walnęła mnie po przyjacielsku w bark - ...z pewnością nie jest z panem aż tak źle. W przeciwnym razie nie byłby pan skomplikowanym przypadkiem. Mamy teraz „skomplikowane” przypadki, bo słowo „trudny” uznano za zbyt negatywne i odpychające - wyjaśniła konspiracyjnym szeptem, wyraźnie mającym zachwycić Penny. - No wie pan, empatia przed wszystkim.

Słabe „hmm” było wszystkim, co przebiło się przez opanowanie Penny. Doktor Seah obmacała moje oczodoły. Usłyszałem odgłos wkładania cienkich gumowych rękawiczek. Rozerwano coś lepkiego i plastikowego. Coś chłodnego i wilgotnego potarło moją twarz.

- A teraz kilka standardowych pytań do historii choroby. Stwierdzono kiedyś u pana uczulenie na środki medyczne?

- Nie.

- Miał pan kłopoty z nerkami?

- Nie.

- A z wątrobą?

- Też nie.

- Czy używał pan kiedyś nekromantycznych mocy, które mogły zmienić strukturę komórkową pańskiego ciała?

- Hmm... nie żyłem przez dwa lata - przyznałem. - Ale ponieważ moje ciało zamieniło się w energię, która przez cały ten czas krążyła w przewodach telefonicznych, nie sądzę, by można to było uznać za „nekromantyczne moce”.

- Zapiszę to jako „nie”, zgoda?

- Jak pani sobie życzy.

Zaszeleścił papier. Do piersi przystawiono mi coś zimnego i okrągłego.

- Proszę nabrać powietrza... wypuścić... nabrać... hej, nadal oddycha pan normalnie. W czym problem? Beksa. Czy rzucono na pana klątwę?

- Nie sprawdzałem tego od pewnego czasu.

- Nie wygląda pan na przekłętego. Nie stwierdzam łuszczenia się skóry, szybkiego wypadania włosów, uwydatnionych żył, mówienia językami... a więc zapewne kolejne „nie”. Czy w jakimś momencie połączyła pana więź krwi z jednym z niżej wymienionych: święte naczynia mistyczne, nieumarli, wcielone demony, wcielone diabły, ektoplazmatyczne inkluzje, wampiry, wilkołaki, polimorficznie niestabilni w sensie ogólnym albo...

- Z żadnym z powyższych.

- ...albo stworzenia z innych płaszczyzn rzeczywistości?

- Nie. - Usłyszałem kasznięcie Penny. - No dobra - warknąłem. - Można powiedzieć, że dzieliłem krew ze stworzeniem z innych płaszczyzn rzeczywistości. - Kolejne kasznięcie, tym razem głośniejsze. - Dobra! Można powiedzieć, że sam jestem stworzeniem z innych płaszczyzn.

Z ust doktor Seah wyrwało się westchnienie łagodne jak wietrzyk w wiosenny poranek.

- A jakie dokładnie to stworzenie?

- Jesteśmy niebieskimi elektrycznymi aniołami - warknęliśmy. - Nosimy to ciało, ale nasz ogień nigdy nie gaśnie. Przywołano nas z przewodów telefonicznych, a kiedy przybyliśmy, staliśmy się dwoma w jednym. Chodząc po Ziemi, nosimy to ciało. Przepraszam, czy to ma znaczenie z medycznego punktu widzenia?

- Rozumiem.

Usłyszałem odgłos długopisu poruszającego się po papierze. Potem przewrócono kartkę i długopis zaczął się poruszać znowu.

- Czy... może mu pani pomóc? - zapytała po chwili Penny.

- Słucham? Och, sądzę, że tak. Proszę spojrzeć. Świeże niezagojone ślady po poparzeniach. Nie dbał pan ostatnio o siebie, prawda?

- Czy powinienem wspomnieć w wywiadzie i o tym, że byłem uwięziony w płonącym domu? - zapytałem potulnym głosem.

- W kontekście tego, że pański mózg tak jakby eksplodował? To chyba nie ma związku. Jeszcze jedno pytanie: jak zadano panu te obrażenia?

- Spojrzałem w oczy kobiecie, która miała dziurę w sercu, a oczodoły wypełnione czarnym puddingiem i stała pośrodku świata, który nagle pogrążył się w mroku.

- Znowu te niewytłumaczalne ciemności! No cóż, nie chciałabym wdawać się w spekulacje, ale opierając się na...

Jej palce dotknęły mojej twarzy, unosząc powieki i obracając głowę w obie strony.

- Opierając się na tym, co widzę, ma pan mnóstwo szczęścia, że mózg nie wypłynął panu nosem! Oczywiście, to nieortodoksyjna sytuacja i właściwie nie moja specjalność, ale gdyby patrzył pan trochę dłużej, byłby pan totalnie martwy. Tylko proszę się na mnie nie powoływać w tej sprawie. Trzeba by przeprowadzić jeszcze kilka testów, żeby się upewnić. Nie sądzę, by ta kobieta zechciała się zgłosić na badania?

- Doktor Seah - warknęła Penny. - Rozumiem, że ten biały fartuch wygląda bardzo

seksownie i tak dalej, ale czy potrafi mu pani pomóc?

- Pewnie, że potrafię - obruszyła się lekarka. - Nie powinna pani wierzyć we wszystko, co Sarah Palin mówi o publicznej służbie zdrowia.

* * *

Słyszałem różne hałasy.

Coś, co stanowczo za bardzo przypominało robota kuchennego.

Maszynę, która robiła „pip”, gdy wykonała zadanie.

Odgłos rozdieranego plastiku.

I otwieranych zamków błyskawicznych.

Nagle coś ugryzło mnie w prawe kolano.

- Au - poskarżyłem się. - Co pani zrobiło moje kolano?

- Poparzenia - usłyszałem radosny głos doktor Seah dobiegający z półmroku. - Nie ma sensu leczyć pana oczu, jeśli potem zaczną się komplikacje z powodu nieodkazonych poparzeń. Mam rację? Widzę, że zrobił pan niepewną minę, więc odpowiem na to pytanie. Mam! Szczycimy się dokładną i wszechstronną opieką, zwłaszcza po tym ostatnim pozwie...

- Od tego miejsca można dostać świra - oznajmiła Penny z całym spokojem.

- Świruj mnie, świrowanie moje - zaśpiewała doktor Seah. Na chwilę zapadła cisza. - Przepraszam - odezwała się wreszcie lekarka. - Czy tylko mnie to śmieszy?

- A więc do tego doszło - jęknąłem. - Niech pani posłucha, jestem zachwycony, że poświęca się tyle uwagi mojemu kolanu, ale czy nie można by przywrócić mi wzroku, zanim znowu będę musiał stawić czoło nieznanemu złu, które wyrwało się na swobodę?

- Och, zdolność widzenia wróci sama. Przepraszam, nie wspomniałam o tym?

- Nie! - zawołała Penny.

- Nie! - zgodziłem się. - Kiedy?

- Za... hmm... około półtora tygodnia.

- Doktor Seah, ja nie mam tyle czasu.

- Zajęty, zajęty, zajęty. - Westchnęła. - Proszę bardzo. - Usłyszałem odgłos kroków na kamiennej posadzce, a potem odgłos otwierania metalowej pokrywy. - Formalnie rzecz biorąc, jeszcze tego nie zaakceptowano... - Coś wpadło z pluskiem do zlewki. Szkło brzęknęło o szkło. - Ale, no wie pan, niech się pieprzą.

- Penny? Co tu się dzieje, do licha? - wyjęczałem.

- Hmm. No więc... doktor Seah miesza substancję wyglądającą jak gołębie kupy, z drugą, która wygląda jak siekany pomidor...

- Zapomnij, że o to pytałem.

Usłyszałem cichutki stukot. Coś postawiono za moim prawym uchem.

- To będzie osobliwe doświadczenie - zaczęła doktor Seah. Jej głos dobiegał znad mojej głowy. - Ale chcę jedno powiedzieć jasno. Żadnych wygłupów w mojej krypcie! Nie życzę sobie, żeby pokazywał pan tu swoje elektryczne sztuczki tylko dlatego, że nie potrafi pan znieść odrobiny prostej magii uzdrowicielskiej, jasne?

- Jasne - wyszeptałem w odpowiedzi.

- To świetnie!

Para palców mocnych jak fundamenty wieży Eiffla zacisnęła się na moim lewym oczodole i odciągnęła powiekę. Do oka wlano mi coś zimnego i pełnego zębów.

* * *

Minał pewien czas.

Siedziałem na brzegu zimnej kamiennej płyty. Na oczach miałem dwa opatrunki z waty owiązane bandażem. W rękach trzymałem filiżankę herbaty, ściskając ją jak Świętego Graala. Skupiłem się na ciepłe, to pomagało zapomnieć o pragnieniu pocierania oczu. Zastanawialiśmy się, czy tak właśnie czuje się ktoś, kto ma szklane oko o dwa numery za duże i na noc chowa je do lodówki. Słyszałem szum płynącej z kranu wody i trzask gumowych rękawiczek. Poczulem delikatne szturchnięcie w żebra.

- Uważam, że byłeś bardzo dzielny - odezwała się Penny.

- Dziękuję.

- Pomijając tę chwilę, kiedy darłeś się jak dziewczyna.

Szum wody ucichł. Zastukało coś blaszanego.

- Prosimy o datki na zakup ekspresowej herbaty - odezwała się doktor Seah. - Standardowa suma wynosi dwadzieścia pensów.

Usłyszałem grzechot drobnych i stukot monety wpadającej do zaskakująco pełnego pojemnika.

- Proszę bardzo, już się robi - oznajmiła z westchnieniem Penny. - Jak długo ten głupek... - znowu trąciła mnie w żebra - ...będzie musiał nosić bandaż?

- Och, jakies pięć, sześć godzin? - zasugerowała doktor Seah. - Radzę też bardzo stanowczo, by nie patrzył prosto w oczy żadnym wędrownym mistycznym ciemnościom przez co najmniej tydzień. Tu jest ulotka.

Wepchnięto mi w rękę jakąś kartkę. Penny natychmiast ją porwała. Nastąpiła chwila ciszy świadcząca, że czyta ją z uwagą.

- Nadmierny porost włosów? - zapytała wreszcie.

- To bardzo mało prawdopodobne - zapewniła doktor Seah. - Po prostu musimy wyliczyć wszystkie możliwe skutki uboczne.

- Słucham? - Mój głos zabrzmiał jak stukot ołowianej trumny uderzającej o kamienie.

- Skutki uboczne?

- Są naprawdę bardzo rzadkie - uspokoiła mnie lekarka. - Chciałabym jednak, żeby sprawdził pan ciśnienie krwi przed upływem dwóch miesięcy, jest też żółty formularz, który może pan wypełnić, jeśli zauważy pan coś niezwykłego. W przypadku takich eksperymentalnych terapii wszelkie dodatkowe informacje zawsze są mile widziane.

- Czy mogę go stąd zabrać? - zapytała Penny, chowając kartkę.

- Tak. Powinien też zjeść porządny posiłek. Coś bogatego w żelazo.

Penny objęła moje ramiona i pomogła mi wstać. Mając na oczach bandaż, nie widziałem nic, nawet cieni. Doktor Seah wyjęła mi filiżankę z rąk.

- Do widzenia! - zawołała, gdy Penny poprowadziła mnie ku schodom. - I proszę pamiętać, że nie wolno ruszać opatrunku!

Penny zamknęła drzwi nogą. Radosny głos doktor Seah ucichł.

Zapach wosku.

Pasty do pielęgnacji drewna.

Odgłos dzwonów dobiegający z ciemności na zewnątrz.

- No więc... - zaczęła Penny, gdy wyszliśmy na zimną posadzkę St Bartholomew's Church. - To było cholernie pouczające.

- Niech nikt nie mówi, że nie dbam o urozmaicony program nauczania - odpowiedziałem, wyciągając rękę przed siebie, aż wreszcie moje palce musnęły oparcie drewnianej ławy. - Którędy do wyjścia?

- Wszystko w porządku - wyszeptowała Penny, biorąc mnie pod rękę. - Głupek.

Kroczone poprowadziła mnie ku drzwiom.

- Dokąd teraz? - zapytała.

- Do St James's.

- Krainy bogatych dupków? A po co?

- Żeby się spotkać z bogatym dupkiem. Polubisz go. Zawsze stawia jakiś posiłek.

* * *

Po dokładniejszym zbadaniu sprawy okazało się, że w samochodzie Penny śmierdzi. Czuję suchy nieokreślony zapach spotykany we wszystkich pojazdach, poza tymi,

które mają wyściełane skórzane fotele, ale także zastarzały odór kawy, kanapek z serem, dawno wyschniętego odświeżacza powietrza - jednego z tych, które sprzedaje się pod postacią małego kartonowego drzewka - a również bardzo słaby kwaśny odór wymiocin.

- Penny, czy ta twoja ciotka ma dzieci? - zapytałem ostrożnie.

- Ehe, czwórkę. Kiedyś ją zapytałam: „Słyszałaś o prezerwatywach?”, a ona mi na to: „W moim domu nie będziesz używała takich słów, młoda damo”, a ja jej wtedy powiedziałam: „Ciociu, daj mi banana, to pokażę ci, jak to się robi”...

- Ile lat mają te dzieci?

- Trzy, pięć, siedem, jedenaście.

- Któreś z nich choruje w samochodzie?

- To będzie Bets.

- Bets?

- Najmłodsza. Ma na imię Batsheba, ale mówimy na nią Bets, bo nie chcemy gadać jak ćwoki. Tylko jej mama nazywa ją Batshebą. Bo to przecież jej imię.

- Rozumiem.

- Moja ciotka jest trochę staromodna.

- Nigdy bym się tego nie domyślił.

Poczułem, że Penny łypie na mnie spode łba.

* * *

Jechaliśmy na zachód i słuchaliśmy radia, zmieniając kanały w poszukiwaniu czegoś, na co oboje moglibyśmy się zgodzić.

Korki na M25, skrzyżowania od piątego do ósmego, ruch zatrzymał się niemal całkowicie...

Zaczął krzyczeć, wszyscy zaczęli krzyczeć...

Aż tyle za jednego funta!

Wrócimy do was jutro, kiedy nasz zabawny Ste przyjdzie do studia, żeby opowiedzieć o...

To skandal, że odbierają nam pracę. Robiłem tu od dwudziestu lat i...

- Co byś pomyślała, gdybym cię zapytał: „Gdzie się podziało słońce?” - odezwałem się nagle.

- Chybabym pomyślała, że to kolejny z tych popieprzonych tajemniczych tekstów, które wygłaszasz, żeby mnie wkurzyć.

- Która godzina?

- Dziesiąta z kawałkiem. Konam z głodu.
- To dziwne, prawda?
- Co?
- Że konasz z głodu. Co jadłaś na kolację?
- Nie jadłam kolacji, bo ratowałam ci życie, do cholery!
- No dobra, a co jadłaś na obiad?
- Jadłam... hmm, jadłam... Chyba kanapkę albo coś. Nie wiem, czy to ważne?
- Zastanów się. Zastanów się dokładnie. Co jadłaś na obiad?
- Kanapkę - odparła. - Na ogół jem kanapki.
- I słońce na ogół wschodzi, prawda?
- Hej, Matthew, nie wiem, co za prochy podała ci ta lekarka, ale gadasz teraz jak palant, i to mnie wkurza.

Zapadłem się głębiej w siedzenie.

- Nieważne. - Westchnąłem. - Gdzie jesteśmy?
- W Westminster. Cholera! Zapomniałam o opłacie od zatłoczenia! Jak myślisz, czy Rajcy mogliby załatwić, żebym nie zapłaciła mandatu?
- Nie jestem pewien, czy uznaliby to za etyczne.
- W dupę z nimi! Co za pożytek z tajnej organizacji, która ma wszędzie kontakty, jeśli nie może nawet zwolnić ciebie - albo twojej straszliwie niedocenianej, superfajnej, ratującej ci życie uczennicy - z drobnych opłat?
- Zapytam o to, gdy tylko ich zobaczę.

* * *

St James's bez cienia wątpliwości było krainą bogatych dupków.

Sklepy z cygarami i garniturami, antykami i obrazami przedstawiającymi historyczne bitwy morskie, oferujące spinki i papeterię oprawne w moleskin i srebro. Szerokie ciche ulice, wysokie kamienne budynki, prywatne kluby, nad którymi powiewa Union Jack, a w środku, za masywnymi drzwiami, wiszą zdjęcia księcia tego i owego, obok portretów królowej i Margaret Thatcher. Od czasu do czasu mieszkańcy St James's zapewniają, że ulice położone między Piccadilly, Buckingham Palace i St James's Park wcale nie są takie eleganckie, za jakie uchodzą. To zawsze jest błąd, bo jeśli przeciętnego londyńczyka wkurza coś bardziej niż nowobogaccy, to z pewnością nowobogaccy, którzy nie zdają sobie sprawy, ile mieli farta.

Dlatego St James's pozostaje częścią innego miasta, tego, które odwiedzają turyści w T-shirtach z napisami „I ♥ London”, gdzie za kierownicami samochodów zasiadają

mężczyźni w czapkach z daszkiem, herbatę zawsze podaje się w porcelanowych filiżankach, kanapki kroi się w trójkąty, gdzie nosi się kaszmirowe pulowery i jedwabne skarpetki, gdzie okna są czyste, a flaszka gorzały kosztuje pięćset funtów. To była okazja ujżenia innego świata, zamieszkanego przez inny gatunek, z pewnością nieposiadający takich samych funkcji cielesnych i potrzeb duchowych jak my, jako że jego przedstawiciele nie tęsknią do zapachu ryby z frytkami na kolację, nie wściekają się, gdy autobus 341 nie przyjedzie na czas, ani nie grzebią w kieszeni w poszukiwaniu drobnych, żeby kupić paczkę fajek. Z pewnością Londyn, prawdziwy Londyn znany większości jego mieszkańców, zazdrościł wspaniałym ulicom otaczającym pałac, a nawet żywił w stosunku do nich lekkie opiekuńcze uczucia, jakby chciał powiedzieć: „To prawda, że w St James's jest pełno bogatych ówoków, ale to są nasze bogate ówoki i my też chcielibyśmy zostać bogatymi ówokami, gdybyśmy tylko mogli. Dlatego nam wolno się z nich nabijać, ale nikomu innemu na to nie pozwolimy”.

Dla nas St James's miało smak mgły z domieszką zielonkawoszarego dymu, magii kamieni i posągów o pustych spojrzeniach, a także tajemnic ukrytych tuż poza zasięgiem wzroku, za nieprzebytymi murami. To była okolica zachęcająca do rzucania zaklęć ochronnych oraz powolnych, długo się utrzymujących czarów.

- Czy mnie odholują, jeśli tu zaparkuję? - zapytała Penny.

- Nie mam pojęcia. Ty mi powiedz. Przecież byłaś strażniczką ruchu.

- Posłuchaj, mój rewir to było Willesden. Nie wypisywałam mandatów członkom pieprzonej rodziny królewskiej. W dupę z tym, parkuję.

Zrobiła to i usłyszeliśmy początek wiązanki paskudnych przekleństw, gdy znalazła parkomat.

- Kurwa, dwadzieścia pensów za cztery pieprzone minuty! - wrzeszczała, pomagając mi wysiąść. - Wiesz, ile to będzie za godzinę?

- Hmm... trzy flinty? - zaryzykowałam.

- Rzuć zaklęcie - warknęła. - No jazda, widziałam, jak okradałeś różnych głabów dzięki swoim magicznym sztuczkom. Zaczaruj to skurwysyństwo!

Ustałam, nie stawiając zbyt silnego oporu.

- Zaprowadź mnie do parkomatu.

Zrobiła to. Dotknąłem ręką kanciastego metalowego przedmiotu. Były tam tylko trzy guziki i nie było otworu do wydawania reszty. Przesunąłem rękę w dół, zatrzymując się kolejno przy wszystkich guzikach. Zastanawiałem się przez chwilę, a potem kopnąłem maszynę z całej siły.

Coś w środku zafurkotało.

Coś zastukało i zabręczało.

Z małego otworu wyłoniła się kartka. Wyrwałem ją i wyciągnąłem rękę w kierunku, w którym moim zdaniem powinna się znajdować Penny.

- Wedle życzenia, jeden bilet parkingowy.

- To było zajebiste - oznajmiła moja uczennica, wydzierając mi bilet z palców. - Nawet nie musiałeś recytować zaklęć ani nic.

- Penny, mogło ci się wydawać, że po prostu kopnąłem maszynę - odparłem z westchnieniem - ale zapewniam cię, że musiałem się uczyć całe życie, żeby wiedzieć, w które miejsce ją kopnąć.

* * *

Były tam drzwi.

Otworzyły się automatycznie przed nami, ze świstem sugerującym, że są ze szkła. Z góry buchało gorące powietrze, oddzielające nieskazitelny świat wewnętrzny od brudnego i zmoczonego przez deszcz świata zewnętrznego. Słyszałem ciche brzęczenie sztucznego oświetlenia oraz furkot komputerowych wentylatorów. Czulem zapach świeżo podlewanych roślin, a pod stopami miałem śliskie płytki.

Wtem Penny oparła moje dłonie na jakiejś chłodnej szklanej powierzchni. Ulokowano ją na wysokości sugerującej, że to blat biurka w recepcji.

- Dobry wieczór! - odezwała się moja uczennica. - Chcemy się spotkać z jednym facetem w sprawie nadchodzącej zagłady różnego syfu. Ten gość, który jest ze mną, to Nocny Burmistrz, bardzo ważny skurwysyn, nie przejmujcie się jego wyglądem. W porządku?

Żałowałem, że nie mam otwartych oczu, by móc je zamknąć z rozpaczy.

- Oczywiście - dobiegł zza biurka głos, uprzejmy i perfekcyjnie ukształtowany przez lata słuchania BBC. - Zawiadomię ich o waszym przybyciu.

Głos kobiety przybrał odległy banalny ton kogoś rozmawiającego przez telefon.

- Tak... tak, jest tu Nocny Burmistrz plus jedna osoba. Chcą się spotkać z... tak, zgadza się... natychmiast ich przyślę. - Rozległ się stuk klawiszy. - Pójdźcie, proszę, za moją pracownicą...

Płytki ustąpiły miejsca drewnianej podłodze, gładkiej i wyboistej pod moimi stopami. Odgłos maszynierii przycichł, pomijając tylko odległy szum powietrza wydostającego się przez wywietrznik gdzieś na górze. Czulem pod palcami szorstkie zwietrzałe cegły, drewno, pomalowane płótna w zdobnych ramach i od czasu do czasu również aksamit zwisający tu i ówdzie z sufitu na podobieństwo średniowiecznego gobelinu. Zeszliśmy po ciasnych krętych

schodach. Pośrodku każdego kamiennego stopnia znajdowało się zagłębienie, a po obu stronach umieszczono cienkie metalowe poręcze. U ich podstawy nie poczuliśmy pod stopami drewna, tylko cegłę. Było tu zimniej, a szum wentylatorów brzmiał nieco głośniej. Po trzydziestu dwóch krokach skręciliśmy w lewo, postąpiliśmy jeszcze dwa kroki, stanęliśmy przed drzwiami i zapukaliśmy.

- Proszę! - zagrział głos wewnątrz, stłumiony, ale wyraźny.

Drzwi otworzyły się z łoskotem ciężkiej metalowej kołatki uderzającej o drewno. Weszliśmy do środka. Drzwi zamknęły się za nami.

Pachniało tu jedzeniem.

Do ust natychmiast napłynęła nam ślinka.

Zatrzymałem nas w miejscu, chcąc zebrać więcej informacji. Zapach kielbasy i sosu winegret, wina i sera z gatunku, od którego zasysają się drzwi lodówki. Powiew magii, gęstej i czarnej jak melasa, mieszającej się z cieniami.

Zaskrzypiało krzesło.

- Dobry Boże, Matthew, co ci się stało? - Ten głos był potężny i imponujący jak brzuch, z którego się wydobywał.

Ujrzałem oczyma wyobraźni kamizelkę opinającą owo brzuszysko oraz okrągłą twarz jego właściciela. Krótko mówiąc, to był głos Dudleya Sinclaira, zatroskanego obywatela, człowieka parającego się sprawami, które w zasadzie nie powinny go obchodzić, ale właśnie z tego powodu go obchodziły.

- Dobry wieczór - wymamrotałem. - Czy może dzień dobry. Wszystko jedno.

- Usiądź, proszę, mój drogi chłopcze.

Zaprowadzono mnie do wielkiego miękkiego fotela, wyłożonego dodatkowo aksamitnymi poduszkami. Usłyszałem, że za mną poruszył się ktoś, kto nie był Penny.

- Dobry wieczór, Charlie - dodałem.

- Dobry wieczór, panie Swift. - Charlie, milczący asystent Sinclaira, człowiek, który nie zawsze był tylko człowiekiem. Nawet gdybym się nie domyślał, że go tu zastanę, zapachu jego magii nie można było pomylić z żadnym innym. - A to jest...

- Ja? - rozległ się zdziwiony kobiecy głos. - Jestem Penny Ngwenya, absolutnie rewelacyjna uczennica Matthew. Ratuje mu życie i kopię tyłki jego wroga. Hmm. Cześć.

Nastąpiła króciutka przerwa, moment wahania. Całkiem niedawno Sinclair wyrażał opinię, że Penny najbezpieczniej byłoby zabić. Po krótkiej chwili wszyscy zgodziliśmy się bezgłośnie, że tę informację najlepiej będzie zataić.

- Matthew, twoje oczy - odezwał się wreszcie grubas.

- Ach, prawda, moje oczy! Tak. Niefortunne spotkanie z Odą, „psychopatyczną suką”, doprowadziło do tymczasowej - podkreślam, tymczasowej - ślepoty, straszliwych bólów głowy, krwawienia z nosa, krwawienia z uszu i... nie, to chyba będzie wszystko. Do powyższych objawów. Przepraszam, mam wrażenie, że czuję zapach jedzenia. Konam z głodu.

- Tak, to rzeczywiście jedzenie, Matthew. Biorąc pod uwagę godzinę, uważam, że małe śniadanie byłoby na miejscu.

- Chyba raczej kolacja - poprawiła go od niechcenia Penny.

- Czy chciałem powiedzieć „kolacja”? Tak, myślę, że chciałem. Ojej, jakie to dziwne. Tak, oczywiście kolacja.

- Hmm, mogę o coś zapytać? - dodała Penny, gdy zabręczały sztućce i na kolanach ostrożnie ułożono mi serwetkę.

- Słucham, moja droga?

- Gdzie jesteśmy i kim pan jest?

- Ach, Matthew tego pani nie wytłumaczył, tak? W takim razie ów obowiązek spadnie na mnie. Znajdujemy się w winnej piwnicy firmy Loveless and Headley, założonej w roku 1887 przez kupców winnych o tych nazwiskach, a dokładniej mówiąc w jednym z prywatnych pomieszczeń wynajmowanych przez nią na służbowe spotkania. Poczestunki są darmowe. Mamy z firmą stałą umowę. Z radością poczęstowałbym was butelką wina Sanchez and Petty z rocznika 1972, ale biorąc pod uwagę sytuację, chyba lepiej będzie przełożyć tę przyjemność na inną okazję.

- Ale... wcale się nie zdziwili, że Matthew jest Nocnym Burmistrzem i tak dalej. To znaczy, że wiedzą o tym całym magicznym syfie, prawda?

- Och, z pewnością. Loveless i Headley już od jakichś stu lat zaopatrują w wina wysokiej jakości większość ważnych magów w mieście. To ich trunki podawano w roku 1959, podczas podpisywania traktatu między Nocnym Burmistrzem a Neonowym Dworem. Oferują też rozmaite eliksiry i życiodajne mikstury, a także prowadzą magiczne archiwum zawierające wiele interesujących prac nad projektami takimi, jak źródło młodości, fontanna wiedzy, święte źródła driad, eliksir nieśmiertelnych i tak dalej, i tak dalej. Osobiście jednak najwyżej cenię ich znakomitą kolekcję porto i sherry.

Sinclair westchnął cicho, jakby kontemplerował zalety obu tych rodzajów trunku i znajdował w tym szczęście.

Kaszlnąłem uprzejmie.

- To ciekawe, że wspomniał pan o Neonowym Dworze.

- W rzeczy samej.

- ...bo tak się składa, że do miasta przybyła Lady Neon.

- Skoro już o tym wspomniałeś, dotarły do mnie pewne informacje na ten temat.

Ktoś dotknął mojej dłoni i wsunął mi w palce widelec. Na kolanach postawiono mi talerz. Dźgnąłem go końcem widelca i poczułem coś, co mogło być sałatką. Nabiliśmy na widelec coś, co uznaliśmy za pomidor, i skosztowaliśmy go ostrożnie. Katastrofa nie nastąpiła.

- Słyszałem pogłoski, że mężczyznę znanego jako Minjae San, jak rozumiem był Daimyo Neonowego Dworu, zamordowali wojownicy Plemienia.

- Ehe, ja również o tym słyszałem.

- I Neonowy Dwór żąda zemsty?

- Tak.

- Jak rozumiem, zgodnie z warunkami traktatu, który wiąże cię z Neonowym Dworem, będziesz zmuszony wypowiedzieć wojnę Plemieniu z powodu tego naruszenia pokoju?

- Na to wygląda.

- Na podstawie pewnych informacji, które stały się obecnie dla mnie dostępne - ciągnął Sinclair tym samym spokojnym prawniczym tonem - na przykład faktu, że okazujesz intensywne zainteresowanie Odą i straciłeś na jakiś czas wzrok, przypuszczam, że dzieje się znacznie więcej rzeczy, o których nie wiem ani ja, ani nikt inny. Oprócz być może ciebie.

Zjadłem kolejnego pomidora.

- Jest pan niezły! - zawołała Penny.

Przełknąłem ostatni kęs, otarłem usta rękawem, odłożyłem ostrożnie widelec na talerz i zwróciłem twarz ku miejscu, w którym moim zdaniem powinien siedzieć Sinclair.

- No dobra - zacząłem. - Powiem panu, jak to wygląda. Po pierwsze, Plemię nie zabiło Minjae Sana. To była Oda. Po drugie, byłem przy tym, jak to zrobiła. Przywołano mnie do płonącego wieżowca, bez ostrzeżenia i bez żadnych wyjaśnień. Różni ludzie próbowali mnie tam atakować, a Oda poprosiła mnie o pomoc, a wkrótce potem o to, bym ją zabił. Po trzecie, Plemię również było w wieżowcu. Widziałem ciało na schodach. Ale to nie Jego wojownicy zabili Minjae. Po czwarte, Odę pchnięto nożem w serce. Przypuszczam, że uczyniono to w wieżowcu i winny był Dwór, Plemię albo jakieś nieznane osoby. Po piąte, ta rana jej nie zabiła. Po szóste, jej oczy zamieniły się w czarną maź, a ten, kto w nie spojrzy, ślepnie, a potem umiera. Aha, Oda czasem mówi o sobie „my” zamiast „ja”. Zważywszy wszystko razem, przypuszczam, że jest opętana. Po siódme, zginęło wielu ludzi. Po ósme, Lady Neon

była już w drodze do Londynu przed śmiercią swego daimyo. Po dziewiąte, zarówno Nocny Dwór, jak i Plemię poszukują „wybranej”, której nadejście przepowiedział facet nazwiskiem O'Rourke, posługujący się planszą do gry w monopol. Kiedy ostatnio go widziałem, leżał nieprzytomny w swoim pokoju, ale przedtem trafnie przepowiedział nadejście Ody, cierpienie, ból i zaciemnienie, nawet jeśli w innych sprawach mógł się mylić. Po dziesiąte, gdzie się podziało słońce? Są jakieś pytania?

Zapadła długa satysfakcjonująca cisza.

- No cóż... teraz to wszystko nabrało trochę więcej sensu - odezwał się wreszcie Sinclair.

- Cieszę się, że to słyszę. Czy to, co mam na widelcu, to pieczarka?

- Jakiś ser - odpowiedziała Penny zza mojej głowy. - No wiesz, z tych cuchnących.

- To znakomity ser - oznajmił z lekkim oburzeniem Sinclair. - Mam wrażenie, że twoja... chwilowa niesprawność powinna jeszcze udoskonalić jego smak.

- Jesteśmy gotowi spróbować wszystkiego raz - odparliśmy i zjedliśmy ser. To było jak kop w zęby posypany chili. Pocięło nam z nosa.

- Hmm... ja mam kilka pytań. - Penny albo nie zauważyła zadanych nam przez ser urazów, albo były jej one obojętne. - Na przykład... kto właściwie przywołał cię do tego pierdolonego płonącego wieżowca?

Otarłem nos, wciągając z wysiłkiem powietrze.

- Z początku nie miałem pojęcia. No wiesz, potrzeba sporo mocy, by tak po prostu przywołać człowieka, zwłaszcza takiego, który wcale nie ma na to ochoty. Ale po zastanowieniu myślę, że to była Oda. Leżała twarzą do dołu w kałuży własnej krwi i narysowała w niej symbol Nocnego Burmistrza. Wiem, że nie jest czarnoksiężniczką, ale to, co w nią wlało, włada potężną magią. Dlatego przypuszczam, że jej dezorientacja i rozchwiany stan psychiczny w połączeniu z tak wielką mocą... ehe, to Oda mnie wezwała. Prosiła mnie, żebym ją zabił.

- To sugeruje, że istota, która ją opętała, jeśli to właściwe określenie, nie panuje nad nią w stu procentach - zastanawiał się Sinclair. - No cóż, to przynajmniej brzmi obiecująco.

- Czy wspominałem o tym, że pchnięto ją nożem w serce? - przypomniałem mu. - To znaczy, że pomijając kwestię tego, jak się znalazłem w wieżowcu, trzeba pomyśleć o tym, kim była Oda. Co pełna nienawiści na tle religijnym psychopatka pracująca dla Zakonu robiła w tym samym miejscu i czasie, co daimyo Neonowego Dworu i zgraja wojowników Plemienia?

- Przychodzi ci na myśl jakaś odpowiedź na to pytanie?

- Nie, chociaż zapewne może pan postawić własny tyłek na to, że ma to coś wspólnego z tą drugą popieprzoną komplikacją. Tą „wybraną”.

- Ach, tak. Matthew, czy mogę powiedzieć, że wykrywam pewną... jakby to powiedzieć... cyniczną nutę w twoim głosie, gdy wypowiadasz to słowo?

- Rzecz w tym, że to totalna bzdura - wyjaśniłem. - Wybrana? Poważnie? A przez kogo? Przez Boga? Przez przeznaczenie?

- Hmm... przez Jezusa? - zasugerowała Penny.

- Jasne, bo Jezus cały czas zajmował się prowokowaniem wojen między Neonowym Dworem a Plemieniem.

- Hmm... a krucjaty?

- No dobra, powiedzmy, że Jezus. Albo Mahomet. I... no wiesz... inni tacy faceci. Ale jeśli nie chcesz mi wmówić, że (a) Bóg wysłał na Ziemię kolejnego ze swoich dzieciaków i (b) ten dzieciak mieszka w Sidcup i stoi w samym sercu małej wrednej wojenki między dwiema małymi wrednymi frakcjami, to nie kupuję tego. Totalna bzdura.

Usłyszałem plusk nalewanej do szklanki wody oraz głębokie westchnienie Sinclaira.

- To ciekawe spostrzeżenia - odezwał się grubas. - Z czysto akademickiego punktu widzenia trzeba sobie zadać pytanie, co to właściwie znaczy „wybrana”. Na przykład, nie można wykluczyć, że przyszli historycy uznają ciebie, Matthew, za „wybrańca”, nie w jakimś teologicznym sensie, ale po prostu dlatego, że masz zwyczaj ciągle wikłać się w katastrofalne scenariusze i wychodzić z nich z życiem dzięki niewiarygodnym metodom.

- Jeśli przyjąć taką definicję, powinniśmy zaaprobować każdego, kto służył w oddziałach antyterrorystycznych - obruszyłem się. - Czy możemy wrócić do rzeczy? Nawet jeśli my dwaj wiemy, że to gadanie o „wybranej” z mistycznego punktu widzenia na dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie ma najmniejszego sensu, Neonowy Dwór i Plemię najwyraźniej coś już zwęszyły, a O'Rourke sprawiał wrażenie, że wierzy w swój syf. To zaś sugeruje...?

- Sugeruje - powtórzył Sinclair z niewyczerpaną cierpliwością człowieka, którego mózg musiał ponownie wędrować trasą pokonaną przed zaledwie półgodziną - że przybycie Lady Neon do Londynu zaplanowano jeszcze przed zamordowaniem Minjae Sana, obecność Plemienia i Dworu w tym samym miejscu nie była przypadkiem, a Oda wie o tym wszystkim więcej, niż ci powiedziała.

- A to z kolei znaczy, że w wojnie między Dworem a Plemieniem...? - zacząłem.

- Nie chodzi o zemstę, tylko o odnalezienie „wybranej” szybciej, niż uczyni to druga strona. Och, jakie to nudne - jęknął Sinclair. - I, oczywiście, Lady Neon uznała śmierć

swojego daimyo za znakomity pretekst do odwołania się do traktatu między Dworem a Nocnym Burmistrzem, co zmusiłoby cię...

- Do przyłączenia się do wojny między Dworem a Plemieniem, czego nie chcę zrobić, albo do odnalezienia „wybranej” dla Lady Neon. Ehe. Tak to mniej więcej wygląda.

- Mój drogi chłopcze, dlaczego nie przyszedłeś do mnie wcześniej? - poskarżył się Sinclair.

- Zbierałem informacje - odparłem z urazą. - I... no wie pan... dostawałem łomot. Rzecz w tym... - kontynuowałem, stawiając z wielką ostrożnością talerz na podłodze - ...że cały ten interes z wojną ma tylko drugorzędne znaczenie w porównaniu z właściwym problemem.

- Uważasz stan Ody za poważniejszą sprawę niż wojna między Plemieniem a Dworem?

- Tak. Naprawdę jestem o tym przekonany. Z dwóch powodów. Po pierwsze, skopała mi tyłek. Jak pan zauważył, mam talent do wychodzenia cało z paskudnych sytuacji, a miałem poważne kłopoty. Zrobiła nam prawdziwą krzywdę. Nam. To samo w sobie powinno pana zaniepokoić. Po drugie, gdzie się podziało słońce?

- Ciągłe to powtarzasz - wtrąciła Penny. - A potem robisz taką minę, jakbyś chciał powiedzieć coś innego.

- Tak, wytłumacz to nam, proszę - poparł ją Sinclair.

Splotłem dłonie na kolanach i pochyliłem się.

- Nie spałem już od... jak dawna? Nie wiem. Od wielu godzin. Bardzo wielu. Nie mogłem też nie zauważyć, że podczas tego całego zamieszania słońce nie weszło ani razu.

- Co to za bzdury... - zaczęła Penny.

- Hmm. Wysłuchaj mnie. Pytałem cię, co jadłaś na obiad, a ty nie pamiętałaś. Pan, panie Sinclair, opisał nasz posiłek jako śniadanie, mimo że jest pora kolacji. Penny, kiedy zabierałaś mnie z Mile End, było jeszcze ciemno. Zbliżał się poranek. To była pora przedświtowego spokoju i snu, którego nie można przerywać. Kiedy dotarliśmy do Smithfield, puby były otwarte i siedzieli w nich ludzie. Przyjrzałaś się im? Mówiłaś, że to tylko faceci w garniturach, ale założę się, naprawdę się założę, że było w nich coś dziwnego. Pojechałem metrem z Heathrow do centrum miasta i wszystko w nich było nie tak. Jadący do pracy ludzie w garniturach, zmęczeni pijacy, drobne staruszki, szkolne dzieci, turyści i wybierające się na imprezy kobiety w absurdalnych butach, wszyscy mieszały się ze sobą. Każdą z tych grup można codziennie spotkać w metrze, ale są tam pewne rytmy, przyływy i odpływy, a to było tak, jakby czas się skrócił, jakby jednocześnie był koniec szkoły, godzina

szczytu, czas imprezowania, szczęśliwa godzina i pora obiadowa, wszystkie godziny jednocześnie. Założę się, że gdybyśmy wyszli teraz na dwór, nawet na oślep znalazłbym dwadzieścia różnych dowodów na to, że coś tu nie gra. Znajdźcie jasnowidzów, znajdźcie starą Bezdomną, znajdźcie Króla Żebraków, znajdźcie Siedem Sióstr albo Upneya, Lorda Smoły, znajdźcie Tłustego Szczura i głębinowców, wezwijcie dowolnego ducha samotnej nocy, a potem poproście je, żeby stanęły na Greenwich Hill, spojrzwały na wschód i powiedziały wam, co widzą. Zapewniam, że wszystkie powiedzą to samo. To, co mówię wam teraz. Gdzie się podziało słońce? Gdzie się podziało?

Zapadła cisza.

- Matthew... - odezwał się wreszcie Sinclair z nutą ostrzeżenia w głosie.

- Jestem Nocnym Burmistrzem. Jestem uczniem Roberta Bakкера. Uczył mnie najpotężniejszy z czarnoksiężników, którzy dręczyli to miasto w ostatnim stuleciu. Jesteśmy niebieskimi elektrycznymi aniołami. Widzimy rzeczy, których inni nie dostrzegają. Uwierzcie nam albo zginiecie.

Znowu zapadła cisza.

- Zdajesz sobie sprawę, że to, co mówisz, jest niewiarygodne? - zapytał po chwili Sinclair.

- Czy nie powinno to pana pocieszać, biorąc pod uwagę moje osiągnięcia?

- Niewyobrażalne.

- To niebezpieczne słowo.

- Matthew... - Z ust Sinclaira wyrwał się nerwowy chichot. - Wszyscy wiemy, że słońce wzeszło.

- I zaszło - dodałem. - Wszyscy wiemy, że zaszło, bo jest ciemno już od... wielu godzin. Wszyscy pamiętamy, że robiliśmy w ciemności bardzo ciekawe i potencjalnie niebezpieczne rzeczy, ratowaliśmy mentorów, zajmowaliśmy się sprawami psychopatycznych suk i tak dalej. Wszyscy potrafimy powiedzieć, co ostatnio robiliśmy nocą. A za dnia? Kiedy ostatnio zrobiliśmy w świetle dnia coś, co byłoby równie ekscytujące jak ta mała rozmowa?

- Wiesz, że żądasz od nas, byśmy uwierzyli, że nie gadasz totalnych bzdur? - odezwała się Penny.

- Mówisz jak ktoś, kto ma wątpliwości - odparłem. - Czyżbyś się zastanawiała, czy przypadkiem nie jesteś uwięziona w koszmarze, w którym czas rozciąga się bez końca, a słońce nie chce wzejść? Co ważniejsze, czy wątpisz, że to ma związek z całym tym syfem z Odą i wojną o wybraną? Słucham. Zaskocz mnie swoją odpowiedzią.

- Padłeś ofiarą ataku - wyszeptał Sinclair. - Jesteś ranny, wytrącony z równowagi i...

- Jestem pierdolonym Nocnym Burmistrzem, mistycznym obrońcą miasta! - warknąłem. - Noszę na dłoni dwa tysiące lat tradycji i magii! Jezu, czy każdy facet, który pełnił tę funkcję przede mną, musiał się użerać z takim syfem, czy też spotyka mnie specjalne traktowanie, bo nikt nie wie, co zaraz zrobimy, nikt nie jest pewien, czy nie podpalimy nieba, a przecież każdy wie, że możemy to zrobić? Czy dlatego wszyscy rozmawiają z nami jak z dzieckiem? Mówię panu, jako facet, który zna się na rzeczy, że to właśnie się dzieje. Właśnie nasunął mi się pewien pomysł. Niech pan zaczeka dwanaście godzin i przekonaj się, czy mam rację. Skończy z tym mistycznym pieprzeniem. Mam ją i już.

Rozległy się ciche westchnienia, szuranie stopami i kamizelek rozciągających się na pęczniących brzuchach.

- No dobra - odezwał się wreszcie grubas. - Przypuśćmy, że to wszystko prawda. Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić w tej sprawie?

- Musimy zapobiec wojnie i powstrzymać Odę - odpowiedziałem. - Założę się, że zniknięcie słońca ma coś wspólnego z co najmniej jedną z tych spraw.

- Chcesz powiedzieć, że nie masz pojęcia, dlaczego słońce nie wschodzi? - zapytała Penny. - Co z ciebie za pożytek?

- To nie jest coś, co zdarza się co dzień!

- No jasne, ty zajmujesz się tylko codziennymi sprawami. „Hej, dla mnie ten syf to norma, pojawiła się śmierć miast albo smok, hurra, bawmy się dobrze!”.

- To graniczy z nękaniami...

- Matthew - przerwał nam Sinclair. - Przypuśćmy, że masz rację w sprawie naszej obecnej... czasowej czkawki. Przypuśćmy, że wszystko to wiąże się z Odą i że ona w jakiś sposób zamieszła się w ten interes z wybraną, który sprowokował Dwór i Plemię do złapania za broń. Co twoim zdaniem powinniśmy przedsięwziąć?

- Przede wszystkim musimy przekonać Plemię i Dwór, żeby chwilę zaczekały ze swoją masakrą.

- W porządku. A co z Odą?

- Trzeba ją odnaleźć. Trzeba ją powstrzymać.

- Zabić? - zapytał Sinclair.

- Możemy to zrobić? - zapytała z nutą niepokoju Penny. - To znaczy... czy zajmujemy się zabijaniem ludzi?

- Panno Ngwenya - odezwał się Sinclair uspokajającym tonem, nim zdążyłem poczuć wstyd. - Oda jest akolitką Zakonu. Zajmuje się zabijaniem ludzi takich jak pani i Matthew. Mówisz, że wystarczy spojrzeć jej w oczy, żeby umrzeć, i ma ranę w sercu? - zapytał.

- Tak - potwierdziłem.
- Jak rozumiem, to poważna rana.
- No cóż... jeśli słowa „rana” i „serce” padają obok siebie, możemy założyć, że sprawa jest śmiertelnie groźna.
- A mimo to, Oda chodzi i mówi, używając słowa „my” zamiast „ja”?
- Ehe.
- I mało brakowało, by cię zabiła?
- Zawahałem się.
- Ehe - przyznałem wreszcie.
- Widzi pani, panno Ngwenya? Motywy mnożą się coraz bardziej - skonkludował Sinclair. - Wszystko to prowadzi do zasadniczego pytania. Możesz ją zabić, Matthew?
- Nie wiem.
- A czy próbowałeś? - zapytał twardszym tonem.
- Ja... zaatakowała mnie i uciekłem, a potem...
- Czy próbowałeś się bronić?
- Pewnie, że tak.
- A zabić ją?
- Właściwie... nie zastanawiałem się, co robię.
- Wybacz, Matthew, ale dla mnie brzmi to jak „nie”.
- Chwileczkę - zaprotestowałem, unosząc ręce w obronnym geście. - Nie chodzi o to, że miałem taki plan, żeby dać się pobić. Jasne, gdybym miał plan, może i zdołałbym ją... powstrzymać. Jasne, może i tak. Ale to nie zmienia faktu, że każdy, kto spojrzy jej w oczy, ślepnie, a potem umiera. Dlatego specjalnie mi się nie śpieszy do drugiej rundy. Poza tym... - Mój głos ucichł.
- Poza tym?
- Opętanie. - Westchnąłem. - To może nawet nie być właściwe słowo. Synteza. Fuzja. W przypadku opętania spodziewamy się, że jedna osobowość będzie dominująca i usłyszymy: „Cześć, jestem Argh Niepowstrzymany i nie zdołasz mnie powstrzymać” i tak dalej. Raczej nie czujemy... „nas” i „mnie” w tym samym technieniu. To nie jest opętanie, tylko...
- To, co ty masz? - wyszeptał Sinclair. - Tak, zauważyłem to. A ty nie jesteś opętany, prawda, Matthew? Choć niektórzy chcieliby nas przekonać, że jesteś, w wyniku naszych długotrwałych kontaktów doszedłem do wniosku, że mam do czynienia po prostu z... człowiekiem plus coś jeszcze. Czy tym właśnie twoim zdaniem stała się Oda?
- Nie wiem. Być może. Jeśli rzeczywiście tak jest, to byłaby dobra wiadomość.

- Dlaczego?

- Dlatego że zapytała: „Zabijesz mnie?”. To sugeruje, że jakaś część jej mózgu nadal działa. Jakiś skrawek świadomości mówi: „O cholera, dopadło mnie wędrownie zło” i nadal się broni.

- Czy próbowała się powstrzymywać, atakując ciebie?

- Trudno wyczuć. Wolę nie myśleć, jakie ma możliwości, jeśli próbowała.

- Hmm? - odezwała się Penny głosem pełnym napięcia z wysiłku wkładanego w zachowanie spokoju. - Nie chcę psuć wam zabawy, ale czy nie tracicie kontaktu z rzeczywistością? Mówicie o zabijaniu i takim syfie, jakby to było całkowicie w porządku?

- Tak, moja droga - przyznał grubas uspokajającym tonem dobrego wujka. - Jestem przekonany, że mówimy.

- Dowiedział się pan czegoś o Odzie? - zapytałem pośpiesznie. - Czegoś użytecznego?

Sinclair westchnął. Krzesło skrzypnęło, gdy przesunął na nim swój znaczny ciężar.

- Ile właściwie o niej wiesz?

- Znam jej imię i zawód. To wszystko.

- W takim razie zapewne powinienem opowiedzieć ci o niej parę rzeczy.

Tak też zrobił.

Pierwsze interludium

Życie i czasy psychopatycznej suki

W którym w końcu przedstawia się znajomą.

- Kobieta, którą znasz po prostu jako Odeę, urodziła się w Reading jako Oda Ajaja-Brown - zaczął grubas. - Jej matka była nauczycielką, a ojciec hazardzistą i cudzołożnikiem. To pierwsze popchnęło go do przestępstw, a to drugie do picia. Jestem pewien, że nie musimy się rozwodzić nad nieuchronnymi psychologicznymi konsekwencjami. Miała starszego brata i młodszą siostrę. Nie wiemy, kto był ojcem siostry. W wieku siedmiu lat Oda Ajaja-Brown miała przywilej oglądać, jak policja przyjechała zabrać jej ojca, który wykrzykiwał przekleństwa i obiecywał zemstę. To jej matka go sypnęła. Dostał piętnaście lat za wiele różnych przestępstw. Kiedy wyszedł, Ody już tam nie było. Pozbyła się też jego nazwiska i stała się po prostu Odą Ajają, a także znalazła powołanie.

Poznałeś ją jako służkę Zakonu. Nietrudno się domyślić, że nie zawsze nią była. Jej rodzina wierzyła w Boga i chodziła co niedziela do kościoła, a parafia wspierała ją w trudnych chwilach - emocjonalnie, a gdy zrobiło się naprawdę źle, również fizycznie. Dla dzieci miejscowy kościół stał się miejscem, gdzie mogły odnaleźć przyjaźń, gdzie o nie dbano, nie stawiając żadnych warunków. Mogły tam znaleźć nie tylko modlitwę, lecz również spokój. Prawo wymagało, by Oda uczęszczała do szkoły do szesnastego roku życia. Zrobiła to i zdała egzamin GCSE z niezłymi ocenami, ale opinia, jaką tam zdobyła, jest pełna sprzeczności. Chwalono ją za uczestnictwo w wolontariacie, za poświęcenie dla potrzebujących, oddanie starszym i niemal obsesyjną potrzebę pomagania innym. Ale jednocześnie otrzymywała surowe nagany za wybuchy złości. W najgorszym przypadku siedemnastoletni chłopak, który próbował sterroryzować trzynastoletnią dziewczynkę, wylądował w szpitalu z twarzą rozoraną paznokciami i pogryzioną ręką. Może i była

rycerzem w zbroi dla dziecka, które uratowała przed agresorem, ale niech nikt nie sądzi, że ta zbroja była biała.

Bez względu na to wszystko, historia Ody Ajai mogłaby się potoczyć szczęśliwie, gdyby nie poczynania jej starszego brata, Kayle'a. Kayle miał za mało lat, gdy zabrano mu ojca, lecz jednocześnie był już za duży, by znaleźć pocieszenie w rzeczach, które pomogły jego siostrze. Wstąpił na drogę, która mogła go zaprowadzić jedynie do tragedii. Gnany gniewem na ojca i nienawiścią do matki, która go zdradziła, opuścił dom w wieku siedemnastu lat, zdeterminowany, by odnaleźć coś większego i lepszego niż życie, jakie wiódł do tej pory. Jego droga prowadziła przez rozmaite szkoły biznesu, programy pomocy przedsiębiorcom i praktyki w rozmaitych firmach, aż wreszcie, nie jesteśmy do końca pewni w jaki sposób, trafił do Londynu i do świata magii.

Oboje jesteście czarnoksiężnikami. Widzicie miasto i jego magię, czujecie ją pod stopami, wyczuwacie jej smak w powietrzu. Gdy nadchodzi godzina szczytu, serce bije wam szybciej, a kiedy zamkniecie oczy, wyczuwacie na skórze ruchy skrzydeł gołębi. Wystarczy, że poruszycie palcami, a w głośnikach pobliskich komórek pojawiają się szумы, jakby powietrze wypełniło coś tak potężnego, że nie potrafimy tego spostrzec. To jest czarnoksiężstwo. Kayle również coś zobaczył po przybyciu do Londynu. Przyjrzał się miejskim wieżowcom, zauważył szkło i stal, wyczuł miniony czas pod podeszwami butów i władzę ukrytą za zamkniętymi drzwiami, usłyszał szelest pieniędzy za każdym bankomatem i wywęszył seks w pocie tancerek w klubach. On również dostrzegł czarnoksiężstwo, ale podczas gdy waszą moc definiuje niepowstrzymane życie, serca bijące za każdą matową szybą i oddechy mieszające się ze sobą we wszystkich zakamarkach każdego z podziemnych tuneli, jego moc była nieposkromiona, mogła istnieć tylko w mieście, w którym każda część pozostaje w nieustannym ruchu, nigdy nie przestaje funkcjonować, pracować, obracać się, zarabiać. W jego magii chodziło o władzę i szybko odnalazł takich, którzy zgodzili się go uczyć. To było w czasach przed nadejściem Roberta Bakera i jego głodnego cienia, przed powstaniem Wieży i stworzenia, które wychodziło nocą, by zabijać czarnoksiężników. Nie brakowało osób o... powiedzmy... wątpliwych zasadach etycznych, gotowych przekazać swą wiedzę młodemu Kayle'owi Ajai w zamian za odpowiednią cenę albo udział w zyskach.

Trwało to kilka lat. Oda rzuciła szkołę i zatrudniła się w kuchni na przedmieściach, a jej młodsza siostra, która miała dopiero dziesięć lat, nadal się uczyła. Ich matka się starzała i była coraz bardziej samotna. Wszystkie siły poświęcała jednemu dziecku, które nadal z nią mieszkało, oraz dobroczynnej działalności w kościele. Kayle Ajaja nigdy nie pisał ani nie dzwonił. Prawdę mówiąc, nikt z rodziny nie próbował go odszukać.

Zaczął... jakby to powiedzieć? „Schodzić na złą drogę” chyba najlepiej to określa... wkrótce po dwudziestych czwartych urodzinach. Co nieraz zdarza się tym, którzy w młodym wieku odnieśli sukces, uroił sobie, że jest rekinem w stawie rybnym, a nie płotką w burzliwym morzu. Być może nie uświadamiał sobie, że magowie, których spotkał i uznał za słabszych od siebie, są tymi, którzy chcieli, by ich widziano, albo nie potrafili się ukryć. Gdyby od dziecka mieszkał w stolicy, szkolił się od najmłodszych lat i obracał w bardziej... umiarkowanych kręgach, być może nie uległby temu złudzeniu. Pragnął jednak natychmiastowego sukcesu i w rezultacie zadał się z ludźmi, którzy wyznawali szybkość, uczynki pozbawione konsekwencji i nie obchodziło ich, co będzie jutro.

Mam wrażenie, że pierwszy lekkomyślny uczynek, którym przyciągnął uwagę bardziej... zatroskanych obywateli... popełnił, gdy wypróbował swe talenty na własnym ojcu. Przeklął go w dość prymitywny sposób, wyciągając nieczystości z więziennej kanalizacji, by użyć ich jako ogniska swego zaklęcia. Rzecz jasna, jego ofiarą padły też dziesiątki innych osób i naczelnik więzienia był zmuszony napisać raport o wybuchu epidemii dżumy. Medycyna była bezradna, ale na szczęście jeden z lekarzy miał kiedyś jakiś kontakt z magią i wezwano egzorcystę, zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zatroskani obywatele raczej nie ingerują w poczynania nieumiarkowanych magów, chyba że ci staną się naprawdę niebezpieczni. Ponieważ sytuację opanowano, a jej przyczyn nie ustalono, nawet jeśli podejrzewano, kto może być winny, nie podjęto dalszych kroków.

Niestety, młody Kayle na tym nie poprzestał. Jego wykroczenia wahały się od drobnych, jak okradanie bankomatów na sumę przekraczającą łącznie sześćdziesiąt tysięcy funtów... Matthew, wiem, że ty również czasem dopuszczałeś się elektronicznej defraudacji, ale raczej nie po to, by kupić sobie ósmy samochód, lecz tylko wtedy, gdy coś groziło twojemu życiu. Mężczyznę, z którym wdał się w bójkę pod barem w Camden, podpalił na oczach wszystkich. Ofiara zmarła potem z powodu zakażenia. Było mnóstwo podobnych incydentów. Policja miała już wystarczająco wiele zdjęć Kayle'a, by móc go oskarżyć o atak na tego faceta w Camden, a także o wiele innych przestępstw, takich jak oszustwo, ciężkie uszkodzenie ciała i rabunek. Rajcy wezwali Nocnego Burmistrza - był nim Nair, który niedawno objął to stanowisko - by zapanował nad sytuacją.

Zgodnie z oficjalnym raportem Rajców Nair wykrył Kayle'a bez trudu. Poszukiwany nawet nie zauważył gromadzącej się wokół niego magii. Nair zwrócił się do niego i poinformował go, że ma trzy możliwości. Może natychmiast wyrzec się magii i w tym przypadku będzie tolerowany; może pozwolić, by go aresztowano, a potem odsiedzieć wyrok, i w tym przypadku odkupi swe winy; albo może bezzwłocznie opuścić Londyn, by nigdy już

nie wrócić, i w tym przypadku po prostu go zignorują. Kayle popełnił... godny pożałowania błąd i roześmiał się Nairowi prosto w twarz. Nic nie wiedział o mocy oraz autorytecie Nocnego Burmistrza i wcale nie chciał się tego dowiedzieć.

Nair dał mu dwadzieścia cztery godziny na zmianę zdania. Opowieść głosi, że Kayle splunął mu w twarz kwasem, a Nair po prostu wytarł ją jedwabną chusteczką, ale osobiście uważam tę wersję za apokryf.

Minęły dwadzieścia cztery godziny i Kayle, jeśli to możliwe, popisywał się swoimi talentami jeszcze bardziej. Nair odnalazł go ponownie, na Hampstead Heath, i oznajmił mu, że ma natychmiast opuścić miasto i nigdy nie wracać. Kayle drwił z niego, obrzucał go obelgami, aż wreszcie, w chwili szaleństwa, zaatakował go.

Mógł być czarnoksiężnikiem, ale był niewykształcony i nieprzygotowany do starcia z mocą, jaką włada Nocny Burmistrz. Nair odparł jego atak, nawet nie mnąc sobie koszuli, i rozpętał w odpowiedzi taką burzę, że do tej pory można ponoć wyczuć miejsce, w którym spaliła ziemię, jeśli się wie, gdzie szukać. Kayle uciekł, ale miasto już go nie chciało. Nawierzchnia ulic pękała pod jego stopami, światła gasły, kiedy się zbliżał, autobusy nie zatrzymywały się dla niego na przystankach, a pociągi metra nie otwierały przed nim drzwi. Nie przestawał uciekać, aż wreszcie buty mu się rozpadły, a stopy zaczęły krwawić. Biegł ulicami i polami, mijał zaułki i przełaził przez ogrodowe mury, aż w końcu, zdyszany i obolały, prawie dobę po ucieczce z Hampstead Heath, wybiegł na autostradę M 25, okalającą całe miasto i padł na ziemię po jej drugiej stronie, poza zasięgiem mocy Nocnego Burmistrza.

Mądrzejszy człowiek mógłby na tym poprzestać.

Ale chyba już ustaliliśmy, że Kayle Ajaja nie był mądrym człowiekiem.

Poprzysiągł zemstę i zaczął wędrować po kraju w poszukiwaniu czegoś, co umożliwi mu jej wywarcie. Rajcy mają jednak kontakty, w Newcastle i w Manchesterze, w Glasgow i w Edynburgu, wszędzie, gdzie tylko mógł znaleźć miejską magię, miejscowi odwracali się od niego, gdy tylko wypowiedział swe nazwisko, oznajmiając, że szkoda czasu, by mu to tłumaczyć. Londyn nie jest jedynym miastem, które ma mistycznych obrońców. Wreszcie, po wielomiesięcznych peregrynacjach, głodny, krwawiący i słaby Kayle Ajaja wrócił bez grosza przy duszy w miejsce, gdzie to wszystko się zaczęło. Do rodzinnego domu w Reading.

A tam przywitano go z radością.

To były dobre kobiety. Nie zadawały mu pytań, nie domagały się odpowiedzi. Dały mu miejsce do spania, karmiły go i pozwoliły spokojnie wracać do zdrowia. Oda wróciła, by pomagać w opiece nad nim, bo matka zaczynała odczuwać pierwsze oznaki starzenia się i związanych z nim chorób. Najmłodsza siostra, dziewczynka imieniem Jabuile, była

zafascynowana starszym bratem, którego ledwie pamiętała z dzieciństwa. Oboje szybko się ze sobą zaprzyjaźnili.

Niestety, ani Oda, ani nikt w rodzinie nie pojmował sposobu rozumowania Kayle'a, który doszedł do wniosku, że istnieje tylko jedna szansa zgromadzenia mocy potrzebnej do zniszczenia Nocnego Burmistrza i wszystkich innych osób, które uważał za swych wrogów. Postanowił odwołać się do magii krwi.

Panno Ngwenya, jestem pewien, że Matthew wygłosił już pani swą małą pogawędkę na temat tego typu magii. Z pewnością wyjaśnił, że na przykład, jego własna krew w chwilach stresu zamieniała się niekiedy w niebieski elektryczny ogień, i że zdarzali się ludzie, którzy, postawieni wobec tego medycznego faktu, próbowali zdobyć ową krew, by wykorzystać ją do własnych celów, z reguły związanych z oszukaniem śmierci albo zdobyciem potężnej mocy. Nie wątpię, że Matthew wyjaśnił też, czym się skończyły te... małe eskapady. Nawet gdyby magia krwi nie była obciążona mnóstwem niepożądanych konsekwencji, nie wiązała się z niemożliwym do zniesienia bólem i nieprzyjemnym ryzykiem, nadal pozostawałaby tym, czym jest: ostatnią deską ratunku dla zdesperowanego śmiertelnika niezdolnego zaakceptować konsekwencji przeżytego w pełni życia. Odnoszę wrażenie, że Oda w swym obecnym stanie mogłaby być świetną ilustracją niebezpieczeństw związanych z paraniem się tym rodzajem magii. Z pewnością moc zdolna utrzymać przy życiu kobietę pchniętą nożem w serce jest potężna i jej koszty również muszą być adekwatne. Nie mówię, że Kayle próbował zostać wampirem. To bardzo wyspecjalizowana postać fizjologicznej adaptacji i do tego na tyle spopularyzowana, że nawet najbardziej lekkomyślni zastanowią się, nim podejmą próbę jej przejścia. Nie, Kayle Ajaja po prostu pragnął wysysać moc innych za pomocą więzów krwi, kradzieży ich życia i mocy, że tak powiem. Nie praktykował też nekromancji, to bowiem znaczyłoby, że jego ofiary nie żyją. Niestety, Kayle zdołał na własną rękę odkryć, że najpotężniejszą moc można uzyskać nie od umarłych, ale od tych, którzy jeszcze żyją. Życie to magia. Mam wrażenie, że tak właśnie mawiają czarnoksiężnicy. Tam, gdzie nie ma życia, nie ma też magii.

Dlatego Kayle Ajaja postanowił karmić się innymi. Zaczął od bezbronnych osób, które jego zdaniem wyrządziły mu krzywdę, choćby nawet tak trywialną, jak popchnięcie w kolejkę do autobusu. Potem przeszedł do nieznanym na ulicach, żebraków i zbiegłych z domu dzieci. Wkrótce stworzył zorganizowany system zaspokajania swych potrzeb. Wykorzystywał własne zdolności do gromadzenia obciążających informacji o mieszkańcach Reading, żądając w zamian za milczenie niewytłumaczalnych przysług.

Z czasem jego poczynania stały się tak bezczelne, że nie sposób było dłużej ich

ukrywać. Nie wiemy, w której dokładnie chwili pochwalił się swymi możliwościami przed Odą, nasuwa się jednak przypuszczenie, że to właśnie stało za jej nagłą decyzją o ponownym opuszczeniu domu. Wiemy z całą pewnością, że szukała rady u miejscowego kapłana, który nie znał się na takich sprawach i w pierwszej chwili pomyślał, że oszalała. Na szczęście dla Ody, przekazał swe obawy nie lokalnym władzom, ale wiernym. Była wśród nich kobieta zwana Hale, mająca kontakty z Zakonem. Bardzo zainteresowała się Odą i postanowiła zbliżyć się do zdeorientowanej dziewczyny, posuwając się nawet do tego, że pozwoliła jej mieszkać u siebie przez prawie dwa miesiące.

Poczynania Kayle'a przyciągnęły też uwagę innych magów mieszkających w regionie Reading. To ciekawa okolica, jeśli chodzi o rodzaj użytkowników sztuki, jakich przyciąga. Miejscy magowie mogą działać w małych miasteczkach, ponieważ jest tam wystarczająco wiele życia przydającego mocy ich palcom, ale bliskość wsi, spora odległość od Londynu, a także fakt, że to względnie nowe miasto umożliwia bardziej tradycyjnym magom mieszkanie na jego przedmieściach, gdzie mają łatwy dostęp do starszych wiejskich postaci mocy. Jestem przekonany, że to właśnie ten drugi rodzaj magów Kayle obraził najpoważniej przez zwykłą dla siebie arogancję i typowe wygłupy. Skontaktowali się oni ze swymi miejskimi odpowiednikami, by poszukać sposobów rozwiązania tego kryzysu. Kilka niepewnych prób zbadania domu Ajajów szybko przekonało miejscowych, że powinni sprowadzić profesjonalną pomoc z Londynu. Po kilku dyskretnych zapytaniach wieści o nowych poczynaniach Kayle'a dotarły do Rajców. Nair świetnie zdawał sobie sprawę, jak bardzo niebezpieczny może być Kayle, i mimo że Reading leżało poza zasięgiem jego jurysdykcji, upoważnił ekipę Rajców do połączenia sił z miejscowymi i zakończenia sprawy w taki lub inny sposób.

Rajcy spotkali się z magami z Reading i wspólnie udali się do domu Ajajów. Kayle zaatakował ich w biały dzień, nawet nie próbując rozmawiać. Rajcy odpowiedzieli kontratakami. Z pewnością widzieliście ich w akcji i wiecie, że radzą sobie z bronią palną równie dobrze, jak z zaklęciami, a Kayle nie był w stanie oprzeć się ani jednemu, ani drugiemu. Został ranny, otrzymał postrzał w brzuch i powinien zginąć, ale zamiast paść na ziemię, uciekł, uzdrawiając się po drodze. Rajcy próbowali za nim podążyć, ale gdy wpadli do domu, znaleźli tam jego najmłodszą siostrę, Jabuile. Leżała na łóżku i krew powoli wypełniała jej brzuch. Dzięki swym praktykom, Kayle zdołał wykorzystać siły siostry do uzdrowienia swych ran i ten akt powoli ją zabijał.

Miejscowy magowie zabrali Jabuile do najbliższego szpitala, Rajcy zaś próbowali wytropić Kayle'a. On jednak zdążył już uciec, a poza miastem ich zdolności wykrywania

słabną. Jabuile zmarła w szpitalu, dwa dni później.

Oda była przy niej w chwili śmierci.

Po trzech dniach ciało Kayle'a odkryto na brzegu, trzy mile na wschód od Hastings. To było miejsce, do którego rodzina Ajajów pojechała kiedyś na wakacje. Oda miała wtedy tylko siedem lat i to były jedyne wakacje, które dzieci dzieliły z ojcem. Miał jedną kulę w mózgu i trzy w piersi. Odę znaleziono trzysta jardów dalej. Na rękach miała ślady prochu, a na ubraniu krew.

Policja ją zatrzymała, ale po dwóch dniach Oda zniknęła.

A razem z nią Hale, kobieta z kościoła w Reading. W rzeczy samej tylko dzięki niezliczonym biurokratycznym nowinkom wiemy, że w ogóle istniała.

Rajcy zapomnieli o sprawie, podobnie jak reszta magicznej społeczności w Reading i w Londynie. Po śmierci Kayle'a wszyscy stracili zainteresowanie. A Oda Ajaja zniknęła.

Och, niech wam się nie zdaje, kobietę uderzając do niej podobną widziano w wielu miejscach przy bardzo różnych okazjach. Mniej więcej siedem miesięcy po zniknięciu z aresztu pojawiła się w Petersburgu. Widziano ją, jak oddalała się od miejsca morderstwa w metrze, ale ciało ofiary zamieniło się w pył i nie sposób było przeprowadzić dochodzenia. Jestem przekonany, że w Brazylii nadal aktualny jest nakaz aresztowania kobiety nazwiskiem Carla Brown. Jej rysopis w stu procentach pokrywa się z rysopisem Ody. W Chicago jest podejrzewana o udział w wywołaniu pożaru, w którym zginęły trzy staruszki lubujące się w rysowanych kredą kręgach oraz inwokacjach. W Rzymie, Paryżu i Berlinie pociski o dużej prędkości wystrzelone z tej samej broni, której nigdy nie odnaleziono, zabiły magów albo innych użytkowników sztuki. Świadkowie milczą, gdy ich pytać, kto pociągnął za spust, ale tu i ówdzie ktoś szepcze, że to była kobieta.

Dzięki swym... specjalnym kontaktom... z niektórymi z wysoko postawionych członków Zakonu wiem na pewno, że Oda Ajaja przybyła do Londynu przed niespełna czterema laty, mając za sobą karierę, której szczegóły ukrywa się nawet przede mną. Szybko dowiodła, że potrafi bardzo biegle wykrywać oraz eliminować niepożądane wpływy magiczne w mieście, a w rezultacie spotkał ją wątpliwy zaszczyt przyłączenia się do stworzonej przeze mnie oraz przedstawicieli innych frakcji koalicji wymierzonej przeciwko Robertowi Bakkerowi oraz instytucji znanej jako Wieża. Jestem przekonany, że właśnie w tej koalicji miałeś okazję ją poznać, Matthew. Sądzę też, że rozkazano jej cię zabić, gdy tylko wykonasz swoje zadanie, eliminując Bakкера, ale ten rozkaz odwołano pod wpływem pewnych... rozsądnych rad... sugerujących, że jesteś bardziej użyteczny żywy niż martwy. Kiedy zostałeś Nocnym Burmistrzem, debata ożyła na nowo: Czy ważniejsze jest usunięcie z ulic miasta

groźby tak znaczącej, jak czarnoksiężnik/elektryczny anioł/Burmistrz, czy też lepiej będzie zachować cię przy życiu w nadziei, że można będzie manipulować tak potężną bronią? Niestety, wydarzenia nie pozwoliły Zakonowi rozstrzygnąć tej sprawy, ponieważ szybko stało się oczywiste, że jesteś jedyną pozostałą w mieście osobą posiadającą wiedzę oraz zdolności potrzebne, by powstrzymać jestestwo znane jako pan Pinner albo śmierć miast przed wykonaniem jego służbowych obowiązków.

Sukces, jaki odniosłeś w tej sprawie, z pewnością usprawiedliwił w oczach Zakonu two dalsze istnienie, jako że okazałeś się użytecznym narzędziem przeciwko podobnym poważnym groźbom. Niemniej, twoje wysiłki służące osiągnięciu owego celu skompromitowały Odę Ajaję w oczach Zakonu. Użyła magii. Jestem przekonany, że to było nieszkodliwe zaklęcie, nic więcej. Zrobiła użytek z przygotowanej przez ciebie pułapki na widma. Nie zastanawiała się nad tym, niczego nie planowała, po prostu zadziałała pod wpływem chwili. Nie wątpię też, że uratowała w ten sposób życie was obojga, podczas starcia między tobą a panem Pinnerem odniosła poważne obrażenia, a ty nie miałeś wtedy czasu, by ją ratować.

Fizyczne uszkodzenia ciała, choć dotkliwe, były niczym w porównaniu z duchowym potępieniem, jakie ściągnęła na swoją duszę. Jest członkiem Zakonu, poświęciła życie unicestwieniu magii, opierając się na teologicznym założeniu, że jest grzechem pochodzącym od samego szatana rzucania zaklęć i czynienia cudów, jakby było się półbogiem. A przecież to właśnie uczyniła owej nocy, gdy pan Pinner ścigał was oboje. Rzuciła zaklęcie. Zgodnie ze sposobem myślenia Ody, potępiło to jej duszę. Wieczność to długi okres. Wystarczy jeden grzech, by zostać skazanym na potępienie, a nie ma szans na zwolnienie warunkowe po odsiedzeniu tysiąca lat.

Zakon świetnie o tym wie.

Święta spowiedź może wcale nie być taka święta, gdy spowiednicy również są uzbrojeni po zęby. Jedna z ich ludzi, i to z tych najlepszych, kobieta, którą wychowali od jej pierwszego czynu, upadła, i to przez ciebie, Matthew. Była ranna, osłabiona i zepsuta. Potępiona. Nigdy już jej nie zaufają. Z punktu widzenia Zakonu najlepiej by było, gdyby umarła. Mogą nawet być zmuszeni ją zabić, ale jestem przekonany, że woleliby, żeby zginęła tak, jak żyła - walcząc z istotami, które poprzysięgła zniszczyć, takimi jak ona - w osobliwej nadziei, że taka śmierć przyniesie jej pokój. Pod warunkiem, że nastąpi szybko, oczywiście.

* * *

Gdy Sinclair skończył mówić, zapadła cisza.

- Cholera, cieszę się, że nigdy nie spotkałam tej psychopatycznej suki - odezwała się wreszcie Penny. Jej głos zabrzmiał stanowczo zbyt donośnie.

- Formalnie rzecz biorąc, spotkałaś - zauważyłem. - To była uzbrojona dziewczyna, której nie zauważyłaś na szczycie schodów, kiedy miałaś nocną zmianę w St Pancras. To nie jest powód do radości ani nic w tym rodzaju...

- Psychopatyczna suka miała mnie zastrzelić? Dlaczego?

- Moja droga - odparł z westchnieniem Sinclair - nie chciałbym w żaden sposób podważać pani obecnego zaangażowania ani dobrych intencji, ale w owym czasie przez pomyłkę wezwała pani śmierć miast. Z pewnością łatwo zrozumieć, dlaczego rozważano pewne... radykalne środki.

- Chce pan powiedzieć, że zamierzaliście mnie zastrzelić...

- Ale nie zrobiliśmy tego! - przerwał jej. - Skupmy się na tej części opowieści, w której się przed tym powstrzymaliśmy. Poza tym, wszystkie te informacje o Odzie są bardzo interesujące, ale w żaden sposób nie pomagają nam jej odnaleźć ani powstrzymać tego, co obecnie nosi jej ciało jak stary kapelusz.

- A czy zastanawiałaś się nad możliwością zawiadomienia o tym Neonowego Dworu?

- zasugerował Sinclair. - Jeśli się przekonają, że to nie Plemię zabiło ich daimyo, i dowiedzą się o zagrożeniu, jakie stanowi Oda...

- Kiedy Minjae San spotkał się ze swoim stwórcą, Lady Neon była już w połowie drogi do Londynu - odparłem z westchnieniem. - Cały ten interes z zabitym daimyo to tylko pretekst, mający mnie zmusić do wykonania za nią brudnej roboty w sprawie tej całej wybranej. Zresztą, co miałbym jej powiedzieć? „Hej, chcieliście, żebym znalazł zabójcę waszego daimyo? Muszę wam coś wyznać... „,

- Przecież nie ty go zabiłeś.

- Nie przypuszczam, by Lady Neon tak na to patrzyła. Zmusiła mnie do przyjazdu do Heathrow, by mi zaimponować rozmiarami swojego smoka i przypomnieć o tym cholernym traktacie. Wolałbym nie podawać jej swoich narządów wewnętrznych na talerzu.

- W takim przypadku tej wojny...

- To wojna o wybraną, czyli o nic, a w związku z tym niemal na pewno toczona z motywów tak głupich i głęboko zakorzenionych, pełnych goryczy i tępego uporu, że nikt nie zechce się do nich przyznać, nie wspominając już o powstrzymaniu jej.

- Powinniśmy zawiadomić o tym wszystkim Rajców.

- Rajcy mnie nienawidzą - burknąłem.

- Jesteś Nocnym Burmistrzem.

- Ehe. I większość Rajców nie może znieść tego faktu. Jestem człowiekiem z zewnątrz i awansowano mnie w przyspieszonym trybie. Jestem niestabilny, jesteśmy zbyt niebezpieczni... dziękuję, ale zwróciłem się do pana, panie Sinclair, właśnie dlatego, że nie jest pan Rajcą.

- A co z Leslie Dees? Ufasz jej?

Zastanawiałem się nad tym długo i intensywnie.

- Mniej niż wężowi, ale bardziej niż Rajcom - odparłem wreszcie.

- Mam wrażenie, że na swój osobliwy sposób odpowiedziałeś „tak”, Matthew. Wybacz, że ci to mówię... - w głosie Sinclaira pojawiła się nuta niecierpliwości - ...ale aktualnie raczej nie jesteś zdolny do walki. Rzecz jasna, staram się pomagać ci w takich chwilach, ale moje możliwości predestynują mnie raczej do zakulisowych działań, nie do aktywnego uczestnictwa w starciach. Z pewnością twoja dobra uczennica bardzo ci pomoże...

- Dziękuję! - warknęła Penny.

- ...a twoich talentów nie można lekceważyć, ale jestem przekonany, że w tym przypadku możesz być zmuszony poszukać sojuszników. Do kogo mógłbyś się zwrócić?

Pokręciłem głową, wzruszyłem ramionami i opuściłem głowę, kierując oczy tam, gdzie powinny być moje stopy.

- A co pan by zrobił na moim miejscu? - zapytałem.

- Poinformowałbym przynajmniej panią Dees, jeśli nie Rajców jako grupę, o wszystkim, o czym przed chwilą mi opowiedziałeś - zaczął Sinclair. Niemalże słyszałem, jak odlicza kolejne punkty na grubych czerwonych palcach. - Postarałbym się w jakiś sposób doprowadzić do zawarcia tymczasowego rozejmu między Plemieniem a Dworem. Poprosiłbym wszystkie zaangażowane strony o dokładniejsze informacje o tej „wybranej”, by sprawdzić, czy nie da się wynegocjować pokojowego rozwiązania. Robiąc to wszystko, nie zapomniałbym też o aktywnych poszukiwaniach owej osoby, by móc jej użyć w dalszych rokowaniach albo, alternatywnie, usunąć ją ze strefy konfliktu, licząc na to, że obie strony o niej zapomną. Zapytałbym uczonych ekspertów o to, jakie właściwie stworzenie opętało Odę... a także o to, jakiego rodzaju magia mogłaby... teoretycznie... spowodować niezwykle zaburzenia w ruchach słońca, o których wspominałeś. Zwróciłbym się też do Zakonu.

Otworzyłem usta, chcąc powiedzieć coś nieuprzejmego, ale Sinclair mnie uprzedził, wznawiając przemowę, nim zdążyły paść wulgarne słowa.

- Zakon - dodał gładko - z pewnością wie o Odzie więcej od ciebie. Zna jej nawyki, historię życia, jej motywy i wszystkie uczynki. To będzie użyteczne.

- Zakonowi trzeba przyznać nagrodę dla tych, którzy nienawidzą mnie najbardziej w

tym mieście, a konkurencja w górze tabeli jest bardzo ostra - burknąłem.

- Prosiłeś mnie o pomoc - zauważył Sinclair. - Jeśli chodzi o resztę moich rad... sugeruję, byś odnalazł Odę. Rozważywszy wszystko dokładnie, sugeruję też, byś ją zabił. Myślę, że to byłoby wszystko, jeśli chodzi o początkowy plan akcji.

Znowu zapadła cisza. Słyszałem furkot wentylatorów pod sufitem i czułem zapach sera.

- Mam pytanie - odezwała się wreszcie Penny.

- Słucham, moja droga?

- O jakiego rodzaju „uczonych ekspertach” pan mówi?

- Ach, to kłopotliwa kwestia. Niestety, pan Bakker wyeliminował znaczną część magicznej społeczności Londynu, przez co trudno jest uzyskać potrzebne informacje, choć oczywiście nadal istnieją alternatywne źródła.

- Chce pan powiedzieć, że pan nie wie, tak?

- Jeśli dokładnie przeanalizuje pani moje słowa - zganił ją Sinclair - zapewne dojdzie pani do wniosku, że powiedziałem, że wiem. Podejrzewam jednak, że odpowiedź nie spodoba się nikomu w tym pokoju. Niemniej, jestem przekonany, że najpierw powinniśmy porozmawiać z panią Dees. Prędzej czy później będziesz musiał komuś zaufać, Matthew.

* * *

Złapano za telefony.

Sądząc z tego, co słyszałem, Charlie, Sinclair i Penny rozmawiali z mnóstwem różnych osób.

Ktoś znalazł mi miłą wyściełaną ławę, na której mogłem się położyć.

Wsunąłem ręce pod głowę, podciągnąłem kolana do piersi i słuchałem jednym uchem, na wpół pogrążony w drzemce.

Głos Sinclaira:

- Rozumiem pani niepokój, pani Dees, ale jego słowa naprawdę brzmiały bardzo przekonująco i tak, jestem świadomy tego problemu, jednak w tym przypadku może chodzić o... tak... tak...

Głos Charliego:

- Kiedy pytam, czy „możemy” polecić komuś to sprawdzić, to znaczy, że chcę, by zrobiono to natychmiast, jasne?

Penny, łatwa do rozpoznania, niezawodna, wkurzona Penny, zawsze starająca się mówić bardzo spokojnie, kiedy rozmawiała z ciotką.

- Ehe... nie, posłuchaj, ehe... ehe, posłuchaj, jeśli chcesz... nie, wiem, że wzięłam twój samochód, ale musiałam to zrobić, bo... ehe... przywiozę trochę, kiedy będę wracała, hej, słuchasz mnie, czy nie? Może się okazać, że... warto na jakiś czas opuścić miasto. Jak to, gdzie masz pojechać? Kurwa, nie wiem. Odwiedź jakąś koleżankę albo coś. Może tę kobietę, która zawsze przysyła te pier... te bożonarodzeniowe kartki ze zdjęciami swoich bachorów i pisze, no wiesz, „nasz maluszek ma już cztery latka i zaczął się uczyć grać na flecie” i inny taki syf? Posłuchaj, po prostu tak sobie myślę, że lepiej by było na jakiś czas stąd wyjechać.

- ...to z pewnością delikatna kwestia...

- Jak to „płaczą krwią”? Jezus i Najświętsza Panienska płaczą krwią. Jasnowidze, którzy dostają czterdzieści funtów za godzinę prostej pracy, tego nie robią. Kup im chińszczyznę do odgrzania w mikrofalce albo coś!

- Wcale nie przeklinałam! Ani razu! Posłuchaj, mam, kur... to znaczy, totalnie panuję nad sytuacją, w porządku?

Ponieważ to była długa bezsenna noc, po chwili nasze myśli zaczęły się unosić na bezładnych prądach i falach snu.

Śniły się nam gasnące światła.

Kroki słyszalne w ciemności.

Liliowe oczy i palce wystające z białych jedwabnych rękawów.

Ogień trawiący nam plecy i krew na naszych ustach.

Padający bez końca deszcz.

* * *

Obudziły mnie słowa:

- Niezłe zamieszanie, panie Burmistrzu, nieprawdaż?

W szyi złapał mnie kurcz, a jedna z moich nóg nadal spała. Ktoś dotknął ręką mojego ramienia.

- Jestem pani Dees.

- Domyśliłem się tego - jęknąłem, unosząc z wielką ostrożnością każdą kończynę kolejno. Oczy były suche i swędzące, ale nie wydawały się już dwa razy za duże w stosunku do oczodołów. Kiedy usiadłem, moja głowa przez chwilę unosiła się na morzu gorącego budyniu. Zobaczyłem światełka przed oczyma. Zastanawiałem się, czy to dobry, czy zły znak.

- Cześć. Zanim pani coś powiem, chciałbym zapewnić, że wiem, że wszystko się popieprzyło. Przykro mi z tego powodu.

Usiadła z westchnieniem obok mnie. Wyobrażałem sobie, że założyła nogę na nogę i

splotła dłonie w pozie kobiety próbującej okazać cierpliwość w obliczu nieuleczalnej naiwności.

- Pan Sinclair był tak uprzejmy, że zapoznał mnie z niektórymi szczegółami. Panie Burmistrzu, dlaczego nie przyszedł pan do mnie wcześniej?

- Miałem za mało informacji.

- Mogliśmy panu pomóc...

- My czy ja?

- Zadaniem Rajców jest ochrona miasta...

- Cytuję: „Nie warto ryzykować wojny z Neonowym Dworem dla ratowania życia jednego człowieka. Takie są polityczne realia”.

- Nigdy byśmy nie zdradzili jednego z naszych ludzi...

- A my jesteśmy jednym z waszych ludzi, pani Dees? Naprawdę? Przypominam sobie, że kiedy pierwszy raz przedstawiono nas radnym, znaczna ich część głosowała za tym, żeby nas zabić. W końcu, moc Nocnego Burmistrza żyje nadal, nawet jeśli biedny skurczybyk, na którego ostatnio spadł ciężar tego tytułu, zginie.

- Rozumiem pańskie obawy - zaczęła ostrożnie - ale czy w tym przypadku nie mógł pan zaryzykować pewnej...

- Nie miałem informacji! Odkąd ostatnio się z panią widziałem, zawleczono mnie do Heathrow, widziałem smoka, pogawędziłem sobie z Lady Neon, rzuciłem zaklęcie wyszukujące i oberwałem za to, znalazłem w hotelu dwa trupy z wypalonymi oczami, ścigała mnie wędrująca ciemność, pogadałem z jasnowidzem i skopała mi tyłek ześwirowana psychopatka, której samo spojrzenie zmienia ludzki mózg w karmę dla kurczaków! A dopiero pod koniec tego wszystkiego zacząłem się choć trochę domyślać, co tu właściwie może być grane, a i to bardzo niejasno.

Usłyszałem, że pani Dees westchnęła przeciągle.

- W porządku - wyszeptała. - Niech i tak będzie. Sytuację da się jeszcze uratować. Musimy odnaleźć tę „wybraną”, kimkolwiek może być, i powstrzymać konflikt, nim dojdzie do eskalacji...

- Nie wspominając już o uporaniu się z cholerną Odą i o fakcie, że cholerne słońce nie chce wzejść! - zawyłem, unosząc ręce w geście rozpacz. - Nie zapominajmy o tym ostatnim drobiazgu.

- Domyśla się pan, jakiego rodzaju stworzenie mogłoby spowodować coś takiego? Jeżeli słońce rzeczywiście nie wschodzi...

- Bez jaj! - zawołałem.

Dees przerwała na moment, a potem podjęła, spokojnie jak zawsze:

- ...moc potrzebna do spowodowania tak... kolosalnego... wydarzenia musiałaby być niezwykle potężna. Mówimy nie tylko o wydłużeniu czasu, jeśli rzeczywiście z tym mamy do czynienia, lecz również o zaczarowaniu wszystkich mieszkańców miasta, by nikt nie zdawał sobie sprawy ze swej sytuacji, poza tylko jednym, z całym szacunkiem, nieco... udręczonym człowiekiem. Panie Burmistrzu, czy rozważał pan kiedyś... proszę bardzo się postarać nie krzyczeć na mnie, kiedy to zasugeruję... czy rozważał pan kiedyś zagrożenia dla pańskiej... równowagi umysłowej... mogące płynąć z pewnych elementów pańskiej sytuacji?

- Ma pani rację - warknąłem. - Naprawdę bardzo mocno staram się nie krzyczeć i ta równowaga naprawdę zrobiła się wyjątkowo krucha.

- Nominacja na Nocnego Burmistrza, pańska znajomość z Robertem Bakkerem, wskrzeszenie w towarzystwie innej świadomości dzielącej pańskie ciało, śmierć...

- Lepiej niech pani bardzo dobrze się zastanowi nad następnym zdaniem, pani Dees, bo jeśli padnie w nim sformułowanie „zespół stresu pourazowego”, chyba zacznę się hiperwentylować.

- I czy sam ten fakt pana nie niepokoi?

- Paragraf dwadzieścia dwa! Albo mam zespół stresu pourazowego i przyznaję się do tego, albo temu przeczę, co znaczy, że próbuję ukrywać prawdę, bo jestem tak straszliwie zestresowany! - Zauważyłem, że znowu podnoszę głos. - Pani Dees - podjąłem po chwili, tak powoli i spokojnie, jak tylko zdołałem - gdybym był jakimś innym facetem, wszystko jedno kim, gdybym nosił na dłoni piętno Nocnego Burmistrza i gdybym pani oznajmił, że słońce nie wschodzi i całe dzielnice miasta padają ofiarą zaciemnienia, czy wątpiłaby pani w moje słowa?

Pani Dees milczała tak długo, że byłem niemal skłonny podejrzewać, że wyszła. Zmusiłem się do cierpliwego siedzenia - miałem nadzieję, że obok niej - dopóki nie rozważy tej kwestii.

- Nie wątpiłabym - dobiegły w końcu z ciemności jej słowa.

- W takim razie możemy osiągnąć kompromis. Ja bardzo się postaram nie ulegać stresowi, nie spieprzyć sprawy i nie zachowywać się jak dupek, a pani będzie słuchała moich słów. Zgoda?

- Tak. Zgoda.

- Fantastycznie. Choć ta bzdura z Plemieniem i Dworem jest totalnie porąbana, bardziej mnie niepokoi wędrowne zaciemnienie, które wszędzie podąża za Odą, oraz cały ten interes z wieczną nocą. Czy moglibyśmy poradzić się kogoś w tej sprawie?

- Potrzebujemy więcej informacji - odparła pani Dees głuchym głosem, sugerującym, że jej umysł pracuje intensywnie i przebywa w znacznej odległości od wypowiedzianych słów.

- Być może coś takiego już kiedyś się wydarzyło?

- Warto by to sprawdzić. Zwłaszcza, jeśli przy okazji dowiemy się, jak to powstrzymać.

- Mogę zapytać kilka osób...

- Znakomicie.

- Ale naprawdę musimy powstrzymać konflikt między Dworem a Plemieniem, zanim nastąpi eskalacja...

- Lady Neon dała mi dwadzieścia cztery godziny na rozwiązanie tego syfu z wybraną.

- A ile tych godzin już minęło?

- Wie pani, właściwie nie jestem już pewien. Przepraszam! Upływ czasu stał się odrobinę niejasny.

- To znaczy, że wojna mogła już wybuchnąć?

- Byłem zajęty!

Nawet pani Dees nie zdołała do końca powstrzymać syku frustracji, który wyrwał się z jej ust.

- Powiem naszemu ambasadorowi przy Neonowym Dworze, żeby wystąpił z prośbą o przedłużenie pokoju, ale z Plemieniem nie utrzymujemy podobnych stosunków i nie mamy jak się z nim skontaktować.

- Pewnie, że mamy - sprzeciwiłem się. - Tyle, że to nie będzie zbyt zabawne.

- Proponuje pan...

- Żebyśmy zwrócili się do Tłustego Szczura.

- Widzi pan, panie Burmistrzu, to właśnie podobne sugestie budzą mój niepokój.

- Och, doprawdy - odparłem z wymuszoną wesołością w głosie. - Tłusty Szczur nie jest taki zły. Dociera wszędzie, a Plemię w zasadzie oddaje mu cześć.

- A jak pana zdaniem Plemię zareaguje na propozycję spotkania pochodzącą od nas? To znaczy, od pana jako Nocnego Burmistrza?

- Przypuszczam, że... radykalnie.

- Nie mogę zaakceptować tego planu, jeśli w ogóle można zaszczyścić go podobnym określeniem.

- Niech pani wymyśli coś innego, zanim odzyskam zdolność widzenia, a zobaczę, co da się zrobić - odparłem, wymacując przestrzeń wokół siebie, by znowu się położyć na leżance. - A na razie życzę szczęścia w sprawie wojny.

Pani Dees kipiała złością, ale nie powiedziała już nic więcej.

* * *

Spoczywałem na leżance w winnej piwnicy w St James's i myślałem o Plemieniu.

Do tej chwili nie poświęcałem mu zbyt wiele uwagi. W końcu nie zrobiło mi nic złego, więc po co zawracać sobie głowę? O ile wiedziałem, Plemię nie miało powodów mnie atakować - i ja jego również nie - chyba że w sprawę wdał się Neonowy Dwór. Pewnie, że nie lubiłem skurczybyków, ale to było wszystko, co mnie z nimi łączyło.

Plemię.

Zgraja uwielbiających samookaleczanie się koniotrzepów tocząca wojnę ze zgrają zwykłych koniotrzepów.

Kiedyś, dawno temu, istniały setki małych plemion, złożonych z najrozmaitszych miejskich wyrzutków. W czasach, gdy za przekonania można było spłonąć na stosie, plemiona składały się z dysydentów, czarownic, przestępców i heretyków. Zakładały legowiska w koloniach trędowatych i przyjmowały w swe szeregi nosicielei dżumy, którzy mieli skórę wciąż czarną od choroby, ale ich ciała nie chciały umrzeć z tego powodu. Gdy czasy się zmieniły, plemiona podążyły za nimi. Ich szeregi wypełnili nekromanci i użytkownicy zakazanych sztuk, ci, którzy nie chcieli się ukrywać za fasadą pozorów i udawać przed resztą świata, że są kimś, kim w rzeczywistości nie byli, lecz raczej popisywali się swą pogardą dla tak zwanej świętości człowieczeństwa, a nocą w odludnych miejscach oddawali się czarnej magii.

Potem czasy zmieniły się znowu i wkrótce po roku 1960 plemiona zaczęły się dzielić na ściślej zdefiniowane grupy, z których następnie zrodziły się klany, takie jak Biali, motocykliści, głębinowcy, czarownicy, magowie do wynajęcia oraz wytatuowani ludzie znajdujący magię we własnej skórze. To, co zostało, składało się z osób, których nikt właściwie nie chciał. Dlatego resztki plemion połączyły się w Plemię, zbiorowość, która nie potrzebowała innej nazwy, azyl dla tych, którzy nie chcieli mieć nic wspólnego z normami i nakazami społeczeństwa. Dla tych, którzy pragnęli być samotni.

Mniej uprzejmi spośród miejskich magów zwali ich orkami, półdzikimi bestiami, dla których nie ma miejsca w cywilizowanym społeczeństwie. Tymi, którzy są gotowi jeść ludzkie mięso, znajdować honor w brzydocie i dumę w bólu. Socjologowie, którzy mieli szczęście i pożyli wystarczająco długo, by móc studiować Plemię, zapewniali, że to określenie wprowadza w błąd. Członkowie Plemienia byli ludźmi, przynajmniej jeśli chodzi o podstawy fizjologii, ale dzięki ranom, bólowi, bliznom i okaleczeniom, które sami sobie

zadawali, zapanowali nad potężną i gwałtowną magią, wymykającą się ich bardziej ludzkim odpowiednikom. Nie dla nich były głównonurtowe zaklęcia i czary, czerpiące moc z otaczającego świata. Woleli magię wywodzącą się wyłącznie z nich samych, potężną wojowniczą miksturę bólu, krwi i wściekłości, mającą za nic prawa innych ludzi, a nawet ich samych, we wszelkich możliwych postaciach.

Pytanie, jak to się stało, że Plemię i Dwór znalazły się na krawędzi nieustannej wojny, interesowało mnie tylko w niewielkim stopniu. Ciekawszy wydawał się problem, w jaki sposób zdołało ono uniknąć otwartego konfliktu z całą resztą świata. Miało swoje prawa, swój honor i swoich bogów. Podczas gdy Neonowy Dwór otaczał Lady Neon niemal boską czcią, Plemię składało dyskretne hołdy bogom podziemia, Tłustemu Szczurowi i Jednorękiemu Aniołowi, opiekującemu się bezimiennymi grobami na publicznych cmentarzach.

* * *

Poczułem zapach kawy.

- Penny, jeśli to ty i jeśli robisz mi kawę, pocałuję cię.

- Nawet, kurwa, na to nie licz - odparła. Jej dłoń odnalazła moją dłoń i poczułem między palcami gorący kubek. - Skąd wiesz, może mam faceta?

- A masz?

- Nie, ale to mój wybór. Jestem zbyt zajęta, żeby marnować czas na jakiegoś chłoptasia.

Upiłem łyk kawy. Była mocna, gęsta, ale także nieco ziarnista. Dyskretnie powstrzymałem się od komentarzy.

- Widzę, że nie brakuje ludzi, którzy w pewnej chwili powiedzieli sobie „zabijmy Penny” - odezwała się wreszcie.

- Ehe, pewnie masz rację. Ale to się skończyło, odkąd cię poznali i przekonali się, jaka jesteś czarująca.

- Paskudnie zatrułam ci życie, prawda?

- Hej, uratowałaś mnie!

- Chciałam powiedzieć... no wiesz... kiedy nie byłam jeszcze porządnie wyszkolona i spadł ci na głowę ten cały syf ze śmiercią miast. To było paskudne, prawda?

- Prawda.

Znowu zapadła cisza.

- Hmm... czy ty też chciałaś mnie... no wiesz, załatwić?

- Nie - skłamałem tonem niewzruszonym jak ceglany mur.

- Zawsze powtarzałeś: „Hej, spróbujmy złamać to zaklęcie, nie zabijając tej, która je rzuciła”, zgadza się?

- Ehe.

- Ale jesteś gotowy zabić tę psychopatyczną sukę? Odę?

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Dlaczego?

- Mam wobec niej parę długów. Nienawidzę jej i ona mnie również, to wchodzi w zakres naszych obowiązków, ale kilka razy pomagaliśmy sobie nawzajem.

- Pytałam o to, dlaczego nie przyłączyłeś się do towarzystwa pod nazwą „zabijmy Penny”, kiedy członkostwo było tanie?

Zastanowiłem się nad tym.

- Chyba czuję sympatię dla tych, którzy spieprzyli sprawę - wyznałem po chwili. - No wiesz, mnóstwo ludzi dochodziło do wniosku, że na wszelki wypadek warto by było mnie zabić, choć nawet nie spróbowali ze mną porozmawiać, więc doszedłem do wniosku, że nie chcę wstępować do tego klubu.

Raz jeszcze zapadła cisza.

- Jak twoje oczy? - zapytała po chwili Penny.

- Trochę lepiej. A ty jak się czujesz?

- Nieźle. No wiesz... - Odetchnęła głęboko, z ulgą. - Całkiem nieźle.

- Hej, wiesz, że wszystko będzie dobrze, prawda? W końcu, na każdą wędrującą ciemność przypada coś świetlistego, co stoi sobie po drugiej stronie ulicy, jedząc kebab.

- I to właśnie ty jesteś tym czymś?

- Słucham?

- Ty jesteś tym świetlistym czymś jedzącym kebab?

- Myślałem o tym raczej w teologicznych kategoriach... no, w każdym razie filozoficznych. Rzecz w tym, że jeśli wystarczająco wielu ludzi będzie pragnęło, żeby słońce wzeszło, to zapewne tak się stanie.

Penny zaszurała nerwowo nogami.

- Wierzysz w Boga? - zapytała.

- Nie. Dlaczego pytasz? A ty wierzysz?

- Tak jakby. No wiesz... w dzieciństwie chodziłam do kościoła, ale to nie było dla mnie. Tylko, że teraz... magia i cały ten syf... myślę sobie, że... są pytania, na które nigdy nie usłyszę zadowolających odpowiedzi, i rzeczy, których... no wiesz... nigdy nie zdołamy

zrozumieć... i może jest też coś, co musimy... po prostu zaakceptować, i może to nie... facet z brodą... ale zawsze... Bóg. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Jeśli się ze mnie śmiejesz...

- Nie śmieję się. Daję słowo.

- Nigdy się nie zastanawiasz, o co w tym wszystkim chodzi?

- Nie wychodzi mi to za dobrze.

- A więc nie ma Boga, tak? - zapytała skwaszonym tonem.

- Trudno jest nam sobie wyobrazić... świadomość o nieskończonej mocy, intelekcie i możliwościach, a jednocześnie zdolną interesować się losem innych - odparliśmy. - Niełatwo nam zaakceptować myśl, że istnieje coś nieznanego, co stoi nad nami i może nas osądzać, a jednocześnie nie przyznaje nam takiego samego prawa. Taka sytuacja wydaje się nam kwintesencją niesprawiedliwości. Nie ma nic wspólnego z odkupieniem.

- A więc jednak trochę o tym myślałeś - zauważyła Penny. - To fajnie.

Poczułem, że para buchająca z kubka łączy wewnątrz mojego nosa.

- Penny, słyszałem, jak rozmawiałaś z ciotką - zacząłem. - O tym, że powinna na chwilę wyjechać. To może być... rzeczywiście niezły pomysł... żeby na jakiś czas opuścić miasto. Jestem ci wdzięczny za to, że mnie uratowałaś i tak dalej, i wiem, że potrafisz o siebie zadbać, ale... nie ma powodu, żebyś skończyła w takim samym stanie, jak ja.

- Hej, tak sobie myślałam, że możesz powiedzieć coś takiego, wiesz?

- Naprawdę?

- Ehe. Dlatego mam przygotowaną odpowiedź.

- Czy ona czasem nie brzmi „pierdol się”? - zapytałem słabo.

- Hej, wcale nie jesteś taki głupi.

- Penny... - zacząłem.

- Hej! Zdajesz sobie sprawę, że przegrasz tę dyskusję, więc wdajesz się w nią tylko po to, żeby móc sobie potem pogratulować. Wiesz co? Wsadź sobie! Zostanę, jasne?

Skapitulowałem, co było do przewidzenia od samego początku.

- Jasne.

- Swoją drogą, zawsze możesz liczyć na moje totalnie rewelacyjne usługi w ratowaniu twojej skopanej dupy.

- Dziękuję... Chociaż - dodałem, nim zdążyła mi przerwać - jest jeden bardzo dobry powód, dla którego warto rozważyć opuszczenie miasta.

- A jaki? - zapytała ociekającym cynizmem głosem.

- Żeby sprawdzić, jak daleko sięga ta wieczna noc. Nie chcę się wdawać w metamagiczne dywagacje, ale chodzi o to, czy ciemności zapadły na całym świecie, czy tylko w naszym mieście? Czy istnieje jakaś granica, za którą czas wraca do swego normalnego staromodnego biegu, a jeśli tak, to w którym miejscu? A może jesteśmy odcięci od świata, nikt nie może się dostać do miasta ani go opuścić? Tutaj trwa niekończąca się noc, cały wszechświat obraca się spokojnie wokół nas, a o Londynie, jako o pojęciu i o rzeczywistym miejscu, zapomniano? Odpowiedź na to pytanie mogłaby nam wyjaśnić, czy mamy do czynienia z lokalną katastrofą, czy też z poważnym Armagedonem.

- Mówisz jak facet, który coś podejrzewa - zauważyła Penny. - Co sądzisz na ten temat?

- To nie moja specjalność. Nigdy nie widziałem nic w tym rodzaju. Mam nadzieję, że to tylko lokalny szew w tkaninie wszechświata, magiczny pęcherz, i że nie okaże się, że cały znany nam świat wypłynął cyckami do góry.

- Zdajesz sobie sprawę, że to by znaczyło, że to wyłącznie twój problem, prawda? Jeśli cały Londyn został uwięziony w ciemnościach, a ty jesteś jego obrońcą...

- Ehe. Już o tym pomyślałem.

- I nie masz nic przeciwko temu?

- Tak czy inaczej, zwałą to na mnie.

- Wiesz co? - dodała z nutą zamyślenia w głosie. - Chociaż jesteś Nocnym Burmistrzem, nigdy nie widziałam, żebyś uczynił coś... hmm... tak totalnie rewelacyjnego, że można by narobić w portki z wrażenia.

- Szkoda, że nie widziałaś mojego ulubionego smoka - odparłem z pewną nieśmiałością.

- Mówisz poważnie?

- Jasne.

- W takim razie... dlaczego po prostu nie przywołałeś tego smoka, kiedy Oda robiła z ciebie kawałek papieru toaletowego?

- To skomplikowane.

- Zawsze tak mówisz, kiedy nie potrafisz udzielić mi sensownej odpowiedzi - poskarżyła się. - Kurwa, co z ciebie za mistyczny obrońca? Hej... chyba nie chcesz powiedzieć, że ją... hmm... lubisz, co?

- Nie - zapewniłem z westchnieniem. - Nie lubię jej. Właściwie nie ma czego lubić...

- Ale? - zapytała Penny szybko, jak kot atakujący motek.

- Ale... prosiła mnie o pomoc. Prosiła mnie, ja się zgodziłem, a potem zapytała

„zabijesz mnie?”, a ja nie chciałem tego zrobić i teraz w jej oczach jest coś dziwnego, a w sercu ma dziurę i... i to moja wina, że rzuciła to głupie cholerne zaklęcie. Miała w sobie tę psychopatyczną nienawiść do magii, a potem rzuciła zaklęcie i... tak czy inaczej, to ja jestem winny. Nie zamierzam płakać nocami z tego powodu, ale fakt pozostaje faktem. To się wydarzyło. Pech. - Usłyszałem zbliżające się kroki i trąciłem łokciem siedzącą obok Penny. - Kto idzie?

- Pani Dees - odparła Penny, nie racząc ściszyć głosu. - Cześć - dodała, nie zwracając się do mnie.

- Panie Burmistrzu - zaczęła pani Dees, nie przejmując się dobrymi manierami - musimy jechać.

- Dokąd?

- Do British Library.

- A po co? - zapytałem. Penny wyjęła mi kubek z rąk i pomogła wstać. - Co tam znajdziemy?

- Opinie ekspertów.

- Naprawdę? - zdziwiła się Penny. - Na temat magii i takiego syfu?

- British Library jest skarbnicą wiedzy i kultury - obruszyła się pani Dees.

- To prawda... ale...

- Czasami trzeba wcześniej uzgodnić termin - przyznała Rajczyni. - Samochód czeka.

* * *

W pojeździe pachniało skórą. Usiedliśmy z Penny z tyłu, a pani Dees zajęła miejsce z przodu. Usłyszałem głos Sinclaira, stłumiony przez szybę, ale nie zrozumiałem słów. Grubas nie raczył się ze mną pożegnać.

- Do British Library - poleciła pani Dees milczącemu stworzeniu siedzącemu za kierownicą. - Pod wejście towarowe.

- Kierowca ma kapelusz - wyszeptała Penny, pochylając się ku mnie.

- Postaraj się tym zbytnio nie przejmować - poradziłem, ciągnąc znieczulonymi palcami za pas bezpieczeństwa. - Jak wygląda dzień?

- Nadal jest noc - przyznała Penny. W jej głosie pojawiła się nuta niepokoju. - Ale to nic nie szkodzi... no wiesz, noc może potrwać jeszcze długo, i to wcale nie musi znaczyć, że miałeś rację, prawda?

- Prawda. Tylko nie zapomnij mi powiedzieć, kiedy zmieni się w nieprawdę. Jak długo już noszę te cholerne bandaż?

- Kilka godzin.

- A ile czasu zostało do zdjęcia ich?

- Kilka godzin.

- Dziękuję. - Westchnąłem. - Czy doktor Seah nie dała nam ulotki czy czegoś w tym rodzaju?

- Dała, ale ja nigdy nie czytam takiego syfu. Chrzanią tylko o skutkach ubocznych i tak dalej.

- Myślę - zacząłem ostrożnie - że nieźle by było...

Zadzwoiła komórka. Sięgnąłem odruchowo do kieszeni, ale to nie była moja. Usłyszałem trzask plastikowej pokrywki, a potem głos pani Dees.

- Dees - warknęła głosem zajętego doradcy finansowego, któremu przerwano spotkanie. - Tak? Kiedy? Ilu? Rozumiem.

Mówiła przez niespełną minutę, a jej głos z każdym słowem nabierał mroczniejszej barwy. Kiedy skończyła, usłyszałem trzask zamykanego telefonu. Potem zaskrzypiała skóra, gdy pani Dees przesuwała się na fotelu.

- Neonowy Dwór zawiadomił naszego ambasadora, że grupa wojowników Plemienia przed chwilą zaatakowała jeden z ich klubów w Brixton, raniąc siedem osób, w tym piątkę cywilów, i uszkodzając budynek.

- Mają dowody? - jęknąłem, opierając głowę o siedzenie.

- Nie sądzę, by ryzykowali wysunięcie tak jętrzącego oskarżenia, nie mając dowodów, choćby nawet sfingowanych. Żądają od Rajców i Nocnego Burmistrza natychmiastowej odpowiedzi w sprawie naszej reakcji oraz traktatu.

- Rewelacja. Mam nadzieję, że nie wiedzą, że chwilowo nic nie widzę?

- Nie przekazałam im tej informacji.

- Świetnie. Zawsze to coś. Czy możemy jeszcze trochę zyskać na czasie?

- Być może kilka godzin, ale na tym będzie koniec. Jeśli się nie opowiemy...

- Zrobi się nieprzyjemnie? - zapytałem. - No to trudno. Niech pani spróbuje zdobyć dla nas choć kilka godzin. Zobaczmy, czy da się coś zdziałać w sprawie Ody, nim będziemy musieli ruszyć na wojnę z dwiema największymi bandami koniotrzepów w mieście.

Usłyszałem cichy dźwięk naciskanych klawiszy komórki.

- Hej, to znowu ja - odezwała się pani Dees. - Tak. Tak, tego dokładnie od ciebie chcę. Powiedz im, że jest zajęty! Powiedz im, że są tylko małymi ludzikami w wielkim mieście, bądź tak nieuprzejma, jak tylko zechcesz, bo nadal chcą, żebyśmy opowiedzieli się po ich stronie, wyjaśnij im, że nic nas to nie obchodzi... tak, wiem, ale nie musimy im o tym

przypominać... załatw to! Nie, w tej chwili nie mogę. Nie zrobię tego. Nie próbuj. Dziękuję. Tak, dziękuję.

Przerwała połączenie.

- Kilka godzin - oznajmiła. - Nie mogła uzyskać nic więcej.

- Dlaczego Plemię to zrobiło? - zapytała nagle Penny. - To znaczy, jeśli to rzeczywiście byli oni? Musieli wiedzieć, że to oznacza wojnę.

- Być może wcale się tym nie przejmują - odparła zimno pani Dees. - Plemię raczej nie słynie z potężnego intelektu.

- To prawda, ale od lat mają pokój z Dworem. Skąd nagle wziął się ten syf?

- Przez wybraną - mruknąłem. - Nie udało mi się wycisnąć z O'Rourke'a jasnych odpowiedzi, ale przyznał, że poinformował Dwór o istnieniu wybranej. Chyba możemy w związku z tym przyjąć założenie, że ta informacja dotarła również do Plemienia. Jeśli obie strony w nią uwierzyły... O cholera. Jeśli obie strony wierzą w istnienie wybranej i są przekonane, że wpadła w ręce przeciwnika, nic ich nie powstrzyma przed pieprzoną opcją nuklearną. W tym właśnie rzecz, prawda? Wybrana może zniszczyć jedną ze stron, więc lepiej zginąć w walce niż biernie czekać na zagładę. Lepiej rzucić się wrogom do gardła, nie przejmując się konsekwencjami. Gdybym miał tu teraz tego cholernego O'Rourke'a...

- Możemy go sprowadzić - zasugerowała niepewnie pani Dees. - Jeśli Ody już tam nie ma.

- Może i warto by było to zrobić.

- Zadzwoń do paru osób - odparła i znowu zajęła się komórką.

* * *

British Library przypominała wielką przenośną toaletę z czerwonej cegły, wzniesioną przy Euston Road nieopodal dworca St Pancras. Horyzontu nigdy nie szpeciło bardziej kanciaste, bryłowate i niesympatyczne dzieło architektury. Tak przynajmniej zapamiętałem ten budynek. Podjęto kilka prób maskowania: cegły - choć czystsze i nowsze - mają ten sam kolor co te, z których zbudowano sąsiadujący z biblioteką gotycki pałac służący jako dworzec kolejowy, a przynajmniej wewnątrz budynku British Library udało się zachować zaskakująco przestronną i widną atmosferę, jak na gmach, w którym przechowuje się tyle książek, że do ich wyprodukowania trzeba chyba było wyrąbać całą puszcę amazońską. Gdy go stawiano, zakupiono dwa tysiące mil pól, które oczywiście natychmiast zardzewiały, ponieważ zgodnie z tradycją brytyjskiego budownictwa nie wzniesiono na czas dachu. Żywi się jednak nadzieję, że podobne nieprzyjemne doświadczenia należą już do przeszłości, ponieważ

obecnie biblioteką kieruje sprawny system komputerowy, mają tam krypty, podziemne piętra, formularze i czytelnie. Liczy się na to, że biblioteka przetrwa aż do końca cywilizacji, służąc wszystkim jako krynica wiedzy.

Kiedy podjechaliśmy pod tylne wejście, padał deszcz. Droga z samochodu do drzwi była jednak tak krótka, że zdążyłem tylko odnotować ten fakt, a nie porządnie zmoknąć. Gładki beton pod stopami i zapach benzyny szybko zastąpiły płytki podłogowe i chłodna woń klimatyzacji.

- Czy mogą państwo zostawić tu bagaże? - usłyszałem czyjś głos. Poczulem dłoń opadającą na torbę, którą miałem na ramieniu. - Do czytelni nie wolno wносить żywności ani napojów - ciągnął mężczyzna, mówiąc z hinduskim akcentem. - Tylko ołówek do sporządzania notatek, choć mamy gniazdko do podłączania laptopów. Proszę się też powstrzymać przed rzucaniem zaklęć, które mogłyby uszkodzić dokumenty.

- Jezu - usłyszałem cichy szept. - Rzeczywiście macie tu cholerny dział magii?

- W rzeczy samej - padła gładka odpowiedź. - Ale trzeba się umówić i obawiam się, że najważniejsze archiwa przechowujemy w Basingstoke.

- Dlaczego akurat tam? - zdziwiła się Penny. - No wie pan, wszystkie kutafony ciągle pytają: „Co właściwie może być w Basingstoke?”. Teraz już wiem! Przestrzeń magazynowa!

Poprowadzono nas w dół po coraz bardziej stromej rampie. Z każdą chwilą robiło się chłodniej. Wreszcie dotarliśmy do drzwi, które otworzyły się z przeciągłym sykiem. Dalej były szerokie schody wyłożone płytkami oraz poręcz, po dotknięciu której poczułem lekki elektryczny wstrząs. Zrobiło się jeszcze zimniej i ramiona pokryła mi gęsia skórka. Wreszcie się zatrzymaliśmy.

- Archiwistka spodziewa się państwa wizyty, ale byłbym wdzięczny, gdybyście pamiętali o pewnych zasadach dobrego wychowania - odezwał się nasz przewodnik. - To dość niekonwencjonalne, nawet jak na ten dział.

- Będziemy grzeczni - obiecała Penny.

- Znakomicie to rozumiemy - zapewniła pani Dees. - Chciałabym też dodać w imieniu Rajców, że wznovimy coroczne datki dla waszej instytucji.

Drzwi się otworzyły. Weszliśmy do środka. Drzwi się zamknęły.

Pomieszczenie wypełniał zapach papieru, sucha ciepła intensywna woń milionów milionów gatunków mikroskopijnych owadów i roztoczy mnożących się między kruchymi warstwami pokrytego atramentem papieru i skóry. W tle słyszałem nieustanny cichy syk, przypominający stukot kół odległego pociągu. Penny wciągnęła nagle powietrze, zbyt gwałtownie, by to ukryć.

- Gdzie jesteśmy? - wyszeptała.

- Hmm... to... to będzie... hmm...

- Czy to wy umówiliście się na wizytę o północy? - dobiegł mnie z mroku głos pobrzmiwający autorytetem i perfekcyjnie wypowiedzianymi samogłoskami.

Penny nieco zbyt mocno uściśnęła moje ramię.

- Matthew - wyszeptała. - Znowu się boję.

- Tak, to my - potwierdziła ze spokojem pani Dees. - Bardzo dziękujemy, że zgodziła się pani nas przyjąć.

- Wie pani, że to bardzo niekonwencjonalne - przerwał jej ze złością kobiecy głos, zapewne należący do archiwistki. - Miałam wysłuchać wykładu o morskiej polityce Sułtanatu Otomańskiego w czasach między Lepanto a Zsitvatörök, a wszystko to zaburzyło mój harmonogram i zawiadomienie przyszło stanowczo za późno, bym mogła komuś oddać bilet. Powiedzieli mi, że to ważne, ale...

- To naprawdę bardzo ważne - zapewniła pani Dees. - I oczywiście chcieliśmy zwrócić się o pomoc do eksperta...

- No cóż, jeśli chodziło wam o eksperta - odparła nieco udobruchana archiwistka. - Przez telefon powiedziano mi coś o ciemnościach i zagładzie.

- Tak. Dokładnie tak.

- Niedokładnie nie! - zawołała archiwistka. - Jak pani myśli, ile trafień się dostanie, jeśli wpisze się do bibliotecznej wyszukiwarki „ciemność” i „zagłada”, nawet tylko w tym dziale?

- Hmm, ile?

- Dwadzieścia jeden tysięcy trzysta czterdzieści trzy! Nawet jeśli dodać do „ciemności” i „zagłady” „potępienie”, nadal otrzyma się ponad piętnaście tysięcy trafień. Potrzebna jest precyzja, rozumie pani? Trzeba wiedzieć, czego się szuka, nawet jeśli nie wiadomo, co to jest. To klucz do sukcesu w karierze naukowej!

- Jeśli można... - zaczęła pani Dees. - Skoro już tu jesteśmy, czy moglibyśmy udoskonalić nasze zapytanie?

- Zróbcie to!

- Zatem... szukamy wszelkich informacji, które mogłyby nam pomóc połączyć ze sobą następujące elementy: wybrana, przypadek opętania objawiający się krwawieniem z oczu, po którym następują ślepotę i śmierć mózgu, a także światła gasnące w różnych częściach miasta oraz fakt, że słońce nie wschodzi.

- Nawet nie będę sobie zawracała głowy tą „wybraną” - odparła z niesmakiem

archiwistka. - Dostarczcie mi odpowiednie odniesienia i może uda się coś wyszukać. W przeciwnym razie tylko obciążymy system. Co tam jeszcze było? O niewschodzącym słońcu pewnie dam radę coś znaleźć, a jeśli chodzi o opętanie... bardzo trudno jest ograniczyć wyszukiwanie bez dodatkowych szczegółów. Czy zechce pani pójść ze mną, pani...?

- Dees. Leslie Dees.

- A pani przyjaciele...?

- To jest pani Ngwenya, uczennica czarnoksiężnika, i jej nauczyciel, pan Swift, czarnoksiężnik.

- Cześć - odezwała się Penny słabym głosem.

- Cześć - dodałem bez przekonania.

- Tak, tak, tak - odparła z westchnieniem archiwistka. - Pani Dees...?

- Ściskasz mi rękę - wyszczałem do Penny.

- Przepraszam.

Rozluźniła nieco uścisk.

- A teraz powiedz mi, co tu, do cholery, jest grane - wyszeptalem.

- Hmm... no więc, jesteśmy w bibliotece...

- Tego się domyśliłem.

- Ehe, ale to kurewsko wielka biblioteka. Są tu szklane ściany, tak, a za nimi pełno książek na półkach, tak, ale są też windy, poruszające się wewnątrz szkła. Wyglądają jak te, które transportują dania w starych filmach, tyle że przewożą książki i są ich setki. Naprawdę setki. Jeżdżą przez cały czas, wożąc książki, pliki papieru, aktówki, pudełka i inne takie rzeczy. Krążą wokół nas, w górę i w dół. Nie widzę, skąd przybywają ani dokąd jada, ale nie wydaje się, żeby miały się kiedykolwiek zatrzymać. A pośrodku sali stoi biurko ze starym pecetem i jest też ta archiwistka, która wygląda totalnie dziwnie.

- Co to znaczy „totalnie dziwnie”.

- Hmm... ma proste siwe włosy związane w kok i oczy wielkości piłek tenisowych...

- Mówisz metaforycznie?

- A gdzie tam. Ogromne szare oczy w starej poszarzałej twarzy. Ma wielkie okrągłe okulary do czytania, wyglądające jak coś, co mogłaby zaprojektować NASA, kremową koszulę z koronkami na rękawach i kołnierzu, praktyczne zielone buty, nogi jak patyki i po sześć palców u obu dłoni. Ale te palce nie są szare, tylko czarne. Jak poplamione atramentem, rozumiesz? I ma wydatne żyły na szyi, bo jest stara, i widać krążącą w nich krew, i ona też jest... czarna. Jakby miała atrament zamiast krwi albo coś. Chyba nie polubiła nas za bardzo.

- Nonsens! - odparłem z fałszywym optymizmem. - Mamy urok osobisty!

- Ty nie masz - zauważyła skwaszonym tonem. - Masz brudne zakrwawione ubranie.

- Czy można tu gdzieś usiąść?

- Hmm... nie.

- A czy jest coś do picia?

- Nie.

- Do jedzenia?

- Również nie.

Skrzywiłem się.

- Dobra. Jak myślisz, czy jeśli położę się na podłodze i zdrzemnę minutkę, moja szacowność i godność bardzo od tego ucierpią?

- Twoje co?

- Moja szacowność i...

- Słyszałam, co powiedziałeś - burknęła Penny.

- Ładna z ciebie uczennica - mruknąłem i położyłem się na podłodze.

Czułem jej chłód pod palcami i przez ubranie, ale w kości wniknęło mi znużenie, a na ciele miałem mnóstwo siniaków i oparzeń, więc zimno sprawiało mi ulgę. Obróciłem się na plecy, splotłem ręce na brzuchu i obróciłem głowę ku sufitowi, kontemplując ciemność.

- Ja tu sobie postoję, dobra? - dobiegł mnie po chwili z góry głos Penny.

- Mogłabyś wykorzystać tę okazję, by zadumać się nad wielkim bogactwem mistycznej wiedzy zgromadzonym wokół ciebie.

- A nie mógłbyś zadumać się za mnie?

- Ja nie muszę. Jestem wykwalifikowanym czarnoksiężnikiem, a ty tylko uczennicą.

- Boże, nie mogę się doczekać ukończenia nauk - jęknęła. - Swoją drogą, czy czas ich trwania jest jakoś określony?

- Na ogół w końcu nadchodzi chwila, gdy staje się cholernie oczywiste, że nie mogę ci już przekazać nic wartościowego. Piękna szlachetna tradycja nakazuje, by uczennica kupiła wtedy nauczycielowi chińszczyznę na wynos i butelkę szampana.

- Wymyśliłeś to sobie.

- Tradycje muszą mieć jakiś początek. Nie pozwól, by twoja wyobraźnia ograniczyła się do chińszczyzny na wynos...

- Nie będę już więcej słuchać twojego gadania.

- No cóż, to pewnie też jest element nauki...

Obok mnie coś się poruszyło. Minęła chwila, nim sobie uświadomiłem, że to Penny się położyła. Przez pewien czas milczała.

- Szkoda, że nie widzisz sufitu - odezwała się wreszcie.
- Warto go zobaczyć?
- Och, z pewnością. Namalowano na nim tysiące słów.
- I co one mówią?
- Nic. To znaczy wszystko... ale nic, co miałoby sens, jeśli spróbować złożyć to w kupę.

- To mi podejrzenie przypomina sztukę - zauważyłem.
- To nie sztuka. To jest żywe.
- Słucham?
- Słowa żyją. To niebo zrobione ze słów, wielkich, jasnych, świecących i żywych.
- Mówisz metaforycznie?
- Hmm. Magia i cały ten syf, tak?

Odetchnąłem i choć raz nie było to westchnienie.

- Ehe - mruknąłem. - Magia i cały ten syf.

Leżeliśmy nieruchomo przez bardzo długi czas.

Czułem piasek pod powiekami, powoli wypełniało mnie ciepło snu. Ile czasu minęło, odkąd ostatnio miałem okazję porządnie się przespać? To było po pożarze wieżowca, a i wtedy nie spałem za dobrze, leżąc na podłodze u stóp łóżka Ody. Zapytała „zabijesz mnie?” i „pomożesz mi?”, a my ze słusznych powodów wybraliśmy błędną opcję. Po raz kolejny.

Na pewno zapadałem już w sen, bo, gdy Penny dźgnęła mnie palcem w bok, poderwałem się nagle, jak uządlony przez pszczołę.

- Uwaga - syknęła. - Wracają.

Nie chciało mi się ruszać. Zaczekałem, aż kroki dwóch par nóg, zapewne należących do archiwistki i pani Dees, zbliżą się, a potem ucichną.

- Cześć - odezwał się wtedy. - Dowiedziała się pani czegoś optymistycznego?

Zapadła długa, pełna zażenowania cisza.

- Jest pan absolutnie pewien, że słońce nie wschodzi? - zapytała po chwili Rajczyni.
- Ehe.

Kobieta znowu umilkła na dłuższą chwilę.

- To się panu nie spodoba - oznajmiła wreszcie.
- Jasne, bo spodziewałem się dobrych wieści.
- Jest pewien fragment w proroczych dziełach Alfreda Khana.
- Słucham.

- Brzmi następująco... - Usłyszałem szelest papieru. Pani Dees odchrząknęła z

zażenowaniem i zaczęła czytać z błędnym akcentem i intonacją: - „Mówię ci kolego to będzie wielki syf wiesz o co mi chodzi facet to będzie tak że słońce totalnie nie wzejdzie no bo tak kurwa właśnie się stanie cholera to mocne sprawy i tak jest słońce nie wzejdzie bo po ziemi chodzi krwawiąca z oczu dziewczyna ale hej! Facet! Nie ma co się bać bo to bo już się przedtem wydarzyło kapujesz co ci mówię i to zdarzy się znowu i musisz zapytać prochu. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz koleś. Oddychaj głęboko jeśli chcesz znowu zobaczyć jak to niebo zapłonie. Cholera, muszę łyknąć paracetamol”.

Rozległ się szelest składanej kartki. Potem zapadła cisza.

- To ma być proroctwo? - zapytała Penny.

- Alfred Khan był jednym z najzdolniejszych jasnovidzów naszych czasów - wyjaśniła pani Dees.

- I najbardziej naćpanych - dodałem, unosząc bezwładną rękę w nauczycielskim geście. - Nie zapominajmy o tym. No cóż, nie wiem jak reszta, ale ja czuję się dogłębnie poinformowany.

- Jest jeszcze coś więcej... - zaczęła niepewnie pani Dees. - Notatka do proroctw Khana.

- Zamieniam się w słuch.

- Mówi: „Patrz Bakker, R. 89183, półka b18; a także Zaciemnienie, 21631”.

- To znaczy?

- To odniesienie do dwóch różnych źródeł - odparła archiwistka ostrym wysokim głosem. - Pierwsze znajduje się w... specjalnym archiwum... a drugie to dokument, który już zamówiłam z położonego niżej magazynu. Powinien wkrótce do nas dotrzeć.

- Co to za „specjalne archiwum”? - zapytałem ociekającym podejrzliwością głosem.

- Panie Burmistrzu, naprawdę uważa pan, że taką rozmowę najlepiej prowadzi się, leżąc na podłodze? - zapytała pani Dees.

- Ehe. W tej pozycji jest mi najwygodniej, w związku z czym najłatwiej mi się w niej myśli i dlatego nie zamierzam jej zmieniać - odpowiedziałem z nieustępliwą wesołością pijaka na stypie. - Co to za specjalne archiwum?

- British Library niedawno otrzymała wsparcie od sponsorów, które umożliwiło nam otwarcie archiwum... pozamedialnych zapisów...

- To znaczy?

- To znaczy... - Rozległo się pukanie do drzwi. - Ciąg dalszy nastąpi! - zawołała pani Dees, nie potrafiąc ukryć ulgi.

Usiadłem z niezadowoleniem, złapałem Penny za ramię i wstałem, wspierając się na

nim.

- Dlaczego nikt mi nie mówi, co się dzieje? - warknąłem, mącąc ciszę, która nagle zapadła. - Słucham!

- Chwileczkę, panie Burmistrzu, tylko chwileczkę - dobiegł od drzwi nerwowy głos pani Dees. Słyszałem ciche szepty archiwistki i Rajczyni, od czasu do czasu mączone głośniejszym sykiem: - To kwestia interpretacji...

- Żałujesz, że nie poszłaś na uniwersytet i tak dalej? - zapytałem cicho Penny, gdy dwie kobiety spierały się w kącie.

Zastanawiała się przez chwilę nad tym pytaniem.

- No, nie wiem - odpowiedziała wreszcie. - To tak, jakbyś zapytał, czy żałuję, że nie urodziłam się facetem. Nigdy nie miałam fiuta, więc nie potrafię powiedzieć, czy mi go brakuje. Chociaż po zastanowieniu, to chyba nie to samo, bo oczywiście, mając...

- Już żałuję, że cię o to zapytałem - przerwałem jej z westchnieniem. - Pani Dees! - zawołałem. - Przestańcie gadać w kącie i powiedzcie mi, co tu, do licha, jest grane!

Nastała chwila ciszy. Potem usłyszałem odgłos zbliżających się kroków i uprzejme kasznięcie.

- Ekhm... panie Burmistrzu. Potrzebujemy jeszcze trochę więcej czasu...

- Co znalazłyście?

- Pewne przedmioty, które mogą sugerować... mogą sugerować, że ten interes z Odą faktycznie jest poważniejszy, niż początkowo sądziliśmy...

- Jak bardzo poważny?

- Tak bardzo, że nie chcielibyśmy popełnić w tej sprawie żadnego błędu, panie Burmistrzu.

- Innymi słowy, nie powie mi pani.

- Jeszcze nie, panie Burmistrzu, jeszcze nie...

- Dobra! Penny...

- Słucham? - rozległ się nerwowy głos tuż za moim lewym ramieniem.

- Pomóż mi stąd wyjść, dobra?

- Hmm... jasne. A dokąd pójdziemy?

- Na krótki spacer.

- Panie Burmistrzu... - zaczęła pani Dees z niepokojem w głosie, gdy Penny prowadziła mnie ku drzwiom. - Nie sądzę, żeby to była odpowiednia chwila na...

- Tylko krótki spacer - zapewniłem. - Nie więcej, ale i nie mniej! Wróć, nim zdąży pani zapytać: „O kurczę, gdzie się podziało słońce?”. Dobrze? Dobrze! No to pa!

Oddaliłem się tak szybko, jak tylko się odważyłem. Penny służyła mi za przewodniczkę.

Pani Dees nie próbowała iść za mną.

* * *

Po kilku minutach wyszliśmy na deszcz.

Padał coraz intensywniej. To była porządna nocna londyńska ulewa, strugi lejącej się z nieba wody próbowały sprawdzić, czy zdołają zrobić dziury w chodnikach.

- Ja też za bardzo nie lubię pani Dees, ale mogła mieć trochę racji... - odezwała się Penny.

Zacząłem ściągać bandaż z oczu.

- Hej, hej, hej! Co robisz?

- Chcę zobaczyć, czy coś zobaczę - odparłem.

Złapała mnie za rękę i próbowała ją odciągnąć.

- Hej! - zawołała. - Pani Seah powiedziała, żebyś zaczekał pięć albo sześć godzin.

- A czy już tyle minęło?

- Prawie, ale czy rzeczywiście chcesz podejmować ryzyko?

- Muszę widzieć! - krzyknąłem do nieba i ciemności. - Mam już dość tych wyglupów.

Muszę widzieć!

- No jasne. Łatwiej ci będzie grać rolę mistycznego obrońcy, jeśli będziesz ciągle mrużył powieki!

- Nie damy się uwięzić w ciele kaleki! - warknęliśmy.

Wyrwaliśmy rękę z uścisku Penny i się odwróciliśmy. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, złapaliśmy bandaż i szarpnęliśmy je z nadludzką siłą. Tkanina zerwała się z przeciągłym bolesnym dźwiękiem. Zaczęliśmy odwijać bawełniany opatrunek, a gdy nacisk zelżał, zawahaliśmy się niespodziewanie. Zwinąłem bandaż w rolkę i powoli otworzyłem najpierw jedno, a potem drugie oko.

Świat wokół mnie był boleśnie jasny. W gałki oczne wbijały mi się rozżarzone sztylety. Z początku nie mogliśmy na niego patrzeć, musieliśmy odwrócić twarz i ostrożnie próbowaliśmy spoglądać najpierw jednym, a potem drugim okiem. Nasze prymitywne śmiertelne narządy przyzwyczajały się powoli do światła. To był tylko słaby różowawy blask ulicznej latarni, a mimo to palił. Gdy tylko odważyliśmy się otworzyć oboje oczu jednocześnie, zwróciliśmy głowę w kierunku światła. Granice plamy jasności wydawały się zniekształcone i dziwnie zamazane. Potarłem oczy dłońmi, kilka razy z rzędu, a potem

cofnąłem ręce.

- Nic ci nie jest? - zapytała podenerwowana Penny.

Odwrociłem się ku niej. Miała skórę koloru ciemnego, nasiąkniętego wodą drewna, a oczy nieco za małe w stosunku do uszu. Czarne, mocno kręcone włosy uczesała dziś na kształt lwiej grzywy, w wielką aureolę matowej ciemności sterczącą na wszystkie możliwe strony, jakby uwolnione z tradycyjnych ciasnych warkoczyków loki przesadnie radowały się cudami wszechświata. Penny miała na sobie jaskrawą srebrną kurtkę ze sztucznej skóry, zielony T-shirt zwisający luźno na ramionach, za ciasne niebieskie dżinsy oraz obcisłe czarne buty na wysokich obcasach kończące się tuż poniżej kolan - koszmar odpowiedzialnych za stan chodników urzędników miejskiej administracji.

- Jesteś piękna - oznajmiliśmy.

- Wiem - odparła. - Dobrze widzisz? - dodała.

- Oczy mnie bolą, głowa mnie boli... no dobra, darujmy sobie wyliczanie i powiedzmy, że wszystko mnie boli. Poza tym masz trochę zamazane kontury, ale, pomijając to, widzę całkiem nieźle.

- Wyglądasz okropnie, wiesz?

- Dziękuję.

Przyjrzałem się jej, zwracając uwagę na każdy szczegół twarzy.

- Hej, nie graj zboka - wymamrotała, odsuwając się ode mnie.

Spojrzałem w jej oczy, brązowe owale osadzono po obu stronach pięknego nosa.

- Płaczesz? - zapytałem.

- Kurwa, nie!

- Ale widzę... - Mój głos umilkł. - Penny? - jęknąłem. - Penny, na pewno dobrze się czujesz?

- Jasne. Co ci się stało, do licha?

- Twoje oczy... masz, hmm... krwawisz z oczu.

- Co takiego?! - wrzasnęła, natychmiast dotykając oczu dłońmi. Kiedy je cofnęła, były czyste, ale nadal widziałem krew zbierającą się w jej kanalikach łzowych, gromadzącą się pod powiekami, a w końcu spływającą po twarzy jak woda z pękniętej rynny.

- Nieprawda, nieprawda, popatrz, popatrz na moje ręce, popatrz!

Uniosła dłonie, które powinny być czerwone od spływającej po twarzy krwi, ale wcale takie nie były. Zamknąłem oczy i ukryłem twarz w dłoniach.

- Może to jeden ze skutków ubocznych - zasugerowała Penny. - Może masz wizje, może to efekt przeciążenia albo tego... zespołu stresowego, o którym mówiła pani Dees.

- Nie jesteśmy szaleni! - warknęliśmy, na moment znowu otwierając oczy. Twarz Penny była czysta. Nie widzieliśmy ani śladu krwi na policzkach ani w oczach. Odetchnęliśmy z ulgą. - Zniknęła. Krew zniknęła.

- Kurwa, serdecznie dziękuję.

- To niedobrze.

- Jakbym już przedtem tego nie słyszała. Posłuchaj, może byśmy wrócili do środka, pogadali z panią Dees i załatwili ci jakieś wakacje albo coś...

- No jasne.

- Hej, każdy zasługuje na wakacje!

- Dwór, Plemię, słońce - warknąłem. - Wszystko to mój problem.

- Dlaczego twój?

- Dlatego że jakiś ćwok zwałił mi go na głowę i wszyscy oczekują, że to ja go rozwiążę, i, Penny, chociaż mnie uratowałaś, nie cieszę się na myśl, że zostałąbyś jedynym czarnoksiężnikiem w mieście, kiedy dzieją się takie rzeczy.

Na chwilę zapadła cisza. Penny miała urażoną minę. Potem uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając krzywe białe zęby i jaskraworóżowe wnętrze ust.

- Do licha, pierwszy raz mówisz mi coś tak miłego.

- Która godzina?

- Jeszcze nie pora na wschód słońca - odparła Penny. - Zostało ci kilka godzin, żeby mi udowodnić, że nie jesteś totalnym świrem.

- Zgoda. No to ruszajmy.

- A dokąd? - zapytała, gdy zwróciłem się ku czerwonym murom i brudnym kamieniom St Pancras.

- Trzeba pogadać z Plemieniem.

- Masz pewność, że sobie z tym poradzisz? Jeśli nie widzisz jeszcze dobrze i masz dziwaczne wizje...

- Nie mam. Ale nie mówmy o tym nikomu, dobra? Ruszyła obok mnie. Ze wszystkich sił starałem się iść prosto. Jeśli nawet coś zauważyła, nie skomentowała tego ani słowem.

- Dokąd idziemy?

- Po kebaby - odparłem radośnie. - Będziemy potrzebowali mnóstwa kebabów.

Część 2

Zniknięcie Cockfosters

*W której szuka się
specjalistycznej porady w nieprawdopodobnym
i niemile widzianym źródle, omawia się problem,
a spotkanie kończy się źle dla wszystkich stron.*

Czas robił sobie jaja.

Drzwi dworca St Pancras były zamknięte, a żaluzje zasunięte, ale w środku nadal paliły się światła. Na kilku zakurzonych oknach, tam, gdzie budowlani nie dokończyli roboty, narysowano uśmiechnięte twarze i bezładne zygzaki. Gdzieś tam widniały też napisy:

Ratunku

albo

wciąż czekamy na northern line.

Ruch uliczny nie był pewien, czy pędzić po opustoszałej na noc Euston Road, czy raczej pełznąć powoli naprzód, czekając na korek pod wiaduktem. Autobusy próbowały wjeżdżać na oznakowane czerwoną linią pasy, a ekipy robotników jednocześnie pracownicy malowały nowe w tym samym miejscu. Taksówki posuwały się powoli naprzód wzdłuż murów stacji King's Cross. Salon gier był otwarty. Przy oknie grupka dzieciaków o poszarzałych oczach grała w jakąś strzelankę. Kiosk z gazetami był zamknięty, ale sklepów z kebabami na stacji King's Cross nie zamykano nigdy.

Światła w sklepie były za białe i zbyt jasne, jakby ta jasność mogła w jakiś sposób zamaskować szarość, która wniknęła we wszystkie kafelki albo tłuszcz wylany na powierzchnie z nierdzewnej stali po drugiej stronie lady. Właściciel, mężczyzna o cerze barwy orzecha nerkowca i przekrwionych oczach, spał za kasą. Głowa opadła mu w tył, a w kącikach ust zbierała się ślina. Obok niego leżała częściowo rozłożona gazeta. Włączone

radio przekazywało informacje drogowe.

- Korek na Cromwell Road poszerza się w kierunku zachodnim, z powodu wypadku, do którego doszło uprzednio... przerwa w dopływie prądu w Mile End doprowadziła do... Cockfosters zniknęło... przewrócona ciężarówka na dojeździe do Blackwall Tunnel...

Na rożnie przed pomarańczowym grillem powoli obracała się brązowo-czarna bryła, niepodobna do żadnego zwierzęcia, jakie kiedykolwiek widziałem na żywo albo w telewizji. Kawalki przywędłej sałaty leżały w zbiornikach obok plastikowych pojemników z białym i czerwonym sosem.

- Nie ma nic lepszego niż frytki o drugiej w nocy - stwierdziła Penny.

- Nie są dla nas - odparłem ponurym tonem, pochylając się nad ladą ku śpiącemu. Z ust mojej uczennicy wyrwało się ciche westchnienie rozczarowania. - Hej, kolego?! - zawołałem. - Kolego?!

Magowie napisali całe tomy o mocy tego słowa. W tym przypadku również zadziałało. Mężczyzna otworzył nagle oczy, wyprostował się na krześle, omal z niego nie spadając, wymamrotał coś niezrozumiałego i wreszcie zdołał skupić spojrzenie na nas dwojgu. Potarł powieki, jakby nie potrafił uwierzyć własnym oczom.

- Słucham? - wykrztusił w końcu, ukończywszy ten rytuał.

- Cześć - powiedziałem. - Mam... - Pogrzebałem w kieszeni. - Około dwudziestu siedmiu funtów. Penny, ile forsy masz przy sobie?

- Pytasz poważnie?

- Penny!

Skrzywiła się, ale pogrzebała w kieszeni i po chwili wydobyła z niej paskudnie zmięty banknot dziesięciofuntowy. Wyrwałem jej go, nim zdążyła się sprzeciwić.

- Dobra, mam trzydzieści siedem funtów. Proszę mi dać wszystko, co mogę za to kupić.

- Słucham? - wychrypiał.

- Słucham? - powtórzyła Penny.

- Widzi pan moją absolutnie poważną twarz? - zapytałem. - Do roboty.

* * *

Za trzydzieści siedem funtów kupiliśmy pięć białych plastikowych toreb, pełnych rozmaitych straszliwie udręczonych i przesiąkniętych tłuszczem kawalków mięsa w białych kartonowych bułkach, z dodatkiem oklapłych warzyw.

- Lepiej, żebyś zrobił z tym coś naprawdę zarabistego, Matthew - odezwała się Penny,

gdy wracaliśmy do przystanków autobusowych.

- Przestań gderać.

Pod stacją King's Cross nawet w środku nocy autobusy zatrzymują się dość często. Większość z nich jeździ tylko do ograniczonej liczby miejsc. Złapaliśmy autobus 205 do stacji Angel. Podczas trwającej siedem minut drogi szare wnętrze pojazdu powoli wypełniała woń zestalonego, ściśniętego, zamienionego w płyn i ponownie zestalonego mięsa. Wysiedliśmy pod niską niebieskoszarą ścianą z żelaza. Wprawiono w nią niebieskoszare żelazne drzwi, a za nią zaczynał się niebieskoszary żelazny spadzisty dach. W drzwiach była kłódka, ale poza tym nic nie wskazywało na ich cel. Postawiłem plastikowe torby na ziemi i sięgnąłem po pęk surowych kluczy. Znalazłem taki, który najbardziej pasował do kłódki, wsunąłem go do zamka, a potem namową i przymusem skłoniłem do zmiany kształtu. Przekręciłem klucz w zamku, zdjąłem łańcuch i otworzyłem drzwi.

Za nimi był słaby białawy blask jarzeniówek i wyłożona beżowymi płytkami podłoga. Weszliśmy do środka i zamknęliśmy za sobą drzwi. W niskim ceglany murku, który kiedyś był zewnętrzną ścianą innego budynku, a teraz znalazł się wewnątrz, widniała wielka czarna dziura, prowadząca do korytarza, gdzie również paliły się jarzeniówki, a wszystkie ściany wyłożono kafelkami intensywnie ciemnozielonej barwy. Tu i ówdzie było jeszcze widać ślady dawnej funkcji pomieszczenia: szkielet lady i otwory w podłodze w miejscu, gdzie były bramki, na ścianie wisiał plakat reklamujący podróż do Ongar - „Nie musisz opuszczać Londynu, by wyruszyć na poszukiwanie przygód!”. Pod stopami mieliśmy cienką warstwę kurzu. Wypełnione martwą ciemnością otwory były pozostałościami po dwóch szybach wind. Nieliczne lampy rozświetlające ongiś ich mrok umarły z upływu czasu i zaniedbania. Gdzieś w pobliżu kapąła woda. W cieniach wypatrzyłem resztki znaku londyńskiej kolei podziemnej, dumnego jak herb. Na jego środku napisano „Angel”.

- Bardzo fajnie - odezwała się Penny. - Po kiego tu przyszliśmy?

- Cóż za niecierpliwość!

Najnowszym elementem był tu długi szereg schowków na bagaże. Obok nich ulokowano metalowe drzwi prowadzące do następnego pomieszczenia. Otworzyłem je. Wewnątrz były białe kafelki i niewielki szereg pryszniców. Woda gromadząca się wokół studzienek zrobiła się szarobrazowa z brudu, ale ta, która skapywała z sitek, była czysta. Zamknąłem drzwi i zacząłem kopać kolejne schowki, aż wreszcie jeden z nich się otworzył. W środku było zdjęcie uśmiechniętego bezzębego dziecka trzymanego w ramionach przez kobietę, egzemplarz „Daily Mail”, pusty, nieco poszarzały termos na kawę, para butów po kolana, żółty kask z latarką i jaskrawożółta kamizelka odbłaskowa. Wyciągnąłem tę ostatnią i

rzuciłem ją Penny.

- Zdejmij wszystko, co kochasz - poleciłem. - Włóż kamizelkę, kask i buty.

- Schodzimy na dół? - zapytała, wskazując głową na puste czarne szyby.

- Ehe.

- A po co?

- Pogadać z Plemieniem.

- Po kiego?

- To jedyne, co mogę w tej chwili zrobić. Odą zajmuje się pani Dees, w sprawie Dworu jestem bezradny, więc zostaje mi tylko pogadać z jedynymi facetami, z którymi jeszcze nie rozmawiałem, i przekonać się, czy mają coś ciekawego do powiedzenia na temat tej bzdury z wybraną.

- Mógłbyś, no wiesz, walnąć się spać.

- Chyba nie bardzo rozumiesz, na czym polegają zadania obrońcy miasta.

Wzruszyła ramionami.

- Tak tylko mi się zdawało, że to niezły pomysł.

- A poza tym - zawołałem radośnie, kopiąc kolejną szafkę i wyciągając z niej żółtą kamizelkę - wszystko to jest bardzo pouczające.

Wzruszyła ramionami.

- Jasne - mruknęła, ściągając buty. - Z pewnością masz rację.

* * *

Zostawiłem buty w rozbitym schowku, po czym włożyłem żółtą kamizelkę, kask i buty ochronne. Były tu kręte schody, szerokie na dwóch ludzi. Stare kamienne stopnie pokrywały kurz i ziemia, poręcz popękała, a żarówki były słabymi żółtymi punktami w starych drucianych oprawkach. Schody prowadziły w dół, aż do miejsca, w którym z pozoru powinny się kończyć, a potem schodziły jeszcze trochę niżej, docierając do wielkiej mrocznej sali, która wydawała się jeszcze większa i mroczniejsza z powodu słabego żółtego blasku zaniedbanej żarówki. Odchodziły od niej tunele, w których w ogóle nie paliło się światło. W kurzu zostały ślady stóp, wielkie odciski takich samych ochronnych butów, jakie my włożyliśmy. Włączyłem reflektor na kasku. Białe światło padło na stare graffiti i wystrzępione butwiejące plakaty.

INTERNETOWE GŁUPOTY OGŁUPIAJĄ

BŁĘDNY KIERUNEK - >

NIE MA MYSZY

Jasny snop światła padający przez szczelinę w ścianie zdradzał, że po drugiej stronie można znaleźć szarobiałą blask drugiej, prawdziwej stacji Angel, tej, przez którą codziennie przechodziły tysiące pasażerów Northern Line. Miałem wrażenie, że słyszę odległe głosy, gdzieś za dzielącymi nas od siebie ścianami. Odwróciłem się. Ruszyliśmy naprzód pogrążonym w ciemności tunelem. Ściany były tu wyłożone nagim czarnym metalem, jak w bunkrze atomowym. Wreszcie dotarliśmy do płotu z siatki na końcu. Furtka była zamknięta. Po drugiej stronie widziałem srebrne szyny. Ich blask odbijał się od matowych, pokrytych warstwą brudu przewodów, które ongiś były pomarańczowe, oraz czystych kiedyś ścian. W siatkę wplotły się kosmyki ludzkich włosów, a w świetle reflektora na moim kasku unosiły się rzadkie obłoczki kurzu. Poczuliśmy zapach suchego żaru metra.

- W trzeciej szynie nie ma prądu - wyszeptała mi do ucha Penny. - Czuję to.

- To dobrze - odparłem, szarpiąc się z zamkiem w furtce, aż wreszcie ustąpił. Niechętnemu trzaskowi towarzyszył obłoczek rdzawego kurzu.

Weszliśmy do tunelu i odwróciliśmy się od oświetlonego peronu odległego o kilkaset jardów, zwracając się ku ciemnym torom.

- Dokąd idziemy? - zapytała Penny. Jej głos zabrzmiał słabo w panującej tu głuchej ciszy.

- Na południe - odparłem. - W stronę London Bridge.

- Kebaby wystygły - zauważyła, podnosząc torbę.

- On woli zimne.

Ruszyliśmy przed siebie. Nasze kroki brzmiały głucho w mroku. Jedyne źródłem światła były tu reflektory na naszych kaskach. Powietrze było ciepłe, martwe i nieruchome. Skóra na grzbiecie moich dłoni zrobiła się już ciemnoszara od pyłu na furtce oraz tego, który unosił się w powietrzu. Buty były za duże, a głowa pod kaskiem swędziała mnie od spływającego potu. Jedyne pocieszenie stanowił fakt, że mrok był dobry dla moich oczu.

Z każdym krokiem cisza stawała się coraz bardziej przytłaczająca.

- Słyszałam, że na stacji Angel straszy duch - odezwała się wreszcie lekkim tonem Penny.

- „Duch” to magicznie nieścisle określenie - skarciłem ją. - Musisz zadać sobie pytanie, czy duchy to dowód na istnienie duszy po śmierci, a co za tym idzie: nieba, piekła, męczarni, przeznaczenia i Boga? Czy to jedynie echo, odbicie minionego życia?

- A jak jest naprawdę? - zapytała.

- Cholera, nie mam pojęcia. Wolę myśleć, że to echo, ale nie ma na to żadnych dowodów.

- Wolisz nie wierzyć w nieśmiertelność duszy?

- Och, z pewnością. Jeśli dusza jest nieśmiertelna, jeśli istnieje przeznaczenie i Bóg, nie sądzę, by miał mi do powiedzenia coś miłego.

- Nie czynisz zła - wymamrotała. - Może i nie wierzysz, ale nie jesteś złym facetem. Można by tak powiedzieć.

- „Zły” to zbyt... niedokładne określenie, jak na mój gust. Bóg może być innego zdania i wtedy będę miał przesrane.

Przez chwilę szliśmy dalej w milczeniu.

- Widzę ślady stóp - odezwała się nagle Penny.

- Kiedy pociągi nie kursują, chodzą tędy konserwatorzy. Nie martw się, nie zobaczą nas.

- Dzięki tym odblaskowym kurtkom? - zapytała, okazując tylko dziewięć dziesiątych zwykłego dla siebie sarkazmu.

- W rzeczy samej.

Wydało mi się, że słyszę szuranie w mroku, ale postanowiłem je zignorować. Z przodu dobiegały nas jakieś dźwięki - odległe echa metalu stukającego o metal, głosy niosące się w ciemności.

- Wiem, że już trochę za późno, by o to pytać, ale... czy są tu szczury? - zapytała Penny.

- Och, z pewnością.

- I... domyślam się, że tych zimnych kebabów nie niesiemy na wystawną kolację z Białym Królikiem i Królową Kier, prawda?

- Prawda.

- Niech to szlag.

- Penny, jeśli chcesz zostać miejską czarnoksiężniczką, naprawdę musisz się nauczyć radzić sobie ze szczurami.

- Jasne - odparła słabym wysiłonym głosem. - Ehe, totalnie. Ja i szczury. Bardzo się lubimy.

Dźwięki przed nami stawały się coraz głośniejsze. Zza zakrętu padało białe światło. Zatrzymałem się na granicy oświetlonego obszaru, ciałniej otuliłem odblaskową kamizelką i opuściłem kask na oczy. Jasny blask ustawionych na trójnogach lamp przesłaniały czarne cienie, ledwie widoczne w mroku. Nad szynami unosiły się głosy.

- Dobra, zasada jest prosta - odezwałem się. - Idź szybko i patrz pod nogi. Zachowuj się tak, jakbyś miała prawo tu być. Idź jak czarnoksiężniczka, magia zrodzi się z ruchu,

kasku, butów i kurtki. To proste zakłęcie niewidzialności. Poradzisz sobie bez trudu.

- Jezu, rewelacja - odparła z westchnieniem Penny. - A co, jeśli i tak mnie zauważą?

- Nie zauważą.

- Ale jeśli zauważą?

- Stań nieruchomo - odpowiedziałem po chwili wahania. Uniosłem rękę i dotknąłem jej twarzy, przebiegając palcami po obu policzkach, czole i brodzie. Skórę miała ciepłą i suchą. Moje palce zostawiały na niej czarny ślad brudu, prawie tak gęsty, jak farba. - Proszę - oznajmiłem. - Teraz wyglądasz jak ktoś, kto łązi po tunelach.

- Jasne. - Skrzywiła się. - Kurwa, chcę dostać różdżkę i szpiczasty kapelusz.

- Ruszamy w drogę do Glastonbury. Gotowa?

- Chyba tak.

Nie dając jej czasu na zmianę zdania, złapałem za plastikowe torby, pochyliłem głowę i ruszyłem naprzód szybkim, swobodnym, pewnym siebie krokiem faceta, który chodził tymi tunelami już tysiąc razy, który wie, co robi i dokąd idzie, nie boi się niczego, co może się czaić w ciemności, i przede wszystkim jest jednym z nas, jednym z chłopaków, twarz ma poczerńiałą od kurzu, a buty znoszone. Magia pochodziła ze sposobu chodzenia, szybka łatwa moc zrodzona z pyłu pod moimi stopami, płynąca z metalowych ścian z cichym dźwiękiem miliona milionów pociągów niosącym się echem w ciemnościach. Targała mi włosy jak podmuch zbliżającej się lokomotywy, choć przecież nie było wiatru.

Gdy zbliżyliśmy się do plamy białego światła, twarze pracujących tam mężczyzn stały się wyraźniejsze. Ich blade oblicza poczerńiały od pyłu. Tylko wnętrza uszu i fragmenty szyj zdradzały ich naturalną barwę. Pracowali pod torami i unieśli ich sekcję w górę na podnośnikach, by ułatwić sobie dostęp. Na ziemię wokół ich stóp wypłynął smar, gęsta brązowawożółta maź sącząca się z małego czarnego pojemnika ustawionego w centralnym punkcie zakrętu. Obok leżały klucze, młotki, pneumatyczne podnośniki oraz inne urządzenia, których nazw nigdy nie zdołałbym odgadnąć. Kiedy przechodziliśmy obok, paru uniosło wzrok, patrząc prosto na nasze odblaskowe kurtki. Zaraz jednak odwrócili spojrzenia. Nie tyle nic nie zauważyli, ile doszli do wniosku, że nie ma tu nic wartego uwagi. Szedłem przed siebie ze spuszczoną głową, skupiając się na stawianiu kolejnych kroków. Wdepnąłem w płytką kałużę. Jej powierzchnię pokryły drobne zmarszczki. Szedłem uparcie przed siebie, ale woda stawała się coraz głębsza. Uniosłem wzrok by sprawdzić, czy nikt poza mną tego nie zauważył. Nie. Za sobą słyszałem kroki Penny, głośny stukot butów uderzających o suchą powierzchnię. Szła trochę za szybko, rozciągała zakłęcie do granic jego wytrzymałości, pragnąc jak najszybciej umknąć od wścibskich, choć niewidzących jej oczu. Szedłem

naprzód. Woda sięgała mi już do kostek. Po następnym kroku dotarła prawie do szczytów cholewek. Nie widziałem, skąd się bierze: w kark uderzyło mnie coś ciemnego i mokrego. Szarpnąłem się i w tej samej chwili zatrzymałem. Odruchowo uniosłem wzrok i ciecz lunęła mi na policzek, spływając z zuchwy. Spróbowałem wypatrzeć jej źródło na suficie, ale nie widziałem żadnej pękniętej rury czy rozerwanej metalowej płyty. Woda nie przestawała na mnie spływać - w jednej chwili mżawka, w drugiej ulewa, a w trzeciej deszcz, zwykły porządny ciemny deszcz, krople wody tańczące mi wokół kostek. Zatrzymałem się i zakłęcie utraciło moc.

- Co ty wyprawiasz? - wyszeptała Penny, ocierając się o mnie. Twarz i ubranie miała zupełnie mokre, ale wydawało się, że w ogóle nie zauważyła wody.

- Deszcz? - wyszeptałem.

- Co? O czym ty gadasz?

Zamknąłem oczy, złapałem ją za rękę i nakazałem sobie iść dalej, opuszczając głowę. Zakłęcie straciło jednak moc na zbyt długą chwilę.

- Hej... hej...? - usłyszałem czyjś głos.

Odwróciłem się w bok i zobaczyłem mężczyznę w białym kasku. Opierał klucz francuski o ramię niczym miecz, kierując na mnie niepewne spojrzenie kogoś, kto jest przekonany, że coś tu jest trochę nie tak, ale nie wie właściwie co. Deszcz zniknął. W tunelu było sucho jak na pustyni Gobi. Otworzyłem usta, chcąc wymamrotać coś niezrozumiałego, ale Penny nie dała mi dojść do głosu.

- Dzień dobry, kolego! - zawołała.

Zaskoczony mężczyzna zamrugnął, a potem się uśmiechnął.

- Dzień dobry - odparł i wrócił do pracy.

Penny pociągnęła mnie za, sobą dwadzieścia jardów w głąb ciemnego tunelu.

- Co to miało być, do cholery? - wyszczała.

- Przepraszam - wymamrotałem. - Hmm... przepraszam. Nie mogłem... zrobiło się trochę dziwnie.

- Kurwa, ładne mi pouczające doświadczenie.

- Hej, udało się, prawda?

- Jezu - wyszczała. - Ja, Penny Ngwenya, zbawicielka miasta, i jeden ześwirowany czarnoksiężnik na dokładkę. Jesteśmy już na miejscu?

- Zorientujemy się, jak tam dotrzemy.

- Rewelacja - warknęła. - Jeśli zginę od porażenia prądem albo pod kołami przejeżdżającego pociągu, wrócę, żeby się z tobą policzyć.

Powlekliśmy się naprzód przez ciemność.

* * *

Niedaleko przed Old Street znaleźliśmy to, czego szukaliśmy.

Czy raczej w to wdepnęliśmy.

To było gównno.

- Kurwa, to jest... - zaczęła Penny.

- Jesteśmy już blisko! - przerwałem jej.

- Blisko czego?

Opadłem na ręce i kolana, a potem przystawiłem ucho do szyny. Słyszałem słabiućkie echa odległego ruchu. Metal uderzał o metal, przemieszczając się szybko.

- Słyszałaś kiedyś o Tłustym Szczurze? - zapytałem, podnosząc się z trzaskiem protestujących kości.

- Pewnie, że słyszałam. Ale miałam naiwną nadzieję, że ten spacer do metra z masą kebabów wartą czterdzieści funtów nie zaprowadzi nas w jego kierunku, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. A co w nim właściwie takiego wspaniałego?

Otworzyłem jedną z plastikowych toreb, wyciągnąłem żółte pudełko z polistyrenu i położyłem je na ziemi z uniesioną pokrywką.

- No więc, niektórzy twierdzą, że jest tylko nieuniknioną biologiczną konsekwencją stu pięćdziesięciu lat istnienia podziemnej kolei oraz kanalizacji. Świry są przekonane, że to efekt naukowych eksperymentów, a magowie oczywiście traktują go jako prosty efekt wykładniczego wzrostu miejskiej magii w Londynie. Wybierz dowolną możliwość.

Szliśmy przed siebie, zostawiając co dwadzieścia jardów otwarte pudełka z kebabami.

- A jak ty uważasz? - zapytała Penny, wpatrując się w ciemność przed nami.

- Ja? Nie mam pojęcia. Cokolwiek powołało go do istnienia, wiem, czym jest teraz. Tłustym Szczurem, królem podziemi, władcą kanałów i tak dalej. Rzadko się udziela. Problem z budowaniem nowoczesnego miasta na wiktoriańskim zbudowanym na mieście Tudorów, które zbudowano na średniowiecznym, to na saskim, a saskie z kolei na rzymskim, polega na tym, że można być pewnym, że pod powierzchnią zawsze ukrywa się więcej, niż się spodziewamy. Niemniej Plemię oddaje mu cześć. Jest dla nich jak maskotka na meczu baseballowym. To ich obrońca, ich wielki zaśliniony wielozadaniowy bóg... o kurczę.

Obok mojego buta poruszyło się coś małego i kosmatego. To była mysz o matowej szarobeżowej sierści. Zatrzymała się kilka centymetrów od czubka mojego buta i spoglądała na mnie w zamyśleniu, ruszając wąsikami.

- Śliczna - odezwała się Penny.

- Ehe. Czarująca. Dlaczego nie je kebabów?

Odwróciliśmy się powoli, spoglądając w stronę, z której przyszlismy. Żółte polistyrenowe pudełka były puste. Nie został ani jeden kawałek oklapłej sałaty czy przypominającego w smaku karton chleba.

- Dobra, czy już wspominałam, że nie lubię szczurów? - zapytała Penny.

- A co ci zrobiły złego?

- Kiedy miałam osiem lat, jeden z nich zeżarł połowę śniadania mojej ciotki, a ona kazała mi wcześniej położyć się spać, bo nie chciałam przyznać, że to ja je zjadłam.

- A więc to osobista sprawa.

Zerknąłem za siebie. Czy mrok za naszym ramieniem rzeczywiście był głębszy niżby należało, czy był to tylko efekt uboczny światła reflektora?

Szliśmy przed siebie, zostawiając kebaby. Słyszałem coś przed nami, odgłos przypominający szelest liści w lesie.

- Skąd wiedziałas, że to był szczur?

- Słucham? - zapytała Penny, nie odrywając wzroku od ciemności przed nami. A więc ona również to słyszała. Coraz głośniejszy szum nagich gałęzek uderzających zimą o siebie, skóry trącej o skórę, mieszających się ze sobą oddechów.

- Skąd wiedziałas, że to szczur zjadł to śniadanie?

- Dwa dni później widziałam, jak próbował się włamać do szafki kuchennej z owocami.

- To pewnie rozstrzygający dowód. Postaw torbę.

- Słucham?

- Postaw tu torbę z jedzeniem - powtórzyłem pośpiesznie.

Ciemność przed nami poruszyła się, skłębiła, była morzem przed nadchodzącym sztormem. Odrzuciłem na bok plastikową torbę i złapałem Penny za ramiona. Ona postawiła swoją pod ścianą tunelu, opartą o czarną półkę, po której biegły przewody.

- Naprawdę nie lubisz szczurów?

- Naprawdę - wyszeptała. Oddychała szybko, a w oczach miała strach.

Objąłem ją, a ona wtuliła mi głowę w bark.

- To nie patrz.

Zamknęła oczy. Nadeszły. Były ich setki, a potem tysiące. Czarne skłębione futerka albo szary puszek, różowe ruchliwe noski i małe żółte oczka, pazurki jak skurczone kości niemowląt. Niektóre gryzonie nie przekraczały długością mojego palca wskazującego, inne

zaś były wielkości małych terierów. Miały pożółkłe zęby i robakowate języki. Biegły, kłębiły się i wpadały na siebie, wlażyły na ciała poruszających się wolniej towarzyszy niczym fala wdzierająca się na kamienisty brzeg, zasłaniały lśniąco srebrnym blaskiem szyny, pędziły pod ścianami. Niektóre miały na skórze krwawiące zadrapania, innym brakowało połowy ucha, miały czarny poszarpany otwór zamiast oka albo obgryzione kikuty ogonów. Jedne były brudne od tłuszczu, inne od szlamu, a jeszcze inne śmierdziały kanałami, z których przybyły, i do futerka pod ich brzuskami przykleiły się białe kuleczki łożu. Były też takie, które miały szarą barwę kurzu, w którym się tarzały, a stukot ich pazurków brzmiał jak twardy łopot skrzydeł szarańczy. Poczułem, że całe ciało Penny zeszywniało, gdy wlażyły nam na stopy, wspinając się ku szczytom cholewek butów. Jeden dotarł aż do mojego kolana, obwąchał je i przyjrzał mi się, próbując zdecydować, czy jestem trujący, czy też nadaje się do zjedzenia, nim fala towarzyszy strąciła go w dół. Wciąż nadciągały nowe, jak woda płynąca z wyrwy w tamie. Strumień ciepłych czarnych ciałek sięgających nam do kolan nikał w mroku tunelu. Za gryzoniami coś podążało. Ziemia drżała pod jego stopami, łoskot kroków brzmiał jak regularny werbel przebijający się przez tupot szczurzych nóżek. Czułem jego woń, odór zmydlonego tłuszczu z kanałów. Aromat jego zbliżającej się magii unosił się w powietrzu jak intensywnie cuchnąca brązowa plama.

Nagle, równie szybko jak się zjawiał, potop przeszedł w rzeczulkę, a ta w struzkę. Szczury umknęły, rozprzestrzeniając się w tunelu jak znikająca mgła. Penny oddychała mi prosto do ucha, jej palce wpijały mi się w plecy.

- Nic ci nie jest? - wyszeptalem, wypuszczając ją z objęć.

Nadal zaciskała powieki, policzki miała obrzęknięte od wysiłku wkładanego w to, żeby nie patrzeć, a czoło zmarszczone. Skinęła głową, ale nie otworzyła oczu.

Poczułem, że coś ciepłego musnęło włoski na moim karku. Odwróciłem powoli głowę, nie poruszając resztą ciała, i spojrzałem prosto w reflektory pociągu metra.

Światła zamrugały.

A potem zamrugały znowu.

Wysunąłem się z uścisku Penny i uniosłem wzrok, po czym uniosłem go jeszcze bardziej. Stojące przede mną stworzenie przerastało mnie o kilka dobrych stóp. Rdzewiejąca łąta z drucianej siatki osłaniająca nos, przez którą przechodził jego oddech, miała wielkość ludzkiej twarzy. Oczy były białymi żarówkami kasków z latarkami, a zęby pokrywał żółtobrązowy smar, który robotnicy wylewali na tory. Jego ciemnoszary język poruszał się w powietrzu, futro składało się z żelaznych opiłków, unoszących się i opadających z każdym oddechem. Z płuc buchało gorące powietrze, zwiastujące zbliżanie się pociągu. W futro miał

wplątane długie kosmyki ludzkich włosów, blond i czarnych. Pazury, każdy dłuższy od mojej ręki, były zrobione z przewodzącej prąd miedzi. Mógłby urwać mi głowę tak łatwo, jakbym był żelkiem w kształcie dziecka. Tłusty Szczur, król podziemi. Unieśliśmy rękę, sięgając ku jego metalowemu nosowi. Tuż za zardzewiałą siatką ochronną dostrzegaliśmy poruszające się łopatkę wentylatorów. Ich podmuch był tak silny, że omal nas nie przewrócił. Ręce mi drżały, w gardle czułem suchość, a serce opadało mi w okolice kolan tak szybko, jak tylko śmiało. Musnęliśmy palcami drżącą powierzchnię jego futra, poczuliśmy, że ugina się i rozstępuje pod naszą dłonią, delikatne, jak niekiedy bywa cieniutki metal. Stworzenie sapnęło, strącając mi włosy z twarzy, ale nie poruszyło się, nie zaatakowało.

- Penny? - wydyszałem.

Nadal zaciskała powieki.

- Słyszę oddech - jęknęła. - I to nie twój.

- Wszystko w porządku. Możesz spojrzeć.

- A czy spodoba mi się to, co zobaczę?

- Musisz sama się przekonać.

- A dlaczego?

- Nie ma się czego bać.

Jej powieki drżały, jakby umysł kazał im się otworzyć, a ciało zamknąć i żadna ze stron nie mogła zwyciężyć w tym sporze. Wreszcie otworzyła oczy i spojrzała. Tłusty Szczur odwrócił głowę wielkości śpiącego człowieka, by się jej przyjrzeć. Wstrzymała oddech i naprężyła mięśnie. Poczulem, że się odsunęła, gdy pochylił ku niej łeb, omal nie uderzając nosem w czubek jej głowy. Przesunął ciemnoszarym językiem po zębach, po obu stronach jego policzków poruszyły się wąsiki zrobione z cienkich antenek. Penny wygięła się do tyłu, gdy analizował jej zapach. Wreszcie podjął decyzję i odsunął się, nieporuszony tym, co odnalazł.

- Matthew?

Głos Penny był wysoki i drżący, jak u dziecka na granicy łez.

- Wszystko w porządku. Nie zrobi nam krzywdy.

- Nie wygląda na to, żeby umiał robić cokolwiek innego.

Pogłaskaliśmy Tłustego Szczura, spojrzeliśmy w jasne żarówki jego oczu.

- Nie jesteśmy dla niego zagrożeniem.

- Masz cholerną rację!

- Wie, że nakarmiliśmy jego kuzynów.

- Bez obrazy, ale zimny kebab nie wydaje mi się najlepszą gałązką oliwną.

- Spełnił swoje zadanie. Teraz Tłusty Szczur zaprowadzi nas do Plemienia.

- Naprawdę? - pisnęła.

- Ehe. Dlatego na nas czeka. No wiesz, szczury są bardzo bystre. Rozumie, na czym polega umowa.

- Na tym, że nas nie zje?

- Ehe.

Poprowadziłem ją do boku stworzenia. Z jego brzucha zwisały potężne skłębione pęki pozlepianych łojem włosów, ale na grzbiecie metalowa sierść była miększa i gładsza. Nie przestawaliśmy jej głaskać, spoglądając na ogon złożony z ząbkowanych metalowych fragmentów, który poruszał się w powietrzu. Mieliśmy nadzieję, że ten gest oznacza zadowolenie.

- No dobra, teraz będziesz musiała się wdrapać na górę.

Pierwszy raz w życiu zobaczyłem, jak Penny opadła szczęką.

- Kurwa, nie ma mowy!

- Tylko w ten sposób dostaniemy się do Plemienia.

- A nie mogliśmy skorzystać z Facebooka?

- Plemię żyje w ukryciu, odcięte od reszty społeczeństwa. Rajcy nie mają przy nim ambasady, bo Plemię nie chce wpuścić ambasadora na swój teren.

- I z takimi psycholami chcesz rozmawiać?

- Tak.

- Ale jeśli nie lubią Rajców...

- Mam urok osobisty.

- Świr z ciebie, Matthew. Wiesz o tym?

- Tak, wiem. - Złączyłem dłonie, robiąc z nich strzemię, i oparłem się plecami o ciepły bok Tłustego Szczura. Czułem tłoki poruszające się przy każdym oddechu w jego brzuchu, który stale rozszerzał się i kurczył. - Chodź - wyszeptalem. - Po to właśnie jesteś czarnoksiężniczką. Nie wmawiaj mi, że nie czujesz się podekscytowana, że nie czujesz życia Tłustego Szczura, jego magii. Chcesz biec szybciej niż pociąg metra, dotrzeć do miejsc, których nikt nie odwiedza, zobaczyć rzeczy, których nikt nie widział? No to włącz.

- Ależ cię nienawidzę - syknęła i postawiła stopę na moich dłoniach.

Podsadziłem ją i wdrapała się na grzbiet Tłustego Szczura, łapiąc za jego sierść. Stworzenie odwróciło głowę o sto osiemdziesiąt stopni i spojrzało na nas, przesuając światła oczu po rozkołysanym pagórku swego pokrytego mułem ciała. Złapałem za garść czarnego naoliwionego futra z metalu i zacząłem się gramolić na górę. Czułem, że ciało istoty

ugina się pode mną, widziałem parę buchającą z jego ust. Na moim nadgarstku zacisnęła się dłoń Penny. Moja uczennica podciągnęła mnie w górę i usiadłem za nią. Uczepiła się sierści Tłustego Szczura tak mocno, że kostki jej dłoni zbieleły. Zgięła się w pół, opierając się brzuchem o grzbiet stworzenia. Zaciskałem dłonie i kolana, owijając sobie wokół palców kaleczące włókna metalowego futra.

- Widzisz? To wcale nie było takie trudne.

Tłusty Szczur ruszył naprzód.

A potem zaczął biec.

Pochylałem się nisko, trzymając się ze wszystkich sił. Kask podskakiwał mi na głowie, oczy szczypały mnie od pyłu i oleju. Wewnątrz czarnego tunelu odnosiło się wrażenie, że świat przemieszcza się wokół nas za szybko, podczas gdy my zamarliśmy w niemal całkowitym bezruchu. Tłusty Szczur podskakiwał i kołysał się pod nami jak wyścigowa gąsienica na grillu. Widziałem niebieskie skry sypiące się spod jego miedzianych pazurów, czułem woń elektryczności unoszącą się w powietrzu, dostrzegałem małe elektryczne łuki przeskakujące między metalowymi włóknami nastroszonego futra, poczułem smak chwili, gdy trzecia szyna eksplodowała oszalałą chwałą, doznałem szoku, gdy dziesięć tysięcy wolt ożyło nagle pod nami, tak wiele mocy, czekała na nas, byśmy jej zaczerpnęli i polecieli, niebieska elektryczna chwała czekająca na to, by nią zawładnąć, mogliśmy ją pochwycić tylko jednym dotknięciem i podpalić świat i

i nie

mogliśmy pochwycić tę moc i

nie

zapłonąć tak jasno.

Zamknąłem oczy i wcisnąłem twarz w ciemne naoliwione futro Tłustego Szczura. Słyszałem dźwięk przypominający łoskot pociągu metra, grzechot pazurów imitujący *de-dum* kół na wyboistym torze, szum wiatru szarpiącego mi skórę, zimne, pełne kurzu powietrze drażniło moje oczy, a Tłusty Szczur pędził jak niepowstrzymany pociąg o zepsutych hamulcach, nie zamierzając się zatrzymać z żadnego powodu, a my pozwoliliśmy mu na to i był wolny, i to było cudowne. Poczulem niepokojące poruszenia w żołądku, gdy wszelka geografia została z tyłu; uchyliłem powieki i zobaczyłem, jak z pozoru solidna metalowa ściana przed nami zapadła się nagle w siebie jak zmięta kartka papieru, odsłaniając ciemność, która ciągnęła się bez końca we wszystkich kierunkach. Wpadliśmy w nią i gdy obejrzałem się za siebie, tam również była tylko ciemność, żadnych śladów tunelu, ściany ani niczego w tym rodzaju. Puste czarne niebo przecinały pozbawione wszelkiego oparcia rury, pokryte

rzadkimi zielonymi kępami przypominającego wodorosty mchu, z wąskich szczelin skapywała woda *kap, kap, kap*, niebo pełne rur nad nami i na dole, woda pluskająca pod stopami Tłustego Szczura, metalowe szyny pod tą wodą, a dalej wszechświat pełen żółtych, różowych, intensywnie białych i pomarańczowych gwiazd, miejskie światła rozpościerały się pod nami, ale nie raczyły zabrać ze sobą miejskiej architektury. Wydało mi się, że dostrzegam piętrowy autobus, to był staromodny czerwony routemaster z otwartymi drzwiami z tyłu. Jego reflektory były jedynymi widocznymi w ciemności, czekał pod wodą na czerwonym świetle, w oknach widniały czarne nieruchome sylwetki. Nad nami przeleciało stado gołębi o czerwonych oczach, albinosów gubiących białe pióra. Przez ciemność przed nami przemknął spłoszony lis, widoczny w blasku oczu Tłustego Szczura. Potem umknął przez wodę, nie pozostawiając na jej powierzchni ani jednej zmarszczki. Przed nami pojawiły się szerokie schody z czerwonej cegły. Nie widziałem, dokąd prowadzą. Wbiegliśmy na nie i znaleźliśmy się w wielkiej nakrytej kopułą sali o łukach z czerwonej cegły, ciągnących się tak daleko, jak okiem sięgnąć. Na podłodze wały się popękane kartonowe pudełka ozdobione wyblakłymi napisami głoszącymi:

Pomarańcze po 5 pensów

albo:

OSTROŻNIE CZĘŚCI MASZYN

albo:

Towary kosmetyczne i rozrywkowe, import z Tajwanu.

Potem one również zniknęły. Wjechaliśmy do wąskiego tunelu, tak niskiego, że musieliśmy się wtulić w grzbiet Tłustego Szczura, żeby z niego nie spaść. Ściany były tu czarne i metalowe, a podłogę pokrywały stare zmięte koperty. Tysiące, miliony papierowych kopert, na niektórych widniały jeszcze adresy albo stare złażące świąteczne znaczki. Wysypały się na ziemię jak śnieg niesiony zawieją.

Kilka smętnych paczek zwisało z luźnych śrub w ścianach na paskach butwiejącego brązowego papieru, czasopisma zaplątały się w stare pozrywane kable. Miedziane druty sterczały z poczerniałych osłon na podobieństwo szczotek. Przed nami paliło się światło matowej pomarańczowożółtej barwy, upstrzonej gdzieś tam plamkami błękitu i zieleni. Pochyliłem się pod tablicą z napisem:

UWAGA NA PRZECHODZĄCE DZIECI

i znowu uniosłem głowę, gdy tylko wydostaliśmy się z tunelu. Pod nogami mieliśmy gęste brązowe błoto, a nad głowami bezgwiazdne, pomarańczowawe niebo, z którego siąpiła mżawka. Tłusty Szczur zwolnił, odwrócił się, spojrział w górę, potem w dół, a wreszcie na

nas. Byliśmy na plaży. Błotnistej, niedawno zalanej wodą plaży usianej zazwyczaj widywanymi w Anglii nad morzem plastikowymi torbami oraz porzuconymi wózkami z supermarketów. Znajdowaliśmy się w ujściu. Po lewej, przy zakręcie rzeki, widzieliśmy przypominające srebrne żelazka sylwetki zapory przeciwpowodziowej, sterczące z morza niczym potężna brama chroniąca nas przed pogodą. Po prawej była niska biała kopuła Millenium Dome, a dalej, przy zakręcie rzeki, wieżowce Canary Wharf. Zsunąłem się z grzbietu Tłustego Szczura i wpadłem w gęste, sięgające kostek błoto. Penny podążyła za moim przykładem. Jej oczy błyszczały, a na twarzy miała wyraz szaleństwa.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem.

- To było totalnie zajebiste - oznajmiła. Włosy wyłaziły jej spod kasku, stercząc na wszystkie strony. Czułem ładunki elektryczne na jej skórze; bijący od niej zapach magii.

Tłusty Szczur już się oddalał, zmierzając ku wejściu do wąskiego wyłożonego kafelkami tunelu ulokowanego w betonowym wale przeciwpowodziowym.

- Dziękuję! - zawołałem za nim.

Nie raczył się obejrzeć. Zniknął w swych tunelach, dumnie jak król.

* * *

Byliśmy w East Endzie.

Na samym końcu East Endu, tak daleko, że, formalnie rzecz biorąc, znajdowaliśmy się daleko poza jego granicami, gdzieś w nieokreślonym punkcie, w którym Wielki Londyn oddawał w końcu ducha i przyznawał, że jest Essex.

Znaleźliśmy brudne betonowe schody prowadzące z brzegu rzeki na płaskie betonowe pustkowie. Ze szczelin między płytami wyłaziło zielsko. Olbrzymi łuk - zardzewiały metal i połamane przekładnie - górował nad starym drewnianym nabrzeżem, przy którym ongiś cumowały frachtowce. Na samym skraju tej równiny wznosił się magazyn z blachy falistej, przypominający rozmiarami stajnię dla mamutów. Wiatr unosił śmieci, zanieczyszczając Tamizę puszkami po coli i szczątkami plastikowych butelek. Deszczówka skapywała za starej tablicy oznajmiającej, że brak butów ochronnych + brak kasku = utrata pracy. Najnowszymi elementami były tu wielkie wzgórza złożone z niebieskich plastikowych beczek wysypanych na ziemię oraz motorower zaparkowany niby przypadkiem w pewnej odległości. Z jego kierownicy zwisał czarny kask. Otarłem twarz rękawem i zauważyłem, że poczerniał od pyłu. Penny zdjęła kask i pomacała czubek głowy.

- To raczej nie pomogło mojej fryzurze - stwierdziła. Spojrzałem na nią i nie zdołałem powstrzymać uśmiechu. W jej oczach pojawił się groźny błysk, zdolny stopić stal.

Z jednego z wybitych okien magazynu sączyło się żółtawe światło. Z wyrwy w szeregu zardzewiałych rur wprawionych w jedną ze ścian biła cienka smuga czarnego dymu. W oknie coś się poruszyło. Usłyszałem chrzęst rozbitego szkła pod czyjąś stopą. Rzuciłem Penny swój kask, a potem zdjąłem odblaskową kamizelkę i zwinąłem ją.

- Obserwują nas, prawda? - zapytała Penny.

- Ehe.

- Skopiemy im tyłki?

- Wiesz co? Jestem pewien, że kiedyś słyszałem o czymś takim, jak dyplomacja.

- Skoro tak mówisz.

Podąłem Penny swoją kurtkę i torbę, którą zawiesiłem na jej ramieniu.

- W środku jest całe moje życie - oznajmiłem.

- To chyba najsmutniejsza rzecz, jaką od ciebie słyszałam.

- Nie zgub jej!

Odgarnąłem z twarzy mokre brudne włosy, a potem ruszyłem w stronę magazynu.

- Hej! - zawołała Penny. - Czy to kolejna z tych chwil, kiedy każesz mi czekać na zewnątrz?

- Tak jest.

- Mogę ci pomóc!

- Wiem o tym - odparłem. - W torbie jest telefon. Jeśli nie wrócę za... hmm... dwie godziny... zadzwonisz do Rajców i powiesz im, żeby rzucili na to miejsce swój odpowiednik bomby atomowej. Zgoda?

- I to wszystko?

- Ehe.

- Mogę ci pomóc! Po co ciągnąłeś mnie tu ze sobą?

- Żebyś mogła zadzwonić.

- A co, jeśli zginiesz?

- Wtedy my zadzwonimy do ciebie - odpowiedzieliśmy. - Śmierć dotyczy wyłącznie śmiertelników.

Wzdrygnęła się.

- Tak - wymamrotała. - Jasne. Jak sobie życzysz. Hej, a jeśli ktoś przyjdzie tu po mnie?

- Myślę, że potrafisz się obronić.

Rozpromieniła się.

- Naprawdę tak uważasz?

- No pewnie. Tylko postaraj się nie zetrzeć Essex z powierzchni Ziemi, dobra?

* * *

Zniszczony metalowy magazyn dzieliło od brzegu rzeki tylko kilkaset jardów. Ściany budynku zakręcały w nieprzewidywalnych kierunkach i wyglądało na to, że obejście go wkoło potrwa cały rok. W cieniach ukrywały się obserwujące mnie oczy. Wydało mi się, że słyszę za sobą kroki, ale nie zamierzałem się oglądać. Trzymałem ręce przy bokach, a magię, która pragnęła wydostać się na zewnątrz i zagotować powietrze, uwięziłem głęboko w brzuchu jak tłusty posiłek po długotrwałym poście. Zbliżając się do magazynu, zorientowałem się, że żółtawy blask widoczny w rozbitej szybie stanowi odbicie palącego się wewnątrz ognia. Woda wypełniająca zagłębienia w betonie miała srebrno-fioletową barwę od rozlanej na jej powierzchni benzyny. Znalazłem małe drzwi, ale były zamknięte. Za oknami zobaczyłem niewielki, pogrążony w mroku gabinet. Rozbite biurko przewrócono do góry nogami, a z fotela dawno już wylazła wyściółka.

Szedłem przed siebie, drżąc od zimna i deszczu, aż wreszcie okrążyłem róg i wpadłem prosto na nich. Z pewnością na nas czekali. Było ich sześcioro. Otoczyli mnie kręgiem. Byli też młodzi - najmłodszy wyglądał na najwyżej czternaście lat i miał paskudnie obrzękniętą czerwoną bliznę biegnącą od podbródka do kącika lewego oka. Wyglądała na świeżą. Za prawym uchem miał mniejsze białe blizny, ułożone w kilku szeregach. Nosił szarą kurtkę z kapturem, a prawą rękę nadal owijał mu stary bandaż po jakiejś ranie. W lewej trzymał nóż, mały i groźny. Najstarszy sprawiał wrażenie, że czas pragnął, by wyglądał na dwadzieścia parę lat, ale życie postanowiło dać mu kopa i przesunąć go trochę dalej. Miał wygoloną czaszkę, złożoną z połączonych ze sobą masywnych płaszczyzn, oraz gruby czerwony kark. Wdział starą czarną bufiastą kurtkę, luźny biały T-shirt oraz wyblakłe niebieskie dżinsy. Na jego lewej dłoni zaczynały się jaskrawoczerwone chaotyczne tatuaże, które biegły w górę, znikwały pod rękawem koszulki, a potem owijały się wokół karku. Jego prawa dłoń ledwie przypominała ludzką rękę. Z powyginanego artretycznie ciała nie sterczały paznokcie, lecz metal, wyszczerbione okrutne szpony. Wzdłuż żył na grzbiecie dłoni biegły odłamki zielonego szkła przypominające kolce jeża. One również niknęły pod rękawem. W pierwszej kolejności uwagę przyciągała jednak jego twarz. Na szczycie czaszki nabitó dwie równoległe linie metalowych śrubek, wyglądających jak kolce na grzbiecie dinozaura. W płatku lewego ucha miał dziurę, w którą wstawił obrączkę tak wielką, że z łatwością mógłbym w nią wetknąć kciuk. Prawe ucho nie było przedziurawione, ale z jego brzegu sterczały metalowe kółka. Metalowe płytki wprawiono mu też w podstawę i grzbiet nosa, a z górnej wargi

sterczał srebrny kolec. Brakowało mu zęba na przedzie i za resztkami różowego dziąsła można było zauważyć podobny szpikulec na języku. Lewą brew zdobiły kolejne srebrne kółka, podobnie jak część prawej, a na policzkach i z boków szyi miał długie blizny, krzyżujące się ze sobą bez ładu i składu. Najstarsze wyblakły już i zbieleły, a najnowsze były czerwone i obrzękłe. Gapił się na mnie. Źrenicę jednego oka miał okrągłą i czarną, druga zaś była małym kwadratem, niemal niezauważalnym, jeśli ktoś nie wiedział, gdzie go szukać. Bez względu na różnicę kształtu, obie spoglądały na mnie z pogardą.

Nie odezwał się ani nie poruszył, ale dwoje jego współników, chłopak i dziewczyna w wieku około siedemnastu lat z wygoloną połową czaszki i obrzękłym oparzeniem w kształcie litery V z boku szyi, podeszli do mnie z obu boków. Chłopak uniósł pięść, całkowicie bezgłośnie, a kostki jego dłoni były z brązu, metalowe kości prześwitujące przez skórę. Wzdrygnąłem się instynktownie i poczułem, że ostry kawałek metalu ukłuł mnie w gardło. Dziewczyna miała nóż sprężynowy z wizerunkiem Najświętszej Pani na białej plastikowej ręczce. Poczułem strużkę gorącej krwi na jego ostrzu i zamarłem w całkowitym bezruchu. Drugą ręką złapała mnie z tyłu głowy i pociągnęła za włosy, odsłaniając gardło. Nie powiedziano dotąd ani słowa, więc postanowiłem się odezwać.

- Jestem Nocnym Burmistrzem - wycharczałem. - Nocnym Burmistrzem.

Najstarszy mężczyzna, zapewne ich przywódca, uniósł rękę i choć nacisk na moje gardło nie zelżał, nie stało się też nic gorszego. Otworzyłem powoli prawą dłoń, ukazując wypalone na niej piętno.

- Po pierwsze, powinniście się dowiedzieć - wydyszałem, starając się nie mówić za głośno, by nie nadzieć się na ostrze - że jeśli zginiemy, telefony wykrzyczą do was zemstę, wasze słowa zamienią się w ogień, a wasze sny ogarnie niebieska pożoga. Po drugie, powinniście się dowiedzieć, że jeśli zginę, Rajcy nie będą potrzebowali więcej powodów, by sprzymierzyć się z Neonowym Dworem, co już i tak mają ochotę zrobić, a wtedy unicestwią was wszystkich. To zapewne dobra wiadomość, biorąc pod uwagę wyżej wymienioną elektryczną zemstę, którą będziemy na was wywierać z przewodów i fal eteru, jak długo będziecie żyli. Słyszeliście kiedyś o dyplomatycznych negocjacjach?

Cisza.

Nie należeli do zbyt rozmownych.

Wtem przywódca poruszył podbródkiem. Chłopak o metalowych kościach oraz oczach kipiących kolorem starych, nadmiernie wypieczonych frytek uderzył pięścią i świat powiedział nam „dobranoc”.

* * *

Nie tracimy przytomności łatwo.

Przebywałem w mętnej krainie poobijanych komórek mózgowych przez niespełną minutę, ale działo się w tym czasie wiele. Ktoś skrępował mi ręce za plecami czymś, co chyba było płócienną taśmą samoprzylepną. Ktoś inny przerzucił mnie sobie przez ramię i niósł swobodnie, jak worek na śmieci. Czułem w ustach smak krwi. Miałem wrażenie, że ktoś wypełnił mi głowę wódką zmieszaną z żelaznymi opiłkami. Widziałem stopy: wielkie i małe, w butach z cholewami i w adidasach, obandażowane i bose, stopy pozbawione części palców i stopy pokryte krwawiącymi pęcherzami, a także takie, które - zważywszy wszystko razem - wydawały się całkiem normalne, choć nieco sfatygowane. Ze wszystkich stron otaczał mnie słaby blask ognia. Czułem woń palonych opon, rozgrzanego metalu, drzewnego dymu i fasolki w sosie pomidorowym, słyszałem rozmowy, a także krzyki, wrzaski, przekleństwa, śmiech, wszystko to nieproporcjonalnie głośne i starające się zagłuszyć słowa, jakby to moc dźwięku, nie jego kształt nadawała mu znaczenie.

Położono mnie na podłodze w samym centrum tego zgielku. Uderzyłem barkiem o beton i skuliłem się instynktownie, czekając, aż wydarzą się gorsze rzeczy. Kiedy się nie wydarzyły, wyprostowałem się powoli i zaryzykowałem rozejrzenie się wkoło.

- Co to jest? - dobiegł gdzieś z bardzo wysoka czyjś głos.

Spróbowałem otrzeć ramieniem krew płynącą z kącika ust, a potem podniosłem się na kolana.

- Jakiś facet - odparł ktoś. - Mówi, że jest od nocnego burmistrza.

Pojawiła się czyjaś twarz, przesłaniając mi cały świat jak balon. Z każdego wolnego kawałka jej skóry sterczał metal, a tam, gdzie nie mógł wniknąć, były blizny, stare i nowe. Rysy były tak zniekształcone, że całość przypominała raczej mapę jakiejś górzystej okolicy niż jakiegokolwiek ludzkie oblicze. Dłoń o krótkich kikutach zamiast dwóch palców złapała mnie za podbródek i pociągnęła do pozycji klęczącej. Skierowała się na mnie para oczu o tęczęwkach koloru smoły i białkach barwy papierosowego popiołu.

- Jesteś od nocnego burmistrza? - zapytał jej właściciel.

Nie chodzi o to, że przemawiał niezrozumiale. Łatwo było pojąć, o co mu chodzi, ale w sposobie, w jaki wypowiadał słowa, było coś bełkotliwego i urywanego, jakby nie chciało mu się wyraźnie formułować sylab.

- Kurwa, ja jestem Nocnym Burmistrzem, ty dupku - wycharczałem. - Jezu, gościnność świetnie wam wychodzi.

- Nocny burmistrz nie żyje. Nair był za wolny i teraz nie żyje.

- Ja jestem nowy.

- Co za nowy?

- Nie powiedzieli wam o tym? Nocny Burmistrz to nie tylko jeden facet. To cała tradycja, moc, wędrowny tytuł przechodzący od tysiącleci z głaba na głaba. To gość, który powstrzymuje koszmary, typek, który przywołuje smoki, magia, która zawraca głowy, i, aha, gdybyś nie wiedział, to ja mam taki fatalny dzień, że w życiu byś w to nie uwierzył!

- Jasne - stwierdził po chwili. - Skoro tak mówisz, ale jeśli jesteś taki potężny, czemu jest z ciebie taki mały szczył?

Splunąłem na podłogę koktajlem z krwi i śliny i zaryzykowałem próbę wstania na nogi. Świat zakotłosał się wokół mnie. Przez chwilę rzeczywistość miała ochotę kopnąć mnie w nerki. Potem doszła do wniosku, że trzeba dać szansę porządnemu facetowi, który ma trudną pracę, i ustabilizowała się. Obejrzałem moją rozmówcę od stóp do głów. Miał na sobie skórzaną kamizelkę, rozpiętą na piersi, i spodnie z tego samego materiału. Doszedłem do wniosku, że strój jest rozpięty po to, by pokazać wszystkie okaleczenia, zademonstrować metal wciśnięty w żebra, parę buchającą z rozdarć w ciele, oparzenia, blizny, rany klute, świeże obrzękłe obrażenia, uwypuklenia i zagłębienia spowodowane przepływem płynów pod jego skórą. Przechwalał się swym zdeformowanym ciałem jak wojownik bliznami. Był wysokim mężczyzną, ale nie wyższym od niedźwiedzia i nie szerszym w ramionach niż goryl. Jego twarz, ta jej część, którą można jeszcze było uznać za ludzką, lśniła dumą i wzgardą. Wojownicy Plemienia ustawili się w krąg, a my znajdowaliśmy się w jego środku. Im byli starsi, tym więcej blizn ich naznaczyło. Mieli na sobie wszelkiego rodzaju szmaty, jakie mogły odrzucić sklepy z używaną odzieżą. Najwyraźniej liczba blizn i deformacji stanowiła symbol rangi. Spojrzałem poza krąg. Magazyn oświetlały ogniska zapalone na dnie wielkich metalowych zbiorników. Paliwem były głównie opony i benzyna. Gdziekolwiek spojrzałem, widziałem potłuczone butelki od piwa oraz członków Plemienia, leżących na butwiejących kocach, tłoczących się pod ścianami i uśmiechających się szyderczo. Zagubieni, młodzi, naznaczeni bliznami, gniewni, starzy, samotni - każdy, kto nie był jednym z nich, zmieniał się w tym miejscu w jednego z nas, członka grupy wyrzutków zjednoczonych przez fakt, że byli wyrzutkami. Były ich tysiące i żaden z nich nie sprawiał wrażenia zadowolonego z mojego widoku. Oblizalem wargi, czując smak soli, żelaza i piasku.

- Przyszedłem po to, by uprzejmię porozmawiać - oznajmiłem, wpatrując się w punkt położony tuż za roześmianymi odbarwionymi oczyma mężczyzny. Miałem nadzieję, że to przywódca Plemienia, o ile ktoś taki w ogóle istniał. - Zgodzisz się na negocjacje, czy mam ci

zademonstrować potęgę mitu?

- Nie wyglondasz na takiego, co potrafi czarować.

- Rzecz w tym, że władam dwoma różnymi rodzajami magii. Tą miłą, która siedzi sobie w domu i nikomu nie przeszkadza, i na której zwykle polegam, ale tutaj chyba wiele nią nie zwojuję. I mamy też w zanadrzu magię ognia i śmierci, zniszczenia bez szansy powrotu, magię płonącej krwi i ciał obróconych w proch. Miałem nadzieję, że odbędę tę małą rozmowę bez konieczności uciekania się do niej. Ale, jak to mówią, każdy jest kowalem swojego losu. Którego z nas wolisz spotkać?

Uśmiech być może zwarzył się nieco na jego twarzy.

- Czemu żeś tu przyszedł? - zapytał nieco mroczniejszym tonem.

- Słyszałem, że Plemię przygotowuje się do wojny z Neonowym Dworem.

- Już mamy wojnem. To ich wina.

- No więc, problem polega na tym, że mam ten traktat, który poniekąd zmusza mnie do poparcia Neonowego Dworu w wojnie przeciwko wam. A nie mam ochoty tego robić, bo, no wiesz, śmierć, zniszczenie, chaos i wojna, wszystko to są rzeczy, którym porządny Nocny Burmistrz powinien się starać dać kopa, tak? Hej, pewnie nie zechcecie się powstrzymać, jeśli was ładnie poproszę?

Zademonstrowałem swój najlepszy dyplomatyczny uśmiech i udało mi się otrzymać w odpowiedzi wzgardliwy chichot. Pewnie lepsze to niż cios w zęby. Dźwięk szybko ucichł, a uśmiech na twarzy mojego rozmówcy zniknął razem z nim.

- Nie chcemy cie tu, nocny burmistrz to gówno, kiedy nasi ginęli, kiedy nasi krwawili, nocny burmistrz nic nie zrobił, powiedział, że ważne są ulice, że ludzie czasem muszom umrzeć, żeby miasto mogło żyć, że miasto to wszystko, a my jesteśmy tylko chwilowymi gośćmi, zostawił nas, kiedy żeśmy prosili o pomoc, więc niech ci się nie zdaje, że ta blizna na dłoni daje ci jakieś prawa, nie daje, ani teraz, ani nigdy.

Odetchnąłem głęboko.

- W porządku - rzekłem. - Rozumiem. Jesteś wkurzony, bo jakiś dawno już nieżyjący Nocny Burmistrz kiedyś na was nasrał. W porządku. Nie mam nic przeciwko temu. Na mnie Nocny Burmistrz też nasrał. Nie chciałem tej roboty. Nigdy jej nie chciałem. Ale jakiś ćwok postanowił zwalić mi ją na barki. Wiesz co? Tak sobie myślę, że już wygłosiłem swój tekst. Przykro mi, że nie poskutkował. Którędy do wyjścia?

Odróciłem się na pięcie, szukając luki w kręgu, nie znalazłem jej jednak i znowu zwróciłem się ku przywódcy. W jego oczach pojawił się niepokojący wyraz zamyślenia.

- Naprawdę jesteś nowym facetem?

- Ehe.

- Przyszedłeś tu sam?

- Nie. Przepraszam, powinienem był o tym wspomnieć. Towarzyszy mi uczennica. Ma na imię Penny. Pewnego dnia tak się wkurzyła, że przypadkowo przywołała śmierć miast. No wiesz, tak właśnie ją poznałem i dlatego ją uczę. Nikt nie chce, żeby po mieście krążyła wkurzona czarnoksiężniczka, która nie odbyła szybkiego kursu bezpieczeństwa i higieny magii. Możecie spróbować ją pobić i związać, jak zrobiliście ze mną, ale coś wam powiem. Ja jestem cierpliwy i próbuję wynegocjować porozumienie, a ona nie wie, w którym punkcie się zatrzymać. Ale z drugiej strony nasza cierpliwość też nie jest nieskończona.

- Mówisz jak twardziel.

- Ale w środku jestem milusi.

Uśmiechnął się, i to było jedyne ostrzeżenie, jakie od niego otrzymałem. Pięść pokryta brudną aluminiową powłoką wyrastającą z naturalnej skóry, ozdobiona kawałkami zielonego szkła sterczącego tam, gdzie powinna być kość, i napędzana czymś więcej niż tylko siłą mięśni, uniosła się nagle, trafiła mnie prosto w żołądek, uniosła w górę i opuściła na ziemię tylko dlatego, że mogłaby z wielką łatwością przebić się na wylot, ale i tak uważała, że nie warto się trudzić. Nigdy nie twierdziłem, że koleguję się z grawitacją. Padłem na ziemię. Podłoga dała mi tylko ograniczone pocieszenie. Leżałem na niej, oczy zaszyły mi łzami, a w gardle czułem smak żółci. Owinąłem się wokół wielkiej czarnej dziury pełnej odrażającego bólu i charczałem. Rozległ się śmiech.

Przetoczyliśmy się na kolana. Ból eksplodował mi za oczami, a głowę wypełniły szumy. Wstaliśmy, chwając się lekko, i zamrugaliśmy, by usunąć z oczu słony płyn. Potężnie zbudowany mężczyzna ryknął śmiechem, w którym pobrzmiwał ślad stukotu uszkodzonej skrzyni biegów. Zwrócił się ku tłumowi niczym zapaśnik, a potem znowu spojrzał na nas. Zwróciliśmy głowę w bok. Oczy wypełniały nam niebieski ogień, gniew, ból i krew.

- Spróbuj to zrobić raz jeszcze - odezwaliśmy się.

- Bez jaj! - odparł.

- No, spróbuj.

Znowu zamachnął się pięścią, ale tym razem wycelował w naszą twarz. Cios nadchodził powoli i radośnie jak lawina. Odsunęliśmy się na bok, pochylając się pod poruszającą się z nieco nadludzką szybkością pięścią, i ugryźliśmy ją w locie. Zapewne zrobiliśmy większą krzywdę własnym zębom niż jego ręce, ale udało się nam go zaskoczyć. Cofnął błyskawicznie dłoń. Na jej grzbiecie, między kciukiem a wielkim palcem zostały dwa szeregi śladów, wystarczająco głębokich, by popłynęła z nich krew. Jego kumple również się

śmiali. Potem, jakby od niechcenia, uniósł drugą rękę i uderzył nas w skroń, silnie jak łomem. Zwaliliśmy się na ziemię w niezgrabnej pozycji, przygniatając zgiętą w kolanie nogę, i tym razem nie staraliśmy się wstać.

Mężczyzna przyjrzał się swej dłoni, od niechcenia wytarł wypływającą krew drugim przedramieniem, a potem przyjrzał się nam z zainteresowaniem.

- Hej, mały, gryziesz? - zapytał tonem pana karcącego niegrzeczne szczenię.

- Gryziemy i krwawimy. Być może to zauważyłeś, jeśli nie jesteś zbyt ślepy i głupi. Kiedy cię ugryźliśmy, odrobina naszej krwi skapnęła na twoją skórę. Miejmy nadzieję, że nie wniknęła też pod nią.

Zrobił jeszcze bardziej oszołomioną minę, ale po chwili na jego twarzy pojawiło się zrozumienie. Zatem ten śmiertelnik nie był totalnym głupcem. Ale i tak wystarczająco wielkim. Zamknęliśmy oczy i pozwoliliśmy, by niebieski ogień tańczący pod naszymi powiekami zaczął się szerzyć, wypełnił nam umysł, nasycił ciało, zapłonął i zabuzował we krwi, pozwoliliśmy, by jego moc, moc tego czym byliśmy, niebieskich elektrycznych aniołów, bogów z maszyny, dotarła aż do palców naszych stóp, sprawiła, że ból stał się tylko jaśniejszym płomieniem gorejącym pośród piekła, a zmęczenie przerodziło się w sen pozostawiony po drugiej stronie koszmaru. Pozwoliliśmy, by nasza krew zapłonęła. By gorejący niebieski elektryczny ogień, ogień tego, czym byliśmy, naszej natury, zapalił się w naszym wnętrzu, na twarzy i na skórze, eksplodował błękitnymi czerwiami płomienia, które strzelały skrami wokół nas. Pozwoliliśmy, by rozgorzał w naszych oczach, wewnątrz naszego ciała, na skórze i we włosach, by szalał, szerzył się i buzował niebieską elektryczną chwałą.

Odrobina naszej krwi, która skapnęła mu na skórę, również zapłonęła. Zobaczyliśmy, że jego twarz skurczyła się z bólu, gdy na ręce pojawił się mu sypiący iskrami elektryczny płomień, wgryzający się w ciało małymi gniewnymi błyskawicami zębów. Gdyby jego pech na tym się kończył, miałby powody do radości. Tak jednak nie było. Małeńka część naszej krwi, jedna milionowa, przedostała się pod jego skórę i do krwiobiegu. Nagle odrzucił głowę do tyłu i zaczął krzyczeć, szarpiąc swoją rękę, jakby próbował ją urwać, a gdy mu się nie udało, złapał się za głowę, jakby to ją chciał sobie zerwać z karku. Zamknął oczy o ułamek sekundy za późno i wszyscy obecni zauważyli, że nagle przybrały intensywnie niebieski kolor, taki sam jak nasze. Zaczął krzyczeć. Krzyczał i krzyczał, a my mu na to pozwoliliśmy. Pozwoliliśmy, by wił się u naszych stóp, ślinił się i szarpał nas pazurami, próbując wypowiedzieć słowo „łaski”. Na to również mu pozwoliliśmy. Uśmiechaliśmy się i

uśmiechaliśmy?

i nadal pozwalaliśmy mu płonąć, radując się wspaniałym ogniem i

- Dość tego - powiedziałem wreszcie.

I zamrugalem, usuwając ogień ze swych oczu.

Cudowne płomienie wycofały się powoli.

Strząsnąłem je ze skóry, wepchnąłem z powrotem do kości, starłem z ramion, pozwoliłem, by zagrzebały się we krwi.

- Dość tego! - powtórzyłem głośniejszym głosem. Krzyki leżącego u moich stóp mężczyzny przeszły w łkanie. - Dość.

Zapadła cisza. Cały krąg umilkł. Poruszyłem gwałtownie rękami, ogień na naszej skórze strawił częściowo taśmę samoprzylepną. Pociągnąłem mocniej i taśma pękła. Na nadgarstkach zostały mi otarcia, ale ból wydawał się nam czymś odległym, choć należało się spodziewać, że będzie dokuczał jeszcze przez wiele godzin. Klęknąłem obok drżącego gigantycznego mężczyzny i dotknąłem jego ramienia czubkami palców. Uniósł wzrok. Jego oczy odzyskały nienaturalną szarą barwę. Po zakurzonej naznaczonej bliznami twarzy spływały łzy. Zobaczył nas i przez krótką chwilę czuł strach. Potem wysunął przebity kawałkiem metalu język, oblizał usta, uniósł rękę i złapał mnie za nadgarstek. Sięgnąłem instynktownie po moc, poczułem ładunki elektryczne napływające mi do palców, ale powstrzymałem się, gdy zobaczyłem, jak na mnie patrzy.

- Zostań moim bogiem - wyszeptał cichym, niemal niesłyszalnym głosem, gapiąc się prosto w moje oczy. W nasze niebieskie oczy.

Uwolniłem instynktownie rękę, wstałem i cofnąłem się o krok.

Wszędzie zapadła cisza.

W całym magazynie.

Ucichły głosy, śmiechy, krzyki, brzęk pękającego szkła.

Odwróciłem się powoli w miejscu, spoglądając w oczy wszystkim, którzy ośmielili się nie odwrócić wzroku. Poczułem, że blizny na wewnętrznej powierzchni mojej prawej dłoni wypełniła krew. Cienkie czerwone linie dwóch krzyży nagle stały się szersze. Zignorowałem to.

- No dobra - odezwałem się, zatoczywszy pełen krąg. - Jesteś gotowy rozmawiać?

* * *

Plemieniem rządziła rada złożona z dziewięciu osób.

Siedzieli na odwróconych pudełkach, kawałkach złomu, a w jednym przypadku na rozbitym sedesie.

Najmłodszy wyglądał na siedemnaście lat.

Najstarszy miał czterdzieści.

Połowę twarzy pokrywało mu jaskrawofioletowe znamię. Do szczątków oderwanego ucha opadało kilka rzadkich kosmyków włosów. W jakimś okresie życia coś wyrwało mu oko, pozostawiając tylko pusty skurczony oczodół.

- Jestem tu szamanem - oznajmił. - Nazywam się Toxik.

Nie dali mi nic, na czym mógłbym usiąść, a ponieważ ze wszystkich sił starałem się powstrzymać wymioty, nie bardzo mogłem stać, więc spocząłem na betonie przed nimi. Skrzyżowałem nogi, trzymając się za obolały niespokojny brzuch.

- Rewelacja - mruknąłem, machając słabo ręką. - Cześć, Toxik. Jestem Matthew, sto któryś Nocny Burmistrz, czarnoksiężnik, niebieskie elektryczne anioły i tak dalej. Słyszałem, że wybieracie się na wojnę z Neonowym Dworem. Może tak... powstrzymalibyście się przed tym?

- Zabili naszych wojownikuf.

- Mówisz w sensie ogólnym, czy chodzi o jakichś konkretnych...?

- W Sidcup spłonął wieżowiec, dwór go podpalił, dwór uwienził naszych wojownikuf w środku i ich zabił.

- A gdybym was zapytał, co wasi wojownicy tam robili...?

Zapadła pełna zakłopotania cisza. Odwróciłem się, próbując odnaleźć najwygodniejszą pozycję.

- Posłuchajcie - podjąłem. - Wiem o tej bzdurze z wybraną. Więc jeśli wasi wojownicy szukali w Sidcup wybranej i Dwór przybył tam z tego samego powodu, powiedzcie mi to jasno.

- Tak było - przyznał po chwili Toxik.

- Świetnie. Cieszę się, że od jednego fałszu uwolniliśmy się w trzydzieści sekund. A więc wasi ludzie poszli do Sidcup poszukać wybranej i zjawili się tam dokładnie w tej samej chwili, co Dwór. Ponieważ...

- Ktoś do nas zadzwonił, powiedziano nam, że mamy tam pójść, dwór zwabił nas w pułapkę.

- Macie na to jakieś dowody?

- Nie - burknął szaman.

- Czyli to mógł być każdy. Mężczyzna czy kobieta?

- Mężczyzna.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem.

- To znaczy, że wasi ludzie przyszli do wieżowca, przespacerowali się po jego

wnętrzu i nagle natrafili na Dwór. Zaczęła się bijatyka, ktoś - powiedzmy sobie szczerze, na tym etapie to mógł być ktokolwiek - wywołał pożar na dolnych piętrach i obie walczące grupy zostały uwięzione na górze...

- Dużo wiesz.

Wzruszyłem ramionami.

- Potrafię być nie tylko przerażający, lecz również skrupulatny. Tak czy inaczej, krótko mówiąc, wszyscy zginęli, domagacie się zemsty, Dwór również i co dalej? Mówicie sobie: „Hej, podpalmy dla jaj jakiś budynek Dworu. To zmniejszy napięcie”.

- Zabrali dziewczynem! co mieliśmy zrobić? siedzieć i czekać, aż nas załatwiom? musimy im jom odebrać, zanim jej użyjom przeciwko nam.

Pochyliłem się, wspierając się na kolanach, by zachować równowagę.

- Kto zabrał jaką dziewczynę?

- Dwór zabrał wybranom!

- Wiecie o tym? Jesteście pewni, że ją mają?

- Mamy kontakty, w wieżowcu nie znaleziono ciał kobiet, wybrana jest kobietom i była w wieżowcu.

- Skąd o tym wiecie?

- Jasnowidz nam powiedział.

- Czy to był O'Rourke? To on was zawiadomił o wieżowcu?

- Nie, nie wiemy, kto to zrobił.

Przygładziłem włosy dłońmi, poczułem pod nimi tłuszcz, brud i inne rzeczy, o których wołałem nie myśleć.

- No dobra. Problem w tym, że Dwór najwyraźniej uważa, że to wy ją macie. Albo ktoś inny. Lady Neon przyleciała do miasta...

- Lady neon tu jest?

- Ehe.

- Kiedy przyleciała?

- Ostatniej... - Przygryzłem wargę. - Chciałem powiedzieć ostatniej nocy, ale to by było nadużycie języka. Pomińmy na razie ten problem. Kilka godzin temu.

Toxik przymrużył powieki. W jego oczach zabłysła nagle inteligencja, świadomość, ale szybko stłumił ten ogień.

- Przybyła tu na wojnem - wymamrotał.

- Ehe, też tak sędę. Problem w tym, że chce, bym odnalazł wybraną. A wy uważacie, że to ona ją ma?

Toxik milczał przez dłuższy czas. Potem wstał i wyciągnął ku mnie przekłutą dłoń.

- Chodź ze mną - rzekł.

* * *

Na dworze było zimno i cicho. W powietrzu unosiła się wilgoć. Pachniało tu rzeką, czystym, wypłukanym mułem z odrobiną soli. Na wodzie kołysało się stado mew czekających na dzień, który uparcie nie chciał nadejść. Toxik wręczył mi coś niebieskiego i śliskiego. Płaszcz przeciwdeszczowy.

- Włóż go - powiedział. - Wyglondasz paskudnie.

Z radością wciągnąłem i zapiąłem płaszcz. Postawiłem kaptur i ruszyłem niczym pustelnik u boku szamana Plemienia. Deszcz mu najwyraźniej nie przeszkadzał. Wyciągnął z kieszeni spodni paczkę papierosów i poczęstował mnie. Potrząsnąłem głową. Wzruszył ramionami, wsadził sobie jednego do ust, osłonił go dłońmi i zapalił, nie zwracając sobie głowy zapalniczką.

Wciągnął dym w płuca, zatrzymał go, a potem wypuścił.

Pozwoliłem mu na to, czekając cierpliwie.

- Ale z ciebie pokrencony skurczybyk - odezwał się wreszcie.

- Ehe. To ja.

- Jeśli rzeczywiście jesteś nocnym burmistrzem, czemu pozwoliłeś na ten syf?

- Jaki syf?

- No wiesz.

Zamachał pięściami w powietrzu, jakby uderzał niewidzialnego przeciwnika.

- Aha. Ten syf. Rzecz w tym... - Chciałem potrząść obolałą twarz, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie i podrapałem się nerwowo w czubek nosa. - Kiedy ktoś jest czarnoksiężnikiem i Nocnym Burmistrzem, a w jego żyłach płynie ogień, ma właściwie tylko dwa tryby działania. Może zachować dyplomatyczną bierność albo przejść do apokaliptycznej destrukcji. Znalezienie trzeciej drogi - no wiesz, złamanie komuś rzepki bez podpalania go - może się okazać trudne.

- Żaden nocny burmistrz się nami nie interesuje.

- Hej, nie zrozum mnie źle, ale nie przybyłem tu dlatego, że jestem Florence Nightingale.

- W takim razie po co?

- Na tym polega moja robota. Nie chcę, żeby na ulicach lała się krew. I...

- I? - powtórzył, znowu się zaciągając.

- W wieżowcu był taki facet. Żebrak, który tam mieszkał. On również zginął w pożarze. Spłonął żywcem. Nie był z Plemienia ani z Dworu. Nie był też wybraną ani nikim w tym rodzaju. Jeśli sytuacja się pogorszy, będzie więcej takich ofiar jak on. Znacznie więcej.

- Dlatego chcesz to powszczymać.

- Tak.

- Ale Dwór złapał cie za gardło, tak? - Zauważył moje wahanie i uśmiechnął się, odsłaniając żółte połamane zęby pełne czarnych plam. - Wiem, że macie traktat z dworem, wszyscy o tym wiedzom, nocny burmistrz zawsze robi to, co dobre dla miasta, nie dla ludzi.

- Nie jestem zbyt tradycyjnym Nocnym Burmistrzem.

- Przepraszam, że oberwałeś.

Wzruszyłem ramionami. Nawet ten gest mnie zabolął.

- Ludzie często tak na mnie reagują.

- W plemienu nie chodzi tylko o szacunek, wiesz? nie tylko o siłę, czy honor i tak dalej, chodzi o to, żeby nie być tacy jak oni.

- Jak oni...?

- Chodzi o to, że cały świat wrzeszczy na ciebie: bondź taki jak my, chodź jak my, gadaj jak my, nie gadasz jak czeba, nie wyglondasz jak czeba, nie jesteś taki, jaki chcemy? to nie jesteś jednym z nas, jesteś chuligan, jesteś zbir, jesteś problem, dzieciaki z nożami, dzieciaki z pistoletami, dzieciaki z gorzałem, dzieciaki z dzieciakami, dzieciaki, na widok których starsze panie uciekajom do konta i mówiom: on nie wyglonda ładnie, nie mówi jak czeba, na pewno chce mnie załatwić, no wiesz, dlatego że jesteś inny, nie robisz tego, czego od ciebie chcom i na pewno majom racjem, ktoś musi mieć racjem, bo inaczej cały świat byłby do dupy, naprawdę do dupy, muszom istnieć absolutne wartości, muszom być zasady, bo inaczej co by znaczyły dobro i zło, słuszność i niesłuszność, prawda i kłamstwo? wszystko to wyłącznie produkty czasuf, w których żyjemy, któregoś dnia dobro i zło, słuszność i niesłuszność znowu sie zmieniom, jak zmieniały sie przedtem, a potem zmieniom sie znowu i znowu, aż wreszcie jutro bendzie zupełnie inne niż dzisiaj, a przyszłość spojrzy na nasz czas i powie, że nasze życie było złe, naprawdę bardzo złe.

- To bardzo skomplikowana filozofia, jak na faceta, który mieszka w baraku.

Wzruszył ramionami.

- Miałem filozofiem na uniwerku.

- Nie wciskaj mi kitu. I co, akademicka kariera nie wydała ci się atrakcyjna?

Łypnął na mnie spode łba.

- Nie słuchałeś mnie, tego właśnie ode mnie chcieli, jakby ich chcenie było

wszystkim, co się liczy.

- I jakie rozwiązanie proponujesz? - zapytałem. - Chcesz po prostu odrzucić wszystko? I dobre, i złe? Przestać się ubierać jak oni i słuchać ich poleceń?

- Tak, jesteśmy tymi, którzy przejrżeli kłamstwo, zrozumieliśmy, że pewnego dnia wszystko się zmieni i nie ma sensu zawracać sobie głowy.

- Bardzo pomocne podejście.

- Czyni nas wolnymi - odparł, strząsając popiół na beton. - Nie dobrymi ani złymi, tylko wolnymi.

Westchnąłem, otulając się ciasniej anorakiem.

- A co macie przeciwko Neonowemu Dworowi? Dlaczego tak bardzo go nienawidzicie?

Wpatrzyłem się w deszcz, jakby szukał tam natchnienia.

- Oni są naszym przeciwieństwem, mówią, że moc jest w pieniądzu, w twarzach, w głosach, ale nie tylko mówią, chcą, żeby wszyscy w to uwierzyli, chcą, żeby wszyscy podziwiali ich urodem i powtarzali „pragniemy też tacy być”, a wtedy mówią im: „możecie to dostać, ale tylko za cenę własnej duszy, wiesz, że mam poddanych? ludzkich niewolników, którzy oddali duszę w zamian za odrobinę urody, za kilka dni, podczas których wszyscy będną im mówić, że są najlepsi i oni też chcą tacy być, ale potem świat się zmienia, a oni się starzeją i zostaje im tylko wspomnienie krótkiej chwili, kiedy świat się do nich uśmiechał, dlaczego na to pozwalasz?

- Ja? Za krótko sprawuję swoją funkcję, bym miał okazję coś w tej sprawie zrobić.

- Jesteś cenił tego wszystkiego.

- Nie kocham Dworu.

- Ale ubierasz się tak, jak oni chcą, gadasz tak jak oni, i robisz to, czego od ciebie oczekują, a kiedy wołają „do nogi”, przybiegasz do nich, bo ładnie mówią i pięknie wyglądamy, nie stać cię na nic więcej.

- Pamiętaj, że osądzasz faceta, który naraził się na poważny syf tylko po to, by z tobą pogadać - przypomniałem mu, kiedy rozdeptał niedopałek i sięgnął po następnego papierosa.

- Chyba należy mi się za to trochę uznania.

- Może, może faktycznie jesteś inny.

Umilkł, delektując się papierosem. Zacząłem machać rękami i podskakiwać, żeby się rozgrzać.

- No dobra - odezwałem się wreszcie. - Rozumiem, dlaczego nie ubieracie się i nie mówicie jak inni, dlaczego nie zachowujecie się... cholera... jak normalne cywilizowane

skurczybyki. W porządku, dopóki robicie to na własną odpowiedzialność, nie mam nic przeciwko temu. Ale nadal nie pojmuję, o co chodzi z tym ucinaniem kawałków ciała i kaleczeniem skóry. Po co to robicie?

- Żeby być kimś wiecej.

- Niż kto?

- Niż ludzie, no wiesz, człowiek to popierdolony gatunek, znamy tylko nienawiść, okrucieństwo i zadawanie bólu, dlatego nienawidzom nas, som dla nas okrutni i zadajom nam ból ci, którzy nienawidzom i zadajom ból, bo nauczyli się tego od tych, którzy ich nienawidzili i zadawali im ból, bo...

- Chyba już rozumiem.

- Nie musimy być tacy, nie musimy być nikim, kim nie chcemy się stać, tylko fakt narodzin czyni nas ludźmi, dlatego postanowiliśmy stać się kimś innym, możesz uważać nas za brzydkich, ale my uważamy, że jesteśmy wolni. - Podsunął mi paczkę papierosów. - Na pewno nie chcesz zajarać?

- Dziękuję, nie.

- Opowiedz mi o niebieskich elektrycznych aniołach - poprosił nagle. - Czym one som?

- Jesteśmy... o czym tu mówić? Widzisz nas. Sam zdecyduj.

Przyglądał się nam długo i uważnie. My również gapiliśmy się na niego, ale odwrócił spojrzenie od naszych oczu. Spróbował zamaskować strach śmiertelnika, strąsając w ciemność popiół z papierosa i kiwając od niechcenia głową.

- Słyszałem o nich - zaczął. - Ale powinniście żyć w przewodach, anioły powstajom z głosuf i myśli pozostawionych w sieci, z ludzkich emocji przetworzonych w elektryczne sygnały, dlaczego jesteście tutaj?

- To długa historia.

- Chętnie jej wysłucham.

- Zabił mnie mój dawny nauczyciel. Robert Bakker? Ehe, słyszałeś o nim. Pragnął przywołać niebieskie elektryczne anioły z przewodów telefonicznych, wykorzystać naszą moc, by przedłużyć swe życie. Chciał, żebym mu pomógł. Odmówiłem i zginąłem z tego powodu. No wiesz, jego cień ożył. Bakker był czarnoksiężnikiem i przestał panować nad swoją mocą. Pewnie tak właśnie się to objawiło. Tak czy inaczej, cień przyszedł po mnie. Nie potrafiłem go powstrzymać i dlatego mnie zabił. Całkiem na śmierć. Ale niezbyt szybko. Zapewne powinien był się pośpieszyć, ale ja... hmm... zdążyłem się dostać do budki telefonicznej. Chciałem zadzwonić pod 999, ale właściwie po co? W niczym by mi nie

pomogli. Dlatego tylko słuchałem. Słuchałem dźwięku telefonów, tego rozległego, otwartego sygnału oznajmiającego, że na drugim końcu łącza jest cały świat. Czekaliśmy. Oddaliśmy w przewody ostatnie tchnienie, wciągnęliśmy w nie moją duszę i pewnie również to, co zostało z ciała. Nie potrafimy opisać świata, z którego przybyliśmy. Ludzkość nie wynalazła słów, które mogłyby wyrazić elektryczną boskość. Bakker ponownie spróbował przywołać elektryczne anioły, wyssać nas z przewodów. Ale popełnił błąd. Chciał przywołać nas, a otrzymał mnie. Ja jestem nami, a my jesteśmy mną. Jesteśmy jednym na zawsze. Jedna krew, jeden umysł, jedno ciało.

- Ale dwa głosy.

Wzruszyłem ramionami.

- To nieświadome.

- Jesteś opętany?

- Nie.

- Jesteś człowiekiem?

- Jasne.

- Ale twoja krew płonie niebieskim ogniem.

- Tylko jeśli jesteśmy naprawdę wkurzeni.

Na moment na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności. Potem się uśmiechnął i potrząsnął głową.

- Nie jesteś taki jak poprzedni nocni burmistrzowie, co?

- Próbowałem to wam powiedzieć.

Znowu zapadła cisza.

- Powiem ci, co mnie niepokoi - odezwał się wreszcie Toxik. - Z nimi nie mogę o tym rozmawiać, wysłuchasz mnie?

- Gadaj.

- Coś mi się zdaje, że słońce nie chce wzejść.

Stałem jak wryty i wbilem w niego spojrzenie, rozdziawiając usta.

- Masz mnie za wariata? - zapytał.

- Jezu! - zawołałem, łapiąc go za ramiona. Wypuścił papierosa i odsunął się niespokojnie. Potrząsałem nim, prawie krzyżąc: - Gdybyś nie był brzydkim facetem, który chce wywołać krwawą głupią i bezsensowną wojnę, zaraz bym cię pocałował!

Wybałuszył oczy. Puściłem go z zawstydzaniem i kaszlnąłem.

- Ale tak się składa, że nim jesteś, więc tego nie zrobię - dodałem spokojniejszym tonem.

Uspokoił się nieco.

- W sumie obaj mamy szczęście - skonkludowałem. - Jak to zauważyłeś?

- Widzem różne rzeczy.

- Chwała Panu! Alleluja!

- Jest też... to drugie proroctwo.

- Słucham?

Westchnął z niemal zawstydzoną miną.

- Som dwa proroctwa o wybranej, nie jedno, o'rourke wygłosił pierwsze, to, które wszyscy chcieliśmy usłyszeć, w którym dwór zostanie zniszczony, a my przetrwamy, ale jest też inne, stworzone przez jedną z szamanek plemienia w manchesterze.

- Plemię ma filię w Manchesterze? - zapytałem obojętnym tonem. - Cholera, pewnie, że ma. I co mówi to drugie proroctwo?

- Mówi ciemność, mówi, że jeśli odnajdziemy wybranom, nastanie ciemność, noc bez końca.

- Coś w tym jest.

- Inni nie chcom tego słuchać, pragniemy walki, wojny z dworem i inni mówiom, że ta szamanka z manchesteru jest stara i już sobie nie radzi, ale ja przyjrzałem się uważnie i widzem, że słońce nie wschodzi, mam rację?

- Masz. Faktycznie nie wschodzi.

- Też to zauważyłeś?

- Ehe.

- I... cockfosters zniknęło.

- Tak, to... słucham? - Mój głos przerodził się niemal w krzyk. Toxik znowu się odsunął, jakby się bał, że mogę go złapać. - Co zrobiło Cockfosters?

- Nie zauważyłeś tego?

- A co miałem zauważyć?

- Plan metra! cockfosters, high barnet, amersham, wszystkie zniknęły, wszystkie dalej położone stacje na planie po prostu... zniknęły, jakby nigdy ich nie było, a kiedy rozmawiam o tym z ludźmi, oni myślom, że faktycznie nigdy nie istniały.

- Pewnie, że istniały! Byłem kiedyś na wieczorze kawalerskim w Barnet, przebrany za krasnoludka.

Znowu byłem bliski krzyku. Toxik machnął niecierpliwie ręką, każąc mi się przymknąć.

- Myślom, że to szaleństwo.

- Cholera, pewnie, że to szaleństwo. Jak długo już to trwa i dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

- Ludzie nic nie wiedzą, tak samo, jak nie zauważyli, że słońce nie wschodzi, jakby nic nie widzieli, wszystko zaczęło się w sidcup. cokolwiek wydarzyło się w tym wieżowcu, wyniknęło z tego tylko samo zło.

Pomyślałem o Odzie i jej krwawiących oczach.

- Myślisz, że to ma związek z wybraną?

- Na pewno.

- A co o niej wiesz? Znasz jej imię? Albo kod pocztowy? Masz zdjęcie?

- Znam imiem. o'rourke nam je podał.

- Zawsze to coś. I jak się nazywa?

- JG.

- JG... - powtórzyłem. - Co to za gówniane imię?

- Powiedział, że jej imiem brzmi JG i jest wybranom, a potem ktoś zadzwonił i powiedział, że musimy jechać do wieżowca w sidcup, bo...

- JG tu była - wyszeptalem.

W jego oczach pojawił się błysk. Pochylił ku nam głowę.

- Co takiego?

- Hmm... to graffiti. W wieżowcu. Widziałem... hm, było tam.

Pokiwał powoli głową, znowu zaciągnął się papierosem i uniósł go nieostroźnie w padającym deszczu.

- Myślałem, że pożar zniszczył cały budynek - odezwał się wreszcie.

- Jestem skrupulatny, pamiętasz?

Uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Minęliśmy kolejny róg i rozpoczęliśmy drugi etap wędrówki po porcie.

- I co masz zamiar teraz zrobić? - zapytał Toxik.

Wzruszyłem ramionami.

- Właściwie nie wiem.

- Pokonałeś tak długom drogę i nie wiesz?

- Planowałem przekonać was i Dwór, żebyście na jakiś czas wstrzymali się z zabijaniem się nawzajem, a także zdobyć trochę informacji o wybranej. To naprawdę wszystko, co wiesz? JG?

- Wiemy, że była w wieżowcu, kiedy się spalił, ale potem nie znaleziono tam jej ciała, myślimy, że zabrała jom lady neon, ale jeśli nie jesteś tego pewien, to co właściwie mamy

zrobić?

Próbowałem skryć się głębiej w płaszczu, ale przekonałem się, że dotarłem już do jego dna.

- A co, jeśli dzieje się tu coś innego? - zapytałem po chwili. - Jeśli w sprawę wmieszała się trzecia siła, jakieś inne skurczybyki?

- Na przykład kto?

- Nie wiem. Ktoś, kto chce wojny, kto próbuje wyruchać i Dwór, i Plemię. Słyszałeś o Zakonie? - zapytałem po chwili.

- Nie.

- To banda religijnych maniaków, fanatyków, którzy pragną zniszczyć magów i wszystkie ich dzieła.

Wzruszył ramionami.

- To brzmi raczej średniowiecznie, myślisz, że to ich robota?

- Kto wie?

- Wiesz co? podobało mi się to, co powiedziałeś o fałszu i o tym, że powinniśmy się od niego uwolnić.

Spojrzałem z uśmiechem na własne buty.

- Ehe. Pomijając akty przypadkowej przemocy, poszło całkiem nieźle. Czy mogę ci zaufać?

- Ja ci zaufałem, tak?

Starłem z westchnieniem deszczówkę z czubka nosa. Poczułem w ustach smak krwi.

- Mam pewność, że dzieją się rzeczy wykraczające poza Dwór i Plemię, ale jeszcze nie wiem, czym one są. W sprawę są zamieszani też inni ludzie i cały ten interes z bezkresną nocą i zniknięciem Cockfosters wcale nie musi mieć nic wspólnego z wybraną. - Nagle uderzyła mnie nowa myśl, spóźniona, ale potężna. - Chyba że wasza wybrana chodzi po świecie z puddingiem zamiast oczu?

- O'rourke...

- Nic o tym nie wspominał? - zapytałem z westchnieniem. - To mnie zdumiewa. Wiesz, że rozmawiałem z nim. Wyglądał mi na dupka.

- Trudno teraz znaleźć jasnowidzów, bo większość z nich nie żyje.

- Chciałem tylko wskazać, że luka na rynku wcale nie musi przyciągać towaru najwyższej jakości. Posłuchaj, jeśli znajdę tę malutką wybraną i zdołam załatwić sprawę z tobą, z nią i z Dworem, to czy będziemy mogli odłożyć tę całą wojnę?

- Inni chcom walczyć - odparł ze smutkiem. - Szczycimy się tym, że jesteśmy inni, ale

w końcu okazujemy się tacy sami. gniewni i gwałtowni, nienawidzimy wszystkich, bo oni nienawidzom nas, i w końcu nikt już nie pamięta, kto zaczął.

- Nie sprawiasz na mnie wrażenia zbyt gniewnego i gwałtownego.

Wzruszył ramionami.

- Mam już swoje lata i pragnę czegoś więcej niż to, w co wierzyłem jako dzieciak.

- To znaczy, czego?

Wessał z zamyśleniem powietrze przez poślizki zęby.

- Pewnie... darmowych leków na receptę, spania na materacu korekcyjnym, wakacji nad morzem, centralnego ogrzewania. - Zobaczył moją minę. - Tylko mnie nie wydaj, jeśli stracę plemię, nie będnem miał nikogo.

- Twoja tajemnica jest bezpieczna - zapewniłem. - To jak będzie z powstrzymaniem tej wojny?

- Nie mam już tak wielkiej władzy, dzieciaki chcą walczyć. Chcę wrzeszczeć na cały głos, ale mogę to robić tylko po ciemku.

- Ale spróbujesz, prawda?

Podrapał się po podbródku, kalecząc białą skórę metalowymi paznokciami.

- Tak, ale niczego nie obiecuję.

- Niech i tak będzie. - Zdjąłem płaszcz, przerzuciłem go sobie przez ramię i podałem mu. - Dziękuję, że mi go pożyczyłeś.

Przyjął płaszcz ze wzruszeniem ramion i cisnął go od niechcenia pod ścianę. Wyciągnąłem do niego rękę. Wahał się przez chwilę, a potem uściśnął mi dłoń. Skórę miał zimną i wilgotną, a uścisk godny stalowego imadła. Kiedy puścił moją dłoń, musiałem się powstrzymać przed potrząśnięciem nią, żeby przywrócić krążenie. Uśmiechnąłem się i odwróciłem, by odejść.

- Swift?! - zawołał za mną.

Zatrzymałem się i obejrzałem za siebie.

- Słucham?

- Jeśli znajdziesz wybranych... jeśli jom znajdziesz i nie będniesz z dworem, lepiej przyprowadź jom tutaj.

- Naprawdę?

- Ehe.

- A dlaczego?

Wyciągnął z paczki kolejnego papierosa i wsadził sobie do ust.

- Dlatego, że jeśli tego nie zrobisz, plemię pomyśli, że jesteś po stronie dworu, a

wtedy zabije cie i wybranom też, żeby nie wpadła w rence lady neon. chciałem, żebyś o tym wiedział.

Uśmiechnąłem się, odsłaniając zęby i słabość.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

Wzruszył ramionami i zapalił papierosa.

- Hej, Toxik? - Odwróciłem się bokiem, spoglądając na niego. Jego twarz lśniła w ciemności słabym pomarańczowym blaskiem. - Chodzi mi o tę waszą wojnę z Dworem. Jako Nocny Burmistrz muszę ci powiedzieć, że to pieprzona bzdura. Miasto jest nieporównanie większe niż ta wasza nawalanka. Zabijesz Lady Neon albo ona zabije ciebie, a pod koniec dnia, kiedy wszystkie karty będą już policzone, a żetony ułożone na stole, nikt się tym nie przejmie.

Przez jego oszpeconą twarz przemknął cień czegoś, co mogło być smutkiem.

- To wszystko, co mamy - odparł cicho. - Wszystko, czym jesteśmy.

* * *

Znalazłem Penny w odległości około czterystu jardów od metalowego magazynu Plemienia. Leżała zwinięta na stosie opon pod porzuconym nabrzeżem. Twarz przykryła sobie kaskiem. Oczy miała zamknięte, a usta rozchylone. Oddychała powoli, pogrążona w głębokim śnie.

Przykłęknąłem obok i zdjąłem torbę z jej ramienia. Poruszyła się lekko. Jej głowa się przetoczyła, jakby dziewczyna próbowała się podnieść, ale grawitacja i zmęczenie ściągnęły ją z powrotem w dół. Sięgnąłem do torby i wyciągnąłem komórkę.

Miałem trzy nieodebrane połączenia, wszystkie od pani Dees.

Zadzwoiłem do niej.

Odebrała niemal natychmiast.

- Pan Burmistrz? - zapytała cichym, przepojonym niecierpliwością głosem.

- Cześć.

- Gdzie pan jest? Wszystko z panem w porządku? Nie może pan się tak oddalać...

- Jestem w Woolwich, nic mi się nie stało i mogę. Dziękuję, że pani zapytała.

Usłyszałem długie, powolne westchnienie. Pani Dees starała się zapanować nad gniewem. Gdy znowu przemówiła, jej głos był cichy i spokojny.

- Chcemy, żeby jak najszybciej wrócił pan do British Library.

- Dobra. A w jakim celu?

- Chodzi o... tę sprawę ze słońcem. Może być w tym coś więcej, niż mi się z początku

zdawało.

- I? - odpowiedziałem.

- I? - powtórzyła. - I co?

- I w tej właśnie chwili należałoby powiedzieć: „Ojej, panie Burmistrzu, może powinnam...”.

- Tak, oczywiście - przerwała mi, gdy zjawilo się zrozumienie. - Przepraszam, panie Burmistrzu. Miał pan rację, a zbiorowa mądrość miasta wraz z całą nagromadzoną przez nie wiedzą i umiejętnościami ten jeden jedyny raz była w błędzie. Bardzo mi przykro, że rozum przegrał, a pan zatriumfował. Od tej pory będę się starała uprzejmiej wątpić w pana słowa i mam nadzieję, że uczyni mnie to mądrzejszą. - Przerwała. - Tego właśnie pan chciał, prawda?

Westchnąłem.

- Już jadę.

* * *

Musiałem obciążyć swoje sumienie obudzeniem Penny.

Znalezienie czynnej stacji metra również nie było łatwe.

Potrzebowaliśmy dwóch autobusów, by dotrzeć do Bromley-by-Bow, stacji na linii District Line, której głównym zadaniem było obsługiwanie Blackwall Tunnel oraz centrum recyklingu. Brama była otwarta, a mężczyźni i kobiety w niebieskich mundurach stali na posterunkach. Oczy mieli przekrwione, a twarze zmęczone. Słońce nie chciało wzejść, a ludzie, ze swymi dokładnie nastrojonymi zegarami biologicznymi, zaczęli płacić za to cenę.

Siedzieliśmy w jadącym na zachód pociągu, mijając stacje pełne matowych ceramicznych kafelków i ogólnego podmiejskiego zaniedbania.

- Przepraszam - odezwała się Penny.

- Za co?

- Za to, że zasnąłam. Powinnam... no wiesz... skopać komuś tyłek i tak dalej.

- Nie szkodzi. Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

- Masz taki czerwony ślad wielkości pięści...

- Tak to bywa, żeby zacytować znanego amerykańskiego polityka. Wszystko w porządku. Śpij.

Westchnęła i wtuliła się głębiej w siedzenie w brązowo-czarną kratę. Powieki znowu zaczęły jej opadać. Uszczypnąłem się, by moje nie podążyły za ich przykładem, skupiłem się na tym, by siedzieć prosto i zachować przytomność umysłu. Na jednym z siedzeń po drugiej

stronie siedziała kobieta o popielatej twarzy i rozczochranych włosach. W jednej ręce miała teczkę, a drugą trzymała dziecko. Wyglądało na około pięciu lat i miało na sobie niechlujny niebieski mundurek.

- Ja chcę do domu - poskarżyło się.

Matka nie odpowiedziała.

- Ja chcę do domu, ja chcę do domu, ja chcę do domu! Mamo!

Kobieta nawet na nie nie spojrzała. Wpatrywała się tylko w pustkę. Gazeta leżąca na fotelu była tą samą, którą czytałem, wracając z Heathrow - te same nagłówki, te same błahostki - tyle że bardziej zmiętą. Głowa Penny podskakiwała na moim ramieniu. Myślałem o wybranych, o prorocत्वach i o ich implikacjach. Z takich spraw nigdy nie wynikało nic dobrego.

Na betonowej ścianie stacji Mile End jakiś żartowniś napisał:

czeka na ciebie

a ktoś inny, równie dowcipny, uściślił:

na końcu zaułka.

Obok ulokowano gigantyczną reklamę demonstrującą potężne mięśnie brzucha, jakie zapewnia facetowi bielizna z Marks & Spencer. Miałem wielką ochotę zjeść śniadanie. Odnosiłem wrażenie, że czuję wypełniającą tunele woń Tłustego Szczura, słyszę w łoskocie silnika tupot jego stóp.

Próbowaliśmy przesiąść się do innego pociągu na stacji Monument, ale powiedziano nam, że to niemożliwe z uwagi na pilne prace remontowe. Wysiedliśmy i pokonaliśmy na piechotę kilkaset jardów dzielące stacje Monument i Bank. Wściekałem się na myśl o tym, jak bardzo ten mały spacer zwiększy koszt biletu do Euston.

Pojechaliśmy Northern Line prosto na północ, do małego labiryntu, którym był dworzec Euston, pułapka pełna schodów ruchomych oraz znaków nakazujących podążać za tą linią w tamtym kierunku, ale nie za tamtą w tym. Krążyły pogłoski o sprytnych czarnoksiężnikach, którzy nauczyli się naginać zasady rządzące czasem i przestrzenią na dworcu Euston, powodując, że minuty trwały godziny, a godziny całe dni. W łukowatych lustrach umieszczonych na zakrętach można było ponoć niekiedy dostrzec odbicia, choć za rogiem nikogo nie było. Nie byłem pewien, czy w to wierzę. Stacja Bank sprawiała wrażenie znacznie odpowiedniejszego miejsca do manipulacji czasem.

Główną halę, nudną monotonną białą przestrzeń ukrytą wewnątrz nudnego monotonnego czarnego prostopadłościennego dworca wypełniały ogromne pomarańczowe tablice zapowiadające odjazdy pociągów. Uniosłem wzrok. Pociąg do Birmingham Snow Hill

odwołano, a większość pozostałych miała nieokreślone opóźnienie. Zatrzymałem się przy planie metra i przyjrzałem się mu uważnie, a Penny tymczasem kupiła nam bułki z kielbasą i czarną kawę na śniadanie. Plan był karłowatą wielobarwną mapą układu krążenia cierpiącego z powodu zatorów. Zwyczajowe końce większości linii zniknęły, pozostawiając tylko białe plamy. Cockfosters, Amersham, Uxbridge, Upminster, Epping, Morden, a nawet Heathrow wymazano, jakby nigdy nie istniały. Penny przystanęła obok i wręczyła mi plastikowy kubek z gorącą kawą oraz torebkę zawierającą dziewięć części tłuszczu na jedną część bułki i mięsa. Z radością zabrałem się do jedzenia.

- Zauważyłaś coś dziwnego? - zapytałem, sypiąc okruszkami.

Penny gapiała się na plan długo i uważnie.

- Nie wiem - mruknęła wreszcie. - A powinnam?

- Cockfosters, Amersham, Uxbridge...?

Jej twarz wyrażała całkowite niezrozumienie.

- Heathrow?

- Słyszałam o Heathrow - przyznała. - To było... hmm... takie... miejsce, do którego pojechałeś... hmm... to drugie miejsce... no wiesz... hmm... - Jej głos ucichł. - Nie - stwierdziła wreszcie. - Przykro mi. Nic mi to nie mówi.

- Lotnisko - podpowiedziałem.

- Tak jest! Jezu! Głowa mi dziś nie funkcjonuje.

- Zauważyłaś coś jeszcze? - zapytałem, wskazując kubkiem z kawą na tablicę odjazdów.

- Hmm...?

- Żaden z pociągów opuszczających Londyn nie odjeżdża. Odwołano je albo mają nieokreślone opóźnienie. Nie wydaje ci się to dziwne?

Zmarszczyła czoło z zaskowaniem.

- Hmm... nie? - Oboje umilkliśmy. - O cholera - dodała Penny.

- Hmm? - zapytałem z pełnymi ustami.

- „Nie” to nieprawidłowa odpowiedź, zgadza się?

- Zgadza - odpowiedziałem radośnie.

- Czuję się... jakby... coś w tym rodzaju... jak ktoś, kto przypadkiem przeszedł przez pajęczynę i jest przekonany, że ściągnął ją z siebie, ale nie ma pewności, czy pająk nie został we włosach. Tak właśnie się czuję. Czy to coś znaczy?

- Ehe.

Szturchnęła mnie mocno w ramię.

- A co?

- No dobra... jesteś pod wpływem zaklęcia - odpowiedziałem spokojnie. - Twój umysł skłoniono do tego, by nie przejmował się tym, że poza Londynem nic nie ma, plan się kurczy, a słońce nie wschodzi. Nie czyn sobie wyrzutów. Wszyscy ucierpieli z tego powodu. Spójrz na jasną stronę! Jesteś jedną z mniejszości wybranych, którzy w ogóle coś zauważyli. Osiem punktów na dziesięć możliwych, dobra robota!

Penny gapiła się na mnie przez dłuższą chwilę. Skończyłem jeść i przeszedłem do poważnego zadania, jakim było zlizywanie okruszków z palców.

- Kurwa, to naprawdę dziwne, że taki skurczybyk jak ty został zbawcą pieprzonego miasta - stwierdziła Penny.

- Dziękuję - odparłem. Skończyłem zlizywać okruszki i zgmiotłem torebkę. - Bardzo mnie pocieszyłaś. Chodź, musimy...

Odwróciłem się nagle.

Obok stał jakiś facet.

Miał białe włosy i skórę spieczoną przez gorące słońce tropików. Dziś miał na sobie marynarkę od garnituru, elegancką niebieską koszulę, dżinsy oraz buty do squasha. Nie widziałem broni, ale to nic właściwie nie znaczyło. Uśmiechał się, ale to znaczyło jeszcze mniej. Skupił spojrzenie na tablicy odjazdów, ale jego słowa były przeznaczone wyłącznie dla mnie.

- Czy to rzeczywiście tragedia, że pociąg do Coventry odwołano? - zapytał.

Otarłem grzbietem dłoni okruszki z ust i przekonałem się z zaskoczeniem, że włoski na całej długości ręki stanęły mi dęba. Magia była gotowa do akcji, a ja nawet nie zauważyłem, kiedy ją przygotowałem. Rozejrzałem się powoli po sali, zatrzymując wzrok na oknach każdego sklepu i wszystkich drzwiach. Mężczyzna w kawiarni odwrócił się ode mnie. Kobieta kupująca bilet pochylała się nisko nad automatem. Para podróżnych z bagażami świadczącymi, że wybierają się w dalszą drogę, podziwiała śmieszne krawaty na wystawie sklepowej. Zadałem sobie pytanie, czy na dworcu Euston są dobre miejsca do rozmieszczenia snajperów, a jeśli tak, to czy kiedykolwiek uda się ich złapać?

- Penny, zostaw nas na chwilę - powiedziałem kącikiem ust.

- Kurwa, kto to jest? - zapytała moja uczennica, gapiąc się na mężczyznę z całą nieuprzejmością tych, którzy nie chcą dać się zastraszyć.

Otworzyłem usta, by jej odpowiedzieć, ale mężczyzna mnie ubiegł.

- Młoda damo, nazywam się Anton Chaigneau i jestem przywódcą organizacji, której Bóg zlecił zniszczenie pani i wszystkich pani podobnych - odparł. - Była pani kiedyś młodą

pobożną kobietą, Penny Ngwenya. Modliłem się o to, by odnalazła pani odkupienie i uniknęła płomieni wiecznego potępienia.

- Bez jaj - odparła Penny, otwierając szeroko oczy.

- Hej, przynajmniej modlił się za ciebie - zauważyłem z westchnieniem. - Pod tym względem ma nade mną przewagę. Czego pan chce, Chaigneau?

- Porozmawiać z panem, panie Burmistrzu, jakbyśmy obaj byli prawie cywilizowanymi ludźmi. Jestem tu sam.

- Nie pragnie pan zostać męczennikiem? - warknąłem.

- Sprawa dotyczy kobiety zwanej Odą - wyjaśnił z błyskiem irytacji w kąci oka. - Zna ją pan, jak sądzę?

Oklapłem.

- Zapraszam do mojego gabinetu.

* * *

W pobliżu dworców nigdy nie można znaleźć dobrego miejsca, żeby się napić. Stacja Euston nie była wyjątkiem. Pub, który znaleźliśmy, był blisko położony, pusty i ciemny, można też w nim było znaleźć usytuowane daleko od okien zakamarki osłonięte przed spojrzeniami przechodniów, ale poza tym nie miał zbyt wielu zalet. Automat do gry migotał osłepiającymi światłami żółtej i czerwonej barwy, które pędziły jak oszalałe mrówki w kłębiącym się labiryncie, dywan był cienki i nasączony rozlanym piwem, a barmanka - studentka o zaspanym spojrzeniu mówiąca ze wschodnioeuropejskim akcentem - podawała napoje w szklankach naznaczonych plamami po szmince pozostawionymi przez poprzednie klientki. Sprawiała wrażenie zbyt zmęczonej, by niepochlebnie skomentować złożone przez nas zamówienie - woda z kranu, dwie paczki cebulowo-serowych chrupków oraz sok żurawinowy dla Chaigneau. Ceny były paskarskie. W jednym z kątów ustawiono telewizor, pokazujący powtórki starych sitcomów z lat osiemdziesiątych, w których wszystkie kobiece głosy wznosiły się do tonacji, od której trzęsła się ziemia, a przy każdym poruszeniu brwiami rozlegały się śmiechy. Pobrudzone piwem podstawki na szklanym blacie naszego stolika oznajmiały, że nikt nie umie się bawić lepiej od Australijczyków, i zapraszały do wycieczki na Puchar Świata w rugby w roku 2001, celem sprawdzenia tej teorii.

Zajęliśmy nieciekawym nieoświetlonym kącikiem. Usiadłem obok Chaigneau, a Penny zajęła miejsce po mojej drugiej stronie. Nie byłem pewien, czy próbuję osłaniać ją przed nim, czy raczej na odwrót.

- Czy pana uczennica naprawdę musi nam towarzyszyć? - zapytał Chaigneau.

Spojrzałem na Penny.

- Nie wiem. Dlaczego jej nie zapytamy?

Rozpromieniła się.

- Cholera, po prostu uwielbiam popieprzonych religijnych fanatyków! - zawołała głosem nieco tylko stłumionym przez zmęczenie.

- Tak - przetłumaczyłem na użytek Chaigneau. - Chyba musi. No dobra, niech mi pan opowie o Odzie.

- Pragnę panu pomóc, czarnoksiężniku.

- No jasne.

- Posiadam informacje, które mogą być ważne dla bezpieczeństwa miasta.

Pozwoliłem, by cisza trwała, licząc na to, że na mojej twarzy maluje się chęć słuchania, choć odrobinę rozcieńczająca naturalną dla nas nienawiść.

- Zakon zdobył informacje, że kobieta zwana Odą poślubiła siły ciemności.

Czekałem przez chwilę na coś więcej.

- Czy mówimy o... obrączkach, dzwonach i miesiącu miodowym na Ibizie? - zapytałem wreszcie. - Czy może ma pan na myśli coś konkretnego?

- To nie pora na żarty.

- Przepraszam, to mój mechanizm obronny. A więc Oda zadała się z mocami ciemności. Co to za moce i dlaczego to zrobiła?

- Nie jesteśmy pewni - odparł po chwili wahania, wpatrując się w miejsce położone tuż nad moją głową.

- Którego punktu?

- Obu. Zabiła co najmniej dwoje ludzi w hotelu w Greenwich. Przynajmniej o tylu wiemy. Podejrzewamy, że mogło ich być więcej. A środki, jakich użyła, nie pochodzą od Boga. Nie będę pana okłamywał. Nasze stosunki z nią znacznie się oziębily.

- Przed tymi zabójstwami w Greenwich czy po nich? - zapytała skwaszonym tonem Penny.

W jego oczach pojawił się błysk.

- Oda zboczyła ze ścieżki już jakiś czas temu. Od wielu miesięcy nie była prawdziwą służką Zakonu.

- Sądzi pan, że ten związek z ciemnością i śmiercią trwa już od dawna? - zapytałem z ustami pełnymi chrupek.

- W pewnym sensie.

- Panie Chaigneau, jako psychopatyczny świr, który morduje ludzi i uważa, że czyni

dobro, czego właściwie pan ode mnie oczekuje?

- Oda może się stać zagrożeniem dla nas wszystkich. Jeśli ją pan spotka...

- Chce pan, żebyśmy zabił jednego z waszych ludzi? - zapytałem wprost.

Nie odpowiedział. Nie musiał tego robić.

- Cholera, ależ z pana skurwysyn.

Poruszył nerwowo żuchwą.

- Zapewne zabraknie dla mnie miejsca w niebie, panie Swift. Pogodziłem się z tym. W tej sprawie nie chodzi mi o własny los, tylko o los wielu innych.

- Myślę, że to świętoszkowate bzdury, jeśli mnie pan o to pyta - odezwała się Penny, spoglądając na nas znad brzegu szklanki.

Chaigneau zwrócił się ku niej. Gdy ich oczy się spotkały, poczułem drzenie czegoś, co mogło być strachem albo gniewem.

- Panno Ngwenya, czy zadawała pani sobie pytanie, jaki jest pożytek z magii? Potrafi pani walczyć z innymi magami i szerzyć zniszczenie, powodować tragedie, a w najlepszym razie łagodzić skutki tragedii, które już spowodowała magia. Czy umie pani uzdrawiać? Czy pracuje pani, działa na rzecz wspólnego dobra? Co z pani za pożytek?

Siorbnęła głośno w odpowiedzi, ale w jej oczach pojawiło się światło, które oglądałem w nich bardzo rzadko i które z reguły zapowiadało ogień.

- Gdy spotka pan Odę - ciągnął Chaigneau - zapewniam, że jeśli podejmie pan kroki przeciwko niej, Zakon nie uzna tego za akt agresji. Ona stanowi zagrożenie dla wszystkich i wszystkiego. Zboczyła ze ścieżki, światło w jej duszy zgasło. Mówię panu o tym, ponieważ jest pan Nocnym Burmistrzem, złem koniecznym, z którym nawet ja muszę od czasu do czasu współpracować, by ocalić życie i dusze wielu innych.

Wstał, odsuwając ledwie tknięty sok żurawinowy na środek brudnego blatu.

- Zrobi pan, co pan zechce, panie Burmistrzu.

- Serdeczne dzięki.

Wysunął się z naszego kącika, gotowy odejść, ale odwrócił się jeszcze i spojrzał nam w oczy.

- To pana вина - oznajmił cichym znużonym głosem. - Nikogo innego, panie Swift. To, co stało się z Odą. Z jej ciałem, sercem, umysłem i duszą. Pana вина. Niech pan się nad tym zastanowi.

Odwrócił się.

- Panie Chaigneau - zawołałem go.

Zatrzymał się, ale nie spojrzał na mnie. Widziałem jego łopatki, rysujące się pod

ubranie.

- W Sidcup jest wybrana - oznajmiłem.

Nie poruszył się. Tkanina unosila się i opadała w rytm jego oddechu.

- A słońce nie wschodzi - dodałem.

Obrócił głowę w bok i obejrzał się na mnie przez ramię, jakby nie chciał mnie zaszczycać swoją obecnością w większym stopniu niż to konieczne.

- To właśnie problemy tego rodzaju skłaniają mnie do zachowania pana przy życiu - odparł.

Wyprostował się i odszedł.

Penny odprowadzała go wzrokiem. Sięgnęła po szklankę i zaczęła pić jego sok żurawinowy. Skrzywiła się z niesmakiem.

- Nigdy nie jest taki dobry, jak się tego spodziewam - stwierdziła po kilku łykach. - Nie znoszę, jak coś się marnuje.

- Ten facet... - zacząłem.

- Tak?

- Zapamiętaj go sobie.

- Jasne. A dlaczego?

- Dlatego, że kiedy zginę, będzie próbował cię załatwić.

Uniosła brwi.

Skierowałem na nią wzrok, ale nie chciała spojrzeć mi w oczy. Zaciskała palce na szkle. Wyciągnąłem do niej rękę i wstałem. Ujęła ją niepewnie i pozwoliła, bym podniósł ją na nogi.

- Wiesz co? - wyszeptałem, gdy zebraliśmy swe nieliczne rzeczy. - Jeśli chodzi o ten strach...

- Tak? - zapytała nieco zbyt głośno.

Zawahałem się, czując, że moje słowa zamieniają się w ciche frazesy.

- Jest znacznie rozsądniejszy niż alternatywa - wymamrotałem.

- Jasne - odparła, wzruszając ramionami. - Skoro tak mówisz. Dokąd teraz, szefie?

* * *

Wróciliśmy do British Library. Drzwi wejściowe były otwarte, a w środku paliło się światło, padające na szerokie schody. Ochroniarz spał, a recepcjonistki miały szare, znużone twarze. Pośrodku sali stała kobieta o kręconych kasztanowych włosach, ubrana w niebieski żakiet włożony na wyszywaną cekinami suknię, w jednej ręce trzymająca plecak. Wahala się,

nie wiedząc, czy wchodzi, czy wychodzi. Spojrzałem na wysokie sufity i wyłożoną śliskimi płytkami podłogę.

- Nie mam pojęcia, w którą stronę iść - wyznałem.

- Do jakiego stopnia jesteś skłonny mi zaufać? - zapytała z uśmiechem Penny.

Poprowadziła mnie w dół, do serii korytarzy, wyglądających, jakby uciekły z miejscowej pływalni. Minęliśmy przyprawiające o zawrót głowy dzieło sztuki, cechujące się dziwnymi liniami i niezwykłymi proporcjami, przeszliśmy przez szatnię pełną szafek z szarej stali, dotarliśmy do drzwi, na których grubymi czarnymi literami napisano: „**Nieupoważnionym wstęp wzbroniony**”, a potem ruszyliśmy na dół. Słyszałem szum wentylatorów i furkot wind, tak samo jak poprzednio, czułem też zapach książek i płynu do czyszczenia. Penny otworzyła ciężkie dwuskrzydłowe drzwi o mosiężnych uchwytych i weszła do małej recepcji o pokrytej dywanami podłodze.

- Widzisz? - zaczęła. - Zupełnie jak...

Zza biurka spoznał na nas mężczyzna w czarnym kapeluszu.

- Psst - przerwał jej, unosząc palec do ust.

Penny zrobiła skwaszoną minę, ale popchnęła kolejne drzwi i poprowadziła mnie do sali, w której za szkłem bez końca poruszały się książki, sufit był wysoki, zimna podłoga ciągnęła się daleko na wszystkie strony, a na samym jej środku ustawiono biurko, które zawstydziliby Ikeę swą rozklekotaną prostotą. Siedział za nim Rajca w długim czarnym płaszczu. W klapie miał mały znaczek w kształcie tarczy, ozdobiony dwoma krzyżami londyńskiego City. Spał głęboko. W kącie sali były małe otwarte drzwi. Płynęło z nich białe światło. Słyszeliśmy dobiegające z nich ciche głosy. Podeszliśmy, zajrzeliśmy do środka i zobaczyliśmy niezliczone szeregi półek, ciągnące się w wypełnioną mgiełką dal. Wszędzie roило się od Rajców. Jeden z nich nas zauważył i na jego twarzy pojawił się wyraz rozpoznania. Mężczyzna oddalił się pośpiesznie.

- A więc tak wygląda ten cały akademicki syf, tak? - zapytała Penny z zamyśleniem w głosie.

- Nie mam pojęcia - odparłem. - To nie moja specjalność.

Rajca po chwili wrócił, prowadząc za sobą panią Dees. Kobieta położyła rękę na moim ramieniu i pociągnęła mnie szybko między półkami do korytarza wypełnionego zapachem starego papieru i sznurka.

- Dobrze, że pan wrócił, panie Burmistrzu. Bardzo się cieszę. Widzę, że odzyskał pan wzrok? To świetnie, znakomicie. Doszło do kilku wydarzeń...

Trudno mi było dotrzymać jej kroku. Było dla mnie tajemnicą, jak krótkie nogi mogły

nadać jej drobnemu ciału tak wielką prędkość. Minęliśmy róg i przeszliśmy do drugiego korytarza, który równie dobrze mógłby być pierwszym. Moje spojrzenie przyciągnęło kilka tytułów.

Nekromancja: Dowód istnienia Boga i piekła?

Inwokacje dla idiotów (drugie wydanie)

Wszystkiego, co wiem o magii, nauczyłem się od gнома imieniem Reginald: wspomnienia maga

Przywoływanie wyzwolone - Kogo masz za plecami?

Kolejny róg, kolejny korytarz. Ujrzelśmy niskie drzwi z szarego metalu. Pani Dees popchnęła je, przepuściła mnie przodem, a potem odwróciła się, zagradzając drogę Penny.

- Muszę porozmawiać z panem Swiftem w cztery oczy.

- E tam! Jestem jego pierdoloną uczennicą. Pierdoloną zdzirą, która wykonała całą pierdoloną czarną robotę...

- To ściśle osobista sprawa - oznajmiła pani Dees. - Choć jesteśmy bardzo wdzięczni za pani wysiłki, musimy ją załatwić szybko, dyskretnie i na osobności.

Penny była wściekła.

- Pani Dees? - zapytałem ostrożnie. - Jak bardzo osobista i jak bardzo dyskretnie?

Zwróciła się ku mnie. Na jej twarzy pojawiło się coś, co niemalże mogłoby być zalem.

- Sprawa dotyczy Roberta Bakкера.

Uniosłem brwi, bardzo się starając nie zrobić nic bardziej ekstremalnego.

- Dobra. W porządku. Zapewne powinniśmy porozmawiać.

Pani Dees skinęła krótko głową i zamknęła za sobą drzwi, odcinając nas od reszty świata.

* * *

Znajdowaliśmy się w pokoju badań.

W British Library najwyraźniej był taki pokój. Wysoką czarną leżankę nakryto białym papierem, biała zasłona była rozchylona, a na niskim biurku o licznych szufladach stały srebrnawy zbiornik z metalu, aparat do mierzenia ciśnienia oraz waga szalkowa. Jakby sytuacja tego wymagała, było tu też dwóch Rajców, sprawiających wrażenie, że traktują się zbyt poważnie, a także mężczyzna w białym fartuchu.

- Proszę usiąść - rzekła pani Dees, wskazując mi leżankę.

Przysiadłem na jej krawędzi, wspierając się na otwartych dłoniach.

- Pani Dees, powinna pani wiedzieć, że nie lubimy medycyny - odezwałem się. - Co tu

jest grane?

Westchnęła. Nagle wydała mi się za mała, zbyt krucha, zmęczona i samotna. Gdzieś w południowym Londynie zostawiła męża i dziecko, którzy mogli już się zastanawiać, gdzie się podziała. Uszczypnęła się w grzbiet nosa.

- No dobra - powiedziała, przymykając oczy. - Słońce nie wschodzi.

- Niech pani mi powie coś, o czym jeszcze nie wiem.

Wykrzywiła usta w grymasie niezadowolenia.

- Granice miasta się kurczą. Najdalej położone dzielnice, Barnet, Amersham, czy Croydon, wszystkie... zniknęły. Nie zauważyliśmy tego, nikt z nas tego nie zauważył, dopóki nie spróbowałam zadzwonić do domu i nie przekonałam się, że zapomniałam numeru. Są też inni Rajcy, którzy znają osoby mieszkające na przedmieściach. Żaden z nich nie zdołał się z nikim skontaktować. Mogłoby się zdawać, że miasto samo się zwija. Wiedział pan o tym? - zapytała, być może ostrzej niż zamierzała.

- Ehe.

- Nie próbuje pan...

- Powiedział mi o tym członek starszyny Plemienia. Miły gość. Studiował filozofię na uniwersytecie.

- Rozmawiał pan... - Wstrzymała oddech. - No pewnie, musiał pan porozmawiać z Plemieniem, prawda? Fakt, że ambasador Neonowego Dworu grozi nam wypowiedzeniem wojny, bo nie chcemy spełnić ich żądań, z pewnością nie powstrzymałby pana...

- Przepraszam, ale ten fragment, w którym przekonałem Plemię, żeby na razie nie wszczytało wojny, i przy okazji dowiedziałem się czegoś więcej o „wybranej”, na przykład tego, że dziewczyna nosi wpadające w ucho imię JG, Plemię jest przekonane, że przetrzymuje ją Dwór, i na odwrót... wszystko to z pewnością nie ma żadnej wartości, tak?

- Mogło się panu coś stać.

- Ale na szczęście nic się nie stało. Odbyliśmy sympatyczną pogawędkę i, zważywszy wszystko razem, uważam, że trochę się posunąłem naprzód. Rozmawiałem nawet z głową Zakonu, psychopatą nazwiskiem Chaigneau, który zapytał mnie bardzo uprzejmie, czy zechciałbym zabić Odę. Swoją drogą, kłamał w jakiejś sprawie, ale nie mam pojęcia w jakiej. I czy to nie miłe, że pozwoliłem, by spuścili mi łomot, mimo że gorąco pragnąłem unicestwić wszystko przed nami, i zrobiłem to tylko po to, by ułatwić zawarcie tych drobnych dyplomatycznych transakcji? - Mój uśmiech był niewzruszony jak sztywne wydatki budżetu. Pani Dees niemalże drżała z wyczerpania. Napięcie wydostawało się na zewnątrz przez jakąś lukę w jej litej skorupie. Pozwoliliśmy, by trwało to jeszcze chwilę.

- I co z tym słońcem...? - zapytaliśmy wreszcie.

Zgarbiła się. Głowa opadła jej na bok.

- Znaleźliśmy pewne odniesienia - odpowiedziała głosem, który nigdy by nie przyznał, że jest bliski załamania. - To już się kiedyś wydarzyło.

- To już pewnie coś. Znaleźliście O'Rourke'a?

- Nie. W jego domu było pusto. Na dywanie została krew.

- Czy ktoś próbował się wydostać z Londynu?

- To nie... - zaczęła. - To nie takie proste. Z miasta nie odjeżdżają żadne pociągi.

Kiedy pytamy, odpowiadają nam, że są opóźnienia, a dalsze dociekania wpadają w zamknięty krąg. Kiedy pociągi znowu zaczną kursować? Gdy skończą się opóźnienia. Co spowodowało opóźnienia? Wypadek. Jaki wypadek? Mamy opóźnienia. Miasto nie zdaje sobie sprawy, że rzucono na nie zaklęcie. Spróbowaliśmy opuścić Londyn samochodem. M11 tworzy zamkniętą pętlę i wraca do punktu wyjścia, zanim dotrze do M25. Mijamy skrzyżowanie i nagle się okazuje, że jedziemy z powrotem do miasta. To samo dotyczy M4, M40 i M2. Blackwall Tunnel zamknięto z powodu zalania. Prom z Woolwich nie kursuje. Na objazdach samochód zatacza pętlę i wraca do punktu wyjścia. Ulice stały się ślepe, a na murach, w miejscach, gdzie kiedyś były drogi, ktoś napisał „koniec trasy” starą blaknącą farbą, jakby te słowa były tam od niepamiętnych czasów. Plan miasta... no cóż.

Wskazała końcem bladego palca na bliższego Rajcę.

Mężczyzna wydobyl z głębokiej ciemnej kieszeni głębokiego ciemnego płaszcza przewodnik po mieście i wręczył mi go. Przerzuciłem kartki. Wiele stron było pustych. Tam, gdzie powinny być opisane ruchliwe ulice pogranicza miasta, został tylko matowy kremowózłty papier. Oddałem przewodnik Rajcy.

- Czuję się bardzo zmęczony... - oznajmiłem.

- Tak jak my wszyscy.

- Macie jakieś dobre wieści?

Pani Dees poruszyła się nerwowo.

- Wiemy, z czym mamy do czynienia.

- A dlaczego właściwie wygląda pani, jakby przed chwilą połknęła małą myszkę?

- To się panu nie spodoba. Nawet w najmniejszym stopniu.

- Niech mnie pani zaskoczy.

Zrobiła to.

Drugie interludium

Reperkusje

*W którym w podziemiach British Library
opowiada się historię stworzenia zwanego
Zaciemnieniem.*

- Jest stare. Prawie tak samo stare, jak miasto - zaczęła pani Dees. - Kiedy Rzymianie założyli Londyn, było, czy raczej był, diabłem uzbrojonym w maczugę, szalonym miejscowym duchem, który czał się za świątynią Mitry, by po ciemku rozszarpywać swych wrogów na strzępy. Później, kiedy ulice stały się zaułkami, a trakty przerodziły się w błoto, stał się kimś, kto czał się na granicy światła pochodni, ledwie widocznym cieniem, który gasił pochodnie wędrujących po mieście strażników i rozbijał im głowy o mury kościołów. Ponoć to przez niego gang Mohawków wpadł w szal w osiemnastym wieku, gwałcąc i okaleczając nie dlatego że jego członkowie czuli wielką potrzebę, by to robić, lecz po prostu dla rozrywki, dlatego, że się nudzili i życie nie miało dla nich znaczenia. Kiedy ulice pokryto brukiem, zaczął się upodabniać do tego, co znamy teraz; odgłos kroków, stukających o kamień, kiedy nikogo nie widać, jeśli odwrócisz głowę, dźwięk może nadal być słyszalny, ale jego nie zobaczysz, a jeśli mrugniesz, zginiesz. Kiedy w czasach wiktoriańskich zaczęto wprowadzać uliczne oświetlenie, był cieniem na końcu zaułka, ledwie widzialnym i zaraz znikającym. Zawsze unikał światła i zjawiał się, kiedy zabrakło gazu. Według niektórych bardziej ekscentrycznych źródeł był Kubą Rozpruwaczem, uważam jednak, że dowody na to są mocno wątpliwe. Naloty rzecz jasna dodały mu sił. Światła gasły w całym mieście, przeklinano księżyc za to, że pozwala bombowcom odnaleźć Londyn, zaciągano zasłony, a na ulicach panowały spokój i cisza. W takiej właśnie sytuacji człowiek z cywilnej obrony lotniczej mógł najłatwiej usłyszeć nagle kroki, które nie były jego krokami, obejrzeć się za siebie i zginąć. Wtedy też nadano mu to imię, Zaciemnienie. Cień na końcu ulicy, kroki ledwie słyszalne

pośród nocy.

Może pan zapytać: ale czym on właściwie jest?

Odpowiedź brzmi tak, że nikt nie wie tego na pewno. Być może ideą, która przechodzi z ciała do ciała, poprzez wszystkie wieki, zamieszkuje umysły tych, którzy są najokrutniejsi, najbardziej samotni i czują największy strach, skłaniający ich do straszliwych uczynków. Mówimy o nim w rodzaju męskim, ale to nie jest do końca właściwe. Nie ma płci ani fizycznej postaci. Niemniej do tej pory miał w zwyczaju okupować umysły mężczyzn, nie kobiet, by popychać ich do czynów, przed którymi wzdrygnąłby się nawet najbardziej zatwardziały zbrodniarz. Jest nie tylko zabójcą, ale mordercą. Nie śledzi ofiar, lecz poluje na nie. Zjawia się wszędzie, gdzie zgasną światła, czai się tuż po drugiej stronie zaczerpniętego w strachu oddechu.

Ale tylko raz w całym swych dziejach stał się tak potężny, że mógł zatrzymać słońce. Tylko raz opanował umysł, którego gniew, furia, wściekłość i pasja były wystarczająco wielkie, by powstrzymać słońce przed wzejściem, a całe miasto przed przejściem do następnego dnia, a do tego zniweczyć wszelkie możliwości ucieczki.

Oto być może najlepszy sposób na to, by zrozumieć, czym jest Zaciemnienie.

Jak już mówiłam, szczyt mocy osiągnął podczas nalotów: strach, przerażenie, zwątpienie, wszystko to jest paliwem, które go napędza, otwiera umysły na jego wpływy.

Nie wspominałam jednak, że powojenny okres również był dla niego bardzo łaskawy. Żołnierze wracali po pięciu latach i przekonywali się, że ich domy legły w gruzach, rodziny się zmieniły, dzieci nie żyją albo dorosły, a ich umysły zaciemniło to, co widzieli. Anglia lat pięćdziesiątych nie sprzyjała demonstrowaniu emocjonalnych blizn. Duch Dunkierki, niestety, nie tolerował przelewania łatwych łez. Umysły były otwarte dla Zaciemnienia. Smog był gęsty i czarny, a ulice mroczne, brudne i pełne dziur. Mógł bez wysiłku wpływać na myśli ludzi, bezkarnie na nich polować. Jego ofiary łatwo było zidentyfikować. Ich oczy wypełniała krew, podobnie jak nosy i uszy, a mózgi eksplodowały. I to były tylko te proste morderstwa. Policja nie potrafiła nic zdziałać, muszę też z przykrością przyznać, że Rajcy wyciszyli większość przypadków, by zapobiec zbyt intensywnym dochodzeniom. Wiedzieliśmy, czym jest Zaciemnienie, ale stworzenia, które wędruje z umysłu do umysłu i z ciała do ciała, nie sposób powstrzymać, nie wspominając już o zabiciu go. Rajcy uśmiercili mnóstwo jego naczyń, w kostnicach było wielu mężczyzn, których oczy zamieniły się w galaretę, a paznokcie były czarno-czerwone od krwi ich ofiar, ale Zaciemnienie jako idea, stworzenie na końcu zaułka, żyło dalej.

Wreszcie, w roku 1958, wszedł do umysłu młodego mężczyzny, członka Plemienia

nazwiskiem Woods. Plemię nie wyglądało wówczas tak jak obecnie. Ono zmienia się z biegiem czasu. Jeśli coś zyskuje akceptację społeczną, Plemię to porzuca i znajduje nowy sposób na to, by być wyrzutkiem. Ów młodzieniec nie żył w czasach sprzyjających ludziom będącym w jego sytuacji. Był sierotą wojennym i, jak wielu innych, wychowywał się w domu, którego jeszcze nie poddano należytemu nadzorowi. Myślę, że śmiało można powiedzieć, że go maltretowano i już we wczesnym okresie życia zademonstrowano mu, że w życiu nie czeka go nic innego. Był wrażliwym chłopakiem w czasach, w których wrażliwi mężczyźni nie byli modni. Szczegóły jego życia są niejasne, nie zarejestrowały ich ani państwowe archiwa, ani Plemię.

Woods na pewien czas znalazł w Plemienu coś w rodzaju azylu. Rozpoczął tradycyjny proces transformacji charakterystyczny dla tej grupy: samouszkodzenia, blizny, ozdabianie skóry tuszem i krwią, by w ten sposób zdobyć moc i magię. Mam wrażenie, że ich przekonania wyglądają tak, że pozbawiając się cech, które świadczą dla nas o człowieczeństwie, staną się kimś więcej niż ludźmi. Woods jednak nawet w Plemienu czuł się nieszczęśliwy, ponieważ jego członkowie, bez względu na całe swe gadanie o wolności, są konformistami i starają się być inni w sposób sprawiający, że wszyscy wyglądają tak samo. Co więcej, starszyzna Plemienia, spoglądając na Woodsa, dostrzegła w nim ciemność, kałużę smoły na dnie jego duszy, głębszą i bardziej gwałtowną niż wszystko, do czego byli przyzwyczajeni nawet wśród swoich współbraci. To ich przstraszyło.

Woodsa wygnano z Plemienia, nie wiemy, za jaki uczynek. Po kilku tygodniach spróbował odebrać sobie życie. Nie udało mu się i za próbę samobójstwa skazano go na więzienie. Tam podjął kolejną próbę, podcinając sobie żyły w celi. Wykrwawił się i umarłby tam, ale w chwili śmierci coś się w nim zmieniło. Według jednego ze świadków, jego oczy nagle stały się czarne, inne źródło nie zgadza się z nim jednak, twierdząc, że wyglądały jak rozlany atrament zmieszany ze zmielonym ciałem. Dlatego wydawały się czarne, choć w rzeczywistości przypominały raczej atramentowo-mięsny pudding. Poblady z powodu utraty krwi, nadal krwawiący z ran na nadgarstkach. Woods wstał i spokojnie wyszedł z celi. Od tej chwili relacje stają się nieco chaotyczne. Niektórzy twierdzą, że światła zgasły i nie było słyhać nic poza jego krokami. Inni zapewniają, że strażnicy próbowali go powstrzymać, ale ginęli po prostu dlatego, że spojrzeli mu w oczy. Niektórzy się ukryli. Inni uciekli. Jeszcze inni próbowali zwać razem z nim. Jeden z nich twierdzi, że pewien strażnik strzelił Woodsowi prosto w pierś, a ten tylko się zachwiał, a potem uniósł głowę i znowu ruszył naprzód.

Bez względu na to, w którą z tych opowieści uwierzymy, według archiwów Rajców,

dwanaście osób zginęło, cztery oślepy, a dwie doznały poważnych uszkodzeń mózgu z powodu krwotoków wewnętrznych. Sprawę wyciszono tak szybko, jak tylko się dało. A potem oczywiście słońce nie wzeszło.

Z żalem muszę powiedzieć, że wszystko odbyło się w sposób podobny do tego, co obserwujemy dzisiaj. Tylko niewiele osób w mieście zauważyło nieobecność słońca: Nocny Burmistrz, Stara Bezdomna, Król Żebraków oraz paru jasnowidzów i czarnoksiężników. Ale słowo Nocnego Burmistrza było prawem i gdy tylko uświadomiono innym istnienie problemu, łatwo było ich przekonać. Żałuję, że czasy się zmieniły i żyjemy obecnie w bardziej dynamicznej, korporacyjnej epoce. Zwołano spotkanie wszystkich ważniejszych postaci w mieście - w tym również przedstawiciele Plemienia oraz Dworu - i postanowiono, że wszyscy wspólnie znajdą rozwiązanie problemu Woodsa i Zaciemnienia, pozwalające raz na zawsze zakończyć sprawę. Dwór był jeszcze wówczas małą organizacją, a Plemię niespecjalnie chciało występować przeciwko jednemu ze swoich. Niemniej udało się zawrzeć porozumienie. Zgodzono się, że sprawą pokieruje Nocny Burmistrz. Nazywał się Aronson. Swoją drogą, był członkiem Izby Lordów, ale to przecież były zupełnie inne czasy. Aronson razem z grupą Rajców, którym pomagali jasnowidze, czarnoksiężnicy i magowie, wytropił Woodsa i próbował go pojmać. Jedenaście osób zginęło, cztery przeżyły. Woodsa nie udało się schwytać. Aronson był jedną z ofiar. Jego oczy zamieniły się w pustkę, a w sercu miał dziurę wielkości pięści.

Następnym Nocnym Burmistrzem została, wbrew panującej wówczas modzie, kobieta. Nazywała się Manswala i nie była nawet Rajczynią, lecz osobistą sekretarką Aronsona. Ów fakt wywołał pewien niepokój, ale wkrótce stało się jasne, dlaczego tytuł przypadł właśnie jej. Była ostrożniejsza i mniej arogancka niż większość. Zamiast natychmiast stawić czoło Zaciemnieniu, postanowiła zbadać sprawę. Niektórzy krytykowali ją, że działa zbyt wolno, ponieważ w ciągu kilku dni, które poświęciła na poznanie wszystkich szczegółów historii Zaciemnienia, a także Woodsa, siedem osób zginęło powolną okrutną śmiercią na końcu zaułka.

Jedną z ofiar była poddana Neonowego Dworu, której uroda i urok uczyniły ją ulubienicą Lady Neon. Była Hinduską. Powiadają, że miała oczy koloru szmaragdów i włosy czarne jak noc, a Lady Neon kochała ją i uwielbiała, i to z wzajemnością. Z pewnością to właśnie jej uroda i urok sprawiły, że Woods postarał się zachować ją przy życiu, jak mówił wynik badania patologicznego, przez co najmniej dwa dni, podczas gdy dopuszczał się wobec niej... czynów, które zapewne wszyscy potrafimy sobie wyobrazić. Lady Neon się wściekła i rozkazała oddziałom Dworu natychmiast zaatakować Woodsa. Manswala ostrzegła przed

pochopnymi krokami, ale Lady Neon była władczynią swego ludu i nikt nie mógł jej powstrzymać. Ciało daimyo, który dowodził atakiem, znaleziono powieszono za kostki głową w dół pod centralnym pałacem Neonowego Dworu półtorej doby później. Okaleczono go okrutnie przed śmiercią, a także po niej.

Po dziś dzień obwinia Plemię, współbraci Woodsa, za to, co spotkało jej daimyo i jej faworytę. Za okaleczenia i za fakt, że nie wyeliminowali Woodsa, kiedy mieli szansę. To jednak były tylko dwa preteksty, które na nowo rozpały dawną nieufność. W obliczu czegoś tak odrażającego i upokarzającego trudno się dziwić, że szukała kozłów ofiarnych.

Lady Neon ponownie odbyła rozmowę z Burmistrzem Manswałą i tym razem zgodziła się przestrzegać jej zaleceń we wszystkich sprawach dotyczących Zaciemnienia. Obiecała też pomóc na miarę swych możliwości w eliminacji groźby, przed którą stanęło całe miasto. Ta ugoda stała się podstawą traktatu zawartego przez Dwór i Rajców w roku 1959. Obawiam się, że pragnąc zapewnić sobie pomoc Lady Neon w walce z Zaciemnieniem, mogliśmy pójść na zbyt wielkie ustępstwa.

Ale słońce nadal nie wschodziło.

Trwało to pięć dni, jeśli w przypadku ciągnącej się bez końca nocy można mówić o „dniach”. Manswała prowadziła rozmowy, spierała się i zastanawiała nad tym, jak najlepiej powstrzymać Woodsa, a on tymczasem stawał się coraz potężniejszy. Ukrywanie jego poczynań przed cywilnymi władzami stało się niemal niemożliwe. Obnażał bezradność otaczających go ludzi, wybierając sobie coraz wyżej postawione ofiary - daimyów, Rajców, członków starszyny Plemienia - chcąc sprowokować wszystkich do próby zniszczenia go. Pod wieloma względami był to jednak najmniej ważny z problemów Nocnego Burmistrza. Słońce nadal nie wschodziło, a miasto pozostawało odcięte od świata. Zaczęło to wpływać na wszystkich mieszkańców. Czar rzucony przez Zaciemnienie sprawiał, że funkcjonowali w warunkach zaburzenia zegara biologicznego, nie wiedząc, czy powinni pracować, bawić się, czy spać albo jechać autobusem lub metrem, otwierać sklep czy go zamykać, i tak dalej. Wszyscy krążyli po mieście, pogrążeni w bezsennym delirium, jakby przed chwilą przybyli z innej strefy czasowej. Do sklepów nie dostarczano towarów, niektóre odcinki metra funkcjonowały, a inne były wyłączone, pojawiły się przerwy w dostawach prądu i wody, rodzice spali, a dzieci biegały po ulicach, doszło do nasilenia przemocy, a policjanci nie wiedzieli, czy są na służbie, czy nie, wzrosła liczba przyjęć do szpitali, a dyżurujący lekarze nadal nie mogli zasnąć, więc piątego dnia nikt już nie odważył się operować, w obawie przed uśmierceniem pacjenta. Ludzi dręczyły halucynacje i lęki, zwyczajni obywatele bali się wychodzić z domów, by nie usłyszeć kroków na końcu zaułka, czy nie spotkać czegoś ledwie

widocznego w świetle latarni, ponieważ magia Zaciemnienia jest magią cieni i strachu, sprawiającą, że rozum mówi jedno, a instynkt coś zgoła innego. Na koniec wszyscy zaczęli po prostu zasypiać. W całym mieście ludzie padali z nóg albo zapadali w sen, siedząc lub leżąc, i nie sposób ich było obudzić. Nawet magowie, ci, którzy wiedzieli, co się dzieje, nie byli w stanie powstrzymać senności.

W tej sytuacji Manswala uznała, że musi działać, i ponownie ruszyła do ataku z oddziałem złożonym z czarnoksiężników, Rajców oraz żołnierzy Dworu. Tym razem przygotowano plan mający wciągnąć Woodsa w pułapkę, unieruchomić i zbadać. Mieli nadzieję, że zdołają powstrzymać Zaciemnienie raz na zawsze i ich plan miał spore szanse sukcesu.

Znaleźli go.

Rzucono zaklęcie, ale mieli za mało czasu, byli zbyt zmęczeni i za bardzo się bali. Choć walczyli zacięcie, nie zdołali go uwięzić. Zabił ich. Dziesiątki najpotężniejszych magów epoki. Zamordował wszystkich, niektórych szybko, innych powoli. Manswalę uśmiercił tak wolno, jak tylko mógł. Ponoć przestała krzyczeć na długo przed śmiercią.

Tylko garstka pozostała przy życiu. Skryli się w ciemności przed Woodsem i zamykali oczy, sparaliżowani strachem.

Wszyscy poza jednym.

Uczeń czarnoksiężniczki podążył za nauczycielką do boju i widział wszystko, ukrywając się w kącie. Nie wiemy, dlaczego ten młody mężczyzna, wówczas jeszcze nastolatek, poczuł potrzebę narażania życia w tej sprawie, uczynił to jednak. Ów uczeń był potężniejszy od swych towarzyszy, stawał się wybitnym użytkownikiem magii i z czasem uznano go za jednego z największych czarnoksiężników epoki. Widział, jak Zaciemnienie zabija jego przyjaciół, kolegów i jego nauczycielkę, patrzył, jak krzyczą i umierają, a jednocześnie stworzył własny plan i przygotował własne zaklęcie. Zacerpnął mocy od żalostnej garstki niedobitków, dzięki niej zapalił światło nad swoją głową i - sam pośród całej tej krwi - stanął do walki z Zaciemnieniem. Reszta uciekła, odczołgała się albo oddaliła w inny sposób, zostawiając ucznia samego, a gdy bitwa się skończyła i światła zgasły, spojrzeli na wschód i zobaczyli wschodzące słońce.

Uczeń czarnoksiężnika przegnał Zaciemnienie.

Po wielu godzinach walki w ciemności zdołał znaleźć słaby punkt w zbroi przeciwnika i wypędzić Zaciemnienie z miasta. Woods nie żył, jego ciało zostało rozerwane na strzępy, została tylko garstka kości i skrawków skóry, a słońce wschodziło. Uczeń ostrzegł jednak, że Zaciemnienie może powrócić i pewnego dnia z pewnością to zrobi. Trzeba było

palić światła, dbać o bezpieczeństwo ulic, mieć oczy otwarte i być przygotowanym. Gdy tylko zapadnie wystarczająco głęboki mrok, Zaciemnienie się zjawi.

To był kolejny powód do zawarcia traktatu z Dworem. Nocny Burmistrz i Lady Neon zgodzili się wspólnie strzec ulic i zapewnić zapalone światła, odpędzające cienie.

Tak oto miasto się obudziło i zapomniało, że kiedykolwiek spało.

Obawiam się, że inni również zapomnieli. Magowie, Rajcy, a nawet czarnoksiężnicy, którzy zasnęli jako ostatni podczas pięciodobowej nocy, obudzili się nie do końca pewni, co się właściwie stało i dlaczego ich ubrania cuchną tak nieprzyjemnie. Dlatego, jak zawsze czynią ludzie, potrząsnęli głowami i wrócili do codziennych zajęć, nie zastanawiając się zbyt intensywnie nad sprawami, które mogłyby zakłócić im spokój. Dwoje Nocnych Burmistrzów, którzy uczestniczyli w walce, zginęło, a nowego nie wprowadzono w sprawę. Nieliczni ocalali spisali relację, ale Lady Neon nie chciała zachowywać wspomnienia o tak gorzkich klęskach i wkrótce opuściła miasto, przenosząc się do swych pałaców w innych krainach, gdzie nie przywoływało wspomnienia krwi, która splamiła jej próg. Ocalali Rajcy również spisali relacje, ale szybko przykryła je masa innych meldunków składających się na historię naszej organizacji. Ponieważ Zaciemnienie wygnano i nic nie zapowiadało jego powrotu, cała historia szybko przerodziła się w ostrzeżenie, które z czasem stało się legendą, ta zaś mitem, o którym wreszcie zapomniano. I wystarczyło na to kilka pokoleń. Rajcy z reguły nie żyją długo. Podejrzewam też, że ci, którzy mimo wszystko przeżyli wiele lat, woleli nie pamiętać o tych dniach. Kombinacja nieostrożności, strachu, utrzymujących się skutków zaklęcia oraz pragnienia, by zapomnieć o wszystkim i nie kłopotać się tym więcej - wszystko to wpłynęło na zapisy o owych wydarzeniach. Myśleliśmy, że odszedł na zawsze, więc czemu mielibyśmy o tym pamiętać?

Poza tym, tylko jeden człowiek wiedział, co naprawdę się wydarzyło w noc śmierci Woodsa, a on prawie nigdy o tym nie mówił. Rozkazał tylko, by zawsze palono latarnie przez całą noc. Mówiono, że widział owej nocy zbyt wiele krwi i jakaś część jego duszy umarła albo się wypaczyła, przybierając kształt, o jakim lepiej nie myśleć. Co więcej, ów młody człowiek stał się potem niewiarygodnie potężnym i utalentowanym czarnoksiężnikiem, a czyny, jakich dokonał w wieku średnim, były tak niezwykle, że tylko niewielu ludziom chciało się pytać o to, jak zaczęła się jego kariera, czy choćby o tym pamiętać. Niestety, na starość uległ zepsuciu, jego moc wkroczyła na mroczną ścieżkę i gdy zginął, niemal wszyscy, których znał, przeklinali jego nazwisko. Z tego powodu trudno było zaakceptować jego wcześniejszą mądrość i osiągnięcia.

Podejrzewam, panie Burmistrze, że potrafi już się pan domyślić, jak się nazywał ten

czarnoksiężnik.

W końcu był pańskim nauczycielem.

I rzecz jasna również pańskim zabójcą.

I to pan zakończył tę część mojej opowieści, owej nocy, gdy go pan zabił.

Z pewnością domyśla się pan też, że dla człowieka takiego jak Robert Bakker, śmierć nigdy nie jest ostatecznym końcem.

* * *

Pani Dees skończyła mówić.

Spojrzałem na podłogę, a potem na sufit.

- Czy naprawdę ściągnęła mnie tu pani tylko po to, by mi powiedzieć, że jedyny facet, który wiedział, jak powstrzymać Odę, nie żyje?

- Nie.

- Nie? Tak też sądziłem.

- Robert Bakker nie żyje - przyznała. - I faktycznie, był jedynym człowiekiem, który wiedział, jak powstrzymać Zaciemnienie, ale, niestety, pozostawione przez niego zapiski nie należą do jasnych.

- To cholernie typowe - stwierdziłem z westchnieniem - Wie pani co? Gdybym otrzymał pensa za każdy przypadek, gdy prorocy zapomnieli zaopatrzyć swe mistyczne dywagacje w wyjaśnienia...

- A teraz Zaciemnienie znowu jest z nami - przerwała mi.

- Tak. Skurczybyk wrócił, prawda? Przejdźmy do rzeczy.

Westchnęła.

- Panie Burmistrzu, mamy ostatnie tchnienie Roberta Bakкера.

- Co macie? - zapytałem z wymuszonym uśmiechem, głosem spokojnym jak wezbrane morze.

- Kiedy sojusznicy, których pozyskał pan w centrali telefonicznej w Kingsway, wzięli szturmem Wieżę i życie Roberta Bakкера dobiegło końca, rzecz jasna wiedzieliśmy o wszystkim. Rajcy nie chcieli interweniować, ponieważ Bakker pomagał nam w utrzymaniu porządku w mieście. Z pewnością jednak był zabójcą, a wkrótce mógł się też stać zagrożeniem, któremu w najbliższej przyszłości musielibyśmy stawić czoło. Pan rozwiązał za nas ten problem, nie byliśmy jednak pewni, jak się zakończy wasze spotkanie, i dlatego uznaliśmy, że dobrze byłoby mieć na miejscu obserwatora.

- Wiedzieliście, co się dzieje?

- Tak.

- Niech was...

- Jesteśmy Rajcami - przerwała mi ostrym tonem. - Może być pan pewien, że gdybyście pan albo pan Bakker stali się poważną groźbą dla miasta, podjęlibyśmy niezbędne kroki. Wyglądało jednak na to, że zamierzacie zniszczyć siebie nawzajem, nie nas. Widzieliśmy, jak pańscy sojusznicy szturmują Wieżę, zauważyliśmy oznaki walki. W samym środku nocy zarejestrowaliśmy nagły wzrost magicznej mocy na szczycie budynku, magiczne spotkanie, jakiego nie widziano w mieście od blisko pięćdziesięciu lat. Czy wie pan, panie Swift, że podczas pańskiego starcia z panem Bakkerem dwie podstacje w centralnym i zachodnim Londynie przestały działać? Że pod New Oxford Street trzeba było później wymienić pół mili wodociągów, a nieopodal Charing Cross Road doszło do wycieku gazu? W takich przypadkach nikt nie myśli o logistyce. Walczyliście ze sobą i Bakker spadł na ziemię. Nie muszę dodawać, że zginął na miejscu. Ledwie było co pochować. Nasi obserwatorzy byli jednak szybcy i zdawali sobie sprawę, że warto zachować jakąś pamiątkę po tym niezwykle potężnym i uczonym człowieku. Dlatego jedna z nas wzięła plastikową torebkę, a gdy Bakker wypuścił z płuc ostatnie tchnienie, owiązała mu ją wokół głowy, by je uwięzić. Zabrano go do naszej kostnicy, gdzie jego oddech można było zachować dla potomności. Innymi słowy, panie Burmistrzu, jego śmiertelne tchnienie, podsumowanie i zakończenie całego życia. Sądzę, że oboje rozumiemy moc zawartą w takich sprawach.

- A gdybyśmy to my spadli zamiast niego? Czy wyświadczylibyście nam podobną przysługę?

- Nie - odparła. - Naszym obserwatorom nie polecono schwytać pańskiego ostatniego tchnienia.

- To...

- Byliśmy jednak przygotowani do pobrania, zbadania i opisania pańskiej krwi.

Unieśliśmy wzrok z błyskiem w oczach, zaciskając dłonie tak silnie, że aż kostki nam zbiały.

- Chcieliście...

- Panie Burmistrzu, proszę tego nie brać do siebie. Jest pan mistyczną osobliwością, czymś jedynym w swoim rodzaju. Zawsze warto rejestrować podobne sprawy. Teraz jest pan jednym z nas. Z pewnością pan to rozumie.

Wstaliśmy, zaciskając zwisające nam po bokach pięści, by powstrzymać buzujący w nich gniew.

- Rajczyni, nie jesteśmy i nigdy nie będziemy jednym z was. Nie jesteśmy... jakimś

łapiduchem czekającym cierpliwie na obiekt sekcji, nie... zachowujemy bierności w obliczu podobnych wydarzeń.

- Matthew, byłam z tobą szczerą - odparła.

Poczułam chłód. Oczy mi płonęły.

- Co więc pani proponuje? - zapytałam.

Wskazała na metalowy zbiornik stojący na biurku.

- Zna pan moc ostatniego tchnienia?

- Tak.

- Potrzebujemy informacji. - Przerwała na chwilę. Potem znowu przywdziała profesjonalną maskę i zaczęła recytować fakty bez śladu uczucia. - Ta magia działa najlepiej, gdy odbiorcę łączyła ze zmarłym ścisła więź. Inklinacja do mistycznych operacji również jest korzystna. Najlepszy byłby jasnowidz, ale niestety, nie mamy żadnego i brak nam czasu, by jakiegoś odnaleźć. Korzystne jest też, jeśli dzieliło się krew ze zmarłym. Mam wrażenie, że Robert Bakker był zafascynowany pańską krwią. Zgadza się?

Nie odpowiedziałam.

- Proces przebiega na różne sposoby. Czasami subtelnie. Po prostu odbiorca uświadamia sobie, że pamięta wszystko, co mógł wiedzieć zmarły. W innych przypadkach efekt jest głębszy, słaby umysł może niekiedy dać się przytłoczyć poczuciu obecności zmarłego, przejąć cechy czy aspekty jego świadomości. Może się to też objawić inaczej. Nie zaleca się podobnej procedury nikomu, kto cierpi z powodu psychicznych objawów, takich jak omamy, urojenia albo gwałtowne sny. Efekt jest jednak tylko tymczasowy. Mogą wystąpić skutki uboczne, takie jak suchość w ustach, poczucie nadciągającej zagłady, a jeśli zmarły zginął gwałtowną śmiercią, również echo bólu. Niemniej, to jedynie echo. Śmiertelne tchnienie człowieka nie zawiera jego duszy, nawet jeśli przyjmiemy, że coś takiego istnieje. To tylko fragment tego, kim był.

Popatrzyła na mnie niepewnie.

- Panie Burmistrzu, nie robi pan na mnie wrażenia kogoś, dla kogo słaba wola byłaby problemem.

- Tak - zgodziliśmy się. - Ma pani rację.

Zastukała palcami w krawędź zbiornika. Rajcy milczeli, nie spuszczać z nas wzroku.

- Nie prowadzilibyśmy tej rozmowy, gdyby istniał łatwiejszy sposób - dodała pani Dees.

- Niech pani to zrobi... burknąłem. - No, jazda. Proszę otworzyć pojemnik i wciągnąć w płuca ostatnie tchnienie pana Bakkera. Niech pani wpuści do własnego mózgu wiedzę,

doświadczenie, mądrość i psychopatyczne mordercze skłonności nieżyjącego czarnoksiężnika, którego cieniowi wyrastały szpony, gdy tylko zaszło słońce, a potem ruszał wypruwać wnętrzności swym znajomym. My nie mamy zamiaru.

- Zrobiłabym to, gdybym mogła. Mam nadzieję, że pan mi wierzy.

- Schlebia mi pani zaufanie.

- Dzielił pan krew z Bakkerem, zanim umarł. W ten sposób tworzy się potężna więź, ułatwiająca przyjęcia ostatniego tchnienia. To prawie tak, jakby był pan jasnowidzem...

- Mam omamy wzrokowe i słuchowe - oznajmiłem. - Wsadźcie to sobie.

Popatrzyła na mnie z wyrzutem.

- Panie Burmistrzu...

- To prawda! Odkąd odzyskałem wzrok, pamięta pani? Zacząłem widzieć dziwne rzeczy.

- Jest pan Nocnym Burmistrzem, a miasto zaatakowano...

- Kilka godzin temu była pani gotowa rozpoznać u mnie zespół stresu pourazowego! Naprawdę sądzi pani, że dzielenie mózgu z echem faceta, który mnie zamordował, pomoże mi się uspokoić?

Westchnęła, cofnęła dłoń i wzruszyła ramionami, nieco zbyt dramatycznie.

- Proszę bardzo. Decyzja należy do pana. Nie będziemy pana zmuszać.

- Słyszę to z radością.

- Ale... niech pan o czymś nie zapomina.

- O czym?

- O tym, że dwoje Nocnych Burmistrzów oddało życie, próbując walczyć z Woodsem.

Po spotkaniu z Odą był pan na wpół ślepy i potrzebował pomocy. Czy chce pan, by pańskie nazwisko było następane na liście ofiar?

Spojrzałem na własne stopy. Nadal miałem na nich ciężkie buciory ukradzione z szafki w londyńskim metrze.

- Moje buty i płaszcz zostały w szafce w nieużywanej części stacji Angel - zacząłem. - Chcę dostać coś zimnego do picia, gorący prysznic, czystą koszulę, jabłko i baton „Kit Kat”. Jeden z tych dużych, nie taką popierdólkę z tylko dwiema palczkami. I nie w ciemnej czekoladzie, pomarańczowy, czy inny taki syf. Normalny autentyczny „Kit Kat”.

- To się da zrobić.

- W porządku. Jeśli macie jakieś pigułki, które pozwalają człowiekowi nie zasnąć podczas poważnego kryzysu, też by mi się przydały, bo nie spałem pewnie już do kilku dni, nawet jeśli słońce się nie zjawiało.

- To również możemy zorganizować.

- Świetnie. I niech ktoś da Penny porządną posiłek i jakieś ciepłe miejsce, w którym mogłaby się zdrzemnąć. Wyślijcie kogoś, kto zapewni jej bezpieczeństwo i potrafi ignorować przekleństwa.

- Zrobimy i to.

- Dobra. - Położyłem się na czarnej leżance, wpatrując się w sufit. - Ile śmiertelnych tchnień zgromadziliście przez te wszystkie lata?

- Mnóstwo - odparła. Wzięła pojemnik w rękę i przysunęła go do mnie. - W British Library niedawno zaczęto je katalogować. Mamy co najmniej siedem ostatnich tchnień Merlina, choć rzecz jasna nie sposób sprawdzić, które z nich może być autentyczne, chyba żeby ktoś naprawdę wciągnął je w płuca, co byłoby satysfakcjonujące z akademickiego punktu widzenia, ale wiąże się z pewnym ryzykiem.

Jeden z Rajców oddalił się od ściany i podjechał do mnie z jakimś urządzeniem ustawionym na wózku szpitalnym. Była tam też przezroczysta plastikowa maska z gumowym uszczelnieniem, połączona z również wykonaną z przezroczystego plastiku rurą biegnącą do maszyny. Postawił wózek obok mnie.

- Lepiej zrobmy to szybko, pani Dees, bo coś mi się zdaje, że mamy tylko trzydzieści sekund, nim zmienię zdanie i ucieknę z wrzaskiem.

Wsunęła pojemnik w otwór w maszynie, najwyraźniej przeznaczony do tego celu. W środku coś brzęknęło.

- Wie pan co... - zaczęła, wkładając mi maskę na głowę i zaciskając rzemień z tyłu. - Nieoficjalne badania przeprowadzone przed sześcioma miesiącami odkryły co najmniej czternaście czaszek Merlina krążących na czarnym rynku, a także siedemdziesiąt dziewięć jego paliczków, z magicznymi ozdobami lub bez nich. Co więcej, przynajmniej dwudziestu handlarzy oferuje fałszywe fiołki z pańską krwią, panie Burmistrzu. Mógłby pan zrobić na niej niezły interes.

Nacisnęła ulokowany z boku maszyny przełącznik i rozległ się dźwięk brzącający tak, jakby wewnątrz metalowej obudowy stepowało tysiąc gigantycznych mrówek. Jeden z Rajców podszedł do nóg łóżka, a drugi do jego wezgowia. Staralem się obserwować obu. Ich twarze były nieprzeniknione jak więzienne mury. Światelko na obudowie zaślniło czerwonym blaskiem, który przeszedł w żółty, a potem w zielony. Pani Dees położyła dłoń na mojej pierś, opierając ją mocno o mostek, jakby chciała mnie reanimować.

- To może być dla pana nowe doświadczenie - oznajmiła. Z tyłu urządzenia rozległ się trzask, a po nim syk.

Nic się nie wydarzyło.

Odczekałem chwilę, dysząc szybko ze strachu, ale nadal nic się nie działo.

Zaczerpnąłem głęboko tchu.

A potem jeszcze raz.

Poczułem, że serce bije mi wolniej.

- Jest pani pewna, że włączyła to urządzenie? - zapytałem.

Zastanowiła się nad tym, zaciskając usta.

- Nie jestem - przyznała. - Sprawdźmy to.

Pochyliła się, zdjęła mi maskę, zajrzała do jej plastikowego wnętrza, a potem odrzuciła ją na bok. Pochyliła się niżej, aż jej nos znalazł się tylko kilka cali nad moim nosem. Potem, bardzo powoli i z namysłem, zatkała mi nos oraz usta obiema dłońmi. Spróbowałem coś wymamrotać, a potem spróbowałem krzyknąć, złapałem ją za nadgarstki, by się uwolnić, ale Rajcy przytrzymali mnie za nogi i ramiona, na palcach pani Dees wyrosły srebrne szpony, a jej oczy wypełniła szalona pusta czerwień miejskiego smoka o wywalonym języku, strzegącego starych bram Londynu. Krzyczeliśmy, ale nasz głos zniknął pod jej palcami. Próbowałem gryźć, ale nie mogłem nawet otworzyć ust. Miałem wrażenie, że w każdej chwili grozi mi wgniecenie zębów w głąb ust oraz złamanie nosa. Czułem krew wypełniającą mi wszystkie najdrobniejsze naczynka, słyszałem ją w głowie, w małych żyłach za uszami, czułem, że wewnątrz mojej piersi zaraz zapłonie i skurczy się jak wyschnięta prażona kukurydza, próbowaliśmy przywołać ogień do naszych palców, ale nie chciał się zjawić, ogień nie chciał się zjawić, a pani Dees spoglądała tylko na nas pustymi szalonymi oczyma barwy krwi. W jej twarzy nie było nic ludzkiego. Skórę miała srebrną, a cienki czerwony język wysuwał się z ust, poruszając się w powietrzu. Jej włosy zamieniły się w druty, a plecy zgarbiły, gdy spod płaszcza wyłoniły się kolce, jak u jaszczurki. Zakłócenia wypełniły moje pole widzenia niczym fajerwerki i pomyśleliśmy

nie nie nie nie nie nienienienienie nie możemy umrzeć nie możemy umrzeć nie możemy umrzeć nie żyliśmy nie żyliśmy nie żyliśmy

za naszymi uszami eksplodował Ocean Spokojny, a brzuch wypełnił mi ból, jakby pięść z drutu kolczastego przesywała moje ciało, które szarpało się i wyginało, i rozległ się dźwięk przywodzący na myśl dinozaura wydającego ostatnie tchnienie, i całe nasze ciało szarpnęło się, uniosło nad leżankę, wsparte na barkach i piętach, jakby wszystkie kości próbowały się wyrwać z mojej piersi, ale pani Dees nie zwalniała uścisku i nie mogliśmy oddychać, nie mogliśmy oddychać i...

i tuż za nami stał mężczyzna.

Był odwrócony głową w dół, ale przecież to samo dotyczyło całego świata. Miał starą twarz, ale starał się sprawiać wrażenie człowieka w średnim wieku, jego skóra lśniła, oczy miały bystry radosny wyraz, a włosy rzedniały, odsłaniając czaszkę okrągłą tak samo jak twarz, promieniującą radością z tego, kim i czym był. Wspierał się na otwartych dłoniach, rozstawiając szeroko ręce jak chirurg, który przygląda się pacjentowi, nie mogąc zdecydować, czy warto się trudzić. Potem nasze ciało wykrzywiło się w kolejnym spazmie bólu, znowu krzyknęliśmy i jego twarz zamazała się za słoną kurtyną, która wypełzła nagle z naszej skóry, przesłaniając nam oczy, jakby cała zawarta w nas woda postanowiła opuścić tonący statek, dopóki to jeszcze możliwe. Coś było nie w porządku ze światłami, gdzieś nad nami pojawiła się ciemność, która nie była tylko otaczającą moje pole widzenia jaskinią zbudowaną z kamienia. Szerzyła się coraz bardziej, aż wreszcie szarpnęliśmy się znowu i ujrzeliśmy, że stoi nad nami, potrząsając ze smutkiem głową i pochylając się, by spojrzeć mi w oczy. Źrenice miał szare, otoczone jasnobrązowymi tęczęwkami, a gdy na nas spojrział, ból odpłynął i leżeliśmy nieruchomo, oddychając z wysiłkiem, a nasze ciało stało się bezwładnym kłębkem przerwanych połączeń. Mężczyzna westchnął, a potem przemówił niskim i spokojnym głosem. Znałem ten głos. To on nauczył mnie wszystkiego, co wiedziałem.

- Ale się porobiło, Matthew, co? - rzekł.

Nie potrafiłem mu odpowiedzieć.

Jego twarz była ostatnim, co widziałem, nim świat pochłonęła ciemność.

Część 3

Kompletna edukacja

*Dlatego że nie istnieje nic takiego,
jak „nie może być gorzej”.*

Otworzyłem oczy.

To był błąd.

Bakker przysiadł na skraju czarnej leżanki.

Miał na sobie garnitur w prążki i szary krawat.

Uśmiechał się.

Nieżyjący pan Bakker.

Zamknąłem oczy.

- Pani Dees? - zapytałem.

- Słucham, Matthew? - odparła z czymś bliskim sympatii w głosie.

- Pani Dees, obok siedzi facet, który mnie zabił, a potem ja zabiłem jego. I czy próbowała mnie pani udusić?

Nastała krótka przerwa, być może spowodowana konsternacją.

- Nie... i nie - padła wreszcie odpowiedź. - Zaczął pan krzyczeć.

Otworzyłem oczy.

Bakker nadal tu był. Pochylał się ku mnie, wspierając podbródek na dłoni.

- To ciekawe - stwierdził.

Odwróciłem głowę w bok i zobaczyłem po drugiej stronie leżanki panią Dees, krzywiącą się w wyrazie zmęczenia i niepewności. Nigdy dotąd nie widziałem u niej zwątpienia, ale wszechświat zdołał w końcu zaskoczyć nawet Leslie Dees, Rajczynię i doradcę finansowego pracującego dla absurdalnie bogatych.

- Bakker mówi, że to ciekawe - wycharczałem.

- Zdaje pan sobie sprawę, że on nie żyje i nie jest realny? - zapytała.

- Ci, którzy nie żyją, nie są realni?

- Mówiłam... w ściśle praktycznym sensie.

- No wiesz, ona ma absolutną rację - dobiegł mnie z drugiej strony głos Bakkera. - To, czego doświadczasz, można uważać za czysto metamagiczną manifestację ukształtowaną przez mistyczne echo mojej śmierci, o której chyba raczej nie powinniśmy teraz dyskutować, a nie jakieś zjawisko o głębokim filozoficznym lub teologicznym sensie. - Zwróciłem się w jego stronę. Rozpromienił się. - Nie ma sensu nadawać temu wydarzeniu znaczeń, jakich nie posiada. Niech ci się jednak nie zdaje: fakt, że zauważyłeś mnie tak szybko i z taką wyrazistością, a także twoja reakcja na inhalację, jeśli wolno mi tak powiedzieć, mojego śmiertelnego tchnienia, sugeruje, że najbliższa przyszłość okaże się... zważywszy wszystko razem... - Wydał usta w wyrazie skupienia, próbując znaleźć odpowiednie słowa. Skórę miał zbyt bladą, cienką i przezroczystą. - Sądzę, że można to krótko i jasno wyrazić potocznym słowem: gówniana.

Spojrzałem na panią Dees.

- Mógłbym dostać coś do picia?

Bez słowa podała mi manierkę z nierdzewnej stali. Usiadłem powoli, przesuwając się w ten sposób, by odwrócić się plecami do Bakkera, nie-Bakkera, czy też stworzenia, które z całą pewnością nie było duchem Bakkera. Otworzyłem manierkę i zobaczyłem w środku mleko. Pani Dees podała mi baton „Kit Kat”.

- Zimne mleko i czekolada - oznajmiła. - Właściwie mleko powinno się podawać w szklance, ale nie zawsze zdarzają się cuda.

Wziąłem baton, rozerwałem opakowanie zębami, wyciągnąłem ze środka jedną pałeczkę i zjadłem ją, popijając łykiem mleka.

- Nadal nie widzi pani żadnych duchów minionych czarnoksiężników?

Potrząsnęła głową, uśmiechając się przeprasząco.

- Gdzie Penny?

- Śpi w hotelu.

- Jak długo...

- Krzyczał pan, wył i toczył pianę z ust?

- Ehe, to wszystko.

- Tylko kilka minut. Potem pan... - Rozciągnęła usta. - Zapewne należy to opisać słowem „zemdlał”. Każdy by to zrobił w tej sytuacji.

Odstawiłem manierkę z mlekiem na bok i pomacałem gardło, a potem potarłem kolana

i łokcie w poszukiwaniu obrażeń. Wszystko mnie bolało, ale nie było w tym nic więcej niż zwykłe objawy zmęczenia i bezsenności.

Zjadłem kolejny wafel w czekoladzie.

- Jak właściwie to działa? - zapytała pani Dees.

- O co chodzi? - zapytałem z pełnymi ustami.

- Jak się ma wiedza Bakкера do pana świadomości?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałem po chwili wahania. - Niech mnie pani wypróbuje.

Przesunęła się na stołku i pochyliła ku mnie, wspierając łokcie na kolanach.

- W porządku. Jak możemy zniszczyć Zaciemnienie? - zapytała.

Bakker stał za jej plecami. Nie było go tam, gdy zaczynała mówić, i nie sposób było określić, przy którym z jej słów się pojawił. Jedno mgnienie i już tam był. Na jego twarzy ujrzałem słaby wyraz zrozumienia. Zaciśnąłem powieki i zastanowiłem się intensywnie.

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Najbliższego. Przykro mi.

- Jest bardzo rzeczowa, nieprawdaż? - zapytał Bakker, wyglądając zza ramienia pani Dees. - Kobieta, która wie czego chce i czego potrzebuje, a co więcej nie pozwoli, by cokolwiek przeszkodziło jej w osiągnięciu obu tych celów. No wiesz, ona cię lubi.

Przygryzłem wargę, czując narastające gdzieś ciepło.

- Nie w sensie seksualnym - dodał pośpiesznie. - Nie silniej niż typowa chemiczna reakcja chromosomów XX na bliskość kombinacji XY. Nie chodzi o seks. Ale cię lubi. - Pochylił się nad panią Dees, niemalże dotykając ustami jej twarzy, a ona się nie poruszyła, nawet nie wzdrygnęła, gdy niepowietrze jego nieoddechu muskało jej skórę. - Co prawda, nigdy się do tego nie przyzna. Stanowczo zbyt niebezpiecznie byłoby zbliżyć się do kogoś, kto naraża się na niebezpieczeństwo tak często jak ty. To mogłoby prowadzić do błędnych decyzji. Emocjonalnych urazów. Załamania kariery. Obawiam się, że nigdy cię nie zaprosi, żebyś zobaczył, jak jej dzieci grają w hokeja.

- Panie Burmistrzu... czy coś pana zaabsorbowało? - zapytała pani Dees.

- Hmm... po prostu cieszę się surrealistycznym i psychologicznie traumatyzującym doświadczeniem - jęknąłem, machając słabo ręką.

- Ale ci dwaj... - Bakker wyprostował się i skierował groźne spojrzenie na Rajców. - Zabiliby cię, gdyby się nie bali, że chybią. Można to wyczytać z ich oczu. Słyszą głos, który mówi im: „zrób to, zrób to, zabij go”, ale jest też drugi głos, czający się u ujść kanalików łzowych, i tamten głos powtarza: „on mnie załatwi, on mnie załatwi, on mnie załatwi, jeśli spróbuję”. Dobrze się spisałeś, Matthew. Udało ci się ich zastraszyć, mimo że przypominasz

przeżutego gryzonia. Ale pewnie pomaga ci w tym niebieska krew.

Na chwilę pojawiło się coś innego, co miało zapadnięte kościste policzki, pożółkłe zęby, twarz naznaczoną bruzdami, jak stara gnijąca kość, skołtunione włosy, czarne palce i szpony zamiast paznokci. Trwało to tylko mgnienie oka, ale przez ten czas Robert Bakker nie rzucał cienia. Potem wrażenie zniknęło. Mój dawny nauczyciel chodził po pokoju, dotykał palcem czarnej leżanki i spoglądał to w tę, to w tamtą stronę, zwracając uwagę na każdy szczegół otoczenia.

- Hej, proszę! - odezwał się od niechcienia. - Masz uczennicę. - Nagle ścisnęło mnie w gardle. Czułem każdą kroplę śliny i każdą grudkę flegmy wypełniające mi jamę ustną. - Wnętrze twojego mózgu jest naprawdę fascynujące, Matthew. Masz uczennicę, jesteś gotów za nią walczyć i zginąć, a oczywiście również dla niej zabijać. Omal nie zniszczyła całego miasta, a ty spojrzawsz na nią i pomyślałeś: „To chodzący wrak, piąte koło u wozu i groźba dla wszystkich, którzy ją otaczają. Zróbmy z niej swoją uczennicę. Będzie świetną towarzyszką”. Zawsze się zastanawiałem, czemu jesteś gotów walczyć za takie dziwne sprawy, Matthew. Być może ta Rajczyni miała rację i rzeczywiście potrzebujesz terapii. Zespół stresu pourazowego. Twoja krew mi smakowała, kiedy umarłeś.

Uświadomiłem sobie, że czuję pod palcami coś śliskiego. Czekolada z ostatniej pałeczki „Kit Kata” topiła się pod moim dotykiem. Wytarłem palce o rękaw, nadal zahipnotyzowany powolnym ruchem spacerującego po pokoju Bakkera.

- Oczywiście znałem poprzedniego Nocnego Burmistrza - ciągnął. - Miał więcej wyobraźni, niż się ludziom zdawało. Wybrał na swojego następcę akurat ciebie! Nie doceniałem go. Co prawda, ta świadomość w niczym mi teraz nie pomaga, ponieważ jestem tylko projekcją traumatycznego echa świadomości, ukształtowanego przez moje prochy, twoją magię... i oczywiście także twój nadmiernie pobudzony i nieco zaburzony mózg.

- Jak długo to będzie trwało? - zapytałem panią Dees, dziwiąc się, że mój głos brzmi tak spokojnie.

- To zależy. Nie ma ustalonych reguł. Ale najdłuższy okres... nie więcej niż kilka dni.

- Nawet jeśli słońce nie wschodzi? - zapytał Bakker, siadając tak blisko mnie, że niemalże czułem nieciepło promieniujące od jego nieciała. - Trudno jest zdefiniować „dzień”, jeśli nie robi się jasno. Norwegowie na pewno mają na to jakiś sposób. To bardzo niedoceniany naród.

Wpatrywałem się wprost przed siebie, nie chcąc spojrzeć na niego.

- Panie Burmistrzu? - odezwała się pani Dees. - Czego dokładnie pan doświadcza?

- Najróżniejszego dziwnego syfu. Jeśli zacznę gadać do siebie, nie wezwie pani

facetów w białych fartuchach, prawda?

- Myślę, że takie niebezpieczeństwo mamy już za sobą. Czy... ma pan jakieś nowe pomysły w sprawie... Zaciemnienia?

- Mógłbyś mnie zapytać - zasugerował Bakker, podziwiając własne paznokcie.

- Idę do łazienki - oznajmiłem, wstając z leżanki. - Gdzie ona jest, do licha?

* * *

Bakker poszedł za mną korytarzem, przyglądając się z uwagą wszystkiemu.

W łazience były nudne beżowe kafelki i pachniało tam nudnym tanim odświeżaczem powietrza. Po jednej stronie były kabiny, a po drugiej lustra.

Przy zlewie stał myjący ręce Rajca.

- Zmiataj stąd! - warknąłem.

Spojrzał tylko na moją twarz i wyszedł.

Zaczekałem, aż drzwi się zamkną, przyjrzałem się pośpiesznie sufitowi, by się upewnić, czy nie ma tu kamer, a potem zwróciłem się w stronę Bakкера.

Opierał się o ścianę obok suszarek, przesuwając ręką pod nimi, by sprawdzić, czy się włączą. Nie zrobiły tego. Kiedy się odwróciłem, spojrzał na mnie, unosząc pytająco brwi.

- No dobra! - zacząłem. - Ustalmy kilka zasad! Pan nie żyje, z czego wynika, że to, co widzę, jest całkowicie zależne od mojego mózgu jako żywego elementu całości. Dlatego żadnych wygłupów! Jak powiem „skacz”, to pan skacze, jasne?

Podrapał się z westchnieniem po podbródku.

- Łatwo to wszystko powiedzieć, ale, niestety, aktualnie dostępne dowody sugerują, że nasz wzajemny związek wcale nie jest taki prosty.

- No, no - warknąłem, grożąc mu palcem. - Nie ma w tym nic skomplikowanego. Robimy to wszystko z bardzo prostego powodu. Oda jest opętana przez Zaciemnienie, a pan kiedyś zabił tego skurczybyka. Powie mi pan, jak powtórzyć ten numer. Koniec opowieści, wszyscy możemy wrócić do domu. To proste.

- Jak rozumiem, postanowiłeś zignorować fakt, że Neonowy Dwór doszedł już do wniosku, że nie zamierzasz honorować traktatu, i wkrótce wyśle zamachowców, żeby cię załatwili, a Plemię uznało, że nie można ci ufać, i również planuje odwet? Rzecz jasna, wszystko odbędzie się bardzo uprzejmie. Nikt się do niczego nie przyzna. Tak to już jest.

- Ehe! - odparłem głosem przechodzącym w pisk. - Totalnie postanowiłem to zignorować. Absolutnie, totalnie, zignorować, bo, wie pan co? Ta wojna domowa nie ma nic wspólnego z faktem, że słońce nie wschodzi, a ja muszę dzielić mózg z pańskim duchem.

- I nie spróbujemy rozwiązać tego drobnego konfliktu interesów?

- Drobnego konfliktu interesów? - powtórzyłem, bliski krzyku.

- Naturalnie - potwierdził, odsuwając się od ściany. - No wiesz, moje śmiertelne tchnienie pobrano, z definicji, w chwili śmierci. Uwięziono w nim moje ostatnie myśli, stan umysłu i samopoczucie. Nie trzeba dodawać, że ponieważ przed chwilą zrzuciłeś mnie z trzydziestego szóstego piętra, miałem wówczas dość radykalną opinię na temat naszych wzajemnych stosunków.

- Nie bądźmy dziećmi - odparłem, krzywiąc się wściekle. - Pan zabił mnie, ja zabiłem pana, pan zaczął i to było be, koniec przemowy.

Podszedł do mnie. Nie cofnąłem się. Zacisnąłem dłonie, by palce mi nie drżały. Wpatrywałem się w punkt położony między jego oczyma, licząc na to, że da się nabrać.

- To chyba nie będzie takie łatwe - oznajmił, zatrzymując się tuż obok, jakby chciał mnie udusić. - Mamy mnóstwo problemów, a przecież wiesz, że w przypadku czarnoksiężników może to wywoływać fatalne skutki. Twoja uczennica miała problemy i o mały włos nie zniszczyła miasta. Ja też je miałem i... sam wiesz...

Poruszył brwiami, wskazując głową na lustro za moimi plecami.

Instynkt kazał mi się odwrócić, nawet jeśli rozsądek nakazywał tego nie robić.

Ujrzałem w lustrze mężczyznę.

Z włosów zostało mu tylko kilka rzadkich siwych kosmyków, skórę pokrywały starcze plamy, zęby miał pożółkłe, a oczy szare i zażawione. Nosił płaszcz - świetnie mi znany - splamiony równie znajomą krwią. Uśmiechnął się, odsłaniając czarną gardziel wiodącą do bezdenne go brzucha, i w tej samej chwili wyłonił się z lustra, ciągnąc za sobą szkło, jakby wynurzał się z wody, i pochylił się ku mnie, wyciągając palce o czarnych popękanych paznokciach.

- Jestem GŁODNY!! - wrzasnął, otwierając usta coraz szerzej i szerzej.

Odkoczyłem do tyłu, straciłem równowagę, padłem na podłogę, uderzając się w nadgarstek i pochyliłem instynktownie głowę. Do naszych palców napłynęła elektryczność. Światło zamigotało z brzęczeniem brzęcącym, jak rój gniewnych os w trącanym patykiem gnieździe. Śmierć pod postacią dwóch pazurzastych dłoni odbicia, które nie powinno było istnieć, nie nadeszła.

Odważyłem się spojrzeć w lustro.

Było puste.

Bakker stukał stopą w kafelki. Miał znudzoną minę. Temat do dyskusji: jeśli duch przytupuje stopą w lesie, niewidziany przez nikogo, to czy towarzyszy temu stukot?

Wyprostowałem się, wstałem, zaczerpnąłem kilka długich powolnych oddechów. Czulem ból w piersi w miejscu, gdzie kiedyś te pazury wykonały swoją robotę, wiele, bardzo wiele nocy temu. Skupiłem uwagę na końcach drżących palców, uspokajając je jeden po drugim, aż wreszcie poczułem się wystarczająco silny, by unieść głowę i spojrzeć Bakkerowi prosto w oczy.

- Bardzo zabawne - stwierdziłem.

Wzruszył ramionami.

- Widzę, że śmierć nie prowadzi do skruchy - dodałem ze złowrogą miną.

- Matthew, moglibyśmy stać tu cały dzień, no, może „dzień” to niewłaściwe słowo, i dyskutować o etyce winy i niewinności.

- Nie róbmy tego.

- Skoro nalegasz.

- Powinniśmy - zacząłem, wyciskając słowa z gardła jedno po drugim - zapomnieć o mojej obecnej metamagicznej, postpsychologicznej, umiarkowanie parapsychologicznej...

- Używasz tego słowa w błędnym znaczeniu.

- Którego?

- „Parapsychologicznej”. To znaczy co innego.

- Ale pan siedzi w mojej głowie i doskonale wie, co chciałem wyrazić. Naprawdę uważa pan, że w takim przypadku koniecznie trzeba mnie poprawiać?

- Mów dalej - odparł z westchnieniem.

- Zapomnijmy o psychicznych problemach. Musimy stworzyć plan.

- Uważam, że to rozsądna propozycja - rzekł Bakker.

Czekałem, aż powie coś więcej.

I on też czekał.

- No dobra, panie Bakker - odezwałem się wreszcie. - Pokonał pan już kiedyś Zaciemnienie. Niech pan da mi ten plan.

- Szkoda, że nigdy nie podzielałeś mojego upodobania do luksusu, Matthew - odparł, przyglądając się końcom własnych paznokci. - Posiłek w dobrej restauracji i kieliszek „Sauvignon” znakomicie wspomaga intelektualne procesy.

- A co pan powie na kebab i „Ribinę”? - warknąłem. - Dzielenie z panem mózgu jest wystarczająco uciążliwe. Nie mam zamiaru dodatkowo narażać przewodu pokarmowego.

- Matthew... - zaczął znowu, swym specjalnym głosem, zarezerwowanym dla szczególnie głupiego ucznia, który świadomie odmawia zrozumienia omawianego problemu.

Drzwi się otworzyły. Stała za nimi pani Dees.

- To jest męska toaleta i spędzam w niej swój moment - oznajmiłem.

Rozejrzała się z namysłem po pustym pomieszczeniu.

- Wie pan co? - rzekła po chwili. - Pierwszy raz jestem w męskiej toalecie i muszę szczerze wyznać, że czuję się rozczarowana.

- Pani Dees! Są pewne społeczne normy, a ja właśnie spędzam tu swój moment.

- Chodzi o Lady Neon - wyjaśniła. - Nie chcę pana niepokoić, ale ona właśnie tu przybyła.

Uszczypnąłem się w grzbiet nosa. Wywołany tym ból miał tak wielu rywali we wszystkich częściach mojego ciała, że właściwie niczego nie zmienił.

- Czy można powiedzieć, że grozi wybuchem wulkanu? - zapytałem.

- Krakatau.

- Neonowy Dwór trochę się wkurzył, tak?

- Ziemia pod stopami jego ludzi chrzęści od odłamków stłuczonych butelek metaforycznej wódki.

Pogroziłem palcem Bakkerowi, który przysiadł od niechcienia na szczycie kosza na śmieci.

- Ciąg dalszy nastąpi. - Odwracając się, zauważyłem błysk w oczach pani Dees. - Tak, mój wyimaginowany przyjacielu - warknąłem. - Zachowaj to dla siebie, dobra?

Poszliśmy na górę.

* * *

Hol British Library faktycznie był zajęty.

W wielkim pomieszczeniu o skomplikowanym kształcie znajdowała się ponad dwudziestka mężczyzn i kobiet w skąpych skórzanych strojach najprzeróżniejszych rodzajów. Od ich spryskanych sprayem włosów biła woń ozonu, a skóra lśniła od potu, imitacji potu oraz makijażu, mającego sprawić, że pot wyda się seksowny, a nie lepki. Wszyscy demonstracyjnie odsłaniali broń. Widziałem szklane miecze, nieprzyjemne krótkie oręża, przypominające mi o zapachu dymu oraz o wyrazie zdziwienia, który pojawił się w gorejących oczach Minjae Sana w chwili śmierci. Nawet uzbrojeni po zęby żołnierze Neonowego Dworu potrafili wyglądać, jakby wracali z pokazu mody. Piękni ludzie przygotowujący się do czegoś brzydkiego, jakby to miał być balet, a nie śmiercionośna walka. Ich magia unosiła się w powietrzu jak lepka woń perfum. Wyczuwaliśmy ją jako nieostrość za oczami i zamęt w głowie. Gniewało nas to. Gniew ułatwiał walkę.

Rajcy stali na szczycie szerokich schodów - milczące sylwetki w długich czarnych

płaszczach. Nie byli piękni i nie mieli zamiaru takimi się stać. Jeśli ktoś ginął z ich rąk, co zdarzało się często, była to cicha i zimna śmierć.

Nikt najwyraźniej nie miał nic do powiedzenia.

Lady Neon stała w samym środku grupy. Mimo że słońce nie wzeszło, znalazła czas, by się przebrać. Była obleczona w nieskazitelną biel, której nie tknęły brud, pył ani deszcz. Do każdej powierzchni jej ciała przylegały liczne warstwy jedwabiu. Choć prawie cała skóra była zakryta, pozostawiało to bardzo niewiele miejsca dla wyobraźni. Na twarzy miała welon przesłaniający szczegóły jej rysów. Drobną i pogrążoną w bezruchu, jak pająk, który się domyśla - a raczej wie - że jest szybszy od węża.

Nie mówiła nic, ale czuliśmy, że patrzy na nas. Od jej spojrzenia głowę wypełniał nam gorący mętlik, świerbiło nas w żołądku i czuliśmy się tak, jakby wszystkie komórki naszej krwi stały się nagle za duże i nie mieściły się w naczyniach. Magia Lady Neon była przytłaczająca i wszechobecna. Czuliśmy się tak, jakbyśmy próbowali znaleźć ziarenko piasku na talerzu pełnym chili. W naszej głowie nie było miejsca dla jasnych myśli. Nagle z grupy wystąpił mężczyzna. Miał na sobie czerwony płaszcz sięgający podłogi oraz idealnie skrojone obcisłe spodnie, wyglądające jak zaprojektowane przez NASA. Poza tym był nagi od pasa w górę. Nie miał na ciele ani jednego włoska - tylko gładka naoliwiona skóra. Cere miał bladomigdałową, oczy skośne, lśniące złotym blaskiem ulicznych latarni, a czaszkę wygoloną na лыso. Przypuszczaliśmy, że w dzisiejszych czasach nazwano by go pięknym. Człowiek przetworzony w dzieło sztuki, zakładając, że w ogóle pozostało w nim coś ludzkiego. Wydawał się młody, stanowczo za młody na pogardliwe spojrzenie, jakim nas obrzucił.

Ja i pani Dees zatrzymaliśmy się u podstawy schodów i czekaliśmy.

- Czy jesteście gotowi na wojnę? - zapytał.

- To retoryczne pytanie, jak sądzę - odparłem. Palce nas swędziały, spragnione ataku.

- Daliśmy wam czas. Więcej czasu niż o to prosiliście. Nie znaleźliście jej. Nie znaleźliście wybranej. Mielicie konszachty z Plemieniem. Gdybyśmy nie szanowali was tak bardzo, zniszczylibyśmy was za to.

Westchnąłem.

- Dziękuję za to. Bardzo mi miło. - Odwróciliśmy od niego wzrok, spoglądając na Lady Neon. - Słońce nie wschodzi, pani.

Cisza.

- A miasto kurczy się z każdą chwilą. Zna pani drogę wyjścia? Ma pani plan ucieczki?

- Wojna! - warknął mężczyzna w czerwonym płaszczu. - Zdrada, a potem wojna!

- Po mieście krąży stworzenie zwane Zaciemnieniem - dodałem, ignorując go. - To pomiot nocy, który wypelzł z cieni na końcu zaułka. Wkurzył się, gdy pojawiły się uliczne latarnie i noc stała się trochę mniej straszna. Wyrzucano go, mógłbym dodać, że po katastrofalnie nieudanej próbie ataku przeprowadzonej przez Neonowy Dwór i Nocnego Burmistrza, która zakończyła się masowym przelewem krwi. A teraz wrócił. Czeka na was.

- Pańskie kłamstwa nie...

Lady Neon uniosła rękę. Mężczyzna w czerwonym płaszczu umilkł. Postąpiła niewielki krok naprzód. Nie podniosła woalki ani głosu, ale jej słowa były przenikliwe jak wietrzyk z czystego letniego nieba.

- Sądzi pan, że to nie ma ze sobą nic wspólnego? - zapytała cicho. - Wierzy pan, że tylko czysty przypadek sprowadził na nas tę noc bez końca?

Jej głos sprawił, że zaschło nam w ustach. Nie byliśmy w stanie wykrztusić ani słowa.

- Kiedy ostatnio Zaciemnienie przybyło do miasta, Dwór sprzymierzył się z Burmistrzem - ciągnęła Lady Neon. - Plemię nas zaatakowało. Nie możemy wam pomóc, jeśli wy nie pomożecie nam. Jeśli chcecie, żeby wasze miasto pochłonęła ciemność, a wspomnienie o was zginęło na wieki, zmierzajcie nadal tą samą drogą. Nasza cena... jest niższa od tej, której zwykle żądamy za podobne usługi.

- To nie jest odpowiednia chwila, by zajmować się mniej ważnymi sprawami - sprzeciwiła się pani Dees.

Lady Neon odwróciła lekko głowę i poczuliśmy, że Leslie Dees, która nigdy nie uciekała przed nikim, zachwiała się na nogach, jakby uderzył w nią powiew z otwartych drzwi pieca. Wyraz jej oczu nie świadczył o strachu, ale o przeciążeniu wszystkich zmysłów.

- Myśli pani, że wasze miasto coś znaczy? Że świat się przejmie, jeśli zostanie zniszczone? Jestem Lady Neon i jedno miasto nic mnie nie obchodzi.

Bakker okrążał Lady Neon powolnym miarowym krokiem, przechylając głowę.

- Cóż za fascynujący okaz - odezwał się. - Sądzę też, że jest całkowicie szczerą w swych próbach wykorzystania sytuacji dla własnej korzyści. Wasz los jest jej całkowicie obojętny. Nie jesteście... wystarczająco ciekawi. To z pewnością upokarzająca myśl dla kogoś o tak wielkim ego jak twoje, Matthew.

- Wojna z Dworem... - wyszeptała pani Dees.

- Nie dojdzie do niej - zapewniłem.

- Wybrana nie ma...

- Ma znaczenie - warknął Bakker. Położył dłoń na ramieniu Lady Neon jak zaborczy kochanek. - Być może będzie to znaczenie niespodziewane dla nikogo, ale wiesz, że je ma.

Dlatego mogę spokojnie powiedzieć, że w jednym punkcie Lady Neon ma rację. Takie przypadki się nie zdarzają, ani w polityce, ani w magii. Może ci się robić niedobrze na tę myśl, ale tak wygląda prawda.

- Świetnie - odparłem. - Jak pani sobie życzy - dodałem głośniejszym głosem, zwracając się do Lady Neon.

- Musi pan przysiąc, że natychmiast wyruszy na poszukiwania wybranej - nalegała.

- Przysięgam - zgodziłem się.

Wyciągnęła ku mnie rękę, prostując blade palce.

- Przysięgnie pan przyprowadzić ją prosto do mnie - dodała cichym głosem.

Każdy fragment jamy ustnej zawiadamiał mnie o swoim istnieniu. Na moim języku utrzymywał się smak krwi.

- Co pani zamierza...

- Przysięgnie pan!

- Ostrożnie - ostrzegł mnie Bakker. - Ostrożnie.

- Plemię nigdy nie było naszym sojusznikiem, panie Burmistrzu - wyszeptwała pani Dees. - Dwór nim był.

- W porządku - wydyszałem. - W porządku. Zrobię, o co pani mnie prosi.

- Niech pan przysięgnie.

- Przysięgam.

Uśmiechnęła się.

Poczuliśmy mdłości, w naszym brzuchu zacisnęła się pięść, a w gardle wezbrało coś więcej niż słowa.

Lady Neon zwolniła uścisk i odwróciła się. Jej żołnierze, poddani i słudzy zaczęli się tłoczyć przy drzwiach niczym mrówki podążające za swą królową. Uniesiono parasole, a potem wyszła na zewnątrz, brama się otworzyła, ukazując czekające pod wejściem samochody. Lady Neon ze swą świtą odjechała równie szybko, jak się zjawiała.

- Słowa to moc, a moc to magia - zauważył Bakker cichym złowieszczym głosem.

Przygryzłem wargę tak mocno, że poczułem smak krwi.

Mężczyzna w czerwonym płaszczu nadal stał przede mną.

- Pojadę z wami - oznajmił.

- Słucham? - warknąłem.

- Proszę pana - wtrąciła gładko pani Dees - Rajcy zapewniają Nocnemu Burmistrzowi wystarczającą ochronę i choć doceniamy pańską propozycję pomocy...

- Pojadę z wami.

- Kolego, leje jak z cebra, a ty nie masz nawet koszulki - zacząłem.

- Okazał się pan niegodny zaufania, panie Burmistrzu - warknął. - Muszę dopilnować, by dotrzymał pan słowa.

- Zgódź się - odezwał się Bakker. Nie mogłem się powstrzymać przed spojrzeniem na niego. - Nie ulega wątpliwości, że to zabójca, ale zabójca do wynajęcia. Będzie próbował cię wykorzystać i manipulować tobą, ale zdajesz sobie z tego sprawę i jesteś w tym lepszy. Nie, to nieprawda. Ja jestem w tym lepszy. Zabierz go ze sobą. Może się przydać, choćby tylko wtedy, gdy będziesz się musiał kimś zasłonić przed Odą.

Popatrzyłem na mężczyznę w czerwonym płaszczu.

- Jak się nazywasz, kolego?

- Theydon.

Uniosłem brwi.

- I co dalej?

- Po prostu Theydon.

Wzruszyłem ramionami.

- No i milusio. Muszę cię jednak ostrzec, że w ciągu minionych godzin ścigano mnie, próbowano spalić, oślepić, zrzucano z wysokości, grożono mi najróżniejszymi bronią, magicznymi i nie, związano mnie i pobito, a do tego gawędziłem z gigantycznym szczurem i zostałem zmuszony do dzielenia świadomości z duchem czarnoksiężnika, który zasłynął z tego, że systematycznie mordował swych współpracowników.

- Słowo „systematycznie” dziwnie brzmi w tym kontekście - obruszył się Bakker. - Wyczuwam jednak, że to nie pora na spory.

Mój uśmiech zwarzył się nieco.

- Jeśli jesteś pewien, że chcesz z nami jechać, to proszę bardzo. Wybór należy do ciebie.

Zaciskał dłonie tak mocno, że wydawało się, że kostki dłoni zaraz wyskoczą mu spod skóry.

- Przygotuję wszystko - odparł tylko.

* * *

Odprowadziłem panią Dees na bok.

- Bakker nie chce współpracować.

- To niesprawiedliwe! - oburzył się mój dawny nauczyciel. Próbował skubać obwisły liść doniczkowej palmy i wzdychał za każdym razem, gdy jego bezcielesne palce nie zdołały

nim poruszyć.

- Ponieważ chwilowo nie mamy lepszego planu - ciągnąłem przez zaciśnięte zęby - zamierzam wyruszyć na poszukiwania tej całej JG.

- JG? - zapytała pani Dees.

- Wybranej.

- Dwór skłonił pana do tego?

- Dwór, Plemię, O'Rourke, prorocтво, świadomość, że to wszystko nie może być przypadkiem, a także fakt, że Oda zapytała: „Gdzie jest dziewczyna?”. Rzecz w tym, że w ostatecznym rozrachunku Lady Neon miała rację, pani Dees. Wszystko to musi się jakoś ze sobą łączyć.

- Gdzie jest dziewczyna? - powtórzyła Rajczyni głuchym głosem kogoś, kto nocą otworzył lodówkę pod wpływem głodu i, znalazłszy tam tylko kawałek zepsutego sera oraz połowę cytryny, pogodził się z losem.

- Chce pani mieć na głowie jednocześnie Dwór, Plemię i Odę?

- Nieszczęśliwie.

- Sama pani widzi.

- Czy jest pan pewien, że to... - skinęła nerwowo dłonią. - ...najrozsądniejsze wyjście?

- Widzi pani lepsze?

Zastanowiła się nad tym.

- Gdybym zasugerowała zebranie, to czy wydałby pan z siebie nieuprzejmy odgłos, po którym mogłoby nastąpić kilka obraźliwych uwag?

- Ehe.

- Tak też myślałam. A jak właściwie zamierza pan odnaleźć wybraną?

- Zaczniemy od miejsca, w którym wszystko się zaczęło. Od Sidcup.

Zapadła cisza. Pani Dees gapiała się na własne buty.

- No dobra, słucham! - wygarnąłem, gdy nie mogłem już czekać dłużej. - Co jest nie w porządku w tym, poza tym bezbłędnym, planie?

- Sidcup - powtórzyła.

- Tak jest, Sidcup. Miejsce, gdzie wybuchł pożar, gdzie Dwór i Plemię szukały wybranej, gdzie Odę pchnięto nożem i dokąd mnie przywołano. Sidcup, o, Sidcup, tak?

Pani Dees kaszlnęła uprzejmie, by mi przerwać, nim zdążę zacząć swój pean na cześć irytacji.

- Sidcup zniknęło ze stron przewodnika około czterdziestu pięciu minut temu.

Zapadła cisza.

- O, kurczę - odezwał się Bakker, gdy zbliżała się już do masy krytycznej.

- Niech pani zdefiniuje... zniknęło.

- Tam, gdzie powinno być, zostały tylko puste strony. Podobnie jak Cockfosters, stało się tylko wspomnieniem nazwy, pozbawionym geograficznego odniesienia.

- Przypuszczam, że z tego powodu... trudno się tam dostać? - zapytałem.

- Wszystkie drogi są odcięte, na planach zostały jedynie białe plamy, metro i autobusy tam nie docierają - wyjaśniła.

Przez spowijającą mój umysł mgłę przebiła się pewna myśl, docierając tanecznym krokiem aż na koniuszek języka.

- Pani rodzina mieszka na południe od rzeki - wygarnąłem, nim zdążyłem się powstrzymać.

W oczach pani Dees pojawił się błysk, jej twarz przybrała na chwilę gwałtowny niebezpieczny wyraz.

- Tak - odparła bardzo cicho. - Ścisłej mówiąc, w Croydon. - A Croydon...

- To jedna z pierwszych dzielnic, które zniknęły z mapy. Nie można tam dotrzeć metrem, autobusem ani samochodem. Objazdy kierują ruch uliczny z powrotem w stronę, z której się przybyło, ceglane mury blokują ścieżki rowerowe, a na murach widnieją stare napisy głoszące „koniec trasy”, „błędna droga” albo „nie ma przejścia”. Croydon na dobrą sprawę nie istnieje i nie wiadomo, czy kiedykolwiek istniało.

- Pani rodzina...

- Numery stacjonarne i na komórkę nie działają.

Mówiąc, pani Dees nie patrzyła na mnie, lecz spoglądała w dal, na coś nieosiągalnego, co widziały tylko jej oczy.

- Przykro mi - rzekłem.

- Wiemy, z czym mamy do czynienia - stwierdziła. - Już kiedyś sobie z nim poradziliśmy i tym razem będzie tak samo.

Wydawała się drobniejsza niż kiedykolwiek dotąd. Zmęczone oczy miała tak bardzo zapadnięte, że makijaż nie mógł już tego ukryć.

- Jestem gotowy! - zawołał Theydon.

- Panie Burmistrzu, wie pan, jak dostać się w miejsce, do którego nikt inny nie potrafi dotrzeć? - zapytała pani Dees.

Obok rozległ się chichot.

- Och, tak - rzekł Bakker. - Z pewnością wiesz.

- Ehe - potwierdziłem. - Przychodzi mi do głowy pewien sposób.

* * *

Było jeszcze coś, co musiałem zrobić przed powrotem do Sidcup.

Penny znalazła mnie na ławce obok roślin doniczkowych. Siedziałem tam, przerzucając strony swego wytartego i bardzo kochanego przewodnika po Londynie. Dziesiątki stron były puste, nic poza numerem w rogu nie wskazywało, że coś się kiedykolwiek tam znajdowało.

- Zaliczyłam przyjemną drzemkę i filiżankę kawy - oznajmiła Penny, siadając obok. - A co u ciebie?

Nie odpowiedziałem.

- No tak - mruknęła. - Nie spodziewałam się, że twój dzień stanie się lepszy. I co teraz, panie Macho?

Zamknąłem książeczkę i wrzuciłem ją z powrotem do torby.

- Wracam do Sidcup w towarzystwie zabójcy z Neonowego Dworu, by odnaleźć wybraną, która może być lub nie być odpowiedzialna za wojnę albo za brak światła.

- Jasne - mruknęła Penny. - Trzeba przyznać, że pomysły to masz kurewsko rewelacyjne.

- Nie mam innego wyjścia. Ta cała wybrana, JG, to mój jedyny punkt zaczepienia.

- Dotarli do mnie pogłoski, że Sidcup zniknęło.

- Razem z większością londyńskich przedmieść - dodałem, łypiąc na nią spode łba. - Miasto zapada się w sobie, wznosi mury, a na zewnątrz...

- Możesz być pewien, że po drugiej stronie tego muru nie znajduje się nic dobrego - wtrącił Bakker.

- A co ja mam zrobić? - zapytała w tej samej chwili Penny, całkowicie nieświadoma obecności trzeciej strony w naszej rozmowie.

- Fakt, że miasto się zwija, poczynając od brzegów, sugeruje, że centrum Londynu zostanie pochłonięte na samym końcu. Dlatego znajdź sobie jakieś miejsce położone w samym środku.

- Mam się ukryć? - oburzyła się. - I na tym koniec?

- Nie tym razem. - Zerknąłem w lewo, a potem w prawo, nie zauważyłem nikogo w pobliżu, a potem pochyliłem się ku niej. - Pamiętasz, jak się dostarcza przesyłkę poleconą? - zapytałem ściszonego głosem, licząc na szczęście.

Zacisnęła usta i poruszyła mięśniami gardła.

Potem skinęła głową.

- Pewnie, że pamiętam.

- Za kilka godzin mogę znowu potrzebować twoich usług. Dla mnie i być może jeszcze jednej osoby, góra dwóch. Szybciej niż twój samochód może pokonać trasę z Lewisham do Mile End. To wymaga starannego planowania. Dasz sobie radę?

Króciutkie wahanie, wciągnięte pośpieszenie powietrza.

- Jasne - zapewniła po chwili. - To da się zrobić. Hej, myślisz, że ten skurwysyn z Dworu spróbuje cię załatwić?

- O to podejrzewam wszystkich - odparłem, pocierając oczy, by usunąć z nich odrobinę zmęczenia.

- I próbujesz mi wmówić, że nie przeżyłeś psychicznej traumy? - odezwał się Bakker.

- Poza tym - dodałem przez zaciśnięte zęby - słońce nie wschodzi, miasto się kurczy, Oda szaleje, Sidcup, płonący wieżowiec, to wszystko się ze sobą łączy.

- Myślisz, że Oda nadal chce cię wykończyć?

- Pewnie, że chce - stwierdził z westchnieniem Bakker.

- Zapewne - dodałem.

- Wszystko to - ciągnął mój dawny nauczyciel - każdy najdrobniejszy element, jest ściśle ze sobą powiązane, a sznurki trzyma jakiś marionetkarz. Twoja uczennica jest przerażona, Matthew.

Przyjrzelśmy się twarzy Penny. Wciągała dolną wargę, jakby bardzo mocno starała się jej nie przygryzać. Zauważyła nasze spojrzenie i uśmiechnęła się niespokojnie.

- W porządku - oznajmiła radośnie. - Jedna pieprzona przesyłka polecona. Naładuję telefon i tak dalej.

- Przerażona - powtórzył Bakker, pochylając się tak nisko, że prawie dotykał ustami jej policzka. - Ale to nie ciebie się boi. Czasami widywałem taką minę u Dany, przed jej śmiercią.

Odwróciłem gwałtownie głowę. Słowa wypadły z moich ust, nim zdążyłem się powstrzymać.

- Nie waż się wspominać o...

Przerwałem, ale było już za późno.

- Co jest, kurwa? - zapytała Penny.

Przymknąłem powieki, starając się strząsnąć z siebie gniew.

- Przepraszam - wymamrotałem. - Kłopoty z personelem.

Zawahała się. Potem na jej twarzy pojawił się niezwykle uśmiech.

- Hej, no wiesz, nie musisz grać roli samotnego bohatera.

- Wiem.

- Pewnie, że wiesz. Jasna sprawa. Zabijesz Odę?

- Czy... - Zawahałem się. - Nie wiem.

- Pewnie, że zabijesz - zapewnił swobodnie Bakker. - Nie ma co udawać, że tego nie zrobisz.

- W przeszłości wielokrotnie mi pomagała - ciągnąłem, nie mogąc patrzeć w oczy Penny i nie chcąc patrzeć w oczy Bakкера. - Nie była... właściwie moją przyjaciółką, ale gdy robi się razem tak wiele rzeczy... ale to przez nią słońce nie wschodzi... jeśli można wygnać z niej to stworzenie, zrobię to.

- To niemożliwe - stwierdził Bakker.

- A jeśli nie dasz rady? - zapytała Penny.

- Będziemy się martwić o wiry pod tym mostem, gdy już do niego dojrzymy.

Popatrzyła mi prosto w oczy. Wyczułem w jej spojrzeniu coś, co było niemal troską. Niemal czymś więcej.

- Nic ci się nie stanie, prawda? - zapytała.

- To moja ulubiona sztuczka. - Przeciągnąłem się z westchnieniem. - Każdy musi mieć talent do czegoś.

* * *

Na dworze padało.

Deszcz najwyraźniej lał już od bardzo dawna.

- Tak - odezwał się Bakker, unosząc głowę, by przyjrzeć się pomarańczowo-czarnemu, podświetlonemu blaskiem latarń niebu. - Poprzednim razem też tak to wyglądało.

Nieopodal znajdował się hotel o białych ścianach i wielkich oknach. W recepcji paliło się światło. Winda stała nieruchomo, małe oświetlone pudełko w wypełnionej mrokiem rurze. W restauracji kelner zasnął i osunął się na stół pełen ogryzionych kości i rozlanego sosu. Na wysokim złocistym wózku ułożono walizki pochodzące z pociągu z Paryża. Nic nie wskazywało na to, by miał się ruszyć. Na ulicy paliły się czerwone światła. Przed przystankiem ustawiała się kolejka autobusów, ale nie było chętnych do wsiadania. W położonym naprzeciwko antykwariacie ktoś wywiesił na drzwiach kartkę głoszącą: *NIE MA TU NIKOGO I NIE MA NA CO PATRZEĆ*, co miało być substytutem tabliczki z napisem „zamknięte”. W pobliskiej restauracji jakaś para jadła pizzę. Wokół stolika zgromadziło się czterech kelnerów, niepewnych, czy goście przed chwilą przyszli, czy zaraz wychodzą.

- Która godzina? - wymamrotałem.

Pani Dees spojrzała instynktownie na zegarek, ale zaraz się zawahała.

- Czy to ma znaczenie?

Mężczyzna zwany Theydonem wzruszył lekko ramionami. Płaszcz układał się mu w osobliwy kształt wokół bioder, gdzie dotykał kling dwóch ukrytych pod spodem, przytroczonych do pleców mieczy. Mięśnie pod jego skórą poruszały się sugestywnie. To był facet, który pragnął, by wszyscy wiedzieli, że mógłby przenieść na grzbiecie mamuta, ale nie chciał się zniżać do tego, by im o tym mówić. Nasza niechęć do niego nasiliła się jeszcze.

- I co teraz? - zapytała pani Dees. Potrzebowałam chwili, by sobie uświadomić, że mówi do mnie. - Jak rozumiem, oficjalny samochód nie wchodzi w grę. Jak w takim razie zamierza się pan dostać do Sidcup?

- Nocnym autobusem - odparłem.

Cisza.

Zdołałem przetrzymać panią Dees o mikrosekundę.

- Wszyscy drżymy z ciekawości, panie Burmistrzu - wygarnęła wreszcie. - Proszę nam wyjaśnić, jak nocny autobus zdoła się przebić przez magiczne mury otaczające miasto coraz ciaśniejszym kręgiem, skoro wszelkie inne środki transportu zawodzą.

- Aha! - zawołałem.

- Czy ja też byłem taki nieznośny, gdy zdradzałem starożytne tajniki naszej sztuki? - zapytał Bakker.

- Przede wszystkim musimy się postarać, żeby nam wszystkim było bardzo niewygodnie - dodałem.

* * *

Zajęło to dwadzieścia minut.

Szedłem Grays Inn Road, zarzuciwszy sobie na szyję powiązane sznurowadłami buty. Moje skarpetki w mgnieniu oka pociemniały od wody, rękawy miałem podwinięte, a głowę gołą. Dostałem gęziej skórki, oczy szczypały mnie od deszczu. Za mną podążał Theydon. Ściągnął płaszcz i stąpał bosymi stopami po lśniącym od deszczu chodniku. Ku naszej wielkiej irytacji wyglądał jak zmokły gwiazdor filmowy. Za nim szła pani Dees. Ona zapewne miała najgorzej z nas wszystkich, ponieważ przed wyjściem z gmachu biblioteki przekonaliśmy się, że jedna z recepcjonistek ma bardzo podobny, ale nie identyczny numer buta, a do tego tak się szczęśliwie złożyło, że nosiła wyjątkowo niepraktyczne obuwie. Czerwone buciki miały wysokie obcasy, jakich powinno się zakazać razem z minami przeciwpiechotnymi i gazem musztardowym. Utykała. Żakiet miała podarty, a koszula

nasiąknęła tak mocno, że zwisała z niej bezwładnie. Skóra kobiety przybrała kolor oskubanego kurczaka ze śladami siności przy ustach, a jej oczy miały wyraz jak u kogoś, kto dobrowolnie przystał na najbardziej bezsensowny plan na świecie i póki życia nie da za wygraną.

Za nią szedł Bakker.

Suchy jak pieprz.

Towarzyszący mu cień nie był jego cieniem. Miał pazury.

Grays Inn Road w żadnym wypadku nie można uznać za piękną ulicę. Jednokierunkowa trasa prowadziła do takiego rodzaju skrzyżowania, na którym każdy, kto twierdzi, że jeden przystanek szybciej pokona się autobusem niż na piechotę, jest kłamcą. Mury sklepów w wiktoriańskim stylu nadal zdobiły ledwie widoczne wyblakłe napisy reklamujące tanie farmaceutyki oraz atlasy treningowe, ale na wystawach oferowano podejrzanie wyglądające owoce, szminki, trykoty, mleko oraz rozmowy telefoniczne z Somalią za pół ceny. Na sklepie z meblami biurowymi już od pięciu lat widniał napis oznajmiający: „Zlikwidowane - Wszystko kiedyś się kończy!”. Światła pogasły w barach kanapkowych, małych brudnych kawiarniach, warsztatach naprawy rowerów oraz zakładach kosmetycznych oferujących darmową konsultację w sprawie botoksu. Czulem miasto pod swoimi stopami, tunele, rury kanalizacyjne i błyszczące szyny. Pod Grays Inn Road kryło się znacznie więcej niż tylko trasa metra.

Zatrzymaliśmy się około stu jardów od przystanku autobusowego. Nie było tu wiaty, a jedynie słupek ze znakiem. Pani Dees odruchowo spróbowała skryć się w wejściu do sklepu, ale złapałem ją za rękę.

- Nie! Musimy wyglądać na tak zmoczonych i nieszczęśliwych, jak tylko się da.

Cofnęła się posłusznie na środek chodnika. Obok przejechała furgonetka. Pod stopy chlusnęły nam strugi wody.

- Może po prostu brakuje mi wyobraźni - oznajmiła, dzwoniąc zębami. - Ale nie sądzę, bym mogła się stać jeszcze bardziej zmoczona i nieszczęśliwa!

Theydon nic nie mówił, ale kostki dłoni miał zbielełe, a twarz zapadniętą.

- Świetnie! - zawołałem, przyglądając włosy dłońmi, co spowodowało, że po karku spływały mi strugi wody. Wzdrygnąłem się. Do tej pory plecy miałem zupełnie suche. - To znaczy, że nie będziemy musieli czekać długo!

Obok przemknął samochód kombi, z którego wymontowano tylne siedzenia, by zrobić miejsce dla głośników, produkujących basowe *bum bum bum*. Zniknął za dalekim rogiem i światła za nim zmieniły się na czerwone. Na ulicy zapadła cisza, nagła gęsta jedwabista cisza,

która nadchodzi, gdy silniki się zatrzymają i słyszymy tylko szum własnej krwi, dźwięki, z którymi się narodziliśmy, ale do tej chwili nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z ich istnienia.

Pani Dees również to poczuła.

A po niej Theydon.

Spojrzałem w stronę, z której przyszliśmy, poruszyłem drętwiejącymi palcami w mokrych skarpetkach i zaczerpnąłem tchu.

- Nie zatrzyma się na długo, będziemy mieli tylko jedną szansę. - Spojrzałem na panią Dees. - Może lepiej by było, gdyby pozbyła się pani tych butów.

Ściągnęła je z wyraźnym zadowoleniem.

Nadal nic.

Żadnych samochodów, rowerów ani nikogo.

I nagle usłyszałem warkot silnika zwiększającego obroty na prostej po minięciu zakrętu. Potem ujrzałem w oddali parę jasnych reflektorów. Ich blask przyćmiewał to, co znajdowało się za nimi, ale wiedziałem, co to jest, nie potrzebowałem widzieć.

- Biegiem! - zawołałem i popędziłem w stronę przystanku tak szybko, jak tylko pozwalały mi przemarznięte, ślizgające się po chodniku stopy.

Theydon dogonił mnie w mgnieniu oka, a potem wyprzedził. Zaryzykowałem obejrzenie się za siebie. Pani Dees była tuż za mną. Dostrzegłem też coś innego, co pojawiała się i znikało w świetle odbijającym się od sklepowych szyb - uśmiechnięty cień, pożółkłe zęby, szare oczy, rzadkie kosmyki włosów. Stworzenie, które powinno nie żyć, dotrzymywało nam kroku. Wyteżyłem wzrok, spoglądając dalej za siebie, i zobaczyłem reflektory, usłyszałem warkot silnika i świst wycieraczek, dostrzegłem wysoką mroczną sylwetkę widoczną za światłami. Mknęła ku nam z lekkomyślnym młodzieńczym entuzjazmem. Kierowcy nocnych autobusów w Londynie zawsze lubili wciskać gaz do dechy. Przystanek był tuż przed nami. Theydon prawie już do niego dopadł, gdy piętrowy autobus, pomalowany farbą tak ciemnoczerwoną, że wyglądała niemal jak czarna zakrzepła krew, wyprzedził go z piskiem hamulców. Z kraty za silnikiem buchała para. Pojazd się zatrzymał i otworzył przednie drzwi dokładnie na wysokości słupka przystanku. Jego okna były żółtoszare od światła rozproszonego w parnej atmosferze i wewnątrz było widać wyłącznie cienie. Z tyłu, żółtą farbą na czarnym tle, namalowano niechlujnie numer N1. Tylne drzwi otworzyły się z sykiem i trzaskiem. Wsiadła z nich jakaś kobieta. Była stara, miała twarz jak pieczona dynia, a spod starego welwetowego kapelusza na wszystkie strony sterczały gęste włosy. Długi fioletowy płaszcz zakrywał większą część krótkich nóg. Gdzieś pod nim mogły się znajdować kolana. W jednej ręce kobieta trzymała małą torbę na zakupy na kółkach, w drugiej zaś laskę

ma dokąd uciekać

Wręczyłem papierek Theydonowi.

- Kiedy następnym razem postanowi się pan przyłączyć do klubu ratujących miasto, proszę sobie kupić cholerny bilet travelcard - warknąłem.

Przyjął ode mnie wydruk. Jego twarz zastygła w wyrazie pośrednim między szyderczym uśmiechem a grymasem wstydu.

Chwialiśmy się na nogach, drżąc z zimna i ociekając wodą.

Nie byliśmy jedynymi pasażerami nocnego autobusu.

Większą część tylnych siedzeń usytuowanych nad silnikiem - najcieplejszego i najbardziej narażonego na wstrząsy miejsca w autobusie - zajmował mężczyzna o zaniedbanej, poplamionej keczupem brodzie, złamanym czerwonym nosie oraz twarzy, która stanowczo wykroczyła już poza pojęcie „dojrzałej”. Chrapał głośno. Kiedy zwolniliśmy, między siedzeniami potoczyła się butelka po piwie, a gdy znowu przyśpieszyliśmy, wróciła do punktu wyjścia, podskakując z regularnym *brzdęk brzdęk*.

Obok drzwi siedziała dziewczynka. Wyglądała na jakieś pięć lat. Miała na sobie czarno-szary mundurek szkolny, razem z filcowym melonikiem owiązanym szarą wstążką. Jej oczy były stare, a zęby za małe i zbyt ostre. Spojrzała na mnie, a potem na panią Dees i wykrzywiła usta w grymasie nienawiści.

- Na górę - zażądała cichym wysokim głosem. - Na dole nie chcemy takich jak wy.

Wzruszyłem ramionami i wszedłem na schody. Theydon podążył za mną, ale pani Dees zatrzymała się u ich podstawy i spojrzała dziewczynce prosto w oczy.

- Masz licencję, dziecko?

- W nocnym autobusie zasady nie obowiązują - odparła zapytana, krzywiąc się jeszcze bardziej.

- Kiedy wysiądziesz, jeśli w ogóle to zrobisz, zgłoś się do nas - odparła przemoczona Rajczyni, wyjmując zza pazuchy wilgotną i pomarszczoną wizytówkę. Dziecko przyjęło ją z niechęcią, zastraszone siłą spojrzenia pani Dees. Poszliśmy na górę.

Siedziała tam tylko jedna Chinka. Wszystko w niej było maleńkie. Proste czarne włosy i buciki, dłonie, niemal zbyt drobne, by mogła je zacisnąć na poręczy siedzenia przed sobą, a także ciemne oczy osadzone w owalnej twarzy. Jedynym dużym elementem był koronkowy kołnierz kremowej barwy, sterczący z maleńkiej szarej kurtki. Nie miała żadnego bagażu. Siedziała pochylona, jakby się spodziewała, że autobus lada moment się rozbije i wszyscy zginą oprócz niej, bo ona pamiętała, że trzeba trzymać się mocno. Uśmiechała się

przyjaźnie.

Usiadłem. Szyby były tak zaparowane, że nie widzieliśmy za nimi nic poza zamazanymi ulicznymi światłami. Plamy sodowego różu, rozbłyśki oślepiającej bieli oraz migające czerwone i niebieskie światła krążyły wokół nas jak muchy zwabione krwią. Gorąco panujące w autobusie przywodziło na myśl parną dżunglę z domieszką woni duszących się ludzi. Na zimnych szybach widniały uśmiechnięte twarze, zygzaki oraz napisy w kilkunastu różnych językach.

Supermysz!!

WYSIADAĆ Z AUTOBUSU

Został w Dulwich

nieprawda, że ja żem to zrobił

Pani Dees również usiadła. Przyglądała się własnym stopom. Buty, do włożenia których ją zmusiłem, zostawiły ślady na piętach. Theydon zmarszczył nos z niesmakiem, przyglądając się wystrzępionym niebiesko-czerwonym obiciom siedzeń. W końcu przysiadł na brzegu tego, które uznał za najmniej brudne. Przeszukałem torbę i znalazłem w niej mały ręcznik, niewiele więcej niż szarą mechata szmatkę, w którą owijałem szczoteczka i pastę do zębów - cały swój domowy dobytek. Podałem go pani Dees. Przyglądała się mu dłużej, niż to było konieczne, ale w końcu zimno przewyciężyło świadectwa innych zmysłów i wzięła ode mnie ręczniczek. Potem zaczęła energicznie wycierać ramiona, stopy, twarz i włosy, nie tylko po to, by je wysuszyć, lecz również ogrzać się za pomocą tarcia. Theydon popatrzył na nią, potem na mnie, a następnie odwrócił się do nas plecami. Ukrył twarz w dłoniach. Zastanawiałem się, czy nie zacznie płakać. Nagle cofnął dłonie i przez krótką chwilę poczułem na czubku języka słodki smak magii. Odwrócił się ku nam. Zmoknięty pokryty gęsią skórka facet ustąpił miejsca samcowi alfa, dziecku natury, pradawnemu łowcy-zbieraczowi, który potrafił stawić czoło żywiołom i oznajmić: „Burza mnie nie przeraża”. Jego fizyczny wygląd nie zmienił się zbytnio, ale mogło się zdawać, że deszcz był tylko kolejnym płaszczem, który postanowił wdziać. Jego oczy lśniły pyszałkowatą dumą kogoś, kto wie, że, oczywiście, naprawdę jest aż tak bardzo przystojny.

- Tanie sztuczki - skwitowaliśmy.

- Wystarczająco drogie, jak na towarzystwo, w jakim przebywam - odciął się.

- Domyślam się, że nie chcesz ręcznika, tak?

W odpowiedzi rozwalił się jeszcze bardziej na fotelu, przyjmując często oglądaną w środkach miejskiego transportu pozę, dzięki której jeden mężczyzna wraz ze swymi jajami może zająć miejsce przeznaczone dla pięciu osób tylko dlatego, że oprze się wygodnie i

rozstawi szeroko nogi.

Pani Dees skończyła się wycierać i podała mi mokrą szmatę. Ku mojemu zaskoczeniu, spojrzała na Theydona z ostrym błyskiem w oczach.

- Hej, ty! Człowieku z Neonowego Dworu! Musimy ustalić kilka zasad - warknęła. - Gdy przebywasz w towarzystwie Nocnego Burmistrza, będziesz się do niego zwracał „panie Burmistrzu”, a jeśli będziesz miał wyjątkowe szczęście, może raczy ci odpowiedzieć. Kiedy Burmistrz każe ci coś zrobić, natychmiast wykonasz jego polecenie, nie zadając żadnych pytań. Chodzi nie tylko o to, że nie znasz się na naszych sprawach, lecz również o twoje przetrwanie. Zrozumiałeś?

Cisza.

Czekałem, aż pojawią się noże.

- Zrozumiałeś? - powtórzyła Dees. Jej głos był zimny jak lód, ale w oczach zapłonął ogień, czerwone obwódki wokół tęczywek, cień szaleństwa, który można było zobaczyć w obrazie smoka strzegącego bram Londynu. Jej paznokcie przybrały srebrną barwę i zrobiły się odrobinę za długie. Widziałem już, jak walczą Rajcy, ale do tej chwili nigdy nie kojarzyłem podobnej mocy z panią Dees.

Theydon przez chwilę miał ochotę okazać się idiotą.

Ale potem zmienił zdanie.

- Zrozumiałem - odparł pozbawionym wyrazu głosem.

Uśmiechnęła się i uspokoiła. Czuję, że odpływa z niej metalowa magia.

- To dobrze - wydyszała. - Jestem pewna, że nasza znajomość okaże się obopólnie korzystna.

Usiadła. Bakker spoczął obok niej, wspierając podbródek na otwartych dłoniach. Pochylał się ku przedniemu oknu autobusu niczym dziecko. Nie widziałem, jak wsiadał, ale przecież nie potrzebował tego robić.

- Mam nadzieję, że wiesz, dokąd jedzie ten autobus. Matthew - odezwał się.

Nadaremnie próbowałem się wytrzeć wystrzępionym ręcznikiem. Za oknami pojawiały się plamy koloru, rozbłyskujące i tańczące jak ropa płonąca na pustyni. Theydon uniósł ospałym gestem palec i przejechał nim po zaparowanej szybie, zastanowił się, czy czegoś na niej nie napisać, ale zmienił zdanie.

- Mógł pan nam powiedzieć, że zamierza pan złapać ten nocny autobus, panie Burmistrzu - poskarżyła się pani Dees.

- Ehe - przyznałem ze wzruszeniem ramion. - Ale wtedy moglibyście odmówić.

- Co to za wehikuł? - zapytał Theydon, rozglądając się wokół.

Zdziwiliśmy się, że chciało mu się okazywać zainteresowanie.

- Nocny autobus - wyjaśniłem. - Ma wszystkie cechy zwyczajnych londyńskich autobusów tego rodzaju. Jeździ stanowczo za szybko ulicami, na których za dnia z reguły są korki, omija połowę przystanków, na których w zasadzie powinien się zatrzymywać, jego pasażerowie nie są zwykle wzorami trzeźwości, kursuje tylko po północy i można nim dotrzeć w miejsca niedostępne w żaden inny sposób.

- Na przykład...? - zapytała pani Dees.

- Sidcup. Nocny autobus jest jedną z wielkich niepowstrzymanych sił londyńskiej magii. Nie słyszałem o żadnej barierze, która mogłaby go powstrzymać przed dotarciem tam, dokąd zmierza.

- A kierowca? - zapytał Theydon. - Przykuto go...

- Tak jest, przykuto go łańcuchami - odezwał się Bakker. On również przejechał palcem po zaparowanej szybie, ale nie zostawił na niej żadnego śladu. - Skazano go, całkiem dosłownie, na noc bez końca.

- Mówią, że to taka klątwa - wyjaśniłem. - Jej ofiary są skazane na służbę autobusowi przez dwanaście lat. Cały czas prowadzą go przez noc, bez odpoczynku, picia i jedzenia.

- To tylko pogłoski - sprzeciwiła się pani Dees. - Rajcy nie znaleźli żadnych dowodów na istnienie podobnego układu.

- To prawda - zapewnił Theydon z niezachwianą pewnością w głosie. - Widziałem już podobne rzeczy.

- Naprawdę? - zapytałem, unosząc brwi. - Słyszałem, że Neonowy Dwór raczej nie zasługuje na tytuł pracodawcy miesiąca, ale...

- Nic pan o nas nie wie - przerwał mi z błyskiem w oczach.

- Wiem, że kiedy zrobicie się za starzy, zbyt brzydcy albo znużeni czy krnąbrni, wyrzucają was na bruk - odparłem. - Nie przewiduje się emerytury z dodatkowymi świadczeniami. Neonowy Dwór jest dla swych członków wszystkim. Życiem, chlebem i wszechświatem. Ci, których z niego wyrzucono, lądują na ulicy bez choćby szczoteczki do zębów. Ich starość jest krótka i samotna. A ten los spotyka tych, którymi Lady Neon po prostu się znudzi. Bóg wie, co czeka tych, na których się wścieknie.

- A co z Nocnymi Burmistrzami? - skontrował. - Nie słyszałem, by wielu z was dożywało do emerytury.

- Trzymaj język za zębami, jeśli nie chcesz, żeby ci go wyrwano z gardła - ostrzegła pani Dees z westchnieniem łagodnym jak letni wietrzyk.

Umilkł urażony.

- On ma sporo racji, Matthew - odezwał się Bakker. - Z pewnością zdajesz już sobie sprawę, że zginiesz w tej służbie. Za pięć lat? Może dziesięć, jeśli będziesz miał szczęście. Oczywiście, twoje szanse przeżycia znacznie by wzrosły, gdybyś zdołał opanować podstawowe umiejętności zarządzania. Gdybyś, na przykład, potrafił zaufać innym i przekazać im część swoich zadań. Ale z drugiej strony, pomyśl, jak głośno byś się skarżył, gdyby inni ginęli śmiercią przeznaczoną dla ciebie. Twój poziom kompetencji to wieczny podoficer, Matthew.

- Czy ma pan plan odnalezienia wybranej? - zapytał Theydon. - Pomijając próbę przedostania się do części miasta uznanej za nieistniejącą albo za całkowicie niedostępną?

- Panie Burmistrzu? - poparła go pani Dees.

- Ehe - skłamałem. - Mam pewien plan.

- A czy zechce się pan nim podzielić? - zasugerował Theydon.

- Nie.

- Oczywiście... - to znowu był Bakker - ...gdyby wybrana rzeczywiście istniała, byłaby widoczna jak ognisko w Antarktyce. Ale przecież nie ma żadnej wybranej, prawda? W końcu jej istnienie implikowałoby istnienie boga, który ją wybrał, a co za tym idzie wyższej mocy, co równałoby się istnieniu planu wszechrzeczy, co z kolei oznaczałoby, że wszechświat ma cel, a przecież z pewnością go nie ma. Nie może go mieć, bo w przeciwnym razie nas obu czekałoby nieuniknione potępienie.

- Dlaczego akurat te buty? - zapytała pani Dees z uprzejmą pytającą miną, unosząc w ręce parę absurdalnych czerwonych bucików, w których kuśtykała przez Grays Inn Road.

- Och, prawda, przepraszam - odparłem. - Nocny autobus... ten nocny autobus... pod pewnym względem zachowuje się tak samo, jak jego niemagiczne odpowiedniki.

- Pod jakim...?

- Zjawia się tylko wtedy, gdy leje jak z cebra, człowiek przemókł do suchej nitki, marznie jak wszyscy diabli, czuje się paskudnie i, szczerze mówiąc, przestał już wierzyć, że autobus kiedykolwiek przyjedzie, więc ruszył z powrotem do domu, mając na nogach najgorsze buty na świecie. A nawet wtedy pojawi się dopiero w tej chwili, gdy pasażer oddali się już o dobre sto jardów od przystanku i będzie musiał zapychać, ile sił w nogach, żeby go dogonić.

- Zakłęcie wzywające nocny autobus opiera się na bólu? - zapytał Theydon.

- Nie, nie, nie, nie, nie! - odparłem. - Nie rozumiesz, w czym rzecz. Nocny autobus przynosi ulgę w bólu. Chodzi o objawienie, o ratunek, który nadchodzi, gdy nic innego nie kursuje i człowiek sięgnął dna cierpienia. Niestety, najpierw trzeba go sięgnąć, by zasłużyć na

ów ratunek. Przykro mi z tego powodu.

Zapadła pełna niezadowolenia cisza.

Nagle drobna Chinka o przyjaznym uśmiechu pochyliła się ku nam.

- Przepraszam? - odezwała się.

Wszyscy się odwróciliśmy. Skinęła uprzejmie głową do każdego z nas po kolei, a potem również do Bakker. Z jej twarzy ani na moment nie zniknął uśmiech.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Nie macie nic przeciwko temu, że wam przeszkadzam?

- To jest nocny autobus - odparłem ze wzruszeniem ramion. - Najlepsze miejsce na dziwaczne spotkania towarzyskie.

- Nie mogłam nic poradzić na to, że podsłuchałam waszą rozmowę. Czy mam rację, sądząc, że jest pani Rajczynią?

- Tak - odparła ostrożnie pani Dees. - W czym mogę pani pomóc?

- To wielki zaszczyt panią poznać! - zawołała Chinka. - Wie pani, że podziwiam waszą pracę już od prawie dwustu lat?

- Hmm... chętnie przypisałabym sobie zasługę za to wszystko - wymamrotała pani Dees - ale, niestety, wie pani, jak linearna mechanika czasu zwykła wpływać na długość ludzkiego życia.

- I pan! - ciągnęła kobieta, radośnie przenosząc uwagę na Theydona. - Czy mogę zauważyć, że wygląda pan rewelacyjnie, jak na swój wiek. Muszę przyznać, że gdyby seks z panem Wongiem nie był aż tak świetny, pański urok wydałby mi się nieodparty, pański powab straszliwie kuszący. Czego pan dodaje do kremu pod oczy? Krwi noworodka czy czegoś trochę mocniejszego?

- Kim pani jest, do licha? - warknął Theydon.

Skrzywiła się, rozczarowana jego nieuprzejmością.

- Ojej. - Westchnęła. - Już wkrótce Jej Wysokość poczuje się panem znudzona, a wtedy zaczną się z pana śmiać. Kap, kap, kap, skapuje woda z cysterny, puk, puk, puk, nikt nie otwiera drzwi. To bardzo smutne. Ale! Właściwie nic się nie da na to poradzić, prawda?

Na koniec zwróciła się ku mnie i rozpromieniła się jak latarnia morska w mglistą noc.

- I pan! - zawołał. - Wszyscy trzej jesteście zajęci, zajęci, zajęci!

- Cześć - powiedziałem. - I... cześć i cześć - dodałem słabym głosem.

- Dwa trupy i anioł, a niech mnie, a wszyscy noszą tę samą twarz i do tego smutną.

Bakker pochylił się nagle, wyciągając rękę do drobnej kobiety.

- Cieszę się, że miałem okazję panią poznać. To dla mnie zaszczyt, że tak powiem,

jako jedna upośledzona wymiarowo dusza do drugiej.

Spróbowała uścisnąć mu dłoń, ale jej ręka przeszła tylko powietrze.

- Kurczę. - Zachichotała. - Trudne, trudne, trudne, co?

- To wariatka - wydyszał Theydon.

Dees zaciskała mięśnie żuchwy, pogrążona w głębokiej koncentracji.

- Nie - wyszeptała. - Nie to.

- Czyżbyście byli dzielnymi ludźmi ruszającymi do walki z nienazwanym złem? - zapytała Chinka.

- Och, żadne zło nie jest nienazwane! - sprzeciwił się Bakker. - Jak moglibyśmy walczyć z czymś, czemu nie potrafimy nadać imienia?

- To prawda, czysta prawda. - Kobieta westchnęła. - Pierwszy raz jedzie pan nocnym autobusem?

- Tak - odparłem.

- Nie - dodał Bakker.

- No cóż, czy mogę poradzić tym z was, którzy mają cielesne struktury podatne na urazy, żeby mocno się czegoś złapali?

Dees otworzyła usta, by zadać pytanie.

Ja się czegoś złapałem.

Z silnika pod nami dobiegł głośny huk.

W zaparowanych szybach błysnęło jasne sodowe światło.

Potem na autobusie zacisnęła się ręka olbrzyma. Uniosła pojazd, wbrew wszystkim kaprysom grawitacji, i potrząsnęła nim. Byliśmy jak płatki śniegu w szklanej kuli. Moje stopy uderzyły o sufit, a twarz zwróciła się w dół, ku podłodze, która nagle umknęła mi spod nóg. Zaciskałem dłonie na zimnej metalowej poręczy z tyłu siedzenia tak mocno, że aż zbiały mi kostki. Mój żołądek zdołał się powstrzymać na czas, gdy cały wehikuł przechylił się nagle na bok i straciłem uchwyt, kiwając się jak wahadło. Złapałem po drodze górną poręcz i owinałem wokół niej zgiętą w łokciu rękę. Ktoś przywiązał mi kamienie do nóg, starał się przeciągnąć cały autobus na bok z niepowstrzymaną siłą ołowianych ciężarków. Światła w pojeździe migotały z szybkością mogącą sprowokować atak padaczki. Próbowałem podczołgać się ku górze, cal za cal, trzymając się mocno poręczy. Widziałem słowa tańczące na zaparowanych szybach. Zmieniały się z każdym rozbłyskiem fluoryzującej bieli.

Nie ja...

Nie mam...

Nie chciałem...

Byłem tam...

Widziałem to...

Theydon leżał na tylnej szybie, rozplaszczony jak nabity na szpilkę motyl. Jego rozpostarty płaszcz zamienił się w parę wspaniałych czerwonych skrzydeł. Wyciągnął jeden z krótkich szklanych mieczy, zielony jak butelka od piwa, ale nie miał czego nim uderzyć. Gdy tylko spróbował unieść głowę, opadał z powrotem w dół, miażdżony niewidzialnym ciężarem. Mała Chinka siedziała równie spokojnie jak przedtem, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do kierunku, w którym zwisałem. Z mojego punktu widzenia wyglądało to tak, jakby sterczała ze ściany. Uśmiechała się z odrobiną żalu, jakby chciała przeprosić nas za to, że okazała brak ducha współpracy, nie uczestnicząc w tym wszystkim. Bakker i pani Dees nigdzie nie widziałem.

Autobus szarpnął się znowu i wróciliśmy do w przybliżeniu pionowej pozycji. Uderzyłem kolanami o podłogę, a głową o oparcie siedzenia. Wypuściłem poręcz z rąk i oszołomiony osunąłem się na siedzenie. Światła zgasły, ale przez pokryte mgiełką szyby do środka wnikał szary rozproszony blask. Zobaczyłem w nim, że autobus się wypełnił. Dziesiątki, setki ludzi, może nawet więcej, tłoczyły się, włożyły na swych towarzyszy, wnikały do ich wnętrza i owijały się wokół nich. Na każdym miejscu siedziało pewnie po pięć osób. Ich widmowe sylwetki zlewały się w jedno i można było je odróżnić od siebie tylko wtedy, gdy poruszały się trzy ręce zamiast dwóch albo gdy jedna głowa się pochylała, odsłaniając drugą. Tak wiele osób łączyło się w całość, że rysy twarzy zamazywały się, pozostawiając tylko bezkształtne granie i wydmy szarej skóry. Byłem uwięziony w labiryncie białych nóg, szamoczących się we wszystkie strony. A wszystko to odbywało się w całkowitym milczeniu. Nie słyszałem żadnych głosów, oddechów ani warkotu silnika. Wstałem z wysiłkiem i przekonałem się, że cienie są nieco chłodniejsze od temperatury pokojowej i rozstępują się przede mną jak powietrze. Mała Chinka zniknęła, ale zauważyłem cień, który mógł być nią, siedzący wśród innych na jej dawnym miejscu. Za tymi sylwetkami dostrzegałem też Theydona. Ręka zwisała mu bezwładnie. Rozluźnił zakrzywione palce. Gdy grawitacja wróciła niespodziewanie do normy, runął na podłogę u podstawy schodów. Ruszyłem ku niemu przez cienie, aż wreszcie dotarłem na przód autobusu. Poza Theydonem nie dostrzegałem nic żywego. Podeszedłem do okna, chcąc otrzeć parę z szyby i wyrzeć na zewnątrz, ale zawahałem się nagle.

Pod moją ociekającą wodą dłonią ktoś kiedyś, dawno temu, napisał następujące słowa:

Myśmy są światło, myśmy są życie, myśmy są ogień!

Wyśpiewujemy elektryczny płomień, dudnimy z podziemnym wiatrem, tańczymy

niebo!

Stań się mną i bądź wolny!

Myśmy są niebieskie elektryczne anioły.

Cofnęliśmy rękę, przyglądając się, jak spływające z liter kropelki wody zamazują litery.

Na ramię opadła mi czyjaś dłoń. Była zimna, znacznie zimniejsza niż szare duchy tłoczące się setkami na siedzeniach autobusu. Grube popękane paznokcie pokrywały plamy niezdrowej żółtej barwy. Palce były długie, pomarszczona skóra ciasno opinała się na cienkich kościach. Uścisk był mocny, palce wpiły się głęboko. Uniosłem wzrok i ujrzałem w oknie odbicie twarzy właściciela dłoni. Chudej. Szarej. Zwiędłej. Zęby mu próchniały. Włosy wypadaly. Szare oczy łzawiły jak zawsze. Uśmiechał się. Próchnicze zęby nadal były ostre, a za ich blankami czaił się ciemny język.

- Jestem głodny!! - zawołał cień.

Spróbowałem się odwrócić i odepchnąć go od siebie, ale on już sięgnął ustami do mojej szyi i wbił mi palce w plecy. Poczułem gorący ból płynący z miękkiego zagłębienia między barkiem a szyją, poczułem smak flegmy, krwi i żółci, tak intensywne, że zacząłem się dławić. Krzyczałem i próbowałem złapać go za twarz, wydłubać mu oczy. Znalazłem coś, co ustąpiło pod naciskiem, i gorący ból przerodził się w zimny. Usłyszałem wściekły wrzask. Głód, cień Bakкера, który ożył, gdy jego właściciel zaczął umierać, stawiał opór. Nadal próbując się odwrócić, odnaleźliśmy elektryczne płomienie, które napłynęły nieproszone do naszych palców. Włosy stanęły nam dęba, nos wypełniła woń gazu, a na języku poczuliśmy smak pyłu, ale jego dłonie zacisnęły się na naszej czaszce z siłą imadła i walnęły naszą skronią w grubą szybę. Ujrzałem mroczki przed oczyma, na chwilę na krawędzi mojego pola widzenia pojawił się napis

STOP! DZIECI PRZECHODZĄCE PRZEZ DROGĘ!

i usłyszałem

łaskot silników głośniejszy niż odgłos pękającej ziemi

i zobaczyłem

reflektory skracające gwałtownie, by ominąć sylwetkę dziecka

za późno

potem znowu odnalazłem podłogę. Padłem na nią tak mocno, że uderzenie wybiło mi powietrze z płuc. Spróbowaliśmy wstać, ale cielesna powłoka, w której byliśmy uwięzieni, niezdarna i śmiertelna, słaba i powolna, nie słuchała naszych rozkazów. Głód zacisnął ręce na naszym gardle i podniósł nas, byśmy spojrzeli mu prosto w oczy. Jego twarz wypełniała nasz

świat, a oddech cuchnął niestrawnością.

- Więcej ognia? - zapytał.

Zamknąłem oczy.

Potrząsnął nami. Widzieliśmy krew spływającą nam po skroni.

- Więcej ognia? - wydyszał.

Ból utrudniał nam myślenie.

Sięgnęliśmy w głąb siebie, pochwyciliśmy garść mdłości, znaleźliśmy ostry jak igła grot cierpienia z przodu naszej czaszki i skupiliśmy się na tym, aż przerodził się w gorący pulsujący punkt gorejącego płomienia.

- Piękne niebieskie anioły - skomlał Głód. - Ja tylko chcę żyć, czy to takie złe? Tylko chcę żyć...

Otworzyliśmy oczy.

Nasze pole widzenia wypełniała szafirowa jasność. Ujrzeliśmy go wyraźnie, tego stwora, który był Bakkerem-Głodem, widzieliśmy na wskroś przez składające się na niego cień i pył. Roześmialiśmy się, a silnik autobusu ryknął razem z naszym śmiechem, zatrzęsł się, warknął i obudził do życia. Wilgoć pokrywająca szyby spływała w dół, odsłaniając przyprawiający o zawrót głowy chaos światła, pozbawiony wszelkiego związku z geografiami, przestrzenią, czasem i wszystkimi tymi drobiazgami, którymi tak bardzo lubią się przejmować śmiertelnicy.

Zauważyliśmy, że mamy wolne ręce, unieśliśmy je i złapaliśmy Głód za gardło. Otworzył szeroko oczy ze strachu, gdy nasze palce ogarnęły płomienie, niebieski elektryczny ogień przebiegł wzdłuż całej naszej kończyny, aż nasz kręgosłup zadźwięczał jak olinowanie podczas sztormu, przy każdym naszym ruchu sypiąc skrami wypełniającymi powietrze wokół nas blaskiem elektrycznego płomienia. Kiedy oddychaliśmy, powietrze zamarzało. Głód szarpał się gwałtownie, usiłując się uwolnić z naszego uścisku, ale trzymaliśmy go mocno, zaciskając palce na jego widmowej szyi, choć drapał nas niematerialnymi palcami. Wstaliśmy i unieśliśmy go, aż przestał dotykać stopami ziemi, a powietrze wokół nas zamigotało od płomieni. Czuliśmy, jak palą się na naszych plecach, i przez moment widziałem w szybie odbicie istoty, która nie była człowiekiem

Pięknej

Płonącej niebieskim ogniem

Śmiejącej się, gdy dusiła cień

Para anielskich skrzydeł spowitych w niebieski elektryczny płomień

To nie był człowiek

Nie ja

A duszone przez nas stworzenie miało twarz Roberta Bakкера, jego słabe starcze ręce szarpały nas, a stara twarz zrobiła się czerwona jak burak, a potem sina jak suchy lód: najpierw wargi, potem skóra pod oczyma, a po niej cała reszta.

- Matthew! Proszę! - wycharczał.

Roześmialiśmy się tylko i wzmocniliśmy nieco uścisk. Jego nieciało zapadło się pod naszymi dłońmi.

Wtem z tyłu autobusu coś się poruszyło.

Wstało i się przeciągnęło.

Miało metalową skórę, srebrną jak stal i usianą czerwonymi żyłami. Z ust buchał mu gęsty czarny dym, wysuwało rozszczepiony jaszczurczy język, jego włosy były metalowymi niciami, sterczącymi jak jadowite kolce, a oczy gorzały czerwonym oblędem.

- Panie Burmistrzu - odezwało się stworzenie głosem brzmiącym jak silnik, który nie chce się zapalić pośród nocy.

Poculiśmy ból w wewnętrznej powierzchni prawej dłoni.

Przyjrzelśmy się jej z zainteresowaniem.

W skórze wycięto dwa czerwone krzyże.

To one nas bolały.

- Panie Burmistrzu? - powtórzyło stworzenie o metalowej skórze. Światło zakrzywiało się wokół niego, bojąc się zbliżyć bardziej, niż to było konieczne. W cieniu, który pojawił się u jego stóp, poruszały się jakieś obiekty, próbujące umknąć z ciemności.

Rozluźniłem uścisk.

Bakker-Głód zwałił się na plecy. Charczał i trzymał się za gardło, próbując zaczerpnąć tchu.

Popatrzyłem na krzyże na swej dłoni, a potem przeniosłem wzrok na stojące z tyłu autobusu stworzenie, które nie było w pełni człowiekiem ani smokiem, lecz czymś pośrednim.

- Pani Dees? - wyszeptalem.

Niebieski elektryczny ogień gasł powoli.

Światła na zewnątrz również już słabły. Po chwili została tylko błękitna łuna bijąca od naszej skóry.

- Pani Dees? - powtórzyłem. Na końcu autobusu stał cień, czarny i nieruchomy. Czerwony ogień zniknął. - Uderzyłem się w głowę - poskarżyłem się.

Niebieski płomień wygasł całkowicie i w autobusie zapadła ciemność.

* * *

Za oknem palił się neon.

Był pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem. Głosił:

Halal

Czynne całą dobę

Obok, maleńkie diody LED - niebieskie i zielone - układały się w obraz uśmiechniętego radośnie mężczyzny, który jadł raz po raz tego samego hot doga.

Neon zniknął w nocy.

Światła, żółte anonimowe światła, pojawiały się jedno po drugim, przebiegając wzdłuż autobusu. Theydon podniósł się z wysiłkiem ze schodów. Dyszał ciężko, a jego fryzura utraciła idealny kształt. Po twarzy spływały mu długie ciemne strużki barwnika, jakby krwawił z rany owłosionej skóry głowy. Zauważyliśmy w jego włosach siwe smużki, nieskazitelny dotąd wygląd zmąciły plamy bladości. Spojrzał nam w oczy, ale pośpiesznie odwrócił wzrok. Przesunął dłońmi po twarzy i strużki farby oraz cienie siwizny zniknęły. Przywrócił maskę nieskalanej młodości, ale ujrzeliśmy prawdę i on o tym wiedział.

- No cóż... to wiele nam powiedziało - odezwała się pani Dees. Siedziała przy schodach, zapinając guziki rękawa. Wyglądała normalnie, o ile jest to możliwe w przypadku kobiety bez butów jadącej nocnym autobusem. - Ktoś został ranny? - zapytała.

- Nie - odparł Theydon, siadając naprzeciwko niej.

Popatrzyła na mnie.

- Wszystko w porządku - wymamrotałem.

- Widzę, że pan krwawi, panie Burmistrzu - sprzeciwiła się.

Pomacałem się po szyi. Krew była już lepka, jak schnący klej.

Przesunąłem palce nieco niżej. Skóra była tam gorąca, jak poparzona. Otarłem dłonie o spodnie i otuliłem się ciaśniej płaszczem wokół szyi.

- Przeżyję to - zapewniłem.

- Z pewnością, panie Burmistrzu - zgodziła się pani Dees. - Jest pan w tym bardzo dobry.

Rozejrzałem się wokół w poszukiwaniu Bakkera.

Nigdzie go nie było.

- Czy to się powtórzy? - zapytał Theydon.

Zauważyłem na szybie odciski dwóch dłoni. Palce były za długie, a szkło zadrapały za długie pazury. Słyszałem szum deszczu, ledwie się przebijający przez warkot silnika,

widziałem spływającą po szybach wodę, znoszoną do tyłu przez wiatr. Zaczerpnałem głęboko tchu i wytarłem parę z szyby, likwidując ślady.

Theydon i pani Dees podeszli bliżej, by spojrzeć na świat zewnętrzny.

Deszcz.

Trudno było zobaczyć cokolwiek poza strugami padającej wody.

Studzienki kanalizacyjne już dawno dały za wygraną, woda gromadziła się wokół nich, tworząc brudne jeziora, pokrywała chodniki sięgającą kostek warstwą, docierała do drzwi. Jezdnią spływały spadłe liście. Mknęliśmy ulicami, na których latarnie zapomniały się zapalić, i widzieliśmy tylko bijący od nich czerwonawy blask. Za oknami domów nie było śladu życia. Chodnikami nie chodzili piesi. Żaden z samochodów się nie poruszał, wszystkie tkwiły głęboko w błocie jak krokodyle. Jedynym źródłem światła były reflektory autobusu, dwa stożki bieli w ciemności, oraz od czasu do czasu neon jakiegoś sklepu. Poza nami nic tu się nie poruszało - żaden mężczyzna, kobieta, szczur ani lis.

- Jesteśmy na miejscu - wydyszałem i nacisnąłem dzwonek.

* * *

Na przystanku była wiatra. Na jej dach ktoś rzucił dziecinną zabawkę. Jaskrawoniebieska grzechotka leżała w kałuży brudnej wody, która wypełniła już cały dach i przelewała się przez brzegi.

Pod wiatą nie paliło się światło.

Ani tam, ani nigdzie.

Ciemność mącił wyłącznie blask bijący z okien nocnego autobusu, a i on szybko się oddalił.

Zacisnąłem palce w pięść, wlałem w nią niewielką ilość ciepła, jaką w sobie miałem, i otworzyłem dłoń. Różowe sodowe światło uniosło się nad moją rękę i zawisło na wysokości głowy, strzelając i skwiercząc przy każdej kropli wody, która na nie spadała. Kiedy ruszyłem z miejsca, podążyło za mną, otaczając mnie małym kręgiem jasności. Widziałem w nim rozkłady jazdy oraz mapy okolicy umieszczone pod wiatą. Papier był cienki i poszarzały, skurczył się w miejscach, gdzie dotknęła go woda. Na rozkładzie jazdy ktoś przykleił żółtą kartkę z napisem:

**DZIŚ AUTOBUSY NIE KURSUJĄ
I JUŻ NIGDY NIE BĘDĄ.**

Usłyszałem westchnienie Theydona.

Zerknąłem na niego i zobaczyłem, że choć nie stoi w moim kręgu jasności, jego

również otacza światło. Nie miało widocznego źródła ani żadnego koloru, ale pozwalało go wyraźnie zobaczyć. To było tak, jakby odrobina blasku postanowiła się z nim zaprzyjaźnić i niech reszta świata cierpi sobie w ciemnościach. Przeniosłem spojrzenie na panią Dees. Gdy przechylała głowę, jej oczy lśniły w mroku jak u kota, choć nigdy nie widziałem kota o tak czerwonych ślepiach.

Spojrzałem za siebie, na wiszące na ścianie wiaty plany.

Byliśmy w Sidcup.

Podkscytowany wszystkim, co się wydarzyło, ledwie sobie uświadamiałem, że dotarliśmy na miejsce.

- I co teraz, panie Burmistrzu? - zapytała pani Dees.

- Wracamy do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło - odparłem z westchnieniem. - Do spalonego wieżowca.

* * *

Nasze kroki brzmiały zbyt donośnie.

Nie ma ciszy głębszej niż ta, która zapada, gdy silniki milkną. Nigdzie nie może być ciszej niż w mieście, w którym ustał wszelki ruch drogowy. Zamiast grających na wsi owadów w mieście tło dźwiękowe tworzą ludzkie głosy, niemilkące przez całą noc; szelest liści i wiatru zastępuje szum wylotów przewodów wentylacyjnych w ścianach budynków, a mlaskanie błota pod stopami ustępuje miejsca ostremu *puk puk puk* twardych podeszew uderzających o nawierzchnię. Zawsze gdzieś słyszy się jakieś dźwięki.

Ale nie tej nocy.

Nie rozmawialiśmy ze sobą po drodze.

Wszyscy byliśmy zbyt zaabsorbowani słuchaniem własnych kroków, kontemplowaniem prostego faktu, że nasze światła były zapewne najjaśniejsze w całym tym mrocznym krajobrazie i w związku z tym przyciągały wszelkie wredne stworzenia mogące się tu kryć.

Szliśmy środkiem ulicy, wzdłuż zamazanej białej linii, tam gdzie powinny jeździć samochody. Deszcz lał niepowstrzymanie. Bulgotał w rynsztokach, tworzył ulotne kratery w kałużach, skapywał z dachów i gromadził się w zapomnianych dziurach w jezdni. Nasze wędrowne światło padało na martwe, zwijające się plakaty oferujące sześciopak piwa po cztery funty i wino po 3,99 za butelkę albo reklamujące hurtowników peruk, producentów naszyjników z paciorków, pakowaczy chińskiego pieczywa ryżowego, sprzedawców tureckiej oliwy z oliwek na galony, pralnie samoobsługowe i frytkarnie, salony fryzjerskie,

wystawiające w oknach zawsze te same zdjęcia tego samego mężczyzny o radosnym spojrzeniu i charyzmatycznej, ale zwyczajnej fryzurze, a także miejscowe sklepy, w których można było kupić doładowanie do komórki, kartę Oyster, zapłacić rachunek za gaz, zadzwonić do Nowej Zelandii albo nabyć środek do zmiękczenia tkanin po okazyjnej cenie.

Wyjąłem przewodnik po Londynie i otworzyłem go na hasło Sidcup.

Na stronie, przedtem pustej, widniał teraz plan narysowany czarnym spływającym atramentem, jakby sama mapa zamieniała się w płyn.

- W porządku - oznajmiłem. - Wypalone szczątki wieżowca, jednego z trzech, nieopodal autostrady. Cholernie łatwo to znaleźć.

Ruszyliśmy w dalszą drogę.

- Gdzie się podziali ludzie? - zapytała po chwili pani Dees.

Wzruszyłem ramionami.

Przeszliśmy jeszcze kawałek.

- Ktoś nas obserwuje - odezwał się nagle Theydon.

Nikt nie zwolnił kroku.

Ulica wiodła w dół. Wędrowne różowe światło pozwoliło mi odnaleźć wielką tablicę odblaskową, informującą, że to droga do Rochester, Dover, Folkestone i tunelu pod kanałem La Manche. Minęliśmy zamknięte drzwi pubu. Pani Dees wydała z siebie cichy dźwięk i się zatrzymaliśmy.

W drzwiach spała jakaś postać w ociekającym wodą śpiworze sięgającym ramion. Szczupłą bladą twarz naznaczyły cienkie sine żyły. Na głowie kobiety tkwił brudny wełniany kapelusz. Oczy miała zamknięte, ale oddychała.

- Mam ją obudzić? - zapytała pani Dees.

- Jeśli pani zdoła - odparłem.

Uklękła obok kobiety, dotknęła jej ramienia i potrząsnęła nią lekko. Żadnej reakcji. Potem dotknęła jej policzka i się pochyliła.

- Przepraszam? - wyszeptała. - Proszę pani? Proszę pani? - dodała głośniejszym głosem.

Nadal nic.

- Niech mi pani da spróbować - poprosił Theydon.

Pani Dees odsunęła się z niepewną miną. Mężczyzna w czerwonym płaszczu uklękł przy śpiącej kobiecie i przyjrzał się jej twarzy. Potem pochylił się i pocałował ją w policzek.

Nic.

- No wiesz, to się nie uda - odezwał się Bakker.

Stał tuż obok pani Dees, pełen nonszalancji. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej

pomarańczową buteleczkę, zdjął wieczko i wysypał na dłoń parę białych trójkątnych tabletek. Theydon wyprostował się, wyraźnie zdziwiony faktem, że nie udało mu się obudzić kobiety. Bakker przełknął tabletki z płynącą z przyzwyczajenia swobodą.

- Nie można ich obudzić. To terytorium należy teraz do Zaciemnienia - wyjaśnił mój dawny nauczyciel. - Noc bez końca. To właśnie znajduje się po drugiej stronie muru. Tym stanie się miasto, jeśli słońce nie wzejdzie. Wszyscy będą spali, aż wreszcie deszcz splucze ulice, domy i ich samych.

- Powinno... - wymamrotał Theydon.

- Tutaj obowiązują inne zasady - stwierdziła pani Dees, nie potrafiąc dać mu innego pocieszenia.

- Wszyscy utoniecie, Matthew - wyjaśnił Bakker, gdy odwróciliśmy się od ciągle śpiącej kobiety. - Tak właśnie skończy się to dla miasta. Światła zgasną, a rzeka wystąpi z brzegów i zmyje wszelkie ślady po śpiących mieszkańcach. Wszyscy utoniecie.

- Bakker wrócił - warknąłem kącikiem ust.

- Kto? - zapytał Theydon.

- A odszedł? - zdziwiła się pani Dees.

- Czy jest tu ktoś... - spróbował raz jeszcze człowiek w czerwonym płaszczu.

- Nieważne.

- A co, gdy już znajdziecie wybraną, zakładając, że wam się to uda? - zapytał Bakker, idąc obok mnie. - Wiesz co? - dodał, gdy mu nie odpowiadałem. - Całe to milczenie w niczym ci nie pomoże. Rozumiem, że nie chcesz, by nasz szanowny kolega... - wskazał głową na Theydona - ...uświadomił sobie, jak bardzo niestabilny jest w tej chwili twój stan umysłowy, a również wszelkie inne stany, jeśli już o tym mowa, ale takie podejście z pewnością szkodzi naszym wzajemnym stosunkom.

Jego kroki nawet w najmniejszym stopniu nie zakłócały spokoju powierzchni kałuż. W całym południowym Londynie nie było nic bardziej suchego niż on.

Szliśmy przed siebie.

- Morderca - zwrócił się do mnie Bakker, nie bez sympatii w głosie.

Nie zareagowaliśmy.

- Hipokryta - dodał.

Nadal nic.

- Nieczłowiek w ludzkiej skórze.

Zacisnąłem pięści.

- Człowiek o nieludzkich myślach.

Spojrzeliliśmy mu prosto w oczy. Uśmiechał się. Wiedział, jak zareagujemy, obserwował nas, czekał na to, czuliśmy elektryczność próbującą wydostać się z naszej skóry, palić i niszczyć.

- Nie radzisz sobie za dobrze ze śmiertelnością, prawda? I, niech cię niebo ma w swojej opiece, ze wszystkim, co się z nią wiąże! Wszystkimi tymi uczuciami, bólem, skórą, ciałem. I śliną. Jak stworzenie tak wspaniałe jak niebieskie elektryczne anioły może sobie poradzić z faktem, że jego ciało nieustannie wydziela różne substancje: pot, ślinę, szczyny, łzy, smarki i rzygowiny. To piekielnie odrażające, jeśli się nad tym zastanowić. Ale ty się pewnie nie zastanawiasz. Jeśli tylko możesz tego uniknąć.

Odwróciliśmy wzrok od niego, zmuszając się do stawiania kolejnych kroków.

- Szczególnie odrażającą reakcją fizyczną jest pierdzenie - dodał Bakker. - Nie rozumiem, dlaczego ludzie uważają je za zabawne. Każde przyzwoite społeczeństwo od początku dziejów słusznie się go wstydziło. Nie potrafimy zapanować nad bardzo wieloma cielesnymi reakcjami. Spójrz tylko na nas dwóch. Matthew, gdybyśmy postanowili to zrobić, moglibyśmy za życia podpalić niebo. Potrafimy zatrzymać bicie serc naszych wrogów, wypełnić ulice elektrycznym płomieniem, przywołać drut kolczasty i wrzącą wodę z podziemnych rur, osłonić własną skórę betonem i nadal oddychać, wciągać w płuca spaliny z rur wydechowych autobusów i przetwarzać je w skwierczący olej, na którym samolot mógłby zalecieć do Szanghaju i z powrotem. A czy potrafimy powstrzymać małe proste pierdnięcie? A gdzie tam.

Podeszwa lewej stopy swędziała mnie nieznośnie i niepowstrzymanie. W oknie sklepu z chińszczyzną na wynos kocia łapka kiwała się w górę i w dół w nieustannym nazistowskim pozdrowieniu, obiecując przychyłność losu, wielkie bogactwa, porządny posiłek w sosie słodko-kwaśnym albo może żadnej z tych rzeczy. Na tylnym siedzeniu zaparkowanego przy ulicy fiata spała matka trzymająca w ramionach dziecko. Niewygodna pozycja gwarantowała, że po obudzeniu będzie odrętwiała jak nigdy w życiu. Moje światło rozjaśniło fragment ciemności przed nami, odsłaniając smętną połąć trawy. Mokra śmieci wałały się w gęstym błocie, tu i ówdzie upstrzonym rzadkimi kępami zieleni. W powietrzu unosiła się woń starości i śmierci, czarna i sucha, przebijająca się nawet przez strugi deszczu. Uniosłem światło nieco wyżej i powiększyłem je, aż otaczająca nas plama jasności urosła do rozmiarów namiotu cyrkowego. Cienie się nie cofnęły. Czaiły się na granicach obszaru niemającego nic wspólnego z naturą blasku. Oczy szczypały mnie od deszczu.

Był tu płot, oklejony mokrymi plakatami reklamującymi zespoły muzyczne, komiksy, religie oraz polityków. Rozpuszczone kolory mieszały się ze sobą

Jeśli nie zagłosujesz...

...na DJ Sax And His Sexy Babes...

...jaki jest sens

dwukrotnego zdobywcy...

...wstęp 6 funtów przed północą, 10 funtów potem...

W płocie widniała dziura, wybita w deskach. Przelazłem przez nią. Po drugiej stronie była betonowa nawierzchnia pokryta warstwą śliskiego jak olej deszczu. Tu i ówdzie przebijały się przez nią wątle żdźbła trawy. Moje światło natknęło się na przeszkodę i skierowało ku górze.

Bariera była szara, upstrzona czarnymi plamami, jej ściany pokryto gruboziarnistym tynkiem, jakby architekt doszedł do wniosku, że to jest budynek skazany na nierówną spękaną powierzchnię, czemu więc nie pogodzić się z tym i nie sprawić, by wyglądało to jak świadomy efekt artystyczny, a nie skutek upływu czasu? Okna na parterze przesłonięto grubą, nieprzepuszczającą światła kratą. Drzwi kiedyś zabito deskami, które niedawno oderwano i odrzucono na bok. Łańcuch, zerwany powtarzającymi się uderzeniami, zwisał z metalowych klamek głównych drzwi. Nie ma tu nic, co można by ukraść, próbujcie, jeśli chcecie. Uniosłem wzrok. Kanciasty przysadzisty wieżowiec wydawał się znacznie wyższy, kiedy z niego skakałem. Od czwartego piętra w górę okna były czarne i wypalone. Wyglądały jak spopielone wargi otaczające szeroko otwarte w wyrazie zdumienia usta.

- Tu zginął Minjae San - odezwał się Theydon.

Pomyślałem o dźwięku, z jakim szklany miecz wbił się w plecy daimyo.

- No wiesz, nie zdołałaby go zabić bez twojej pomocy - odezwał się Bakker, opierając się od niechcenia o ścianę obok drzwi.

- Jasne - mruknąłem. - Dwór i Plemię wezwano w to miejsce za pomocą telefonicznej informacji o „wybranej”, a wy przybiegliście tu jak małpy i, kto by pomyślał, jakiś idiota przyniósł ze sobą benzynę.

- Plemię nas zaatakowało.

- Jasne. Jego wojownicy powiedzieli sobie: „Hej to jakaś banda nieszkodliwych koniotrzepów uzbrojonych w miecze. Zagrajmy w baseball ich dupami”.

- W krykieta - poprawił mnie Bakker. - Nie jesteśmy Amerykanami, Matthew, bez względu na to, co oglądamy w telewizji.

- Woli pan brzydotę Plemienia? Jego niszczycielskie skłonności, wstręt i pogardę dla samych siebie?

- Panowie - wtrąciła pani Dees - biorąc pod uwagę fakt, że w obecnej chwili jesteśmy

uwięzieni w nocy bez końca, poza wszelkimi prawami geografii, czy moglibyśmy odłożyć dyplomatyczne dyskusje na potem?

- Pragmatyzm, pragmatyzm, pragmatyzm - poskarżyłem się. Podeszedłem do drzwi i kopnąłem je z całej siły. Otworzyły się, przesuwając po podłodze kawałki rozbitego szkła, pochodzące z samych drzwi i z pękniętych żarówek. Tu również dostała się woda, brudna, pełna wijących się niczym robaki paprochów woda skapująca z pękniętej rury albo ze szczeliny w suficie. Drzwi do windy, wąskie jak wieko trumny, były uchylone, za nimi widniał czarny pusty szyb oraz krzywe, luźno zwisające liny. Wszystkie brudne kafelki podłogi pokrywała cienka warstwa brązowej pleśni. W powietrzu nadal unosił się swąd spalenizny i rozżarzonego metalu, wywołujący suchość w ustach, mimo że na podłogę cały czas skapywała woda. Wszedłem ostrożnie na schody i poczułem pod stopami solidny beton. Z tyłu dobiegł mnie cichy świst. Theydon wyciągnął krótkie miecze. Jeden był z zielonego szkła, a drugi z brązowego. Powietrze miało wystarczająco wiele zdrowego rozsądku, by usuwać się z drogi ich ostrzom. W półmroku oczy mężczyzny lśniły lekko liliowym blaskiem. Na palcach pani Dees znowu pojawiły się szpony. Tym razem nie mogłem już w to wątpić. Paznokcie zamieniły się w grubą czarną kość, były ostro zakończone, a skóra na grzbietach dłoni zrobiła się pół ludzka, pół metalowa. W oczach Rajczyni gorzała szalona smocza czerwień, a przy każdym jej wydechu w powietrzu unosiła się cienka smużka czarnego dymu, jakby pani Dees nie tylko paliła papierosa, lecz wręcz go połknęła. Kobieta zajęła pozycję między mną a Theydonem. Zastanawiałem się, czy nawet szklany miecz daimyo zdołałby przebić metalowy pancerz na plecach Rajczyni.

Ruszyliśmy w górę.

Na drugim piętrze, pośrodku pomostu, coś wyżarło w betonie czarną głęboką dziurę. Nadal utrzymywała się tu intensywna woń benzyny. Czulem też coś innego, utrzymujący się na granicy postrzegania posmak magii. Spojrzałem na Theydona.

- Czy wasza organizacja często używa benzyny do wywoływania pożarów? - zapytałem.

- Plemię to robi - odparł.

Chrząknąłem w odpowiedzi i znowu ruszyłem w górę. Metalowe poręcze powyginały się od żaru. O pozostały w oknie kawałek szkła zaczęła się plastikowa torba. Po wewnętrznych ścianach budynku spływała woda.

Piętro nad nami rozległ się jakiś dźwięk. Zapewne nie był głośniejszy niż stuk filizanki spadającej na dywan, ale nam wydał się donośny jak uderzenie gromu. Nasze serce popędziło w stronę wyjścia, zostawiając nas za sobą. Pani Dees westchnęła głośno. Płaszcz

Theydona zaszeleścił, gdy mężczyzna napiął wszystkie mięśnie.

- Szczur? - zapytała pani Dees, gdy następny odgłos nie nadszedł.

- Nie - odparłem. - One też śpią.

Znowu dźwięk.

W przeciwieństwie do poprzedniego ten miał znaczenie.

Brzmiał następująco:

Puk. Puk puk. Puk.

Zatrzymaliśmy się. Wytężyliśmy słuch.

Sprawca dźwięku najwyraźniej zrobił to samo.

Ale po chwili poruszył się znowu.

Kroki rozlegały się na betonie. Ze szczeliny w suficie sypał się czarny pył. Kroki.

Nad nami.

- Wybrana? - zapytał Theydon.

- Chciałbyś - warknąłem.

- W takim razie kto?

- Jeśli zobaczysz kobietę z dziurą w sercu, staraj się nie patrzeć jej w oczy, dobra?

- Mówi pan zagadkami.

- Widzisz jaką poważną mam twarz? - zapytałem. Przyjrzał się. Zobaczył. Coś wycofało się z jego oczu. - Nie patrz jej w oczy - powtórzyliśmy. - Bo w przeciwnym razie zginiesz.

Kroki.

Nie nad nami.

Przesuwały się bez dostrzegalnych oznak ruchu. Ich dźwięk dobiegał teraz z tyłu. Drzwi zakołysały się na połamanych zawiasach.

I zatrzymały się.

Znowu zabrzmiały kroki, jedna para nóg. Były teraz daleko, ale nie oddalały się od nas.

Zorientowałem się, że dłoń swędzi nas od elektrycznej energii. Przykucnąłem i dotknąłem czarnego pyłu pokrywającego schody. Rozcierałem go między palcami, pękał mi pod paznokciami z suchym dźwiękiem grubej kredy trącej o starą tablicę. Oblizałem koniuszki palców i przez moment czułem

żar

czarny pęcherz żar ciało kurczy się i marszczy

ogień

zbyt jasny

dym

Pomożesz mi?

czarny sypiący się z góry proch język w proch skóra w proch

węgiel w płucach zbyt ciasno by oddychać każdy oddech boli

Zabijesz mnie?

stopy biegnące w ciemności pomożesz mi?

szare oczy

oczy obrócone w krew

szare oczy

farba na ścianie, litery spływające w płomieniach

JG TU BYŁA

Wyprostowałem się. Wytarłem palce o spodnie.

- Czy waszego Minjae Sana ktoś zawiadomił, że powinien tu przyjść?

- Tak.

- Plemię było już na miejscu?

- Tak.

- I nie wydało się to wam dziwne? - zapytałem z westchnieniem.

- Panie Burmistrzu - wtrąciła pani Dees, nim Theydon zdążył porządnie się wkurzyć. -

Do czego pan zmierza?

- JG tu była - powtórzyłem. - Widziałem ten napis na ścianie. Ona tu była. Oda zapytała: „Gdzie jest dziewczyna?”, ale nie znaleziono jej ciała wśród ofiar. Żyła, gdy wieżowiec się palił, i nadal pozostawała przy życiu, kiedy pożar się skończył. Myślę, że potrafię ją odnaleźć.

Kroki. Szybkie szuranie nad naszymi głowami, które ucichło równie nagle, jak się zaczęło.

- A czy nasza obecność jest do tego konieczna? - wyszeptała pani Dees.

- Ten budynek jest jedynym, co może mnie doprowadzić do waszej cholernej wybranej - odrzekłem. - Nie widzę innego sposobu. Ignorujcie te kroki. Oda ostatnio nie śpieszy się z zabijaniem.

Ruszyłem w górę, ale Theydon złapał mnie za rękę, tak mocno, że jego palce dotarły aż do kości.

- Chwileczkę. Czy ta... Oda jest stworzeniem znanym jako Zaciemnienie?

- Tak.

- I zapytała: „Gdzie jest dziewczyna?”.

Zerknąłem na panią Dees. Pokręciła lekko głową. Potem spojrzeliśmy Theydonowi prosto w oczy i jego uścisk zelżał.

- Twoje życie będzie prostsze i łatwiejsze, jeśli ograniczysz się do spraw związanych z wojną - oznajmiliśmy.

Wyszarpnęliśmy rękę i ruszyłem naprzód, nim Theydon zdążył zaprotestować przeciwko naszym pustym półsłówkom wypowiedzianym w ciemności.

Kroki umilkły.

Kolejne piętro.

Nic poza deszczem padającym przez wybite okna do wypalonego wnętrza.

Na następnym pomoście stał Bakker, wychylający się przez resztki wybitego wypalonego okna. Unosił jedną rękę ku niebu, próbując złapać w nią deszcz. Blokował trasę. Przeszliśmy prosto przez niego.

- To było nieuprzejme - poskarżył się.

Następne piętro.

Zatrzymałem się z wahaniem.

- Wygląda tu zupełnie inaczej, kiedy się nie pali, prawda? - zauważył Bakker, doganiając mnie.

Wszystko, co kiedyś było drewniane, drzwi albo framugi, zamieniło się w czarną masę posiekaną na nierówne plasterki. To, co było metalowe, klamki albo przewody, wypaczyło się pod wpływem ognia. Co było czyste albo w miarę czyste, stało się czarne i bezlitośnie pochłaniało słabe światło rzucane przez moją kulkę blasku. Ruszyłem w głąb korytarza, mijając drzwi do dawno już opuszczonych mieszkań pełnych szczątków dawnego życia, takich jak telewizory o rozbitych ekranach, sofy ze sterczącymi nadpalonymi sprężynami czy pusta ramka na zdjęcie, z której spłynęło szkło.

Poniżej rozległy się szybkie kroki.

Miałem wrażenie, że słyszę kobiecy śmiech. Mógł to też być płacz albo coś jeszcze innego.

Pchnąłem resztki drzwi. Otworzyły się, skrzypiąc jak granitowe powieki góry budzącej się po długim śnie. Między palcami czułem pył i sproszkowane drewno.

Ogień wypalił wszelkie ślady krwi Ody, ale wiedzieliśmy, że to ten pokój.

Gdzieś pod nami trzasnęły drzwi.

- Coś się zbliża - oznajmiła pani Dees.

Klęknąłem na podłodze, wypalanej aż do udreżonego betonu. Poruszyła się lekko

pod moim ciężarem. Sztywny betonowy materac odczuwał już swój wiek. Przesunąłem po nim dłoń.

- Jak mamy to zabić? - zapytał Theydon.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu Bakker. Nie było go tu.

- Czarnoksiężniku! - W jego głosie pojawiła się nuta strachu. - Jak mamy to zabić?

- Ją - poprawiłem go cicho. - Jak mamy ją zabić.

Odszukaliśmy palcami miejsce bardziej szorstkie od pozostałych. Była w nim moc, gęsta i gorąca jak sauna bez wilgoci, ogień bez światła. Trudno mi było przez nią oddychać. Rozboliła mnie ręka. Prawa ręka, ta, na której miałem blizny. Zdjąłem rękawiczkę. Cienkie blizny, dwa krzyże Nocnego Burmistrza, wypełniły się krwią.

Z zewnątrz dobiegł jakiś szept. To nie był ludzki głos ani szmer osypującego się pyłu, lecz coś pośredniego. Obejrzałem się za siebie. Theydon stał przy drzwiach, garbiąc się jak zwierzę. Skóra pani Dees przybrała srebrny odcień, rysy jej twarzy się wypaczyły, kości były za ostre, paznokcie zbyt czarne, oczy zanadto czerwone. Gdy Rajcy próbowali zastraszyć przeciwnika, przybierali niektóre aspekty miejskiego smoka, starego symbolu mającego strzec bram. Nie przyszło nam dotąd do głowy, że to samo robią, kiedy się boją.

Przesunąłem ręką po podłodze, zataczając szeroki łuk.

Szept przerodził się w coś więcej. To nie był łopot pierzastych skrzydeł, niosący śnieżycę wiatr ani żaden z ludzkich dźwięków, ale był żywy i zbliżał się z każdą chwilą.

Poczułem pod palcami coś lepkiego. Uniosłem je do twarzy, by przyjrzeć się substancji w słabym świetle. Była prawie zupełnie czarna i raczej twarda niż płynna. Zachowywała kształt jak zaschnięty klej. Przyjrzałem się bliżej i ujrzałem migotliwe plamki czerwieni. Gdy padło na nie światło, zaczęły się wić, próbując wyrwać się na zewnątrz jak żywe istoty, drobiny bladego elektrycznego błękitu. Spojrzałem w dół. Coś poruszało się pode mną, próbowało wyleźć z podłogi, unosiło się i opadało niczym grzbiet robakowatego wieloryba. Nacisnąłem to dłoń i odpowiedziało nagłym rozbłyskiem jasnej czerwieni. Karmazynowe nici wytrysnęły spod moich palców i sięgnęły w ciemność, tworząc przybliżony zarys dwóch krzyży, narysowanych krwią.

Obok mnie pojawiła się stopa. Obleczona w spodnie od garnituru noga zgięła się w kolanie. Bakker przykucnął po drugiej stronie krzyża. Podciągnął spodnie wokół kostek tak, by nie straciły równych kantów.

- Fascynujące - wyszeptał, gdy krew w dwóch krzyżach budziła się do życia pod moimi palcami. - Wiesz co, Matthew? Nasuwa mi się myśl, że nie rozumiesz w pełni potencjału mocy Nocnego Burmistrza.

Czułem na wargach smak pyłu, gorętszego i szybszego niż ten, który przybywał z deszczem. Dźwięk przerodził się w szum czegoś prędkiego i masywnego, co mknęło na wietrze, próbując szarpać się na wszystkie strony jednocześnie. Krew na podłodze również się poruszała, wylewała się z zarysu krzyża, by płynąć na dół jak woda, ale tu nie było „dołu”, który mógłby ją do tego zachęcić, wysuwała więc na wszystkie strony cienkie nitki płynu niczym nerwowe jezioro, które zapragnęło zostać rzeką.

- Matthew! - wysyczała pani Dees.

- Jeszcze chwilkę - odpowiedziałem.

- Matthew!

Usłyszałem, że się poruszyła, poczułem żar, przypominający dotknięcie światła księżycy, który nagle pozazdrościł większemu bratu i z pasją zabrał się do produkowania ciepła.

Strużka czerwonej krwi dotarła do szczeliny w betonie, wąskiego czarnego pęknięcia. Zatrzymała się przy niej, utworzyła kałużę, osiągnęła masę krytyczną i przelała się, *kap*. Pochyliłem się, niemalże dotykając nosem podłogi, i zajrzałem do szczeliny.

Kap.

Na dół spadła kolejna czerwona kropelka. Czułem bliskość Bakkerę, który przyglądał się temu z uwagą. Zamknąłem mocno jedno oko i zajrzałem do szczeliny. Kropla spadała bez końca w ciemność dalszą, głębszą i czarniejszą niż sam wieżowiec. Po chwili jej blask zniknął w oddali.

- O cholera - wydyszałem.

Pani Dees złapała mnie za ramię i pociągnęła ku górze. Z korytarza dobiegł ryk. Towarzyszył mu żar, powodujący, że moja skóra miała ochotę skurczyć się gwałtownie. Theydon zaczął krzyczeć, a może robił to już wcześniej. Zza drzwi buchał dym, podłoga i sufit się trzęsły, sypał się na nas pył, a pani Dees krzyczała:

- Coś tam jest...

Wtem podmuch dotarł do drzwi, tak szybki i gorący, że wyrwał je z zawiasów, dym, pył, kurz i popiół rozżarzyły się do czerwoności, a potem zapadły w siebie. Skuliłem się i unieśliśmy ręce przed twarz, tworząc grubą zimną ścianę osłaniającą nas przed żarem. Równie dobrze mógłbym próbować powstrzymać ciężarówkę za pomocą serwetki. Zatoczyłem się do tyłu, gdy podmuch uderzył, dym wypełnił cały mój świat, przesłonił wszystko, napierał na mały pęcherz, którym się otoczyłem, i ogień w krwi na podłodze zgasł, i ręka nas rozboleła, rozboleła straszliwie, i ledwie mogłem oddychać, w naszym pęcherzu było za mało powietrza, zostało najwyżej kilka haustów, i oddychaliśmy za szybko, nie

mogąc się powstrzymać. Wilgoć w bańce zamieniła się w parę, skupiającą się wokół naszej twarzy, szczypiącą w oczy i parzącą skórę. Widziałem, że szczeliny w podłodze stają się coraz dłuższe, docierając pod moje stopy, i za kilka sekund znowu będziemy musieli odetchnąć, a gdy to się stanie, magia w naszych palcach zgaśnie, wciągniemy w płuca ogień oraz dym i umrzemy spaleni od wewnątrz. Nie widziałem Theydona ani pani Dees, nie widziałem w ogóle nic poza dłońmi, którymi osłaniałem twarz. Między nimi a ogniem nie został już nawet cal wolnej przestrzeni. Z drżeniem spróbowaliśmy poszerzyć swój pęcherz powietrza, dać sobie więcej miejsca, ale ono już się wypalało, aż wreszcie oddech został wyspany z naszych opornych płuc niczym benzyna z silnika. Wrzasnęliśmy z wściekłości, nacisnęliśmy mocniej, zobaczyliśmy, że popiół ustępuje, napaarliśmy znowu, odpychając go o kilka cennych cali, unieśliśmy głowę i ryknęliśmy szafirową furją, aż żar rozszczepił się bez jednego westchnienia, rozpadł się i rozproszył wokół nas, wypadł przez wybite okna i zniknął w nocy, nie zostawiając za sobą nic poza niezdrowymi brązowymi oparami kłębiącymi się nad podłogą.

Pochyliliśmy się bezwładnie, na skórę wystąpił nam pot zbyt gorący, by mógł spowodować swędzenie, zanim wyparuje. Podłoga była tak rozżarzona, że nie można jej było dotknąć, parzyła nas przez spodnie, lepily się do niej podeszwy naszych butów. Chwialiśmy się na nogach, kaszląc i wciągając w płuca powietrze o niezdrowym smaku. Rozejrzeliśmy się w poszukiwaniu towarzyszy. W kącie coś się poruszyło. Stworzenie, które w połowie było kobietą, a w połowie czymś zupełnie innym. Jego ubranie przerodziło się w czarne spalone szmaty, ledwie trzymające się ciała, srebrną skórę pokrywały popiół i brud, włosy stały się sztywnymi metalowymi prętami, oczy gorzały szaloną czerwienią, a palce były zakończone czarnymi pazurami. Kości kręgosłupa sterczały z pleców na podobieństwo zębów rekina, a kolana zginały się w niewłaściwą stronę. Patrzyło na nas ze zwierzęcym oblędem, a wszystkie części jego ciała drżały od mocy i gniewu.

- Pani Dees? - wydyszałem i niepewnie postąpiłem krok naprzód.

Z ust wysunął się jaszczurczy język, czerwony jak krew.

- Tylko w niewielkim stopniu - wysyczała głosem ludzkim wyłącznie dlatego, że używała języka. Poruszyła głowę, szybko i nagle jak zwierzę, które usłyszało dźwięk wykraczający poza zakres ludzkiego słuchu. Wyprostowała palec, w którym miała o jeden staw za dużo, i wskazała na widoczną w drugim kącie sylwetkę. Ruszyłem ku niej, czując woń, której wolałem nie nadawać nazwy. Czerwony płaszcz spłonął niemal doszczętnie. Mężczyzna podciągnął kolana pod podbródek i oplótł twarz ramionami jak dziecko bojące się ciemności. Jeszcze oddychał, ale tylko z trudem. Klęknąłem obok niego i spróbowałem

odciągnąć jego rękę. Opierał się.

- Theydon! - wysyczałem. - Theydon, spójrz na mnie!

Zacisnął ramiona jeszcze bardziej.

- Popatrz na nas! - warknęliśmy.

Opuścił jedną rękę. Odwrócił głowę. W twarzy miał dziurę. Zaczynała się tuż poniżej lewego oka, gdzie wyraźnie było widać kość policzkową, biel sterczącą spośród różowych ścięgien i czerwonej krwi, i ciągnęła się, przesyta tylko kilkoma pasmami mięśni, aż do podstawy zębów, odsłaniając dziąsła i kość. Lewe oko miał zamknięte, dwukrotnie większe niż zwykle, brew spaloną od góry, a uszy wyglądały, jakby próbowały się stopić w jedną całość z głową. Miał trzy białe odsłonięte zębra i zwisającą luźno rękę, jak u źle wykonanej marionetki. Odepchnął mnie, a potem się skulił, ponownie przyciskając dłonie do twarzy. Z jego ust wyrwał się jęk, głos rannego zwierzęcia. Nieartykułowane zawodzenie nasilało się z każdą chwilą, aż wreszcie wypełniło cały pokój. Kołysał się w przód i w tył, magia zapalała się i migotała wokół niego jak zapalka paląca się na wietrze. Dźwięk nie cichł, aż wreszcie zdyszane łkanie sprawiło, że ciągły jęk bólu przeszedł w urywane westchnienia. Wróciłem do niego i zobaczyłem, że w jego palcach znowu przebudziła się magia. Spróbowałem umyć nią twarz, pokryć jej rysy mocą, przywołać iluzję. Rozlała się po jego skórze, wnikając na chwilę w szczeliny, a potem spłynęła jak woda po oleju. Chciałem go dotknąć, ale odepchnął moją rękę.

- Theydon?

- Nie mogę patrzeć nie mogę patrzeć nie mogę patrzeć nie mogę patrzeć - powtarzał cicho w przerwach między wysiłonymi oddechami.

- Theydon?

- Nie mogę patrzeć nie mogę patrzeć nie mogę patrzeć nie mogę patrzeć nie mogę patrzeć nie mogę patrzeć...

- Pozwól sobie pomóc.

- Widzieć patrzeć widzieć patrzeć widzieć patrzeć widzieć patrzeć...

- Potrzebujesz lekarza.

- Tak jasne tak jasne tak jasne tak jasne tak jasne...

- Umrzesz tu. Chodź...

Znowu spróbowałem go podnieść i raz jeszcze mnie odepchnął.

Podeszła do mnie pani Dees.

- Niech go pan zostawi... - odezwała się nieludzkim grzechotliwym głosem srebrnoskórego smoka. - Wiedział, na co się naraża.

- Umrze tu.

- Tak - odparła ze spokojem. - To zawsze było prawdopodobne.

Zawahaliśmy się. Zdawało się nam, że gdzieś w pobliżu słyszymy kobiecy śmiech. A może płacz. Trudno to było ocenić. Spojrzeliśmy ku drzwiom. Potem przeniosłem wzrok z powrotem na niego.

- W dupę z tym - wydyszałem. - Zebrałem już wystarczająco wiele złej karmy i nie mam ochoty jej powiększać.

Kiedy wyciągnąłem rękę do Theydona, pani Dees złapała mnie za nią i tym razem nie zamierzała mnie puścić. Jej palce były z metalu, gorącego metalu, który dostosowywał się z trzaskiem do zmian temperatury. Pazury Rajczyni wbiły się w naszą skórę.

- Zostawmy go! - warknęła. - Bo my też tu zginiemy.

Spojrzałem na Theydona. Nadal się kołysał, zasłaniając twarz dłońmi. Skóra pojawiła się na mgnienie oka tam, gdzie przed chwilą jej nie było, tworząc sugestię zdrowia. Potem zniknęła. Okazał się mniejszy, niż mi się dotąd zdawało - drobny przygarbiony mężczyzna na granicy starości. Nadal się kołysał, szepcząc:

- Widzieć patrzeć patrzeć patrzeć patrzeć widzieć czy widzisz patrz patrz patrz na mnie widzieć widzieć widzieć widzieć czy nie widzisz patrz patrz!

Odróciłem wzrok.

Odróciliśmy się do niego plecami.

Pani Dees się uspokoiła.

Postąpiliśmy krok w kierunku wyjścia.

Stała w nim kobieta. Włosy miała spalone, skórę spękaną, a pośrodku jej koszulki, tuż nad sercem, widniała plama krwi.

- M-Matthew? - wyjąkała.

Usłyszałem cichy syk wciąganego powietrza. Pani Dees wygięła plecy, przygotowując się do ataku. Sta na jej drodze, wbijając spojrzenie w podłogę.

- Odo? - wydyszałem i postąpiłem kolejny krok, wysuwając bark do przodu.

- Panie Burmistrzu! - warknęła pani Dees, podążając za mną.

Powstrzymałem ją skinieniem dłoni. Oda stała nieruchomo w drzwiach, oszołomiona sodowym światłem. Odwracała od niego twarz, jakby sprawiało jej ból. Jej oczy, prawie że zapomnieliśmy o czarnej skłębionej ruinie jej oczu. Jedno spojrzenie i poczuliśmy ogień w gałkach ocznych. Odróciliśmy pośpiesznie wzrok. Bakker stał przy niej, przyglądając się z uwagą jej twarzy.

- Odo? Odo, czy wiesz, co się dzieje?

- Ostrożnie - wydyszał Bakker. - Bardzo ostrożnie.

Niemal już dotykałem jej dłoni.

- Odo? Rozumiesz, co się dzieje? Widzisz to?

Uniosła wzrok. Nasze oczy znowu się spotkały. Poczułem palący ból i odwróciłem się pośpiesznie.

- Matthew? - jęknęła. - Słyszysz to? Słyszysz?

- Co mam słyszeć? - zapytałem.

- To! Czy to słyszysz? - Przycisnęła dłonie do skroni, jakby chciała powstrzymać mózg przed eksplozowaniem na zewnątrz. - Słuchaj! Wszystko, co wydarzyło się w ciemności, wszystkie brudne żalosalne rzeczy, czy ich nie słyszysz, słuchaj tu, słuchaj tam, słuchaj!

- Odo, czy...

Złapała nas nagle za ręce i pociągnęła ku sobie. Nie czuliśmy jej oddechu, skórę miała zimną i wilgotną. Musieliśmy zamknąć oczy i odwrócić twarz. Usłyszałem, że pani Dees poderwała się za moimi plecami, gotowa do ataku, poczułem w powietrzu smak jej dymiącego oddechu przesyconego intensywną magią miasta.

- Słuchaj! Wszystko, co robią ludzie, gdy światła zgasną. Nie słyszysz ich? Brudne odrażające zawstydzające czyny, bo kiedy światła zgasną, nikt nie będzie widział co robisz, rozumiesz? Pot, kłamstwa i... i... nie mogę tego powstrzymać Matthew, nie mogę tego powstrzymać, słyszysz mnie, słyszysz, słyszysz to?

Potrząsnąłem głową.

- Nie słyszę. Przykro mi, Odo. Nie słyszę. Odo, jest coś...

- Czemu tego nie słyszysz? - jęczała. Jej paznokcie wbijały się mi w skórę, gdy zaciskała dłonie na moich rękach. - Czemu nie słyszysz?

- Odo, coś się tu dzieje. Jest takie stworzenie... zwą je Zaciemnieniem, ono opętuje ludzi, przejmując kontrolę nad ich myślami, ich ciałami, to jest...

- Dlaczego nie słuchasz?! - wrzasnęła.

Puściła nagle nasze ręce i uderzyła nas w pierś otwartymi dłońmi. Poczułem, że podłoga umyka mi spod nóg, uderzenie wybiło mi powietrze z płuc, siła czegoś więcej niż mięśnie odrzuciła mnie do tyłu i wylądowałem z trzaskiem na czarnej popękanej podłodze pośrodku pokoju. Obok mnie przemknęło coś jasnego. Pani Dees skoczyła do ataku, wyciągając palce ku Odzie. Z jej gardła popłynął dźwięk tysiąca alarmów przeciwwłamaniowych o zabójczych dla nietoperzy częstotliwościach. Oda cofnęła się pod jej naporem i przez chwilę widziałem tylko pięści i pazury sięgające ku twarzom. Zobaczyłem

krw, nie wiedziałem czyją, spływającą na podłogę. Podniosłem się na nogi i w tej samej chwili między dwiema kobietami rozkwitło coś ciemnego i gorącego, co złapało panią Dees za kark i cisnęło na sufit, potem na podłogę, a potem znowu na sufit, jakby bawiło się jojo.

- Odo! Przestań! - zawołałem, a gdy podniosła się na nogi, zebraliśmy w palcach elektryczność, całe skwierczące ściany elektryczności i cisnęliśmy nimi w nią.

Zwyczajny człowiek stanąłby w płomieniach. Fala uderzyła ją prosto w pierś. Oda zatoczyła się do tyłu, mrugając i potrząsając głową, by oczyścić ją z iskier. Pani Dees spadła na podłogę. Ze wszystkich jej metalowych stawów buchał dym. Oda spojrzała na nią z góry, przekrzywiwszy z zaciekawieniem głowę. Potem pochyliła się, złapała kobietę za gardło i ponownie uniosła, tak że ta ledwie dotykała stopami podłogi.

- Rajczyni - odezwała się głosem, który nie należał do niej. - Pamiętam Rajców. Palili lampy, by nas przegnać, i myśleli, że wystarczy po prostu przesunąć cienie padające w mroku. Mali tchórzliwi śmiertelnicy, którzy nie rozumieją, że ich strach czyni nas silniejszymi.

Pani Dees charczała głośno, szarpiąc pazurami ręce Ody. Wypływała z nich krew, ale Oda się nie wzdrygnęła, nawet nie ruszyła się z miejsca. Zebrałem wokół siebie więcej elektryczności, pozwoliłem, by zapach gazu wypełnił mi nos, a w brzuchu rozgorzały płomienie.

- Odo - wyszeptalem. - Puść ją natychmiast!!

Spojrzała na mnie, wyglądając zza pani Dees, i uśmiechnęła się. Rozluźniła palce i Rajczyni zwała się na podłogę, dysząc ciężko. Uświadomiłem sobie, że patrzę jej w oczy, i poczułem krew wzbierającą w kanalikach łzowych. Opuściłem wzrok, spoglądając na jej stopy. Na mojej skórze tańczyła moc.

- Odo - wydyszałem. - Wiesz, że coś w tobie siedzi. Wiesz, że to magia i że jest złe. Masz jeszcze czas.

- Czas? - powtórzyła i przeszła nad leżącą na podłodze panią Dees, zmierzając ku mnie. - Czas na co? Na to, by się zmienić, by dorosnąć, by płonąć, by stać się weselszą, czas na dzień, na noc, na ciemność, czas na to, na tamto, na tu i na teraz, czas dla nas, dla was i dla nich...

- Przestań.

- ...Długi czas, krótki czas, czas płynie, czas stoi, czas biegnie, czas pędzi, a my nigdy się nie zmieniamy! Przez cały ten czas! Czekaliśmy tak bardzo długo! Czy wiesz, czym jesteśmy?

Stała tuż przed nami. Pokój wypełniło migające szaleńczo niebiesko-białe światło.

Moc sphywała nam po skórze, gotowa uderzyć.

- Jesteś Zaciemnieniem - wydyszałem. - Stworzeniem, które czeka na końcu zaułka.

- Ale co to znaczy? - zapytała.

- Tym, co przychodzi z nastaniem nocy.

Ku mojemu zaskoczeniu to nie ja ani nie Oda przemówiliśmy. Bakker stał tuż za nią i patrzył mi prosto w oczy, co chroniło mnie przed jej spojrzeniem.

- Zaciemnienie nie jest tylko strachem przed ciemnością. Nikt nie boi się ciemności. Boimy się tego, co się w niej dzieje.

Poczułem, że palce Ody - czy może stworzenia, które nie było Odą - przebiegły po moim ramieniu, eksplorując wszystkie jego linie i zagięcia.

- Ty mi powiedz - wydyszałem w przerwach między oddechami.

Z jej ust wydobył się cichy dźwięk, przypominający niemal zawodzenie.

- Nie chciałam - jęknęła. - Nie chciałam, wtedy to wydawało się w porządku, tak mi przykro, tak bardzo przykro, nie powiem, to nie była moja wina, nie moja wina, nikt nie musiał się dowiedzieć, co się wydarzyło, tylko ty i ja, tylko ty i ja, w końcu to nikogo nie obchodzi, nie tutaj, nie teraz, możemy zrobić wszystko, bo nikt się nigdy o niczym nie dowie, można sobie wyobrazić absolutnie wszystko, i to zupełnie nieważne, bo nikt nic nie zobaczy, nikt nas nie będzie osądzał, bo słońce zaszło, to nie byłam ja, nie było moje, nie widziałam, nie jest twoje, nie przysła, nie mogłam powstrzymać, nie zależało mi, nie mogę nikomu mówić, nie słyszałam, nie, nie, nie, nie, nie, nie... - Przerwała na chwilę. Jej głos brzmiał jak skomlenie zwierzęcia. - Czy już rozumiesz? Możesz nam spojrzeć w oczy?

- Tak - wyszeptalem. - Wiem, czym jesteś.

Jej palce zacisnęły się wokół moich nadgarstków. Zaczęły drżeć.

- Matthew? - Jęknęła. - Wiesz, jak mnie zabić?

Iskry z mojej skóry przeskoczyły na nią. Tkanina jej rękawa paliła się w miejscach, gdzie padły, na skórze wewnętrznej powierzchni jej dłoni, tam gdzie dotknęła spowijającego mnie ognia, pojawiły się małe żółte pęcherze. To jednak jej nie przeszkadzało.

Bakker stał za jej plecami, nie odzywając się ani słowem.

Spojrzałem na niego.

- Pomożesz mi? - zapytałem.

Nie ruszył się z miejsca. Nie zmarszczył brwi ani się nie uśmiechnął. Po prostu stał.

Popatrzyłem na Odę. Z kącików jej oczu sphywały krwawe łzy. Poczułem słony smak na wargach i uświadomiłem sobie, że ze mną dzieje się to samo.

- Nie potrafię - wyszeptalem. - Nie potrafię. Przykro mi.

Jej twarz pociemniała, zapadła się w sobie. Wbiła palce tak mocno i głęboko w moją skórę, że aż westchnąłem z bólu.

- To co z ciebie za pożytek? - warknęła.

Nie byłem w stanie odwrócić wzroku. Staralem się, ale nadaremnie, próbowałem odwrócić głowę, ale widziałem tylko szaloną krwawoczerwoną ciemność i pożar. Nie było drogi wyjścia, nic, czego mógłbym się uczepić, tylko niekończący się upadek w bezkresną pustkę, próbowaliśmy zapłonąć i próbowaliśmy krzyżeć, i być może obie te rzeczy się wydarzyły, gdzieś w oddali, ale Oda nas nie puszczała, a my ciągle spadaliśmy i krew spływała nam po twarzy i po wargach, a potem...

...potem ktoś, kto krzychał w furii i miał dziurę w twarzy, złapał Odę, czy może stworzenie, które kiedyś było Odą, jedną ręką za gardło, a drugą wepchnął jej w brzuch aż po rękojeść krótki szklany miecz.

Jej spojrzenie powędrowało ku broni.

Zatoczyłem się w bok, skryłem twarz w dłoniach, wytarłem krew z płonących oczu, w uszach mi dzwoniło, czułem się tak, jakby tuż nad moim nosem szklane butelki rozsypywały się na drobne kawałeczki. Usłyszałem, że Oda wydała z siebie ciche „uch”, i obejrzałem się za siebie. Był tam Theydon, jej krew spływała mu po dłoniach, Oda utrzymywała się na nogach tylko dzięki klindze, która wbiła się tak głęboko, że było widać koniec sterczący z jej pleców. Spojrzała na miecz, a potem uniosła powoli wzrok, patrząc Theydonowi prosto w oczy. Nie odwrócił spojrzenia, jego twarz wykrzywiła się w grymasie odsłaniającym zęby i dziąsła, a z oczu popłynęła krew. Uniosła powoli obie ręce i objęła nimi jego twarz jak matka tuląca dziecko. Uśmiech zniknął. Theydon zadrżał jak papier na gwałtownym wicherze, a potem zamknął oczy - stanowczo za późno - i zaczął krzyżeć, a z jego oczu, uszu i nosa ciągle płynęła krew. Krzychał, krzychał i krzychał, aż wreszcie przestał, jego głowa się przechyliła, a wszystkie mięśnie poraziły kurcze, jakby ciało nie miało już sił, by je rozluźnić. Oklapł w uścisku Ody. Wypuściła go i zwałił się na podłogę z nieodwołalnym łoskotem kogoś, kto już więcej nie wstanie. Potem spojrzała na sterczący ze swego brzucha miecz. Zaciśnęła ostrożnie dłonie na rękojeści i bez słowa zaczęła go wyciągać. Po klindze spływała krew. Rozległo się młasknięcie przecinanego ciała. Miecz wysunął się na zewnątrz. Uniosła go i przyjrzała mu się uważnie, przesuwając palec wzdłuż ostrza. Wbiło się w jego koniuszek, ucinając cieniutki plasterek. Jemu również się przyjrzała.

- Uciekaj - odezwał się Bakker.

Nie ruszyłem się z miejsca, nie byłem w stanie tego zrobić.

Oda kilkakrotnie przeszła mieczem powietrze, raczej z ciekawości niż z

jakiegokolwiek innego powodu, sprawdzając wyważenie oręza.

- Matthew, uciekaj!

Pochyliła głowę, by przyjrzeć się swej ranie, i obmacała ją, jak ktoś, kto zauważył, że mole wygryzły mu dziurę w lubianym stroju.

Bakker był tuż obok. Próbował mną potrząsnąć, ale nie był w stanie mnie dotknąć.

- Matthew, próbuję ci pomóc. Jeśli chcesz żyć, uciekaj!

Zatkała ranę tkaniną kurtki i uniosła wzrok. Spojrzała na mnie.

Na nas.

Uciekliśmy.

* * *

Pani Dees była w korytarzu. Pół zataczała się, a pół czołgała, nadal trzymając się za gardło. Ująłem ją pod pachę i pociągnąłem za sobą.

- Co się stało, Matthew? - wysyczała, charcząc głośno.

- Taki syf, że nigdy by pani w niego nie uwierzyła! - odpowiedziałem, ciągnąc ją ku schodom. - Cholera, ależ pani jest ciężka jako ten smok.

- Zaciemnienie... - wyjąkała.

- Ehe. Ma teraz jedną ranę w sercu i drugą w brzuchu, ale nadal czuje się świetnie.

Musimy stąd zmiatać.

Dotarłem do schodów i ruszyłem w górę.

- Dokąd idziemy?

- Na dach.

- Dlaczego?

- Wiem, gdzie jest wybrana.

- To pięknie.

W korytarzu za nami usłyszałem kroki, brzęczenie much, odgłos pary, szepty i...

- Szybciej, szybciej! - warknąłem.

Pani Dees złapała się wypaczonej poręczy i ruszyła ciężko pod górę.

- Idzie za nami - oznajmiła.

Obejrzałem się przez ramię i przez moment widziałem w cieniach idącą kobietę, biegnące dziecko, grzechoczący wózek, zatraskujące się drzwi, trzeszczący telewizor...

- Nie patrz na to, Matthew! - warknął Bakker. Był nad nami, spoglądał na nas z najbliższego pomostu. - To tylko wizje rzeczy, których się boisz, tylko sam strach, nic więcej.

Następne schody i usłyszałem głos kobiety - bardzo starej kobiety - szuranie pantofli,

czyjś płacz pośród nocy, podniesiony głos dziecka, coś, co spadło na następnym piętrze, źle nastawione radio...

- Co to wszystko znaczy?

- Mnie pan pyta? - odparła pani Dees.

- To rzeczy, które dzieją się w nocy. - Bakker stał teraz obok mnie, spoglądając w głąb klatki schodowej, którą tu przyszlismy. - Wszystko, co wydarza się nocą i o czym nie mówimy. To właśnie dzieje się tutaj, w miejscu należącym do Zaciemnienia. Wszystkie zawstydzające, obciążające sumienie, budzące wzdrgnięcie uczynki, jakich dopuszczają się ludzie. Oto dokąd dotarliśmy. Musicie iść w górę.

Przed nami były drzwi.

Znajome drzwi, szeroko otwarte i przechylone. Wylewająca się z nich deszczówka omywała strumieniem nasze stopy, gdy wspinaliśmy się po schodach. Na zewnątrz ciągnęła się szeroka nieoświetlona ciemność, pełna powyginanych nadpalonych anten oraz tworzących się w zagłębieniach kałuż. Wychodząc na zewnątrz, potknąłem się i pani Dees wysunęła się z mojego uścisku, padając na dach. Dyszała ciężko. Wokół moich nadgarstków chlupotała zimna czarna woda. Słyszałem, jak splezają ze ścian, czułem pot na plecach, podniecenie w brzuchu i strach w sercu, słyszałem

nie zrobił

no jazda

tylko ten jeden raz

kto wie

nie musi się dowiedzieć

nie powiem

jesteś tchórzem

spróbuj

no jazda

no jazda

no jazda

nikt się nigdy nie dowie co zrobiłeś

Moje palce musnęły coś zanurzonego w ciemnej kałuży. Przedmiot był mały, twardy i błyszczący. Wyciągnąłem go. To był krótki fragment złotego łańcucha. Ostatnie ogniwa po obu stronach były rozerwane. Pomyślałem o Minjae Sanie, o noszonych przez niego ozdobach ze złota i o wyrazie jego twarzy w chwili śmierci. Wtem mojego barku dotknęła czyjaś dłoń. Dotknęła mnie zdyszana pani Dees. Jej oczy były gdzieś w połowie drogi między

ludzkimi a zwierzęcymi.

- Ona tu idzie - wysapała. - I co teraz?

Wstałem z wysiłkiem, wszystkie mięśnie sprzeciwiały się głośno, a nerwy z niechęcią słuchały poleceń. Powłokłem się na środek dachu, trzymając swoje światełko nisko nad powierzchnią, by przeszukiwać kolejne kałuże. Wreszcie znalazłem szczelinę. Była wystarczająco szeroka i głęboka, by woda spływała przez nią na dół. Dziecko mogłoby niemal wsadzić w nią palec. Klęknąłem obok, rozgarniając wodę dłońmi. Pani Dees osunęła się obok mnie.

- Wiem, gdzie jest wybrana - mruknąłem.

- Słucham?

- Słyszałaś, jak mówią o kimś, że „wpadł w szczelinę”?

- Tak...

- To stary zniszczony budynek. Jest w nim pełno szczelin. Bardzo łatwo w którąś wpaść. Widziałem, jak to się stało z krwią, moją czy Ody, wszystko jedno, krwią, którą wyrysowano symbol Nocnego Burmistrza. Wpadła w szczelinę, i to nie tylko... nie tylko w sensie fizycznym, ale również... hmm...

- Mistycznym? - warknęła pani Dees. - Wiem, co to znaczy.

- Tam właśnie jest JG. Wybrana. Wpadła w szczelinę.

Od strony schodów dobiegł dźwięk, głośniejszy i bardziej ludzki niż nieustanne szepty ciemności. Pani Dees zwróciła głowę w tamtą stronę, ale tylko na chwilę.

- Dobra - zaczęła. - Mam trzy pytania. Może nas pan tam zaprowadzić?

Skinąłem głową z otepiałą miną.

- Czy Zaciemnienie może tam dotrzeć za nami?

Spojrzałem na Bakkerę, który wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Zasepiła się jeszcze mocniej.

- A czy zdoła nas pan potem wyprowadzić na zewnątrz?

Dotknąłem brzegów szczeliny, czując pod palcami piasek i wodę.

- Myślę, że tak - odparłem. - Tak - dodaliśmy.

Poczułem, że Rajczyni ujęła mnie za rękę.

- W porządku - wydyszała. - Zróbmy to.

Na szczycie schodów rozległy się kroki. Uniosłem wzrok. Stała tam kobieta ciemniejsza niż ciemność. W jednej ręce trzymała zakrwawiony miecz. Wokół niej kłębiły się inne rzeczy. Poczułem smak potu, krwi, soli, dymu, popiołu i...

- Teraz! - wrzasnęła pani Dees.

Spojrzałem na pęknięcie w dachu, wepchnąłem w nie głęboko palce, odciągając brzegi od siebie, aż zmieniło się w dziurę, w rozpadlinę, wyrwę w ziemi, uskok, nie było tam dna, głębokości ani ścian, tylko niekończąca się czeluść, coraz szersza, szersza i szersza, a gdy Oda zakrzyknęła głosem, który nie był już ludzki, i pobiegła ku nam, ociekając krwią, ucisnąłem mocno dłoń pani Dees i skoczyłem razem z nią głową naprzód w ciemność.

Część 4

W szczelinie

*W której wszystko nabiera straszliwego sensu,
zaczyna się wojna, armia zostaje zniszczona, a spisek zdemaskowany.*

Kurz. Był rzadki i beżowy, rozświetlał go żółty wolframowy blask migoczącej piętnastowatowej żarówki. Lepił mi się do palców z cichym uporem byleż dziewczyny, nierozumiejącej co to znaczy „między nami skończone”. Pokrywał mi też jedną stronę twarzy - zapewne tę, którą spadłem na nierówną, pokrytą linoleum podłogę. Zbierał się na porozbijanych stołach i rozklekotanych krzesłach, a także na stertach rozrzuconych na podłodze papierów, uniemożliwiając odczytanie czegokolwiek. Widziałem go na brudnej mosiężnej klamce u drzwi i wewnątrz rozbitego telewizora, gdzie tłumił próbujące się jeszcze budzić do życia iskry.

Miałem go na ubraniu i we włosach.

Spróbowałem wstać.

Coś twardego i ostrego uderzyło mnie w plecy i obaliło z powrotem na podłogę. Ucisk nie znikał.

- Kim do licha pan jest skąd się pan tu wziął i co pana sprowadza? - usłyszałem głos, wypowiadający słowa w szalonym tempie, jakby jego właścicielowi bardzo się gdzieś śpieszyło.

Spróbowałem się podnieść, ale w odpowiedzi nacisk wzmógł się nieco. Dla wzmocnienia przekazu, mojemu boku dotknęło coś, co mogło być palcem u nogi.

Dopiero po kilku próbach udało mi się zebrać w ustach wystarczająco wiele śliny, by móc odpowiedzieć.

- Cześć - wycharczałem. - Nazywam się Swift. Przepraszam, że wpadłem tak niespodziewanie. Nie chciałem spowodować zamieszania.

Nacisk na moje plecy przesunął się nieco.

- Ale ja naprawdę pytam kim pan jest i skąd się pan tu wziął nie ma pan kawy mnóstwa mocnej czarnej kawy a może jest pan z urzędu podatkowego ale chyba nie bo powiedziałem administracji że mają dać mi wreszcie spokój ale oni odpowiedzieli że nie mogą ale jeśli o nic ich nie prosiłem czemu mieliby zawracać mi głowę rozumie pan?

- Hmm... tak. Chyba rozumiem. Czy mogę już wstać?

- Nie jest pan z administracji tak bo im powiedziałem że jeśli będą coś mieli przeciwko mnie ja też mogę coś mieć przeciwko nim rozumie pan?

- Nie jestem z administracji.

- Aha.

Nacisk zniknął. Ujrzałem dłoń pokrytą skórą przypominającą powierzchnię zamrożonego oceanu. Ująłem ją i pozwoliłem, by nieznajomy pomógł mi wstać. Potem odwróciłem się powoli. Nie wiedziałem, co zobaczę, ale byłem gotowy na wszystko.

Ujrzałem mężczyznę. Miał perkaty nos i krótko przystrzyżoną siwą brodę, garbił się, a włosy już mu rzadniały. Był ubrany w podarty zielony woskowany płaszcz, wystrzępione sztruksowe spodnie oraz adidas. Przez dziury w butach można było dostrzec równie dziurawe szare skarpetki. W ręce trzymał krzywą rurę. Kurz osadzał mu się na plecach niczym śnieg, osypując się nieustannie z pajęczyny przesywających sufit pęknięć. Jedyne, co mąciło ciągłość warstwy pyłu, były ślady butów mężczyzny na podłodze, biegnące od rozklekotanego bujanego fotela do miejsca, w którym upadłem. Nie było tu nikogo innego, nie w tym małym, pozbawionym okien pokoiku.

Uniosłem niepewnie rękę. Przyglądał się jej przez chwilę, a potem odłożył rurę i uściśnął mi dłoń.

- Cześć - bąknął. - Przepraszam że tak się zachowałem ale na ogół ludzie nie wpadają tu przez sufit zaskoczył mnie pan a ja cenię prywatność nie uważa mnie pan za chama co?

- Nie ma sprawy - wymamrotałem. - Hmm... skoro już rozmawiamy otwarcie, to gdzie właściwie jestem?

- Tutaj tutaj. - Zatoczył krąg ręką. - A gdzie mógłby pan być?

- A co to znaczy „tutaj”?

- Tu gdzie mieszkam tak?

- A gdzie pan...

- Tutaj! Mieszkam tutaj!

- Rozumiem. A... jak długo już pan tu przebywa?

Przymrużył powieki.

- Czemu zadaje pan tyle pytań?

- No wie pan, jestem... zdezorientowany i zagubiony.

- Na pewno nie jest pan z administracji nie chcę mieć nic do czynienia z...

- Nie jestem z administracji. Daję słowo. - Rozejrzałem się po pokoju, ale nie zauważyłem nic ciekawego. Jedzenie, zlew, łóżko, wszystko to sugerowało, że rzeczywiście mógł tu mieszkać. - Hmm, nie widział pan tu przypadkiem kobiety podobnej do smoka?

- Podobnej do smoka? - powtórzył. - Przykro mi, ale nie widziałem.

- Ale... widział pan kobietę? - domyśliłem się.

- Och tak ale chyba już jakiś czas temu.

- Ile czasu minęło?

Wzruszył ramionami.

- Tyle że pomyślałem że to musi być około to było na pewno już po ale...

Jego głos ucichł. Mężczyzna rozciągnął usta w desperackim szczerbatym uśmiechu.

- Dziękuję za pomoc - wymamrotałem i ruszyłem w stronę wyjścia.

Nie próbował mnie zatrzymywać. Otworzyłem drzwi, wzbijając tumany kurzu. Miałem wrażenie, że nie otwierano ich już od bardzo dawna. Zostawiły łukowaty ślad w pokrywającym podłogę korytarza pyle. Panował tu półmrok, tylko przez małe okienko na końcu wpadało do środka blade światło. Mężczyzna nie ruszył się z miejsca. Wyszedłem na zewnątrz, a potem zawahałem się i odwróciłem.

- Jak się pan nazywa? - zapytałem.

- Jak się nazywam? - powtórzył. - Hmm to było na pewno coś... - Zaczął przerzucać jedną ze stert papierów, leżącą pod ścianą. - To gdzieś tu jest... chwileczkę na pewno gdzieś to mam.

- Nieważne.

Spojrzał na mnie. W jego szeroko otwartych szarych oczach błyszczała niepewność.

- Niech pan zamknie drzwi dobra?

Uśmiechnąłem się i zamknąłem je za sobą.

Korytarz był pokryty kurzem takim samym jak w pokoju. Na podłodze walały się odpadki, tworzące wyspy i archipelagi, które wędrowiec musiał starannie omijać. Tu leżała oderwana ręka plastikowej lalki. Ówdzie otwarta koperta bez znaczka, z której wysuwał się nieukończony list; długopis o pękniętej plastikowej obudowie, zakrzepła plama wylanego z niego tuszu; zmięta i podarta aktówka; niewykorzystany bilet do teatru. Wózek dziecięcy, niewyjęty z plastikowego opakowania. Sztuczne szczęki wypadłe ze szklanki, z której dawno już wyparowała woda, uśmiechające się do pustki aż po kres wieków. I wszędzie pełno

rzadkiego beżowego kurzu sypiącego się z sufitu. Nie było tu niczego, co nie byłoby rozbite lub zniszczone. Nic też nie sugerowało, by kiedykolwiek coś tu ruszano.

Podszedłem do kwadratowego okienka na końcu korytarza. Pokrywał je szron, na zewnątrz widziałem tylko jasne migotliwe światła. Nie chciało się otworzyć. Z góry dobiegło mnie ludzkie westchnienie. Ruszyłem w tamtą stronę, mijając książki, z których wydarto połowę stron, zepsute lodówki o otwartych drzwiach oraz srebrne kawałki rozbitych kompaktów. Moje stopy zostawiały w kurzu niekształtne ślady.

Na tym piętrze tylko jedne drzwi były otwarte. Płynęło z nich słabe żółte światło. Podszedłem do nich i zapukałem. Nikt mi nie odpowiedział. Zajrzałem do mieszkania.

Na środku pokoju stał jakiś mężczyzna. Ręce rozpościerał na boki, a głowę zwracał ku górze. Dziewięć dziesiątych powierzchni jego ciała pokrywały sine żyły, a tylko jedną dziesiątą biała skóra, włosy miał skołtunione i rozczochrane, a szeroko otwarte oczy wlepił w pustkę. Miał na sobie niebieskie majtki oraz czarne podkolanówki, które opadły do kostek, otaczając je grubą warstwą tkaniny.

- Proszę pana? - odezwałem się.

Nie ruszył się z miejsca.

- Przepraszam?

Nawet nie drgnął.

Podszedłem do niego i dotknąłem jego ramienia. Nic. Potrząsnąłem nim mocniej. Nadal nic.

- Kolego! Hej, do ciebie mówię!

Potrząsnęliśmy nim znowu. Jego głowa zakołysała się w przód i w tył, jak u psa maskotki w samochodzie, ale oczy ani na moment nie skierowały się na nas. Puściłem go i wrócił powoli do poprzedniej pozycji - nieruchomy, milczący i wpatrzony przed siebie.

- Nie odpowie ci - odezwał się głos za moimi plecami.

Poderwałem się nagle i uniosłem ręce, gotowy do walki.

Nie miałem pojęcia, jak stojący w drzwiach mężczyzna dostał się tu niepostrzeżenie dla mnie. Pchał przed sobą wózek z supermarketu o jednym kole sklejonym taśmą samoprzylepną. Załadowano go starymi wieszakami, powyginanymi łyżkami oraz kawałkami zardzewiałego metalu. Miał bujną ciemną brodę, upstrzone siwizną włosy, podarty płaszcz z podszewką, a z uwagi na smród powinien przyciągać uwagę jak samuraj w senacie. Znaliśmy jego twarz, a jeszcze lepiej posmak jego magii. Przyglądał się nam przez dłuższą chwilę. Sprawiał wrażenie lekko niezadowolonego z tego, co zobaczył. Nagle potrząsnął głową i ruszył w dalszą drogę, pchając grzechoczący wózek. Podążyłem za nim, trzymając się kilka

kroków z tyłu, a gdy nie okazał irytacji, podszedłem bliżej. Zatrzymał się nagle, pochylił i wydobyl spod kurzu srebrny zegarek z rozbitym szkiełkiem. Potrząsnął nim, uniósł do ucha, by sprawdzić, czy chodzi, a potem rzucił z westchnieniem do wózka i znowu ruszył przed siebie.

- Szukam kogoś - odezwałem się.

- Tak?

- Pomożesz mi?

Zachichotał.

- A czemu miałbym to zrobić, kolego?

- Z czystej sympatii? - zasugerowałem potulnie.

Zatrzymał się powoli, a potem odwrócił, wsparty o rączkę wózka, i przyjrzał się nam ponownie. Sięgnął jedną ręką za ucho i wyciągnął stamtąd niedopalonego papierosa. Wsadził go sobie do ust i poklepał się po kieszeniach, ale nie znalazł tego, czego szukał.

- Masz ogień? - zapytał.

Złożyliśmy dłonie i dmuchnęliśmy w nie, budząc mały ogienek między koniuszkami palców. Magia zjawiała się tu powoli, była ospała, a my nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak bardzo jesteśmy zmęczeni. Dłonie nam drżały, gdy przysunęliśmy blask do końcówki krótkiego kawałka papierosa. Mężczyzna zaciągnął się głęboko, zatrzymał dym w płucach, a potem wypuścił niebieskoszary obłok. Potem ujął papierosa w dwa palce i pomachał nim przed moją twarzą.

- Widzę, że dochrapałeś się pozycji Nocnego Burmistrza, co?

- Zrobili mnie Nocnym Burmistrem - sprzeciwiłem się. - Ja grałem w tym czysto bierną rolę.

- W tej chwili nie robisz na mnie wrażenia biernego.

- Być Nocnym Burmistrem to jak nosić na tyłku kartkę z napisem „Kopnij mnie”. Może i sam jej tam nie przyklepiłem, ale prędzej czy później ktoś skorzysta z tej oferty. - Schowałem ręce do kieszeni, chcąc ukryć ich drżenie. - A co z tobą? Nie wiedziałem, że Król Żebraków kręci się w podobnych miejscach.

Uśmiechnął się, odsłaniając pożółkłe zęby upstrzone czarnymi plamkami.

- W szczelinach, do których wpada wszystko, o czym miasto zapomniało? A gdzie spodziewałbyś się znaleźć Króla Żebraków?

- Słyszałem pogłoski, że masz swoje miejsce pod obwodnicą Westway.

Wzruszył ramionami. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Trzeba iść z duchem czasu. Moje królestwo bardzo się ostatnio rozrosło. Za bardzo.

Zbyt wielu ludzi po prostu znika w szczelinach i cholernie ciężko jest ich stamtąd wydobyć. -
Uniósł jedną krzaczastą brew. - Znasz drogę wyjścia?

- Jasne.

- Ehe. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś przybył w takie miejsce, nie wiedząc, jak je opuścić.

- Pomożesz mi? - zapytałem ponownie. - Nie wiem, czy Nocnemu Burmistrzowi uchodzi żebrać...

- Nie uchodzi - skwitował Król Żebraków, strzepując popiół z palców.

- Ale i tak to zrobię.

Tym razem w górę powędrowały obie brwi.

- Czy aby na pewno jesteś odpowiednim kandydatem na to stanowisko, panie Swift? Nocny Burmistrz dysponuje pewnymi mocami. Ma też swoją dumę. To instytucja, która zawsze musi myśleć na wielką skalę, zamiast troszczyć się o małych ludzi zagubionych w kurzu.

- Instytucja zawsze dotąd kierowana przez dupków.

- A ty kierujesz nią inaczej? - zapytał z wąpiącym uśmiechem.

- Staram się.

- I dobrze ci wychodzi?

Spuściłem wzrok.

Poklepał mnie po przyjacielsku po plecach. Jego paznokcie wyglądały jak połamane kawałki żółtej kory.

- Spróbuj na piątym piętrze, ostatni pokój w korytarzu.

- Dziękuję - wydyszałem, łącząc dłonie w geście naśladującym dziękczynne modły. -

Dziękuję.

Wzruszył ramionami i odwrócił się do mnie plecami.

- Ty zajmujesz się swoimi sprawami, a ja swoimi...

Grzechoczący wózek oddalił się korytarzem.

Ruszyłem schodami w górę.

Piąte piętro wyglądało bardzo podobnie do pozostałych. Kubek z odłamaną rączką, ozdobiony połową napisu głosząca KOCHAM... Niestety, czas wymazał sekret jego serca. Połamany parasol o wygiętych w drugą stronę prętach, dziecięca piżama pokryta wyblakłymi plamami sosu, buty z odpadającą podeszwą, damska torebka, z której wypadły brudne serwetki oraz zużyta do połowy szminka. Kurz.

Drzwi na końcu korytarza były otwarte. Słyszałem dobiegające zza nich słabe głosy.

- W takim razie, kto jest ojcem? - zapytał ktoś.

- Och, kochanie, och, kochanie, chciałam ci powiedzieć tak wiele... - odparła druga osoba.

- Ale jeśli Tom nim nie jest, to... - dopytywała się pierwsza.

- Kochanie, nie gniewaj się na mnie! - zawołała druga.

Zapukałem do drzwi, a gdy nikt nie odpowiedział, zajrzałem do środka.

W pokoju nie było żadnych mebli, tylko stojący na podłodze telewizor z anteną przypominającą parę komicznych uszu. Na śnieżącym ekranie mężczyzna i kobieta kłócili się przed elektrycznym piecykiem. Warstwa kurzu była tu grubsza niż w innych miejscach, podłoga przypominała niemal filc. Na ścianach kurz utworzył cienką brązową warstwę. Ktoś wypisał w niej palcem te same słowa, powtarzające się tysiąc razy i zachodzące na siebie.

Pomóż mi

Wypuść mnie

Pomóż mi

Wypuść mnie

POMÓŻ MI

POMÓŻ MI

POMÓŻ MI!

Przed telewizorem siedziała dziewczyna, wpatrująca się z fascynacją w obraz widoczny na ekranie. Nogi miała skrzyżowane, a plecy pochylone. Wysuwała brodę w stronę odbiornika, jakby przyciągała ją ku niemu niewidzialna linka. Rozpościerała otwarte dłonie. Jej czarne włosy były kiedyś błyszczące, nim pokryła je warstwa kurzu. Wyprostowała je sztucznie i związała z boku głowy w opadającą za prawe ucho kitkę. W uszach miała złote kółka szersze niż nadgarstek zapaśnika, usta pomalowała lśniąca różową szminką, a oczy podkreśliła grubą zieloną kredką. Cerę miała koloru kawy espresso z mlekiem, ale oczy ciemne, takie same jak Oda, kiedy Oda jeszcze je miała. W kącikach jej ust zbierała się ślina, a wpatrzone w ekran oczy nie poruszały się ani nie mrugały.

Usiadłem obok niej, patrząc na nią i na ekran.

- Jak mogłaś mnie okłamać, ty dziwko?! - krzyczał jakiś inny mężczyzna. - Jak mogłaś mi powiedzieć, że to mój syn? Kochałem go, jak mogłaś mi to zrobić? Jak mogłaś zrobić to nam?!

- Przepraszam, panienko? - odezwałem się.

Nie oderwała spojrzenia od ekranu, ale lekko zacisnęła palce prawej dłoni.

Znowu popatrzyłem na telewizor.

- Nie masz prawa mnie pouczać, Jimmy! - darła się kobieta. - Słyszałam, co wyprawialiście z Debs w zeszłym tygodniu. Wiem wszystko o waszym małym żalonym romansie...

- Rzadko oglądam telewizję - ciągnąłem. Siedzieliśmy u jej boku, a kurz powoli opadał nam na ramiona. - Chciałbym móc powiedzieć, że to dlatego, że często bywam w kinie, w teatrze i tak dalej, ale to nie byłaby prawda. No wiesz, raczej nie jestem na bieżąco.

Nic.

- Podoba cię ten serial? - zapytałem.

Nic.

Na ekranie drugi mężczyzna uderzył kobietę. Siedziała, płacząc niepowstrzymanie, a pierwszy mężczyzna próbował ją pocieszać.

- Wiesz, że robię to tylko dlatego, że cię kocham. Kocham cię tak bardzo... - mówił drugi.

- Produkuje się mnóstwo chłamu - zauważyłem, trącąc ją porozumiewawczo łokciem. - Wszyscy powtarzają, że jest coraz gorzej, no wiesz, od Szekspira do Dickensa, a od Dickensa do „X Factor” i tak dalej, ale ja w to nie wierzę. Myślę, że w dzisiejszych czasach powstaje tak wiele wszystkiego, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent musi być gównem. Musimy po prostu znaleźć ten jeden procent, który nas zachwyci. Tak sobie myślę, ale to tylko teoria.

Nic.

Usłyszałem kroki na górze.

Dwa palce zanurzone w płynnym azocie przespacerowały się wzdłuż mojego kręgosłupa.

- Nie znasz przypadkiem dziewczyny imieniem JG? - zapytałem.

Poruszyła lekko palcami, nic więcej, ale udało mi się uzyskać wyczuwalną reakcję.

- Rzecz w tym, że jej szukam - podjąłem pośpiesznie. - Nie w jakimś złym celu ani nic, po prostu myślę, że mogła wpaść w kłopoty i, no wiesz, chciałbym jej pomóc.

Nic.

Kroki na górze zatrzymały się nagle.

- Mam na imię Matthew - dodałem, wyciągając rękę. - A ty?

Nic.

Kroki rozległy się znowu, zmierzając ku schodom.

Akcja w telewizorze przeniosła się do wnętrza brudnego pubu. Dwie zupełnie inne

kobiety rozmawiały o swych niewiernych mężach oraz o ciężkich wymogach starzenia się powiązanego z wiernością.

- Tak, tak, wiem, to naprawdę okropne - stwierdziła jedna z nich.

- Nie musisz mi o tym mówić - odparła druga. - Z moim starym piekielnie ciężko wytrzymać. Nie interesuje go już nic poza piłką.

Wstałem, okrążyłem telewizor i zatrzymałem się na wprost przed dziewczyną. Była jeszcze nastolatką, wyglądała na jakieś siedemnaście lat. Wyciągnęła szyję, by patrzeć na ekran za moimi plecami. Nadal nie zamykała ust.

- Posłuchaj - zacząłem bardzo stanowczym tonem. - Naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu i rozumiem, że to może być dla ciebie trudne, ale czas ma duże znaczenie...

Cały czas wyciągała szyję. Odwróciłem się, klęknąłem przed telewizorem, sięgnąłem do jego boku i wyłączyłem go z ostrym trzaskiem.

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie. Nim zdążyłem się odwrócić, rzuciła się na mnie, okładając mi plecy pięściami, kopiąc i drapiąc. Długie czerwone paznokcie wbijały mi się w uszy, szyję i twarz. Przetoczyłem się na bok, pociągając ją za sobą. Padła na podłogę, dzwoniąc kółkami w uszach, i natychmiast wznowiła atak. Udało mi się złapać ją za nadgarstki, ale nie przestawała krzyczeć, odsłaniając białe zęby i próbując mnie ugryźć. Odepchnąłem ją od siebie i uniosłem oswobodzone na moment ręce, by uwięzić ją w pięści migotliwego zagęszczonego powietrza. Uniosłem dziewczynę i przycisnąłem ją do ściany, zacierając graffiti w tym miejscu.

- Dość tego! - warknęliśmy.

Kurz zadrżał od naszego głosu, osypując się w dół. Dziewczyna szarpała się coraz słabiej, ale jej szeroko otwarte oczy wypełniał strach. Starła się patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie. Oblizwała wargi i spróbowała coś powiedzieć, a potem oblizwała je znowu i zdobyła się na krzyk:

- Ty pierdolony dupku kurwa zabiję cię kurwa zabiję cię za kogo kurwa się uważasz za kogo kurwa, się uważasz zabiję cię ty chuju!

Zaczerpnęła powietrza w płuca, przygotowując się do powtórki, ale w tej samej chwili zwolniłem zakłęcie i upadła na ręce i kolana. Wstrząs wypchnął jej powietrze z płuc. Nim zdążyła coś powiedzieć, złapałem ją za nadgarstki i podniosłem na nogi.

- Jak myślisz, gdzie jesteś? - wysyczałem. - Powiedz mi! Gdzie jesteś?

Jej spojrzenie tańczyło po pokoju. Siły zaczynały ją opuszczać.

- Nie... nie... - zaczęła.

- Rozejrzyj się! - rozkazałem. - I powiedz mi, gdzie jesteś!

- Nie... kurwa, nie dotykaj mnie, słyszysz jeśli mnie dotkniesz kurwa nie dotykaj mnie!

Wyrwała mi się i zatoczyła kilka kroków do tyłu, a potem skuliła się i oplótła rękoma, dygocząc gwałtownie z tak wielu powodów, że nie sposób ich było od siebie odróżnić. Przyglądaliśmy się jej, temu stworzeniu, które było niewiele więcej niż dzieckiem, zbyt przerażonym, by mogło nim nie być.

- Mam na imię Matthew - oznajmiłem spokojnie. - Chcę ci pomóc.

- Spływaj.

- Rozejrzyj się wkoło. Mam na imię Matthew. A ty?

- Myślisz... myślisz, że możesz, tak po prostu... tak po prostu sobie przyjść i powiedzieć „Mam na imię Matthew” czy coś w tym rodzaju a ja ci zaufam do chuja? - warknęła. - Jeśli zbliżysz się choć o krok przysięgam że wydrapię ci oczy.

Cofnąłem się nieco, unosząc ręce w geście kapitulacji.

- W porządku, w porządku. Popatrz. Nie będę się zbliżał. Tylko powiedz mi, jak masz na imię.

Otarła nos rękawem, wyprostowała się i wsparła drżące ręce na biodrach.

- Jestem JG - warknęła. Nie miała wiele więcej do powiedzenia i nie była w stanie tego powiedzieć.

Uszczypnąłem się w grzbiet nosa. Z korytarza dobiegało ostre elektryczne brzęczenie. Nie słyszałem już kroków ani wózka Króla Żebraków.

- Cześć, JG - rzekłem. - Cieszę się, że mogę cię poznać. Musimy stąd iść.

- Nigdzie z tobą nie pójdę!

- Rozejrzyj się. Chcesz tu zostać?

Zrobiła to i po raz pierwszy zauważyła otoczenie. Skuliła się jeszcze bardziej.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała cichym głosem.

- W niedobrym miejscu. Chyba zaczynam je powoli rozumieć, ale to niedobre miejsce i dzisiaj wydarzyły się tu okropne rzeczy. Naprawdę muszę szybko cię stąd zabrać.

Przeniosła spojrzenie na mnie i mnie również chyba zauważyła po raz pierwszy.

- Masz krew na twarzy - powiedziała, odsuwając się jeszcze dalej. - Mój Boże co z ciebie za świr? Kurwa nie zbliżaj się ty świrze!

- Był tu pożar, prawda? - W jej oczach płonął ogień, ale przynajmniej patrzyła na mnie. - W wieżowcu w Sidcup, przeznaczonym do rozbiórki. Opuścili go wszyscy oprócz ciebie. Podobało ci się tutaj, pisałaś na ścianach i mieszkalaś tu z towarzyszami, ale potem wybuchł pożar. Ogień zaczął się na niższych piętrach i szerzył się za szybko. Byli tu też

ludzie. Uciekałaś i uciekałaś, aż wreszcie nie wiedziałaś już, dokąd biegniesz, i nagle poczułaś, że pod tobą otworzyła się dziura, i potem znalazłaś się tutaj. Gdziekolwiek to może być. Wszędzie było pełno kurzu, a ty nie potrafiłaś odnaleźć drogi wyjścia. Mam rację?

- Jesteś jednym z nich? - wyszeptała.

- Jednym z kogo?

- Jednym z tych, którzy mnie obserwują. Mówiłam o nich księdzu, ale on powiedział, że to tylko wytwór mojej wyobraźni. Śmiali się ze mnie, gliny powiedziały, że próbuję przyciągnąć do siebie uwagę, powinnam przestać marnować ich czas i mam wrócić, kiedy będę mogła zgłosić prawdziwe przestępstwo. Jesteś jednym z nich.

- Nie.

- Jesteś! Skąd mógłbyś wiedzieć to wszystko, gdybyś nie był jednym z nich?

- Znam... znam jedną kobietę... - wyjąkałem. - Posłuchaj, to nie jest najlepszy moment...

- Jaką kobietę?

- Taką jedną... to... moja przyjaciółka...

- Jak się nazywa?

- Nieważne.

JG nagle usiadła, podciągnęła nogi do klatki piersiowej i oplotła kolana rękoma, łypiąc na mnie spode łba.

- Proszę bardzo! Jeśli to jest nieważne to kurwa nie ma też znaczenia co zrobię! Dlatego będę tu sobie siedziała i to nie będzie ważne a ty możesz spierdalać!

- Nie ułatwiasz mi życia...

- Jak się nazywa!

Wzdrygnąłem się, gdy wykrzyczała te słowa. Czekałem, aż kurz między nami opadnie, a potem podszedłem bliżej i klęknąłem przed nią.

- Moja przyjaciółka ma na imię Oda - oznajmiłem. - Znasz ją?

JG oblizwała wargi.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Wydostać się stąd.

- Stąd nie ma wyjścia - odparła. - Sprawdzałam. Nie ma żadnego.

- Potrafię nas stąd wydostać, ale najpierw musimy odnaleźć moją przyjaciółkę.

- Jaką przyjaciółkę?

- Nazywa się Leslie Dees. Przybyła tu razem ze mną, by cię odnaleźć.

- Dlaczego mnie szukaliście?

- Dlatego... dlatego, że Oda powiedziała mi, żebym znalazł dziewczynę. Prosiła mnie o to.

Przymrużyła powieki.

- Kłamiesz - skwitowała. - Kłamiesz, próbujesz mnie wykorzystać albo coś. Jesteś taki sam jak wszyscy.

- Proszę! Podjąłem wielkie ryzyko, żeby tu przybyć. Proszę! Zaufasz mi? Na razie?

Wyciągnąłem do niej rękę, brudną od kurzu, sadzy i krwi. Popatrzyła na nią z pogardą, a potem wstała, ignorując mnie, i wpatrzyła się w ciemność za drzwiami.

- Co tam jest? - zapytała.

- Kurz - odpowiedziałem, wzruszając ramionami. - I różne rzeczy.

Wyszedłem na korytarz i obejrzałem się za siebie. JG nie ruszyła się z miejsca.

- Nie lubisz, kiedy cię okłamują, he?

- Potrafię poznać, kiedy ludzie kłamią.

- Świetnie. To mi ułatwi zadanie. - Przesunąłem palcem po zakurzonej powierzchni. - Jest tu coś, czego powinnaś się bać. A ja naprawdę chcę ocalić ci życie.

Przez chwilę myślałem, że za mną nie pójdzie. Ale potem poszła.

Dotarliśmy razem do końca korytarza, gdzie zaczynały się schody. Grzebałem przez chwilę w kieszeni, aż wreszcie zacisnąłem śliskie palce na zimnej komórcie. Włączyłem ją.

- Pani Dees!

Nasz głos odbił się echem od ścian.

Wydawało się, że klatka schodowa nie ma szczytu ani dna.

- Pani Dees!

- Kurwa, czemu krzyczysz? - wysyczała dziewczyna. - Ty głąbie, zwabisz tu...

Jej głos ucichł.

Telefon wreszcie się włączył. Zasięgu nie było.

Usłyszałem w oddali coś, co brzmiało jak kroki biegnącego człowieka.

- W górę - oznajmiłem. - Idziemy cały czas w górę.

- Nie będę wykonywała twoich poleceń!

- Jasne. Pozwolę ci samej zdecydować. - Westchnąłem. - Ale ja idę w górę, bo tam jest wyjście.

Zacząłem się wspinać. Pokonałem niemal dwa całe biegi schodów, nim zdecydowała się za mną podążyć, cmokając i potrząsając głową, jakbym był lekkomyślnym dzieckiem domagającym się, by spełniano jego kaprysy. W komórcie nadal nie było zasięgu. Na niższych piętrach rozległ się trzask, a po nim drugi i trzeci.

Spojrzałem w dół nad poręczą. Światła gasły jedno po drugim, poczynając od podstawy schodów.

Niemal żałowałem, że Bakker zniknął.

- Już bardzo blisko! - zabrzmiał nade mną czyjś głos. Spojrzałem w górę. Mój dawny nauczyciel wychylał się przez poręcz, spoglądając na mnie. - Ale czy zdążysz na czas?! - zawołał. Jego głos odbijał się echem od ścian klatki schodowej.

Złapałem JG za rękaw i pociągnąłem ją za sobą. Próbowwała się wyrwać, ale była wystarczająco bystra, by nie zwalniać biegu. Ciemność wciąż się zbliżała, *trzask, trzask, trzask*, gasły kolejne żarówki w ciasnej klatce schodowej. Nasze stopy ślizgały się na kurzu, wzbijając beżowe obłoczki.

- Pani Dees! - zawołałem raz jeszcze. - Proszę ruszać tyłek!

Ciemność była pięć pięter za nami, potem trzy, aż wreszcie nas dopadła. Pochyliłem się, gdy żarówka nade mną eksplodowała i w dół posypał się strumień szkła. Pochwyciłem w palce okruch światła, nim zdążyło zgasnąć, a potem rzuciłem go nad głowę. Wszystko tu działo się straszliwie powoli, moc była bardzo odległa. Szliśmy cały czas w górę, mimo że ciemność nas wyprzedziła, światła gasły jedno po drugim, aż wreszcie widzieliśmy tylko odległe punkciki wyglądające jak gwiazdy. Potem one również zaczęły znikać. Dotarłem na kolejne piętro, minąłem jeszcze jeden zakręt i ona tam czekała, moje światełko było za słabe, bym mógł ją ujrzeć wyraźnie, ale Oda tam była, stała na schodach nade mną i przewróciła mnie gwałtownym kopnięciem, aż wpadłem na JG i zwałem się na podłogę w kącie pomostu. Ramiona Ody drżały, dłonie zaciskała mocno na rękojeści zakrwawionego szklanego miecza zabranego Theydonowi, a jej twarz wykrzywiła się w grymasie niemej wściekłości. JG westchnęła i cofnęła się trwożnie, zakrywając instynktownie twarz dłońmi, usłyszałem, że powietrze się rozstępuje, i uniosłem dłonie, wypuszczając z nich impuls elektryczności, który ruszył ospale w stronę Ody, uderzył ją w pierś i odrzucił do tyłu. JG wydała z siebie piskliwy krzyk kogoś, kto za często ogląda telewizję i wie, jak się należy zachować w podobnej sytuacji, ja zaś zacisnąłem pięści, wydobyłem ze swej duszy resztki ciepła i cisnąłem w próbującą się podnieść Odę drugi impuls, a potem trzeci, obalając ją na kolana. Ubranie na jej grzbiecie płonęło. Podźwignęliśmy się z trudem, a gdy spróbowała wstać, wydusiliśmy z siebie kolejną falę, omal nie padając na ziemię z wysiłku. Gdy powietrze wokół nas się rozstało, pył wypełnił nam oczy, ale cios trafił Odę prosto w serce. Przycisnęła pięści do piersi i cofnęła się nieco, niemalże uderzając głową o sufit, ale usłyszałem obok siebie, wokół siebie i w sobie głos Bakкера krzyczącego: „Matthew, nie!” i nagle poczułem, że moją szyję i bark otoczyły czyjeś ramiona i JG wrzeszczała: „Nie waż się

jej tknąć! Kurwa nie waż się jej tknąć!” i ciężar jej ciała pociągnął mnie do tyłu, zbił z nóg i przewrócił w to samo miejsce co poprzednio. Wylądowałem ciężko, jedna noga pod drugą, ledwie zdając sobie sprawę z tego, że JG okłada mnie pięściami. Spróbowałem się podnieść, ale moje mięśnie były miękkie jak wata, a nogi ślizgały się na kurzu. Oda zdążyła się już podnieść, wspierając się na mieczu Theydona.

Bakker stał tuż obok. Wymachiwał bezsilnie rękami, nie mogąc mi pomóc.

- Nie można jej zabić - syczał. - Słyszysz? Nie można jej zabić, nie możesz tu wygrać, musisz natychmiast zwiewać!

Oda schodziła ku nam. W jej nieoczach nie było śladu człowieczeństwa, cienia litości.

Wymacałem komórkę w kieszeni, otarłem bokiem kciuka pył z ekranu i zacząłem wybierać numer. Palce nam drżały, wyczerpane próbami powstrzymania Ody-Zaciemnienia. Potem dotarła do mnie. Odciągnęła JG na bok, łapiąc ją za kark, i poczułem na gardle dotyk ostrego zimnego szkła. Zamknąłem oczy, nim zdążyła popłynąć z nich krew.

- Odo? - wyszeptała JG.

I śmierć nie nadeszła.

Rozchyliłem powieki. Oda gapiała się na JG, a JG na Odę. Oczy dziewczyny nie krwawiły. Obie patrzyły prosto na siebie, a w twarzy Ody nie było gniewu, nie było nienawiści ani strachu, lecz coś, czego nigdy tam nie widziałem.

JG niepewnie wyciągnęła ku niej drżącą dłoń.

- Odo?

Miecz się cofnął.

Oda niemal się uśmiechała.

Potem JG zobaczyła jej oczy i znowu krzyknęła. Tym razem był to prawdziwy krzyk, zwierzęcy odgłos cierpienia i strachu. Dziewczyna nie milkła, aż wreszcie Oda odsunęła się, zakryła twarz ramieniem, cofnęła miecz i coś srebrnego, płonącego i szybkiego pojawiło się nagle za nią i wbiło w jej szyję metalowe zęby. Oda krzyknęła z bólu, próbując drapać atakujące ją stworzenie, między nimi zatańczyły płomienie i ujrzałem czerwone, pełne szaleństwa oczy.

- Pani Dees!

Spróbowałem się podnieść, ale Oda zdołała jakoś złapać przeciwniczkę za metalową skórę i obalić ją na plecy. Potem rzuciła się na nią z mieczem w dłoniach.

- Pani Dees!

Zobaczyłem szpon przebijający skórę łatwo jak jedwab, ale Oda się nie zatrzymała, nawet nie zwolniła ani się nie wzdrygnęła, lecz uderzyła mieczem Theydona w środek ciała

srebrnoskórej Rajczyni, z dźwiękiem pękającego metalu i tłuczonego szkła. Ogień płonący w oczach pani Dees rozgorzał na chwilę jaśniej, a potem zaczął gasnąć. Srebrna pokrywa skóry bladła, druty zmieniły się w nadpalone blond włosy, podkuliła palce z bólu, a z jej ust wydostało się ludzkie tchnienie. Oda cofnęła rękę. Trzymała w niej tylko szklaną rękojeść, klinga rozprysła się na tysiąc fragmentów. Pani Dees podniosła się, potknęła o najwyższy stopień, upadła, z wyraźnym zaskoczeniem złapała się za krwawiący brzuch, wydobyła stamtąd okruch zielonego szkła i uniosła go pod światło. Przerazona kobieta otworzyła szeroko usta na kształt litery O, w oczach wezbrały jej łzy zmieszane z krwią.

- Ale ja... nie zdążyłam powiedzieć... - jęknęła.

Szkło wypadło jej z palców.

- Nie miałam czasu...

Padła na łokcie. Potem na plecy. Zawadziła stopami o krawędź schodów i jej głowa znieruchomiała. Krwawiące oczy wpatrywały się w sufit. Oda stanęła nad leżącą kobietą i spojrzała na nią z góry. Oczy pani Dees przestały krwawić.

Wstaliśmy.

Nasza dłoń płonęła.

Czuliśmy krew wzbierającą w bliznach, które ją naznaczyły.

- Matthew... - wysyczał Bakker.

Oda odwróciła się i spojrzała prosto na nas. Nie odwróciliśmy wzroku. Unieśliśmy ku niej otwartą dłoń i zobaczyliśmy, że się wzdrygnęła.

- *Domine dirige nos* - wyszeptałem, mając język jak wygarbowana skóra, a wargi jak piasek. - *Domine dirige nos*.

Ogień zapłonął na naszej skórze, w naszej krwi, za naszymi oczyma. Szerzył się wokół nas niczym zmarszczki na powierzchni stawu, czerwony szalony ogień smoka; wydobywał się z krzyży na wewnętrznej powierzchni naszej dłoni i wypełniał korytarz, aż wreszcie uderzył w Odę, która zatoczyła się do tyłu, osłaniając przed nim nieoczy. Nie palił się gorąco, nie płonął jasno, ale był tańczącym szaleństwem w głębi smoczego oka, roztańczoną, nienazwaną siłą, która wyrosła z miasta zbudowanego na ruinach miasta, które również wzniesiono na ruinach miasta, czymś karmionym nigdy do końca niewygasłymi węgielkami, kośćmi umarłych pochowanych pod umarłymi pochowanymi pod umarłymi pochowanymi pod kamieniami, na których pewnego dnia złoży się kolejne ciała. Podążyłem w górę po schodach, moje nogi poruszały się nieproszone. Oda usunęła mi się z drogi. Widziałem krew skapującą z tysiąca ran na jej ciele, widziałem jej usta pękające od ognia. Dotarłem do pani Dees, zatrzymałem się nad jej ciałem i zaczęliśmy krzyczeć, nasz głos, mój

głos, i inny głos również, ten, który miał jaszczurczy język i strzegł bram.

- *Domine dirige nos!*

I Oda krzyknęła, uniosła ręce w tej samej chwili, gdy uderzył w nią ogień, i wrzasnęła, zawyla jak ranny pies. Nie przestawała się drzeć, aż wreszcie, bez ostrzeżenia, jej wrzask przerodził się w śmiech, śmiech hieny, a gest, który wziąłem za wyraz bólu i przerażenia, reprezentował w rzeczywistości radosną akceptację. Na krótką chwilę ujrzelśmy pod raną w piersi, przez dziurę w sercu, poruszające się stworzenie, żywe, płynne i nieludzkie, niezwiązane z żadnym ciałem i przygotowujące się do opuszczenia ciała Ody.

- Ogniem go nie zabijesz! - ryknął Bakker.

Przerwaliśmy atak.

Otaczające nas płomienie zamigotały i zaczęły przygasać.

Nasze nogi nie mogły nas dłużej podtrzymywać. Śmiech Ody zgasł razem z ogniem.

Osunąłem się na podłogę obok pani Dees. Jej krew wypływała powoli na kurz. Bakker próbował złapać mnie za ramiona.

- Wstawaj, musisz wstać, musisz stąd zmiatać, Matthew! - syczał i szeptał. - Musisz natychmiast stąd zmiatać!

Oda osunęła się pod ścianę naprzeciwko mnie, nadal drżąc od śmiechu i bólu. Takie ciało musiało nie żyć, zbyt wiele w nim było połamane, uszkodzone i krwawiło, nie żyła, martwe ciało, ukrywające się w nim stworzenie i...

- Matthew! - Bakker próbował złapać telefon, który nadal ścisnąłem w lewej dłoni. - Im bardziej starasz się zniszczyć jej ciało, tym bardziej go wzmacniasz! Musisz stąd uciekać!

Włączyłem telefon i popatrzyłem na ekran. W lewym górnym rogu pojawiła się pojedyncza szara kreska zasięgu, słaba i drżąca.

Przekonałem się, że nadal mam kciuk. Wcisnąłem kolejne cyfry numeru, a każda z nich stanowiła triumf koncentracji. Oda napięła mięśnie, gdy zobaczyła co trzymam w ręce, spróbowała wstać, pośliznęła się, spróbowała znowu i poczołgała się ku mnie na rękach i kolanach, wyciągając rękę po telefon. Nacisnąłem ostatni klawisz, przetoczyłem się na bok ze stęknieniem bólu i zacząłem się zsuwać ze schodów stopami w dół. Ręka Ody przeszła powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą byłem. Usłyszałem jej gniewny syk. JG siedziała w kącie, kryjąc głowę w dłoniach. Drżała i płakała, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Zobaczyłem, że Oda wstała i próbuje sięgnąć ku nam.

- Nie - wydyszała. - Nie, daj mi dziewczynę, Matthew! Daj mi dziewczynę, musisz dać mi...

Mój palec znalazł klawisz połączenia, a dłoń uniosła telefon do odległego obiektu,

który mógł być moim uchem. Oda skoczyła na mnie.

- Daj mi...! - krzyknęła.

- Matthew? - rozległ się głos na drugim końcu linii.

- Zabierz nas stąd w...

Wszechświat pomachał mi ręką na pożegnanie.

* * *

Czułem zapach sosu sojowego.

Przebijał się przez wszystkie inne wonie, ostry, intensywny i wyraźny.

Jak dotąd wszystko wydawało się w porządku. Zaryzykowałem otworzenie jednego oka.

Światło na zewnątrz było zbyt jasne, zamknąłem więc oko, by rozważyć swą pozycję.

Była horyzontalna. Spoczywałem brzuchem do dołu na twardej podłodze.

Miałem wrażenie, że to równie dobre miejsce jak każde inne, więc nie ruszałem się przez chwilę.

- Nie marnuj czasu, Matthew - rozległ się nieopodal głos Bakкера.

Jęknąłem.

To najwyraźniej przyciągnęło dodatkową uwagę. Usłyszałem kroki, poczułem ruch powietrza. Potem rozległ się głos Penny.

- Cholera dobrze się czujesz przepraszam pewnie że niedobrze wyglądasz jakby pierdolony spychacz użył cię jako worka treningowego i trochę z tym przegiął ale pewnie chciałam zapytać czy nie masz krwotoków wewnętrznych.

Ponownie zaryzykowałem rozchylenie powiek. Na tle jasności malowała się otoczona włosami plama, która mogła być twarzą Penny. Nie mogłem skupić na niej spojrzenia. Wykaszałem z płuc kurz i popiół, drapiący mnie przez całą drogę na górę.

- Cześć, Penny - wymamrotałem, wspierając się na łokciach.

- Masz krwotoki wewnętrzne? - powtórzyła.

- A czy można to sprawdzić w jakiś łatwy sposób? - odpowiedziałem pytaniem.

- Z jakiegoś powodu uważałam, że będziesz to wiedział.

Odważyłem się rozejrzeć wokół.

Leżałem na betonowej podłodze w pomieszczeniu pełnym pudełek. Napisano na nich w kilku różnych językach: „Najlepsze ciasteczka z wróżbą na świecie. Wyłącznie na eksport”. Ktoś zrobił pośrodku sali wolne miejsce i starannie ułożył magiczny krąg złożony z wielu setek znaczków pocztowych na przesyłki ekspresowe. Niektóre z nich jeszcze dymiły.

Trąciłem jeden końcem palca. Rozsypał się w pył.

- Jezu, ile znaczków zużyłaś?

- Powiedziałaś, że potrzebujesz ratunku!

Zdołałem usiąść i znieruchomiałem w tej pozycji.

- To przesyłka polecona - wyjaśniłem. - Powinnaś użyć liczby znaczków odpowiedniej do masy przesyłanego obiektu. W tym cholernym kręgu jest ich tyle, że mogłabyś przywołać ducha Orsona Wellesa i pięciodaniowy posiłek.

- Obliczyłam masę! - sprzeciwiła się. - Nie moja wina, że jesteś takim popapranym chudzielcem!

- Na poczcie można dostać odpowiednią tabelę! Liczba znaczków w stosunku do masy teleportowanego obiektu razy odległość...

- Ale udało mi się, tak? - oznajmiła z triumfem w głosie. - Zrobiłam to sama, ja, twoja rewelacyjna uczennica. Totalnie mi się udało, rzuciłam zaklęcie, którego większość ludzi nie potrafi się nauczyć, a ja to zrobiłam jak trzeba. Jesteś tu i nic ci nie grozi. Tylko to jest ważne, tak?

Pot spływał po jej czole i szyi. Ręce jej drżały, uśmiechała się szeroko i niepowstrzymanie, przesuwała spojrzeniem po mojej twarzy, jakby chciała się upewnić, czy któryś z mięśni nie trafił w niewłaściwe miejsce.

- Tak... - zacząłem.

- No wiesz po prostu to zrobiłam i było w tym mnóstwo mocy ale nad nią zapanowałam i jesteś tutaj uratowałam ci życie no bo je uratowałam prawda i...

Część potu spływającego po jej policzkach była w rzeczywistości łzami, a drżenie rąk nie zrodziło się tylko z wyczerpania, lecz również z przerażenia. Gdy wskazała słabym gestem na magiczny krąg, złapałem ją za palce i uściśnąłem je mocno. To jednak nie wystarczyło. Nie wiedząc, co i dlaczego właściwie robimy, pochyliliśmy się ku niej, wzięliśmy ją w ramiona i przytuliliśmy mocno. Nie mieliśmy pojęcia, czy robimy to dla niej, czy dla siebie. Obejmowaliśmy ją, a ona obejmowała nas. Drżała, a łzy spływały swobodnie po jej twarzy. Gdy nadeszła chwila, w której ścisnąć Penny dłużej znaczyłoby już nigdy jej nie wypuścić, uwolniliśmy się i spojrzeliśmy z uśmiechem prosto w jej błyszczące przejrzyste ludzkie oczy.

- Tak - potwierdziłem. - Zrobiłaś to. Uratowałaś mnie. Muszę też dodać, że po raz kolejny czuję się z siebie dumny.

Otarła łzy skrajem rękawa, pociągnęła głośno nosem i się wyprostowała.

- Nie... niech ci się nie zdaje, że płakałam z twojego powodu!

- Wcale tak nie myślałem.

- Martwiłam się, ale nie o ciebie.

- Wiem.

- Myślałam, że cała ta moc... było jej tak wiele, a kiedy to zrobiłam, kiedy zakłęcie zadziało, uwiadomiłam sobie, że mogłabym... że gdybym tego nie zrobiła... mogę dokonać bardzo wiele, Matthew.

- O tym też wiem.

- Zbyt wiele, Matthew.

- Podobnie jak ja. Ale tu i teraz zrobiłaś dokładnie to, co było konieczne.

Przygryzła dolną wargę, rozchylając usta w nerwowym uśmiešku mającym zamaskować łzy. Usłyszałem powolne brawa, głuche uderzenia oddzielał od siebie spory odstęp czasu. Rozejrzałem się wkoło. Bakker - nieskazitelny jak zawsze - siedział na skraju pudełka z ciasteczkami.

- Dobra robota - pochwalił mnie. - Wyszkoliłeś uczennicę, która w dniach swej szalonej młodości omal nie zniszczyła przez pomyłkę całego Londynu, dałeś jej jeszcze więcej mocy, a do tego pewność siebie potrzebną, by z niej korzystać. Bardzo dobra robota.

W zakamarku mojego umysłu powoli ukształtowała się świadomość, że czegoś tu brak. Rozejrzałem się nieco dokładniej po pomieszczeniu, a potem znowu spojrzałem na Penny, która poprawiała nerwowo ubranie, jak potencjalny pracownik przed rozmową kwalifikacyjną.

- Penny? - zapytałem, starając się zachować spokojny ton.

- Tak?

- Gdzie jest dziewczyna?

- Kto?

- Dziewczyna. Ta, którą wyrwałem z paszczy śmierci, by sprowadzić ją tutaj. Mówię o tej dziewczynie.

- Aha, ona. Zjawiła się tu, wrzeszcząc jak banshee, biła, kopała i wygadywała jakieś straszliwe głupoty. Rajcy zaprowadzili ją na górę, żeby ją umyć, dać coś do picia i, jeśli się uda, podać uspokajacz. - Zawahała się. - Matthew... gdzie jest Rajczyni? I ten psychopatyczny świr z Dworu? Gdzie pani Dees?

Spuściłem wzrok, spoglądając na swe poparzone, zakrwawione dłonie.

Penny zaczerpnęła gwałtownie tchu.

- Czy...? - zaczęła powoli i z namysłem.

Milczeliśmy.

Nawet Bakker się nie odzywał.

- Jest tu toaleta - odezwała się po chwili Penny. - Na pewno chcesz się umyć. I coś zjeść. Kucharz... zasnął. Personel też. Ale powinny gdzieś być prądynki krewetkowe i inne takie rzeczy.

Wyciągnęła do mnie dłoń o czystym miękkim różowym wnętrzu. Ucisnąłem ją, czując poruszające się w środku kości. Wstałem i omal natychmiast się nie przewróciłem. Musiałem złapać Penny za ramiona.

- Wszystko ze mną w porządku - wydyszałem. - Wszystko w porządku. Jestem tylko zmęczony, to wszystko. Bardzo, bardzo zmęczony.

- Zaprowadzić cię do toalety? Przynieść coś do jedzenia? Do picia?

- Wody - odparłem. - Woda byłaby niezła.

- Przyniosę ci trochę. Wszystko dobrze się skończy, Matthew. Wiesz o tym, prawda? Wykonasz jakąś rewelacyjną sztuczkę z repertuaru Nocnego Burmistrza i dodasz trochę syfu niebieskich elektrycznych aniołów i przed... wschodem słońca będzie po sprawie.

- Jasne - skłamałem. - Wiem o tym.

* * *

W łazience zastałem poobtlukiwane czerwone kafelki oraz podejrzane odory.

Siedziałem tam długo, z głową opartą o ścianę.

Gdy doszedłem do wniosku, że ściana i ja wyznaliśmy już sobie wszystkie posiadane sekrety, podniosłem się i stałem przez długi czas, zaciskając dłonie na brzegu zlewu. W pękniętym lustrze nad nim widziałem twarz. Krew, popiół i kurz uczyniły z niej oblicze spotkanego w mroku potwora. Oczy były zbyt białe i za bardzo niebieskie, tylko one zachowały wyraziste kolory.

Gdy już znudziłem się widokiem tej twarzy, odkręciłem kurek i umyłem ją.

Niestety, nawet lodowata woda nie zdołała zmyć znużenia.

Utrzymywałem przyjacielskie kontakty ze ścianą przez całą drogę do wyjścia z toalety, a potem na górę. Po drodze minąłem kuchnię. Miała brudne białawe ściany, przyjaźniła się z istotami z wielu różnych gatunków oprócz ludzi, a worki ryżu i torby z makaronem czekały na ugotowanie na śpiących teraz piecach. Z góry dobiegały ściszone głosy, wspinałem się więc dalej, aż wreszcie dotarłem do kolejnego pomieszczenia, położonego za drewnianymi drzwiami. Była tu różowa tapeta ozdobiona smukłymi białymi żurawiami oraz obrazami dzikich koni i płynącej wody. Na okrągłych stołach leżały plastikowe obrusy, w akwarium pływał samotny tłusty karp, a na wózku do potraw

spoczywały talerze z zimnymi niedojedzonymi potrawami. Pulchna Azjatka w białej koronkowej koszuli i czarnej spódnicy położyła głowę na stole, kryjąc ją w dłoniach. Przy następnym stole siedziała grupka Rajców o bladych twarzach i zaczerwienionych oczach. Nie prowadzili zbyt ożywionych rozmów, a i te ucichły, kiedy wszedłem do środka. Na stole między nimi stał pusty dzbanek na wodę oraz leżało kilka opakowań po pigułkach. Penny opierała się o ścianę obok. Ręce skrzyżowała na piersi, a oczy miała różowe i opuchnięte.

Wszyscy Rajcy wstali na mój widok i usiedli, kiedy zająłem jedyne wolne krzesło.

- Pani Dees...? - zapytał po chwili najstarszy z nich.

- Zginęła z rąk Zaciemnienia.

Zapadła cisza.

- Gdzie jest ta dziewczyna? JG? - zapytałem.

- Na górze - odpowiedział inny Rajca. - Wpadła w histerię.

- Pilnujcie jej? - zapytałem.

Pokiwali głowami.

- Co jest grane? - zapytałem. - Dlaczego nikogo tu nie ma? Gdzie jest reszta Rajców?

Jak wygląda sytuacja z Dworem i Plemieniem?

Poruszyli się niespokojnie.

- Ludzie zasypiają - odezwał się ten, który przemówił pierwszy. - Formalnie rzecz biorąc, nie spaliśmy od wielu dni. Z początku niektórzy tylko drzemali, ale teraz ci, którzy zasną, już się nie budzą. I kolejne miejsca... zniknęły.

Podsunał mi leżący na stole przewodnik. Przerzuciłem kartki. Kentish Town, Hammersmith, Bethnal Green, Elephant and Castle - wszystko to zniknęło. Zostały tylko puste strony. W przewodniku było teraz więcej białych kartek niż map ulic. Zamknąłem go i przesunąłem w stronę Rajcy.

- A co z człowiekiem z Neonowego Dworu? - zapytał ktoś.

- Nie żyje - odparłem.

- Czy...

- Zaciemnienie. Oda. Czekala na nas w ciemności.

- Ale udało się panu wyprowadzić dziewczynę. Wybraną? Czy to ona... jest wybraną?

Pokiwalem głową.

- Ehe, to ona. Dość upierdliwa, co?

- Co jej właściwie jest? Możemy coś na to zaradzić?

Nie odpowiedziałem. Wyrząłem przez okno restauracji, znajdujące się za plecami Rajców. Widziałem radosne światła Chinatown, czerwone latarnie, okna pełne kaczek,

barwne kalendarze ze sklejki bambusowej, a także miseczki z półprzezroczystym makaronem oraz ciasteczka z kremem. Ale nigdzie nie było ludzi. Na drzwiach wisiały tabliczki z napisem „nieczynne”, po ulicach nikt nie chodził, nie widziałem nawet zmiotaczy z ich zmiotkami oraz kubłami. Rajcy czekali. To nie było do nich podobne.

- Można tu dostać coś do jedzenia? - zapytałem.
- Są tylko resztki i mikrofala - odpowiedziała Penny.
- Może być. Czy JG nadal histeryzuje?
- Powinna już być spokojniejsza - odparł jeden z Rajców.
- Świetnie. Muszę z nią pogadać.

Udało mi się jakoś podnieść z krzesła. Czuliśmy się starzy, przerażająco starzy i niedołązni. Jeszcze niedawno nie bylibyśmy nawet w stanie pojąć tych słów.

Ruszyłem w górę ciasną klatką schodową o ścianach pomalowanych na nudny jasnozielony kolor. Pod drzwiami siedziała Rajczyni. Powieki jej opadały, była bliska zaśnięcia. Ominąłem ją i zapukałem. Nikt nie odpowiedział.

- JG? Jestem Matthew. Kazałem przynieść coś do jedzenia i picia. Dobrze się czujesz?
- Nadal milczała.

Nacisnąłem powoli klamkę i otworzyłem drzwi.

U sufitu wisiała nieosłonięta żarówka. JG siedziała na sfatygowanym łóżku pozbawionym pościeli. Podciągnęła kolana pod brodę, gapiąc się na jedyny wiszący na ścianie obraz. Przedstawiono na nim chińską pagodę. Kobieta w powłóczystych szatach spotkała się z mężczyzną o bujnej brodzie nad brzegiem spokojnego jeziora. Usiadłem obok dziewczyny, ze wszystkich sił opierając się pragnieniu, by na chwilę się położyć. Tylko na krótką chwilę.

JG nie reagowała na moją obecność, ale na jej twarzy widniał wyraz skupienia, którego nie widziałem tam przedtem, gdy spotkałem ją w zakurzonej sypialni z telewizorem.

- Dobrze się czujesz?
- Nie raczyła mi odpowiedzieć.
- Chciałbym ci zadać kilka pytań. Przykro mi, ale muszę poznać odpowiedzi.
 - A po co? - zapytała.
 - Chodzi o życie.
 - Czyje życie?
 - Wszystkich.
 - Nienawidzę cię. Idź sobie.

Ponownie wpatrzyła się w obraz.

Do pokoju weszła Penny, trzymająca w rękach przybrudzoną srebrną tacę.

- Proszę! - odezwała się. - Odgrzałam ryż, wieprzowinę słodko-kwaśną, kurczaka z grzybami, chow mein z imbirem, a jako główną atrakcję kaczkę z naleśnikami w sosie śliwkowym.

Postawiła tacę na łóżku. JG nie raczyła na nią spojrzeć.

- Nie chcę tego - oznajmiła.

- Nie jestem pierdoloną kelnerką - odparła Penny, nie przestając się uśmiechać.

- Wyglądasz jak pierdolona kelnerka - odparła JG.

- A ty wyglądasz jak ktoś, komu nie natarto porządnie uszu, kiedy był dzieckiem... nie, kurwa, przecież ty jesteś dzieckiem! Jedz albo pójdziesz do łóżka i już się nie obudzisz!

JG złapała przypadkowo wybrany posiłek i chciała nim rzucić w Penny, ale złapałem ją za rękę, wyrwałem talerz i postawiłem go z powrotem na tacy. Twarz Penny płonąła gniewem, jej palce drżały.

- JG - zacząłem - nie obchodzi mnie, co w tej chwili myślisz, i jestem zbyt zmęczony, by chciało mi się zgadywać, ale zapewne powinnaś się dowiedzieć, że ta miła pani, którą przed chwilą próbowałaś obrzucić śliwkowym sosem, uratowała ci życie z czystej dobroci swego szlachetnego serduszka, więc może powinnaś być dla niej miła.

- Spierdalajcie spierdalajcie spierdalajcie! - wrzasnęła JG. - Dlaczego nie możecie zostawić mnie w spokoju?

- Czy już jest za późno, by odesłać ją z powrotem? - zapytała Penny.

JG zerwała się na nogi i przeszła moją uczennicę wściekłym spojrzeniem.

- Zróbcie to! - syknęła. - No, jazda, zróbcie to, do chuja. Odeślijcie mnie z powrotem. Chcę tam wrócić. Natychmiast! Nie możecie mnie tu więzić!

- Nikt cię nie więzi - odparłem z westchnieniem, próbując pocieraniem przegnać senność z powiek.

- No pewnie. To dlaczego pod drzwiami siedzi strażniczka?

- Dlatego, że cała masa nieprzyjemnych ludzi próbuje cię dorwać. Muszę też dodać, że zapewne jest wśród nich kobieta, którą oboje znamy jako Odę.

JG splunęła. Kapka rzadkiej plwociny spadła na dywan i zaczęła weń wsiąkać. Gapiliśmy się na powiększającą się w milczeniu ciemną plamę wilgoci. Penny wykrzywiła twarz z obrzydzenia. Dziewczyna znowu usiadła na łóżku. Twarz miała gniewną i obrzękłą, ale nie odezwała się ani słowem.

- Puścisz to płazem? - zapytała mnie Penny.

Wzruszyłem ramionami.

- Za cholere nie znasz się na wychowywaniu dzieci - skwitowała.

- Nie jestem dzieckiem! - warknęła JG.

- Zachowujesz się jak dziecko.

- Nieprawda!

- Jasne, to było bardzo dojrzałe.

- Wynoście się wynoście się wynoście się wynoście się! - rozdarła się dziewczyna, wymachując pięściami. Żarówka zahuczała i przygasła. Przez moment miałem wrażenie, że dostrzegam w oczach JG coś dzikiego i jaskrawego. W powietrzu poczułem smak dymu.

Penny spojrzała mi w oczy.

- Czy to nie... - zacząłem.

- Nie ja - zaprzeczyła, unosząc ręce w obronnym geście. - Znasz mnie, szefie. Jestem teraz spoko Ngwenya, superczarnoksiężniczka pierwszej klasy. Gdybym chciała, żeby światła zdechły, zrobiłabym to jak trzeba.

Przeniosłem spojrzenie na JG. Dziewczyna nadal dygotała z gniewu, zaciskając pięści i powieki. Z gniewu, a także z czegoś jeszcze.

- Rewelacja. - Westchnąłem. - Z pewnością potrzebowaliśmy dodatkowych komplikacji.

Powlokłem się w stronę JG. Duma nie pozwoliła jej się cofnąć. Bakker stał w drzwiach, gapiąc się na mnie. Wrócił, kiedy zaczęło się coś dziać.

- JG - wydyszałem. - JG, wysłuchaj mnie, proszę. Nikt tu nie chce cię skrzywdzić. Nikt z nas nie jest twoim wrogiem. Z pewnością to rozumiesz. Muszę się jednak dowiedzieć kilku rzeczy, bo w przeciwnym razie zrobi się znacznie gorzej. Powiedz mi, skąd znasz Odę.

- Idź sobie.

- Wiem, że ją znasz, bo wymieniałem jej imię i mi zaufałaś. Prosiła, żebym cię znalazł, sprawiała wrażenie... spojrzała ci w oczy i nie oślepała. JG? Musisz wiedzieć, że coś z nią jest nie w porządku. Byłem... jestem jej przyjacielem. Chcę jej pomóc.

Uniosła nagle głowę i przeszyła nas wściekłym spojrzeniem.

- Zaatakowałaś ją. Byłam przy tym! O mało jej nie zabiłeś!

- To ona zaatakowała pierwsza - odparłem. - Wiesz, że to prawda. Widziałas to. Oda... zabiła moją przyjaciółkę. To również widziałas, JG. Widziałas na własne oczy, jak zabiła moją przyjaciółkę, kobietę, która miała męża i dziecko. I nie żałowała tego nawet przez moment. Widziałas oczy Ody. I to, co się jej stało w ogniu. Wiesz, musisz to wiedzieć, musisz zrozumieć, że jeśli nawet coś was łączyło, trzeba uznać, że to umarło.

Czy przez jej twarz przemknął cień wątpienia?

- Kłamiesz! - zawołała po chwili. - Nie powiedziałeś ani słowa prawdy!

- Zastanów się, JG. Nie okłamałem cię w żadnej sprawie. Mówiłem tylko czystą prawdę. Oda prosiła, żebym cię odnalazł. Pytała: „Gdzie jest dziewczyna?”. Była w wieżowcu, kiedy wybuchł pożar. Przywołała mnie, żebym jej pomógł.

- Kim właściwie jesteś?

- Jestem Matthew Swift, czarnoksiężnik, a to jest Penny, moja uczennica.

JG przeniosła spojrzenie na Penny, a potem z powrotem na mnie. Nieświadomie pociągnęła palcami za kaptur kurtki.

- Jeśli mnie skrzywdzisz, moja siostra cię znajdzie i zabije - wyszeptła.

Nie sądziliśmy dotąd, że ludzkie ciało może się zachwiać pod wpływem wypowiedzianych słów, jakby były bronią. A jednak się zachwialiśmy. Spojrzeliśmy w oczy Penny i dostrzegliśmy w nich szok podobny do tego, który sami poculiśmy, gdy sugestia zatańczyła taniec ze zrozumieniem. Nawet Bakker oddalił się od drzwi, o które się opierał, i podszedł do nas, by lepiej słyszeć.

Obliziałem zaschnięte wargi, czując smak popękanej skóry.

- JG, czy Oda jest twoją siostrą? - wyszeptalem.

Cisza.

- Siostra Ody nie żyje - wydyszała Penny. - Tak powiedział Sinclair. Zginęła... zabił ją brat. Kayle. Siostra Ody była...

Bakker pochylał się tak nisko, że niemal dotykał nosem nosa JG.

- Dostrzegam pewne podobieństwo. Aczkolwiek ta sugestia mogła obudzić moją wyobraźnię.

Złapałem dziewczynę za ramiona. Wzdrygnęła się, krzywiąc twarz w grymasie niechęci.

- Zostaw mnie! - warknęła.

- JG, to absolutnie najważniejsza rzecz, jaką możesz nam powiedzieć. Muszę się natychmiast dowiedzieć, czy Oda jest twoją siostrą.

- Co cię to obchodzi, nienawidzisz jej, nienawidzisz jej, chcesz ją zabić!

W oczach JG wezbrały łzy, ale nadal gapiała się na nas, jakby chciała sprawdzić, czy ktoś się ośmieli o tym wspomnieć. Uświadomiliśmy sobie, że nadal trzymamy ją za ramiona. Opuściliśmy dłonie i się odsunęliśmy.

- Jesteś... jesteś Jabuile Ajaja - wydyszałem. - Twój starszy brat, Kayle, próbował... próbował cię wykorzystać jako paliwo dla swojej magii i... i Oda cię znalazła, a potem go zabiła... jak to się stało, że jeszcze żyjesz, Jabuile?

- Już się tak nie nazywam.

- A dlaczego?

- Już się tak nie nazywam, kurwa. Już się tak nie nazywam.

- Wysłuchaj mnie! - W naszych oczach rozbłysnął niebieski ogień i JG przestraszyła się. Przestraszyła się nas. Zamknąłem oczy i z drżeniem zaczerpnąłem tchu. - Wysłuchaj mnie - powtórzyłem, tym razem ciszej. - Proszę... po prostu mnie wysłuchaj. - Zsunąłem się z łóżka, klęknałem przed dziewczyną i ująłem jej wilgotne dłonie. - Nie musisz robić nic poza słuchaniem. Oda... twoja siostra... została ranna. I wtedy coś w nią weszło, spróbowało ją opętać. Zabrało jej oczy, zabrało jej krew i zabiło wielu ludzi. Gdy ktoś z nas - ja, Penny, ktokolwiek - spojrzy jej w oczy, ślepnie, a potem umiera. Ale gdy ty w nie spojrzałaś, nic ci się nie stało. Myślę, że ona ciągle próbuje cię osłaniać, dba o twoje bezpieczeństwo. Myślę, że... ta jej część, która nadal jest Odą, a nie tym, co ukrywa się w jej ciele... myślę, że jesteś dla nas najlepszą szansą porozmawiania z nią. Jak udało ci się przeżyć?

- Ja... dlaczego mi to mówisz? Co z ciebie za świr, że opowiadasz takie rzeczy?

- Powiedz, jak jeszcze mogę ci udowodnić, że mówię prawdę, a na pewno to zrobię. JG, Jabuile, widziałaś Odę. Czy to nadal twoja siostra?

- Ja nie... nie...

Rozluźniła pięści. Nawet na twarzy Penny pojawiło się coś bliskiego litości.

- Powiedz mi, proszę, tylko mi powiedz, co ci się stało. Co się stało z Kaylem, z Odą i ze wszystkim.

- On... on mnie skrzywdził. Był... był jak ty... - Wykrzywiła usta w pogardliwym grymasie. - Był czarnoksiężnikiem. Mówił, że jest czarnoksiężnikiem, tak samo jak ty...

- Jasne, a jeśli Matthew para się magią krwi, zrobi naprawdę złą publicyść całej branży - dodała zniecierpliwiona Penny.

Choć łypnęliśmy na nią spode łba, to najwyraźniej wystarczyło, by skłonić JG do kontynuowania.

- Zabrali mnie do szpitala - ciągnęła dziewczyna głosem brzmiącym, jakby przebywała gdzieś daleko. - Kiedy Kayle... on nie... nie mógł... zrobił wszystko, co musiał... bardzo mnie bolało... a potem przestał, a oni przyszli i zabrali mnie do szpitala, i ksiądz tam był i...

- Ksiądz? - zapytałem głosem tak ostrym i twardym, że się skuliła. - Co za ksiądz?

- Ksiądz ze szpitala. Kiedy się ocknęłam, powiedział, że mój brat nie żyje i zabiła go moja siostra. Powiedział, że szuka mnie policja, że mam poważne kłopoty i... tak bardzo się bałam. Mówił, że nigdzie nie będę bezpieczna i potrzebuję jego opieki. Obiecał, że zajmie się

mną, zapewni mi schronienie, ale nie mogę nikomu o tym mówić. Znalazł mi nowy dom, opiekował się mną... można tak powiedzieć. Chyba mnie nie lubił. Nigdy. Przez wszystkie te lata powtarzał tylko: „Zapewnię ci bezpieczeństwo”. Dawał mi ubrania i inny taki syf, dawał mi forszę i nic go nie obchodziło, co robię z kolegami. No wiesz, rodziców powinno to obchodzić, tak, powinni się wściekać na takie zachowanie, a on był księdzem, więc powinien się wkurzać jak mało kto, ale w ogóle go to nie obchodziło i pewnie tak było lepiej, ale on... nigdy mnie nie lubił. Uratował mnie i tak dalej, ale nigdy... Mówili mi, że już nigdy nie będę się mogła z nią spotkać. Z Odą. Że są ludzie, którzy się nią opiekują... - Spojrzała w oczy mnie, a potem Penny. - Kim jesteście? To znaczy wiem, że nazywacie się Matthew i Penny, ale... co was to, kurwa, obchodzi? Co z tego macie? Jesteście z policji?

- Nie, właściwie nie. Do licha, nie mogę nawet powiedzieć, że stoimy w pełni po stronie dobra i światła. Prawda, Penny? Ale to my jesteśmy tymi, którzy nie śpią, podczas gdy cała reszta zasnęła, i to automatycznie czyni nas tymi dobrymi.

- Ciągłe wygadujesz głupoty.

Uśmiechnęliśmy się mimo woli.

- Ludzie ciągle nam to powtarzają. Mów dalej, proszę. Kim był ten ksiądz?

- Mówił, że jest przyjacielem Ody. Wiedział o mnie, o wieżowcu i tak dalej, wiedział, że lubię, lubiłam tam przychodzić. Chyba nie miał nic przeciwko temu. I nagle pewnego dnia zjawiała się tam Oda. Po prostu... się zjawiała. Znacznie się postarzała, no wiesz, wewnątrznie też, ale nadal była moją siostrą i powiedziała, że się mną zaopiekuje, już zawsze będzie się mną opiekowała i nigdy mnie nie opuści. Rozpłakała się, moja starsza siostra się rozpłakała i... i potem wybuchł pożar... i przyszli ludzie... i pamiętam, że uciekałam, a potem była ta... ta szczelina w podłodze i bałam się, tak bardzo się bałam, a potem... co się z nią stało?

- Została ranna - odparłem. - Doznała obrażeń podczas pożaru. JG? Ten ksiądz... człowiek, który zabrał cię ze szpitala... jak się nazywał?

Wzruszyła ramionami, lekko i lekceważąco.

- Ojciec Anton. Dlaczego pytasz?

Poczułem, że moje palce się wyprostowały, nie mogłem zaczerpnąć powietrza w płuca. Wstałem powoli i zmusiłem się do zaczerpnięcia tchu, a potem drugiego.

- Ojciec. Anton Chaigneau? - zasugerowałem. - Białe włosy, ciemna skóra, donośny głos?

JG pokiwała głową.

- To on zabrał cię ze szpitala?

Znowu przytaknęła.

- I wiedział, że będziesz w wieżowcu?

Po krótkim wahaniu skinęła głową po raz trzeci. Mieliśmy ochotę się roześmiać, ale doszliśmy do wniosku, że to byłby stanowczo za duży wysiłek. Ruszyłem ku drzwiom.

- Za chwileczkę wrócę - mruknąłem, otworzyłem je i wypadłem chwiejnym krokiem na schody.

Dotarłem na dół, kierując się dotykiem i instynktem. Penny podążała tuż za mną. Gdy wszedłem do środka, wszyscy Rajcy wstali z miejsc. Znalazłem stół, o który mogłem się oprzeć, i usiadłem przy nim, kryjąc głowę w dłoniach.

- Znajdźcie mi - warknąłem przez luki między palcami - kofeinę, aspirynę i psychotycznego przywódcę nienawidzącej magów organizacji znanej jako Zakon.

Rajcy się zawahali. Popatrzyłem na nich przez rozsunięte palce.

- Mówię naprawdę bardzo poważnie.

Penny dotarła już do podstawy schodów.

- Anton Chaigneau? - zapytała. - Ten religijny świr, który powiedział mi w pubie w Euston, że Oda ma konszachty z ciemnymi mocami? On jest... w to zamieszany?

- Tak, do cholery - jęknąłem. - Wszystko chyba zaczyna układać się w całość. Zakon, Plemię, Dwór, Wybrana, Oda... ehe, jestem już blisko rozwiązania całej sprawy.

- Matthew?

To nie był głos Penny. Bakker stał przy wózku z resztkami, marszcząc twarz w wyrazie głębokiego zatroskania.

- Co jest? - warknąłem i wzdrynąłem się, gdy wszyscy skierowali na mnie zaciekawione spojrzenia. - Kofeina - powtórzyłem. - Aspiryna. Psychotyczny świr. Pośpieszcie się, proszę.

- Matthew - powtórzył Bakker głębszym mroczniejszym głosem. - Musimy stąd zmiatać.

- No dobra, zaskocz mnie! - Łypnąłem na niego ze złością. - Dlaczego musimy akurat w tej chwili opuścić ten miły kulturalny lokal?

- Hmm, szefie? - wymamrotała Penny. Coś mi się zdaje, że mówisz do siebie.

Machnąłem ręką, każąc jej się zamknąć. Posłuchała mnie z oburzoną miną.

- Ktoś nas obserwuje - wyjaśnił Bakker. - W tej chwili. Ktoś widzi wszystko, co tu się dzieje.

- Nie czuję tego - sprzeciwiłem się. - Nie wykrywam żadnej sondy ani nic.

Mój dawny nauczyciel uniósł bez słowa rękę i wskazał na stertę leżących na barze czasopism. Coś w mojej piersi spróbowało opaść do kolan. Wstałem, poszedłem w tamtym

kierunku i uniosłem pierwsze z brzegu pismo.

Nagłówek na pierwszej stronie głosił:

Wieczna młodość - 10 bezcennych wskazówek!

Inne tytuły brzmiały następująco:

Mężczyźni - jak ich podniecać!

5 romantycznych miejsc na tanią wycieczkę.

Wyłączny wywiad z Królową Nocy!!

Pod tym ostatnim tytułem umieszczono zdjęcie kobiety. Jej twarz częściowo przesłaniał cienki biały welon, ale mimo to można było dojrzeć jasną jedwabistą skórę, roześmiane usta i błyszczące liliowe oczy. Patrzyłem na przedstawioną na okładce Lady Neon, a ona w jakiś niewytłumaczalny niezaprzeczalny sposób patrzyła na mnie.

Cisnąłem czasopismo z powrotem na stos, podszedłem do Penny i złapałem ją za rękaw.

- Idź po JG, zwiewamy stąd natychmiast...

- Ale...

- Ruszaj się!

Pobiegła na górę, pokonując po dwa stopnie przy każdym kroku, wpadła do pokoju JG i zatrzasnęła za sobą drzwi. Złapałem najbliższą z Rajców - kobietę wyglądającą jak Hinduska z tapety telefonu komórkowego - i powiedziałem jej:

- Zbliża się Neonowy Dwór. Musimy uciekać.

Miała wystarczająco wiele zdrowego rozsądku, by się przestraszyć. Pokiwała głową.

- Wezwę samochód.

- Nie próbuj mi mówić, że na nic się nie przydadę, Matthew - odezwał się od niechcenia Bakker, kiedy przycisnąłem nos do zaparowanego okna.

- Jasne, do tej chwili byłeś naprawdę rewelacyjny - warknąłem. - Serdeczne dzięki.

Wróciła Penny, ciągnąca za sobą JG oraz jej symboliczną strażniczkę. Dziewczyna milczała, skulona jak dziecko, które dało sobie spokój z próbami udawania dorosłej osoby. Inny Rajca otworzył drzwi restauracji, wypuszczając nas na zewnątrz. Wyszliśmy na dwór. Deszcz. Ta sama intensywna nieustanna ulewa, na którą natknęliśmy się w Sidcup. Mogłoby się zdawać, że lało przez całą wieczność. Deszcz padał na zniszczone kartonowe pudełka, na butwiejące liście kapusty oraz kości, których nawet szczury nie miały już siły ogryzać. Padał na czerwone łuki zamykające oba końce Gerrard Street, centrum Chinatown, spływał z nadproży domów w stylu georgiańskim przerobionych na restauracje, sklepy zielarskie, przychodnie akupunktury oraz mieszkania dla dziesiątków ludzi. Rajcy mieli na głowach

wielkie czarne kapelusze i nieśli parasole, osłaniające JG przed deszczem, jakby byli strażnikami otaczającymi kordonem przybywającego z wizytą przedstawiciela rządu. Przy remizie strażackiej czekał na nas czarny samochód z zapalonym silnikiem i przyciemnionymi szybami. Wiszący na budynku transparent głosił po angielsku i po kantońsku, że wykrywacze dymu są bardzo ważne.

- Skąd on wie, że... - zapytał jeden z Rajców drugiego, cicho, lecz nie wystarczająco cicho.

- Chodzi o czasopismo - warknąłem, zmierzając do samochodu. - Na okładce było zdjęcie Lady Neon. Neonowy Dwór może prowadzić obserwację za pośrednictwem każdej podobizny któregoś z jego członków. Zna pan takie powiedzenie: „Oczy ze zdjęcia śledziły mnie po całym pokoju”. To właśnie coś w tym rodzaju.

Dotarliśmy do samochodu i nagłym szarpnięciem otworzyliśmy drzwi. Kierowca był profesjonalnym szoferem, o czym świadczyła czapka z daszkiem i miękkie białe rękawiczki. Oczy miał otwarte, a usta rozdziawione. W ich kąciку zbierała się ślina. Zamarł w bezruchu, wpatrzony w pustkę, zaciskając palce na kierownicy. Czuliśmy bijącą od niego woń magii, nie intensywny dławiący zapach Zaciemnienia, ale coś lżejszego, radośniejszego i bez porównania bardziej przekonującego. Jasne światła Shaftesbury Avenue padały z dachów nad drzwiami teatrów i oknami kin na puste senne ulice. Na piętrowe autobusy, znieruchomiałe z powodu paraliżu woli, na klientów restauracji, śpiących z twarzami w zupie, na przesypujące się puszki na śmieci i na nieruchome milczące twarze gwiazd Bollywoodu, zdobiące ciemne okna sklepów wideo. Tańczyły na zasuniętych żaluzjach kantoru wymiany, na których ktoś napisał jaskrawozieloną farbą:

TOXIK TU BYŁ.

Farba spływała jeszcze w dół, świeża i wilgotna, mieszając się z deszczówką.

Światła padały też na pięć długich limuzyn stojących pośrodku ulicy. Ich rząd sięgał prawie za róg. Trzy były czarne, środkowa biała, a pierwsza różowa. Jej drzwi otworzyły się na moich oczach i wysiadła z nich jakaś dziewczyna. Miała blond włosy posplatane w warkoczyki, a jej strój ograniczał się do dwóch pasków tkaniny umieszczonych w miejscach, które policja zalecała zakrywać. Popatrzyła na nas i zachichotała, unosząc lewą dłoń do ust, jakby cały czas musiała walczyć z nałogiem obgryzania paznokci.

- Pan Burmistrz? - zapytała. - Moja pani nie jest z pana zbyt zadowolona.

Cofnąłem się do Penny i JG. Otworzyły się kolejne drzwi. Wyglądało na to, że w limuzynach może się zmieścić zaskakująco wielu ludzi. Byli uzbrojeni i żaden z nich nie wyglądał na zadowolonego.

- Hej, wy dwie? - wyszeptalem.

- Tak?

- Kiedy będziecie uciekały, a, tak jest, to właśnie będziemy musieli zrobić, nie kierujcie się do Soho ani na Leicester Square. Jeśli to zrobicie, połkną was jak szczenię herbatniki.

- Co to za ludzie? - zapytała JG.

- Neonowy Dwór - odpowiedziałem. - Myślą, że jesteś wybraną.

- Hę? Nie pierdol. Wybraną do czego?

- Och, masz zakończyć wojnę, rozpocząć wojnę, być wojną. Jeden Bóg to wie. Nie jesteś nią, jeśli to cię pociesza. Aczkolwiek... - Wyszczrzyliśmy zęby w niezdrowym znużonym uśmiechu zanurzonego w ludzkim smrodzie. - W pewnym sensie nią jesteś. Filozofia nie jest prosta.

Otworzyły się białe drzwi białej limuzyny.

Wysunął się z nich biały bucik, częściowo zakryty białym jedwabnym rąbkiem. Za nim podążyła reszta białego ciała. Woalka Lady Neon zakołysała się na wietrze. Z samochodów wysiadły dziesiątki poddanych i nawet kilku daimyów ze srebrnymi łańcuchami na szyjach. Wszyscy patrzyli na nas. Zasłoniłem JG ciałem i postąpiłem krok w stronę tłumu, prezentując swój najbardziej czarujący uśmiech dentysty.

Ku naszemu zaskoczeniu Lady Neon ruszyła ku nam sama. Podeszliśmy do niej i zatrzymaliśmy się naprzeciwko siebie na ulicy, w połowie drogi między Rajcami a Dworem. Czułem wodę w podziemnych rurach, zapach elektryczności w przewodach na górze, smak szkła i żar gazu gotowego zapłonąć.

Zatrzymaliśmy się bliżej siebie niż na odległość wyciągniętej ręki.

Nic się nie wydarzyło.

Nie było gołębi ani szczurów.

Oblizalem wargi.

- Theydon nie żyje.

Przechyliła lekko głowę, jak ktoś, kto próbuje sobie przypomnieć usłyszane imię. Nawet jeśli jej się to udało, nie przejęła się jego losem.

- Wykorzystano was - dodałem. - Cały ten interes z wybraną to podstęp. Nie ma żadnej wybranej. Nigdy nie było. Wymyślono ją po to, by sprowokować wojnę między wami a Plemieniem. Padliście ofiarą manipulacji. Weszliście prosto w pułapkę. Hura. Ale pani to pewnie nie robi żadnej różnicy, prawda?

Milczała. Po chwili uniosła nagle ruchem woalkę.

Zakłęcie uderzyło nas tak mocno, że aż poczuliśmy ból, jego palce wniknęły do naszego brzucha i zamknęły się, jakby wyciskały sok z cytryny. Oczy zaszyły nam łzami, uszy wypełnił szum krwi, żyły w głowie zapulsowały boleśnie. Powtarzało: *Piękna, piękna, piękna...*

...a także coś znacznie więcej. Tak wspaniale piękno nie mogłoby uczynić nic złego, z takiej twarzy nie mogłoby płynąć nic poza doskonałością, to była uroda omijająca wszystkie zmysły i wnikająca prosto do tej nieznannej iskry duszy, która przemawia bez słów. Zakłęcie wbijało haczyki w moją skórę, wplątywało się we włosy, skapywało nektar na nasz język, kropla po kropli. Musiałem zebrać całą siłę swego oddechu, każdą cząsteczkę powietrza, jakie miałem w płucach, by wydusić z siebie, słowo po słowie:

- Tylko... bez... głupich... sztuczek...

Uśmiechnęła się i potęga tego gestu, jego czysta niewinna figlarność, zawarte w nim zaproszenie i oferta, niemalże zwały nas z nóg.

- Dość tego! - warknęliśmy. - Nie jesteśmy... nie jesteśmy tylko ciałem... nie tylko...

Uśmiechnęła się szerzej. Zaczęła się śmiać. W naszych oczach zapłonął szafirowy ogień.

- Jeszcze jedno zakłęcie - warknęliśmy - jeszcze jedna próba wprowadzenia magii w naszą skórę, a nauczymy pani krew palić się jak ropa.

Jej uśmiech się skrzył, liliowe oczy były pełne czegoś więcej niż życie, historii, których nie można było opowiadać na głos, uczuć, do wyrażenia których język nie posiadał jeszcze narzędzi. Ale się nie śmiała. Już nie. Pokłoniła mi się lekko i, pochylając głowę, zasłoniła z powrotem twarz. Przypomnieliśmy sobie, jak się oddycha. Wyprostowała się powoli, krzyżując ręce przed sobą jak kapłan zamierzający udzielić błogosławieństwa.

- Wie pan, co to znaczy być wybranym? - zapytała. Jej głos unosił się lekko w pustym powietrzu.

- Brać od wszystkich po dupie - odpowiedziałem.

Na osłoniętej woalką twarzy pojawił się cień czegoś, co wyglądało jak autentyczna wesołość, o ile można było twierdzić, że cokolwiek w tym stworzeniu dotknęło prawdy choćby małym palcem.

- Pan również nim jest. Niebieskie elektryczne anioły wybrały pana na śmiertelną powłokę dla swojego umysłu. Wybrał pana również Nocny Burmistrz. A potem ja. Nie pytaliśmy pana o zdanie. Nie interesowała nas pana opinia. Nie miało znaczenia, czy pragnął pan którejkolwiek z tych rzeczy. Tylko nasze pragnienia się liczyły. Nie mógł pan uciec ani skutecznie się opierać. Ta dziewczyna, która się za panem ukrywa, mogła zostać wybrana

przez wyższą moc. Być może jakiś bóg spoglądający na nas z góry ogłosił nadejście dni ostatnich. Ja jednak nie sądzę, by tak było. A nawet gdybym dała się przekonać, że ona nie jest wybraną, Plemię wierzy, że nią jest, i ów fakt czyni to prawdą. Wybrali ją na powód do wojny. Muszę ją zdobyć, ponieważ jest przyczyną i sercem tego konfliktu, kryjącą się za nią tajemnicą. Choćby po to, by odebrać jej życie i w ten sposób położyć kres tajemnicy. Być może to właśnie zawsze było jej celem. Wybrano ją po to, by zginęła tylko dlatego, że znajdzie się w nieodpowiednim miejscu. Niemniej jednak, musi zginąć.

- A co daje pani prawo, by o tym decydować? - zapytałem.

Jej śmiech brzmiał jak brzęk tłuczonego szkła. Poruszyła lekko palcami, wskazując tym prostym gestem otaczających ją ludzi.

- Wola i możliwości, mój piękny niebieski ogniu. Wola i możliwości to wszystko, co składa się na władzę.

Skinąłem lekko głową, a potem uniosłem ją, kierując twarz ku górze, by pochwycić deszcz. Zauważyłem, że coś się porusza wzdłuż linii rynien na dachach pobliskich budynków. Stare, pełne ongiś godności domy sąsiadowały z nowszymi budynkami z cegły i stali. Czas, handel i katastrofa połączyły się w jedną całość. W powietrzu nadal unosiły się wyblakłe echa odległego ruchu ulicznego oraz radosnych pijackich krzyków, pomieszane z wonią gotowanego ryżu. Nawet padający nieustannie deszcz Zaciemnienia nie był w stanie usunąć śladu magii przylepionego do chodników na Shaftesbury Avenue na podobieństwo rozdeptanej gumy do żucia. Słowa napisane zieloną farbą na żaluzji sklepu za plecami Lady Neon były już ledwie czytelne.

TOXIK TU

- Jak to wszystko się zaczęło? - zapytałem. - Wasz konflikt z Plemieniem? Jak to się naprawdę zaczęło?

Lady Neon zastanawiała się przez chwilę nad tym pytaniem.

- To chyba już nie ma znaczenia - odparła wreszcie.

Wśród kominów pojawiła się jakaś pokraczna sylwetka.

- A niech to - mruknąłem, nie odrywając spojrzenia od ciemnej, zlewanej deszczem linii dachów. - To banalne, co?

Na moment ogarnęło mnie zwątpienie. To był tylko cień, jakby świecąca żarówkę przesunięto za rozciągniętym drutem, dostrzegłem go jednak wyraźnie. Spojrzenie Lady Neon powędrowało w stronę dachu. Nie ulegało wątpliwości, że ona również to zauważyła. Na krótką chwilę dostrzegłem w niej coś małego, realnego i śmiertelnego.

- Zabij ją - odezwał się Bakker. - Natychmiast.

Poczuliśmy ogień napływający do naszych palców.

- Zrób to, Matthew. To twoja jedyna szansa. Zrób to i zakończ sprawę!

Zwróciła powoli głowę ku nam. Strach. Nikt inny nie potrafiłby go wyczuć, ale on tam był. Lepki strach przylegający do jej nieskazitelnej skóry. Potem spojrzała na nasze palce i dostrzegła w nich płomień. Napreżyła mięśnie.

- Zdrada? - wyszeptała.

Bakker stał obok niej, spoglądając na dach. Pokręciłem lekko głową i zacisnąłem pięści, aż wreszcie krew odpłynęła w głąb, zabierając ze sobą ogień.

- Więcej ludzi zginie przez twoją bierność niż ocaleje dzięki niej - stwierdził z westchnieniem Bakker.

Z rogu ulicy dobiegł czyjś głos.

Należał do mężczyzny stojącego przy wejściu do pobliskiego kina. Jego twarz w połowie skrywały cienie, plecy miał zgarbione i przechylał się w bok. Jego słowom towarzyszył nagły rozbłysk światła zapalki, który szybko przeszedł w deszczu w pomarańczowy ogienek papierosa.

- Jeśli oddasz jej wybranom, zabijemy cie - oznajmił.

Moje spojrzenie powędrowało z powrotem na dach. Tak jest, stali tam. Były ich dziesiątki, może nawet więcej. Wysuwali się z cieni. Ludzie, byli ludzie albo ludzie, którzy amputowali sobie wszelkie zewnętrzne cechy człowieczeństwa, licząc na to, że gdy utracą ludzki wygląd, uwolnią się od obowiązujących ich gatunek zasad. Niektórym udało się osiągnąć ten cel. Widziałem mężczyzn schodzących po ceglanych murach, jakby byli zwiadowcami armii mrówek, oraz kobiety, które przycupnęły jak nietoperze na parapetach, gotowe skoczyć do ataku. Wojownicy Plemienia cuchnęli dusznymi podziemnymi przestrzeniami, żelazem, krwią i całą wiążącą się z nimi magią. Zgodnie z zapowiedzią, zjawili się tłumnie, by zagarnąć łup.

Toxik, szaman ich wszystkich, stał samotnie przy wejściu do kina, paląc papierosa.

- Słyszałeś wszystko, co mówiłem?! - zawołałem do niego. - Wykorzystano was!

Wyjął z okaleczonych warg papierosa trzymanego w dwóch palcach składających się raczej z kości niż z ciała i w powolnym wydechu wypuścił z ust gęsty obłok niebieskoszarego dymu.

- Ehe - potwierdził - słyszałem, ale jeśli istnieje wybrana i nie my żeśmy jom wybrali, to znaczy, że jest z nas banda frajeruf, tak?

Poczułem, że Penny otuliła się mocą. Ulicę wypełnił ostry roziskrzony smak jej magii. Rajcy milczeli, skupieni wokół nieruchomego samochodu. Cienie obracały się u ich stóp i

usłyszałem...

nigdy niecichnący łoskot autobusu

trajkotanie ten język tamten język trajkocze trajkocze patrz! zjedź mi z drogi, kto go uczył jeździć?

Powiedziałem dwie za jedną dwie za jedną

przepraszam, którą na Piccadilly Circus?

Wiesz co, Matthew? Nasuwa mi się myśl, że nie rozumiesz w pełni potencjału mocy Nocnego Burmistrza.

A gdybym przymknął powieki, mógłbym też usłyszeć...

pięć funtów kolego to bardzo tanio

spróbujesz następnym razem?

Taxi! Taxi!

Jestem pierdolonym Nocnym Burmistrem, mistycznym obrońcą miasta!

Otworzyłem oczy. Wszyscy patrzyli na mnie. Plemię, Dwór, Rajcy. Poczulem paskudny smród. Spojrzałem w dół. U moich stóp czarna smoła używana do łątania dziur w nawierzchni topiła się z sykiem, buchając kłębami dymu. Popatrzyłem na ręce. Nasze paznokcie stały się czarnymi pazurami o nienaturalnej długości. Spojrzałem na Lady Neon. Cofnęła się o krok. Zerknąłem na Toxika. Zaciągnął się z drzeniem. Potem odwróciłem głowę w bok, w stronę Penny. Jej oczy błyszczały. Ze wszystkich tu obecnych tylko ona nie okazywała strachu. Uśmiechnąłem się, spojrzałem na Lady Neon, a potem na Toxika, zwróciłem się ku przedstawicielom Dworu i Plemienia, a na koniec wzruszyłem ramionami.

- Wiecie co? - zacząłem. Nasz głos nie był nasz, ociekał nutami miejskiego smoka, rozszczępiał koniuszek naszego języka. - Macie stuprocentową rację. W dupę z tym wszystkim. Mam teraz na głowie ważniejsze zmartwienia niż to, co zrobicie z głupim dzieciakiem z Sidcup. Jezu, dzisiejszej nocy pięć milionów ludzi umrze wyłącznie dlatego, że poczucie perspektywy nabyłem w dyskontowym sklepie nieopodal Dalston Lane. Proszę bardzo! - Podeszedłem do JG, złapałem ją za ramiona i wypchnąłem na środek ulicy. - No jazda! To jest wasza wybrana! Możecie sobie urządzić krwawą łaźnię z jej powodu, a ja tymczasem pójdę spowodować wschód słońca. Do roboty!

Zawahali się. Nikt z nich nie wiedział, co o tym sądzić.

- Chciałbym jednak dodać - podjąłem, nim czar prysnął, czy może nim JG zdążyła odgryźć mi rękę - żebyście sobie nie pomyśleli, że nie jestem profesjonalistą, gdy chodzi o takie sprawy, patrzcie pod nogi.

Wszyscy spuścili wzrok.

Być może na krótką chwilę każdy z obecnych na ulicy, od okaleczonego dzieciaka, który myślał, że droga do doskonałości wiedzie przez odcięcie wszystkiego, co jest złe, aż po ześwirowaną kobietę, która sądziła, że bycie sobą jest mniej warte od bycia kimś innym, być może na krótką chwilę wszyscy oni usłyszeli...

kroki kroki kroki tysiące nóg uderzających o kamienne płyty o asfalt o bruk o błoto o ziemię o pył o piasek o skórę o żelazo o plastik o gumę o

zgubiłem drogę zgubiłem przepraszam czy możecie mi pomóc?

spóźniłeś się na przedstawienie

na północ do cambridge circus na południe do piccadilly

i asfalt zaczął pękać

flesz kamery!

ja tylko chcę wrócić do domu

czekasz cały dzień w potem pięć przyjeżdża jeden po drugim

czy widziałeś

szuka drogi

idzie szybko powoli w górę w dół do tyłu do przodu późno tutaj teraz wtedy nadchodzi odchodzi nadchodzi odchodzi nadchodzi odchodzi pomiędzy nadchodzi odchodzi i

asfalt zaczął pękać, pojawiły się w nim czarne rozpadliny i usłyszeliśmy

zawodzenie syreny wozu strażackiego

jeszcze jedna cholerna czarna dziura

czy to była kawa czy herbata?

powiedziałem w lewo ty idioto

przepraszam którą do...?

Pojawiły się palce, każdy z nich był widmowym ostrzem, cienkim jak szept wyłaniający się ze szczelin. Za palcami podążyły patykowate kończyny, wszystkie wyrastające z ciał nie grubszych niż pęknięcia w ziemi, rozciągniętych jak czas i wspomnienia. Wypełzały z ziemi i ożywały, cienie, szepty i wspomnienia wyłaniały się z cegieł, wysuwały z okien, wypadały z rynsztoków i wylaziły, jeden staw po drugim, z luk między płytami chodnikowymi. Były ich setki, tysiące, a w krótkiej chwili zjawiły się tysiące tysięcy, ale nadal nie przestawały nadchodzić, ich dotyk był zimnym wiatrem dmącym od rzeki i mówiły choć nie miały ust, czarne puste przestrzenie mamrotały cicho, ale ich połączone głosy były ogłuszające, wszechobecne, niepowstrzymane, brzmiały tak głośno, że słyszeliśmy wyłącznie

Odgłos hamowania silnikiem

Padający deszcz

Stukot stóp uderzających o kamień

Świst otwieranego parasola

Dzwoniący telefon

Halo?

Którędy do?

Czy widziałeś...?

Zgubiłem...

Czy daleko do...?

Wspomnienia ulicy wciąż wylażyły z mroku i nie przestawały mówić, wyciągając ręce do wszystkich daimyów i szamanów, wszystkich poddanych i pełzających wojowników Plemienia, błagały ich i schlebowały im, szepcząc im do ucha cichymi głosikami, które niszczyły bębni i docierały wprost do mózgu, nawet się nie kłopotując poruszaniem powietrza, a w tej samej chwili, gdy ulica wypełniła się cieniami tak gęsto, że nie sposób było nic za nimi zobaczyć, złapałem JG za rękę i rzuciłem się do ucieczki.

Chaos byłby zbyt łagodnym określeniem na to, co się tam działo.

Zbyt wiele, zbyt wiele informacji zalewającej zmysły, nie mogliśmy nic zobaczyć, ponieważ widzieliśmy za dużo, nie byliśmy w stanie nic usłyszeć, bo zbyt wiele słyszeliśmy. Zgięliśmy się wpół i przedzieraliśmy się głową naprzód przez tysiąc tysięcy cieni nadal wypełzających z ulicy poprzędzywanej teraz rozpadlinami tak szerokimi i głębokimi, że widzieliśmy pękające rury, zrywające się kable, beton, gruz, błoto i brukowce, a głęboko na dole kolejne warstwy kości pogrzebanych pod ulicą. Szarpały nas palcami z pary i pyłu, próbowały wypełnić nam głowę swymi słowami, wcisnąć się do środka przez uszy i usta, były wszędzie, łapały za nogi próbujących uciekać poddanych, ściągaly ubrania z wojowników Plemienia, wszędzie rozkwitała magia, nieobliczalna, przyprawiająca o zawrót głowy, niekontrolowana nieświadoma magia, która próbowała rozproszyć cienie, ale nie napotykała nic bardziej dotykającego niż nieco za dużo czasu. Tam, gdzie światła jeszcze się paliły, widziałem Rajców, czy może nie Rajców, stworzenia, które mogły nimi być, pełne szaleństwa czerwone oczy, a na plecach skrzydła z czarnej, złożonej w fałdy nicości, zbyt wielkie i głębokie, by mogły się kiedykolwiek skończyć, sięgające niemal dachów, zęby obrócone w kły, a palce w szpony. Ujrzałem też Penny, powietrze wokół niej gorzało oślepiającym ogniem. Zadaliśmy sobie pytanie, co ona widzi, spoglądając na nas, a potem pochyliśmy się, gdy szyby w oknach nad nami eksplodowały na zewnątrz jak mydlane bańki pod wpływem ciśnienia i odłamki szkła posypały się na ulicę, za tym wszystkim dostrzegalem

Toxika, który uciekał ulicą, zasłaniając uszy dłońmi i przymykając oczy, podczas gdy szkło tłukło się i rozpryskiwało wokół niego, przecinając ubranie i skórę. Tym jednak z pewnością się nie przejmował.

- Penny! - zawołałem.

Odwróciła się i zobaczyłem, że drut kolczasty wyrasta z gruntu wokół niej niczym bluszcz. Włosy stanęły jej dęba od ładunków elektrycznych, a wokół palców owijał się płonący niebiesko-żółtym ogniem gaz.

- Nie tym razem! - zawołała do mnie. - Nie dzisiejszej nocy!

Próbowałem zawołać do niej coś jeszcze, ale po prawej od czarnej metalowej rynny biegnącej po czarnym brudnym murze oderwała się nagle jakaś postać, która obróciła się w powietrzu i wylądowała na czterech kończynach niczym lampart. W skórę twarzy i dłoni mężczyzny wbito liczne krótkie metalowe rurki. Wydał z siebie zwierzęcy odgłos, niemający nic wspólnego z żadnym ludzkim uczuciem, i skoczył ku JG, unosząc pięści. Dziewczyna osłoniła głowę dłońmi, a my rzuciliśmy się do ataku, złapaliśmy go w locie i obaliliśmy na ziemię. Udało mi się kopnąć go w brzuch i przez chwilę widziałem tylko szalone przekrwione oczy oraz połamane zęby odsłonięte w gniewnym grymasie. Potem cofnęliśmy rękę i uderzyliśmy go otwartą dłonią między oczy. Posypały się z nich iskry, a biały roztańczony płomień odpłynął do ziemi przez jego ciało. Osunął się na chodnik, spod jego ciała buchnęła para, a ja złapałem JG i wyciągnąłem ją na ulicę. Poczulem, że za mną zapłonął ogień, karmiony paliwem wyciąganym z rur biegnących pod ziemią. Popchnąłem dziewczynę pod najbliższą ścianę, gdy jezdnia się rozszczepiła i płonący gaz buchnął w górę niczym język żaby, sięgający do nóg ludzi i kół samochodów. Garść płomienia wniknęła do wnętrza silnika, sprawiła, że włączył się na biegu jałowym, jęknął i eksplodował, syjąc odłamkami na wszystkie strony. Przycisnąłem się mocno do JG. O mur uderzyły odłamki szkła i metalu. Tuż obok mojego ucha w ścianę wbiła się połowa bocznego lusterka. Przedmiot chwiał się jeszcze, syjąc odłamkami plastiku i szkła. Po chodniku toczyła się para podskakujących kostek, maskotek z samochodu, które zatrzymały tuż przy moich stopach. Zaczekałem, aż najgorsze minie, a potem złapałem JG za ramię i znowu rzuciłem się do ucieczki. Cienie przesuwwały się pod naszymi stopami. Ujrzałem przed sobą światła Cambridge Circus, poczułem smak starszej głębszej magii leżącego na południe stąd Covent Garden. Mroczniejsze zakłęcia przeznaczone dla węższych uliczek, różniące się od głośniejszej olśniewającej magii Soho. JG zachwiała się i potknęła. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem leżącą w rynsztoku kobietę odzianą w strój stanowczo za skąpy na tę pogodę. Jej fryzura składała się ze sterczących niebieskich kolców. Kobieta złapała JG za kostkę. Namalowane na

jej paznokciach zielone węże zmieniły się w małe żywe robaki, które przełaziły na nogę JG, owijając się wokół niej.

- Utnij jej rękę! - wyszeptał mi Bakker prosto do ucha.

Złapaliśmy kobietę za niebieskie kolce włosów i pociągnęliśmy w górę z taką siłą, że wyglądało na to, że jej plecy nie będą się już mogły bardziej wygiąć. JG szamotała się i wierzgała, aż wreszcie zdołała się uwolnić. Wtedy walnęliśmy głową kobiety w szarą nawierzchnię ulicy tak mocno, jak tylko się odważyliśmy. Oklapła, a węże wycofały się natychmiast, wracając na jej paznokcie. Próbujące uniemożliwić JG ucieczkę stworzenia podrapały jej nogę i dziewczyna utykała, nie odzywając się ani słowem, gdy ciągnąłem ją za sobą. Cambridge Circus: teatr, potężne ściany pełne nagich żółtych żarówek, syczących i skwierczących w lejącym deszczu, wąskie budynki na trójkątnych rogach krętych uliczek wychodzących na to, co nie do końca było rondem, bary i puby, banki, długi pasaż z czerwonej cegły, w którym mieściły się senne sklepy oferujące na sprzedaż futrzane czapki, wymyślne pamiątki i porcelanowe miniatury Big Bena, antykwariaty z książkami po angielsku, po łacinie, francusku, niemiecku, holendersku, w suahili, sanskrycie, hindi i starożytnej grece, sklepy muzyczne o wystawach pełnych błyszczących instrumentów blaszanych i pięknie odnowionych gitar. Było tu życie, bardzo wiele życia, jeśli tylko ktoś wiedział, co z nim zrobić.

Z tyłu usłyszałem kolejną eksplozję. Po niej nastąpił dźwięk, który niemalże wbił w ziemię wszystko wokół. Odważyłem się spojrzeć za siebie i na moment, w luce w skłębionym morzu ciemności i światła poruszającym wszystkim dookoła, ujrzałem Penny. Jej skórę pokrywał gruby pancerz z szarego betonu. Uderzyła pięścią o wzmocnioną stalą kostkach w szklaną klingę daimyo. Potem minęliśmy róg i wpadliśmy w wąską uliczkę. Odgłosy walki stłumiły ściany otaczających nas ciasno z obu stron budynków, pojemniki na śmieci, oraz sklepy oferujące paciorki, wełnę i organiczną żywność po absurdalnych cenach. Nasze stopy rozpryskiwały rosnące z każdą chwilą kałuże, wokół nas brzęczało i buczało światło. Zdołaliśmy pokonać pięćdziesiąt jardów, zanim JG, krwawiąca z ranionej nogi, pośliznęła się, a potem opadła na ręce i kolana. Próbowałem ją podnieść, ale była zupełnie bezwładna, gorąca i piekąca w dotyku.

- Nie mogę ich powstrzymać nie mogę ich powstrzymać słyszę słyszę... - jęczała, łapiąc się obiema rękami za głowę.

Coś się poruszyło na końcu ulicy za nami, jakiś błysk w ciemności, za szybki, bym mógł go zidentyfikować. Złapałem JG za ręce i odciągnąłem je od jej głowy.

- Spójrz na mnie! - wysyczałem.

Wykonała polecenie. Białka jej oczu przybrały mętną barwę skłębionego dymu. Potrząsnąłem nią delikatnie.

- Jabuile Ajaja - ciągnąłem - siostrze czarnoksiężnika, natychmiast wstaniesz, będziesz żyła i staniesz się kimś znacznie więcej, rozumiesz?

Pokiwała obojętnie głową i pozwoliła, bym ją podniósł na nogi. Przerzuciła mi rękę przez plecy i pół poszła, pół dała się ponieść do końca wąskiej uliczki. Był tam kolejny teatr, głęboko schowany wśród innych budynków. Na ścianach wisiały zdjęcia mężczyzn w garniturach oraz kobiet w sukniach w kwiaty. Twarze tych pierwszych wyrażały szok, tych drugich zaś zachwyty. Przede mną był sklep o wielkich jasno oświetlonych wystawach. Na ciemnym tle stały figurki z różdżkami, pistoletami, karabinami, a niekiedy nawet sonicznymi śrubokrętami. W tylnych szeregach umieszczono obcych, demony, krzyczące skapo odziane kobiety oraz bliżej nieokreślone potwory z mackami. Na barach z zaciemnionymi oknami wisiały plakaty zachęcające wesole i dziarskie młode kobiety, by zostały hostessami w najlepiej płacącym klubie w całym Londynie; natomiast na restauracjach umieszczono jadłospisy proponujące ślimaki w sosie czosnkowym albo na liściach sałaty za jedne 8,50 funta.

Nie słyszałem już hałasu bitwy, ale głosy nadal były słyszalne, tysiące głosów, palce próbujące się wydostać ze ścian, twarze usiłujące się wyłonić z cieni. Zobaczyłem przed sobą jasne niebieskie światło na złotym tle, ruszyłem w tamtą stronę, pośliznąłem się na brzegu głębokiej kałuży, która utworzyła się wokół głębokiej studzienki, i omal nie upuściłem JG na stopnie wysokiej, ongiś białej kolumny ustawionej pośrodku ronda dzieciennych rozmiarów. Na jej szczycie umieszczono siedem różnych powierzchni pomalowanych złotą i niebieską farbą. Każdą z nich ozdobił piękny, lecz zupełnie bezużyteczny zegar słoneczny. Rozejrzałem się wkoło, naliczyłem siedem ulic biegnących w siedmiu różnych kierunkach, a potem przycisnąłem głowę do zimnych kamiennych stopni, by przez chwilę pooddychać w spokoju.

- Dokąd zamierzasz uciekać? - zapytał Bakker.

Uniosłem powoli głowę, poruszając kolejno każdym kręgiem. Mój dawny nauczyciel siedział swobodnie obok mnie, patrząc na ulicę, którą tu przyszedliśmy. Pod szyją miał białą serwetkę, a w jednej ręce trzymał białego krakersa z odrobiną białej śmietanki i różowego łososia. Pożarł go za jednym zamachem, drugą ręką osłaniając nogi przed okruszkami. Przymknął z westchnieniem oczy, wykazując wszelkie objawy przyjemności, a potem oblizał wargi ostrym koniuszkiem języka.

JG leżała obok niego, dysząc ciężko. Czuję w niej teraz smak magii, widziałem jej migotliwy blask w otaczającym dziewczynę powietrzu, jakby ktoś próbował zapalić

zapalniczkę na wietrze. Była mokra i drżała z zimna.

- Wszystko z tobą w porządku? - zapytałem, przysuwając się bliżej.

Uniosła wzrok. Czulem w niej teraz smak magii, widziałem jej migotliwy blask w otaczającym dziewczynę powietrzu, jakby ktoś próbował zapalić zapalniczkę na wietrze.

- Coś się zbliża - wydyszała.

- Co ty powiesz?

- Hej, popatrz - odezwał się z westchnieniem Bakker. - Młodsza siostrzyczka Ody również posiada niektóre z mniej świętych cech ich starszego brata. Cóż za rodzinka!

- Musimy stąd iść - wyszeptalem.

- Dokąd?

Otworzyłem usta, ale zorientowałem się, że nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

- Hej, popatrz! - dodał Bakker z przyprawiającą o mdłości słodyczą w głosie. - Światła gasną!

Wyprostował długi biały palec i wskazał na ulicę, którą tu przyszliśmy. Skierowałem tam spojrzenie. Nad sklepem sprzedającym składane akcesoria dla rycerzy Jedi różowe sodowe światło latarni ulicznej zamigotało z cichym brzęczeniem, a potem zapadło się do punktu i zgasło. Po nim następne. I jeszcze następne.

Nie ruszyłem się z miejsca. Nie próbowałem uciekać.

- JG? - wyszeptalem.

- Tak? - wydyszała.

- Tylko ty możesz nas uratować. Tylko ciebie Oda zna i kocha. Jesteś jedynym, co wiąże ją z człowieczeństwem, jedynym, co może ją przywołać z powrotem. Rozumiesz?

- Nie - jęknęła. - Nic z tego nie rozumiem.

Ująłem dłonie dziewczyny i spojrzałem jej prosto w oczy. Drżała z zimna i strachu.

- Jabuile Ajaja - wydyszałem. - Jesteś zapewne najbardziej ludzką istotą, jaka pozostała w tej części miasta.

Omali się nie uśmiechnęła, choć sprawiała wrażenie, że nie wie, co ją do tego skłoniło. Otarłem wodę z oczu i spróbowałem wstać, ale okazało się, że ktoś zastąpił kości w moim ciele gumą. Oparłem się o zimny wilgotny kamień obelisku Seven Dials i zmusiłem się do oddychania, patrząc na zbliżającą się ciemność.

- Proszę! - zawołałem radośnie. - Czy to nie nasz stary...

Coś musnęło z boku moją szyję.

Coś ciepłego.

Coś znajomego.

Spróbowałem odwrócić głowę, by sprawdzić, co to, ale nie byłem w stanie tego zrobić. Spróbowałem rozcapierzyć palce, poruszyć nogami albo coś powiedzieć, lecz to również okazało się niemożliwe.

Poczułem oddech wnikający do mojego ucha. Usłyszałem ciche westchnienie. A potem szelest jedwabiu. Bakker wstał. Zaplótł ręce i miał poważną twarz.

Przede mną pojawiła się Lady Neon.

Uśmiechała się. (Strzeż się jej fioletowego pocałunku).

Twarcz miała odsłoniętą, a szminkę na ustach rozmazaną. Zastanawiałem się, czy znajdę jej ślad na szyi, jeśli będzie mi jeszcze dane zobaczyć to miejsce. Lady Neon zerknęła na mnie, ale zaraz straciła zainteresowanie i przeniosła spojrzenie na JG. Dziewczyna próbowała się od niej odczołgać, poruszając niezgrabnie kończynami jak wyrzucona na brzeg rozgwiazda.

- Nie masz się czego obawiać - zapewniła ją Lady Neon. - Jesteś wybraną. Obronimy cię.

Wyciągnęła rękę. JG się zawahała. Spróbowałem krzyknąć. Wściekaliśmy się i szarpaliśmy gwałtownie, starając się wyciągnąć rękę do dziewczyny, złapać ją, potrząsnąć nią i kazać jej zwiewać. Nic z tego.

- Możesz z tym walczyć, Matthew - wydyszał nam do ucha Bakker. - Pocałunek Lady Neon każdego podporządkuje jej woli, ale nie może cię powstrzymać na zawsze. Ta magia jest równie płytka i fałszywa jak jej twórczyni!

JG wsunęła palce w dłoń Lady Neon, a potem wstała, nie odrywając spojrzenia od liliowego uśmiechu obleczonej w biel kobiety. Lady Neon ujęła obie jej dłonie, jakby miała do czynienia z dzieckiem prowadzonym do pierwszego tańca. Otrząsnęliśmy się, zdołaliśmy poczuć smak śliny na ustach, wycisnęliśmy powietrze z płuc, wydaliśmy z siebie cichy dźwięk, zaledwie sylabę, a nawet ten wysiłek omal nie obalił nas na ziemię. U naszych stóp otworzyła się gorąca ciemna czeluść. Na ulicy przed nami zgasły już niemal wszystkie światła. Gasły też na sąsiednich ulicach, otaczając zaciskającym się kręgiem plamkę światła pod Seven Dials.

Lady Neon zaczęła się oddalać, prowadząc za sobą JG. Dziewczyna nie stawiała oporu.

- Ruszaj się! - ryknął Bakker. - No jazda! Jesteś Nocnym Burmistrzem! Jesteś niebieskimi elektrycznymi aniołami, jesteś bogami chodzącymi po ziemi, mocą, która stała się ciałem, jesteś gniewem i światłem! Do roboty!

Poczułem, że moja lewa dłoń się poruszyła, leciutko, tylko o pół cala. Spróbowałem

wepchnąć w nią moc, moje palce się rozsunęły, jakby skóra na nich była suchą gliną, poczułem zapach ozonu oraz syk mocy w powietrzu. Z głębi gardła zdołaliśmy wydusić cichutki szept.

- JG...

Nie obejrzała się na nas.

Wtem z ciemności wypadło coś szybkiego i twardego, uderzając Lady Neon w bark. Zachwiała się, wypuszczając na moment dłonie JG, i spojrzała na przedmiot, który w nią trafił. To była połówka cegły. Kobieta obróciła głowę, powoli i z niedowierzaniem, by przyjrzeć się jedwabnej tkaninie w miejscu uderzenia. Na nieskazitelnej powierzchni pojawiło się maleńkie rozdarcie, czerwieniejące stopniowo od krwi. Lady Neon odwróciła się, spoglądając na tego, kto rzucił cegłę. Pomknęła ku niej druga, ale kobieta uchyliła się, z łatwością unikając uderzenia. JG zamrugnęła. Zakłęcie zaczęło tracić moc. Dziewczyna wyrwała się i oddaliła chwiejnym krokiem. Potem rozejrzała się wkoło i zauważyła, że ciemność otacza naszą wysepkę światła ze wszystkich stron, czając się na skraju placu. Umilkły wszystkie dźwięki poza szumem deszczu, nie było słyhać nawet szeptów. Zatrzymała spojrzenie na mnie i podbiegła bliżej, łapiąc mnie za rękę. Jej dotyk rozproszył zakłęcie i zatoczyliśmy się do przodu, dysząc ciężko. Wsparliśmy się na dziewczynie, czekając, aż nasze kończyny w końcu podejmą swe obowiązki. Odwróciłem głowę, by sprawdzić, kto rzucił cegłę. To był Toxik w całej swej okaleczonej chwale. Wspierał się na miotle, twarz i włosy miał zabrudzone. Wlepił w Lady Neon pełne nienawiści spojrzenie.

- Chwileczkę... - wysyczałem.

Toxik uniósł rękę w rozkazującym geście i dopadły mnie mdłości. Osunąłem się niżej w ramionach JG.

- Zaciemnienie!

Spróbowałem wskazać na otaczającą nas ciemność, na wszystkie te ulice, na których powinny się palić latarnie, ale ani on, ani Lady Neon nie chcieli patrzeć. Nic ich to nie obchodziło.

- Brzydki człowieku - odezwała się w końcu Lady Neon - jak sądzę, nie przyszedłeś tu po to, by się poddać?

Toxik potrząsnął ze śmiechem głową.

- Ty też chyba nie chcesz dać za wygranom.

Lady Neon skinęła głową, unosząc ręce przed sobą. Białe jedwabne rękawy zamknęły się wokół jej palców, osłaniając je przed światem. Usłyszałem zgrzyt. Toxik uniósł miotłę i zauważyłem, że jej drewno poczerniało z powodu brudu, upływu czasu, a także czegoś

jeszcze. Lady Neon ponownie rozpostarła ręce i z białych fałdów obu rękawów wyłoniły się krzywe ostrza z nieskazitelnego krystalicznego szkła.

- Nie sędzę, byśmy musieli zwracać sobie głowę usprawiedliwieniami - wyszeptała, gdy oboje zwrócili się ku sobie.

- Nie musimy - zgodził się Toxik. - Może pierwszy raz w życiu powiedziałaś prawdę.

Ruszyli do ataku.

Przyszło mi do głowy, że ich walka może być ciekawa z profesjonalnego punktu widzenia. Pomyślałem, że gdybym nie musiał się ze wszystkich sił powstrzymać przed narzyganiem na buty, mógłbym obejrzeć ciekawe starcie między mieczami a drągiem. Ale groźba wymiotów nie ustępowała, więc tego nie zrobiłem.

- Zbliża się moja siostra - zaskomlała JG.

Pokiwałem głową, czując w ustach smak żółci.

- Możemy stąd iść?

Rozejrzałem się wkoło. Na ulicach zapadła nieprzenikniona ciemność, nie paliło się tam ani jedno światło, słyszałem tylko szum deszczu i stukot broni. Ani Toxik, ani Lady Neon nie słuchali podczas walki praw natury. Skakali zbyt wysoko, poruszali się za szybko, a gdy ich broń się spotykała, w powietrzu unosiła się woń lutowia.

- Oda zabije Lady Neon i Toxika - ucieszył się Bakker. - I po problemie.

- Jasne, bo Plemię i Dwór na pewno w to uwierzą. Słuchajcie, koledzy, to nie byłem ja, tylko chodząca ciemność, która przegnała słońce.

- Mówisz do mnie? - wysyczała JG.

- Nie.

- Oda ciebie też zabije.

Złapałem dziewczynę mocno za ramię.

- Pomóż mi wstać - jęknąłem.

Zrobiła to.

Lady Neon i Toxik całkowicie zajęli się sobą.

- Ta para głabów walczy o ciebie - poinformowałem dziewczynę.

JG wytrzeszczyła oczy, gdy Lady Neon omal nie ucięła Toxikowi głowy ciosem szklanego miecza.

- Bez jaj?

- Ehe. Mówię poważnie.

- Ale dlaczego? Co jest we mnie takiego specjalnego?

- Absolutnie nic - odparłem, wykasłując suche powietrze wraz z resztkami przyprawiającego o mdłości smaku rzuconych przez innych zakłęb, nadal zalegającego mi w żołądku. - Nie masz magicznych blizn, nie wywrócono ci epickiego przeznaczenia, a twoim narodzinom nie towarzyszył tajemniczy deszcz meteorów. Muszę ci powiedzieć, że jesteś zwyczajna jak cholera.

Toxik zdołał zamachnąć się miotłą, wyprowadzając atak na kolana. Lady Neon uskoczyła, wykonując przewrót w tył z taką swobodą, jakby do jej DNA wpisano geny wiewiórki.

- Najlepsze w niebyciu wybraną jest to, że można samemu wybierać. A teraz...

- Tak?

Światła w oknach na całym placyku zaczęły gasnąć, najpierw na najwyższym piętrze, a potem niżej.

- A teraz chcę, żebyś powstrzymała tych dwoje.

- Ja?

- Ehe.

- Jak niby mam to zrobić?

- Nie mam pojęcia. Jesteś dziewczyną, którą wszyscy chcą lepiej poznać. Wymyśl coś. Popatrzyła z niepokojem na walczących.

- Hej, wy! - zawołała. - Tak, wy! Do was mówię!

Nawet jeśli ją usłyszeli, nic ich to nie obeszło. JG puściła mnie i osunąłem się z powrotem na stopnie, trzymając się ich w poszukiwaniu siły i pocieszenia. Dziewczyna podeszła bliżej i spróbowała wejść między dwoje walczących. W nagrodę omal nie oberwała miotłą w głowę.

- Popierdoliło was?! - wrzasnęła. - Jestem waszą pierdoloną wybraną i musicie słuchać, co do was mówię. Jesteście głupi, czy co?

Nic to nie dało.

- Przestańcie! - rozdarła się jeszcze głośniejsze. Trzeba przyznać, że kiedy chciała, potrafiła wydusić ze swoich płuc bardzo wiele. - Przestańcie, do chuja!

Lady Neon, spokojna i opanowana jak zawsze, płynnym nieprzerwanym ruchem pochyliła się pod miotłą Toxika i w tej samej chwili uderzyła nogą do tyłu. Jej biały bucik trafił JG prosto w sam środek tułowia, wyrzucając dziewczynę w górę. Poderwałem się, czując, że elektryczność napływa do moich palców. Zrobiła się słaba, tak bardzo słaba.

JG ruszyła chwiejnym krokiem przed siebie. Trzymała się jedną ręką za brzuch, zgarbiła się, mrużyła powieki. Uniosła głowę, otworzyła usta i zaczęła krzyczeć.

Zasłoniłem uszy dłońmi, choć to tylko w niewielkim stopniu zmniejszyło ból. Tonacja i głośność wrzasku były takie, że wnikał prosto do żołądka, szyby od niego pękały, zaprawa murarska sypała się na ziemię, a na powierzchni kałuż tworzyły się zmarszczki. Głos wypaczył kształt lejącego deszczu, tworząc z niego otaczający dziewczynę kokon. JG nie przestawała krzyżeć. Toxik i Lady Neon odchylili się od tego dźwięku, osłaniając uszy. Szklane klingi mieczy rozprysły się, a miotła Toxika wypaczała się i wyginała pod wpływem dźwięku, aż wreszcie krzyk ustał. JG zgięła się wpół, usiłując zaczerpnąć powietrza. Lady Neon leżała na ziemi, gapiąc się ze zdumieniem na zdyszana dziewczynę. Toxik oparł się o mur, również oddychając z wysiłkiem. Z uszu wypływały mu strużki krwi. JG wyprostowała się.

- No więc, ten facet chce z wami pogadać - wycharczała.

Obrócili powoli głowy, spoglądając na mnie. Wstałem, prostując jeden staw po drugim, i zachwiałem się na słabym wietrze. Zaciśnąłem dłoń w pięść, a potem ją otworzyłem. Kulka sodowego światła paliła się już słabo, tak bardzo słabo, ale i tak rzuciłem ją w górę. Na mokrej ziemi pojawiła się plama mętnego blasku.

- Patrzcie, ostatnie światło zgaśnie... teraz - odezwałem się.

Lampa w drzwiach białego hotelu przestała się palić.

Czekaliśmy.

Nic poza szumem deszczu.

Zaczekaliśmy jeszcze chwilę.

Kroki. Odgłos stóp na kamieniu.

Odwróciliśmy głowę w bok i zauważyliśmy, że wszyscy patrzą na nas, Lady Neon, Toxik, a nawet JG. Mieli wystarczająco wiele rozsądku, by się bać.

- Słyszycie? - zapytałem. - To kroki Zaciemnienia.

Odgłos umilkł. Potem rozległ się znowu, w innym miejscu. To była jedna para nóg. Stukot był za głośny, z łatwością przebijał się przez słaby szum deszczu. Zbliżał się z każdą chwilą.

- To jej typowa sztuczka - wyjaśniłem. - Ciemność i kroki. Wszystko to część tego, czym jest Zaciemnienie: stworzeniem czekającym na końcu zaułka. Chodzi o strach i wstyd. O wszystko, co może nam ujsć na sucho, kiedy światła zgasną. Tym właśnie jest Zaciemnienie. Stworzenie na końcu zaułka nie jest niczym mniej i niczym więcej niż strachem. Stuprocentowo czystym strachem przed nieznanym. Niestety, owo nieznanie stworzenie ma siostrę. I tak się pechowo składa, że ta siostra nazywa się Jabuile Ajaja.

Obserwowałem z uwagą Toxika i Lady Neon. Oboje nie spuszczała wzroku z JG.

- Nadchodzi Zaciemnienie - wyszeptalem. - Zaraz tu będzie. Londyn zwija się w sobie, zapada. Zapewne pozostał tylko bardzo mały obszar, w którym się znajdujemy. Nie przypuszczam, by zachwyliła ją dostępa tu opieka duchowa. Czy nie wydaje się to wam dziwne? Dwór i Plemię jednocześnie otrzymały wiadomość, że mają się udać w to samo miejsce, by odnaleźć tę samą wybraną, i tak się złożyło, że ta wybrana jest siostrą kobiety, która zmierza tu przez ciemność, by zabić nas wszystkich?

Kroki przeszły w bieg, a potem ucichły.

Cisza.

Wszyscy wyciągaliśmy szyje, próbując coś usłyszeć, ale nic to nie dało.

Potem znowu rozległ się dźwięk: trzy szybkie kroki, przerwa, potem trzy kolejne, jakby próbowały odnaleźć drogę.

- Wykorzystano was - ciągnąłem. - Nic z tego nie było prawdą. Spójrzcie na niespodziewane konsekwencje, z którymi musicie się teraz uporać.

- Udowodnij to - zażądał Toxik.

- Nie chodzi tylko o wybraną... - zaczęła Lady Neon.

- Potrafię to udowodnić. Oboje macie poważniejsze problemy niż siebie nawzajem.

Granice cieni zaczęły się zamazywać; to, co się w nich kryło, nie przestrzegało tych samych zasad, co światło.

- Oni są... oni są... - Lady Neon uniosła drżący palec, wskazując oskarżycielskim gestem Toxika. - Są tacy brzydcy!

Szaman wykrzywił usta w zwierzęcym grymasie.

- Spójrz! - wrzasnęła. - Jak z czegoś, co tak wygląda, może się zrodzić cokolwiek dobrego?

- Jesteśmy pienkni! - ryknął Toxik. - Jesteśmy pienkni, jesteście pienkni, jesteście...

JG nerwowo postąpiła krok naprzód. Coś poruszyło się w ciemnym oknie, czarna niekształtna plama pochwycona w świetle mojego małego zaklęcia.

- JG, uwa... - zacząłem.

Rozbłysło światło o kształcie gwiazdy. Rozległ się dźwięk przypominający brzęczenie komara, który dostał ataku serca. JG zachwiała się i upadła twarzą na nawierzchnię. Podbiegłem do dziewczyny i podniosłem ją. Patrzyłem na okna, czekając na następny błysk. Lady Neon poderwała się nagle, kryjąc twarz w dłoniach. Usłyszałem, że z ust Toxika wyrwał się oddech. Poczulem pod palcami coś gorącego. Za dobrze znałem krew, bym mógł ją pomylić z czymkolwiek innym. JG otwierała szeroko oczy, poruszała ustami i próbowała dotknąć pleców w poszukiwaniu źródła bólu. Jedna kula, wystrzelona z tyłu, przebiła płuco.

Dziewczyna kaszlnęła. Na jej ustach pojawiła się krew.

- Matthew, zjeżdż z linii ognia - odezwał się Bakker.

Przytuliłem mocno dziewczynę.

- JG? - wyszeptałem. - Jabuile?

- Matthew, zmiataj stąd!

- Czy ona...? - wyszeptała Lady Neon.

- Jabuile?

Oczy dziewczyny zaczęły się zamykać. Potrząsnąłem nią delikatnie. Potem potrząsnęliśmy nią mocniej.

- JG? Jabuile!

Toxik uniósł głowę i wbił spojrzenie w Lady Neon.

- Ty to zrobiłaś - wydyszał.

Potrząsnęła głową.

- To byłeś ty...

Z ust JG wydobył się obłoczek pary. Obserwowałem dziewczynę uważnie, potrząsałem nią i wciskałem palce w jej plecy, próbując zmusić krew do powrotu do ciała. Znieruchomiała. Dalszych obłoczków pary nie było.

- Jabuile?

To nie był mój głos.

Uniosłem wzrok.

Oda stała na samej granicy światła. Pochłaniała je, była najciemniejszym punktem pośród nocy. Jej ręce drżały, a ze zmasakrowanych oczu spływały po twarzy dwie krwawe strużki. Postąpiła krok naprzód, zachwiała się, jakby miała upaść, a potem wyprostowała się i zdołała zrobić kolejny krok, opatulając się podartym ubraniem jak całunem. Położyłem JG na ziemi i odsunąłem się od niej na czworakach. Krew spływała niczym dym do kałuż pod moimi palcami. Oda uklękła przy nieruchomym ciele, pochyliła się nad nim, nakryła je sobą całkowicie i przytuliła się do niego. Jej plecy drżały leciutko, nic więcej i nic mniej, po prostu drżały, palce wplotła we włosy JG. Nie odzywała się, nie zawodziła, nie jęczała, nie krzyczała, tylko klęczała i się trzęsła.

- Już jest za późno - odezwał się Bakker.

Usłyszałem cichy twardy trzask. Rozejrzałem się wkoło. Lady Neon zacisnęła dłoń na jednym z odłamków potłuczonych mieczy. Potrząsnąłem głową. Toxik, widząc jej poczynania, poruszył palcami i sięgnął po swą miotłę. Lady Neon wstała bezszelestnie i ruszyła w stronę Ody. Odprysk miecza błyszczał w moim sodowym światełku. Potrząsnąłem

rozpaczliwie głową, ale mnie zignorowała.

- Nie rób...! - zawołałem.

Złapała Odę za tył głowy, pociągnęła ją za włosy, i szybkim ruchem przejechała szkłem po gardle. Krew trysnęła na kamienie. Za mało krwi. Dumna jak paw Lady Neon puściła Odę. Ta osunęła się na ciało siostry.

Deszcz nie przestawał padać.

Świat czekał.

Zauważyłem, że Oda zacisnęła palce zwisającej luźno dłoni. Potem wyprostowała się, nie unosząc głowy, odwróciła się, powoli jak przyptyw, i spojrzała Lady Neon prosto w oczy. Pod nieskazitelnymi liliowymi tęczęwkami wezbrała krew. Odprysk szkła wypadł z jej palców.

- Nie możesz tu już nic zrobić! - odezwał się Bakker.

Podniosłem się ciężko.

Toxik zamachnął się miotłą, próbując trafić Odę w skroń. Nawet na niego nie spojrzała, ale broń zamieniła się w popiół w jego rękach, nim się zbliżyła do celu. Zatoczył się do tyłu, łapiąc się za oczy. Lady Neon zaczęła krzyczeć. Poczulem, że ciemność napiera ze wszystkich stron na moją kulkę światła i zgniata ją. Gdy Toxik również zaczął wrzeszczeć, odwróciłem się plecami do nich dwojga, a także do Ody i Jabuile, i uciekłem, wymacując sobie drogę w ciemności rękami i nogami.

* * *

Nie przywołałem nowego światła aż do chwili, gdy krzyki bólu zostały daleko z tyłu.

Czołgałem się na rękach i kolanach, wymacywałem sobie drogę między zaparkowanymi samochodami, wciskałem palce w szczeliny między płytami chodnikowymi, przypominając sobie trasę, którą tu dotarłem, za pomocą bezimiennego instynktu i zgadywania. Czołgałem się, aż zacząłem krwawić z kolan, a potem wstałem i ruszyłem przed siebie, chwiejąc się jak pijak. Wyciągałem ręce przed siebie, wpadając na kosze na śmieci i ślizgając się po wysypanych na ulicę odpadkach, aż wreszcie wlałem twarzą w żywopłot, który ktoś umieścił nieroztropnie na mojej drodze, i osunąłem się na ziemię pod nim. Wszędzie panowała nieprzenikniona ciemność. Nie paliło się ani jedno światło, nie ruszało się żadne stworzenie, czy to człowiek, czy szczur. Nie słyszałem odgłosów ruchu ulicznego. Tylko szum deszczu. Nic nie widziałem i nie odważyłem się przywołać światła, bojąc się, że przyciągnę uwagę jak latarnia morska i przywołam coś więcej.

Przypomniałem sobie o komórce i włączyłem ją, ale okazało się, że nie ma sygnału.

Zapaliło się słabe światełko i ujrzałem dzięki niemu, że zabrnąłem do zaułka pełnego małych eleganckich domów o białych ścianach. Obok ich drzwi umieszczono doniczkowe rośliny. Światło w komórce zgasło. Naciskałem na oślep klawisze, aż wreszcie włączyło się znowu. Dowlokłem się w jego szaroniebieskim blasku do końca zaułka i wyszedłem na szerszą, pełną sklepów ulicę. W błotnistej dziurze wykopanej na użytek nieustannych prac remontowych, prowadzonych z boku jezdni, zgromadziła się głęboka na dwie stopy deszczówka. Na wystawach sklepowych stały manekiny prezentujące ubrania dla niego i dla niej. Ich perfekcyjne nierealistyczne ciała pełne krzywizn pokrywała matowa farba. Przyjrzałem im się uważnie. Coś było nie w porządku z ich oczami. Wszystkie krwawiły.

Od budynku odbił się echem głos, donośny, dźwięczny i przepojony pewnością siebie.

- Teraz przyjdziemy po ciebie, czarnoksiężniku! Przyjdziemy po ciebie!

Wędrował między szkłem a cegłami, stalą i betonem, aż wreszcie ucichł.

Znowu rzuciłem się do ucieczki, dotykając wyciągniętą przed siebie ręką zmieniającego kształt muru, aż wreszcie wyczułem załuzje zamkniętej stacji Covent Garden. Symbol metra zgasł, a napisy w automatach biletowych głośniły:

NIECZYNNE.

Za ladą spał strażnik w niebieskim kapeluszu. Drzwi do wind były uchylone, w środku panowała ciemność.

Minałem róg i wyszedłem na ulicę, na której zwykle roiło się od turystów, kupujących, zonglerów oraz dzieci. Teraz nie było tu nic poza śmieciami wplecionymi we włosy żebraka śpiącego pod mokrą ławką. Deszcz zmył nawet woń tłustych pasztecików. Na końcu ulicy majaczył ciemny przysadzisty prostokąt Covent Garden Market, niemający wędrowcowi nic do zaoferowania, poza być może schronieniem przed deszczem. Wszedłem do jego korytarzy, gdzie pod łukowatymi sklepieniami za dnia oferowano na sprzedaż biżuterię, kapelusze, szaliki, zdobne kawałki drewna pozbawione jakiegokolwiek zastosowania oraz inne ładne rzeczy składające się na idealny dom. Idealny dom z odrobiną drewna w środku.

Paliło się tu światło.

Tylko jedno.

Płonęło pod rzędem potężnych kolumn w stylu neogreckim, samotna plamka żółtego blasku widoczna na szczycie ogromnej antycznej klatki z żelaza. Światło padało na śliskie kamienne płyty pod kolumnami.

Zastanawialiśmy się nad tym przez niespełna sekundę, a potem pobiegliśmy przez deszcz w stronę światła. To był kościół, wspaniały gmach stojący przy placu, na którym latem

zbierały się gołębie, a biznesmeni jedli kanapki na ławkach poświęconych pamięci drogich zmarłych. Obok światła znajdowała się otwarta brama prowadząca na dziedziniec kościoła. U zachodniego końca budynku znajdowały się drzwi wprawione w mur z czerwonej cegły. Otworzyły się bez trudu. Wnętrze było chłodne i suche. Nad drzwiami paliło się kolejne światło.

Jak na kościół, budynek nie był ani szczególnie dekadentki, ani oszczędny w środkach. Swymi ornamentami jasno dawał do zrozumienia, że mógłby pokazać wiele, gdyby tylko zapragnął, ale nie lubi się przechwalać. Długie ławy z drewna na wysoki połysk. Ściany ozdobione nazwiskami fundatorów i wiernych. Knoty ustawionych w dwóch ciasnych szeregach świec wyginały się od żaru. W małej mahoniowej szafce pachnącej rozmarynem znalazłem kilka srebrnych naczyń, pusty szklany kielich oraz białe, równo złożone obrusy ołtarzowe. Wyciągnąłem kilka tych ostatnich z szuflady, zdjąłem mokry płaszcz i buty, usiadłem przy dłuższym rzędzie świec, otuliłem się obrusem jak kocem i zacząłem dygotać.

Deszcz tłukł o szyby.

Nasłuchiwałem kroków, głosów, jakichkolwiek oznak życia, ale nie słyszałem nic.

Po chwili zaskrzypiała skórzana podeszwa.

Uniosłem wzrok i zobaczyłem Bakker. Siedział na ławce obok mnie. Pochylił głowę, a dłonie złożył między kolanami. Obserwowałem go przez pewien czas.

- Wcale się pan nie modli - odezwałem się wreszcie.

Uniósł z westchnieniem głowę.

- No wiesz, to byłoby bardzo nieuprzejme z mojej strony.

- Myślę, że dobre maniery nie są już dla nas ważne.

Ściągnął brwi w wyrazie lekkiej dezaprobaty.

- Zakrwawiłeś obrus - zauważył.

Zerknąłem z drzeniem w kierunku, w którym patrzył. Moje ręce zostały na wykrochmalonym materiale ciemnoczerwone plamy.

- Bez obaw - uspokoił mnie. - To jej krew, nie twoja.

Poculiśmy, że coś gorącego zaszczypało nas w oczy, zapragnęliśmy przełknąć ślinę. Trudno nam było oddychać. Spróbowałem coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle.

- Płacz w takim momencie byłby pobłażaniem sobie - ciągnął Bakker. - Nie wątpię, że na swój sposób uważasz, że powinieneś płakać z powodu poczucia winy połączonego z żalobą, muszę dodać, że z przewagą tego pierwszego, ale mógłbyś odłożyć tę przyjemność na czas po tym, jak już uporamy się z bieżącym kryzysem. Tak byłoby znacznie praktyczniej.

- Z czym się uporamy? - zdołałem wydusić z siebie w przerwie między

spazmatycznymi oddechami. - Jak to zrobimy? Ona... JG nie żyje i... pani Dees nie żyje, i Lady Neon nie żyje, i Toxik nie żyje, i Penny nie...

- Tego nie wiesz - przerwał mi Bakker. - Dobry Boże, ależ to nudne dzielić z tobą świadomość, Matthew. Ciągłe tylko „co by było, gdyby”, „być może”, „co, jeśli”, „gdybym mógł”, „ale powinienem” i inne takie pozbawione znaczenia dźwięki, które przekonują cię, że postępujesz właściwie, nawet jeśli sytuacja i wymogi upływającego czasu zmuszają cię do zrobienia tego co konieczne. Jedyne, co można zrobić. Czasami odnoszę wrażenie, że w twoich oczach cała różnica między tym, co uznałeś za moje zło, a twoim dobrem, polega na tym, że marnowałeś czas na lamentowanie nad tymi, których byłeś zmuszony skazać na śmierć, a ja godziłem się z tym, że konieczność nie pozostawia czasu na żalobę, i brałem się do roboty.

Nakryłem głowę obrusem, oplotłem rękoma kolana i wtuliłem podbródek w pierś.

Bakker umilkł na chwilę. Potem sapnął głośno z frustracji.

- Spójrzcie na strusia! - zawołał. - Czy mam ci znaleźć trochę piasku, żebyś miał w co schować głowę?

- Idź sobie.

- Tak jest, w smęceniu jest znacznie więcej godności, jeśli robi się to bez świadków, prawda? Jeśli ktoś oddaje mu się publicznie, nazywamy to uzalaniem się nad sobą i żalną próżnością. Ale jeśli ktoś robi to sam, mówimy o szacunku dla zmarłych i kontemplacji. Mam nadzieję, że nie będziesz zawodził, Matthew. Nie znoszę zawodzenia.

- Idź sobie!

- Nie mogę. Wciągnąłeś mnie do płuc. Nie można nawet powiedzieć, żebyś się zbytnio sprzeciwiał! Pani Dees powiedziała ci, że to dobry pomysł, a ty się zgodziłeś. Nie dlatego, że ją szanowałeś, bo, powiedzmy sobie szczerze, w sumie w ogóle nie czułeś dla niej szacunku, co było raczej płytkie z twojej strony, ale, jak sądzę, dlatego, że jakaś część twojej duszy tego pragnęła. Pragnęła mojej obecności. Mógłbym zasugerować, że to była masochistyczna część, niemniej jednak ona istnieje. Ten sam mały zakątek twojej osobowości pragnie oplakiwać panią Dees, mimo że prawie jej nie znałeś, a także JG, choć była raczej niesympatycznym pionkiem. Wyobrażam sobie, że zdołałeś nawet poczuć parę dreszczy winy z powodu tego okropnego Theydona. A może o nim zapomniałeś? Potężne uczucia należy szeregować pod względem ważności. Można nimi darzyć tylko ograniczoną liczbę osób. W przeciwnym razie zostałyby ci tylko słabe uczucia dla mnóstwa mało ważnych ludzi, a to, szczerze mówiąc, znaczyłoby, że przestałeś być bohaterem.

- Idź sobie, idź sobie, idź sobie!

- Jeśli przeżyjesz, będzie okazja wygłosić parę mów, ale to oczywiście w tej chwili raczej wątpy argument. Pójdiesz na pogrzeb i staniesz nad pustą trumną pani Dees - bo zakładam, że będzie pusta - i będziesz mówił o tym, że była żołnierzem, walczyła i zginęła, i że na tym właśnie polega prawdziwe bohaterstwo. Popłyną łzy, a potem nastanie chwila ciszy. Jezu. - Bakker klasnął dłońmi. - Może pójdiesz też na pogrzeb JG i rzucisz kwiaty na trumnę - tym razem będzie w niej parę fragmentów - i choć sądzę, że rozsądek powstrzyma cię przed płaczem, jestem pewien, że spodoba ci się rola milczącego żałobnika w czarnym ubraniu, rozumiejącego tragiczną prawdę, którą nie sposób się podzielić z innymi.

- Idź sobie! - wrzasnęliśmy tak głośno, że aż zachwiały się płomienie świec - Idź sobie, idź sobie!

Bakker zaczekał, aż zabraknie nam tchu. Potem wsparł podbródek na otwartej dłoni i pochylił się ku nam.

- Wiesz co? - wyszeptał. - Kiedy nie jesteś w pełni człowiekiem, masz w sobie znacznie więcej życia. Spójrz na siebie, Matthew Swift, czarnoksiężniku, który przyszedł na świat, chodził do szkoły, trochę podróżował i umarł. Zaledwie trzy linijki w nekrologu. Leżałeś we własnej krwi, zbyt zaskoczony, przerażony i ranny, by zrobić wszystkie te cudowne rzeczy, jakich cię nauczyłem. Poczłogałeś się do telefonu i poprosiłeś o pomoc. Nie walczyłeś, nie wściekałeś się, nie płonąłeś, po prostu wezwałeś pomoc i wyzionąłeś ducha. I co z tego wszystkiego za pożytek? A teraz spójrz na siebie! - W jego oczach pojawiły się błyski, na bladą skórę wystąpił rumieniec. - Spójrz na wszystko, czym się stajesz, kiedy nie jesteś w pełni... nie do końca... a właściwie prawie wcale... Matthew Swiftem. Spójrz, jak zawzięcie walczysz, jak potrafisz żyć. Wróciłeś z martwych i gdybyś był tylko człowiekiem, uciekłbyś, zwinąłbyś się w kłębek ze strachu i nawrócił się na jakąś religię. Ale nim nie jesteś. Dlatego wybrałeś drogę zemsty i odплаты. Kiedy mnie zabiłeś, to było najbardziej spektakularne wydarzenie, jakie kiedykolwiek widziałem, tyle mocy, pasji i piękna zrodzonych z jednej iskierki, płonąłeś! A potem był ten interes z Nocnym Burmistrzem. Nocny Burmistrz słynie z tego, że siedzi na dupie i pozwala, by sprawy potoczyły się naturalnym torem, ale nie ty, och nie. Niebieskich elektrycznych aniołów nic nie obchodzą ludzkie prawa, względy praktyczne ani to, co powinno, a co nie powinno się dziać. Ich moralność jest moralnością sześciolatka, odartą z wszelkiej złożoności. Jak dzieci będziecie drapać, szarpać, gryźć i kopać, nawet jeśli to, co w ten sposób traktujecie, jest liną, która może was zaciągnąć w bezpieczne miejsce. Szkoda, że zostało w tobie jeszcze trochę człowieka. Takie pozostałości, na przykład ból, każde rozsądne bóstwo dawno już by wypaliło. W końcu tylko ta ludzka część ciebie może naprawdę umrzeć.

Spojrzałem Bakkerowi w oczy. Jego skóra przybrała niezdrowy żółtawy odcień, a paznokcie zrobiły się czarne.

- Nie wiem, czy umarli coś czują, ale gdybyś żył, z pewnością wiedziałbym, co w tej chwili czujesz - stwierdziłem.

Zacisnął wargi i wessał je do środka, by je zwilżyć wewnątrz ust.

- Założę się, że jesteś głodny - dodałem.

Zacisnął palce, zakrzywiając je gwałtownie. W blasku świec rzucał na ścianę mroczny migotliwy cień, tańczący z boku na bok. Przy każdym ruchu wyglądał nieco inaczej. Klęknąłem, patrząc Bakkerowi prosto w oczy.

- No, jazda - wydyszałem. - Jesteśmy tu sami. Wszędzie poza tym miejscem światła pogasły, a co to ma za znaczenie, co robimy w ciemności? Nikt nie musi się o tym dowiedzieć. Ruszaj się!

Jego oczy lśniły, otwierał lekko usta, a pierś falowała mu miarowo.

- Ruszaj! Cały ten epizod nie może ci dać nic poza zniszczeniem i żalobą, więc równie dobrze możesz wykorzystać tę okazję. To koniec wszystkiego, nikogo nie obchodzi, jakie słowa padną, a jeśli jesteś prawdziwym sukinsynem, nie został już nikt, kto się tym przejmie, więc bierz się do roboty!

Cień na ścianie za jego plecami rozciągnął się nagle, zrobił się przesadnie cienki i kanciasty, miał zbyt wiele stawów, za duże pazury. Potem świece zamigotały znowu w rozgrzanym ich płomieniem powietrzu i miałem przed sobą tylko Roberta Bakker, starego człowieka umierającego z nadmiaru minionego czasu. Siedział na ławie w bezludnym kościele i wpatrywał się w pustkę.

Wróciłem do swoich obrusów.

- Wie pan co? - wymamrotałem, grzejąc dłonie nad słabymi płomieniami świec. - Dzieciom znacznie łatwiej jest rozpoznać zło absolutne. No, wie pan, ono ubiera się na czarno, ma czerwone świecące oczy, stawia orzeczenie na końcu zdania i chichocze. Kiedy człowiek robi się starszy, zaczyna rozumieć, że wszystkie te rzeczy mogą być po prostu alternatywnym stylem życia. Ale pan, panie Bakker... można by pomyśleć, że powinien być pan wystarczająco inteligentny, by zrozumieć, że kiedy pański cień, pański żywy cień zacznie pożerać ludzi, pić krew i tak dalej, zapewne nie zdobędzie pan w ten sposób żadnych nagród z dziedziny etyki.

Cisza.

- Matthew? - odezwał się po chwili.

- Słucham?

- Kiedy przyszedłeś mnie zabić, czy wiedziałeś, dlaczego to robisz?

Potarłem palce, próbując przywrócić im choć odrobinę życia.

- Zdawało mi się, że wiem. Na początku powtarzałem sobie różne naprawdę sensowne rzeczy. Że jest pan groźbą dla wszystkich, trzeba pana powstrzymać dla dobra miasta i tak dalej, i tak dalej. Że nie chodzi o to, by pana zabić, ale by powstrzymać pański cień. Tego typu slogany. A kiedy pana znalazłem... zginęło już tak wielu ludzi, no wie pan, straty uboczne. Oddali życie w imię ocalenia pańskich przyszłych ofiar i gdybym nie... ale wtedy posunąłem się już za daleko i nie miałem nic poza... Nienawidziliśmy pana. Nadal pana nienawidzimy. Uczynił nas pan śmiertelnymi, zmusił do tego, by widzieć... i czuć... różne rzeczy... poznaliśmy nazwy dla treści, o których nie mieliśmy pojęcia. Kolor. Zapach. Smak. Pożądanie. Nawet sobie nie wyobrażaliśmy takich rzeczy. Podobnie jak bólu. Przerazenia. Strachu. Wstrętu. A przez pana poczuliśmy to wszystko. Myślał pan, że zdoła nad nami zapanować, ulepszyć się dzięki nam. Umniejszyć nas. Już tylko za tę arogancję powinniśmy... ale ludzie zawsze wszystko komplikują. Sprawy, które powinny być jasne, stają się... zagmatwane. Nigdy przedtem nie popełniliśmy zabójstwa.

- Ale i tak to zrobiłeś.

W jego głosie nie słyszało się gniewu, smutku ani oskarżenia. Tylko starość i znużenie.

- Dana Mikeda.

Z ust Bakker'a wyrwało się ciche westchnienie. Skinął lekko głową.

- W tym jednym masz rację - zgodziliśmy się. - Śmierć Dany była... uprościła skomplikowaną sprawę.

Znowu pokiwał głową. Przez pewien czas zaden z nas się nie ruszał. Potem Bakker przeciągnął się z wielkim wysiłkiem, od koniuszków stóp aż po palce dłoni, jakby chciał się uwolnić od zastarzałego bólu.

- Nie można zabić Zaciemnienia - oznajmił bez ogródek.

- Wiem o tym.

Uniósł brwi.

- Tak? Naprawdę o tym wiesz? No cóż, to znaczy, że wysiłek, jaki włożyłem w twoje wykształcenie, nie poszedł całkowicie na marne. A czy wiesz dlaczego?

- Tak. Zaciemnienie to wszystko, co robimy w ciemności. Oczy krwawią, ponieważ nie możemy na to patrzeć. A mimo to, wszystkie te rzeczy się zdarzają. Nie można tego zabić. Tyle domyśliłem się już dawno temu.

- Nie możesz zabić Ody - dodał z powagą.

- Bo ona już nie żyje - przerwałem mu. - Ehe, to też odgadłem. Domyśliłem się również, dlaczego JG jest naprawdę ważna i kto może skorzystać na wojnie między Plemieniem a Dworem. Niezły iloraz inteligencji, co?

Ku naszemu zaskoczeniu Bakker się uśmiechnął.

- Byłeś bardzo przeciętnym czarnoksiężnikiem, Matthew.

- Kurczę, szefie, dziękuję.

- Ale jako człowiek jesteś chyba trochę lepszy od przeciętności.

- Chyba się zaraz rozplacę.

- Nawet jeśli brakuje ci powagi.

- To tylko mechanizm obronny.

- Wiesz co? - Bakker wstał z westchnieniem, strzepując ze spodni niewidzialny kurz. - Gdybym nie szkolił cię od dzieciństwa, nie wprowadził cię na ścieżki magii, nie zabił cię, nie zginął z twojej ręki, a wreszcie, gdy mój czas na tym świecie już minął, nie przeżył dodatkowego czasu w twej zanadto skłonnej do pobłażania sobie świadomości, mógłbym się nigdy tego nie domyślić.

Uśmiechnęliśmy się.

- Wiem, jak powstrzymać Zaciemnienie - oznajmiłem.

- Nie chciałbym być na twoim miejscu - odparł z lekkim wzruszeniem ramion.

Podniosłem się bardzo powoli. Wszystko wydawało mi się odległe i ciężkie, nawet myśl szurała powoli nogami, szukając kapci.

- Wie pan co, panie Bakker? Wszystko byłoby znacznie prostsze, gdyby już na początku zgodził się pan powiedzieć mi, jak zdołał pan powstrzymać Woodsa.

- Miałbym zdradzić swój wielki sekret? - zapytał z udawanym oburzeniem. - Na tej walce zbudowałem swoją reputację.

- Jest pan dupkiem.

- Nieładnie.

- Dupkiem i mordercą.

- Nikogo nie zabiłem.

- Ehe - warknąłem. - Oskarżono by pana tylko o nieumyślne spowodowanie śmierci, prawda? Nie zrobił pan tego osobiście.

Podszedłem do drzwi kościoła i dotknąłem palcami zimnej ściany. Na dworze czekały ciemność i deszcz.

- Boisz się? - zapytał Bakker.

- Jestem przerażony.

- To świadczy o rozsądku.

- Zastanawiał się pan, dlaczego te światła jeszcze się palą, choć wszystkie inne zgasły?

- zapytałem, wskazując za siebie, na wnętrze wypełnionego ciepłym migotliwym blaskiem kościoła.

- Chrześcijanie pewnie by powiedzieli, że to ma coś wspólnego z Jezusem.

- Ale pan wie, że to bzdura?

- Oczywiście - zgodził się. - Symbolizm jest interesujący, ale w pełni przewidywalny. Światła się palą, ponieważ tego chce Oda. Jakaś małeńka iskierka jej jaźni, która pozostała przy życiu, nie pozwala, by zgasły. Nie wszystkie. Jeszcze nie teraz.

- Ehe - zgodziłem się z westchnieniem. - Nigdy nie myślałem, że nadejdzie dzień, gdy będziemy trzymać kciuki za nieśmiertelną duszę Ody.

- Mogła cię zabić - skarcił mnie pośpiesznie. - Przy wielu, wielu okazjach i w każdym przypadku miała wystarczającą motywację. Ale, o dziwo, tego nie zrobiła. Nie czuj się zbyt pewnie. Osobiście nie postawiłbym ani grosza na to, że pożyjesz dłużej niż do... - Zerknął na zegarek, a potem cmoknął i przeniósł spojrzenie na czarne niebo. - Co to ma właściwie za znaczenie?

Spojrzałem w tym samym kierunku, co on, i nie zobaczyłem nic poza ciągnącym się bez końca mrokiem.

- Ale spieszyłem tę sprawę, co? - usłyszałem własny głos. - Wszystkie te wydarzenia, które powinienem powstrzymać, wszystkie ofiary, cała przelana krew. W niczym nikomu nie pomogłem. A w paru przypadkach mogłem nawet pogorszyć sytuację.

- Niewykluczone - zgodził się z westchnieniem Bakker. - Nie można jednak powiedzieć, żebyś się nie starał. Podejrzewam, że trzeba to złożyć na karb braku zdolności.

- Pewnie nie mam co liczyć na odrobinę wsparcia moralnego z pańskiej strony?

- Biorąc pod uwagę fakt, że nie żyję i jestem obecnie bezcielesnym stworzeniem przywołanym przez twoją podświadomość w przypominającej halucynację postaci, jestem przekonany, że to wykracza poza mój zakres obowiązków.

- A więc nie mogę. Dziękuję.

Wyciągnąłem rękę na zewnątrz i przyglądałem się, jak woda zbiera się w mojej otwartej dłoni. Nie ruszałem się z miejsca.

- Matthew. - W głosie Bakkera pojawiła się nuta ostrzeżenia. - Prędzej czy później Oda cię znajdzie.

- Ehe, wiem o tym.

- Nie ma żadnej chwały w tym, że przeżyjesz najdłużej.

- Jasne.

Nadal się nie ruszałem.

- Jeśli to śmierć Dany przekonała cię, że musisz mnie zabić, z pewnością przelano już wystarczająco wiele krwi, byś teraz zrobił to co konieczne.

- Och, niewątpliwie - zgodziłem się z cichym śmieszkiem. - Niech pan mnie nie zrozumie źle, nie chodzi o brak motywacji. Wiem, co muszę uczynić, i pogodziłem się z tym, bo, szczerze mówiąc, nie zostało mi już nic innego. Rzecz w tym... - Zawahaliśmy się, szukając odpowiednich słów. - Że całe życie przesuwam się przed oczyma. Doszliśmy do wniosku, że lepiej teraz postać sobie tutaj, gdzie nie ma deszczu, i kontemplować wszystko, co ujrzelśmy w życiu, zamiast robić to później, gdy możemy być zajęci.

- I? - zapytał Bakker.

- I... zważywszy wszystko razem... to było ciekawe. - Zastanawialiśmy się przez chwilę. - Choć trochę za krótkie.

Wyszedłem w deszcz, przyciągnąłem resztki złotego wolframowego blasku z drzwi i stworzyłem z niego mały świetlisty parasol. Potem ruszyłem po mokrym chodniku ku żelaznej bramie prowadzącej na ciemną ulicę. Nagle przeszył mnie dreszcz. Obejrzałem się za siebie. Bakker nadal stał w drzwiach.

- Idzie pan ze mną? - zapytałem.

- A gdybyś mógł to powstrzymać?! - zawołał. - Gdybyś mógł nie zginąć, zrobić coś, co by spowodowało, że nie musiałbyś już bać się śmierci, to czy zrobiłbyś to? Gdybyś mógł?

Parsknąłem śmiechem. Jego dźwięk odbijał się od wysokich ścian budynków, cichnąc na błotnistym trawniku wokół kościoła.

- Panie Bakker - odpowiedziałem z wyrzutem - dzielił pan ze mną głowę i musi pan o to pytać?

Ruszyłem przed siebie. Po chwili podążył za mną.

* * *

Miasto spało.

Nawet szczury, koty, psy i gołębie, nawet złodzieje i nocni kurierzy, nawet zamiatacze i technicy z metra, konserwatorzy dróg i przewodów elektrycznych. Wszyscy spali.

Szliśmy środkiem ulicy. Za dnia pędziły tędy samochody i rowery. Otaczała nas żółta plamka światła. Nie było z nami nikogo poza elegancko ubranym duchem.

Zatrzymałem się przy supermarkecie na rogu. Panowała w nim ciemność, a żaluzje były zasunięte. Rozbiłem jedno z wysokich okien i wlałem do środka. Alarm nie raczył się

włączyć. Półki były niemal całkowicie puste, tylko gdzieś na metalowych powierzchniach leżały smętne niechciane towary. Znalazłem opakowanie miękkich pomidorów oraz kanapkę z szynką i ogórkiem kiszonym. Zjadłem kanapkę, idąc wzdłuż półek z napojami. Butelka słodkiego niszczącego zęby płynu, który nie był do końca wodą, zmyła smak drugiego dania złożonego z ziaren kawy w czekoladzie oraz pigułek na wzmocnienie. Potem podszedłem do półki z artykułami medycznymi i wypełniłem kieszenie bandażami oraz plastrami.

- Przyjmujesz założenie, że zostanie ci wystarczająco wiele palców, by tego wszystkiego użyć - zauważył Bakker.

Zastanawiałem się nad tym, czy nie zostawić pieniędzy na ladzie, ale odrzuciłem ten pomysł bez zbytnich skrupułów. Na małym stojaku przy drzwiach umieszczono parasole. Wybrałem jeden na oślep i otworzyłem go. Okazało się, że zdobi go oblicze Myszki Minnie, z parą okrągłych, sterczących uszu.

- Bardzo gustowne - stwierdził z westchnieniem Bakker.

Wyszedłem na ulicę i stanąłem na skrzyżowaniu. Stare gazety niesione wiatrem przyklepiały się do opon zaparkowanych samochodów. Spojrzałem we wszystkie cztery strony, a potem zerknąłem na Bakkera.

- Którędy idziemy?

- Wszystkie drogi zaprowadzą nas do Ody.

- Jak na wielkiego mecenasa sztuki jest z pana wyjątkowo gburowaty skurczybyk.

Skręciłem w lewo, nie wiedząc dokładnie dlaczego. Właściwie było mi wszystko jedno. Mijałem bary sushi i księgarnie, bary kanapkowe i sklepy z pastelowymi pejzazami wiejskimi.

- Jeśli już mówimy o sztuce, to co najmniej trzem kulturalnym instytucjom zabraknie dotacji z powodu tego, że mnie zabiłeś - poskarżył się Bakker, gdy szliśmy środkiem zalanej deszczówką jezdni.

- A co to za instytucje?

- Teatr, opera i mały warsztat garncarski w Suffolk.

- Odkąd to warsztat garncarski uchodzi za instytucję kulturalną?

- Fakt, że musisz o to pytać, dowodzi, że brak ci zdolności zrozumienia odpowiedzi.

- Nie zapisał im pan czegoś w testamencie?

- Nie sporządziłem testamentu - odparł z westchnieniem.

- Chyba pan żartuje.

- Wydawało mi się, że to równałoby się kapitulacji.

- Mój Boże, nawet po śmierci zdołał pan zrobić ludzi na szaro.

- Przyznaję, że sponsorowanie warsztatu garncarskiego było czymś w rodzaju kaprysu - ustąpił. - Ale pewnie moglibyśmy powiedzieć, że sztuka jest bezcenna.

- Nieprawda! - sprzeciwiłem się. Właśnie mijaliśmy St Martins Lane. Światła były zgaszone, z balkonów teatrów skapywała woda. - Nie! Nie możemy tak powiedzieć, bo pańskie wsparcie zrodziło się z krwi niewinnych i nie wzięło poprawki na inflację.

- Tak mówi dziecko kryzysu bankowego.

Skrzywiłem się ze złością i przyśpieszyłem kroku, maszerując szeroką ulicą pełną ciemnych restauracji oraz sklepów ze skórzanymi płaszczami. To była kraina teatrów i światła nigdy nie powinny tu gasnąć. W powietrzu unosiła się gęsta woń iluzji. Na ścianach wisiały plakaty reklamujące najróżniejsze przedstawienia. Przedstawiono na nich znanych aktorów uchwyconych w dramatycznych pozach.

- Dobry Boże, Hamleta też gra?! - zawołał nagle Bakker.

- Nie w tej chwili - warknąłem.

- Matthew, gdybyś tylko zdołał na chwilę zapomnieć o bieżących zmartwieniach, mógłbyś się przekonać, że potrafisz się świetnie bawić.

- Wie pan co? - mruknąłem, skręcając za brudną pizzerią w stronę, z której dobiegała woń rzeki. - Gdyby to ktoś inny wiedział coś o Zaciemnieniu, cała ta sprawa mogłaby się okazać przyjemnym doświadczeniem. Naprawdę by mogła. Szansa pogadania z interesującym użytkownikiem sztuki, dowiedzenia się czegoś o jego życiu i czasach, podzielenia się wiedzą i doświadczeniem. Ale nie, to musiał być pan. Nawet po śmierci nie może mi pan dać spokoju.

- Masz do mnie pretensję o to, że nie żyję? - zasugerował Bakker.

- Może Bóg faktycznie istnieje. Jeśli gdzieś tam jest... - Zwróciłem głowę ku niebu, potrząsnąłem parasolem z Myszką Minnie i zawołałem: - Starczy już tego! Daj mi chwilę odetchnąć, dobra? W końcu, ilu próbom można kogoś poddawać?

Moje słowa wybrzmiały w mroku.

A potem to usłyszałem.

Odgłos kroków, ledwie się przebijający przez szum deszczu.

Bakker kaszlnął.

- A teraz, Matthew... - zaczął.

Ku jego zaskoczeniu nakazałem mu gestem milczeć. Wytężyłem słuch.

Stukot kroków tłumiony przez deszcz. Rozchlapały wodę w kałuży, zatrzymały się, wróciły na twarde kamienie. Zbliżały się powoli i miarowo. Przyśpieszyłem, skręciłem za

włoską restauracją i ruszyłem w stronę Trafalgar Square. Ręka nas bolała, czuliśmy zapach rzeki, coś więcej niż tylko czysty chłód na wietrze, moc, potężną, płynną i intensywną. To zawsze będzie ostatnia rzecz, która utrzyma się w Londynie.

- Szalik! - zawołał Bakker, gdy mijalem wystawę.

Zatrzymałem się na chwilę, by zajrzeć do sklepu z prasą, oferującego również kapelusze, szaliki oraz cienkie czarne rękawiczki. Zamek w drzwiach ustąpił bez sprzeciwu pod naszym dotykiem. Porwałem szalik z półki, nie odrywając metki i ruszyłem w dalszą drogę.

Kroki były coraz głośniejsze. Ich odgłos nie dobiegał z żadnego określonego kierunku, lecz otaczał mnie ze wszystkich stron. Tylko jedna para nóg, ale dźwięk odbijał się od murów, wnikał w boczne uliczki, tworzył echa na szybach, był wszędzie, za mną i przede mną, narastał z każdą chwilą. Usłyszałem też głos.

- Czarnoksiężniku!

Jego donośne, przepojone radością brzmienie wypełniało ciemność.

- Czarnoksiężniku! Teraz twoja kolej!

Przeszedłem przez ulicę przejściem dla pieszych pod National Portrait Gallery, kierując się przyzwyczajeniem, nie rozsądkiem, a potem ruszyłem długim stokiem w dół, ku Trafalgar Square. Kierowałem się pamięcią, nie wzrokiem, widziałem niewiele więcej niż szare sylwetki na granicy niewielkiej sfery światła. Wspomnienia Kolumny Nelsona stojącej pośrodku placu, wielkiego białawego słupa zwieńczonego maleńkim posągami ozdobionym admiralskim kapeluszem oraz sporą porcją ptasich odchodów. Wielkie czarne lwy, cztery sztuki, strzegące płytkich basenów wypełnionych zielonkawoniebieską wodą, w których w normalnych warunkach szemrały fontanny. Powinny tutaj też być biegające dzieci, żebracy oraz nastolatki, które oblażyły wszystkie pomniki, ignorując tabliczki z zakazami. Protestujący przeciwnicy rasizmu i obrońcy środowiska, turyści obracający plany w tę i we w tę, by sprawdzić, w którą stronę idzie się do Parlamentu, a w którą do Buckingham Palace, muzyka - karaibskie stalowe bębny i szkockie dudy - policjanci oraz snajperzy ukryci na dachach ambasad.

Dziś w nocy nie było tu żadnej z tych rzeczy.

Tylko kroki.

Zbiegłem po schodach do miski Trafalgar Square. Odgłosy były wszędzie - stukot stóp o kamienną nawierzchnię i dźwięk śmiechu Ody, czy może nie-Ody.

- Szybciej! - wysyczał Bakker.

Odrzuciłem parasol i sięgnąłem po ukradziony szalik. Dwa razy okręciłem go sobie

nierówno wokół głowy, zasłaniając oczy, a potem zawiązałem z tyłu. Pozwoliłem, by żółte światelko zgasło i wszędzie zapadła ciemność.

Prawdziwa nieprzenikniona ciemność.

Wspomnienia o Trafalgar Square utraciły nagle wszelką wartość. Domysły ani znajomość układu terenu nie mogły mi w niczym pomóc. Powlokłem się przed siebie i potknąłem o własny parasol. Przykucnąłem i zacząłem szukać go na oślep, aż wreszcie wymacałem rączkę. Podniosłem go, otrząsałem z deszczu, złożyłem i wyciągnąłem przed siebie jak laskę niewidomego. Zdawało mi się, że słyszę za sobą śmiech, rytm kroków się zmienił, jakby weszły na schody. Potem ucichły. Szedłem wciąż przed siebie, chwiejąc się i powłócząc nogami. Poczułem pod palcami szorstką kamienną powierzchnię o łukowatym kształcie. Przebiegłem dłonią w dół, aż poczułem wodę, a potem zanurzyłem rękę po łokieć i wymacałem rury, kafelki oraz drobne miedziaki wrzucane tu przez turystów.

- Czarnoksiężniku?

Głos rozległ się tuż za mną. Odwróciłem się gwałtownie, rozpryskując wodę, i o mało nie pośliznąłem się na kamieniach. Złapałem się krawędzi kamiennej fontanny za swymi plecami, jakby była murami Jerycha.

Kroki. Okrążyły mnie, z lewej do prawej, a potem z prawej do lewej, zataczając niewielki łuk.

- Cześć, Odo - wyjąkałem.

Kroki ucichły.

- Nie Odo - odparła. - Jestem czymś znacznie więcej.

- Przepraszam. Cześć, Zaciemnienie. Jak się ma kobieta, którą nosisz?

Coś musnęło czubek mojej głowy. Cofnęliśmy się, ze wszystkich sił powstrzymując ogień przed napłynięciem do naszych palców. Odwróciliśmy twarz i odchyliiliśmy się do tyłu nad krawędzią fontanny.

- Co to jest? - zapytała nie-Oda, dotykając tkaniny osłaniającej moje oczy.

- Hmm... szalik?

- A dlaczego nosisz go na głowie?

Jej palce dotknęły zarysów moich oczu.

- No wiesz... dla ochrony przed ślepotą, krwawieniem z oczu, uszkodzeniem mózgu i śmiercią - wymamrotałem. - Z typowych powodów.

Jej palce powędrowały ku węzłowi z tyłu mojej głowy. Złapaliśmy ją za nadgarstki. Wymacaliśmy skaleczenie i lepka krzepnącą krew. Najwyraźniej jednak nie czuła bólu.

- Hmm, nie. To moja deprivacja sensoryczna.

Cofnęła powoli ręce, uwalniając nadgarstki.

Kiedy jej nie dotykałem, było gorzej. Znacznie gorzej.

Kroki.

Przesunęły się w lewo, a potem w prawo. Ucichły. Potem rozległy się znowu.

- Popatrz na nas - zażądała nagle.

- Przykro mi, ale nie mogę.

- Popatrz na nas!

Z naszej skóry sypały się iskry. Nie mogliśmy się powstrzymać, nie byliśmy w stanie tego odeprzeć.

- Nie dzisiaj.

- Popatrz na nas!

Wykrzyczane przez nią słowa uderzyły nas z siłą worka cegieł. Zgięliśmy się wpół, a gdy zdołaliśmy się wyprostować, nagromadzone wokół nas ładunki eksplodowały na zewnątrz, przesywając powietrze. Usłyszeliśmy trzask, gdy elektryczność uderzyła Ode, a potem nieco odleglejszy łoskot, kiedy jej ciało padło na ziemię. Nasze nozdrza wypełnił zapach ozonu. Poczuliśmy, że woda w fontannie zamienia się w parę. Osunąłem się na ziemię i wymacywałem na oślep drogę przed sobą, drżąc ze zmęczenia. Po chwili moje palce odnalazły rączkę parasola oraz kamienną krawędź.

Usłyszałem, że Oda wstała. Zamarłem w bezruchu na rękach i kolanach.

- Lady Neon błagała - oznajmiła cicho.

Podniosłem się na kolana i wsparłem dłonie na nogach, oddychając z wysiłkiem.

- Ten drugi, mężczyzna z Plemienia, walczył przez chwilę. Ale potem też błagał. Jeśli zaczniesz od błagania, wszystko skończy się szybciej.

- Odo... - zacząłem.

Coś twardego, szybkiego i gorącego uderzyło mnie w plecy i obaliło na ziemię. Nie słyszałem ruchu, a gdy Oda przemówiła, jej głos brzmiał równie spokojnie jak przedtem.

- Słyszeliśmy, że niebieskie elektryczne anioły są zbyt dumne, żeby być człowiekiem. Że uważają się za bogów, za lepszych niż cała reszta. Cóż za upadek dla potężnych.

- Nie jestem bogiem - jęknąłem, wstając.

- Ale one są!

Coś gorącego uderzyło nas w brzuch. Zgięliśmy się wpół, wydając z bólu nieartykułowane zwierzęce krzyki.

- Jesteście teraz lepsi? - zapytała Oda. - Jesteście więksi, szybsi, silniejsi, inteligentniejsi, mądrzejsi, lepsi? Jesteście czymś więcej niż inni?

- Jesteśmy... czymś więcej... od ciebie... - wysyceliśmy. - Jesteśmy... jesteśmy sumą wszystkiego, czym wy jesteście, stworzeniami, które powołaliście do istnienia, wszystkim, co wlaście w przewody telefoniczne, całą tą wiedzą, wszystkimi uczuciami i tajemnicami, zamienionymi w postać cyfrową i wysłanymi w przewody, jesteśmy tym wszystkim. Tak. Jesteśmy szybsi, inteligentniejsi i lepsi. Jesteśmy wspaniali. Wy jesteście maleńcy. Ale my jesteśmy mną.

- A kim ty jesteś?

- Tylko dzięki temu, że jesteśmy mną, możemy żyć.

Usłyszałem, że zatrzymała się przede mną, poczułem jej oddech na swym policzku.

- Tak - zachęciła mnie. - Ale kim ty jesteś?

- Tylko sobą - odparłem. - To wszystko.

Uderzyła nas w policzek otwartą dłonią i obaliła na ziemię. Spróbowaliśmy się podnieść. Uderzyła nas znowu. Nie ponowiliśmy próby. Słyszałem jej szybki oddech.

- Czarnoksiężniku - wysyczała. - Cóż za przyjemność musiało ci sprawiać, gdy chodziłeś wśród śmiertelników, wiedząc, kim jesteś.

- Wiem z niewątpliwie wiarygodnego źródła - wymamrotałem, czując w ustach smak krwi - że jestem w najlepszym przypadku bardzo przeciętnym czarnoksiężnikiem.

Przesunęła palce na mój kark, złapała mnie za włosy i podniosła na kolana, a potem uniosła moją głowę, zmuszając mnie do spoglądania w miejsce, gdzie powinna być jej twarz.

- Którym z nich teraz jesteś? - zapytała.

- Hmm...

- Którym? Człowiekiem czy aniołem, człowiekiem czy aniołem, którym?

- To tak nie wygląda.

- Człowiekiem aniołem człowiekiem aniołem człowiekiem aniołem człowiekiem aniołem?!

Potrząsnęła nami. Nie jesteśmy zrobieni z kamienia. Zatrzęśliśmy się.

- Jednym i drugim! - wymamrotałem przez dzwoniące zęby.

Przestała mną szarpać. Nacisk na mój kark zelżał. Ponownie osunąłem się na ręce i kolana, zbyt oszołomiony, bym mógł coś zrobić w sprawie bólu. Poczułem, że coś poruszyło się obok.

- A którym z nich ty jesteś? - zapytałem.

Znieruchomiała. Zciemnienie znieruchomiało. Słyszałem tylko szum deszczu.

- Ja... - zaczęła i znowu przerwała. To słowo uwięzło jej w gardle. - Ja... - zaczęła znowu.

- Odo? - wydyszałem.

- Ja... tego... nie zrobiłam...

- Powiedz, czego nie zrobiłaś?

- Ja... my zrobiliśmy... ja zrobiłam... my...

- Odo Ajaja-Brown, urodzona w, Boże zmiłuj się, Reading, psychopatyczna suko, pamiętasz mnie? Zabrakło mi już palców, by policzyć, ile razy mogłaś mnie zabić. Rozmawiałem ostatnio z szatanem, rozwiązywaliśmy razem krzyżówkę. Powiedziałem „na siedem liter”, a on zapytał „masz jakieś?”. Odpowiedziałem: „trzecia litera to p, to chyba będzie anagram”, a on rzekł na to: „niech ci się nawet nie śni”, machnął ogonem i poszedł tanecznym krokiem zamówić jeszcze jedną kolejkę martini. Pamiętasz tę szalenie zabawną chwilę, gdy jakiś świr mnie postrzelił, a ty mi pomogłaś? Albo ten paskudny incydent z chodzącym trupem w podziemiach Holborn, kiedy wyciągnęłaś mnie stamtąd? Pamiętasz Balham, pamiętasz elektryczne skrzydła, pamiętasz, jak lecieliśmy? Uważam, że to było wyjątkowo szatańskie. Prawie że słyszałem stukot kopyt przebijający się przez hałasy metra.

Coś miękkiego i ciepłego owinęło się wokół mojej szyi, po czym szybko zrobiło się znacznie twardsze i zimniejsze. Uniosłem rękę, wymacałem nadgarstek i rękaw, spróbowałem odciągnąć jej palce, ale nie zdołałem tego zrobić. Słyszałem szum krwi w uszach, każdy oddech przypominał przepychanie piłek krykietowych przez sito.

- Nienawidzę cię - wydyszała.

Wydałem z siebie dźwięk brzmiący jak papier ścierny trący o tablicę. Nie było mnie stać na nic więcej.

- Nienawidzę cię. Nienawidzę cię, Matthew. Nienawidzę.

W moim mózgu orkiestra os grała pożegnalne tango.

- Czemu tego... czemu tego... czemu tego nie zrobiłaś, kiedy cię prosiłam? Dlaczego mnie nie zabiłaś?

- Przepraszam - wycharczałem.

- Nigdy mnie nie słuchasz!

- Przepraszam.

To najwyraźniej nie wystarczyło. Oda znowu nami potrząsnęła.

- Dlaczego nigdy mnie nie słuchasz?!

- Przepraszam!

- Dlaczego jej nie uratowałeś?! - wykrzyczała.

W tej samej chwili ujrzeliśmy gwiazdy przed oczyma. Potrząsnęła nami raz jeszcze i pchnęła nas na ziemię. Odruchowo osłoniłem rękami głowę, i podciągnąłem kolana pod

brodę, czekając, aż zrobi się gorzej. Nie zrobiło się. Usłyszałem...

...coś, co niemal mogłoby być kobiecym płaczem.

- Przepraszam, Odo - wyszeptałem. - Próbowałem.

- Ale za słabo!

Głos, który wyrzeszczał te słowa, nie należał do Ody, nie całkiem. Dźwięk wniknął w nasze uszy i wyszedł drugą stroną, sprawił, że żołądek opadł nam do kolan, wypełnił nozdrza gorącą krwią, podrażnił język smakiem żelaza, zapłonął na powierzchni naszej skóry.

- Odo! - dobiegł skądś głos, który mógł być moim głosem. - Przestań! Odo! Przestań!

Spójrz na siebie!

Przestała.

Przez krótką chwilę mogliśmy jedynie oddychać, a i to tylko wysiłkiem woli, który Herkulesa uczyniłby kaleką.

Cisza.

Nawet nie wiedziałem, czy Oda nadal tu jest.

- Odo? - zapytałem przez osłaniającą twarz dłoń. - Odo?

- Chcemy... potrzebuję...

Spróbowałem się podnieść, ale szybko dałem za wygraną.

- Nie mogę... proszę... nie mogę...

- Wstawaj, Matthew - zabrzmiał w mojej głowie głos Bakker'a.

- Nie mogę.

To był głos Ody, słyszalny gdzieś w pobliżu.

- Wstawaj!

- Nie mogę...

- Niebieskie elektryczne anioły nie giną w ten sposób!

Podjęliśmy kolejną próbę. Włożyliśmy w nią tyle skupienia, że żaden bohaterski czyn nie mógłby wymagać go więcej. Czuliśmy między palcami krew, lepka brzydką ludzką krew, ciepłą i wilgotną, czuliśmy jej niezdrowy smak na wargach, spływała nam wewnątrz nosa, gromadziła się w uchu. Ta świadomość omal nie obaliła nas z powrotem na ziemię, omal nie okaleczyła, nim zdołaliśmy wziąć się w garść. Pomyśleliśmy o Robercie Bakkerze, o jego arogancji i próżności. O Penny i o tym, jak otaczające ją powietrze zapłonęło. O Theydonie rozdrapującym rozpaczliwie swą twarz, o tym, jak Toxik wydmuchiwał w powietrze dym papierosowy, o dotyku ust Lady Neon, o tym, jak wyglądała Leslie Dees w chwili śmierci i jak głowa JG odbiła się od ziemi.

- W porządku. Wszystko będzie w porządku - odezwaliśmy się, nie mogąc do końca

uwierzyć, że to my wypowiadamy te słowa.

- Czarnoksiężniku?
- Wszystko będzie dobrze, Odo.
- Przez ciebie pójdę do piekła.
- Nie chciałem tego, Odo. Naprawdę nie chciałem.
- Będę płonęła. Płonęła przez całą wieczność.
- Nie.
- W piekielnym ogniu.
- Nie.
- Ja... ja... my... ja... proszę, ja...

Wyciągnęliśmy na oślep rękę, znaleźliśmy koniuszek jej buta i oparliśmy palce o jego brzeg.

- Przepraszamy, Odo. Wybacz nam.
- Czy... czy potrafisz nas powstrzymać?
- Nie.
- Dlaczego? Dlaczego nie potrafisz?

Podczołgaliśmy się trochę bliżej, drżąc z wysiłku.

- Wiemy, czym jest piekło, Odo.
- Wydała z siebie dźwięk przypominający śmiech.
- Pewnie, że wiecie.

- To otchłań. Wielka czarna otchłań, spadanie bez końca. Zdrowi na umyśle ludzie wpadają w niej w obłąd. Jest tak szeroka, głęboka i mroczna, że nie warto nawet próbować się z niej wygramolić. Na jej dnie nie ma nadziei, ale na górze widać odrobinę światła, żeby człowiek pamiętał wszystko, co utracił, nawet jeśli nigdy już ich nie odzyska. Dzięki temu światłu może też zobaczyć niezliczone okropieństwa, ale nie ma komu o nich opowiedzieć, a światła jest za mało, by mógł sobie uświadomić, że to tylko cienie. Pójdiesz do piekła, Odo.

Usłyszałem śmiech, który mógł być łkaniem.

- Widziałaś je, prawda? Tę wielką mroczną czeluść pełną ludzkich rąk, próbujących cię pochwycić, kiedy spadasz. Musiałaś je widzieć, tylko to mogło umożliwić Zaciemnieniu wejście w ciebie. No wiesz, tym właśnie jest Zaciemnienie. Bezkręsnym spadaniem w ciemność: nie może połączyć się z kimkolwiek, wyzreć dowolnych oczu. Tylko te, które widziały za dużo.

- Być może powinniśmy cię zjeść - wyszeptala. - Na końcu wszyscy widzą, czym jesteśmy. Nawet najpiękniejsi, najbogatsi, najpotężniejsi i najinteligentniejsi. Wszyscy.

Dlatego wydzierają sobie oczy.

- Ale tylko nieliczna garstka może się stać tym, kim ty jesteś. Wsuwasz się pod ich skórę, wnikaszk do krwi, stajesz się wielką czarną otchłanią tkwiącą w ich środku, każesz im chodzić i mówić, a każdy, kto spojrzy na ciebie, tylko spojrzy, ujrzy na krótką chwilę to, czym jesteś naprawdę, i to wystarczy z nawiązką. Z bardzo, bardzo wielką nawiązką. Potrafię zrozumieć, dlaczego potrafiłeś wykorzystać Odę.

- Jesteśmy jednym i tym samym.

- Jej ciało, jej życie.

- Jesteśmy... jestem... nikogo nie wykorzystujemy. Jesteśmy jednym i tym samym.

- A którym z nich jesteś teraz? - zapytałem.

- Ja... my...

- Potworem czy człowiekiem? Potworem człowiekiem potworem człowiekiem potworem człowiekiem, którym?

- Matthew? Nie chciałam... Ci, którzy zginęli, byli... - Jej palce znalazły moje. - Zabijesz mnie?

- Nie potrafię.

- Zabijesz mnie?

- Nie potrafię. Przykro mi. Nie potrafię.

- Jesteśmy... jesteśmy tak bardzo potężni i jesteśmy... jesteśmy na wieki i... widzieliśmy tak wiele. Proszę, powstrzymaj to.

- Nie umiem. Ty nie żyjesz, Odo. Umarłaś już jakiś czas temu. Masz we krwi Zaciemnienie, i to utrzymuje cię przy życiu. Dlatego nie jestem w stanie cię zabić. Nawet gdybym zniszczył twoje ciało, Zaciemnienie będzie żyć dalej, jako duch w twoich kościach, ciemność w pozostałym po tobie prochu. Przepraszam.

- To co z ciebie za pożytek? - warknęła. - Nie potrafiłeś nawet jej uratować!

- Przepraszam. Przepraszamy.

- Byliśmy... mieliśmy... to strach utrzymuje nas przy życiu, nie zdołasz tego powstrzymać, nigdy, nie uda ci się nas wygnać, nie możesz tego powstrzymać, zawsze będą kroki w ciemności, stworzenie na końcu zaułka...

- Wiem.

- Nigdy nie zdołasz odebrać nam życia!

- Wiem. Zabijesz mnie? Odo?

Zawahała się. Jej uścisk hamował dopływ krwi do mojej dłoni.

- Jesteś potężny, czarnoksiężniku - stwierdziła po chwili.

- Tak samo jak ty.

- Ja nie... nie chciałam...

- Zgodnie z twoją teologią, pójdziesz do piekła, Odo. I ja też. A także mnóstwo innych ludzi. JG. Pani Dees. Toxik i Lady Neon. Penny i Sinclair. Kłamcy, hazardziści, oszuści, mężczyźni, którzy pożądają kobiet, kobiety, które się im oddają, desperaci, którzy decydują się na ostatni rozpaczliwy krok, bogaci, chciwi, otyli, próżni, chełpliwi i pyszni. Wszystkich nas czeka piekło. A w takim przypadku, czy naprawdę musisz zaciągnąć nas tam odrobinę wcześniej?

- Jak mogę to zatrzymać? - zapytała. - Nie zrobimy tego! - dodała na tym samym wydechu, ale przerwała nagle.

Osunąłem się na kolana, zwracając głowę w kierunku, w którym moim zdaniem powinna się znajdować.

- Zaciemnienie cię potrzebuje.

- Nie potrzebujemy, nie potrzebujemy, jesteśmy na wieki, nie zatrzymamy się, nie zatrzymamy, nie!

- Jesteś jedyną dziewczyną w mieście, która może to powstrzymać.

- Nie odejdziemy, nie, nie, nie, nie!

- Nie potrafimy ci pomóc.

- Nie ma z ciebie żadnego pożytku, żadnego, nie zrobimy tego!

Uścisnąłem mocniej jej palce. Odetchnęła urywanie.

- Czarnoksiężniku! - wysyczała.

- Nadal tu jestem.

- To mogłeś być ty, prawda?

Coś nagle ścisnęło nas - mnie - w żołądku.

- Nie - wydyszałem.

- Tylko zaczekaj, aż staniesz się taki, jak my, ja, my, ja... - Znowu zaczerpnęła tchu, drżąc z wysiłku. - Jak mogę to powstrzymać?

- Jest was dwoje w jednym ciele - wyjaśniłem. - Połączonych ze sobą ścisłą więzią. Nie można pozbawić życia jednego, nie uśmiercając jednocześnie drugiego. Nie ma Zaciemnienia bez Ody ani Ody bez Zaciemnienia. Rozumiesz?

- Nie!

- Kto spojrzy na Zaciemnienie ten ślepie, a z oczu płynie mu krew. Jego moc jest teraz ogromna, Odo. Zaciemnienie i ty połączyliście się ze sobą ściśle. Rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem, nie rozumiem, nie zrobimy tego, nie...

- Musisz go z siebie wypchnąć.

- Ja... ja... my...

- Czy wiesz, jak Robert Bakker zdołał pokonać Zaciemnienie?

- Nie, nie, nie, nie, nie, nie nas, nie nas, nigdy nas nie pokonano, nigdy...

- Był przy tym, gdy Woods wpuścił Zaciemnienie i jego oczy zamieniły się w galarete.

Był przy tym, kiedy wszyscy zginęli, i wiesz, na czym polega wielka tajemnica jego zwycięstwa nad Zaciemnieniem, ta największa ze wszystkich tajemnic w tej sprawie? Woods był sierotą. Bakker też. Kolegowali się od dziecka. Woods zabijał każdego, kto się do niego zbliżał, ale nie potrafił się zdobyć na to, by pozbawić życia swego jedyne przyjaciela. Oda i Zaciemnienie. Jedno nie może istnieć bez drugiego.

Słyszałem urywany oddech, atak astmy, któremu towarzyszyło gwałtowne charczenie, słowa próbujące się ukształtować na wargach za mocno drżących z wysiłku.

- Popatrz na nas! - wykrztusiła wreszcie Oda, gwałtownie, jakby w końcu nadeszły długo się zbierające wymioty.

- Nie.

- Popatrz na nas!

- Nie.

- Jesteśmy jesteśmy jesteśmy otchłanią jesteśmy jesteśmy tym co dzieje się w nocy jesteśmy tym co uczyniliście stworzyliście nas strach strach gówna hańba wstyd strach coś w nocy nocne stworzenie na końcu zaułka nic tu nie ma tylko cienie ale strach tak wielki strach jesteśmy jesteśmy jesteśmy...

- Odo.

- Jesteśmy jesteśmy *jesteśmy Jesteśmy*...

- Odo Ajaja.

- *JESTEŚMY...!* - wrzasnęła, ale zaraz przelknęła te słowa, zatrzymała je, nim zdołały dotrzeć do celu.

Zapadła cisza.

Deszcz bębnił intensywnie.

Woda spływała szparami między kamiennymi płytami.

- Spójrz na mnie - poprosiła. - Matthew? Spójrz na mnie.

Uniosłem rękę, by zdjąć szalik z oczu. Wsunąłem palce pod tkaninę. Zapadliśmy się w siebie. Zdjąłem szalik, nadal zaciskając powieki, uchyliłem je leciutko, zobaczyłem ciemność i otworzyłem je nieco bardziej. Do koniuszków naszych palców napłynęło nieproszone światło. Zamrugalem, by usunąć z oczu suchość i znużenie. Odę dzieliło ode mnie zaledwie

kilka cali. Twarz miała podrapaną, brudną i krwawiącą, a jej oczy przypominały pudding. Na skórze wokół nich zostały ślady po paznokciach, płytkie, niepewne i urywane. Gapiała się na mnie krwawiącymi oczyma i potrzebowałem całej siły woli, by nie zacisnąć powiek.

Patrzyła na mnie.

A ja na nią.

- Cześć - wymamrotałem.

- Którym z nich jesteś? - zapytała, obiegając palcami nasze niebieskie oczy. - Człowiekiem, aniołem?

- W tej chwili? - Westchnąłem. - Żadnym z nich. - Uniosłem ręce. Moje palce zostawiały cienkie krwawe ślady na skórze pod krwawą masą wypełniającą jej oczodoły. - A ty?

- My... ja... jestem...

- Jesteś Oda Ajaja - zapewniłem łagodnym tonem. - Siostra Kayle'a, który oszalał i czynił zło. Siostra Jabuile, która nie była ani szalona, ani zła. - Przechyliłem głowę. - Oda, znana też jako psychopatyczna suka - dodałem. - Cześć. Cieszę się, że cię widzę.

Uśmiechnęła się.

- Cześć - odparła. - Ja też się cieszę, że cię widzę. - Przerwała na chwilę. - Żegnaj, Matthew.

- Żegnaj.

Zamknęła oczy.

Westchnęła.

Ale nie przestała oddychać.

Powietrze wokół jej warg migotało, jak rozgrzane upałem. Poruszało się, jakby żyła w nim jakaś istota próbująca się wyrwać na wolność. Z nozdrzy Ody buchał dym, który zatrzymywał się w maleńkich pęknięciach jej warg, gęstniał, a następnie unosił ku górze. Jego smużki rozciągały się na wszystkie strony, wirując niczym burza w butelce. Z każdą chwilą sięgały coraz dalej i wciąż pojawiał się nowy dym. Mogłoby się zdawać, że zatrzymała w swych udręczonych płucach oddech godny słonia, jakby ktoś pompował w nią dym. Kiedy wychodził na zewnątrz, jej ciało drżało i szarpało się jak sztywne marionetka na sznurku. Przypominało to spazmy poprzedzające wymioty. Odwróciła głowę do tyłu, zaciskała i rozluźniała palce zwisających luźno rąk. Przez chwilę w tańczącym wokół niej dymie również widziałem palce, które wyciągały się, próbowały wyrwać na zewnątrz, nim opary wchłonęły je z powrotem. Po jej twarzy spływała krew. Wylewała się również z dziury w bijącym słabym rytmem sercu, ściekała po tułowiu i ramionach, sączyła się z kilkunastu ran, których

Oda nawet nie zauważyła.

Pochyliła się, jej pierś zapadła się w siebie, wygięła ręce do tyłu, a potem do przodu i zgięła się w pół, zasłaniając głowę. Strumień czarnego dymu bijący z jej ust zaczął słabnąć, a po chwili zniknął. Obłok nad jej głową kłębił się i wirował, próbując się wyrwać na wolność. Podniosłem się chwiejnie i spojrzałem w jego wnętrze. Zdawało mi się, że słyszę...

Nie nie

nie nie nie nie

Proszę nie

On przyjdzie po

Nikt się nie dowie

Nie powiem

Nie ma się czego bać

Nic ciekawego

Kroki w ciemności

Czekamy na ciebie

Potem poczułem woń. Zimny wietrzyk, pomimo deszczu pachnący rzeką, wniknął w brzuch wirującej chmury i rozszczepił ją na dwoje, a potem zawrócił i zrobił to znowu, delikatnie i bezgłośnie. Zauważyłem Bakkerę, który stał obok, przyglądając się rozpraszającemu się obłokowi. Poczulem krew w krzyżach na prawej dłoni. Zdawało mi się, że słyszę...

Wodę spływającą do morza

Nie nie nie nie nie nie!

Czekanie... na...

Deszcz spływający po metalowym dachu

Nie nie nie nie NIE NIE NIE NIE JESTEŚMY

Łopot potężnych skrzydeł

jesteśmy jesteśmy jesteśmy

Oddalające się kroki

Coś zaskwierczało.

Obejrzelśmy się powoli.

Samotna latarnia na skraju placu. Włókno wewnątrz wielkiej okrągłej żarówki na szczycie pseudowiktoriańskiego żeliwnego słupa rozjarzyło się pomarańczowoczerwonym blaskiem. Światło migotało przez krótką chwilę, a potem spróbowało raz jeszcze. Włókno rozjarzyło się do białości i zaświeciło jasno z głośnym trzaskiem.

Za pierwszą latarnią podażyła druga. Dym zniknął już niemal całkowicie, splukiwany przez deszcz.

Zapaliła się trzecia latarnia.

Reflektory w fontannie również się włączyły i snopy ich blasku padły na pokraczne grzbiety posągów mogących wyobrażać tańczące ryby, delfiny albo jakieś zupełnie inne nieprawdopodobne morskie stworzenia.

Zapłonęły światła pod St Martin-in-the-Fields, ich blask ukazał dumne białe kolumny i brudne białe schody. Potem przyszła kolej na National Gallery. Zapaliły się lampy za wielkimi zakratowanymi oknami, w dyskretnych witrynach sklepów z książkami, dziełami sztuki oraz impresjonistycznymi ścierkami do naczyń, w oknach ambasad i za zasuniętymi żaluzjami kawiarń. Zapaliły się latarnie wzdłuż The Mall i za bezlistnymi drzewami, ciągnącymi się w stronę Hungerford Bridge. Światła w śpiących taksówkach zaparkowanych pod Charing Cross, na samej stacji i w przejściach podziemnych, w teatrach na St Martin's Lane i nad małymi bankomatami za Leicester Square. Włączyły się kamery uliczne i cierpliwie wirujące światła ostrzegawcze czekających na ulicach samochodów technicznych. Zalśniły światła na odległych sylwetkach londyńskiego Oka, BT Tower, a także Centre Point, gdzie całkiem niedawno czarnoksiężnik zwany Robertem Bakkerem zginął strącony na ziemię przez bardzo rozgniewanego ucznia, ale jego ostatnie tchnienie zabutelkowano celem późniejszego wykorzystania. Od Hampstead do Hammersmith, od Maida Vale do Morden, od Hackney do Hounslow, od Seven Sisters do Streatham, wszędzie zapaliły się światła.

Coś upadło na ziemię.

Spojrzałem na to. Klęknąłem i odwróciłem jego twarz ku deszczowi, by splukał choć trochę krwi. Oczy miało zamknięte i nie pragnąłem ich otwierać. Nic nie mówiło i nie oddychało.

Oda Ajaja nie żyła.

Epilog

Tymczasowy rozejm

*W którym kończą się te wątki,
które można zakończyć,
pozostałe zaś wszyscy starannie ignorują.*

Słońce zachodziło już nad Surbiton.

Z pociągu z Waterloo wysiadł mężczyzna i, jak prawie codziennie, poszedł do banku. Zrealizował parę czeków, wziął ulotkę pod tytułem „Co powinieneś wiedzieć o emeryturach”, potem skierował się do sąsiadującej z bankiem pralni samoobsługowej i zapłacił pięć funtów za świeżo wyprasowane i wykrochmalone koszule, a na koniec wsiadł do czerwonego jednopoziomowego autobusu, złożył swoje rzeczy na kolanach i pojechał.

Wysiadł z autobusu na końcu ulicy pełnej domów bliźniaków wzniesionych z muru pruskiego, wyglądającej identycznie jak wszystkie takie ulice, pomijając sklep z chińszczyzną na wynos na rogu. Szedł przez jakieś dziesięć minut, mijając ogrody o krótko przystrzyżonej trawie oraz parkingi pełne elegancko wyczyszczonych vauxhalli i volkswagenów. Potem skręcił w lewo, mijając miejscowe biuro Partii Konserwatywnej, i przeszedł małym zaułkiem między szeregiem domów oraz przyjaznymi dla dzieci ogródkami, w których gdzieś umieszczono trampoliny.

W połowie tego skrótu, którym chodził codziennie, zawahał się nagle.

Czyżby usłyszał coś za sobą?

Czy jego serce ominęło jedno uderzenie na myśl, że coś może go obserwować?

Mało prawdopodobne.

Zapewne tylko mu się zdawało.

Wyszedł z zaułka na szerszą ulicę. Domy były tu wolno stojące, a w ogródkach przed nimi trawa była krótko przystrzyżona a żwir zagrabiony. Szedł przed siebie, aż wreszcie

dotarł do budynku z czerwonej cegły o pochyłym dachu, bardzo podobnego do pozostałych. Światło zapaliło się automatycznie, kiedy się zbliżał. Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął trzy klucze na kółku i otworzył drzwi wejściowe. W środku było cieplej i bardziej sucho niż na zewnątrz, z oddali dobiegały dźwięki centralnego ogrzewania. Mężczyzna zamknął za sobą drzwi, wytarł nogi, a potem, w czymś w rodzaju szklanego przedpokoju dzielącego świat zewnętrzny od wewnętrznego, zdjął płaszcz oraz buty, zastępując je kapciami.

Wchodząc do środka, zapalił kilka świateł.

Ich blask padł na kilka dość banalnych ozdób. Wiejski pejzaż, na którym przedstawiono scenę żniw w średniowiecznej Francji, czarno-białe zdjęcie radosnej grupy osób - zapewne rodziny mężczyzny - uśmiechającej się głupawo do nieznanego fotografa, oraz serię rycin wyobrażających stare śmigłowe samoloty, zaopatrzonych na dole w notatki dotyczące typu I serii. Na podłodze leżało kilka rachunków, które ułożył w równy stosik na stole, oraz list od miejscowego posła do Parlamentu, zachęcający do wykonania obowiązku wobec lokalnej społeczności.

Mężczyzna przeszedł przez kuchnię o podłodze z różowej terakoty i - jak zawsze - zapalił gaz pod czajnikiem, nałożył na mały talerz zimną szynkę, chleb i ser, a gdy woda się zagotowała, zrobił sobie kubek ziołowej herbaty o obrzydliwym zapachu.

Potem udał się prosto do gabinetu, nie zwracając sobie głowy zapalaniem świateł. Na półkach stały książki - od traktatów teologicznych poprzez powieści kryminalne aż po analizy konfliktów politycznych z ostatnich pięćdziesięciu lat. Stare gazety leżały równo złożone i przygotowane do recyklingu, a na biurku panował perfekcyjny porządek. Zasłony zaciągnięto. Usiadłszy na obitym skórą krześle, mógłby zapewne zauważyć, że jest ciepłe.

Przypadek jednak zrządził, że nie zauważył.

Zapalił stojącą na biurku staromodną lampę, ukształtowaną na podobieństwo gigantycznej wazy i nakrytej abażurem składającym się głównie z frędzelków. Światło padło na równy stos aktówek, podręcznik medyczny z zakładką na rozdziale poświęconym cukrzycy oraz Biblię.

A także, nie do końca przypadkiem, na moje stopy, które oparłem o drugi brzeg biurka.

Nie zachowuję się w domu tak porządnie, jakby należało.

Mężczyzna przyglądał się przez chwilę moim nogom, nie okazując zaskoczenia.

- Poczęstował się pan herbatą, panie Burmistrzu?

- Rozejrzałem się w kuchni, ale znalazłem tylko jakieś ziółka - odparłem.

- Bardzo pomagają na żołądek.

- Ale zupełnie nie pasują do ciasteczek z kremem.

Rozsiadł się wygodnie w krześle, splótł dłonie za głową i przyglądał się nam przez chwilę.

- W czym mogę dziś panu pomóc, panie Burmistrzu? - zapytał wreszcie.

Zdjąłem nogi z biurka, zastępując je łokciami, i wsparłem podbródek na dłoniach.

- Porozmawiajmy szczerze, panie Chaigneau. Może być?

Anton Chaigneau rozważył moją propozycję i skinął głową. - Jeśli pan również będzie szczerzy, oczywiście. Nie chciałbym stracić na tej wymianie.

- To zrozumiałe - zgodziłem się. - Od czego chciałby pan zacząć? Już wiem, Oda nie żyje.

- Słyszałem o tym.

- Ale nie zjawiał się pan na pogrzebie, prawda?

- A pan? - zapytał, unosząc brwi.

- Och, ja przyszedłem - odparłem. - To był prawdziwy bal. Pojawiliśmy się: ja, Penny, grubas imieniem Dudley, który pewnie chciał się przekonać, czy ktoś będzie płakał. A także zwierzołak zwany Charliem. On zawsze towarzyszy Dudleyowi. Pogrzeb odbył się w Abney Park. Był pan tam kiedyś? Pochowano ją obok posągu anioła, do połowy zaplątanego w bluszcz. Ja się nie modliłem, bo to by była hipokryzja, ale Penny tak. Ona podchodzi do tego prawidłowo. Uważa, że Bóg patrzy na dobre uczynki, nie na to, co jest napisane. Trochę padało. Ale mieliśmy parasole.

- Cieszę się, że Oda miała w miarę porządną pogrzeb - rzekł.

- Ale pan nie przyszedł.

- Niestety, obowiązki mi nie pozwoliły.

- Niestety. Aha, wyślę panu rachunek za nagrobek.

- To chyba sprawiedliwe rozwiązanie.

- I za nagrobek jej siostry również.

- Kogo...? - zapytał, unosząc brwi.

- Jej siostry - powtórzyłem. - Jabuile Ajaja. Pochowano ją obok Ody. No wie pan, otrzymaliśmy specjalną ofertę. Dwa miejsca w cenie jednego. Na tym pogrzebie były łzy. Znowu Penny. Takie okazje silnie na nią działają. Swoją drogą, Penny jest w porządku, jeśli pan o to pyta. No wie pan, nie co dzień człowiek zostaje zamieszany w epicką wojnę między Dworem a Plemieniem, a muszę panu powiedzieć, że poza skopaniem paru zakłęb na samym finiszu spisała się znakomicie. Moją Penny Ngwenyę trudno będzie wam zabić.

- Ach, widzę, że wraca pan do siebie - dodał energicznym tonem. - Słyszałem

pogłoski, że z pańskim zdrowiem było kiepsko.

Wzruszyłem ramionami.

- Znam taką zdumiewającą kobietę praktykującą w krypcie. Ma kontrakt z publiczną służbą zdrowia i tak dalej. To by się panu nie spodobało. Pieniądze podatników idą na leczenie czarnoksiężników z zespołem stresu pourazowego. Można by niemal pomyśleć, że jesteśmy ludźmi.

- W pańskim szczególnym przypadku to nie jest do końca prawdą, panie Burmistrzu, ale proszę mówić dalej.

Przeniósł ręce z głowy na kolana. Plecy i szyję miał sztywno wyprostowane.

- Swoją drogą, przejrzałem pańskie akta - ciągnąłem. Porwałem kawałek sera z jego talerza i zrobiłem z niego kulkę między palcami. - Nie miałem pojęcia, że Zakon jest tak pozbawiony ambicji. Atakujecie drobnych druidów i czarownice, choć po okolicy kręcą się anioły, demony, czarnoksiężnicy, Nocni Burmistrze oraz inne tego typu stworzenia. Moglibyście walczyć z nimi; ale gdzie tam. Małych grzeszników łatwiej jest załatwić niż wielkich. Czuję się głęboko rozczarowany.

- Swoją drogą, zastanawiam się, skąd pan zna ten adres, panie Burmistrzu?

- Och, zdradził mi go facet imieniem Dudley. To wielka szycha. Ma mnóstwo kontaktów. Wścibia nos w najróżniejsze sprawy. Powiedziałem mu: „Dudley, myślę, że Anton Chaigneau o mało nie doprowadził do zagłady całego miasta”. On mi na to „nie”, ja zaś odpowiedziałem „tak”, a on zapytał „naprawdę?” i ja wtedy „spójrz mi w oczy”. Zrobił to i powiedział: „Hmm, w takim razie lepiej coś zrób w tej sprawie. Tu masz jego adres...”.

Chaigneau zerwał się z krzesła, otworzył szufladę i wyciągnął pistolet, nim zdążyłem wypowiedzieć następną sylabę. Broń była mała i paskudna, ale z niewielkiej odległości by wystarczyła, żeby wykonać swoje zadanie. Odłożyłem ser z powrotem na talerz i usiadłem prosto.

- Wie pan co... - ciągnąłem. - Myślę, że problem polegał na przekombinowaniu. Miał pan bardzo dobry plan, wykorzystujący jedną z największych słabości społeczności magicznej, fakt, że jesteśmy skłonni uwierzyć w niemal wszystko, ponieważ prawie wszystko jest możliwe. Zapłacił pan O'Rourke'owi za fałszywe proroctwo. Może zaszantażował go lub zagroził w jakiś inny sposób.

- Jego córce - wyjaśnił ze spokojem Chaigneau. - Zagroziliśmy jego córce.

- To bardzo ekonomiczne podejście - stwierdziłem, nie spuszczać z oczu pistoletu. - Tak czy inaczej, zmusiliście O'Rourke'a do wygłoszenia fałszywego proroctwa a, szczerze mówiąc, Plemię i Dwór i bez tego były w pełni gotowe skoczyć sobie do gardeł.

Potrzebowały tylko odrobiny zachęty. Dlatego rozpuściliście pogłoski o istnieniu wybranej, która zniszczy jedną z tych grup. O'Rourke powiedział o tym Minjae Sanowi z Neonowego Dworu, a pan się postarał, by informacja wyciekła do Plemienia. Wystarczyło, by tylko jedna ze stron rozważyła możliwość, że druga pomyśli: „O mój Boże, nasi wrogowie w to wierzą. Nie możemy pozwolić, żeby nas uprzedzili”. Wkrótce mieliśmy Lady Neon w mieście i wojowników w Sidcup. Pokazywał im pan przynętę przez pewien czas, a potem pomyślał: „Hej, przydałoby się parę ofiar! Wyślijmy ich jednocześnie w to samo miejsce w pogoni za zjawą i przekonajmy się, kto kogo zabije!”. Dlatego poinformował ich pan, że wybrana ukrywa się w Sidcup. I tu właśnie moim zdaniem próbował pan być za sprytny. Postanowił pan dać im prawdziwą wybraną. Po cholere?

Chaigneau przesunął kciukiem wzdłuż pistoletu, zastanawiając się nad wystrzeleniem. Przyglądaliśmy się mu ze spokojem.

- Proszę mówić dalej - odezwał się po chwili. - To fascynujące.

- Pomyślał pan: „To genialne! Za jednym zamachem pozbedziemy się wszystkich zgniłych jaj”. Tak się składało, że miał pan Jabuile Ajaję, siostrę Ody, dziewczynę, która powinna nie żyć. Powinna zginąć z rąk Kayle'a, ale nic z tego. Uratował jej pan życie, rozłączył z rodziną, a Odzie powiedział, że jej siostra padła ofiarą morderstwa, zamieniając w ten sposób potencjalnie miłą kobietę w psychopatyczną sukę, naczynie zemsty, które wszyscy znaliśmy i kochaliśmy. Przez wszystkie te lata Oda myślała, że jej siostrę zamordował czarnoksiężnik, i przez wszystkie te lata, trzymał ją pan w ukryciu, aż wreszcie zrodziło się w panu podejrzenie, że u Jabuile zaczynają się ujawniać talenty posiadane przez jej starszego brata. Cóż za pech. Ale po prostu ją zabić byłoby za łatwo. Postanowił pan być sprytny, po raz ostatni zamieszać w głowie Odzie i przekonać się, co zrobi. Proszę mi przerwać, jeśli w jakimś punkcie się pomylę.

Rozciągnął usta w wąskim nerwowym uśmiešku.

- Wiedział pan, że JG kręci się w starym wieżowcu w Sidcup i wysłał pan tam Odę. Czy zabije początkującą czarnoksiężniczkę, nawet jeśli była jej siostrą? Oczywiście, odpowiedź brzmiała „nie”. Wystarczyło, że Oda spojrzała na Jabuile i wszelkie skłonności do dekapitacji opuściły ją w mgnieniu oka. W jednej chwili zmieniła się ze służebnicy pańskiej w starszą siostrę JG.

- To pańska wina - odezwał się nagle Chaigneau. - Pan doprowadził do upadku Ody.

Uniosłem brwi, czekając na więcej.

- Już od chwili waszego pierwszego spotkania zauważaliśmy pewne... nieprawidłowości w jej postępowaniu. To prawda, że rozkazaliśmy jej zachować pana przy

życiu na czas walki z Robertem Bakkerem, ponieważ uznaliśmy, że ma pan największe szanse na zniszczenie większego zła. Kiedy został pan Nocnym Burmistrzem, również rozważaliśmy możliwość wyeliminowania pana, ale z kolei zaczęła się sprawa ze śmiercią miast i ponownie korzyści z pańskiego istnienia przeważały nad zagrożeniem. Niemniej już od wczesnego stadium nie ulegało wątpliwości, że choć Oda zapewnia, że jest gotowa pana zabić, to może wcale nie być prawdą. Odnosiliśmy wrażenie, że jej prośby o zakończenie pańskiego życia stają się w coraz większym stopniu aktem desperacji, duchowej samoobrony, jakby niepokoiła się nie tym, że, żyjąc, będzie pan powodował szkody, ale myślą, że upływ czasu wzmocni więź między wami, uniemożliwiając jej wykonanie obowiązku. Pod koniec niemal wszyscy w Zakonie zgadzali się, że uważała pana... niemalże za człowieka. Utraciła perspektywę. A potem nadeszła ta noc w Moorgate...

- Chyba wiem, którą noc ma pan na myśli.

- Zaatakowały was widma. I pan, Matthew Swift, przygotował zaklęcie w butelce od piwa, a następnie podał ją Odzie, która, celowo lub nie, dopuściła się aktu magii. Wyznała mi to, niemal dwa miesiące po fakcie. Powiniennem był ją wtedy zabić, ale błagała, płakała i sprawiała wrażenie skruszonej. Dlatego wysłaliśmy ją do Sidcup. To była ostatnia próba. Szansa na to, by dowieść lojalności, powtórzyć akt, który dał jej miejsce w Zakonie, zabić własną siostrę, która była czarnoksiężniczką. I Oda nie sprostała tej próbie.

Zabębniłem palcami po brzegu biurka, spojrzałem na Chaigneau i zobaczyłem tylko żelazo oraz ogień.

- Zastanawiam się nad jednym - odezwałem się po chwili. - Czy osobiście wbił jej pan nóż w serce, czy kazał pan to zrobić komuś innemu?

Zawahał się.

- Nie ma dla mnie miejsca w niebie - odparł po chwili. - Zdaję sobie z tego sprawę. Wiem, dokąd trafi moja dusza. Ale dzięki jej poświęceniu, całe pokolenia tych, którzy w innym przypadku płonęliby w ogniu razem ze mną, będą się mogły cieszyć towarzystwem aniołów.

- To brzmi pięknie. Ale zapomniał pan o niepożądanych konsekwencjach! Pchnął pan Odę nożem za to, że pana zdradziła i zostawił na śmierć w wieżowcu w Sidcup. Zbliżały się Dwór i Plemię, które miały wpaść prosto na siebie, ścigając uciekającego bardzo szybko, śmiertelnie przerażonego królika. JG rzuciła się do ucieczki, a ponieważ, jak pan zauważył, posiadała talenty podobne do talentów jej starszego brata, udało się jej wpaść w szczelinę. To ją uratowało, choć powinna spłonąć w Sidcup razem z całą resztą. Dwór i Plemię wpadają w szal, oskarżają się nawzajem i zaczynają ze sobą walczyć. Tymczasem pan, chcąc mieć

całkowitą pewność, że obie strony poniosą straty w ludziach i nic już nie powstrzyma wybuchu wojny na pełną skalę, podpalił budynek na niższych piętrach, skazując na śmierć wszystkich w nim obecnych, w tym również Minjae Sana, daimyo Neonowego Dworu. Wojowników Dworu i Plemienia, Ode, JG, a także jakiegoś brodatego żebraka, z pewnością uważając, że warto go poświęcić dla tak szczytnego celu. Rewelacja. Wszędzie walają się trupy, JG zniknęła, Oda nie żyje, a między Plemieniem a Dworem wybuchła wojna. Zakon wykonał zadanie. Magiczna społeczność sama rozerwie się na strzępy, hura. I w tym momencie pojawiła się nieprzewidziana komplikacja. Oda nie jest tylko kobietą z sercem przebitym nożem. Jest kobietą, którą zdradzono. Zabił ją jej własny mentor. Jej rzekomo martwa siostra żyła. Jej wiara legła w gruzach, ciało było uszkodzone, a wszystko, w co wierzyła, okazało się, jak sam pan zauważył, niedoskonałe. Cóż za wspaniałe naczynie dla starego paskudnego Zaciemnienia, coś za wyjątkowa okazja. Wchodzi w jej ciało i budzi w nim coś przypominającego życie. Płomienie pełgają po ścianach, Oda wpada w panikę. Jest przerażona i dezorientowana. Krwawi. Potrzebuje pomocy i, nie wiedząc ani nie rozumiejąc, co właściwie robi, wzywa ją w jedyny dostępny dla siebie sposób. Przywołuje nas. Mnie. Tak oto w sprawę wplątał się Nocny Burmistrz, słońce nie wschodzi, Oda chodzi po ziemi, ciała JG nie znaleziono wśród popiołów, a miasto zwija się powoli. Co prawda, wojna między Dworem a Plemieniem nadal ma wybuchnąć, ale coś za straszliwe nieprzewidziane konsekwencje! Myślę, że minął jakiś czas, nim sobie pan uświadomił, jak totalnie spieprzył pan sprawę. Dlatego właśnie skontaktował się pan ze mną na dworcu Euston. Z czystej paniki. To był błąd. Gdyby pan tego nie zrobił, mogłoby minąć kilka dobrych godzin, zanimbym się zorientował, że to pan jest wszystkiemu winien, panie Chaigneau.

Nacisnął spust.

Rozległ się cichy trzask.

Ale nie wydarzyło się nic więcej.

- Mój znajomek Dudley - ciągnąłem - czy już o nim wspominałem? On wie bardzo wiele o różnych ludziach. Wie, gdzie mieszkają i czym się zajmują. Zna ich nawyki i godziny pracy. Wie, kiedy mają wolne, a nawet to, gdzie trzymają broń, panie Chaigneau.

Ponownie spróbował wystrzelić. Również bez skutku.

Uśmiechnął się szerzej, skinął lekko głową i położył broń na biurku między nami.

- Znakomicie, panie Burmistrzu. Nie wiedziałem, że niebieskie elektryczne anioły tak dobrze potrafią wszystko zaplanować.

- To jestem nowy ja - wyjaśniłem, machając rękami w geście ekscentrycznego pozdrowienia. - Matthew Swift, pierdolony Nocny Burmistrz. Mam różnokolorowe mazaki i

różne takie rzeczy.

Westchnął, splótł dłonie za głową i wpatrzył się w sufit.

- I co teraz? - zapytał. - Zabije mnie pan? Zostawia pan za sobą wielkie sterty trupów, panie Burmistrzu, ale bardzo rzadko się zdarza, by zdobył się pan na odwagę i własnoręcznie pchnął kogoś nożem.

- Rozważałem taką możliwość - przyznałem. - Nie sądzę jednak, by kogokolwiek to naprawdę obeszło, zważywszy wszystko razem. A kiedy zastrzelił pan JG... wtedy mogliśmy to zrobić. Bez chwili zastanowienia. A potem nawet nie byłoby czego pochować. To chyba był najgorszy z pańskich uczynków. Zastrzelił pan młodą dziewczynę u podstawy Seven Dials, nie dlatego, że była dla pana zagrożeniem, ani dlatego, że mogłoby to cokolwiek zmienić, a wyłącznie z tego powodu, że pańskie staranne plany spaliły na panewce i nie wiedział pan, co dalej robić. Nie miał pan żadnego innego pomysłu. Mój Boże. Sprawiedliwość przerażonych. Tak jest, zabilibyśmy wtedy pana, gdybyśmy mogli. Ale potem uświadomiłem sobie, że muszę się jeszcze uporać z tym całym nieszczęsnym interesem z Plemieniem i Dworem. Lady Neon i Toxik nie żyli, a ja miałem na głowie zgrają straszliwie rozwścieczonych daimyów i szamanów, których musiałem przekonać, że zrównanie Shaftesbury Avenue z ziemią w próbie zniszczenia siebie nawzajem nie jest najlepszym pomysłem. Jeśli się pan nad tym zastanawiał, to właśnie spowodowało, że dopiero teraz do pana dotarłem. Musiałem siedzieć za stołem negocjacyjnym w sklepie z kebabami w Willesden, próbując przekonać zwaśnione strony, że nigdy nie było żadnej wybranej, a tę wojnę sprowokował inny, gorszy wróg. Potrzebowałem dwóch tygodni, by osiągnąć ten cel. Muszę też powiedzieć, że Dwór i Plemię naprawdę się na pana wściekły. Potęga nienawiści jest doprawdy zdumiewająca. Nienawidzą pana tak bardzo, że są gotowi iść ze sobą ręką w rękę w tej sprawie.

Nie ruszał się ani nie odzywał.

Wstałem, zdjąłem płaszcz z oparcia krzesła i przerzuciłem go sobie przez ramię.

- To wszystko na nic się nie zdało - oznajmiłem. - Pojawi się nowa Lady Neon. Kobieta tak piękna, że od patrzenia na nią bolą oczy, wizja wszystkiego, czym nie możemy się stać, świata, który nigdy nie będzie należał do nas. Zawsze też będzie istniało Plemię ci, którzy nie mogą mieć tak bardzo, że postanowili, że nie będą mieli nic i w ten sposób wszystkim pokażą. Pańska wojna... nie była niczym nowym. Nadejdą kolejne konflikty i następne rozejmy. Śmierć Lady Neon i Toxika przyspieszyła tylko zawarcie pokoju. Cała ta przelana krew, to gadanie o wyższych celach i spiskowanie... co z tego wynikło? Krótkotrwałe samozadowolenie starzejącego się mężczyzny, martwiącego się o poziom cukru

we krwi oraz przeznaczenie swej nieśmiertelnej duszy.

- Nie boję się śmierci - oznajmił cicho. - Nie jej.

Podszedłem do drzwi i otworzyłem je, wpuszczając światło z korytarza.

- Słyszał pan o nocnym autobusie? - zapytałem. - Wie pan, skąd się biorą jego kierowcy? Ponoć przykuwają takiego do kierownicy i jeździ przez noc, nie znając snu, bez końca krążąc po ulicach miasta. Mówią, że to klątwa rzucona na najgorszych wrogów Lady Neon. Gdy te łańcuchy raz zostaną wykute, nic nie może ich skruszyć. Jeśli śmierć to najgorsze, co potrafi pan sobie wyobrazić, obawiam się, że czeka pana poważny szok. Dobranoc, panie Chaigneau. Sam znajdę wyjście.

Zamknąłem za sobą drzwi, zostawiając go samego w półmroku.

* * *

Musiałem pójść na jeszcze jeden pogrzeb.

Stałem z tyłu, razem z Penny. Zjawiła się garstka Rajców, ale było ich za mało. Przyszli też przedstawiciele doradców finansowych w czarnych płaszczach i kapeluszach. Grupka elegancko ubranych kobiet z miejscowego klubu tenisowego. Ludzie z kierownictwa szkoły. Wujek i ciotka. Mąż i córka. Żadne z nich nie płakało. On powstrzymywał się przed tym dla niej, a ona dla niego. Kapłan odprawił nabożeństwo tak krótkie i rzeczowe, jak tylko pozwalały na to dobre obyczaje. Pan Dees, mężczyzna niewiele wyższy od swej zmarłej żony, zapytał nas, kim jesteśmy. Odpowiedzieliśmy, że współpracownikami. Zaprosił nas do miejscowego klubu tenisowego, gdzie miano podawać napoje i dzielić się wspomnieniami o Leslie Dees, która w końcu dwukrotnie wygrała turniej tenisa ziemnego kobiet, w duchu radośniejszym niż tutaj, wśród ciągnących się bez końca równych szeregów nagrobków.

Uśmiechnęliśmy się, powiedzieliśmy, że to bardzo uprzejme z jego strony, nie dodaliśmy nic więcej, ale nie poszliśmy tam.

Kiedy wszyscy już odeszli, stanęliśmy z Penny nad grobem Leslie Dees.

- Wiesz co? Właściwie wcale jej nie znałam - odezwała się po chwili moja uczennica.

- Ja też nie.

- Ehe, ale ty... no wiesz... znałeś ją chyba lepiej?

- Nie jestem pewien. Nie wiem... bardzo wielu rzeczy. Nie znam jej przyjaciół, rodziny, nie wiem, czym się zajmowała, gdzie chodziła do szkoły i do college'u, w jaki sposób została Rajczynią, co robiła dla rozrywki, gdzie jeździła na wakacje, jakie były jej ulubione potrawy... nic z takich rzeczy. Rzeczy, które powinno się wiedzieć. Pewnie myślałem, że z czasem do tego dojdziemy.

Staliśmy tam jeszcze przez chwilę.

- Nie znałam jej, to fakt - odezwała się po chwili Penny - ale tak sobie myślę... że wyglądała na kobietę, która nie zrobiłaby nic, czego by nie chciała.

- Ehe. Całkiem możliwe, że masz rację.

Czas mijał.

- Jestem zniewagą dla urzędu Nocnego Burmistrza.

Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że się odezwałem, ale rozejrzałem się wkoło i nie zauważyłem żadnych innych kandydatów.

Penny patrzyła na mnie bez słowa, czekając na więcej.

- Wszystkie te ofiary - podjąłem, ponieważ wyglądało na to, że tego ode mnie oczekuje. - Pani Dees, Oda, JG, Theydon, Lady Neon, Toxik, cała ta krew przelana na miejskich ulicach. Jaki ze mnie pożytek, jeśli nie potrafię tego powstrzymać? Jaki pożytek z tego... - Machnąłem ręką, naznaczoną bolesnymi bliznami w kształcie krzyży. - I z tego... - Rozpostarłem palce i pozwoliłem, by przeskoczyły między nimi iskry. - Jaki pożytek z nas, po co istniejemy, jeśli nie potrafimy tego powstrzymać?

Cisza.

- Tak mi się zdaje, że, no wiesz, istnieją dwa rodzaje wybrańców - zaczęła po chwili Penny. - Są tacy, którzy zostają wybrani i nie mają w tej sprawie nic do powiedzenia, jak królowie, królowe i inne takie dupki. Ale jest też inny rodzaj wybrańców, tacy, którzy występują z szeregu, gdy wszyscy się boją, gdy nikt poza nimi nie potrafi się zdobyć na decyzję. Taki wybraniec postanawia walczyć albo zrobić coś, czego nikt inny nie chce uczynić, ponieważ to konieczne. W większości przypadków taki facet to śmierdziel, ale czasami jest bohaterem. Uważam, że ty jesteś po trochu i jednym, i drugim.

Ramiona mi się zatrzęsły, co zapewne znaczyło, że próbuję się śmiać.

- To cały ja - przyznałem. - Matthew trochę tego i trochę tamtego. Odrobina wszystkiego, ale nie w całości.

Na chwilę znowu zapadła cisza.

- Dobra! - wygarnęła wreszcie Penny. - No to chodźmy!

Złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą wysypaną żwirem ścieżką.

- Dokąd idziemy?

- Postawisz mi kolację.

- Naprawdę?

- Ehe.

- A dlaczego?

- Bo jesteś moim kolegą i to należy do twoich obowiązków.

- Ale...

- Nie! Żadnych sprzeciwów!

- Ale powinniśmy...

- Nie ma mowy! Problem w tym... - Zatrzymała się tak raptownie, że o mało na nią nie wpadłem. Uniosła palec wskazujący z niezachwianym przekonaniem o własnej słuszności. - Problem w tym - powtórzyła tonem kogoś, kto po raz pierwszy rozważa nową myśl - że nie jesteś szczególnie dobrym Nocnym Burmistrzem i nie radzisz też sobie nadzwyczajnie z byciem człowiekiem, a do tego przesadzasz z byciem tym całym elektrycznym aniołem, więc zostaje ci tylko możliwość postawienia mi curry.

- I to wszystko? - wymamrotałem otepiałym głosem. - Możliwość postawienia ci curry?

- Ehe.

- Coś ci powiem, Penny. Jak na nową rewelacyjną propozycję filozoficzną mającą zmienić moje życie, to nie zabrzmiało rewelacyjnie.

- Matthew - odparła stanowczym tonem - są mężczyźni, którzy zjedliby własną lewą stopę, by móc kupić tak totalnie rewelacyjnej dziewczynie jak ja jeden placuszek papad, nie wspominając już o całym curry. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Zastanowiłem się nad jej słowami.

I zaczęliśmy to pojmować.

- Hmm - odezwaliśmy się w końcu, ponieważ wyraźnie czekała, aż coś powiemy. - No dobra - dodaliśmy po dalszej chwili zastanowienia. - Skoro tak to ujmujesz.

Rozpromieniła się.

- Wiesz co - zaczęła, zwracając się ku wyjściu z cmentarza - zastanawiam się, czy Nocnemu Burmistrzowi przysługuje zwrot kosztów.

Szliśmy przed siebie, między równymi szeregami szarych nagrobków.

* * *

Zjedliśmy kolację.

Potem poszliśmy się przejść. Gadaliśmy o niczym, nie zmierzając w żadne konkretne miejsce.

Krótko przed północą Penny wyznała nagle, że musi złapać ostatni pociąg do Lewisham.

Odprowadziłem ją na dworzec, ponieważ miałem wrażenie, że tak właśnie należy

postąpić.

Ostatni pociąg był matowym żółto-białym robakiem widocznym na tle wolframowych gwiazd, palących się na ziemi tak daleko, jak okiem sięgnąć. Przyglądaliśmy się mu z wiaduktu nad torami, słuchaliśmy go palcami nóg, czuliśmy smak niebiesko-białej elektryczności bijący od jego metalowych kół.

Potem ruszyliśmy w drogę.

Szliśmy na północ. Nie mieliśmy planu ani wyznaczonego kierunku, ale w praktyce nie zdarzało się nam zboczyć z drogi. Mijaliśmy domy pełne sennych i śpiących mieszkańców, ulice wypełnione ciężarówkami i samochodami osobowymi, okna, z których dobiegały odgłosy kłótni, śmiechu albo spokojnych poważnych rozmów, restauracje pachnące czosnkiem i kminkiem, kioski z ociekającymi tłuszczem kebabami oraz pasażerów gier rozbrzmiewające dźwiękiem symulowanych strzałów. Szliśmy przez senne ulice pełne domów mieszkalnych, gdzie okna lśniły szaroniebieskim blaskiem późnowieczornej telewizji, mijaliśmy szare gmachy szkół, w oknach których wisiały plakaty dotyczące epoki Tudorów, cyklu azotowego oraz wędrówki płyt tektonicznych, a także tablice ogłoszeniowe kościołów, oferujące naukę prawdy, Boga, dzudo i zaawansowanej jogi. Przeszliśmy obok drzwi wyjściowych nocnego kina, proponującego dziś zombiaki i wojowników ninja. Przesuwaliśmy palcami po szorstkich oparciach ławek pod pubami, przykutych łańcuchami do ulicy, po zimnych metalowych latarniach i barierkach, drapiącej czerwonej cegle oraz szarym gładzonym kamieniu. Kluczyliśmy między ulicami pełnymi wielkich sklepów i podmiejskimi ścieżkami, między betonowymi blokowiskami oraz okolicami pełnymi wolno stojących domków. Zdawało się nam, że słyszymy z tyłu...

...ale to był tylko wytwór naszej wyobraźni.

Przez pewien czas towarzyszył nam samotny miejski lis, zastanawiający się, czym możemy być. Unosił nos, przyglądając się nam z zaciekawieniem. Gdy przechodziliśmy przez Clapham, wykryła nas rodzina szczurów mieszkających w kanałach. Zrywały się do biegu przy każdym naszym kroku. Gołębie niepokoiły się, kiedy przechodziliśmy, cienie śledziły nas spojrzeniem. Po pewnym czasie nawet one zostawiły nas w spokoju.

Nie zatrzymywaliśmy się, aż luźna zabudowa południowego Londynu ustąpiła miejsca wyższym budynkom grupującym się nad rzeką, zobaczyliśmy komin Tate Modern, blask kopuły Świętego Pawła, nigdy niegasnące światła Guy's Hospital oraz wieżę i pinakle Southwark Cathedral. Ruch na ulicach był bardzo słaby. Wyszliśmy na London's Bridge, spoglądając z góry na toczącą swe wody do morza Tamizę. Ledwie dostrzegliśmy mroczny zarys Greenwich Hill, a w górze rzeki widzieliśmy czerwone litery Oxo Tower. Wsparliśmy

się o zimną barierkę, spoglądając ku morzu.

- No dobra - odezwałem się. - Niech pan mnie źle nie zrozumie, świetnie się bawiłem.

Ale teraz żegnam!

Bakker westchnął. Siedział na brzegu mostu, zwracając twarz ku niebu.

- Chyba nadeszła pora się rozstać - przyznał.

- Nadeszła pora? - powtórzyłem. - Kiedy zgodziłem się na ten eksperyment, myślałem, że słowo „przejściowe” znaczy kilka godzin, góra dobę. Wie pan, jak głupio się czuję, kiedy się budzę i widzę, że leży pan obok?

- Sądząc z tego, że za pierwszym razem zleciałeś na podłogę, zaryzykowałem twierdzenie, że bardzo.

- No wie pan, nie jestem niewdzięczny. Jeśli pominąć psychopatyczne elementy, bywał pan bardzo użyteczny.

Uklonił mi się lekko.

- Ale pora już, byśmy obaj przeszli do następnego etapu - dodałem.

- W takich chwilach zawsze się przekonuję, że wzniosłe słowa, jakie przygotowałem na podobną okazję, nie chcą mi przejść przez gardło - odparł z westchnieniem, wpatrując się w pustkę. - Człowiekowi o mojej pozycji nie wypada powtarzać banałów.

- Jakoś to pan przeżyje.

- Nie - zaprzeczył tonem bliskim smutku. - Nie przeżyję. - Wyprostował się nagle i klasnął w dłonie. - Zatem żegnaj, Matthew. Sprawuj się dobrze, i tak dalej. Postaraj się nie mordować nikogo bez potrzeby, zachowaj perspektywę, zakładając, że ją masz, nie daj się pochłonąć elektrycznej chwale, i tak dalej.

- Żegnam, panie Bakker.

- Do zobaczenia.

- No to na razie.

Odwrócił się, spojrział w stronę rzeki, rozpostarł ramiona i zamknął oczy. Zaczerpnąłem głęboki wdech, popatrzyłem na niego i wypuściłem powietrze. Wypłynęło z samych koniuszków palców u nóg, przemknęło z drzeniem przez całą długość kończyn, zakotłowało się w żołądku, opuściło z bólem klatkę piersiową, wypełzło z palców dłoni i zza oczu. Było ciepłe i miało lekki posmak kurzu oraz ziemi. Wyszło ze mnie, wypełniając otoczenie spokojnym migotliwym blaskiem.

Potem rozwiął je dmący od rzeki wietrzyk.

Bakker również zniknął.

Staliśmy tam przez moment, spoglądając na wodę.

Zza horyzontu wyłoniło się słońce, blade i dyskretne, jakby zawstydzone tym, że budzi się o tak kłopotliwej porze.

Gapiliśmy się na nie przez chwilę, aż wreszcie wzniosło się wyżej i stało się zbyt jasne, by na nie patrzeć.

A potem pogapiliśmy się jeszcze trochę.